

CZWARTY TOM CYKLU „KAMPANIE CIENIA”



DZIAŁA IMPERIUM

DJANGO WEXLER



REBIS

DJANGO WEXLER

DZIAŁA

IMPERIUM

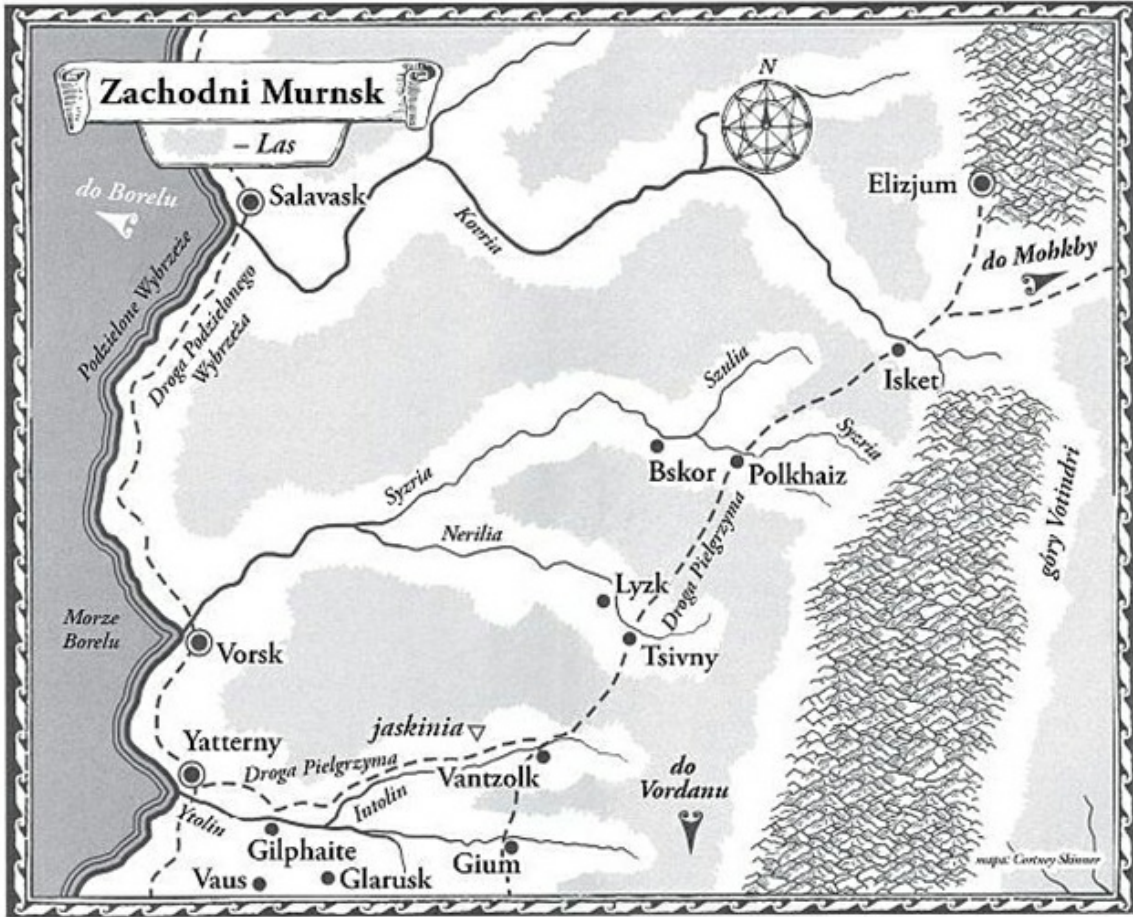
CZWARTY TOM CYKLU „KAMPANIE CIENIA”

Przełożył Zbigniew A. Królicki



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

Wszystkim ciężko pracującym historykom,
od których zaczerpnąłem pomysły



Podziękowania

Czwarty tom! Naprawdę nie miałem pojęcia, u zarania czasu, gdy zabierałem się do pracy, że w ogóle będzie czwarty tom. Jednak jest.

Jak zawsze, wspomagała mnie dzielna doborowa grupa pierwszych czytelników, którzy powstrzymywali mnie od zbaczania w niepożądanym kierunku. Tym razem ten zespół składał się z: M.L. Brennan (poczytajcie jej książki; nie będziecie rozczarowani), Rhiannon Held (jak wyżej), Elisabeth Fractalossi i Lu Huan. Casey Blair nadal pełniła swoją wyjątkową rolę, czytając moje szkice, słuchając mojej paplaniny i z niemal magiczną łatwością pomagając ustalić przebieg akcji jeszcze nienapisanych rozdziałów.

Podziękowania należą się też (zawsze i nieustannie) mojemu agentowi Sethowi Fishmanowi, a także jego kolegom z Gernert Company: Willowi Robertsonowi, Rebecce Gardner i Florze Hackett. Jestem wdzięczny również innym agentom literackim na całym świecie, którzy pomogli tym książkom dotrzeć do różnych nieoczekiwanych miejsc.

Jestem zawsze wdzięczny moim wydawcom, ale przy tym tomie Jessica Wade naprawdę zrobiła znacznie więcej, niż wymagały tego jej obowiązki: pomagała mi wprowadzać liczne poprawki, odpowiadała na rozpaczliwe e-maile i mimo moich niedociągnięć

umożliwiła terminowe ukończenie pracy. Kolejne podziękowania całemu personelowi Roc, który pomógł w urzeczywistnieniu tej książki, ale nie został wymieniony w stopce.

I w końcu, oczywiście i zawsze, dziękuję Czytelnikom, którzy nadal śledzą bieg tej opowieści. Mogę jedynie dołożyć najlepszych starań, aby spełnić Wasze oczekiwania.

Prolog

Pontifex Czerni

Ostatnie wiosenne burze były nader gwałtowne; ta, potwornie silna, smagała zbocze samotnej góry gnany wiatrem strugami deszczu. Pośród ciężkich chmur z trzaskiem przelatywały błyskawice, oślepiająco białymi wyładowaniami uderzając w kopuły wież Elizjum. Miasto twierdza przywarło do zbocza jak maź do skały, kuląc się przed furią niebios. Stało tutaj od prawie tysiąca lat i jeszcze nie zmyła go żadna nawałnica.

Ta ulewa jednak wkrótce minie, a z nią pora deszczowa, po której nadejdzie skwarne, suche lato północnego Murnska. Drogi obeschną, a pola zazielenią się uprawami i nadciągnie inna burza, niesiona przez ludzi i działa, tak silna, że mogłaby zmieść nawet Elizjum z jego skalnej grzędy. Te wysokie pionowe mury, dzięki którym w minionych wiekach miasto było niezdobyte, w czasach armat i moździerzy są bezużyteczne.

Pontifex Czerni czekał w trójkątnej komnacie na swoich kolegów, słuchając wody bulgoczącej w tysiącu podziemnych kanałów i sporadycznych pomruków gromów w oddali. Wyobraził sobie ten huk stokrotnie głośniejszy i armatnie kule zamieniające w gruzy święte miasto nad jego głową, rozbijające wielkie mury, niszczące biblioteki, dormitoria oraz niezliczone kaplice wraz

z posągami ich świętych patronów. Niweczące dzieło jego życia i jego poprzedników, nieprzerwanym szeregiem sięgających czasów Elizjusza Ligamentiego, a następnie samego Karisa Zbawcy.

Przez tysiąc dwieście dziewięć lat Kapłani Czerni spełniali swój święty obowiązek i bronili nieświadomego niczego świata przed Bestią Sądnego Dnia. Kładli pokotem armie piekieł, biorąc w niewolę każdego potwora, którego zdołali dopaść, aż dla zwykłych ludzi demony i czary stały się czymś występującym tylko w baśniach i legendach. I wszystko to – całe zbożne dzieło Kościoła, to, co zostało okupione ofiarą Karisa – mogło zostać zaprzepaszczone, więzienia otwarte i demony rozpuszczone na cztery strony świata, a sama Bestia ponownie uwolniona.

Nie, pomyślał pontifex. Nie za mojej kadencji. Obojętnie, co ci głupcy powiedzą.

Drzwi otworzyły się z piskiem zardzewiałych zawiasów, wzbijając tuman kurzu. Ta sala obrad oficjalnie przestała być używana od czasu pozornego rozwiązania zakonu Kapłanów Czerni, a przywódcy dwóch pozostałych odłamów Kościoła woleli się spotykać w bardziej eleganckim otoczeniu. W normalnych okolicznościach pontifex Czerni widywał się z nimi co kilka lat: tajny zakon robił swoje w podziemiach miasta, niewidoczny dla kapłanów w czerwonych i białych szatach, działających w blasku dnia. To jednak oczywiście nie była normalna sytuacja.

Wszedł pontifex Bieli i jego nieskazitelnie biała szata natychmiast pokryła się szarą patyną opadającego pyłu. Starzec w wysokiej czapce z połaczanym otokiem, skrywającej łysinę, spojrzał na pontifeksa Czerni i pozdrowił go mruknięciem, ostrożnie stąpając po spleśniałym dywanie ku ozdobnemu stołowi.

Gdy odsunął sobie jedno z krzeseł z wysokim oparciem, wzbił kolejną chmurę kurzu.

– Wciąż pada – odezwał się, bezowocnie próbując strzepnąć kurz z siedziska. – Jak wiesz, w słotę łamie mnie w kościach. Pytałem Pana, dlaczego od deszczu bolą mnie kości, ale nie zaszczyił mnie odpowiedzią.

Z przesadnie głośnym westchnieniem opadł na fotel. Czarny nadal stał.

– Kiedy będziesz w moim wieku – ciągnął Biały – zakwestionujesz sens budowania świętego miasta na zboczu góry odległej o tysiąc mil od wszystkiego.

– Ja wierzę – powiedział Czarny, nie mogąc się powstrzymać – że to miało ułatwić skupienie myśli na kontemplacji boskości.

– Może ty potrzebujesz pomocy przy kontemplacji, ale ja nie – rzekł Biały. – Po sześćdziesięciu latach jestem w tym całkiem niezły. Zapewniam cię, że mógłbym kontemplować zupełnie swobodnie w jakimś ciepłym ogrodzie, gdzie indziej. Tutaj na zmianę marzniemy, toniemy albo się smażyjemy.

– Porozmawiaj o tym ze świętym Ligamentim.

– Wierz mi, w dniu, w którym Pan uzna za stosowne zabrać mnie do siebie, na pewno to zrobię.

I wszyscy żarliwie się modlimy, aby ten dzień przyszedł jak najszybciej, pomyślał Czarny. Nie żeby któryś z ewentualnych kandydatów miał być lepszy. Wśród Kapłanów Bieli było nadzwyczaj wielu pompatycznych, nieznośnych głupców.

– Czy już zaczęliście? – zapytał pontifex Czerwieni, przeciskając się przez uchylone drzwi. Był młodszy od kolegów, z bulwiastym, czerwonym jak burak nosem i krzaczastymi brwiami.

– Na razie tylko wymieniamy uprzejmości, bracie – odparł Czarny. Miał chrapliwy głos po przebytej w dzieciństwie chorobie, która o mało go nie zabiła. – Nasz brat Biały mówił o pogodzie. Zauważył, że wciąż pada.

– Tak już jest o tej porze roku.

Czerwony zajął swoje miejsce, nie zwracając uwagi na kurz.

Czarny poszedł w jego ślady, nieco wolniej. Trójkątny stół niegdyś był miejscem, przy którym sprawowano władzę nad całym kontynentem. Patrzyli na siebie, zastanawiając się, który przemówi pierwszy.

– Vordanajowie chcą zawieszenia broni – oznajmił Czerwony, przerywając impas. – Ich przedstawiciele zbierają się w Talbonn. Vhalnich i królowa będą tam.

Pontifex Czerni, jedyny z nich trzech, miał maskę z błyszczącego obsydianu; nosili taką wszyscy bracia jego zakonu. Zakrywała mu twarz, tak więc mógł sobie pozwolić na gniewny grymas. Vhalnich. Ten vordanajski generał był w centrum wszystkich wydarzeń. Kościół posłał swoich sprzymierzeńców na wojnę, gdy Vhalnich obalił w Vordanie będącego ich marionetką Orlankę, lecz ten przeklęty generał z zatrwajającą łatwością rozbijał armie i fortece. Teraz, gdy zaczął się drugi rok wojny, umocnił swoją władzę jako pierwszy konsul Vordanu, odpowiadający wyłącznie przed królową Raesinią.

– Kogo wysyła imperator? – spytał Biały.

– Księcia Dzurka.

– To osioł – rzekł Czarny.

– Osioł, ale wysoko postawiony – przypomniał Czerwony. – Trzeci w kolejności do tronu Murnska. A Borelgajowie wyślą diuka

Dorsaya.

– Jeśli zdołają wsadzić go na konia – prychnął Biały. – Ten stary piernik wojował już wtedy, kiedy byłem chłopcem.

– Trzy armie obozują tuż przy granicy, blisko siebie – powiedział Czerwony. – A przy negocjacyjnym stole zasiądą cztery mocarstwa. Pytanie, co zaoferują Vordanajowie.

– Hamveltajczycy przyjmą każde warunki, byle zawrzeć pokój – mruknął Biały. – Po tych batach, jakie dostali jesienią, będą błagali Vhalnicha, żeby ich zostawił w spokoju.

– Viadre jest podzielone – zauważył Czerwony. – Bardzo wielu Borelgajów na tamtejszym dworze chce uznać rewolucję za fakt dokonany, szczególnie teraz, gdy Vhalnich osadził królową na tronie. Wojny psują interesy. A wysyłając Dzurka, imperator daje do zrozumienia, że jest co najmniej gotowy wysłuchać propozycji.

– Zatem nie możemy dopuścić do tych obrad – uznał Czarny. – Ta wojna musi trwać do zwycięskiego końca. – Rąbnął dłonią w stół, wzbijając obłok kurzu.

Pozostali dwaj spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Posłaliśmy mocarstwa na wojnę – powiedział po chwili Czerwony. – To nie było trudne, gdy Vordan był osłabiony rewolucją. Wojna miała przynieść korzyści, przynajmniej tak się zdawało. A teraz? Vordanajowie nie będą siedzieli beczynn timer przez zimę, a Vhalnich wydaje się niezwyciężony w polu. Perspektywy nie są już tak przyjemne.

– To nie jest kwestia perspektyw czy korzyści – zaproponował Czarny. – Trzeba im rozkazać...

– Kościół nie rozkazuje świeckiej władzy – przerwał mu Czerwony. – My doradzamy. Proponujemy. A jeśli zbyt silnie

wpływamy na bieg historii, ryzykujemy zepchnięcie na jej pobocze. Dzień, w którym król Borelu lub imperator Murnska pomyśli sobie: „A ile batalionów pontifex Czerwieni może posłać przeciwko mnie?”, będzie dniem, w którym nasza władza skończy się na zawsze.

– Jeśli imperator nas nie usłucha, możemy go zniszczyć. – Czarny zgrzytnął zębami. – Jeśli ogłosimy, że złamał kościelne prawa, chłopstwo Murnska powstanie i...

– I kto wtedy będzie walczył z Vordanajami? – zapytał Czerwony.

Zapadła długa cisza.

– Mówisz, że będzie pokój – rzekł Czarny.

– Mówię, że powinniśmy pozwolić, by sprawy toczyły się swoim biegiem – odparł Czerwony. – Czasem najlepiej jest usunąć się na bok.

– Vhalnich jest niebezpieczny – powiedział Czarny. Dlaczego oni tego nie rozumieją? – Nie tylko dla Vordanu, lecz dla świata. Ma Tysiąc Imion, największy zbiór demonicznych mocy poza tymi murami. I pomoc sług Bestii! Ta pradawna herezja przetrwała i kto wie, jak silna się stała w zapomnianych zakątkach tego świata.

– Ty tak twierdzisz – prychnął Biały. – Mamy na to tylko słowa twojego agenta.

– Cień wielokrotnie dowiódł swojej lojalności – zareplikował Czarny. – Nie możemy sobie pozwolić na ignorowanie jego ostrzeżeń. Jeśli to prawda, jeśli Vhalnich jest pionkiem starych magów, to nie zadowolili się rządzeniem Vordanem. Przybędzie tu i uwolni niszczycielską siłę, której tak długo stawialiśmy czoło.

– Myślę, że ty się go boisz, bracie – stwierdził Biały. – Czy

dlatego, że cię pokonał? Nasłałeś na Vhalnicha swoje potwory i demony, bezskutecznie. Twój zakon ma zapobiegać szerzeniu się czarów i herezji, a moim zdaniem to, co mówisz, świadczy, że zawiedliście.

Czarny zacisnął szczęki. Pontifex Bieli utrzymywał, że nie interesuje się sprawami tego świata, ale zawsze był aż nazbyt dobrze poinformowany.

– Rzeczywiście boję się go – przyznał. – I wy też powinniście mieć się na baczności. Tak jak cały świat. On jest największym zagrożeniem, przed jakim stanęliśmy od czasu Schizmy, i Kościół musi się zjednoczyć przeciwko niemu. – Znów uderzył dłonią w stół. – Powiedzcie mi, bracia, czy składając nasze śluby, przysięgaliśmy mierzyć się z siłami ciemności tylko wtedy, gdy jest to wygodne. – Patrząc na ich twarze, zrozumiał, że przegrał.

– Myślę, że pokój może być korzystny – powiedział Czerwony. – W końcu Vhalnich nie może pomaszerować z armią na Elizjum, skoro właśnie podpisał rozejm z imperatorem. A jestem pewny, że możemy ufać, iż podczas przeciągających się pertraktacji nasz brat Czarny załatwi sprawę... dyskretniej.

– Ty narobiłeś tego bałaganu – warknął Biały. – I ty będziesz musiał go posprzątać.

Zapadła długa cisza. W końcu pontifex Czerni wstał.

– Bardzo dobrze, bracia – rzekł. – Wybaczcie, ale muszę poczynić odpowiednie przygotowania.

– Katastrofa – mrucał pontifex Czerni, idąc podziemnymi korytarzami. – Stoją w jej obliczu, a mimo to nie chcą działać.

– Tak, wasza eminencjo. – Skryba usiłował dotrzymać kroku

swojemu panu.

Za nimi podążali nosiciele pochodni i dwaj zamaskowani kapłani.

– Powiedz komunikatorom, że chcę rozmawiać z Cieniem – polecił Czarny.

Cień – znany światu jako Ionkovo – był u Borelgajów z diukiem Orlanką.

– Ile minie czasu, zanim Lustro dotrze do Talbonn?

Skryba przełożył papiery, które trzymał w dłoniach.

– Jeszcze kilka tygodni, wasza ekscelencjo, nawet w sprzyjających warunkach.

Pontifex zaklął w duchu. Było mnóstwo opowieści o demonach, które w mgnieniu oka mogą się przenieść na drugi koniec świata, lecz agenci Kapłanów Czerni nigdy nie znaleźli żadnego takiego stworzenia. Pary komunikatorów potrafiły przenieść jego głos na drugą stronę kontynentu, ale ktoś musiał tam być, żeby wykonać jego polecenia. A gdy najlepszy zespół jego agentów najwyraźniej został zlikwidowany w Vordanie, szeregi Przeklętych Penitentów znacznie się przerzedziły.

Tych demonicznych zabójców nigdy nie było aż tylu, ilu wyliczano w legendach. Trudno było znaleźć ludzi dostatecznie silnego ducha, aby udźwignęli brzemień demona, oraz gotowych znieść wieczyste męki, aby dopomóc w zbawieniu innych, a ponadto Kościół nie chciał ryzykować, wypuszczając na świat zbyt wiele bestii. Z tych, które stworzono, wiele w ogóle nie opuszczało Elizjum, wykorzystując swoją moc, by leczyć, mówić lub pisać. Inne były rozproszone po świecie, wpływając na lokalne wydarzenia i wypatrując oznak użycia czarów. Tylko nieliczne demony były naprawdę użyteczne w boju i często Penitent

wymagał wieloletniego szkolenia, nim można było zaufać, że poradzi sobie w zewnętrznym świecie.

Łatwo było braciom z Bieli i Czerwieni mówić, że Vhalnich jest problemem, który on ma rozwiązać. Ten człowiek był przebiegły i chroniony przez co najmniej jednego potężnego demona. Jednak nie jest niezwykły. Nadarzy się sposobność, pomyślał pontifex Czerni. Z trudem skupił się na innych, pilniejszych sprawach.

– Co z poszukiwaniami nosiciela? – spytał. – Są jakieś postępy?
Skryba się rozpromienił.

– Najwyraźniej tak, wasza ekscelencjo. Pięćdziesiąty czwarty obiekt przechodzi ósmą godzinę recytacji i ojciec Milovic uważa, że ona ma dość siły, żeby dokończyć wezwanie.

Wreszcie. Minął prawie rok.

– Chcę ją zobaczyć.

Pontifex Czerni schodził coraz niżej, mijając podziemia, w których mieszkała większość Kapłanów Czerni, oraz poziomy z uwięzionymi demonami – bezkresne korytarze zakratowanych cel z inskrypcjami podającymi ich imiona. Napotężniejsze demony miały wspaniałe, poetyckie imiona: Niewidzialny Pancierz, Gniew Cieni, Kariatyda, ale większość, szczególnie schwyte stosunkowo niedawno, bardziej prozaiczne. Jasnowidz nr 14, Ciepłolubny, Zmiennokształtny nr 3.

W każdej z cel siedział nieszczęśnik będący nosicielem tak nazwanego demona. Niektórzy z nich byli „dzikimi”, schwytanymi przez agentów Kościoła, ale większość stworzono tu, w Elizjum, zmuszając ludzi do wypowiedzenia imion stworów, które teraz nosili w sobie. Wszystko to zapoczątkowały odkrycia Elizjusza

Ligamentiego, genialnego założyciela zakonu. Pierwsze, że choć niektórzy nieszczęśnicy zostają w „naturalny” sposób opętani przez demony przy narodzinach, wygodniej jest przywołać te stwory, wymawiając ich imiona. Drugie, że te imiona można odkryć poprzez ostrożne eksperymenty z już uwięzionymi demonami. I trzecie, najważniejsze odkrycie, że demony mają osobliwą cechę – raz wezwane przez nosiciela są w nim uwięzione aż do jego śmierci i nie mogą zarażać swoim złem innych.

Te odkrycia zmieniły wczesny Kościół. Zamiast palić na stosach nosicieli, Kapłani Czerni zaczęli ich gromadzić, więzić i poznawać imiona ich demonów. Gdy jeden nosiciel umierał, tworzonego następnego, zmuszając jakiegoś więźnia do wypowiedzenia imienia demona i zajęcia miejsca martwego poprzednika. I tak jeden po drugim owe piekielne stwory usuwano z tego świata i zamykano tam, gdzie nie mogły zagrozić duszom wiernych. Liczba potworów i czarnoksiężników malała, gdyż coraz mniej dzieci rodziło się z takimi skazami.

Coraz niżej i niżej. Pontifex mijał cele i komnaty tortur, w których Kapłani Czerni wydobywali imiona od ostatnio schwytanych. W samo serce góry, gdzie powietrze było rozgrzane, a ściany śliskie od wilgoci gorących źródeł, na których zbudowano Elizjum.

Najniebezpieczniejszym okresem dla każdego demona był czas pomiędzy śmiercią jednego nosiciela a znalezieniem następnego. Nie każdy miał siłę nosić takiego stwora w swojej duszy, a im potężniejszy był demon, tym większej wymagało to siły. W tym przedziale czasowym demon miał swobodę działania i mógł opętać jakieś nieszczęsne rodzące się dziecię, przychodząc wraz z nim na

świat. Na szczęście im potężniejszy demon, tym mniej prawdopodobne było, że się pojawi tak właśnie. Do chwili obecnej tylko pomniejsze demony zdołały uciec w ten sposób, ale zawsze istniało takie niebezpieczeństwo.

Na samym dole długich spiralnych schodów, za zamkniętymi żelaznymi odrzwiemi, znajdowało się kilka niewielkich pomieszczeń. Woda miarowo kapiała ze sklepienia na posadzkę, zbierając się między kamiennymi płytami. W ciemnych kątach rozwijał się grzyb, a w powietrzu unosiła się woń zgnilizny. Była to siedziba najważniejszego więźnia, tego, którego w pewnym sensie Kościół sam stworzył i kontrolował. Bestii Sądnego Dnia, przysłanej przez Boga i mającej zniszczyć świat za ludzkie nieprawości.

Wedle tego, co mówił o tym lud, interwencja Karisa skłoniła Boga do okazania łaski i wygnania Bestii do czasu przełożonego na później Dnia Sądu. Tylko Kapłani Czerni wiedzieli, że Bestia wciąż tu jest, spętana przez samego Karisa, zamknięta w nosicielu, żeby już nigdy więcej się nie odrodziła na tym świecie. Kiedy umierał nosiciel Bestii, Kapłani Czerni wyszukiwali najsilniejszych w wierze i sprowadzali ich tutaj, żeby wypowiedzieli imię najpotężniejszego z demonów. Większość umierała, nie mogąc udźwignąć tego brzemienia. Pewnego razu poszukiwania trwały ponad trzy lata i kapłani zaczęli otwarcie pytać, czy łaska Pana się nie wyczerpała.

Ostatni nosiciel był po pięćdziesiątce i nieoczekiwanie umarł na złośliwą chorobę płuc. Tak jak poinformował pontifeksa skryba, pięćdziesięciu trzech potencjalnych nosicieli zaczęło wypowiadać imię Bestii, ale wszyscy umarli. Okryci całunami zostali stąd

wyniesieni i pochowani w bezkresnych katakumbach Elizjum. Pontifex Czerni pozwolił się dogonić strażnikom w obsydianowych maskach, po czym wraz z nimi wszedł do komnaty, w której pięćdziesiąta czwarta osoba próbowała uwięzić demona.

•...sa li nu pha vo ret kay...

Mówiła chrapliwym, rwącym się szeptem. Siedziała na drewnianym stołku pośrodku pustej komnaty, patrząc w dal. Kapłan w masce trzymał przed nią gruby zwój woskowanego papieru, powoli go rozwijając i ukazując równe rzędy dużych liter. Niekończący się szereg bezsensownych sylab. Pod nogami kapłana leżało siedem takich grubych zwojów. Wszystkie razem tworzyły straszliwe imię, które mogło uwięzić Bestię w śmiertelnym ciele. Wypowiedzenie tego imienia wymagało około dziesięciu godzin i po rozpoczęciu jakakolwiek przerwa mogła mieć fatalne skutki.

•...ga no ai ka ree cor...

Inny, starszy kapłan przybiegł na widok gościa. Pomimo obsydianowej maski pontifex rozpoznał w nim ojca Milovica, który kierował poszukiwaniami nowego naczynia.

– Wasza ekscelencjo, jesteśmy zaszczyceni – przywitał go Milovic.

– Słyszałem, że poczyniłeś jakieś postępy.

Milovic zatarł ręce, poruszając palcami.

– Oczywiście nie chcemy liczyć kurczaków, zanim się wylęgną. Jednak przyznam, że pokładam pewne nadzieje w tej osobie. Ma bardzo silną wolę i jeśli Bóg pozwoli jej znieść Bestię, jest dostatecznie zdrowa, by przetrwać wiele lat.

– Skąd pochodzi?

– Z Vordanu – odparł kapłan. – Zdaje się, że sprowadził ją Cień,

zanim wyruszył wykonać kolejne zadanie.

Ach, tak. Ionkovo chichotał, opowiadając, jak zdobył tę kandydatkę, chociaż pontifex, zirytowany niepowodzeniami w stolicy Vordanu, nie widział w tym nic śmiesznego. Jednak ona знаła Ihernglassa i Vhalnicha, została więc dokładnie przesłuchana, zanim umieszczono ją w wiecznie kurczącej się kolejce potencjalnych nosicieli. Teraz wyglądała tak jak oni wszyscy, z rudymi włosami ostrzyżonymi na jeża, odziana w workowaty szary strój. Jej zielone oczy błyszczały w blasku lamp, gdy wpatrywała się w rozwijany przed nią zwój, wypowiadając kolejne słowa.

- ...fa mo que bin xe za...

– Jeśli jej się powiedzie, natychmiast mnie zawiadom – rzekł pontifex. – Będę chciał z nią pomówić. Z tym.

– Oczywiście, wasza ekscelencjo.

Rozmowa z Bestią Sądnego Dnia była wyłącznym przywilejem pontifeksa Czerni. Bestia była pradawna i przebiegła i posiadała wiele bardzo użytecznych informacji. Uważano, że jedynie pontifex jest dostatecznie mądry, aby rozmawiać z nią, nie ryzykując utraty swojej nieśmiertelnej duszy. Ten pontifex Czerni tylko raz rozmawiał z tym stworem, w dniu objęcia stanowiska, i obiecał sobie nigdy więcej tego nie robić. Jednak to nie są normalne czasy, stwierdził w duchu.

Jane

- ...ha ren fo la wu bey...

Nacisnęła spust.

Nie, nie, nie, nie. Nie chciałam tego, nie Winter, nie Winter...

Jednak nacisnęła spust. Kurek opadł. A wtedy...

Wzbierający w niej śmiech. Ponieważ...

...tak jest, gdy popadasz w szaleństwo...

Wszystko, czego zawsze pragnęła, to Winter. Obejmować ją, całować. Patrząc, jak szeroko otwiera oczy, kiedy ją dotykam, słyszeć to ciche westchnienie...

Nacisnęła spust. Ponieważ była zła.

Na Vhalnicha! Dlaczego nikt nie pojmuje, kim on naprawdę jest?

- ...zur ket ub gin lo po...

Jane była sama we wszechświecie, unosząc się w ciemnościach. W oddali ktoś recytował jakieś bezsensowne słowa, ochrypłym, rwącym się głosem, który był niemal znajomy. Ktoś napierał na nią, ocierał się o jej ciało, delikatnie owijał wokół dłoni i stóp. Gładki jak jedwab, ale lodowaty jak strumień w zimie. Ciągnął ją przez mrok, coraz głębiej i głębiej.

Czy umarłam?

Jeszcze nie, odpowiedziało coś.

Czy to moje piekło? Płonące więzienie. Pani Wilmore, chwiejąca się jak pijana, z krwią tryskającą z ust. Krzyki z zabudowań. Nacisnęłam spust.

Być może, powiedziało coś, tak jest.

Czarny jedwab owijał jej kończyny. Poczowała, jak musnął jej kark. Dłonie i stopy mrowiły ją z zimna i słyszała przyspieszone bicie swego serca.

Czy śmierć jest tym, czego pragniesz? – spytało coś.

Pragnę... Winter, rozgarniająca palcami jej długie rude włosy. Wyraz jej oczu po tym, jak przepędzili poborców. Wyraz jej oczu, gdy nacisnęłam spust.

•...kei ni si get... hi... s-sen...

Czarny jedwab zacisnął się mocniej i chłód rozszedł się po całym jej ciele. Serce tłukło jej się pod żebrami, zamarło na moment, omijając jedno uderzenie, a potem znów przyspieszyło.

Jane Verity, powiedziało coś, czego chcesz?

Winter. Takiej jak przedtem. Takiej, jaka powinna być. Zanim Vhalnich ją zatruł. Chcę jej. Poczwała gniew, palący i dotkliwy, i jej serce znów zaczęło bić miarowo. I chcę jego.

Mogę ci dać to, czego chcesz, powiedziało coś.

•...f-fa...gil...t-t...

Cokolwiek zechcesz, powiedziało coś.

Za co? Za jaką cenę?

Wszystkiego, padła odpowiedź.

•...tif... n-n...

Zimno dotarło do samego rdzenia jej jaźni. Gdyby się zawahała, umarłaby, zmrożona i samotna, wciągnięta w bezkresny mrok.

Nacisnęłam spust...

Mogę to naprawić. Nadal mogę ją mieć. Nadal mogę mieć...

Wszystko, dopowiedziało to coś.

Zgadzam się.

•...ni ga vo tar!

Czarny jedwab spowił ją niczym całun.

Bestia otworzyła oczy.

Nie widziała nic. Coś było owinięte wokół jej głowy, jakaś gruba metalowa opaska. Czuła ciężar żelaza. Kajdany na rękach i nogach.

– Rozumiesz mnie? – spytał ochrypły głos.

Bestia przeciągnęła się, rozkoszując się obolałym nowym ciałem. Jane Verity. Teraz była jej częścią, tak jak polna mysz połknięta przez węża.

– Rozumiesz? – ponownie spytał głos. Znajomy głos.

– Rozumiem cię, Zacharze Vachavenie. – Bestia uśmiechnęła się, przesuwając szorstkim językiem po spierzchniętych wargach. – Pamiętam cię.

CZEŚĆ PIERWSZA

Alex

Alex spojrzała z rowu na drogę i oblizała wargi. Trzech jeźdźców. Cztery konie. Byli to ułani, lekka jazda regularnego wojska imperatora, w wysokich haftowanych czapkach i eleganckich mundurach. Mieli dobre konie, a juki wypchane zapasami i ekwipunkiem.

Pewnie mają wełniane skarpety, pomyślała. Przez trzy noce, od kiedy wyrzuciła szczątki swoich butów, zamiast naprawiać je setny raz, Alex marzyła o wełnianych skarpetach. Kiedyś wcale o nich nie myślała. Po prostu je miała, tak samo jak buty o miękkich podszwach do bezgłośnego skradania się po dachach lub przez ciemne korytarze. Teraz szła bosą, a kamienista ziemia Murnska pokaleczyła jej stopy i pokryła pęcherzami.

Skarpety, musiała przyznać, zapewne nie są najważniejszą rzeczą w tych jukach. Jeśli miała to zrobić, potrzebowała żywności, a przede wszystkim tych koni. Były do wzięcia, a na przeszkodzie stali tylko ci trzej młodzieńcy, którzy nie zrobili nic złego, jedynie zaciągnęli się, żeby nosić ładne mundury i brać udział w paradach.

Służą imperatorowi, co oznacza, że służą Elizjum, a zatem Kapłanom Czerni, czy o tym wiedzą, czy nie. Alex jednak wiedziała, że to kiepski argument. Ostatecznie cały Murnsk służy imperatorowi. Czy to oznacza, że wszyscy są jednakowo winni?

Ona była złodziejką – najlepszą złodziejką na świecie – ale nigdy nie uważała się za morderczynię. Niegdyś liczyła tych, których zabiła, kiedy absolutnie nie mogła tego uniknąć. Teraz straciła rachubę, być może rozmyślnie.

Ostatni raz jadła trzy dni temu, wiewiórkę, którą niezręcznie obdarła ze skóry – kilka kęsów żylastego mięsa i tłuszczu.

Nie czas na wahania. Opuściła Górę, ponieważ kochała Abrahama i była przekonana, że kocha Maxwella, a także ponieważ byli najbardziej świętoszkowatą i rozwścieczającą parą, jaką знаła. Zgadźli się, że trzeba coś zrobić, lecz gdy okazja sama wpadła im w ręce, nie chcieli z niej skorzystać. Tak więc Alex postanowiła ich wyręczyć.

Patrzyła na trzech jeźdźców. Abraham kazałby jej czekać, nie działać pochopnie, rozważyć inne sposoby zdobycia potrzebnego wyżywienia. Łatwo mu mówić. On nie jada wiewiórek.

Ostatecznie do działania skłoniła ją myśl o powrocie. Wydawał się jedyną alternatywą śmierci głodowej, a nie zniosłaby tego, co mieliby jej do powiedzenia. Szczególnie Maxwell, po tym wszystkim, co mu powiedziała przed odejściem. Zawzięty upór to zapewne kiepski powód, aby zabić trzech ludzi, pomyślała, ale szczerze mówiąc, czy powód jest naprawdę ważny? Maxwell i jego nauczyciel mogą to roztrząsać w swych niekończących się sesjach dzielenia włosa na czworo.

Podniosła się z wysokiej trawy i wygramoliła z rowu, niedaleko miejsca, gdzie trzech ułani stali razem, rozmawiając i paląc. Jeden z nich zauważył ją i zareagował z opóźnieniem, upuszczając fajkę i kładąc dłoń na rękojeści szabli.

– Hej, ty! – zawołał. – Stój!

Najstarszy z nich zmierzył ją wzrokiem i prychnął.

– Nie dostaniesz od nas jałmużny. Wynoś się.

– Sądzę, że to dziewczyna. – Trzeci ułan przyjrzał się jej uważnie. – Jesteś na sprzedaż, tak? Dam ci pudełko sucharów za szybki numerek.

– Nie wierzę, że to mówisz – rzekł pierwszy. – Ona jest brudna. Trzeci wzruszył ramionami.

– Cipka to cipka.

No cóż, pomyślała Alex, to ułatwia sprawę.

Uniosła ręce i zebrała siłę woli. Wokół jej palców utworzyły się dwie kule ciemności, gęstniejąc z popołudniowego cienia jak kałuże inkaustu. Gdy ułani rozdziawili usta, ciemność utworzyła trzy długie cienkie igły i wbiła je każdemu z nich tuż nad nasadą nosa. Z łatwością przebiły ciało i kość, po czym zwinęły się, a trzech ułani osunęli się na ziemię jak marionetki, którym ktoś poprzecinał sznurki. Krew sączyła się z niewielkich równych otworów na ich czołach.

Alex odetchnęła z ulgą. Zrobione. Nie było odwrotu. Teraz prowiant, skarpety i...

Usłyszała suchy trzask wystrzału z pistoletu i zatoczyła się, jakby ktoś uderzył ją pięścią w bok. Zdołała utrzymać się na nogach i obróciwszy się, ujrzała czwartego ułana gramolącego się z rowu po drugiej stronie drogi, z rozpiętymi spodniami. Gmerał przy swoim pistolecie, usiłując wyjąć z ładownicy drugi nabój.

– Demon! – wrzasnął. – P-p-potwór...

Dźgnęła go następną linią ciemności, przebijając szyję jak włócznią. Gdy ją zwinęła, trysnęła krew, tłumiąc jego krzyki.

Cztery konie, ospale pomyślała Alex, i czterech jeźdźcy.

Odkryła, że leży na ziemi i nie pamięta, jak się na niej znalazła. Jeden z koni podszedł ją obwąchać i jego gorący oddech owiał jej twarz. Kłuło ją w boku i pierwsze włókna bólu zwiastowały, że będzie znacznie gorzej.

Wstań. Sprawdź, jak jest źle. Alex zamknęła oczy, po czym z trudem znów je otworzyła. Nie poddałam się, kiedy przykuli mnie do wozu. Nie poddam się i teraz, postanowiła.

Podniosła głowę i dotknęła koszuli. Była śliska od krwi, która zdawała się raczej sączyć, niż tryskać, co zapewne było dobrą oznaką. Jej palce znalazły ranę w boku, pod pachą. Próbowwała przypomnieć sobie dawne nauki. Jeśli kula uszkodziła wnętrzności, rana zacznie się jątrzyć i zabije ją, to pewne jak wschód słońca, ale nie sądziła, żeby tak było.

Mogłabym wrócić na Górę.

Gdyby dotarła tak daleko, Abraham pomógłby jej, nawet gdyby był na nią zły.

Mogłabym...

Nie.

Powoli, z ręką przyciśniętą do boku, Alex usiadła, a potem wstała. Zgrzytając zębami z bólu, powlokła się do najbliższego konia i otworzyła juki, szukając bandażu.

Konie zanoszą ją na południe. A gdzieś na południu był Janus bet Vhalnich i armia Vordanu oraz najlepsza okazja, jaka kiedykolwiek się jej nadarzy, żeby zemścić się na Kapłanach Czerni.

Jeden Raesinia

Zdaniem Raesinii Talbonn nie było miastem godnym polecenia. Znajdowało się na północnym krańcu Vordanu i było największą miejscowością przy granicy z Murnskiem. Przecinająca je droga była ważnym traktem handlowym, lecz wcale na taki nie wyglądała. W ogóle ledwie przypominała trakt, bardziej ślad pozostawiony w błocie przez stado podążających w tym samym kierunku zwierząt. I mniej więcej tak było, gdyż najczęściej sprowadzano tu bydła z Transpalu, które pędzono tą drogą i wymieniano na wielkie ładunki drewna i żelaza z mroźnych lasów rozległego, słabo zaludnionego Murnska. Talbonn było jednym z tych miast, które powstają, aby zaspokajać potrzeby woźniców i poganiaczy: brudne i cuchnące uliczki, niskie, nędzne zabudowania oraz nadmiar spelunek i burdeli.

Pomimo to usiłowało sprostać wyzwaniu. Umundurowani strażnicy stali w równych odstępach wzdłuż głównej ulicy, z której na cześć szacownych gości zamieciono łajno i kawałki szkła. Największy hotel w mieście, noszący nazwę „Grand”, kiepska namiastka hotelu w Vordanie, był trzypiętrową maskarą oblepioną tynkiem, z mnóstwem pretensjonalnych złocień, niepotrzebnych wieżyczek i ozdobnych balkonów. Raesinia przewróciła oczami, mijając lokajów w liberii ciężkiej od

błyszczących guzików, gdy jej powóz znalazł się na owalnym podjeździe.

– Kiedy się zatrzymamy, pamiętaj, żeby nie otwierać drzwi, dopóki nie zatrzyma się drugi powóz – powiedziała Sothe.

– Już to omawialiśmy – odparła Raesinia. – Niejeden raz.

– Wybacz – rzekła Sothe. – Masz zwyczaj ignorować moje instrukcje.

To wywołało słaby uśmiech na wargach królowej. Jej ochmistrzyni była nerwowa jak zbudzony kot, niezadowolona, że z takim pośpiechem zwołano tę konferencję i ma za mało czasu na zabezpieczenie terenu. Chociaż, prawdę mówiąc, Raesinia nie była pewna, czy nawet znacznie dłuższe przygotowania uspokoiłyby Sothe. Minęło prawie sześć miesięcy od ich starcia z Przeklętym Penitentem, ale atak obdarzonych nadludzkimi zdolnościami zabójców wyraźnie wywarł na niej głębokie wrażenie. Sothe otwierała każde drzwi, jakby spodziewała się znaleźć za nimi mordercę z zakonu Kapłanów Czerni.

Powóz stanął i po chwili Raesinia usłyszała zatrzymujący się za nim drugi pojazd, chrzęst kroków na żwirze i stukanie do drzwi.

– Wasza Królewska Mość? Jesteśmy gotowi – zameldowała Barely.

Raesinia zerknęła na Sothe, która nieznacznie skinęła głową. Królowa wstała i wysiadła, niemal nie musząc się schylać przy przechodzeniu przez drzwiczki.

Przynajmniej wojna pozwoliła zapomnieć o niektórych wręcz śmiesznych zwyczajach przyjętych na królewskim dworze. Raesinia miała na sobie prostą czarno-szarą suknię, a do niej szarfę w kolorze vordanajskiego błękitu, będącą jedynym barwnym

akcentem. Oznajmiła swoim krawcowym, że nie wypada królowej paradować w wymyślnych strojach, kiedy vordanajscy żołnierze ryzykują życie na froncie. Podążająca za nią Sothe była odziana jeszcze skromniej, w długą czarną suknię, zapewne pozostawiającą mnóstwo miejsca na ukrycie broni. Dawna zabójczyni Konkordatu nigdzie się bez niej nie ruszała.

Eskorta utworzyła luźny krąg wokół powozu. Raesinia przywróciła grenadierom ich tradycyjną rolę gwardii przybocznej monarchy, ale dopilnowała, żeby w jej świcie znalazło się również kilka kobiet z Pierwszego Dziewczęcego pułkownik Ihernglass. Królewscy grenadierzy ładnie wyglądali w szytych na miarę mundurach, błyszczących hełmach i kolorowych szarfach, ale ostatnio okazali się niezbyt skuteczni, gdy trzeba było walczyć.

Natomiast te dwie kobiety, zostawione jej przez Ihernglass, należały do grupy, która uratowała ją z rąk Mauriska i Ionkova w ostatnich chwilach zacieklej walk poprzedniego roku. Kapral Barley powszechnie nazywano „Barely”, żartując z jej mizernej postury. Była jednak doskonałym żołnierzem i umiała walczyć. Jej towarzyszką, niema Joanna, była o głowę wyższa i zbudowana jak kowal. Raesinia miała o wiele większe zaufanie do tych weteranek – i zręczności Sothe – niż do wymuskanych członków gwardii.

Przy wejściu do hotelu stali kolejni miejscowi strażnicy. Gnący się w ukłonach lokaj wprowadził przybyłych do środka. Raesinia i Sothe szły w środku kolumny żołnierzy w eleganckich błękitnych mundurach. Przeszli przez hol, witani ukłonami i zaciekawionymi spojrzeniami personelu, zmierzając do sali balowej. Sothe wzięła karteczkę od zasapanego posłańca, rzuciła na nią okiem i nachyliła się do ucha Raesinii.

– Są tu wszyscy oprócz Janusa. Najwyraźniej coś go zatrzymało.

Raesinia zmarszczyła brwi. Z rozmysłem starały się przybyć tu po pierwszym konsulu, żeby wyraźnie dać do zrozumienia zagranicznym gościom, jakie zajmuje miejsce w hierarchii. Czy on to przewidział? Czy w ten sposób daje mi coś do zrozumienia? Oczywiście jakiś koń zaprzęgowy mógł zgubić podkowę.

– To nie wszystko. – Sothe się skrzywiła. – Jest tu Orlanko.

– Co? – syknęła Raesinia.

Orlanko, osławiony Ostatni Diuk, kierował tajną policją, czyli Konkordatem, i usiłował przejąć władzę po śmierci jej ojca. Z pomocą Janusa pokrzyżowała mu plany, ale zdołał uciec z kraju, gdy nie powiodła mu się ostatnia rozpaczliwa próba zbuntowania wojska przeciwko Raesinii.

– Jako gość Borelgajów. Ich król udzielił mu schronienia. – Sothe dodała jeszcze ciszej: – Chcesz, żebym zebrała ludzi i kazała go aresztować?

Niech to szlag. Chociaż byłoby to bardzo satysfakcjonujące, nie mogła tego zrobić, nie zerwawszy rokowań z Borelgajami. Jakikolwiek były ich prawdziwe zamiary, nie mogli pozwolić na pojmanie gościa będącego pod ich ochroną.

– Nie – powiedziała. – Lepiej jednak go unikaj. – Sothe niegdyś była jedną z najlepszych zabójczyń Orlanka i Raesinia nie miała pojęcia, czy diuk jest świadomy jej obecnej roli. Lepiej zachować ostrożność. – Będą przy mnie Barley i Jo. Każ gwardzistom mieć na oku tamtych.

Sothe skinęła głową. Razem z gwardzistami została przy wejściu do sali balowej, a Raesinia podeszła do podwójnych drzwi

eskortowana tylko przez dwie kobiety z Pierwszego Dziewczęcego. Lokaje otworzyli je, a kamerdyner donośnym głosem zapowiedział „Jej Królewską Mość Raesinię Orboan z Vordanu!”.

Muszę się do tego przyzwyczaić. Jednak nawet nie mrugnęła okiem na tę zapowiedź i nagle zwrócone na nią spojrzenia wszystkich obecnych na sali. Dawniej duszna atmosfera takiego oficjalnego spotkania mogłaby ją skłonić do ucieczki; teraz Raesinia tylko nabrała tchu i pomaszerowała dalej, a dzięki dworskim manierom stąpała pewnie i zwinnie.

Salę balową, tak jak hotel, udekorowano, by udawała coś, czym nie była. Kolorowe girlandy zwisały ze ścian, a z sufitu sto lamp. Nic jednak nie zdołało ukryć nieładnego, topornego wyglądu tego pomieszczenia. Raesinia domyśliła się, że kiedy dygnitarze wyjadą, znów będą się tu odbywały wiejskie potańcówki hodowców bydła.

Dziś nikt nie zamierzał tańczyć. Stoliki zastawiono jadłem i pucharami wina, a służba hotelowa krążyła między gośćmi, roznosząc przekąski. Na sali byli żołnierze w mundurach wszystkich czterech krajów – Vordanajowie w niebieskich, Hamveltajczycy w żółto-czarnych, Borelgajowie w ceglastoczerwonych, a Murnskajowie w białych. Mężczyźni w tanich garniturach zapewne byli urzędnikami, natomiast lepiej ubrani – cywilnymi przedstawicielami swoich rządów. Raesinia miała wrażenie, że ona, Barely i Joanna są jedynymi kobietami na tej sali.

Łatwo było odgadnąć, gdzie znajdują się ośrodki władzy; wystarczyło obserwować tłum. Niżsi rangą krążyli wokół tych grup tak, jak według filozofów Ziemia orbituje wokół Słońca, przyciągani siłą grawitacji, ale nie mogąc przeniknąć do

wewnętrznego kręgu. Największa grupka była także najgłośniejsza: gromada mężczyzn we frakach i żołnierzy przypominających osy, toczących tak ożywiony spór, że wydawało się, iż wkrótce może dojść do rękoczynów. Hamveltajczycy znajdowali się w najgorszej sytuacji ze wszystkich uczestników konferencji, poniosłszy ciężkie straty poprzedniego roku, gdy odwróciły się koleje wojny i ich armia została rozbita, a największe twierdze zmuszono do kapitulacji, sprzymierzony zaś z nimi Desland zajęły vordanajskie wojska.

Najwyraźniej nie mają pojęcia, co z tym zrobić. Na razie Raesinia pozwoliła im dojrzewać. Podeszła do delegacji Murnska, która składała się głównie z żołnierzy w nieskazitelnych mundurach ociekających złotem szamerunków, z kołnierzami obszytymi futrem. Ich zwarty krąg otworzył się, gdy podchodziła, i ukazał wysokiego i barczystego mężczyznę stojącego w środku. Jego mundur był najbardziej imponujący, z rzędami medali na całej szerokości piersi i szarfą ze złotogłowiu; na ramiona narzucił długi futrzany płaszcz.

Księżę Cesza Dzurk, poinformowała ją Sothe. Drugi syn imperatora Świętego Murnska i – jak często zauważano – bardziej ceniony przez ojca niż pracowity, lecz nijaki następca tronu. Dzurk był człowiekiem o legendarnych apetytach, pozbawionym taktu, lecz podobno imperator liczył się z jego zdaniem. Przynajmniej nie jest fanatykiem religijnym, jak jego brat, przeszło Raesinii przez myśl.

– Wasza Królewska Mość – przywitał ją księżę, składając jej uprzejmy ukłon. – To prawdziwa przyjemność.

Jego vordanajski był znośny, ale akcent okropny, tak rażący, że

Raesinia zastanawiała się, czy specjalnie go podkreśla.

– Książę – powiedziała. – Witamy w Vordanie.

– Po raz pierwszy jestem na południu – rzekł książę, a ton jego głosu wyraźnie świadczył, że nie jest zachwycony. – Mam nadzieję, że nie na darmo, he? Gdzie ten słynny Vhalnich?

– Powiedziano mi, że w drodze. Jestem pewna, że wkrótce tu przybędzie.

– Powiedz mu, pani, że nie przywykłem czekać.

Raesinia zjeżyła się.

– Przypominam panu, że Vhalnich wykonuje moje polecenia. To ja będę reprezentowała Vordan podczas negocjacji.

Książę prychnął.

– Nie przywykłem również kłócić się z dziewczynkami, chyba że... w pewnych sprawach. – Uniósł krzaczastą brew i zmierzył królową wzrokiem. – A może zechciałabyś pójść na górę i podjąć prywatne negocjacje? Powiedziano mi, że jesteś już dorosła, chociaż nie wiem, czy mogę w to uwierzyć.

Raesinia opanowała wzbierający gniew. On mnie prowokuje. Gburowaty czy nie, żaden dworzanin nie był tak niegrzeczny bez powodu. Zaczerpnęła tchu, nie odrywając oczu od drwiąco uśmiechniętego księcia, i położyła dłoń na ramieniu Barley, gdy rozgniewana zniewagą jej pani zrobiła krok naprzód. Murnskajczyk spojrział na Barley, a potem na Joannę i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Och! I zabrałaś ze sobą kilka swoich osławionych żołnierek – ciągnął. – Chociaż śmiem twierdzić, że mogłaś znaleźć jakieś atrakcyjniejsze okazy. Zapewne są tu po to, żebyś przy nich dobrze wyglądała?

Wśród zgromadzonych wokół murnskajskich dworaków rozległy się ciche śmiechy i szepty.

– Kaprale są doświadczonymi żołnierzami – powiedziała Raesinia. – Obie uczestniczyły w zdobyciu Antovy oraz wielu innych bitwach.

– Nie wątpię. – Uniósł brwi, patrząc na Joannę. – Ta wygląda, jakby mogła roznieść fortecę gołymi rękami, a udami złamać mężczyznę na pół. Pozwól, że zadami ci pytanie, kapralu, którego jeszcze nigdy nie miałem okazji zadać kobiecie. – Nachylił się do niej i z lubieżną nutą w głosie zapytał: – Czy udział w bitwie cię... hmm... ekscytuje? Kiedy zabijam człowieka, ledwie mogę to znieść. Zaraz po tym muszę znaleźć jakąś dziwkę i zerznąć ją do nieprzytomności.

Joanna, nie odrywając oczu od księcia, skinęła na Barley. Ta odkaszlnęła i odpowiedziała za nią.

– Ona mówi, że dotychczas tego nie robiła, ale chętnie przeprowadzi taki eksperyment, jeśli zgłosisz się na ochotnika, panie.

Joanna znacząco poklepała wiszący u pasa miecz.

Raesinia skrzywiła się w duchu, ale księżę tylko parsknął śmiechem, któremu zawtórował chór jego adoratorów.

– Niecierpliwie czekam na szczegółowe omówienie tej kwestii – powiedział – szczególnie jeśli konsul nadal będzie się spóźniał. Wasza Królewska Mość... – Ktoś pociągnął go za rękaw i księżę wzruszył ramionami. – Jednak wzywają mnie obowiązki. Innym razem.

Raesinia powstrzymała ciętą replikę, odwróciła się i odeszła. Jej eskorta podążała tuż za nią. Barley nachyliła się, żeby szepnąć:

– Przepraszam, Wasza Królewska Mość. Może powinnam była zachować to dla siebie.

– Nie – mruknęła Raesinia, oglądając się przez ramię na roześmianego księcia. – Atakowałby dalej, gdyby nie napotkał oporu.

Tylko dlaczego? Zaskoczyło ją to; spodziewała się jeśli nie podziwu, to przynajmniej odrobiny respektu. W końcu są tutaj tylko dlatego, że to my wygrywamy wojnę?

– Jeśli chcesz, pani, żeby Jo mu przyłożyła, tylko powiedz.

– Kuszące, ale jeszcze nie. Ja...

– Wasza Królewska Mość. – Szła przed siebie, byle dalej od murnskajskiej delegacji, a teraz jakiś żołnierz w czerwonym mundurze zastąpił jej drogę, kłaniając się nisko. – To dla mnie zaszczyt.

– I dla mnie – odparła Raesinia, przez moment nie wiedząc, z kim ma do czynienia.

Kiedy się wyprostował, natychmiast go rozpoznała. Tej twarzy o orlim nosie nie można było pomylić z żadną inną. Attua Dorsay, diuk Brookspring.

Każde dziecko w Vordanie znało Dorsaya, przynajmniej ze słyszenia. Od ponad czterdziestu lat był pierwszym żołnierzem Borelu, prowadzącym wojska na Stare Wybrzeże, z pomocą borelgajskim sprzymierzeńcom spośród tamtejszych miast-państw. Niedawno był sprawcą vordanajskiej klęski podczas Wojny Książąt i dowodził pod Vansfeldt, w bitwie, w której zginął starszy brat Raesinii, książę Dominic. Jej ojciec nigdy w pełni nie doszedł do siebie po tej katastrofie, która w jedno popołudnie kosztowała go ukochanego dziedzica i zmusiła do wyrzeczenia się terytorialnych

ambicji.

W vordanajskiej prasie często zamieszczano karykatury Dorsaya jako rozczochranego furiata z wielkimi uszami, haczykowanym nosem i złowrogim uśmiechem. Raesinia nie spodziewała się ujrzeć chichoczącego goblina, ale mimo to dziwnie było zobaczyć, że wygląda zupełnie normalnie. Istotnie, miał wydatny nos i krzaczaste kępy włosów po bokach łysej głowy, ale jego twarz miała przyjazny wyraz, chociaż była pobrużdżona wiekiem i troskami. Z pewnością był po sześćdziesiątce, lecz jego oczy wciąż skrzyły się inteligencją i humorem.

Był również zaskakująco niski, zaledwie o paręnaście centymetrów wyższy od Raesinii, o pół głowy zaś niższy od Jo. Przeniósł wzrok z Raesinii na jej ochronę i z powrotem, po czym kącik jego ust uniósł się w lekkim uśmiechu.

– Wasza miłość – odezwała się królowa – żałuję, że nie mieliśmy okazji spotkać się wcześniej.

– Właściwie mieliśmy – odparł Dorsay. Mówił dobrym vordanajskim, choć arystokratyczny borelgajski akcent sprawiał, że brzmiał on trochę nosowo. – Odwiedziłem dwór pani ojca z delegacją wojskową i przedstawiono nas królewskim dzieciom. Miałaś wtedy chyba dwa latka, ale uważałem, że nosisz się godnie. Chociaż nie mam ci za złe, jeśli tego nie pamiętasz.

– Zatem to mój błąd. – Raesinia odkryła, że mimowolnie uśmiecha się w odpowiedzi. – Pańska podróż przebiegła gładko?

Wzruszył ramionami.

– Tak jak można oczekiwać w moim wieku. Ilekroć pomyślę, że Georg w końcu pozwoli mi się zająć moimi psami i hodowlą, przybywa posłaniec z wieścią, że muszę natychmiast przyjechać

z powodu jakiegoś kryzysu.

Dopiero po chwili Raesinia uświadomiła sobie, że „Georg” to Georg Pulwer, król Borelu. Uniosła brew.

– Mam szczerą nadzieję, że zakończymy ten kryzys tu i teraz.

– Moje plecy z pewnością byłyby wdzięczne. Zbieram żniwo zbyt wielu nocy w siodle. A teraz, kiedy twój Vhalnich porządnie przestraszył Hamvelt, może wszyscy są gotowi do rozmów. – Popatrzył na Jo. – Jesteście z jego kobiecego pułku? Czy to tylko plotka?

– Z Pierwszego Dziewczęcego – oznajmiła z dumą Barely. – Jesteśmy w nim od zdobycia Deslandu.

Dorsay zwrócił się teraz do niej.

– A więc byliście pod Jirdos? Kiedy Vhalnich ostatecznie ugotował Pfalena?

– Ja... – Barely była zmieszana, spodziewając się raczej jakiejś zniewagi.

Jo energicznie skinęła głową.

– Zatem bardzo chciałbym kiedyś z wami porozmawiać. Poprosić o nakreślenie kilku mapek. Niektórzy Hamveltajczycy wygadują straszne bzdury o tym, co się tam stało, i chciałbym to wyjaśnić. – Zerknął na Raesinię. – Jeśli Jej Królewska Mość nie ma nic przeciwko temu.

– Oczywiście – odparła Raesinia. – Zapraszam do...

Zamarła. Zobaczyła zbliżającego się mężczyznę, niskiego i otyłego, o twarzy niemal zupełnie zasłoniętej przez duże okulary, których szkła zmieniały jego oczy w rozmazane plamy. Bezwiednie zacisnęła pięści, a jej serce zaczęło bić szybciej.

Orlanko. Ostatni Diuk, kierujący Konkordatem, dawną tajną

policją Vordanu. To on stał za spiskiem mającym pozbawić ją tronu, spiskiem, który powiodłby się, gdyby nie interwencja Janusa. Człowiek mający na sumieniu tyle przelanej krwi. Bena, Faro i kto wie ilu innych. Jego sojusznicy z zakonu Kapłanów Czerni uratowali życie umierającej Raesinii, ale rzucili na nią przekleństwo demona, odbierając wszelką nadzieję na normalną egzystencję.

– Wasza Królewska Mość – rzekł z nieznacznym ukłonem.

Za tymi wielkimi szklami z jego twarzy nic nie dało się wyczytać.

Raesinia spojrzała na Dorsaya z nieprzeniknioną miną, nie okazując szalejących w niej uczuć.

– Co on tu robi? – zapytała.

Dorsay wyglądał na zmieszanego.

– Jest gościem Georga na dworze w Viadre. Ponieważ doradzał mu w sprawach Vordanu, wydawało się najzupełniej naturalne zaproszenie go tu jako uczestnika naszej delegacji.

– Ten człowiek, Mallus Kengire – Raesinia rozmyślnie pominęła odebrany mu tytuł, chociaż w myślach wciąż nazywała go „Orlanko” – został pozbawiony swoich włości i tytułu za zdradę. W oczach vordanajskiego rządu jest poszukiwanym przestępcą. Nie ma prawa brać udziału w żadnych istotnych negocjacjach.

– Uważam, że jak najbardziej mam prawo – powiedział Orlanko. – Mamy tu wypracować kompromis, czyż nie?

– W tej kwestii nie będzie żadnego kompromisu, dopóki zasiadam na tronie. – Raesinia spojrzała mu w oczy. – Możesz uciec do swoich przyjaciół w Viadre, jeśli chcesz, ale nigdy nie wrócisz do Vordanu. – Znow zwróciła się do Dorsaya. – I jeśli znow

go tu zobaczę, moje uczestnictwo w tej konferencji się zakończy.

– Wasza Królewska Mość! – powiedział Orlanko spokojnym głosem, w którym pobrzmiwała drwiąca nuta. – Zostałem tu zaproszony, a to są pokojowe rokowania. Zdaję sobie sprawę z dzielących nas różnic zdań, ale z pewnością...

Dorsay zmarszczył brwi i Raesinia myślała, że przejrzał jej bluff. A więc nie pozostało mi nic innego, jak opuścić tę salę, pomyślała. Przemówiła pochopnie i w gniewie, wciąż wytrącona z równowagi niebywałą bezczelnością księcia Dzurka, ale powiedziała to, co myśli. Każdy pokój wynegocjowany z Orlanką byłby gorszy niż wojna.

– Mallusie – powiedział Dorsay. Raesinia nie była pewna, czy kiedykolwiek słyszała, by ktoś zwracał się do byłego diuka po imieniu, nawet jej ojciec. – Może powinieneś wrócić do obozu.

– Co? – Głos Orlanki zmienił się w syk. – Mam mandat Jego Królewskiej Mości. Nie możesz...

– Ja również mam rozkazy Jego Królewskiej Mości – odparł nieporuszony tym Dorsay. – Włącznie z uwagami, jakich rezultatów oczekuje po tej konferencji, i nie ma w nich nic o zrywaniu jej, nim się zaczęła. A teraz wyjdiesz stąd dobrowolnie czy mam kazać mojej eskorcie, żeby cię wyprowadziła?

– Nie odważyłbyś się – wycedził Orlanko. – Ty parweniuszu. Tylko mnie tknij, a Jego Królewska Mość pošle cię do przekopywania błota w Vinbrii.

– Już od dwudziestu lat moim najszczerzym pragnieniem jest uwolnić się od spraw wagi państwowej, ale Jego Królewska Mość wciąż domaga się moich usług. – Dorsay wzruszył ramionami. – Ponadto jestem skłonny się założyć, że znam Georga znacznie

lepiej niż ty.

Skinął ręką i jeden z borelgajskich oficerów pospiesznie ruszył ku niemu.

Orlanko odwrócił się na pięcie i odszedł, zanim żołnierz zdążył do niego podejść. Na odchodne posłał Raesinii spojrzenie, które odwzajemniła najobojętniejszym, na jakie zdołała się zdobyć. Dopiero gdy opuścił salę, znów spojrzała na Dorsaya.

– Dziękuję – powiedziała.

– Przyjmij moje przeprosiny – rzekł diuk. – Nie chciałem stawiać cię w niezręcznej sytuacji.

– Czy wasz król naprawdę słucha jego rad?

Dorsay rozejrzał się. Co najmniej tuzin członków jego delegacji znajdowało się w zasięgu głosu. Znów wzruszył ramionami.

– Georg słucha każdego – odparł po chwili. – Ma bardzo otwarty umysł.

Borelgajowie nie są jednomyślni, wywnioskowała. A Dorsay i Orlanko stoją po przeciwnych stronach. Interesujące. Pytanie tylko, kto jeszcze należy do frakcji Orlanki? Gdybyśmy zdołali wykorzystać dzielące ich różnice przy konferencyjnym stole...

– Jego lordowska mość – huknął kamerdyner – księżę Janus bet Vhalnich Mieran, pierwszy konsul Republiki Vordanu!

W sali zapadła cisza, gdy otworzyły się główne drzwi. Powoli, nie chcąc zdradzać swojego zaciekawienia, wszyscy zgromadzeni w niej dygnitarze odwrócili się do nich.

Janus miał na sobie nowy galowy mundur, mniej okazały niż ten, który nosił jako minister sprawiedliwości, choć na ramionach

miał wyszyte złote liście wawrzynu, odpowiednik zwieńczonej liśćmi korony dawnych pierwszych konsulów. Towarzyszyło mu sześciu żołnierzy, noszących srebrne odznaki w kształcie atakującego skorpiona. Przez zimę Janus zreorganizował armię i wprowadził nowe godła i insygnia; odznakę ze skorpionem nosili weterani kampanii w Khandarze. Zapewne najbardziej mu oddani. Raesinię przeszedł zimny dreszcz.

Pierwszy konsul podniósł rękę, pozdrawiając wszystkie trzy delegacje. Książę Dzurk przecisnął się przez Murnskajczyków i stanął na przedzie, z nieskrywaną fascynacją gapiąc się na Janusa. Hamveltajska delegacja rozpychała się i szturchała łokciami. Dorsay pozostał przy Raesinii, bardziej dystyngowanie przeciskając się przez tłum.

Raesinia spróbowała spojrzeć na Janusa oczami innych, cudzoziemców znających go tylko ze słyszenia. Wysoki i dość przystojny, emanował chłodnym spokojem, lecz jego wielkie szare oczy zdawał się rozświećlać jakiś wewnętrzny blask. A kiedy stało się z nim twarzą w twarz, jego inteligencja była jak buchający z pieca żar, grożący spaleniem wszystkiego, co zanadto się zbliży.

Wygląda jak król.

– Panowie – przemówił Janus donośnym, dźwięcznym głosem. – Najmocniej przepraszam za spóźnienie. Obawiam się, że armie to wymagające bestie.

Rozległy się niepewne śmiechy. Książę uśmiechnął się przelotnie.

– Kazałem wam czekać, tak więc od razu przejdę do rzeczy – ciągnął. – Jutro rano rozpoczniemy coś, co zapowiada się na męczące roztrząsanie kwestii, w jaki sposób możemy zawrzeć

pokój. Uznałem, że mogę przyspieszyć ten proces, wykładając nasze karty na stół. Oto vordanajskie warunki.

Co on robi? Negocjatorzy z Ministerstwa Stanu tygodniami przygotowywali strategię, która nie obejmowała niczego takiego. Czy powinnam go powstrzymać? Jednak w ten sposób zdradzilibyśmy członkom innych delegacji, że nie jesteśmy jednomyślni, a gdyby Janus postanowił w tym momencie doprowadzić do konfrontacji...

On wie, że tego nie zrobię.

Spojrzał na nią tymi roziskrzonymi oczami.

Oczywiście, że wie. Nie odważę się wtrącić, ponieważ nie śmiem wywołać sprzeczki publicznie. Tylko dlaczego to robi?

– Na tej sali nie ma przedstawicieli jednej potęgi – kontynuował Janus – która pomimo to odgrywa ogromną rolę w tej wojnie. To ona ją wywołała, umieszczając swoich agentów na vordanajskim dworze, żeby wykorzystać stan zdrowia umierającego króla. Kiedy to się nie powiodło, to ona popchnęła mocarstwa do wojny z Vordanem, wtrącając się w wewnętrzne sprawy naszego kraju. Mówię oczywiście o elizejskim Kościele Zaprzysiężenia. To on jest prawdziwym wrogiem Vordanu w tych zmaganiach. I dopóki Vordan nie przekona się, że ten wróg chce zawrzeć pokój, nie odważymy się odłożyć mieczy. Oto nasze warunki. Przywódcy Kościoła Zaprzysiężenia muszą przysiąc, że nigdy więcej nie będą się wtrącać w wewnętrzne sprawy Vordanu ani jakiegokolwiek innego kraju, w którym nie są mile widziani. Gwarancją dotrzymania tego warunku będzie zgoda na okupowanie przez vordanajskie wojska fortecy Elizjum na koszt Kościoła. W zamian za to Vordan zgodzi się zaprzestać wrogich działań i przywrócić na

wszystkich zajętych terenach wcześniejsze status quo.

Raesinia sądziła, że na sali zrobiło się cicho, kiedy Janus wchodził. Teraz zapadła głucha cisza, jakby wszyscy obecni wstrzymywali oddech. Ona sama była zbyt zaskoczona, żeby coś powiedzieć. Co on, do diabła, wyprawia?

– Nie zaakceptujemy innych propozycji – mówił dalej pierwszy konsul. – W istocie nie możemy. Kościół znajdzie sobie nowe marionetki, obojętnie ilu z nich poprzecinamy sznurki. Jeśli ma zapanować pokój, jest to jedyny sposób. Nalegam, abyście...

Wśród murnskajskich delegatów wybuchło zamieszanie. Książę Dzurk, pobrząkując medalami, zostawił swoich towarzyszy i szybkim krokiem pokonał odległość dzielącą go od Janusa. Weterani grzecznie, lecz stanowczo zwarli szereg przed swoim dowódcą, tak że książę mógł tylko patrzeć na Janusa przez kordon błękitnych mundurów.

– Ty arogancki blykaak – powiedział Dzurk z murnskajskim akcentem, jeszcze wzmocnionym wściekłością. – Śmiesz znieważać Święty Kościół w taki sposób? Żadna armia z południa nigdy nawet nie zobaczy murów Elizjum. Możecie spróbować, zapraszam. Wszyscy spoczniecie w ziemi imperium, a ja naszczam na wasze groby!

– Jeśli to będzie konieczne, skorzystam z zaproszenia – spokojnie odparł Janus. – Jednak wolałbym nie być do tego zmuszony.

– Tylko dlatego że pokonałeś bandę grubych starych bankierów, uważasz się za niezwycięzonego. – Dzurk sięgnął do pasa, szukając rękojeści miecza, którego tam nie było. – Wojownicy Świętego Murnska z przyjemnością dowiodą ci, że się mylisz.

Janus odpowiedział na to lekkim wzruszeniem ramion i jednym ze swych przelotnych uśmiechów. Dzurk prychnął i splunął pod nogi najbliższego żołnierza, po czym odwrócił się i odszedł.

Nagle wszyscy zaczęli krzyczeć. Raesinia wzięła pod rękę diuka Dorsaya. Gdy obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć i unieść brew, powiedziała bezgłośnie: Później. Skinął głową.

– Czy ten człowiek oszalał? – zapytał Dorsay.

Dla Raesinii zarezerwowano najlepszy apartament w hotelu, co w Talbonn niewiele oznaczało. Wszystko tu było ozdobne, przesadnie duże i złocone – zgodne z wyobrazeniami pospólstwa o luksusie. Nieliczne ślady napraw nie zdołały ukryć ogólnie kiepskiego stanu hotelu, z łuszczącą się farbą i wytartymi dywanami. Raesinia siedziała przy kutym żelaznym stole ze złotym składanym blatem w formie rozkwitającego kwiatu. Spuściła oczy, unikając spojrzenia jej gościa, i machinalnie skubnęła odłazący kawałek zdobienia.

Sothe stała przy drzwiach. Wszyscy inni służby dostali wolne na resztę wieczoru, a ku zdziwieniu Raesinii diuk przyszedł sam.

– Nie sądzę, by pierwszy konsul był szalony – powiedziała ostrożnie.

– Czy więc to, co powiedział, to oficjalne stanowisko vordanajskiego rządu? Czy przemawiał w imieniu Vordanu?

Zapadła długa cisza. Kawałek złotego liścia odłamał się.

– Pierwszy konsul jest największym autorytetem... w sprawach wojskowych – odpowiedziała wymijająco. – W tej dziedzinie mam do niego całkowite zaufanie.

Dorsay wygodniej rozsiadł się w fotelu, przymykając oczy.

– Uważam, że zachowanie księcia było nieco teatralne – zauważyła Raesinia.

Diuk wzruszył ramionami.

– Księżę Dzurk może jest gburem, ale być może nie aż takim głupcem, na jakiego wygląda. Myślę, że jego gburowatość jest wygodną maską.

– Nie sądziłam, że jest taki religijny.

– Podejrzewam, że bardziej chodzi o dumę. Z Murnskajczykami zawsze chodzi o zranioną dumę. Uważają, że południe patrzy na nich z góry od czasów Tyranów. – Dorsay pokręcił głową. – Nigdy się nie zgodzą na takie warunki. Nawet gdyby imperator tego chciał, jego lud powstałby przeciwko niemu, gdyby się o tym dowiedział. Dzurk może nie jest wierzący, ale zwykli mieszkańcy Murnska są religijni w sposób, który trudno zrozumieć południowcom.

– A Borelgajowie? – zapytała Raesinia.

– Z Borelem sprawa jest... bardziej skomplikowana. Zawsze byliśmy podzieleni na północ i południe. Stare i nowe, Mithradajowie i Vanadiowie. Wiara i interesy. – Dorsay westchnął i pogładził łysinę. – Ja zawsze byłem żołnierzem, Wasza Królewska Mość. Załatwiając sprawy wagi państwowej, czuję się nieswojo.

– Wasz król przysłał pana na te rokowania.

– Zrobił to, łobuz jeden. – Diuk się uśmiechnął. – Na dworze są frakcje, które chętnie zobaczyłyby koniec wojny. Wojna szkodzi interesom. Georg jest skłonny się z nimi zgodzić...

Raesinia otworzyła usta, ale ostrzegawczo podniósł palec.

– ...jednak się boi. Nie odłoży miecza, dopóki się boi.

– Obawia się Vordanu? – Raesinia wyprostowała się. – Jakich gwarancji od nas oczekuje?

– Właściwie nie Vordanu się boi. – Dorsay nachylił się do niej. – Tylko Janusa bet Vhalnicha.

Znów zapadła cisza.

– Pierwszy konsul uratował tron zagrożony przez zdrajców – powiedziała Raesinia. – I mnie osobiście. Lud go uwielbia.

– A jego zręczność na polu bitwy jest legendarna. I właśnie z tych wszystkich powodów jest zagrożeniem. Taki człowiek stojący na czele waszego rządu jest jak obnażony miecz. Nie możecie oczekiwać rozpoczęcia pokojowych negocjacji, dopóki nie schowacie broni do pochwy.

– Odsunięcie go na boczny tor byłoby kiepską nagrodą za jego zasługi.

– Zasłużona emerytura. Obsypcie go tytułami i zaszczytami, jeśli chcecie. – Dorsay zachichotał. – Przyślij go do mnie, to przedstawię mu zalety spokojnego życia, pszczelarstwa i hodowli psów.

– A co z Orlanką? Zdaje się mieć pewne wpływy.

– Ach. – Uśmiech Dorsaya przygasł. – Zyskał przyjaciół we frakcji, która chce, aby wojna trwała. Georg jednak napomknął mi, że jego cierpliwość wobec byłego diuka już się kończy. Gdyby rozmowy miały się rzeczywiście zacząć, dwór mógłby rozpatrzyć jego prośbę o stałą ochronę przed vordanajskim wymiarem sprawiedliwości... odmownie.

Proponuje mi Orlankę, Ostatniego Diuka, na talerzu. Jako swego rodzaju łapówkę. Zastanawiała się, ile król Borelu naprawdę wie, a ile tylko podejrzewa.

Raesinia ze zdziwieniem odkryła, że ta propozycja ją kusi. Nie uważała się za mściwą, ale myśl o tym, że Orlanko mógłby wpaść w jej ręce, była bardziej nęcąca, niż się spodziewała. Nie musi chodzić tylko o zemstę, przekonywała sama siebie. Pomyśl o tych wszystkich informacjach, które mógłby nam wyjawić. Do tej pory po ulicach Vordanu chodzili byli agenci Konkordatu, którzy na rozkaz Orlanki popełnili niewyobrażalne zbrodnie. Można by sprawiedliwie ich ukarać.

A w zamian chcieli tylko, żeby odsunęła Janusa na boczny tor. Przeniosła na zasłużoną emeryturę.

Wiele mu zawdzięczam, ale... Odsunęła od siebie tę myśl. Ważniejsze jest to, czy on by to zaakceptował. Gdybym zwolniła go z obowiązków, a on nie zechciałby odejść, co wtedy? Za kim poszłaby armia? I lud?

Raesinia z przykrością pojęła, że zna odpowiedź na oba te pytania. Ponadto jeśli odłożę na bok mój miecz, stracę tę niewielką przewagę, jaką teraz mam.

– Czy wiesz, dlaczego ksiązę Dzurk był wobec ciebie taki nieuprzejmy? – zapytał Dorsay, przerywając jej rozmyślenia.

– Uznałam, że powodem była nieznamość południowej etykiety – odrzekła Raesinia, niemal odruchowo udzielając dyplomatycznej odpowiedzi.

– Chciałaś powiedzieć, że dlatego, bo to nieznośny kutafon? – Dorsay się uśmiechnął. – Nie dlatego. A przynajmniej nie tylko dlatego, ponieważ oczywiście jest nieznośnym kutafonem. Jeśli jednak chce, potrafi to ukryć. Nie, to była próba. Dzurk, tak jak jego ojciec, chce wiedzieć to samo, co wszyscy.

Raesinia zmarszczyła brwi. Zaczynała mieć dość tych

naprowadzających uwag.

– I cóż to miałyby być?

– Kto sprawuje rzeczywistą władzę w Vordanie. Czy ty? Czy może wielce zasłużony pierwszy konsul? Tego nikt nie jest pewny i wszystkich nas to dręczy. Trudno negocjować, jeśli się nie wie, z kim trzeba się dogadać. Dzurk najwyraźniej sądził, że kilka zniewag może sprowokować reakcję, która wyjaśni tę kwestię.

Raesinia pochwyciła jego pytające spojrzenie.

– Ja rządę w Vordanie – wyjaśniła. – Razem z ludem, za pośrednictwem Zjazdu Generalnego.

– Ach tak. Nie możemy zapominać o waszym słynnym parlamencie. Słyszałem, że już prawie wybrał kolor zasłon w sali obrad.

Raesinia zżymała się w duchu, chociaż docinek nie był zupełnie nieuzasadniony. Zjazd Generalny był tak rozpolitykowany, że podjęcie jakiegokolwiek decyzji zajmowało mu wieki. Od kiedy Janus rozwiązał Dyrektoriat, deputowani toczyli zaciekle spór filozoficzny o niezbyt istotne punkty wciąż istniejącej tylko w teorii konstytucji, ochoczo pozostawiając toczenie wojny ich nowemu pierwszemu konsulowi.

– Pierwszy konsul wykonuje polecenia monarchy i Zjazdu Generalnego – rzekł Dorsay. – A przynajmniej tak nam mówiono. Czy zadał sobie trud poinformowania cię, co zamierza, zanim wygłosił dzisiaj swoje przemówienie?

Na to pytanie nie było bezpiecznej odpowiedzi. Raesinia skryła swe uczucia za szerokim uśmiechem.

– Dziękuję ci za wizytę. Była bardzo produktywna.

Dorsay wiedział, kiedy go grzecznie odprawiają. Odsunął fotel

i skłonił się.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość. Mam nadzieję, że będziemy mieli okazję do kolejnej rozmowy.

Sothe otworzyła drzwi i zamknęła je za Borelgajem. Kiedy wyszedł, Raesinia wyciągnęła się w fotelu.

– I co? – zapytała.

– Uważam, że był szczery o tyle, o ile to możliwe – powiedziała Sothe. – Dorsay jest znany z tego, że gra uczciwie, i zapewne król wybrał go z tego powodu. Co ważniejsze, ma to sens. Janus jest błyskotliwy, popularny i ambitny. Niebezpieczny. Z punktu widzenia Borelgajów znacznie lepsza byłaby młoda królowa i sparaliżowany swarami Zjazd Generalny.

– Odstawić Janusa na boczny tor – powiedziała Raesinia – w zamian za pokój.

– W zamian za możliwość zawarcia pokoju – przypomniała Sothe. – Zauważ, że twój szanowny gość przezornie niczego nie obiecał.

– Poza Orlanką.

Sothe wzruszyła ramionami.

– Orlanko to kłopot. Oddając go nam, zabiliby dwa ptaki jednym kamieniem, gdyby zyskali coś przy negocjacyjnym stole.

– Chciałabyś, żeby stał się naszym więźniem?

– Uważam, że powinna go spotkać sprawiedliwa kara – spokojnie odparła Sothe. Jeśli ta sprawa budziła w niej jakieś emocje, to zachowała je dla siebie, jak zawsze.

– A co z Janusem? Co sądzisz o tym, co robi?

Sothe zmarszczyła brwi.

- Nie wiem, co o tym myśleć. Potrzebujemy więcej informacji.
- Zatem lepiej zdobądźmy je.

Ku ogromnej irytacji Raesinii minęła północ, zanim Janus mógł z nią porozmawiać. Gdy czekała w swoich pokojach, do i z jego apartamentu płynął nieprzerwany potok dyplomatów i dworzan ze wszystkich trzech delegacji. Nie mogła po prostu się tam wdrzeć, tak żeby cudzoziemcy nie zauważyli takiego dysonansu w relacjach między królową a pierwszym konsulem. Zakładając, że wartownicy by mnie wpuścili. Lepiej nie dążyć do konfrontacji, dopóki nie jest to konieczne...

Kiedy wreszcie rozległo się pukanie do drzwi, Raesinia wstała i wygładziła suknię, gdy Sothe poszła je otworzyć. Ku jej zdziwieniu posłańcem nie był szeregowy żołnierz, lecz Marcus d'Ivoire, noszący teraz plaketkę ze skorpionem oraz naramienniki z dwiema gwiazdkami i srebrnym orłem. Skłonił się nisko.

– Wasza Królewska Mość – rzekł.

– Marcusie – powiedziała.

Drgnął, gdy zwróciła się do niego tak nieformalnie. Raesinia westchnęła w duchu.

Zaledwie kilka miesięcy upłynęło od tego krótkiego, lecz szalonego czasu, który spędzili razem, od zamachu na jej życie po upadek Mauriska, ale wydawało się, że minęły lata. Raesinia uważała, że łączy ich... coś, jakaś więź, jak towarzyszy broni walczących o przetrwanie. Był jedną z nielicznych osób, które znają tajemnicę uwięzionego w jej ciele demona, i sądziła, że zyskała jego szacunek. Nawet wyobrażała sobie...

Nieważne, co sobie wyobrażałam.

Gdy tylko Janus wrócił, Marcus z wyraźną ulgą znów stanął u jego boku, pozostawiając Raesinię na pastwę niekończących się, ogłupiających dworskich rytuałów. Podczas nielicznych spotkań od tamtego czasu zawsze zachowywał się bardzo uprzejmie, ale widać było, że w jej obecności czuje się nieswojo.

– Pierwszy konsul jest gotowy się z tobą zobaczyć – powiedział.

– Przeprasza za zwłokę. To był pracowity dzień.

– Mogę to sobie wyobrazić – kwaśno odrzekła Raesinia. – Słyszałeś, co powiedział przybyłym na konferencję?

– Mniej więcej.

– Zapewne nie podzielił się z tobą swoimi myślami?

– Wasza Królewska Mość zna Janusa. Nic nikomu nie mówi, jeśli nie musi.

– Za bardzo lubi takie teatralne pokazy, żeby mu to wyszło na dobre – mruknęła Raesinia, przechodząc obok Marcusa na korytarz.

Zamknął drzwi i poprowadził ją do innej części budynku. W hotelu było niemal zupełnie cicho. Tylko z dołu dochodziły stłumione odgłosy; najwyraźniej młodszy członkowie wszystkich delegacji dobrze się bawili, niezależnie od napięć w stosunkach międzynarodowych. Szczególnie żołnierze nie zamierzali pozwolić, by wojna stanęła między nimi a trunkami, a już na pewno nie tymi fundowanymi przez Koronę. Jednak tutaj, na drugim piętrze, lampy były przyciemnione, a w zasięgu wzroku z rzadka pojawiał się ktoś z personelu hotelowego, z szacunkiem kłaniając się nadchodzącej królowej.

– Ufam, że masz się dobrze? – spytała w końcu.

– Tak, Wasza Królewska Mość. Przez tych kilka miesięcy

poczyniliśmy znaczne postępy.

Wskazała na insygnia na jego naramiennikach.

– Co oznaczają te gwiazdki?

– Janus stworzył nowe stopnie, żeby ulepszyć strukturę armii.

Dwie gwiazdki oznaczają generała kolumny.

– To chyba wysoka ranga.

– Najwyższa w armii – rzekł Marcus, lekko się rumieniąc. –

Poza samym pierwszym konsulem oczywiście.

– Rozumiem. Gratuluję.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość. – Zerknął na nią z ukosa i uśmiechnął się lekko. – Dobrze wrócić na swoje miejsce i robić to, czego mnie nauczono.

Raesinia zeszywniała, ale starała się ukryć urazę.

– Jestem pewna, że wspaniale ci idzie.

Widocznie nie udało jej się, ponieważ Marcus odwrócił wzrok i przełknął ślinę. Chwilę później dotarli do drzwi Janusa, strzeżonych przez parę kolonialnych żołnierzy. Zasalutowali Marcusowi, skłonili się Raesinii i odsunęli na bok, a królowa weszła do środka, nie oglądając się za siebie. Zapomnij o Marcusie. Masz większe problemy, upomniała się.

Apartament był bardzo podobny do tego, w którym ją umieszczono, ale Janus upchnął rzeźbione meble w kątach i rozłożył składany stół, a na nim rozpostarł wielką mapę. Wokół niej piętrzyły się nierówne sterty cienkich karteczek. Na niektórych z nich widniały długie szeregi kółek i kresek, w których rozpoznała szyfr zbudowanego z lamp i luster pstrykacza, używanego do przesyłania wiadomości. Zawsze dziwnie się czuła, otrzymując jego raporty o tym, co się działo w odległej o tygodnie

jazdy powozem stolicy Vordanu. Teraz, patrząc na te kartki wypełnione niezrozumiałym szyfrem, Raesinia zastanawiała się, czy pierwszy konsul przekazywał jej wszystko, czego się dowiedział.

Janus stał przy innym stole, odrywając kawałki chleba z bochenka i równo je składając przed zjedzeniem. Machnięciem ręki wskazał Raesinii krzesło.

– Przepraszam – powiedział, przełknąwszy resztę. – Nie mając Augustina, żeby mi przypominał, w nawale spraw często zapominam o jedzeniu. Moi nowi służący nie chcą przeszkadzać pierwszemu konsulowi i dopiero po kilku godzinach zdaję sobie sprawę, że padam z głodu.

– Rozumiem. Miałeś pracowity dzień – rzekł Raesinia, powtarzając słowa Marcusa.

– Wyobrażam sobie, że jesteś na mnie zła. – Kolejny przelotny uśmiech.

– Możliwe. Na pewno zdezorientowana. Chyba nie sądzisz, że Murnskajczycy zaakceptują takie warunki.

– Och, oczywiście, że nie. Podejrzewam, że jutro księżę będzie już w drodze powrotnej na północ.

– A więc to była farsa – wycedziła Raesinia. – Ta cała konferencja. Wcale nie zamierzałeś negocjować.

– To była farsa – potwierdził Janus, siadając naprzeciw niej. – Jednak nie ja jestem jej reżyserem.

– Dlaczego to przede mną ukryłeś? – warknęła. – Jestem królową. Jeśli cały czas miałeś zamiar...

– Przepraszam za to, Wasza Królewska Mość. Było bardzo ważne, żeby przygotować tę konferencję, zachowując wszelkie

pozory dobrej woli, by nasi wrogowie uwierzyli, że naprawdę zasiądziemy przy stole.

– Tylko po to, żebyś przy pierwszej nadarzającej się okazji rozwalił wszystko na kawałki.

Wzruszył ramionami.

– Nigdy nie mielibyśmy prawdziwego pokoju i uznałem, że najlepiej będzie nie tracić czasu teraz, gdy chmury się rozeszły. Będziemy potrzebowali dobrej pogody.

– Do czego? – Raesinia nienawidziła, kiedy tak mówił, jakby był nauczycielem, a ona niezbyt pojętną uczennicą. – Co planujesz?

Janus usiadł i jego szare oczy rozblęły w świetle lamp.

– Dobrze wiesz – rzekł – że to, co tam powiedziałem, to prawda. Wojnę rozpoczęło Elizjum, a konkretnie Kapłani Czerni, sojusznicy Orlanki. Kiedy zrozumieli, że stracił kontrolę nad Vordanem, uznali wojnę za swoją jedyną szansę i usiłowali wykorzystać nasze osłabienie.

Raesinia niechętnie skinęła głową.

– Wiesz, że chcą zdobyć Tysiąc Imion, a ciebie usunąć. Pomagali Mauriskowi i twoim nieprzyjaciołom. Wysłali Przekłętego Penitenta, żeby uprowadził cię do Elizjum. Są cierpliwi i bezwzględni i nigdy nie zaprzestaną takich prób. Obojętnie, co się tu zdarzy i czego chce imperator lub król Viadre. Robią to od czasu Elizjusza Ligamentiego, od co najmniej dziewięciuset lat. Nie zaprzestaną tylko dlatego, że rozbiliśmy parę ich marionetkowych armii.

Mówił to z chłodną precyzją, jak zawsze, ale w jego słowach wyczuwała pasję. Pokręciła głową.

– Przyszli po mnie i odparliśmy ich atak.

– Tym razem. Nie będę udawał, że wiem, jakie jeszcze sztuczki ma w zapasie Pontifex Czerni, ale prędzej czy później dopisze mu szczęście. – Janus nachylił się do niej. – Obiecałem twojemu ojcu, że ci pomogę i zapewnię bezpieczeństwo. Mogę to zrobić, jedynie rozprawiając się z Kapłanami Czerni, raz na zawsze. Dopilnuję, żeby stali się przeszłością, za jaką są uważani.

– Chcesz pomaszerować na północ – powiedziała. – Uderzyć na Elizjum.

Janus energicznie skinął głową.

– To jedyne wyjście. I teraz mamy doskonałą okazję. Murnsk jest słaby i nieprzygotowany, Borel podzielony, a my silniejsi niż kiedykolwiek. Jeśli nie wykorzystamy tej możliwości, następna może się nie nadarzyć za naszego życia.

– Elizjum nigdy nie zostało zdobyte – przypomniała lekko oszołomiona Raesinia. – Nie przez ostatnie dziewięćset lat.

– Z całym szacunkiem, Wasza Królewska Mość, od wieków nikt nie podjął żadnej poważnej próby jego zdobycia. Czasy się zmieniły.

– Nawet gdybyśmy je zdobyli, nie zdołamy go utrzymać. Cały Murnsk powstanie przeciwko nam, jeśli sprofanujemy święte miasto.

– Cały Khandar powstał przeciwko nam, gdy sprofanowaliśmy ich święte miasto – rzekł Janus, znów z przelotnym uśmiechem. – Jednak wcale nie musimy utrzymywać miasta. Kiedy oczyścimy to gniazdo szczurów, wrócimy do domu. I wtedy zawrzemy pokój, który będzie prawdziwym pokojem, a nie chwilą wytchnienia dla Kapłanów Czerni.

Raesinia przyglądała mu się.

Chciała mu powiedzieć, że jest szalony. Jednak jego słowa miały

ponury sens. Ona jak mało kto znała mroczne aspekty tego świata, te skryte głęboko pod powierzchnią prądy odpowiadające za przebieg wydarzeń. Sama jej egzystencja była rezultatem intrygi Kapłanów Czerni, mającej dostarczyć Orlande posłuszną marionetkę do osadzenia na vordanajskim tronie. Jednak...

– Jeśli to zrobisz – powiedziała – zginie wielu ludzi. Nawet jeśli zwyciężysz. Nasi żołnierze wierzą, że zrobisz to, co jest dla nich najlepsze.

– Wasza Królewska Mość się myli. Gdybym robił to, co dla nich najlepsze, rozpuściłbym armię i wysłał ich wszystkich do domów. – Teraz uśmiech znikł z jego warg, a w oczach pojawiło się napięcie. – Oni wierzą, że zrobię to, co jest najlepsze dla Vordanu i dla ciebie. Kiedy się zaciągali, wiedzieli, że może będę musiał ich poświęcić, ale ufają, że za ich życie uzyskam dobrą cenę. Uważam, że usunięcie na zawsze Orlandki i Kapłanów Czerni z Vordanu jest warte tej ofiary. Nie wspominając już o zabezpieczeniu twojej pozycji jako królowej.

Raesinia usiadła wygodniej. Samo przebywanie w jednym pomieszczeniu z Janusem, kiedy wpadał w taki nastrój, było wyczerpujące; przepełniała go energia, która dosłownie z niego emanowała. Raesinia przyszła tu wściekła na niego, a teraz odkryła, że trudno jej się oprzeć przedstawianej przezeń wizji.

– Jesteś bardzo pewny siebie – zauważyła.

– Mam po temu powody. Nie jestem człowiekiem skłonny do przesady, Wasza Królewska Mość. Dobrze o tym wiesz. Uwierz mi, gdy mówię, że vordanajska armia, jaką teraz dysponujemy, to najlepsze wojsko, jakim kiedykolwiek dowodziłem. Może najlepsze, jakie kiedykolwiek sformowano na tym kontynencie. Zobaczysz,

czego potrafi dokonać.

Armia, którą on stworzył, nakarmił zwycięstwami i uformował w trakcie zimowych szkoleń. Zadała sobie pytanie, co zrobiłby Janus, gdyby spróbowała odebrać mu to narzędzie, tak jak sugerował Dorsay.

Wszystko sprowadzało się do tego: mogła pozbawić Janusa urzędu, zaufać, że Borelgajowie będą negocjować, i mieć nadzieję, że wszystko się ułoży. Albo mogła pozwolić mu robić swoje i poprowadzić armię na północ. Nie było tu miejsca na półśrodki. Dorsay nie widział tego, co ja widziałam. Nic nie wie o demonie. Janus miał rację co do Kapłanów Czerni – zawarty przez mocarstwa pokój nie powstrzyma Przekłętego Penitenta. Przypomniała sobie Adama Ionkovo, wynurzającego się z cieni i ponownie zapadającego w nie, jak w toń. Zimno, gdy wbił sztylet w jej mózg.

Raesinia przeciągle westchnęła.

– Kiedy wymaszerujecie?

Dwa Winter

Zewnętrzny mur Talbonn był zaledwie drewnianą palisadą chroniącą przed przemytnikami i bandytami, ale niczym więcej. Był jednak dostatecznie solidny, by zablokować pochód, i po kwadransie czekania na ulicach miasta Winter pojechała na czoło kolumny sprawdzić, co się dzieje. Wszędzie wokół niej żołnierze z Pierwszego Dziewczęcego – obecnie oficjalnie będącego pierwszym pułkiem piechoty drugiej dywizji, ale powszechnie nazywanego tak jak dawniej – zrzucali plecaki i siadali na środku drogi, wyjmowali karty lub kości i szykowali się na długi postój. Każdy weteran wiedział, że maszerująca kolumna rozciąga się lub kurczy jak akordeon, zatrzymując się nieoczekiwanie, gdy rozchodzące się jak kręgi chwilowe przestoje unieruchamiają kolejne pododdziały. A po zimowym obozie wszyscy byli weteranami, przynajmniej w kwestii maszerowania.

Edgar, wierzchowiec Winter, powoli i cierpliwie przedzierał się przez gęstniejący tłum żołnierzy, salutujących i usiłujących utorować drogę nadjeżdżającemu dowódcy. Większość z nich Winter znała z widzenia, a pozostali widzieli gwiazdkę generała dywizji na jej naramiennikach. Blżej murów tłum rozlał się na boki i morze niebieskich mundurów wypełniło plac targowy tuż przy północnej bramie miasta.

Przyczyna tego była dobrze widoczna. Zajmujący niemal całą szerokość bramy wóz utknął między drewnianymi słupami skromnej wartowni, a ciągnące go cztery konie zostały wyprężone i czekały po drugiej stronie. Jakiś cywil w długim płaszczu i graniastym kapeluszu kłócił się z oficer z Pierwszego Dziewczęcego, a trzech dobrze zbudowani robotnicy w skórzanych kamizelkach stali w pobliżu z zadowolonymi minami ludzi, którym i tak płaci się od godziny.

Winter zeskoczyła z konia i oddała wodze Edgara stojącemu opodal kapralowi. Szepty poprzedzały ją niczym fala, a kobiety z Pierwszego Dziewczęcego rozstępowały się, robiąc jej przejście. Skinęła głową w podzięcie i stanęła za plecami sprzeczącej się z cywilem porucznik – wysokiej, groźnie wyglądającej kobiety o twarzy zaczerwienionej z gniewu.

– Mówię ci, że masz natychmiast zabrać ten pierdolony wóz z bramy! – krzyknęła rozkazująco. – Nie obchodzi mnie jak, masz to zrobić!

– A ja mówiłem ci, że zajmujemy się tym! – rzekł cywil. Pocił się w wiosennym słońcu. – Mój kuzyn przyprowadzi przez wschodnią bramę drugi wóz i jeszcze paru ludzi. Przeniesiemy ładunek i ściągniemy jedną oś.

– Jeśli ten wóz nadal tu będzie, gdy przyjedzie tu generał Ihernglass, gorzko tego pożałujesz, sukinsynu! – obiecała mu porucznik.

– Dzień dobry, poruczniku – powiedziała łagodnie Winter. – Zechcesz przedstawić mi sytuację?

– Panie generale! – Porucznik okręciła się na pięcie i sprężyście zasalutowała. – Przepraszam, panie generale. Ten...

– Nie musisz przeproszać. Jak się nazywasz?

– Robinson, panie generale. Elinor Robinson. Pierwszy batalion, piąta kompania.

– A pan? – zapytała cywila.

– Tobin Bern – odparł, zdejmując kapelusz. – Do usług, generale.

Winter uśmiechnęła się.

– A zatem dlaczego pana wóz blokuje mi przejazd, panie Bern?

– To był wypadek – rzekł Bern. – Coś spłoszyło konie, gdy wóz przejeżdżał przez bramę, i utknął w niej.

– Wygląda na mocno obciążony – zauważyła Winter. Wóz był duży i piętrzyły się na nim drewniane skrzynki. – Wolno spytać, co to za ładunek?

– Zaopatrzenie – odparł mężczyzna, trochę zbyt pośpiesznie. – Dla wojska.

– Rozumiem.

Winter nawet nie zapytała o specyfikację i dokumenty przewozowe, ponieważ na pewno ich nie miał. Intendentura Janusa ściśle kontrolowała oficjalne dostawy, ale prywatni dostawcy mnożyli się jak muchy na padlinie, gotowi sprzedawać swe towary znudzonym i głodnym żołnierzom. Byli złem koniecznym, ale Winter mierzyła ich nieskrywana chciwość. Podeszła do wozu i wskoczyła nań.

– Panie generale! – zawołała porucznik. – Proszę mi pozwolić...

– Wszystko w porządku – powiedziała Winter. – Panie Bern, ma pan coś przeciwko temu, że rzucę okiem?

– Ja...

Nie czekając na odpowiedź, Winter podniosła leżący obok skrzynek łom i wzięła się do pracy. Po kilku sekundach wieko jednej z nich odskoczyło, ukazując butelki z winem, starannie zabezpieczone słomą. Dostawa wojskowa. Westchnęła i zeskoczyła z wozu.

Bern miał przynajmniej tyle przyzwoitości, że zrobił zmieszana minę.

– Naprawdę zamierzamy sprzedać je żołnierzom – wymamrotał.

– Z pewnością – powiedziała ostro Winter. – Porucznik Robinson?

– Tak, panie generale? – Robinson stanęła na baczność, aż się trzęsąc z chęci zrobienia czegoś pożytecznego.

– Macie w kompanii kogoś, ktoś umie wiązać węzły? Najlepiej kogoś niewielkiego wzrostu. I proszę znaleźć kawał sznura.

Robinson energicznie skinęła głową i odwróciła się do tłumu żołnierzy. Po chwili wróciła z dziewczyną wyglądającą na szesnastolatkę, szeregową o szarej skórze i ciemnych włosach Khandarki.

– Aya była marynarzem, zanim się zaciągnęła – oznajmiła dumnie Robinson. – Umiesz wiązać węzły, prawda, Aya?

– Tak. Ja wiązać węzeł – odparła dziewczyna, szeroko otwartymi oczami patrząc na Winter. Mówiła łamanym vordanajskim, z silnym cudzoziemskim akcentem.

Winter zastanawiała się, jaką niezwykłą drogę przebyła ta młoda kobieta ze swej oddalonej o tysiące mil ojczyzny na południu, nim znalazła się na północnym krańcu królestwa Vordanu. Zapewne nie dziwniejszą niż ja, pomyślała.

– Możesz wejść pod wóz? – spytała, pokazując palcem. Przeszła

na khandarski, mając wrażenie, że w jej głowie obracają się zardzewiałe tryby.

Zaskoczona Aya dopiero po chwili spojrzała na zaklinowany wóz i kiwnęła głową.

– Dobrze. Zawiąż linę na dyszlu, tej głównej belce biegnącej środkiem. Zrób to w trzech miejscach: na początku, na środku i na końcu.

– Tak jest, panie generale! – powiedziała po khandarsku Aya.

Wokół nich żołnierze wytrzeszczali oczy na widok dowódcy rozmawiającego w obcym południowym języku. Dwie kobiety przyniosły zwój liny. Aya chwyciła jeden jej koniec i położyła się na brzuchu, żeby wpełznąć pod wóz.

– Co jest? – spytał Bern. – Co się dzieje?

– Zrobić miejsce! – krzyknęła Winter. – Cofnąć się! Poruczniku, zbierz swoją kompanię.

Kiedy zaczął się rozgardiasz, Bern nachylił się do niej, żeby go było lepiej słyszeć.

– Próbowaliśmy go wypchnąć, ale mocno utknął. Nie dacie rady go ruszyć.

– Jedno, czego nauczyłem się w wojsku, panie Bern, to że mając odpowiednią liczbę żołnierzy, można zrobić wszystko. – Popatrzyła na biegające wokół kobiety w błękitnych mundurach i uśmiechnęła się. – W pewnym sensie.

– Ale...

Aya wyczołgała się spod wozu, zakurzona, lecz uśmiechnięta. Wstała i zasalutowała.

– Lina umocowana, panie generale! – powiedziała po khandarsku.

– Każ swoim żołnierzom chwycić za linę, poruczniku – rozkazała Winter. – Tylu, ilu tylko zdołasz zebrać.

To zajęło trochę czasu. Winter pomogła porucznik zebrać odpowiednią liczbę żołnierzy, ignorując utyskiwania Berna. Sto dwadzieścia par rąk chwyciło grubą linę dłońmi stwardniałymi po miesiącach szkolenia. Na rozkaz Winter żołnierze zaczęli ciągnąć.

Rezultat był spektakularny. Wóz zadygotał i rozleciał się na kawałki w donośnym trzasku pękającego drewna. Dyszel, tylna oś i znaczna część platformy zostały wywleczone z bramy, ciągnąc za sobą pękniętą na pół przednią oś. Skrzynie z winem zachybotwały się i spadły, uderzając o ziemię z nieprzyjemnym trzaskiem tłuczonego szkła i tworząc na ziemi szybko powiększające się kałuże.

– Generale! – wrzasnął Bern. – Generale, nie możecie tego zrobić! Będę zrujnowany!

– Pierwszy konsul wydał mi rozkaz wyprowadzenia tej kolumny na trakt – powiedziała Winter, wciąż łagodnym głosem. – Cokolwiek temu przeszkadza, jest potencjalnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa armii, a to oznacza, że mam obowiązek się tym zająć. Jeśli chcesz złożyć skargę, proponuję, żebyś zwrócił się do niego. – Podniosła głos. – Przynieście topory i usuńcie z drogi te resztki! Chcę, by kolumna wyruszyła przed upływem godziny!

Wzięła wodze Edgara od patrzącego z nabożnym podziwem kaprała i przeprowadziła wierzchowca przez bramę, ostrożnie omijając resztki przedniej części wozu. Znalazłszy się po drugiej stronie, pomachała żołnierzom tłoczącym się za nią i uprzątającym przejazd, po czym ruszyła na północ.

Chociaż słońce stało jeszcze wysoko na niebie i do zachodu pozostało kilka godzin, obóz drugiej dywizji był już w połowie gotowy, gdy do niego dotarła. Jadąca przodem lekka kawaleria, tworząca wokół osłonę czujnych oczu i uszu, wyruszyła przed świtem, a za nią oficjalne tabory i dwie baterie dział pułkownika Archera. Zanim pierwsze szeregi piechoty pokonały pylistą drogę z Talbonn, paliki i rozciągnięte sznury już wytyczały granice obozu, pokazując miejsca, w których każda z kompanii ma rozstawić swoje namioty, gdzie będą uwiązane konie, a gdzie wykopane latryny.

Nawet po interwencji Winter ostatnie części kolumny nie dotrą tutaj przed zmrokiem. Podejrzewała, że to nieuniknione. Jej druga dywizja liczyła ponad dziewięć tysięcy żołnierzy, czyli jedną czwartą liczebności dawnej armii Wschód, i ponad dwa razy więcej niż wszystkie siły, którymi Janus dowodził w Khandarze. Szósta dywizja, obozująca nieco dalej przy drodze, miała ich dziewięć tysięcy więcej.

I nie była to nawet połowa armii, którą zebrał Janus. Mając całkowitą kontrolę nad vordanajskim wojskiem, zmienił prowadzoną przez Dyrektoriat politykę rozpraszania sił, bez skrupułów pozbawiając armie Zachód i Południe ich najlepszych oddziałów. Po upadku Deslandu i Antovy Liga praktycznie przestała brać udział w tej wojnie i armia Wschód została zredukowana do podstawowego stanu. Przez zimę armię Północ wzmocniono wszystkimi tymi uzupełnieniami, tworząc Wielką Armię liczącą ponad dwieście tysięcy żołnierzy. Podążała na północ w czterech kolumnach, równoległymi drogami, w starannie dobranych odstępach, żeby przemarsz nie zmienił się

w gigantyczny korek.

Zimą Janus poświęcił niemal tyle samo czasu na reorganizację Wielkiej Armii, co na jej szkolenie. Tak jak w armii Wschód, dawne królewskie pułki z ich ukochanymi insygniami i wymyślonymi historiami zostały rozwiązane i podzielone na części składowe. Połączono je z batalionami ochotników, którzy zaciągnęli się podczas rewolucji lub po wybuchu wojny, i przydzielono oficerom uznanym za najbardziej kompetentnych, niezależnie od ich pozycji społecznej. Skończyło się zrządzenie i krytyka ze strony Ministerstwa Wojny: królowa i Zjazd Generalny dali pierwszemu konsulowi najwyższą atutową kartę, a on bezwzględnie to wykorzystał.

Vordanajska armia nigdy nie miała jednostek większych od pułku i w niewielkim stopniu wykorzystywała oficerów wyższych rangą od pułkownika. Wzorując się na legionach starożytnych tyranów mithradacejskich, Janus połączył pułki w dywizje, dowodzone przez nowo mianowanych generałów. Każda dywizja była samodzielną jednostką operacyjną, z własną artylerią i jazdą, mogącą stawić czoło porównywalnym siłom wroga. Było dziesięć takich dywizji, a ponadto kawaleria Piekielnika oraz główna rezerwa artyleryjska.

Winter wzdragała się, gdy Janus zaproponował czterokrotne zwiększenie liczebności dowodzonego przez nią oddziału, ale przynajmniej tym razem nie oczekiwano od niej, że natychmiast rzuci go w bój. Prawdę mówiąc, chyba po raz pierwszy, od kiedy Marcus ponad rok wcześniej wręczył jej paski sierżanta, Winter była gotowa na to, co ją czeka. Niekończące się szkolenia na obozach zimowych zahartowały żołnierzy, ale i jej dały czas, żeby

się przygotować.

Bobby czekała na nią przy bramie obozu, jak zwykle. Miała kapitańskie gwiazdki na naramiennikach, a przez ten rok, który minął od czasu Khandaru, jej sylwetka straciła młodzieńczą niezgrabność. Patrząc na nią teraz, Winter trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek uważała Bobby za chłopca.

– Wszystko w porządku? – zapytała kapitan. – Spodziewaliśmy się was godzinę temu.

– Trzeba było rozwiązać mały problem z przejazdem przez miasto – odrzekła Winter. – Jutro zapewne wyruszymy trochę później.

– Na szczęście nie musimy iść daleko. – Bobby wyjęła z kieszeni wielokrotnie złożoną kartkę papieru. – To od Janusa. Chce, żebyśmy za dwa dni byli w mieście zwanym Glarusk. To tuż za murnskajską granicą, jakieś dwadzieścia mil przed Ytolinem. Z ostatnich raportów wynika, że Dorsay wciąż obozuje niedaleko, na północ od tego miasta, więc może o to chodzi.

Winter skinęła głową, chociaż nie była taka pewna. Słynny diuk Brookspring dotychczas nie wykazywał chęci starcia się z Janusem i jego Wielką Armią. Od zerwania rozmów pokojowych cofał się niechętnie, lecz stale, opuszczając kilka dogodnych pozycji. Miał mnóstwo pola do manewrów, gdyż Murnsk był rozległym krajem, a przez równiny Podzielonego Wybrzeża ze wschodu na zachód płynęły rzeki tworzące naturalne przeszkody, za którymi mógł się okopać. Nie będzie łatwo zmusić go do stoczenia bitwy.

To jednak zmartwienie Janusa, nie moje, stwierdziła Winter. Ona musiała tylko doprowadzić swoich żołnierzy tam, gdzie chciał, oraz dopilnować, żeby spełnili swój obowiązek.

– Przynajmniej będziemy wypoczęci – oznajmiła, czytając wiadomość. – Jakież inne problemy?

– Żadnych wartych wzmianki. Abby wlepiła kilku żołnierzom z Pierwszego Dziewczęcego karną służbę za bijatykę w mieście.

– Bili się między sobą?

Bobby pokręciła głową.

– Jak zwykle, zaczęło się od tego, że ktoś powiedział coś o Pierwszym Dziewczęcym, a skończyło na barze pełnym rozbitych nosów i podbitych oczu.

Winter westchnęła w duchu. Demolowanie jakiegoś baru lub winiarni w każdym mieście, przez które przechodził Pierwszy Dziewczęcy, stało się tradycją: weterani uważali to za swoistą inicjację. Pijanych farmerów i woźniców łatwo było sprowokować.

– Jeśli to nasz największy problem, to uważajmy, że mamy szczęście. Podliczyła żniwo?

– Tak jest, generale. – Bobby wyjęła następną złożoną kartkę. – Czterdziestu sześciu rekrutów, siedemnaścioro rozgniewanych rodziców, jeden wściekły mąż i jedna szlochająca narzeczona.

Winter z trudem powstrzymała uśmiech.

– Wydaje się, że to może być ciekawa historia.

– Zapewne, panie generale.

Zaczął się w Deslandzie, ale wcale się tam nie skończyło. Wszędzie, gdzie Pierwszy Dziewczęcy stacjonował dłużej niż jedną noc, zgłaszały się ochotniczki, młode dziewczęta, które słyszały o kobiecym batalionie i chciały się zaciągnąć. Przychodziły jawnie w dzień lub ukradkiem w nocy, z opowieściami lub tylko cichą determinacją. Winter ich nie zachęcała, ale i nie powstrzymywała. I jeśli były pełnoletnie, nie oddawała ich w ręce rodziców, którzy

nieuchronnie pojawiali się z takim żądaniem.

Kobiety, które walczyły o wyzwolenie Vordanu spod rządów Dyrektoriatu, były teraz twardym kośćcem większego pułku i przekazywały nowo przybyłym to, czego się nauczyły. Abby okazała się doskonałym dowódcą, rozważnie awansując obiecujących żołnierzy na poruczników i sierżantów oraz przydzielając surowych rekrutów do kompanii weteranów. Specjalnością pułku nadal były działania zaczepne, a nie typowa walka w szeregu, ale takie manewry jak formowanie czworoboku do obrony przed jazdą nie przekraczały już ich możliwości.

– Dopilnuj, żeby przekazała te liczby Cyte, kiedy tu dotrze – poleciła Winter.

Była studentka uniwersytetu zwykle jechała na końcu kolumny, pilnując, żeby nikt nie został za daleko w tyle.

– Tak jest, panie generale. – Bobby zmierzyła ją znaczącym spojrzeniem. – A kolacja wkrótce będzie gotowa.

– Mam... – Winter dostrzegła minę Bobby i westchnęła. Bobby nalegała, żeby Winter jadła posiłki z innymi oficerami. – W porządku. Czy mam czas, żeby zostawić moje rzeczy?

Bobby zasalutowała i odsunęła się, powstrzymując uśmiech. Winter posłała jej gniewne spojrzenie i pomaszerowała przez obóz, szukając swojego namiotu.

Kolację dla wyższych oficerów podano w dużym namiocie, w którym Winter zwykle rozkładała mapy i planowała resztę dnia. Teraz składany stół zabrano, zastępując go ułożonymi w krąg poduszkami. Jedzenie było trochę lepsze od żołnierskiej zupy i sucharów, ale niewiele. Długie i szybkie marsze, jakich Janus

często wymagał od swoich oddziałów, oznaczały skromne wyposażenie oraz brak kuchni polowych i wozów pełnych prowiantu, nawet dla generałów dywizji. Najlepsze jej zdaniem było to, że mięso i jaja najczęściej były świeże i nigdy nie brakowało soli.

Cyte jeszcze nie wróciła, zapewne podążając w ciemnościach drogą na końcu kolumny, która wreszcie wydostała się z Talbann. Poza nią i Bobby wszyscy pozostali byli pułkownikami, dowódcami pułków tworzących drugą dywizję. Kilku z nich służyło z Winter jeszcze w armii Wschód. David Sevrans teraz dowodził drugim pułkiem piechoty, w którego skład wchodził „królewski” niegdyś towarzyszący Pierwszemu Dziewczęcemu, a chłopięco wyglądający Neal Archer, zasłużony weteran khandarskiej kampanii, w bitwie o Diarach przyprowadził jej na odsiecz swoją baterię dział.

Innych słabiej znała. Parker Erdine, przeniesiony do jej dywizji ze swoimi trzema szwadronami lekkiej jazdy z armii Zachód, wyglądał jak ucieleśnienie wyobrażeń librecisty o śmiałym kawalerzyście. Był niewiarygodnie przystojny, o kwadratowej szczęce, wystających kościach policzkowych i jasnobrązowych włosach na tyle długich, by dramatycznie powiewały na wietrze w czasie szarży. Mundur leżał na nim tak dobrze, że z pewnością był szyty na miarę, a zamiast standardowej oficerskiej czapki nosił kapelusz z szerokim rondem, podwiniętym z jednej strony, i ozdobiony długim czerwonym piórem. Ku lekkiemu rozczarowaniu Winter okazał się naprawdę miłym i kompetentnym oficerem, nawet jeśli nieco skłonny do przesady.

W tym momencie kolejny raz opowiadał o swojej ucieczce z wyspy Ecco, gdzie przeprowadził dwa tuziny kawalerzystów

przez góry, gdy borelgajskie okręty wojenne zajęły port. Ta relacja za każdym razem stawała się bardziej szczegółowa i ekscytująca.

– Zapusciliśmy się głęboko między wzgórza wokół góry Ecco – snuł opowieść Erdine – w nadziei, że uznają nas za niewartych fatygi. Jednak przyszli za nami, trzystu piechociarzy przeciwko moim biednym, obdartym trzem tuzinom. Nasze wierzchowce były strudzone i musieliśmy prowadzić je po kamienistych zboczach, a wokół niesło się granie rogów myśliwskich. Wtedy zrozumiałem, jak czują się borelgajskie lisy ścigane przez ogary.

Sevran uprzejmie słuchał, natomiast Archer miał nieco sceptyczną minę. Abby... Winter starała się nie patrzeć na Abby.

– Już miałem moim ludziom wydać rozkaz, by stanęli i jak najdrożej sprzedali swoje życie – ciągnął Erdine – gdy weszliśmy na szczyt wzgórza i zobaczyliśmy dym unoszący się z komina chatki, wokół której kręciło się kilka owiec. Kazałem moim stanąć i podszedłem do drzwi. Gdy zapukałem, otworzyła mi śliczna pasterka, najwyżej dwudziestoletnia, szeroko otwierając oczy na widok obszarpanych żołnierzy stojących na jej progu. „Pani – powiedziałem. – W imię królowej i honoru Vordanu, potrzebuję twojej pomocy. Wróg jest najwyżej godzinę drogi za nami”. Na moje słowa ślicznie się zarumieniła, ale zacisnęła zęby i pojąłem, że postanowiła przynieść zaszczyt swojej ojczyźnie i płci. Wciągnęła mnie do chaty i powiedziała: „Wejdz do łóżka i nakryj się. Jeśli spytają, powiem, że jesteś moim ojcem, śmiertelnie chorym”. „To może uratuje mnie – powiedziałem – ale co z moimi ludźmi?” „Niedaleko stąd jest wąski wąwóz, w którym pasiemy owce w niepogodę – odparła. – Zaprowadzę tam twoich ludzi i nie zobaczą ich niczyje oczy”. Znów zagrały rogi i nie było czasu się

spierać. Dałem nura pod grube koce z owczej wełny, a dzielna dziewczyna poszła i zaprowadziła moich ludzi do bezpiecznej kryjówki. Wróciła szybko, na moment przed tym, zanim ciężkie buciory Borelgajów zadudniły na podwórku. Ich sierżant załomotał w drzwi, a ja leżałem zupełnie nieruchomo, z dłonią na rękojeści szabli. Byłem gotowy bronić tej młodej damy i w razie potrzeby oddać za nią życie, lecz ona stanęła w progu spokojna jak górski staw i powiedziała borelgajskiemu sierżantowi, że od kilku dni opiekuje się tutaj ojcem i nie widziała żywej duszy. Wkrótce potem zaczął padać deszcz i zniechęcona tym piechota zaniechała pościgu. Moi ludzie obozowali w wąwozie i modlili się do Karisa w podzięce za uratowanie. Natomiast ja spędziłem noc, hmm... – Odkaslnął i zerknął na Abby i Bobby. – W tym towarzystwie nie będę rozwijał tego tematu.

– Och – odezwała się Abby – nie pozwól, by wzgląd na moją kobiecą delikatność przerwał ci opis radosnego pieprzenia. Z zapartym tchem czekam na szczegóły. Powiedz mi, czy kiedy było po wszystkim, może zapytałeś, jak tej dziewczynie na imię? Czy zabrałeś ją ze sobą, czy zostawiłeś pierwszemu Borelgajowi, któremu się spodoba?

Można spokojnie przyjąć, pomyślała Winter, że Abby nie przepada za Parkerem Erdine'em.

– Ja... – Erdine posmutniał. – Przepraszam, nie chciałem obrazić dam.

– Och, nie jestem obrażona – odparła z wilczym uśmiechem Abby. – Jeśli jednak jeszcze raz nazwiesz mnie „damą”, to pokażę ci, jak odpowiadamy na obrazę w Pierwszym Dziewczęćm.

Ciszę, która zapadła, przerwał głośnym pomrukiem pułkownik

Nate Blackstream.

– Jestem pewny, że dziewczynie nic się nie stało – rzekł. – Borelgajowie są cywilizowani. Przestrzegają prawa wojennego. – Skrzywił się, poruszając sumiastymi wąsami. – Nie tak jak tam, dokąd zmierzamy. Murnskajczycy to przeklęte dzikusy. Radzę każdemu z was trzymać nóż za cholewę. Dzięki temu można przynajmniej poderżnąć sobie gardło, żeby nie wpaść w ich ręce.

Blackstream, ulepiony z zupełnie innej gliny niż Parker Erdine, był o wiele starszy od wszystkich siedzących przy stole, co najmniej po pięćdziesiątce, z długimi siwymi włosami splecionymi z tyłu w wymyślny warkocz. W jego twarzy o obwisłych policzkach przykuwały uwagę długie wąsy i chytre, głęboko osadzone oczy. Rzadko się uśmiechał, co Winter uważała za dar losu, zważywszy na stan jego uzębienia. Blackstream był kapitanem dawnej królewskiej armii, absolwentem wojskowej uczelni z długim stażem. Widocznie jakieś osiągnięcia w trakcie tej służby zrobiły wrażenie na Janusie, skoro zrobił go dowódcą pułku piechoty.

– Aczkolwiek – ciągnął – zanim zapuścimy się w głąb Murnska, musimy przejść przez Dorsaya. Tak więc może nie będziemy musieli przejmować się tym, że możemy wpaść w ręce Murnskajczyków.

– Byłeś pod Vansfeldt – rzekł Sevrán, najwyraźniej chcąc zmienić temat. – Czy Brookspring jest tak groźny, jak wszyscy twierdzą?

Blackstream wypuścił powietrze, unosząc końce wąsów.

– Jest sprytny – powiedział po stosownym namyśle. – Cierpliwy i ostrożny. Gdy walczył z księciem Dominikiem, zczekał, aż książę zacznie się niecierpliwić i zrobi coś nierozważnego, i wtedy

uderzył.

– To raczej nie będzie problemem – rzekł pułkownik Martin de Koste, ostatni uczestnik kolacji. – Pierwszy konsul Vhalnich nie da mu takiej okazji.

Jeśli Blackstream reprezentował dawną armię, to de Koste uosabiał nową. Ten syn szlachcica z Transpalu był młody, dobrze wykształcony i kompletnie zauroczony rewolucyjnymi ideami. Co przekładało się na graniczący z kultem jednostki podziw, jakim darzył Janusa; był jedynym znanym Winter żołnierzem, który mówiąc o głównodowodzącym, zawsze wymieniał jego pełny tytuł. Ze wszystkich nowych podwładnych przy Martinie czuła się najbardziej nieswojo, gdyż miała wrażenie, że uważa ją za swego rodzaju półboga krążącego wokół prawdziwie boskiej istoty – pierwszego konsula.

– Janus dobrze sobie poradził z bandą stetryczalnych starych kupców – rzekł Blackstream. – Zobaczymy, jak mu pójdzie, kiedy będzie miał przeciwko sobie prawdziwego dowódcę.

– Nic nie wiem o hamveltajskich dowódcach – warknęła Abby – ale zapewniam was, że Żółte Kubraki nie są stetryczalnymi starcami. – Spojrzała na Blackstreama. – Niektórzy z nas walczyli przez cały zeszły rok, podczas gdy inni siedzieli na południowym wybrzeżu lub bohatercko uciekali.

– Idę tam, gdzie każe ministerstwo – powiedział flegmatycznie Blackstream. – Za moje grzechy. W przeszłości zaznałem aż nadto wojaczki.

– Ja tam niecierpliwie czekam na prawdziwą bitwę – oznajmił Erdine. – To żadna zabawa, gdy przeciwnik ma dwudziestokrotną przewagę liczebną.

– Tak czy inaczej, to żadna zabawa – powiedział Blackstream. – Cokolwiek zrobi Janus, to my odwalimy krwawą robotę.

De Koste znów chciał coś wtrącić, zapewne powiedzieć, że Janus mógłby w pojedynkę stoczyć zwycięską bitwę. Winter pospiesznie wstała.

– Jeśli pozwolicie – powiedziała – wzywają mnie obowiązki.

Abby próbowała pochwycić jej spojrzenie, ale Winter unikała jej wzroku. Gdy tylko kłapa namiotu opadła za jej plecami, podjęto przerwana rozmowę.

Abby. Krąg ludzi, do których Winter miała zaufanie, znacznie się zawęził w ciągu kilku minionych miesięcy. Marcus znów był przy Janusie, jako zastępca głównodowodzącego. Feor wciąż była w Vordanie, zgłębiając Tysiąc Imion. Z tych, którzy pozostali przy niej, tylko Bobby i Cyte znały wszystkie jej sekrety. A Abby...

Duch Jane unosił się między nimi jak mroczne widmo poczucia winy i żalu. Winter i Jane były kochankami w sierocińcu dla dziewcząt pani Wilmore, zanim Jane przemocą „wydano za mąż”, a Winter uciekła i wstąpiła do królewskiej armii. Ponownie się zeszły, gdy wróciła z Khandaru i Skórzane Kurtki Jane utworzyły jądro Pierwszego Dziewczęcego. Z tego, co było zwykłą bandą z doków, stworzyły oddział zawodowych żołnierzy, chociaż opuściły swoją dawną przywódczynię. W końcu desperacja skłoniła Jane do podjęcia szalonej próby zabicia Janusa.

Jej imię stało się rodzajem tabu, nigdy niewypowiadane nie tylko przez nie dwie, ale wszystkich żołnierzy Pierwszego Dziewczęcego. Dla Abby i innych sprawa była prosta: Jane ich zdradziła. A to, że potem uciekła i zamordowała przy tym strażniczkę z Pierwszego Dziewczęcego, przepełniło czarę goryczy.

Wszystkie dawne Skórzane Kurtki zachowywały się tak, jakby ich dawna przywódczyni nigdy nie istniała.

Gdyby to było takie proste. Winter odczuwała to jako czarną otchłań na dnie swoich myśli, dziurę grożącą wessaniem jej, ilekroć osłabiła czujność. Mogłam jej pomóc. Mogłam ją uratować. Gdybym tylko porozmawiała z nią wcześniej, powiedziała coś innego, nie zrobiłaby tego. Chciała tylko mnie. Powinnam była...

Zamknęła oczy, stojąc w ciemnościach wczesnego wieczoru przed namiotem dowodzenia, i gwałtownie cofnęła się znad tej otchłani. Dość. Są sprawy do załatwienia.

Pióro Winter z piskiem drapało tani papier.

Raporty, o ile mogła to ocenić, były stałym elementem życia armii, niezależnym od rangi i kontynentów. Przeszła już przez niemal wszystkie szczeble hierarchii i tylko jako szeregowy żołnierz uniknęła nieustannej potrzeby pisania raportów. Tylko dlatego, że szeregowi żołnierze nie musieli być piśmienni; gdyby było inaczej... Winter nie miała cienia wątpliwości, że Ministerstwo Wojny kazałoby im sporządzać szczegółowe sprawozdania z postępów w uprzątaniu końskiego łajna lub obieraniu ziemniaków.

Im wyżej awansowała, tym więcej podwładnych miała do pomocy, ale również więcej raportów do pisania o nich. Tak więc wszystko to się wyrównywało. Cyte zajmowała się znaczną częścią pracy administracyjnej z taką samą zręcznością, jaką wykazywała we wszystkim, ale zawsze były jakieś papiery wymagające podpisu lub opinii dowódcy.

Ostatni piechurzy w końcu dotarli do obozu. Śmiechy i okrzyki

przelatywały w nocnym powietrzu, wciąż chłodnym od wspomnienia zimy. Czekala ich bitwa i wszyscy o tym wiedzieli, lecz jeśli to niepokoiło szeregowych żołnierzy, dobrze to pokrywali udawaną brawurą. Weterani z Pierwszego Dziewczego i królewskich oddziałów, którzy walczyli w armii Wschód, udawali z kolei obojętność, popisując się w ten sposób swoim doświadczeniem. Pozostali, nowi rekruci i przeniesieni z mniej aktywnych armii, brali z nich przykład, nie chcąc wyjść przy nich na mięczaków. Nastroje były niezłe. To zdumiewające, jak szkolenia i regularne posiłki mogą wpłynąć na morale wojska, pomyślała Winter.

Usłyszała stukanie w słupek namiotu.

– Tak?

– To ja, Cyte – usłyszała.

– Wejdz.

Winter odłożyła pióro.

Cyte odchyliła połę namiotu i weszła do środka. W przeciwieństwie do Bobby była studentka uniwersytetu zawsze czuła się nieswojo w mundurze. Teraz nosiła gwiazdki kapitana i była szefem personelu Winter. Prawdę mówiąc, nie był to liczny personel, zaledwie Bobby i kilku posłańców, Cyte zaś z drobiazgową dokładnością zmieniała rozkazy Winter w szczegółowe harmonogramy i trasy. Winter już dawno przestała się zastanawiać, co zrobiłaby bez niej.

Kruczoczarne włosy Cyte były dłuższe niż za studenckich czasów i związane w koński ogon opadający na plecy, a ponadto dziewczyna zrezygnowała z ponurego makijażu nadającego jej lekko upiorny wygląd. Rzadko można ją było zobaczyć bez

notatnika lub pliku papierów w ręku.

– Raporty – oznajmiła, kładąc plik kartek na biurku Winter. –
Od zwiadowców Erdine’a.

Winter westchnęła.

– Możesz je streścić?

– Nic szczególnego – powiedziała Cyte. – To skrawek ziemi
niczyjej pomiędzy Vordanem a Murnskiem. Oficjalna granica
gdzieś tu jest, ale nigdy dokładnie nie ustalono gdzie. Jest tu kilka
wiosek i ich mieszkańcy mówią, że cieszą się z tego, że w końcu
położymy kres murnskajskiej tyranii.

– A konnicy imperatora zapewne mówią, że cieszą się z tego, że
ktoś wreszcie położy kres vordanajskiej tyranii – rzekła ze
zrozumieniem Winter. Będąc farmerem w miejscu, które widziało
tyle wojen, trzeba było nauczyć się pragmatyzmu. – Żadnego śladu
nieprzyjaciela?

– Jak dotąd nie. Dorsay wciąż się cofa.

– Może wycofa się aż do Borelu.

– Pułkownik Erdine byłby rozczarowany. – Cyte uśmiechała się
przez chwilę, lecz zaraz spoważniała. – Bobby powiedziała mi, że
prawie nie odzywałaś się przy kolacji.

– Nie miałam wiele do powiedzenia. – Winter wzruszyła
ramionami. – Sam Erdine mówi za tuzin. Ponadto, ilekroć coś
powiem...

Zamilkła.

– Tak? – zachęciła ją Cyte.

– Oni wszyscy słuchają. – Winter przegarnęła palcami włosy
i zachichotała bez cienia rozbawienia. – Jakbym była kapłanem
głoszącym słowo boże.

– Boją się ciebie – powiedziała Cyte.

– Nie mam pojęcia dlaczego. Nie byłam dla nich surowa.

– Minęło kilka miesięcy, a oni prawie cię nie znają. Czy kiedykolwiek rozmawiałaś z którymś z nich o czymkolwiek poza wojskowymi sprawami?

– Mogłaś tego nie zauważyć, ale mamy sporo spraw do załatwienia – odparła Winter.

Była to słaba riposta i zdawała sobie z tego sprawę. Cyte sama wykonywała większość prac administracyjnych. Tak naprawdę to Winter nie chciała, żeby ją poznali. Chce tylko, żeby robili swoje, pomyślała. Bynajmniej nie pomagało to, że choć jej płęć była dobrze znana dziewczynom z Pierwszego Dziewczego, ukrywała ją pod męskim przebraniem przed pułkownikami i resztą armii.

– To dobrzy oficerowie – powiedziała, odwracając wzrok pod przenikliwym spojrzeniem Cyte. – Nie sądzę, by potrzebowali ściślejszego nadzoru.

– Winter... – zaczęła Cyte i urwała. Nabrała tchu. – Zatem to wszystko?

Winter skinęła głową. Cyte zasalutowała, nieco sztywno, po czym zostawiła ją samą.

Sama. Przyzwyczaiła się do tego – prawie. Już nie budziła się każdego ranka, spodziewając się znaleźć kogoś obok siebie, ani nie parzyła dwukrotnie więcej herbaty, niż potrzebowała. Przestała się dziwić, że w namiocie panuje porządek.

Oczywiście, Bobby miała Marsha. Teraz był kapitanem w drugim pułku piechoty Sevrana. A Cyte... Winter zastanawiała się, czy znalazła sobie kogoś wśród żołnierzy drugiej dywizji. Myśl, że mogłaby się zakochać, wydawała się dziwnie mało

prawdopodobna; Cyte roztaczała taką aurę chłodnej kompetencji, że trudno było sobie wyobrazić, że mogłaby zrobić coś tak nielogicznego.

Winter znów znalazła się niebezpiecznie blisko otchłani. Potrząsnęła głową, odganiając te myśli, i podniosła pióro. Dwa dni do spotkania z Janusem, a potem zapewne bitwa. Do tej pory wszystko musi być w idealnym porządku.

Trzy Marcus

Główna kwatera Wielkiej Armii oficjalnie znajdowała się w wiosce Vaus, ale tylko dlatego, że była to najbliższa miejscowość zaznaczona na mapie. Samo Vaus było nędzną dziurą, zbiorowiskiem lepianek, których mieszkańcy już dawno uciekli do lasu. Na otaczających wieś polach Wielka Armia rozłożyła obóz wielkości małego miasteczka. Buty, podkowy i koła wozów zmieniły świeżo obsianą glebę w błoto.

Same rozmiary tworu powołanego do życia przez Janusa zaskakiwały Marcusa za każdym razem, gdy wchodził na mały pagórek. Równe rzędy niebieskich namiotów ciągnęły się w dal, w nieregularnych odstępach przecinane alejkami umożliwiającymi ruch. Przy kwaterze artylerii stały działa głównej rezerwy armii; ustawione w równych rzędach lśniły żelazem i mosiądzem, lufy zaś były zakryte brezentowymi workami chroniącymi przed błotem i wilgocią. Długie szeregi uwiązanych na skraju obozu koni przerywały ciszę wczesnego wieczoru cichym rżeniem.

I była to zaledwie część armii – cztery dywizje oraz artyleria i jazda. Już te oddziały były większą siłą od armii Wschód, a kolejne cztery dywizje czekały na południu i zachodzie, dowodzone przez Fitzę Warusa. Na wschodzie, przy innej miejscowości zwanej Glarusk, rozbiły obóz jeszcze dwie dywizje pod komendą

Winter Ihernglass.

Na północy oczywiście, za szerokim pasem pustych pól i zagajników, borelgajska armia Dorsaya rozłożyła się obozem na brzegach rzeki Ytolin. Łącznie w obu armiach niemal sto sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy wykonywało rozkazy dwóch ludzi. Przez chwilę Marcus postrzegał to wszystko jako ogromną maszynę z wzajemnie poruszającymi się trybami, pracą naprzód niezależnie od tego, co zostanie zmielone w nich na proch...

Potrząsnął głową ze smutnym uśmiechem. Sam tego chciałeś, d'Ivoire. Janus pozwoliłby ci zostać w Vordanie i pilnować składów. Teraz nie rób z tego melodramatu, napomniał się.

Odwrócił się plecami do obozu, w którym ogniska zaczęły migotać jak gwiazdy, po czym poszedł do namiotu dowodzenia. Wsparty na sześciu masztach był wystarczająco duży, aby tuzin osób mogło wygodnie stanąć wokół stołu z mapami. W środku paliły się lampy, a przed wejściem stali dwaj wartownicy z muszkietami.

Janus nadszedł krótką polną ścieżką biegnącą kamienistym zboczem niewielkiego pagórka. Galowy mundur, który włożył na konferencję pokojową, zamienił na zwykły niebieski, różniący się od standardowego tylko złotymi liśćmi wawrzynu na naramiennikach. Podążający za nim dwaj żołnierze mieli nowe srebrne odznaki w kształcie skorpiona, takie same jak ta na piersi Marcusa i noszone przez weteranów dawnych wojsk kolonialnych. Mierantajscy strzelcy, stanowiący gwardię przyboczną Janusa, byli ochotnikami, którzy porzucili spokojne życie i przybyli na jego wezwanie, a on pozwolił im wrócić na zimę do ich górskich gospodarstw i wiosek. Teraz za bezpieczeństwo pierwszego konsula

odpowiadał specjalny oddział weteranów.

– Marcusie! – powiedział Janus. – Mam nadzieję, że nie kazałem ci czekać.

– Nie, pierwszy konsulu – odparł Marcus, sprężyście salutując, co dowódca skwitował machnięciem ręki. – Dopiero przyszedłem.

– To dobrze. – Janus uśmiechnął się. – Na razie chyba przemarsz przebiega sprawnie.

– Tak jest, pierwszy konsulu. – Marcus spojrzał na długie rzędy namiotów. – Szczerze mówiąc, dziwię się, że nie mieliśmy poważniejszych problemów.

– Praktyka czyni mistrza. – Janus powiódł wzrokiem za spojrzeniem Marcusa i skrzywił się. – Chociaż będę szczęśliwszy, kiedy nasze królewskie towarzystwo zostanie z tyłu.

Namiot Raesinii był srebrzyście biały i większy od innych, otoczony własnym małym obozem kucharzy, stajennych oraz woźniców i strzeżony przez grenadierów gwardii królewskiej. Królowa ograniczyła swoją świtę do minimum i Marcus nie mógł narzekać, że spowalnia marsz, ale niepokoiło go, że ona jest tak blisko pola bitwy.

– Wolałbym, żeby tak nie ryzykowała – przyznał Marcus.

– Nie w tym rzecz, że ona się naraża – rzekł Janus. – Bardziej niepokoi mnie zagrożenie, jakim jest dla nas. Miniony wiek dostarcza wielu przykładów nierozwagi, jaką jest powierzanie dowodzenia w bitwie dziedzicznemu władcy.

– Jej Królewska Mość nie okazuje chęci do objęcia dowodzenia – zauważył Marcus.

– W tym momencie. Może jednak nie być tak wyrozumiała, gdy zacznie wyglądać, że sprawy przybierają zły obrót. – Janus wydał

usta w zadumie. – Może będę musiał porozmawiać z pułkownikiem dowodzącym grenadierami gwardii. Gdy przyjdzie czas, może trzeba będzie zabrać Jej Królewską Mość na południe, dla jej własnego bezpieczeństwa.

Marcus nie wyobrażał sobie, żeby Raesinia zaakceptowała to bez oporu, ale tylko skinął głową.

– Czy spodziewa się pan, generale, że sprawy przybiorą zły obrót?

– Oczywiście, że nie. Jednak gdyby cała ta kampania przebiegła zgodnie z oczekiwaniami, byłby to pierwszy taki przypadek w historii wojen. – Janus znów się uśmiechnął. – Już ci mówiłem, że moja reputacja wszytkowiedzącego jest mocno przesadzona. – Odwrócił się, słysząc odgłos kroków na ścieżce. – Ach, oto i Ihernglass.

Marcus musiał przyznać, że prawie rok w polu nie wpłynął korzystnie na generała. Jasnoblond włosy miał ścięte tak krótko, że wyglądały jak szczecina, a policzki zapadnięte nawet po kilku zimowych miesiącach spędzonych na kwaterze. Zawsze szczupły, teraz był chudy jak szczapa, chociaż wyglądał na równie silnego jak zawsze.

Zapewne powodem nie była tylko długa kampania. Marcus niechętnie słuchał obozowych plotek, ale jedna z nich dość wiarygodnie głosiła, że kochanka Ihernglassa, oficer Pierwszego Dziewczęcego zwana Szaloną Jane, okazała się zdrajczynią podczas walk z Dyrektoriatem i próbowała go zabić, a potem uciekła. Mówiono, że Ihernglass bardzo to przeżywa. Chociaż Marcus nie mógł mu nie współczuć – pamiętając Jen Alhundt – zastanawiał się, czy sprawy osobiste nie wpłyną na jego zdolność

dowodzenia. Jednak Janus wciąż mu ufa i tylko to się liczy.

Generał przyprowadził ze sobą dwie kobiety, obie w stopniu kapitana. Widok kobiet w mundurach już prawie – chociaż niezupełnie – przestał budzić instynktowne zdziwienie Marcusa, ale cała ta koncepcja wciąż go niepokoiła. Nie mógł zaprzeczyć, że one umieją walczyć – w stolicy Vordanu rozbiły Gwardię Patriotyczną, a Ihernglass osobiście uratował królową – ale teraz, gdy kryzys minął, mimowolnie pragnął, żeby zostały w jakimś bezpiecznym miejscu. Może strzec bezpieczeństwa królowej w Vordanie. Jednak Janus nie miał najwidoczniej żadnych obaw związanych z tymi dziwnymi żołnierzami i Marcus jeszcze raz był zmuszony trzymać język za zębami.

– Pierwszy konsulu.

Ihernglass zsalutował służbiście, a jego podkomendne wzięły z niego przykład.

– Witaj, generale dywizji – powiedział Janus.

Wprowadził ich do wielkiego namiotu. Na dużym składanym stole leżało kilka map o różnej wielkości i skali, ze znaczkami i uwagami nakreślonymi czerwoną kredką. Janus zajął miejsce na końcu stołu, a pozostali stanęli wokół.

– Nie wiem, czy wszyscy się znają – powiedział Ihernglass. Wskazał młodą, ładną brunetkę stojącą na baczność. Po jego drugiej stronie szczupła i ciemnowłosa kobieta wyglądała na pewniejszą siebie. – To kapitan Bobby Forester, a to kapitan Cytomandiclea.

– To dla mnie zaszczyt, pierwszy konsulu! – wypaliła trochę za głośno Bobby.

– Dla mnie również – powiedziała druga kobieta.

– Cytomandiclea – powtórzył Janus. – Tak jak mithradacejska królowa?

– Hmm, tak, pierwszy konsulu – odrzekła zaskoczona Cyte. – I proszę mówić mi Cyte, jeśli pan chce.

– Zawsze uważałem, że to słabo poznana postać. Zbyt wiele uwagi poświęca się takim osobom jak Andromachus i Vestarian, mimo że w trakcie swych słynnych kampanii zdołali jedynie spalić kilka wiosek. Niestety, cała epoka Upadku Tyranów jest słabo udokumentowana.

Marcus, którego już dawno przestała zaskakiwać ezoteryczna wiedza, którą Janus potrafił w mgnieniu oka wyciągnąć jak magik królika z kapelusza, odkaszlnął i przedstawił się.

– Generał kolumny Marcus d'Ivoire.

– Czytałam o khandarskiej kampanii – powiedziała Cyte. – Poznać pana to też wielki zaszczyt.

Powiedziała to z uśmiechem, który rozpromienił jej nieco posępną twarz, i Marcus poczuł, że się lekko rumieni pod zarostem. Zgrzytnął zębami. Jeszcze jeden powód, dla którego kobiety nie powinny być żołnierzami. To nie w porządku wobec nas, mężczyzn.

– Bardzo dobrze – powiedział Janus. Teatralnym machnięciem ręki odsunął na bok część map i rozłożył na stole duży arkusz papieru. – Możemy zacząć?

Marcus i Ihernglass jednocześnie powiedzieli „Tak jest!” i pochylili się nad stołem. Janus wziął kredkę i nakreślił długą linię prostą na środku kartki.

– Zaprosiłem was tutaj – powiedział – ponieważ wy dwaj macie odegrać najważniejsze role w jutrzejszym spektaklu. To jest rzeka Ytolin, a to – zakreślił krąg na rzece – jest miasto Gilphaite na

południowym brzegu. Diuk Brookspring ma tam swoją kwaterę główną, a jego armia obozuje wokół miasta. To dogodna pozycja. Miasto znajduje się na wzniesieniu górującym nad okolicą, rzeka zapewnia bezpieczne stanowiska jego flankom, a w Gilphaite jest dobry most. Dorsay wie, że mamy przewagę liczebną, i nie jest głupcem. Niewątpliwie ma nadzieję, że nadciągając, grzecznie zaatakujemy jego pierwszą linię, żeby mógł nas wykrwawić i wycofać się przez most, zanim ją przełamiemy.

– Moglibyśmy go oskrzydlić – zauważył Marcus. – Nie ma dość ludzi, żeby bronić całej rzeki.

Janus skinął głową.

– To trwałoby trochę, ale owszem. Gdybyśmy go oskrzydłili, Dorsay nie miałby innego wyjścia, musiałby się wycofać. Problem w tym, że niespecjalnie by mu to zaszkodziło. Zdobylibyśmy jedno miasteczko, a on w razie potrzeby może oddać nam cały Murnsk, żeby zyskać na czasie. Imperator zbiera wojska i kiedy skończy, będą mieli nad nami przewagę liczebną. Siły Dorsaya muszą zostać rozbite, zanim wejdą do walki. – Postukał palcem w kartkę. – Pamiętajcie o tym. Nie chodzi o zdobycie terenu. Celem jest rozbicie nieprzyjaciela. Wyeliminujecie go, a wszystko samo się ułoży.

Cyte podniosła głowę, wyraźnie podekscytowana.

– Zakładam, że masz jakiś pomysł? – spytał Ihernglass.

– Istotnie. – Janus nakreślił na mapie krzyżyk, na południe od miejsca obozowania armii Dorsay. – To jest Vaus, znajdujące się na drodze do Gilphaite. Tamtejsze cztery dywizje są siłą niemal dorównującą tej, jaką ma Dorsay. Rano, Marcusie, poprowadzisz je na północ i zaatakujesz obóz nieprzyjaciela.

Marcus uczestniczył w dostatecznie wielu takich odprawach, żeby nie zadać oczywistego pytania, ale Bobby zrobiła to za niego.

– Myślałam, że mamy nie przeprowadzać frontального ataku?

– Diuk musi sądzić, że połknęliśmy przynętę. – Janus nakreślił drugi krzyżyk, na wschodzie. – Twoja druga i szósta dywizja są tutaj, Ihernglass.

– Tajest, pierwszy konsulu.

– Dorsay ma dwa słabe punkty, które możemy wykorzystać. Pierwszy to brak naprawdę skutecznej kawalerii. Borel zawsze polegał na zaciężnej lekkiej jeździe, a jej skuteczność jest mizerna. Niewątpliwie liczy na to, że imperator pomoże mu w tej kwestii, lecz jego wojsk jeszcze tu nie ma. Nasza kawaleria powinna zapewnić nam skuteczną osłonę. Drugim słabym punktem Dorsaya jest to, że jego odwrót zależy od istnienia mostu w Gilphaite. Gdyby most został zdobyty lub zniszczony, jego silna pozycja zmieniałaby się w pułapkę. – Janus narysował linię biegnącą na północny wschód od drugiej dywizji Winter do rzeki, a potem skręcającą na zachód i ku północnemu brzegowi, w kierunku wojsk nieprzyjaciela. – Ihernglass, wymaszerujesz przed świtem. Patrole generała dywizji Stokesa zapewniają mnie, że w tym miejscu przeprawa przez Ytolin jest łatwa, przynajmniej dla ludzi i koni. Zostawicie armaty, wozy i wszystko, co mogłoby spowolnić marsz. Wasza kawaleria pojedzie przodem, zmuszając do odwrotu patrole wroga. Chcę, żebyście do południa zajęli pozycje umożliwiające atak od północy na most w Gilphaite. Główne siły odciągną odwody Dorsaya na południe i spodziewam się, że nie będzie mocno broniony. – Nakreślił ostatni krzyżyk, nieco na południowy zachód od Vaus. – Tu jest generał dywizji Warus z połową naszych sił.

Wyruszy tak, aby przybyć po tym, jak Ihernglass przeprowadzi atak. Podwojenie naszych sił powinno przekonać Dorsaya, że zabawa skończona i przyszedł czas się wycofać, ale kiedy spróbuje to zrobić, odkryje, że odcięliśmy mu drogę. Jak go znam, od razu się podda. Jeśli nie... – Janus wzruszył ramionami. – W razie potrzeby rozniesiemy ich na strzępy i będziemy mieli dość czasu na przegrupowanie sił, zanim imperator przybędzie tu ze swymi legionami.

Marcus zerknął na Ihernglassa. Nie trzeba było geniuszu Janusa, żeby spostrzec, że ten plan stawiał jego dwie dywizje w niezwykle trudnej sytuacji. Za głęboką rzeką, bez artylerii i zaopatrzenia, zostaną zdane na siebie, jeśli coś źle pójdzie. Marcus niemal się spodziewał, że generał zaprotestuje. Co prawda nie miałyby to żadnego wpływu na decyzję Janusa, ale na miejscu Ihernglassa Marcus być może chciałby zgłosić formalny protest.

Generał powiedział tylko:

– To długi marsz, a po nim walka.

– Owszem – rzekł Janus. – Czy twoje oddziały dadzą sobie radę?

– Oczywiście, pierwszy konsulu – odpowiedział Ihernglass. – Za pańskim pozwoleniem chciałbym wyruszyć o północy, przy świetle pochodni. To zapewni nam większy margines błędu.

– Jeśli tak uważasz – powiedział Janus. Wyglądał na zadowolonego. – Marcusie, masz najbardziej skomplikowane zadanie. Musisz przekonać Dorsaya, że jest to atak głównych sił, ale nie nacierać zbyt energicznie, żeby nie wycofał się przedwcześnie, i oczywiście starać się w miarę możliwości oszczędzać nasze siły. Dostaniesz wsparcie naszej artylerii

i zalecam, abyś zrobił jak najlepszy użytek z działań dalekiego zasięgu. Jeśli Dorsay przeprowadzi kontratak, pozwól mu zdobyć trochę terenu. Im dalej będzie od mostu, tym lepiej.

– Tak jest, pierwszy konsulu – odparł Marcus. – A co w takim razie z Fitzem?

– Jeszcze dziś pojedę do pierwszej dywizji, żeby osobiście przekazać mu instrukcje. Czas jego przybycia na pole bitwy jest decydującym elementem planu, dlatego sam mu o tym powiem.

– Ach. – Marcus przełknął ślinę, dopiero teraz pojmując, że Janus powierza mu dowodzenie jedną trzecią armii. – Zrozumiałem, pierwszy konsulu.

– Nie rozczarujemy pana, pierwszy konsulu – zapewnił go Ihernglass.

– Macie moje całkowite zaufanie. – Twarz Janusa znów rozpromienił szybki jak błyskawica uśmiech. – A teraz zróbmy to.

Winter

Znajdowali się w połowie drogi do Glaruska, podążając przy świetle pochodni. Niebo zmieniało kolor z fioletowego w czarny, gdy Cyte w końcu zapytała:

– Powiedziałeś, że chcesz wymaszerować o północy, generale?

Winter skinęła głową.

– Będzie prawie jedenasta, zanim wrócimy do obozu – zauważyła Cyte.

– Nie pierwsza nieprzespana noc podczas kampanii – stwierdziła Winter – i założę się, że nie ostatnia.

– Mam jeszcze trochę khandarskiej kawy – powiedziała Bobby.
– Zaparzę ją.

Sama myśl o tym odrobinę poprawiła jej humor i Winter wyprostowała się w siodle. Edgar stąpał wolno, ale pewnie, nawet przy blasku pochodni. Winter z zaciekawieniem zerknęła na Cyte, która w skupieniu marszczyła czoło.

– Czy Janus okazał się taki, jak się spodziewałaś? – spytała.

– Robi wrażenie – odrzekła Cyte. – Ten plan jest bardzo ryzykowny, ale nie wydaje się taki, kiedy on go przedstawia. Tak jakby...

– ...z góry wiedział, co się stanie – z uśmiechem dokończyła Winter. – A przynajmniej udawał, że wie. Kiedyś powiedział mi, że połową sukcesu w odgrywaniu geniusza jest umiejętność przypisywania sobie zasług za sukcesy, które przyszły same.

Cyte zachichotała.

– Zapewne. Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób.

– Myślicie, że naprawdę zamierza dotrzeć aż do Elizjum? – zapytała zniecierpliwiona Bobby.

Zapadła chwila ciszy.

– Nie wiem o nadprzyrodzonych zjawiskach tyle co wy dwie – rzekła Cyte – ale o ile potrafię to ocenić, byłoby to korzystne strategicznie, w szerszej perspektywie. Jeśli uważa, że toczymy wojnę z Kapłanami Czerni, to jedynym sposobem, by ją wygrać, jest uderzyć w nich tak mocno, żeby skapitulowali albo nie mogli jej kontynuować.

– Zgadzam się z tym – przyznała Winter. – W Khandarze powiedział mi, że dopiero to będzie prawdziwa walka.

Dziwnie było pomyśleć, że wszystko inne dotychczas było

swoistym... wstępem. Usuwaniem pionków z szachownicy, żeby zrobić miejsce dla ważniejszej rozgrywki.

– Wszyscy twierdzą, że Murnska nie można podbić – powiedziała Bobby.

– Na szczęście nie musimy go podbijać – zauważyła Cyte. – Murnsk rozpościera się aż do Starego Wybrzeża na wschodzie. My musimy dotrzeć tylko do Elizjum.

– Tylko – mruknęła Winter. – Ile to jest, trzysta mil?

– Blżej czterystu. – Cyte wzruszyła ramionami. – Do Vordanu jest stąd dalej.

Przy dobrym stanie dróg, zaopatrzeniu barkami i jeśli wróg nie stanie nam na drodze. Jednak Winter nie powiedziała tego. Prawdę mówiąc, jeśli Janus chciał ruszyć na Elizjum, to nie miało znaczenia, czy będzie to trzysta mil, czy tysiąc. Ona zrobi, co w jej mocy, żeby tam dojść. A co innego mogłabym zrobić? – zapytała sama siebie.

W końcu obozowe ogniska drugiej dywizji znalazły się w polu widzenia i Winter z przyjemnością usłyszała głos wartownika domagającego się hasła. Bobby podała je i przejechały obok wartowników, między rzędy namiotów – mniejszą kopię ogromnego obozu wokół Vaus.

– Bobby, najpierw zbudź Abby – rozkazała Winter. – Powiedz jej, że chcę, by Pierwszy Dziewczęcy wypłoszył harcowników, zajął północny brzeg rzeki i dopilnował, żebyśmy nie napotkali tam żadnych niespodzianek. Potem każ Erdine'owi, aby zebrał swoich ludzi i wyruszył. Mogą prowadzić konie, dopóki nie zrobi się dostatecznie jasno. Ma przeprowić się przez rzekę i zrobić zwiad na drugim brzegu, upewniając się, że żaden nieprzyjacielski

zwiadowca nie zbliżył się na tyle, żeby nas zobaczyć.

– Tajest, generale – powiedziała Bobby, szarpiąc wodze i okręcając konia.

– Będziemy musieli wysłać kogoś do szóstej dywizji. Powiedźcie generałowi... – Winter usiłowała przypomnieć sobie jego nazwisko.

– Generałowi Ibsly’emu, panie generale – podpowiedziała Cyte.

– Właśnie. – Ibsly. Poznała nerwowego kapitana saperów, który został awansowany ze znanych tylko Janusowi powodów. Tak jak wielu innych. – Powiedz mu, że ma wysłać kawalerię na północ, gdzie jej pułkownik odda się pod rozkazy Erdine’a. Jego piechota powinna iść z przodu, my będziemy zamykać kolumnę. Och, i każ Archerowi ruszyć z taborami i działami do Vaus. Jeśli nie możemy ich przeprowadzić za rzekę, to jestem pewna, że generał kolumny d’Ivoire zrobi dobry użytek z paru dodatkowych baterii.

Cyte skinęła głową, zaszalutowała i odjechała. Winter skierowała się do swojego namiotu. Nie żeby miała teraz czas na spanie, ale tam łatwo będzie ją znaleźć, gdyby coś źle poszło.

Oczywiście coś poszło źle. Zapewne trudno oczekiwać, że prawie dwadzieścia tysięcy ludzi wstanie z łóżek, spakuje się i wymaszeruje w zwartym szyku w środku nocy bez żadnych przykrych niespodzianek. Mimo to cała ta operacja przebiegła stosunkowo gładko. Tylko jakiś kapitan z drugiego pułku Ibsly’ego zabłądził i wprowadził swój batalion między oddziały Sevrana, wywołując ogromne zamieszanie, a kilka upartych koni opóźniło wyjazd taborów. Winter pośpiesznie rozwiązała te problemy: zagubionemu batalionowi kazano po prostu maszerować dalej, a znajdującym się w pobliżu taborów kompaniom odciągnąć blokujące drogę wozy na bok, dopóki woźnice nie rozplączą

uprząży. Do pierwszej w nocy rzeka niebieskich mundurów już płynęła na północ, w kierunku Ytolin, a Winter pozwoliła tragarzom rozebrać swój namiot i znów dosiadła Edgara.

Teren powoli opadał ku rzece, a potem łagodnie wznosił się po jej drugiej stronie. Południowy brzeg był niemal całkowicie zajęty przez pola uprawne, tworzące nieregularną szachownicę poprzecinaną ogrodzeniami i żywopłotami, które żołnierze rąbali, nie próbując szukać bram. W blasku księżyca Winter zobaczyła, że po drugiej stronie teren jest bardziej pagórkowaty i usiany zagajnikami. Gdzieniedzie pagórki były nagie. Tu i ówdzie widziała światła samotnych chat.

Pierwszy Dziewczęcy, który w luźnym szyku osłaniał czoło kolumny, nie napotkał żadnego oporu w drodze do rzeki. Kilka kobiet już przeszło na jej drugą stronę, brodząc w wodzie na tyle głębokiej, że musiały trzymać nad głową muszkiety i ładownice. Kawaleria Erdine'a podążyła za nimi – jeźdźcy przeprowadzali niezadowolone wierzchowce po zdradliwym dnie rzeki. W pierwszym świetle dnia Winter zobaczyła, że formują szyk na północnym brzegu, w niebieskich mundurach przemoczonych po pachy. Rozkazała przeprowić się pozostałym pododdziałom Pierwszego Dziewczęcego, a potem zwołała naradę z dowódcami piechoty.

Ibsly przyszedł na nią z czterema swoimi pułkownikami. Przecierał właśnie okulary rąbkiem koszuli. Sevran, Blackstream i de Koste stali tuż obok siebie, jakby przewaga liczebna przybyszów im się nie podobała.

– Generale dywizji Ihernglass – odezwał się Ibsly, zakładając okulary. – Cieszę się, że w końcu znalazł pan chwilę na

wyjaśnienie nam sytuacji.

– Czy cała kolumna przeprowia się przez rzekę? – spytał Blackstream. – Będzie piekielnie ciężko, jeśli dopadnie nas piechota wroga.

– Czy pierwszy konsul powiedział panu, czy oczekuje, że podejmiemy walkę? – zapytał de Koste. Wyraźnie się do tego palił.

Winter uniosła rękę.

– Po kolei, proszę. Tak, przeprowiamy się przez rzekę i myślę, że będziemy walczyć. Chcę, by szósta dywizja przeszła pierwsza, ale nie parła naprzód, dopóki pozostałe oddziały się nie przeprowią. Wykorzystajcie ten czas na odpoczynek, ponieważ kiedy ruszymy, będziemy szli naprawdę szybko. Jazda spróbuje nie dopuścić, by zwiadowcy Dorsaya nas wykryli, ale w końcu nieprzyjaciel nas zauważy. Im bliżej celu podejdziemy, zanim to nastąpi, tym lepiej.

Streściła plan przedstawiony przez Janusa, przynajmniej w części dotyczącej jej kolumny. Ibsly zdjął okulary i znów zaczął je przecierać, a Blackstream wciągnął powietrze przez zęby.

– To diabelnie ryzykowny rzut kośćmi – rzekł stary pułkownik.
– Jeśli Dorsay wcześniej się zorientuje, może przeprowadzić wszystkie swoje oddziały przez rzekę i rzucić je na nas. Miałyby dwukrotną przewagę.

– Takie zadanie wyznaczył nam Janus – zauważyła Winter. – Jeszcze nigdy go nie zawiodłem i nie zamierzam zrobić tego teraz. Pomaszujemy najszybciej jak się da i zaatakujemy most wszystkimi siłami.

– Racja – przyznał de Koste. – Powinniśmy wierzyć w pierwszego konsula.

– Miałbym więcej wiary, gdybyśmy mogli zabrać nasze działa –

kwaśno zauważył Blackstream, wzruszając ramionami. – Skoro tak pan mówi, panie generale. Moi chłopcy będą gotowi do przeprawy.

– A ja przygotuję moich – rzekł Ibsly, zakładając okulary. Zawahał się. – To wielki honor, prawda? To, że Janus powierzył nam tak odpowiedzialne zadanie.

Winter nie zapomniała, jak myśli szeregowy żołnierz, i teraz przemknęło jej przez głowę, że o honorze oficerowie mówią ludziom, którzy wkrótce mają zginąć. Jednak Ibsly i tak wyglądała na zdenerwowanego, więc tylko się uśmiechnęła i skinęła głową.

– Wielki honor – powtórzył Ibsly i odmaszerował.

– Generale? Można na słowo? – powiedział Sevrans, gdy pozostali wyszli.

– O co chodzi? – zapytała Winter.

Niebo już jaśniało, przechodząc z ciemnoszarego w najbledszy z błękitów, a na horyzoncie zaczęło płonąć zapowiedzią wschodu słońca. Pierwszy Dziewczęcy wciąż przeprowadzał się przez rzekę, w dobrych nastrojach, sądząc po tym, jak żołnierze śmiali się i ochlapywali wodą. Na drugim brzegu niektóre z nich pozdejmowały bluzy i spodnie, żeby je wyżąć. Gwizdom kawalerzystów odpowiedziały dobrodusze wyzwiska.

– Blackstream się nie myli – rzekł cicho Sevrans. – Dostatecznie długo to robię, żeby przechodziły mnie ciarki, ilekroć ktoś zaczyna mówić o szybkich przemarszach i niespodziewanych atakach z flanki. One nigdy nie przebiegają zgodnie z planem.

– My musimy tylko zrobić swoje – odparła Winter. – Ponadto mówimy o planie Janusa, nie jakiegoś idioty, który przypadkiem dorastał z królem. On wie, co robi.

– Oczywiście. Ja tylko uważam, że dobrze byłoby mieć odwody w pogotowiu. Na wypadek gdyby coś nie poszło zgodnie z planem.

– Będę o tym pamiętać. – Winter zareagowała ostrzej, niż zamierzała. – A teraz sądzę, że ma pan pułk, którym trzeba się zająć.

– Tak jest, generale.

Kwietniowe powietrze wciąż było chłodne, ale przynajmniej wyszło słońce, słabymi porannymi promieniami próbując wysuszyć wilgotne mundury żołnierzy, którzy przeprawili się przez Ytolin. Z podążającą w przedzie kawalerią kolumna ruszyła naprzód. Winter kazała dobozom wybijać szybki, zachęcający rytm, a przednia straż nadawała ostre tempo. Pierwszy Dziewczęcy jak zwykle prowadził, gotowy wysłać harcowników, by utworzyli osłonę ogniową w razie napotkania wroga.

Jednakże na pierwszych etapach marszu nie natknęli się na żaden opór i dopiero koło południa jeźdźcy pułkownika Erdine'a wrócili z meldunkiem, że jego zwiadowcy starli się z Borelgajami. Nawet wtedy okazało się, że to tylko konne patrole wroga, który zadowolił się oddaniem kilku strzałów z karabinów, po czym wycofał się przed nacierającą vordanajską jazdą. Posłańcy Erdine'a zapewnili Winter, że żadni borelgajscy zwiadowcy nie zbliżą się na tyle, aby zobaczyć kolumnę piechoty.

– Zaczęło się – powiedziała cicho Cyte jadąca obok Winter tuż za Pierwszym Dziewczęcym.

Winter spojrzała na nią pytająco, lecz Cyte tylko na moment zamknęła oczy i uniosła rękę. Winter zaczęła nasłuchiwać i po chwili też to usłyszała. Zagłuszany tupotem buciorów i gwarem

rozmów niemal bezgłośny pomruk, przypominający grom przetaczający się w oddali. Huk dział, przelatujący echem nad wzgórzami i przez rzekę. Marcus rozpoczął atak. Na razie wszystko zdawało się przebiegać zgodnie z planem, chociaż była zadowolona z tego, że nalegała na wczesny wymarsz.

Żołnierze w kolumnie też usłyszeli działa i nastrój w szeregach się zmienił. Krzyki i śmiechy stopniowo ucichły, zastąpione przez ciche, rzeczowe rozmowy. W trakcie rzadkich odpoczynków widziała żołnierzy kilkakrotnie sprawdzających ładownice lub upewniających się, że bagnety gładko wychodzą z pochew. Jakaś młoda kobieta – być może jedna z tych, które zaciągnęły się w Talbonn – stała skrzywiona i bliska łez, usiłując opanować sztukę ładowania broni pod nadzorem niewyrozumiałej sierżant. Inne dziewczęta z Pierwszego Dziewczęcego sprawdzały sztylety, które niemal wszystkie miały schowane gdzieś pod mundurem; gdyby dostały się do niewoli, ta broń miała umożliwić im ucieczkę lub popełnienie samobójstwa, jeśli alternatywa byłaby nie do zniesienia.

Winter z zadowoleniem zobaczyła, że nie wykazują oznak przygnębienia lub strachu, tylko chłodno oceniają sytuację. Jedynie Pierwszy Dziewczęcy i drugi pułk Sevrana brały udział w prawdziwych bitwach. Dwa pozostałe pułki i cała dywizja Ibsly'ego składały się głównie z uzupełnień ściągniętych z zachodu i południa. To będzie dla nich piekielnie ciężka pierwsza bitwa, pomyślała.

Właśnie zamierzała wydać kolumnie rozkaz wznowienia marszu, gdy nadszedło kilku konnych, z samym Erdine'em na czele. Pułkownik kawalerii wyglądał znakomicie; jego złociste

kędziory wymykały się spod runda kapelusza, którego kolorowe pióra wesoło podskakiwały w trakcie jazdy. Pomachał do Winter, panując nad swoim wierzchowcem ze swobodą, której mu zazdrościła.

– Generale, z przyjemnością melduję, że zepchnęliśmy Borelgajów na ich główną linię, aczkolwiek trzeba przyznać, że nie stawiali silnego oporu – powiedział. – Naszym zdaniem nie wiedzą, że z naszej strony to coś więcej niż wypad kawalerii, ale to się zmieni, gdy tylko przejdziemy za następne wzniesienie. Mają tuzin dział ustawionych na wzgórzu.

Winter przeszedł dreszcz. Tuzin dział? Cała bateria czekająca na ich atak nie wyglądała na słabą obronę zapowiadaną przez Janusa.

– Co z piechotą?

– Widzieliśmy tylko harcowników i jazdę. Jest tam jednak szeroki pas ziemi niczyjej, na której może się ukrywać.

Winter skinęła głową.

– Bobby, ustaw pułki w szyku i przygotuj do wymarszu. Cyte, za mną. Obejrzymy teren. Pułkownik, może nam pan znaleźć jakiś dobry punkt obserwacyjny?

– Oczywiście, generale. Proszę jechać za mną.

Zatrzymali się w rzadko porośniętej drzewami dolince, gdzie droga biegnąca wzdłuż rzeki odbijała na północ, przecinała strumień i omijała wzgórze. Erdine poprowadził je w górę, nie zważając na stromiznę. Cyte była dobrym jeźdźcem; Winter miała wrażenie, że ona sama i Edgar spowalniają przejazd, chociaż jej powoli poruszający się wierzchowiec dość pewnie pokonywał kamienie i leżące na ziemi gałęzie. Po kilku minutach dotarli do

miejsca, gdzie rachityczne brzozy oraz dęby rosły jeszcze rzadziej i Erdine zsiadł z konia. Winter i Cyte podążyły za nim po kamieniach i wyszły spomiędzy drzew na ogromny głaz.

Zgodnie z obietnicą, rozpościerał się z niego wspaniały widok na okolicę. Po lewej migotała lśniąca wstęga Ytolin i Winter dostrzegła dachy Gilphaite. Widać tam było chmury dymu, białawe kłęby spalonego prochu i czarne słupy wznoszące się z płonących budynków. Wciąż wyraźnie było słychać huk dział oraz sporadyczne trzaski kul uderzających w ściany domów.

Jednak mający strategiczne znaczenie most był niewidoczny, gdyż znajdujący się na północy pagórek zasłaniał jej widok. Było to raczej łagodne wzniesienie, z ogrodzonymi pastwiskami zieleniącymi się wiosenną trawą oraz wciąż brązowymi i błotnistymi polami. Tak jak mówił Erdine, na jego szczycie ustawiono tuzin dział, podzielonych na trzy półbaterie rozmieszczone w odległości kilkuset metrów od siebie.

Pomiędzy wzgórzem, na którym stała Winter, a owym pagórkem rozciągała się długa równina, szerokości około dwóch kilometrów. W tym momencie znajdowały się na niej tylko luźne grupy jeźdźców. Niektórzy zsiadli z koni i kryli się za samotnymi drzewami lub rzędami żywopłotów. Obłoczki podobnego do kłębków waty dymu z muszkietów pojawiały się przy każdym wystrzale, któremu chwilę później towarzyszył opóźniony przez odległość huk. Na dole zbrocza ktoś odpowiadał im ogniem. Winter spojrzała przez lunetę i zobaczyła postacie w ciemnoczerwonych mundurach, również kryjące się przed kulami.

Pomimo energii, jaką kawalerzyści i harcownicy wkładali w tę wymianę ognia, niewielka skuteczność oddawanych na taką

odległość strzałów oznaczała, że taką walkę mogli toczyć cały dzień, przy niewielkich stratach po obu stronach. Winter liczyła oddawane strzały i próbowała oszacować liczbę harcowników wroga. Może dwustu? W przeciwieństwie do Hamveltajczyków, których za każdym razem zaskakiwał swobodny szyk vordanajskich ochotników, borelgajskie wojska były dobrze przygotowane do takich starć przez niekończące się zbrojne konflikty w koloniach na południe od Khandaru i wypracowały własne sposoby przeciwdziałania im. Jednak to nie będzie miało znaczenia, jeśli nie mają tam dużo więcej ludzi, pomyślała.

– Zostanę tutaj – oznajmiła. Podczas zimowych szkoleń Janus wielokrotnie przypominał jej, jak ważne jest, aby wyżsi oficerowie nie dowodzili, idąc w pierwszym szeregu. – Cyte, wróć do Abby i każ jej tu przysłać tuzin gońców. Niech przeprowadzi Pierwszy Dziewczęcy za grań i odepchnie harcowników aż za szczyt tamtego wzgórza, jeśli zdoła. – Wskazała na drogę, która wyłaniała się z lasu na północnym krańcu skalistego grzbietu i biegła po otwartym terenie ku Gilphaite. – Szósta dywizja powinna rozwinąć się na tym szlaku, a reszta drugiej za nią. Natrzecie, ale zatrzymacie się około mili przed ich linią.

Taki będzie maksymalny zasięg borelgajskich dział.

– Panie generale!

Cyte zasalutowała i znikła w zaroślach. Winter zwróciła się do Erdine'a.

– Pułkowniku, dobrze się pan spisał. Gdy tylko Abby zajmie pozycję, wycofa pan swoich ludzi i ponownie sformuje szyk. Następnie pojedzie pan za to wzgórze, omijając kraniec nieprzyjacielskiej linii od północy. Według mapy jest tam inna

droga, biegnąca na wybrzeże. Proszę ją obserwować i zawiadomić mnie, jeśli ktoś się na niej pojawi.

– Oczywiście, panie generale.

Erdine zasalutował, po czym zdjął kapelusz i nisko się skłonił. Kiedy się odwrócił, Winter przewróciła oczami i znów spojrzała przez lunetę.

Minął kwadrans, a harcownicy w dolinie wciąż prowadzili wymianę ognia. Słyszając szmery w zaroślach, Winter odwróciła się i ujrzała szereg zbliżających się kobiet z Pierwszego Dziewczęcego, z muszkietami na ramionach przedzierających się przez gąszcz. Jedna z nich krzyknęła coś na widok dowódcy i wszystkie oddały jej honory, przechodząc obok. Winter odpowiedziała skinieniem głowy i zobaczyła zamykającą pochód Abby, która jak zwykle wolała iść, niż jechać.

– Panie generale, to potrzebni panu posłańcy – powiedziała Abby, wskazując idącą za nią gromadkę młodych kobiet.

– Dziękuję. – Winter ruchem ręki wskazała panoramę. – Co o tym myślisz?

Abby chwilę marszczyła brwi.

– Myślę, że jeśli nie mają jakiegoś asa w rękawie, to do zachodu słońca sprezentujemy te działa Janusowi.

– Idź i zdobądź je. – Winter uśmiechnęła się. – Jednak nie nacieraj zbyt mocno, gdyby okazało się, że nie jest to takie łatwe. Poślę za tobą Ibsly’ego.

– Każ mu się pospieszyć, inaczej nie zostanie mu nic do zrobienia – rzekła na odchodnym Abby i ruszyła za swoimi żołnierzami, z trzaskiem łamanych gałęzi przedzierając się przez zarośla.

Winter popatrzyła na gońców. W większości były to naprawdę bardzo młode dziewczęta, niektóre miały zaledwie czternaście lub piętnaście lat. Ponieważ do Pierwszego Dziewczęcego przyjmowano ochotniczki, nie zadając im zbyt wielu pytań, w szeregach pułku znalazły się i takie, które były za małe, żeby udźwignąć ciężki muszkiet, ale Abby potrafiła znaleźć zajęcie dla każdej. Winter widziała na ich twarzach strach i determinację, a także dużo młodzieńczego trądziku.

– Stańcie w kolejce – rozkazała. – Pierwsza zaczyna biec, gdy tylko skończę przekazywać jej wiadomość, nie zadaje żadnych pytań. Zrozumiano?

Chóralnie potwierdziły i zaczęły się ustawiać. Takie dowodzenie bitwą, obserwując jej przebieg z daleka, było dla Winter nowym doświadczeniem. Zawsze była w samym wirze walki, dostatecznie blisko, by czuć woń spalonego prochu i słyszeć świst kul. Jednak dwie dywizje to zbyt duża siła, aby dowodzić nią w taki sposób, więc starała się ignorować cichutki głosik podświadomości, mówiący jej, że takie trzymanie się na uboczu wygląda na tchórzostwo.

„Ryzykowanie życia nie jest twoim zadaniem”, powiedział jej Janus. „Od tego są szeregowi żołnierze. Wiem, że to brzmi bezdusznie, ale taka jest prawda. Myśl o tym w ten sposób: jest dziewięć tysięcy żołnierzy i tylko jeden generał dywizji. Musisz ogarniać całość sytuacji i zachować spokój, gdy wszystko diabli biorą”.

Pierwszy Dziewczęcy wyszedł z lasu na równinę. Kobiety sformowały szereg tylko w umownym sensie, działając parami rozstawionymi co dziesięć do dwudziestu metrów, żeby móc

ostrzeliwać bardzo szeroki odcinek. Jeźdźcy Erdine'a wycofywali się składnie, wsiadając na konie i formując szyk za piechotą, która minęła ich i podjęła walkę z borelgajskimi harcownikami na wzgórzu. Jedna kobieta z każdej pary przyklękała, celowała i strzelała, a potem ładowała broń, gdy jej towarzyszka powtarzała te czynności.

W przeciwieństwie do Erdine'a Abby nie zadowolili się wymianą ognia z daleka. Jej pododdziały parły naprzód, wykorzystując nierówności terenu jako osłonę i nieustannie strzelając. Im bardziej się zbliżały, tym celniejszy był to ostrzał i żołnierze w czerwonych mundurach zaczęli padać. Oczywiście Borelgajowie też odpowiadali celniejszym ogniem i mieli przewagę wysokości. Na stoku pozostawali żołnierze w niebieskich mundurach; jedni leżeli nieruchomo, inni odchodzili lub czołgali się do tyłu. Drużyny sanitariuszek złożone z dziewcząt zbyt młodych, by nosić broń, przebiegały po polu, zostawiając poległych i przenosząc rannych w bezpieczne miejsce.

Z tej odległości wygląda to jak wojna, jaką zawsze wyobrażałam sobie, nim przybyłam do Khandaru, pomyślała Winter. Niebo było jasnoniebieskie, a lekki wietrzyk powoli rozszarpywał unoszące się chmury dymu. Pole bitwy wyglądało jak obraz lub płaskorzeźba. Nie dochodziły tu do niej krzyki umierających, smród prochu, odchodów i krwi. Czuła się trochę jak bogini spoglądająca z góry na nieszczęsnych, wojujących śmiertelników.

Borelgajscy harcownicy cofali się pod naporem jej sił, opuszczając kryjówki i wracając w górę zbocza. Sto metrów przed linią obrony zatrzymali się i wymiana ognia zaczęła zbierać obfitsze żniwo, gdy obie strony znalazły się blisko siebie. Nagle na

szczyt zaroiło się od czerwonych mundurów, gdy setki żołnierzy opuściły swe pozycje, niewidoczne za wzniesieniem.

Jednak borelgajski dowódca nie chciałby stracić swoich dział, pomyślała Winter. Teraz Abby musiała się wycofać i wystrzały muszkietów w oddali zwały się w przeciągły ryk, przypominający narastający aplauz. Niebiescy i czerwoni padali pokotem na zboczu, które Pierwszy Dziewczęcy niechętnie oddawał przeciwnikom. Winter zwróciła się do gońców.

– Znajdź Ibsly’ego i każ mu wkroczyć – powiedziała do pierwszej w kolejce. – Sevran i reszta drugiej dywizji mają stać poza zasięgiem dział i czekać na rozkazy.

– Panie generale! – Chuderlawa nastolatka zasalutowała i pobiegła w dół zbocza, rozpaczliwie wymachując rękami.

Gdzieś u podnóża pagórka Abby zapewne zostawiła uwiązane konie, ale nawet gdyby rozkazy zostały dostarczone galopem, minie kilka minut, zanim Ibsly je otrzyma, i jeszcze trochę, nim je wykona. Winter żałowała, że nie ma jednego z pstrykaczy Janusa, którym mogłaby błyskawicznie przesłać polecenia, lecz i tak wyszkolonych sygnalistów było za mało, żeby można ich przydzielić do każdego oddziału. A Ibsly i tak nie pomaszerowałyby szybciej.

Na szczęście Borelgajowie nie kontynuowali natarcia u podnóża pagórka i sytuacja się ustabilizowała: obie strony znów zaczęły się ostrzeliwać z daleka. Cyte wróciła zdyszana i stanęła obok Winter, która oddała jej lunetę.

– Abby wykazuje podziwu godną powściągliwość – zauważyła.

Cyte skinęła głową, kierując lunetę na północ.

– Oto nadchodzi Ibsly.

Winter osłoniła oczy dłonią – słońce zaczęło chylić się ku

zachodowi, w kierunku borelgajskich pozycji – i zobaczyła długie niebieskie szeregi wylaniające się zza ściany lasu, z powiewającymi na wietrze sztandarami niesionymi przed każdym batalionem. Kolejna wada oglądania bitwy z daleka, pomyślała. To, co pozornie dzieje się tak szybko, kiedy jesteś w ogniu bitwy, tu trwa wieki; jakby się obserwowało mrówki wędrujące po blacie stołu. Minęło prawie pół godziny, zanim Ibsly ustawił swoje bataliony w szyku bojowym i posłał naprzód, a druga dywizja podążyła za nimi.

Borelgajskie działa na wzgórzu otworzyły ogień. Do tej pory milczały, a kanonierzy kulili się pod ich osłoną, czekając na pojawienie się bardziej obiecującego celu niż gromada harcówników. Teraz go znaleźli i wypalili ze wszystkich luf; każda półbateria w miarowych odstępach czasu oddawała salwy, które tworzyły głuchy werbel. Rozbłyski i dym pojawiały się w upiornej ciszy, a basowy huk wystrzałów słyhać było kilka sekund później. Winter widziała fontanny trawy i ziemi wyrzucane przez spadające kule armatnie, odbijające się, aby wylądować i wzbić kolejne, jak rzucony kamień ślizgający się po powierzchni stawu. Z tej odległości większość pocisków chybiała, lecz gdy któryś po kolejnym odbiciu trafił w cel, niszczył wszystko na swej drodze.

Każdy z ośmiu batalionów szóstej dywizji szedł w kolumnie sformowanej przez kompanie; za pierwszą z nich, rozwiniętą w trzy szeregi po czterdziestu żołnierzy, w krótkim odstępie podążała druga, potem trzecia i tak dalej, tworząc „kolumnę” w rzeczywistości bardziej przypominającą prostokąt. Taka formacja mogła stosunkowo szybko się poruszać i łatwo manewrować, omijając przeszkody, ale tylko pierwsza z idących w takim szyku kompanii mogła skutecznie strzelać, co drastycznie

zmniejszało siłę ognia batalionu. Ponadto czyniła go doskonałym celem dla strzelających z góry dział. Winter skrzywiła się, gdy jedno z nich zaliczyło bezpośrednie trafienie i pocisk wylądował tuż przed jedną z kolumn, po czym przeleciał przez szeregi, wyrzucając w powietrze poszarpane ciała. Formacja zwarła szyk, zamykając wyrwę i pozostawiając za sobą leżące nieruchomo lub słabo poruszające się ciała, niczym ogromne zwierzę broczące błękitną krwią.

Chociaż takie trafienia zadawały ciężkie straty, nie były wystarczające. Niebieskie kolumny niczym morze pochłaniały kule armatnie i szły dalej. Pierwszy Dziewczęcy też zaczął nacierać i Borelgajowie znów się cofnęli, w odwrocie ostrzeliwując kolumny, ale nie zamierzając stawiać czoła połączonej sile ognia całej dywizji. Gdy szósta dotarła do podnóża pagórka, artylerzyści zastąpili kule kartaczami; duże blaszane puszkę pełne ołowianych kul zmieniały działa w olbrzymie śrutówki. Te ze straszliwym skutkiem zasypały kulami nadchodzące oddziały. Całe gromady i szeregi żołnierzy padały na ziemię, lecz mimo to kolumny maszerowały dalej.

– Doszły – poinformowała Cyte, patrząc przez lunetę.

Oddała ją Winter, która spojrzała na działa. Pierwszy Dziewczęcy parł naprzód, podążając przed kolumnami szóstej dywizji, i kiedy baterie znalazły się w zasięgu ich muszkietów, kanonierzy zaczęli padać. Działa oddały jeszcze jedną salwę kartaczy, straszliwie skuteczną z odległości stu sześćdziesięciu metrów, a potem ich obsługa uciekła, wycofując się ze swoimi harcownikami za szczyt wzniesienia. Kilka najśmielszych dziewczyn Abby podążyło za nimi, znikając Winter z oczu. Wkrótce

potem parę z nich wróciło biegiem i Winter zobaczyła, że kierują się ku grupce jeźdźców, najpewniej tworzonej przez generała Ibsly'ego i jego oficerów.

– Tamci mają coś po drugiej stronie wzgórza – powiedziała Winter.

Przesunęła lunetę i patrzyła teraz na teren za milczącymi działami, mrużąc oczy, jakby siłą woli mogła zmienić kształt wierzchołka. Przekazane przez harcowniczkę informacje spowodowały gorączkową reakcję Ibsly'ego i wkrótce kolumny się zatrzymały. Kompanie zaczęły tworzyć z kolumny szereg, rozchodząc się na boki.

Borelgajowie pojawili się w mgnieniu oka, jakby wyrosli spod ziemi. W jednej chwili wzgórze było puste, a w następnej zaroilo się na nim od żołnierzy maszerujących ramię w ramię, miarowo, przy wtórze werbli. Widać było sztandary co najmniej czterech batalionów, cztery tysiące żołnierzy nacierających równym szeregiem i szybkim krokiem. Pokonali szczyt wzgórza i ruszyli w dół zbocza, ku wciąż formującym się żołnierzom Ibsly'ego.

– Na jaja pierdolonej Bestii! – Winter odruchowo poderwała się i tak mocno przycisnęła lunetę do oka, że zabolalo. Jej boska rezerwa znikła, zastąpiona poczuciem okropnej bezsilności. Wiedziała, co się zdarzy, ale nie mogła nic zrobić, żeby to zmienić.

Wstrząśnięta Cyte głośno wciągnęła powietrze.

Ze strony Vordanajów posypały się strzały, głównie oddawane przez Pierwszy Dziewczęcy, który cofał się przed nieoczekiwanym zagrożeniem. W odległości pięćdziesięciu metrów czerwoni zatrzymali się i przyłożyli muszkiety do ramion. Bataliony szóstej dywizji, wciąż formujące szereg, próbowały otworzyć ogień, lecz ich

pojedyncze wystrzały utonęły w huku salwy oddanej przez nieprzyjaciela. Rozświetliła pole bitwy niczym błyskawica, a odgłos, który doszedł do uszu Winter, przypominał łoskot fal bijących o brzeg. Wzdłuż całej linii żołnierze padali, chwiali się lub osuwali na swoich sąsiadów. Z tej odległości Winter nie słyszała krzyków, ale jej wyobraźnia i tak uzupełniała ten brak.

Pół minuty na powtórne załadowanie i w tym czasie rozproszone oddziały Ibsly'ego starały się odpowiedzieć ogniem. Część nadal próbowała sformować szereg, podczas gdy inne podzieliły się na grupy, gdy w spowijającym ich dymie borelgajskiej salwy ludzie instynktownie szukali oparcia w bliskości towarzyszy. Huknęła druga salwa, widoczna głównie jako błyski wystrzałów w ciemnym dymie, a potem trzecia.

Winter z doświadczenia wiedziała, że nic tak nie osłabia morale jak zdecydowanie nierówna walka. Ludzie Ibsly'ego mieli dwukrotną przewagę liczebną nad Borelgajami, ale zaskoczeni w trakcie formowania szyku słabo odpowiadali ogniem i dobrze o tym wiedzieli. Między trzecią a czwartą salwą z dymu wyłonili się pierwsi podający tyły żołnierze w niebieskich mundurach i ten cienki strumyk szybko zmienił się w potop. Winter widziała, jak Ibsly krzyczy i wymachuje szablą, ale nic nie mogło powstrzymać tego odwrotu. Żołnierze szóstej dywizji zbiegali po zboczu, zostawiając ciała swych towarzyszy, uciekając przed morderczym ostrzałem.

– Święci i męczennicy! – zakląła Winter. Odwróciła się do posłańców, z przestraczem obserwujących ją szeroko otwartymi oczami. – Chodźcie. Idziemy tam.

– Przypuszczę następny atak – powiedział do Winter generał dywizji Ibsly. Podniósł rękę, żeby poprawić okulary, ale zgubił je gdzieś na polu bitwy. Zamiast tego szarpnął bandaż na głowie, którym opatrzone powierzchowną ranę od kuli z muszkietu. – Mamy przewagę liczebną i drugi raz nas nie zaskoczą.

– Mamy przewagę, jeśli nie otrzymali posiłków – zauważył Sevran. – Jeśli posłali gońców do głównych sił Dorsaya, to mógł skierować tu więcej oddziałów. Zaryzykowaliśmy, ale się nie udało.

– Mój pułk nie oddał ani jednego strzału – zaprotestował de Koste. – Generale, szósta może zostać w odwodzie, a następny atak może przeprowadzić druga dywizja.

– Nie powinniśmy powtarzać popełnionego błędu – rzekł Blackstream. – Jeśli nie możemy zepchnąć ich ze wzgórza, możemy ich obejść. Jeśli obejdziemy ich z lewej...

Poszukał wzrokiem poparcia u Erdine'a, a pułkownik jazdy skinął głową.

– Moi ludzie meldują, że droga na północ od wzgórza jest pusta, nie licząc konnych patroli. Jeśli obejdziemy pozycje wroga i podejmiemy drogą biegnącą z północy na południe, nie będziemy musieli pokonywać tak szerokiej otwartej przestrzeni.

– Wystarczy – ucięła Winter. – Generale Ibsly, proszę porozmawiać ze swoimi pułkownikami i zapytać, czy ich pułki będą mogły przeprowadzić następny atak. Panowie z drugiej, przygotujcie swoich ludzi do wymarszu. Bobby, Cyte, proszę na chwilę.

Oficerowie zaszalutowali i rozeszli się. Winter zauważyła, że Ibsly lekko utyka. W powietrzu niosło się rżenie koni i tupot nóg, ale przede wszystkim krzyki. Chirurdzy rozstawili szpital polowy

i zajmowali się tymi rannymi, którzy mieli szczęście i zdołali dotrzeć na tyły. Winter znieruchomiała i na moment zamknęła oczy, gdy kobiecy szloch przeszedł w przeraźliwy wrzask przerażenia, który urwał się nagle, jakby ktoś zatkał jej usta szmatą.

– Jeśli macie jakieś rady – odezwała się Winter, zaczerpnąwszy tchu – chciałabym je usłyszeć.

– Wiem, że nie znam się na taktyce – odezwała się Bobby, zerkając na stojące na wzgórzu działa. Borelgajowie na powrót wycofali się za szczyt wzniesienia, lecz obecność ich zwartych szeregów tkwiła w pamięci jak mroczny cień. – Jednak za cholere nie chciałabym zdobywać tego wzgórza.

– A pomysł Blackstreama? – zapytała Cyte. – Janus w miarę możliwości zawsze unikał frontalnych ataków na pozycje wroga.

– Nie mamy czasu. – Winter spojrzała na słońce, które już dawno nie było w zenicie. – Marcus rozpoczął atak, a kolumna Fitz'a wkrótce nadejdzie. To oznacza, że niedługo cała borelgajska armia pójdzie na północ przez ten most i tą drogą. Jeżeli zdołamy zająć ten jej koniec i odciąć im odwrót, będzie dobrze, ale obejście wzgórza zajmie nam kilka godzin. Natomiast gdy wyjdziemy na otwartą przestrzeń, to jakbyśmy sami prosili Dorsaya, żeby rzucił na nas wszystko, co ma. A jeśli nie wyruszymy teraz, to możemy nie ruszać wcale.

– Zatem taki mamy wybór – podsumowała Bobby. – Ruszać teraz z tym, co mamy, albo wcale.

Winter skinęła głową, patrząc na wzgórze.

– Cztery bataliony. Mamy przewagę. Trzy- lub czterokrotną.

– Jednak oni mają działa – przypomniała Cyte. – I pozycyjną

przewagę. To była niezła sztuczka, chować się za wzgórzem i wyjść zza niego w odpowiedniej chwili. Ktoś tam wie, co robi.

Winter popatrzyła na nie. Czuła ściskanie w piersi. A więc na tym polega dowodzenie? Nie tylko na rozkazywaniu większej liczbie żołnierzy. Trzeba podejmować samodzielne decyzje. W tym momencie chętnie oddałaby wszystko za muszkiet i możliwość powrotu do szeregu.

– Musimy wejść do miasta – powiedziała tak cicho, że Bobby i Cyte nachyliły się do niej. – Janus liczy, że dotrzemy do tego mostu. Jeszcze nigdy go nie rozczarowałam.

– No dobrze – po długiej chwili zgodziła się Cyte. – Zatem ruszamy. Tylko druga?

– Wszyscy – powiedziała Winter. – Jak zauważyła Bobby, tylko to nam zostało.

– Ale... – zaczęła Cyte.

– Wiem, że to ryzykowne. Jednak przychodząc tutaj, podjęliśmy ryzyko i musimy sprawić, żeby się opłacało.

Cyte pokręciła głową.

– Musimy mieć jakieś rezerwy, na wypadek gdyby sprawy przybrały zły obrót.

– Zostaw tutaj Pierwszy Dziewczęcy – podsunęła Bobby. – I tak są wykończone.

– Niezła myśl – przyznała Winter. – Bobby, znajdź Abby i powiedz jej, żeby formowała szyk. Będę tam, z atakującymi oddziałami.

– Daleko za nimi – powiedziała Cyte i ściszym głosem dodała:
– Wiesz lepiej niż ktokolwiek, że Janus nie może cię stracić.

– Świetnie. – Winter dotknęła wiszącego u pasa miecza, którego

jeszcze nie wyjęła. Słowa Cyte miały sens, ale... – Ruszajmy. Kończy się nam dzień.

Siedem pułków – czternaście batalionów – ruszyło naprzód, pozostawiając za sobą tylko harcowników. Żołnierze szóstej dywizji, opanowawszy atak paniki, wrócili do swoich oddziałów i teraz szli po lewej, a druga dywizja po prawej. Sztandary powiewały i trzepotały, a srebrne groty ich drzewc błyszcząły w żółknącym świetle późnego popołudnia. Na lewo, za zasłaniającym Gilphaite wzgórzem, odległy huk dział brzmiał coraz bardziej nagłaco. Widocznie bitwa osiągała tam apogeum. Musimy to zakończyć, pomyślała Winter.

Dosiadała Edgara, jadąc pomiędzy Cyte a Bobby, a trzy łączniczki z Pierwszego Dziewczęcego za nimi. Cała grupka podążała dwadzieścia lub trzydzieści metrów za ostatnimi kompaniami, będąc poza zasięgiem muszkietów, ale nie dział. Winter miała nadzieję, że żaden szanujący się kanonier nie marnowałby kuli na grupkę jeźdźców, a ponadto działa dalekiego zasięgu były znane ze swej niecelności.

Pierwsze błyski strzałów przeleciały po zboczu. Winter ze zdziwieniem odkryła, że może dostrzec lecącą kulę, małą czarną plamkę, która zdawała się zawisać nad polem bitwy. Potem, nagle, uderzała z gromowym hukiem, wbijając się w murawę dobre dziesięć metrów za jednym z batalionów Sevrana i znów wyskakując w powietrze w fontannie ziemi. Werble podawały miarowy rytm i żołnierze znów poszli przez grad kul, zwierając przerzedzane przez nie szeregi.

Tym razem Winter kazała im rozwinąć szyk u podnóża góry,

poza zasięgiem kartaczy. Będą szli wolniej, dając działom więcej czasu, ale nie dadzą się zaskoczyć wyłaniającym się z ukrycia Borelgajom. Chcąc pokazać, że wiedzą, co robią, żołnierze z dywizji Ibsly'ego wykonali ten manewr dokładnie jak na paradzie, pomimo padających wokół i przelatujących kul. W jednym z batalionów Blackstreama zapanowało chwilowe zamieszanie, gdy pocisk trafił w sam środek pierwszej kolumny i jej sztandar załopotał i upadł. Wkrótce jednak znów go podniesiono, a sierżanci zapędzili ludzi do szeregu, będącego częścią zwartej tyraliery o długości mili.

– Pojedziesz do Ibsly'ego – rzuciła Winter do jednej z łączniczek, przekrzykując huk dział. – Powiedz mu, żeby wdarł się na wzgórze, zdobył te działa i nie zatrzymywał się, dopóki nie dotrze do drogi! A ty – wskazała następną – powiesz Sevranowi to samo i że ma dostosować się do Ibsly'ego. Ruszajcie!

Odjechały galopem. Kilka minut później, gdy huk armat nie cichł, zagrały bębny, podając miarowy rytm. Tyraliera z bojowym okrzykiem parła naprzód, maszerując w takt werbli. Winter, zerknąwszy na Cyte, pozwoliła im oddalić się nieco, nim powoli ruszyła na Edgarze za nimi.

Tak jak poprzednio, gdy Vordanajowie podeszli bliżej, artylerzyści wroga zmienili kule na kartacze, chociaż te mniej skutecznie raziły długi szereg niż zwarte kolumny. Mimo to powaliły mnóstwo ludzi i wszystkie bataliony na rozkaz oficerów zwały szyk, zamykając luki. Ziemia wokół była usłana ciałami nielicznych borelgajskich strzelców w ciemnoczerwonych mundurach z czarnymi wyłogami, ale głównie odzianymi w vordanajski błękit żołnierzami z dywizji Ibsly'ego oraz Pierwszego Dziewczęcego. Tu i ówdzie ranni machali lub wołali do

niej coś, czego nie słyszała w bitewnym zgiełku.

Nienękani przez harcowników kanonierzy czekali do ostatniej chwili, zanim porzucili swe działa, oddając ostatnią salwę z kartaczy z odległości pięćdziesięciu metrów, ze straszliwym skutkiem. Jedna półbateria zwlekała z tym za długo i oddana przez któryś z batalionów Ibsły'ego salwa powaliła kilkunastu próbujących uciec artylerzystów. Obie dywizje szły dalej, spychając w tył strzelców wroga.

Winter nie odrywała oczu od szczytu wzgórza, czekając na pojawienie się piechoty nieprzyjaciela. Miała wrażenie, że potrafi dokładnie przewidzieć moment, w którym tamci się pokażą; zostawiając sobie dość czasu, żeby zejść na zbocze, ale jeszcze nie znaleźć się w zasięgu vordanajskich muszkietów. I rzeczywiście, zaledwie pomyślała „teraz”, czerwone flagi wyłoniły się zza wzgórza, a za nimi błyszczący żywopłot muszkietów z nałożonymi bagnetami.

Zbyt wiele tych sztandarów. Jeden, dwa, cztery, sześć, cały tuzin. Borelgajska tyraliera była niemal tak długa jak jej. A mieliśmy mieć liczebną przewagę, pomyślała ze złością. Tamci zeszli po zboczu jak dobrze naoliwiona maszyna, a po przejściu dziesięciu kroków stanęli i podnieśli muszkiety. Do diabła, skąd aż tylu ich się tu wzięło?

– Winter! – Cyte krzyczała coś, ale Winter nie mogła oderwać oczu od nieprzyjaciela.

Tym razem Ibsły zamierzał oddać salwę. Jego dywizja stanęła, bębny dały sygnał i żołnierze wycelowali muszkiety.

– Gotuj broń! – słychać było okrzyki sierżantów. – Cel! Pal!

Trzask muszkietowych wystrzałów przeleciał po linii jak iskra

przemykająca po lonce i biały dym wytrysnął z wszystkich luf oraz zamków. Od tego huku Winter zadzwoniło w uszach. Na zboczu Borelgajowie padali, osuwając się na ziemię lub staczając po zboczu.

– Winter! – Cyte złapała ją za ramię.

Winter zamrugła i obróciła się do niej.

– Co? – Własny głos dobiegał jak z daleka do jej udręczonych uszu.

– Jest ich zbyt wielu! – zawołała Cyte. – Musieli dostać posiłki!

Oszołomiona Winter skinęła głową.

– Musimy się wycofać! – krzyknęła Cyte.

Wszystkie borelgajskie bataliony wypaliły jednocześnie. Żołnierze w niebieskich mundurach padali na ziemię, chwiali się i przyciskali dłonie do ran albo osuwali się na najbliższych stojących towarzyszy. Przez moment z oddali dolatywały ich słabe krzyki, zaraz zagłuszone przez kolejną vordanajską salwę, falę huku i dymu.

Cyte ma rację. W żaden sposób nie mogą zwyciężyć w tej walce, zdobyć wzgórza bronionego przez wypoczęte oddziały wroga, trzykrotnie liczebniejsze, niż się spodziewali. Winter odwróciła się z gardłem tak wyschniętym, jakby miała w nim kłęb waty, i rozejrzała się za łączniczką.

– Każ Ibsly’emu się wycofać! – krzyknęła. – Niech wraca na wyjściową pozycję! Już!

Dziewczyna dała koniowi ostrogi i pognała w kierunku pola bitwy i generała. Prawie już tam była, gdy huknęła trzecia borelgajska salwa, niemal tak równa jak pierwsza. Trudno było coś dostrzec w kłębiącym się dymie, ale Winter zobaczyła, jak

łączniczka okręca się w siodle, a potem zsuwa z konia i pada na ziemię, z jedną nogą wciąż tkwiącą w strzemieniu.

O kurwa.

– Bobby! – rozpaczliwie krzyknęła Winter. Święci i męczennicy.
– Natychmiast jedź do Ibsly’ego! – To będzie rzeź, jęknęła w duchu.

Borelgajowie zaatakowali z wrzaskiem; z nastawionymi bagnietami wypadali z czarnej mgły utworzonej przez ich salwy, ciągnąc za sobą smużki prochowego dymu. Vordanajska linia odpowiedziała ogniem, powalając wielu z pierwszego szeregu, lecz to nie wystarczyło. Żołnierze Ibsly’ego rejterowali, gromadnie wycofując się, zanim uderzyła w nich fala bagnietów. Strach był zaraźliwy. Każdy żołnierz, choćby nie wiem jak dzielny w pojedynkę, widząc pierzchającego towarzysza, postanawiał zrobić to samo, żeby nie zostać samemu na placu boju. Niebawem panika ogarnęła także drugą dywizję, ludzi Blackstreama, de Koste’a, a nawet weteranów Sevrana. Cała linia zmieniła się w gromadę uciekających, wrzeszczących ludzi. Każdy, kto się zawahał lub potknął, zostawał połknięty przez nadciągającą czerwoną falę.

Co robić? Winter sięgnęła po miecz. Co zrobiłby Janus?

– Powinnam ich powstrzymać. Możemy sformować...

– Jest na to o wiele za późno – przerwała jej Cyte.

Spojrzała na Bobby, która ponuro kiwnęła głową i złapała wodze Edgara. Szarpnięciem obróciła rumaka i popędziła swojego do galopu, ciągnąc za sobą oszołomioną Winter.

To Pierwszy Dziewczęcy zatrzymał borelgajski kontratak.

Ten i tak już stracił impet, gdy oddziały złamały szyk i mieszały się ze sobą, atakując w dół zbocza i po równinie. Abby, widząc nadciągającą falę, kazała swoim strzelcom dać osłonę ogniową uciekającym, zmuszając Borelgajów, by stanęli i odpowiedzieli ogniem. Pierwszy Dziewczęcy wycofał się do lasu, ponosząc przy tym straty, dopóki nie dotarł pod osłonę drzew. Tam przygotował się do odparcia kolejnego szturmu, lecz borelgajski dowódca najwyraźniej uznał, że dobrze wykonał swoje zadanie, i wycofał swoje oddziały przez pola na pozycje wyjściowe.

Nie było mowy o kolejnym ataku. Uciekający żołnierze obu dywizji przeważnie także kierowali się do lasu i na długim zboczu roiło się teraz od oszołomionych niespodziewaną klęską ludzi. Uporządkowanie tego bałaganu zajęłoby kilka dni.

Tak czy inaczej, było już za późno. Winter jak w transie wróciła na swoją skalną grzędę i przez lunetę zobaczyła gęste chmury dymu wznoszące się za wzgórzem, które przed zaledwie kilkoma godzinami zdawało się być tak blisko. Kawalerzysta Erdine'a wrócił i zameldował, że długie kolumny piechoty w czerwonych mundurach opuszczają miasto, wraz z ogromnymi taborami. Armia Dorsaya wycofywała się we wzorowym porządku.

Trzeba było spróbować pomóc rannym i pozbierać zabitych. Drużyny poszły na pole bitwy, trzymając się poza zasięgiem borelgajskich dział, ale nieprzyjaciel nie próbował ich nękać. Wróciły z tymi, których ich zdaniem da się uratować, i chirurdzy zabrali się do pracy. Znów zazgrzytały piły i sterta odciętych kończyn przed szpitalnym namiotem jeszcze urosła.

Gdy zaczęło się zmierzchać, pracowali przy świetle pochodni. Tuż po zachodzie słońca dał się słyszeć głuchy, donośny huk

dobiegający od strony Gilphaite, jakby tuzin armat wystrzeliło jednocześnie, a potem uniósł się tam słup dymu. Winter dopiero po chwili zrozumiała, co się stało. Borelgajowie wysadzili most po przejściu ich ostatnich oddziałów, odgradzając się rzeką Ytolin od ewentualnego pościgu.

Diuk Dorsay wymknął się z pułapki Janusa.

Cztery

Marcus

Proszę przyjąć moje przeprosiny – powiedziała Ihernglass. Stała sztywno wyprostowany jak lufa muszkietu. – I moją dymisję, jeśli pan chce.

Marcus rozpoznał ten wyraz twarzy. Sam też miał taki: minę człowieka, który spodziewa się kary, ale przestał się tym przejmować, gdyż sam wymierza sobie dotkliwszą niż jakakolwiek, którą mogliby nałożyć nań przełożeni.

Ukradkiem zerknął na Janusa. Pierwszy konsul miał nieprzenikniony wyraz twarzy: przeważnie przyjmował złe wieści ze spokojem, ale czasem potrafił wybuchnąć gniewem, gdy pokrzyżowano mu szyki. W podziemiach Ashe-Katarionu, gdy Janus myślał, że utracił Tysiąc Imion, Marcus musiał go powstrzymać, gdy chciał wydać rozkaz zabicia na miejscu bezbronnej starej kapłanki.

Teraz jednak nie było widać oznak tej straszliwej furii. Janus tylko lekko pokręcił głową, stukając palcem w stół.

– Dymisja? – powtórzył. – Nie bądź śmieszny. To nie Dyrektoriat, ja nie wysyłam na kolec żadnego dowódcy, który zawiódł. – Westchnął. – Szczerze mówiąc, to ja ponoszę winę. Diuk Brookspring jest sprytniejszy, niż przypuszczałem.

– Z pewnością wie, jak przeprowadzić odwrót – odezwał się

Marcus. Pamiętał to z Wojny Książąt, podczas której vordanajska armia całymi tygodniami usiłowała zmusić Dorsaya do bitwy, aż wpadła w zastawioną przez niego pułapkę pod Vansfeldt.

– Dziękuję, pierwszy konsulu – powiedziała Ihernglass. – Jednak ja dowodziłem. To moja wina.

– Nie będziemy dzielić włosa na czworo – rzekł Janus. – Wiedźcie tylko, że ja was nie będę ganił. Ani teraz, ani nigdy za próbę jak najlepszego wykonywania swoich obowiązków.

– Dziękuję, pierwszy konsulu.

Ihernglass trochę się odprężyła, ale wciąż wyglądała na wyczerpaną.

– Zajmij się swoją dywizją. Muszę dostać szczegółowy raport, gdy tylko policzysz straty.

– Tak jest, pierwszy konsulu.

Ihernglass zasalutowała, zrobiła w tył zwrot i opuściła namiot dowodzenia. Janus spojrzał na generała kolumny.

– Co sądzisz?

Marcus podrapał się po brodzie.

– Ihernglass to dobry oficer. Z łatwością mógłby zrzucić całą winę na Ibsly'ego, ale nawet nie próbował tego zrobić.

– Istotnie.

Ibsly nie mógł już się sam bronić. Poległ w bitwie, tak jak dwaj jego pułkownicy, zastrzelony, gdy próbował poderwać swoich ludzi do kontrataku. Obie dywizje poniosły ciężkie straty, ale szósta była w kiepskim stanie, podczas gdy druga już prawie doszła do siebie, zanim reszta armii dotarła do nich okrężną drogą, obchodząc zniszczony most.

– Winter Ihernglass jest dla mnie szczególnie ważną osobą, z pewnych względów – stwierdził pierwszy konsul.

– Ponieważ ma w sobie... to coś? – Marcus rozejrzał się i zniżył głos. – Pożeracza demonów?

– Częściowo. Ale także dlatego, że moim zdaniem ma ogromny potencjał. Obawiam się, że wyniosłem go za bardzo i za szybko. – Janus w zadumie spojrział w stronę wyjścia z namiotu. – Mam nadzieję, że dojdzie do siebie. Umiejętność godzenia się z klęską jest u dowódcy równie ważna jak umiarkowanie po zwycięstwie. – Wyciągnął się na krześle i spojrział na generała. – Gdy następnym razem ktoś zasugeruje, że jestem nieomylny, przypomnij, że to ja mianowałem Ibsly'ego dowódcą.

– Nie znałem go dobrze, ale wydawał się kompetentny.

– Był. Jednak kompetencje to nie to samo co temperament. – Janus westchnął. – Gdybym miał tuzin takich jak ty, Winter Ihernglass czy Fitz Walrus, dowodzących wszystkimi moimi dywizjami, moje życie stałoby się znacznie łatwiejsze. Niestety jednak musimy radzić sobie z tym, co mamy. Czasem dowodzenie hartuje ludzi, a czasem ujawnia ich wady.

– Dziękuję za zaufanie, pierwszy konsulu – rzekł z uśmiechem Marcus.

– Daj spokój. Moje zaufanie do ciebie jest jednym z filarów tej armii. – Janus wskazał krzesło po drugiej stronie stołu. – Usiądź. Kiedyś zarzuciłeś mi, że zbyt długo trzymam moje plany dla siebie, a nie chcę, by mówiono, że nie słucham słusznej krytyki. – Rozwinął zwój pergaminu, mapę w dużej skali ukazującą większość zachodniego Murnska. Rzeka Ytolin znajdowała się na dole, a położenie Gilphaite – zbyt małego, żeby znalazło się na

mapie – zaznaczono ołówkiem. Janus powiódł palcem po nieregularnych zarysach pasma Votindri na północy, po czym postukał w maleńki symbol wieży. – Elizjum – powiedział. – Niezdobyta forteca Kościoła Zaprzysiężenia. W rzeczywistości żadna to forteca, lecz jej najlepszą tarczą zawsze były setki mil otaczającego ją Murnska. Nie jest to dobry teren do przemarszu.

– Delikatnie mówiąc – mruknął Marcus. Sprawdził skalę i obliczył odległości. – Ponad czterysta mil w linii prostej. – W drodze z Antovy do Vordanu armia Wschód pokonała sporą odległość, maszerując chyba szybciej niż jakakolwiek inna; w niektóre dni pokonywała prawie trzydzieści mil. Po dobrych drogach i z niemal całym ciężkim sprzętem transportowanym rzeką. Przemarsz po notorycznie fatalnych murnskajskich drogach, z działami i taborami, na pewno nie byłby tak szybki. – Powiedzmy, dziesięć mil dziennie, w najlepszym razie. To daje półtora miesiąca, tylko żeby tam dotrzeć, nawet gdyby nikt nie próbował nas zatrzymać.

– Półtora miesiąca byłoby doskonałym wynikiem – przyznał Janus. Przesunął palcem po cienkiej czarnej linii równoległej do gór na północy, a potem na wschód, przez przełęcz, na skraj mapy. Tam odgałężenie drogi biegło do Elizjum. – Droga Pielgrzyma to przeważnie ledwie widoczny szlak i co roku powódź zmienia go w błota. Bardziej konwencjonalne byłoby podejście wzdłuż brzegu. – Przesunął palec na zachód, gdzie inny trakt biegł brzegiem morza, łącząc miasta przytulone do ujść murnskajskich rzek. – Na przykład, gdybyśmy zdołali zająć Salavask, moglibyśmy popłynąć w górę rzeki Kovrii i znaleźć się sto mil od Elizjum, mając zabezpieczone linie dostaw.

– To by za długo trwało – orzekł generał. – Musielibyśmy przeczekać zimę w Salavasku i zaatakować Elizjum w przyszłym roku.

– A ja nie mam ochoty spędzać zimy w Murnsku – stwierdził Janus. – Ponadto borelgajska flota kontroluje Morze Borelu i może wysadzić oddziały w każdym miejscu Podzielonego Wybrzeża. Byłoby im na rękę, gdybyśmy poszli na zachód.

– Czy to dlatego Dorsay wycofuje się do Yatterny? – To miasto leżało przy ujściu Ytolin, daleko na zachód od Gilphaite. Diuk Brookspring najwyraźniej nie zamierzał się zatrzymywać, dopóki nie będzie za jego murami. – Uważa pan, że chce, żebyśmy poszli za nim?

– Sądzę, że przede wszystkim chce zająć dogodną pozycję umożliwiającą szybki odwrót – odparł z odrobiną pogardy w głosie Janus. – Ale jestem pewny, że ucieszyłby się, gdybym ruszył za nim. Oblężenie w miejscu, gdzie jego flota zapewni mu dostawy, bardzo by mu odpowiadało. – Potrząsnął głową i przesunął palec na wschód. – Nie. Będziemy się trzymać jak najdalej od morza. Rozmiękła czy nie, Droga Pielgrzyma jest najlepszym wyborem. Pozostawimy tu dwie dywizje, żeby miały na oku Dorsaya i zabezpieczyły naszą linię dostaw na południowym brzegu Ytolin. Reszta armii pójdzie na północ, skręci na wschód przy Vantzolku, a potem znów na północ, do Tsivny i przeprawy w Norilii.

– A jeśli Dorsay spróbuje nas dogonić i zastąpić nam drogę?

– Nie spróbuje. To dałoby nam możliwość odcięcia go od morza, a tego nie zaryzykuje. Nie, spodziewam się, że pójdzie za nami jak cień, czekając jak sęp na okazję. Bardziej niepokoi mnie imperator.

– Nie widzieliśmy zbyt wielu murnskajskich oddziałów poza

lokalnymi garnizonami.

– Mamy raporty o tym, że imperator wyprowadził swoje wojska z Mohkby. – Janus wskazał stolicę Murnska, daleko na wschód od gór. – Ogromna armia, chyba stu pięćdziesiąt tysięcy, jeśli wierzyć pogłoskom. Przybędzie na południe, żeby bronić Elizjum. Nie ma innego wyjścia, każdy imperator, który pozwoliłby obcym wojskom splądrować święte miasto, nie pozostałby długo u władzy. Zajmie pozycję gdzieś między Tsivny a Kovrią.

– Uważa pan, że możemy go pokonać? – zapytał Marcus.

– Spodziewam się, że tak – odrzekł Janus, nonszalancko wzruszając ramionami. – Oczywiście to zależy od tego, kto będzie dowodził, ale ani imperator, ani jego synowie nie słyną z militarnych umiejętności. Murnskajska armia ma utrzymywać cesarską władzę w jego dominiach i niezbyt się nadaje do wyłaniania wybitnych jednostek. Pokonamy tę przeszkodę, kiedy do niej dotrzemy. – Oparł się rękami o stół. – Pomaszterujemy do Vantzolk, generale kolumny. Proszę przygotować armię do porannego wymarszu. Wyślę instrukcje, żeby nasze dostawy kierowano na wschód, przez Gium, i składowano w Vantzolku. Musimy przetransportować tam jak najwięcej sprzętu i żywności.

– Tak jest, pierwszy konsulu. – Marcus wstał. – Jakies specjalne poruczenia?

– Wyślemy drużyny aprowizacyjne eskortowane przez jazdę – polecił Janus. – Bez zbytecznych grabieży i aktów przemocy, proszę, ale chcę, żeby zarekwirowały każdego konia, osła i muła w promieniu stu mil od rzeki oraz wszystko, co ma koła. Transport będzie sporym problemem podczas marszu na północ i powinniśmy być na to przygotowani. Sporządźcie harmonogram, żeby każdy

pułk pełnił te obowiązki.

– Oczywiście, pierwszy konsulu.

Marcus uśmiechnął się w duchu. Bez zbytecznych grabieży. Janus był przede wszystkim realistą. W końcu żołnierze są żołnierzami i jest mało prawdopodobne, żeby nie zabrali komuś kawałka szynki czy butelki wina, kiedy pośle się ich po konie i wozy. Łatwiej tolerować takie uczynki, wyraźnie zapowiadając, że brutalne morderstwa i grabieże będą surowo karane. Te „obowiązki”, o których mówił pierwszy konsul, niewątpliwie zostaną uznane przez pułki za przywilej. Kolejny raz Marcus był pod wrażeniem tego, jak dobrze jego dowódca rozumie zwykłych żołnierzy.

– Jeszcze jedno.

– Pierwszy konsulu?

Janus zmarszczył brwi i postukał palcem w stół.

– Chciałbym, żebyś porozmawiał z królową.

– Mam jej przekazać jakąś wiadomość?

– Niezupełnie. Nalegałem, żeby wróciła do Vordanu, ale odmawia. Chyba stała się nieco... podejrzliwa wobec mnie. Uważam jednak, że ty wciąż cieszysz się jej zaufaniem. Jeśli jest coś, co możesz zrobić, aby przekonać ją, że powinna zostać na tyłach...

– Mogę spróbować. – Marcus skrzywił się. – Może mi ufa, ale moje dotychczasowe sukcesy w namawianiu Raesinii do pozostawania w bezpiecznym miejscu są znikome. Kiedy podejmie jakąś decyzję, okropnie trudno ją od niej odwieść.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Janus westchnął. – Jednak spróbuj. Jeśli jej nie przekonasz, nie będę miał ci tego za złe.

– Rozumiem, pierwszy konsulu.

Marcus zasalutował i opuścił namiot. Na zewnątrz dwóch kaprali z oddziałów kolonialnych pilnowało wejścia. Nieco dalej, przykucnąwszy, porucznik Andria Dracht i trzech młodzi żołnierze bacznie wpatrywali się w leżącą do góry dnem blaszaną miskę.

– No dobra, kto obstawia za trzy? – pytała Andy. – No już, moja babcia postawiłaby trzy, a ona nie żyje od lat. – Rzucone monety brzęknęły o miskę, a Andria uśmiechnęła się. – No właśnie. Cztery? Piękne dzięki. Kto postawi suwerena? Kto chce zagrać z dużymi chłopcami? No już, dawaj, bo na co go wydasz? Właśnie. Ktoś postawi dwa? Jesteście bandą dusigroszy, wiecie? – Spojrzała na najwyższego z trzech chłopców. – No dobrze, jaki wynik obstawiasz?

– Niski – odparł nieborak, nerwowo się wiercąc.

– A zatem niski. Myślisz, że niski będzie szczęśliwy? – Andy podniosła miskę z ziemi, odsłaniając dwie kostki. Na moment zapadła cisza, po czym chłopcy jęknęli, a ona uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Nie, nie jest!

Wprawnym ruchem zgarnęła monety z ziemi i zerwała się na równe nogi. Trzej żołnierze również wstali.

– No cóż, panowie – powiedziała Andy. – Miło było, ale...

– Jeszcze raz! – zawołał jeden z nich.

– Właśnie – rzekł drugi. – Musisz dać nam szansę trochę się odegrać.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – powiedziała Andy.

– Jeszcze raz – upierał się najwyższy żołnierz. – Siadaj i rzucaj kości. Już!

Wyciągnął rękę, żeby złapać Andy za ramię, i Marcus

odkaszlnął.

– Poruczniku? – powiedział.

– Ach. – Andy wyprostowała się i niezgrabnie zasalutowała. – Witaj, generale kolumny.

– Nie myśl, że oszukasz mnie tym... – Wysoki żołnierz odwrócił się, zobaczył dowódcę i zbladł jak prześcieradło. Zasalutował tak sprężyście, że aż Marcus się skrzywił.

– Panie generale!

– Spocznij, szeregowy – powiedział generał. – Poruczniku, pozwólcie ze mną, jeśli łaska.

Odeszli, zostawiając zmieszanych młodzieńców.

– To nie uchodzi, żeby oficerowie oskubywali szeregowców – zganił ją.

Andy dotknęła naramiennika z paskiem porucznika.

– Nie żebym oszukiwała – powiedziała z kwaśną miną. – W każdym razie nie bardzo. To nie moja wina, że oni nie umieją obliczyć szans. I mam nadzieję, że nie uważasz, że wyświadczyłeś mi tam przysługę. Wiesz, że potrafię zatroszczyć się o siebie.

– Oczywiście. Bardziej martwiłem się tym, że rozbijesz temu chłopcu głowę i będę musiał wyjaśnić to Janusowi.

– Och – mruknęła Andy. – To całkiem możliwe. Powinien nauczyć się trzymać ręce przy sobie.

Poklepała kieszeń, z satysfakcją słuchając brzęku monet.

Marcus pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Andy została jego podkomendną w stolicy Vordanu, kiedy próbował zapewnić bezpieczeństwo działającej tam incognito Raesinii. Niespecjalnie cieszyła go perspektywa rozkazywania dziewczynie, ale Andria

okazała się bystra i kompetentna, chociaż trochę brakowało jej żołnierskiego drylu. Zanim Janus znów ściągnął go do siebie i mianował dowódcą Wielkiej Armii, była przy nim tak długo, że jej obecność wydawała się najzupełniej oczywista, i wciąż pełniła rolę jego kuriera i ochroniarza. To zdumiewające, do czego można się przyzwyczaić, pomyślał.

– I co Janus miał do powiedzenia?

– Wymaszerujemy rano.

Przystanął na skrzyżowaniu dwóch szerokich alejek biegnących przez bezkresne morze namiotów tworzących obóz Wielkiej Armii. Kwatermistrze starali się zachowywać taki sam rozkład w każdym kolejnym miejscu obozowania, ale i tak ktoś nieostrożny łatwo mógł się zgubić. Andy wskazała kierunek i poszli w lewo, do kwatery Marcusa.

Na myśl o tym, że te wszystkie namioty zostaną zwinięte rano i ponownie rozłożone następnego wieczoru, generał z podziwem pokręcił głową. To było tak, jakby pierwszy konsul postanowił przenieść katedrę vordanajskiego Kościoła Zaprzysiężenia nad morze, kamień po kamieniu, codziennie ją składając na wieczorne msze. Samo zapewnienie płóciennego dachu stu tysiącom ludzi, nie mówiąc już o ich żywieniu, odziewaniu i zaopatrywaniu w amunicję, wymagało niemieszczącego się w głowie wysiłku. Gdzieś daleko na południu wypiekano suchary i pakowano w skrzynie, które Ministerstwo Wojny transportowało na barkach i wozach do składów w Talbonn, a stamtąd konwojami do Wielkiej Armii. Na swoim stanowisku Marcus był nieprzyjemnie świadomy, że wszystko, od żywności, którą spożywa, po buty, które ma na nogach, jest dostępne tylko dzięki nieustannym wysiłkom setek

urzędników i tragarzy, często wielomiesięcznym.

Na szczęście jego stanowisko nie wymagało, żeby cokolwiek z tym robił poza sporadycznym podpisywaniem raportów o stanie zapasów. Kiedy żołnierze ćwiczili, Janus przez większość zimy reorganizował Ministerstwo Wojny, wykorzystując swoją nową władzę pierwszego konsula do usunięcia plew i zatrudnienia młodych, inteligentnych ludzi, nie zważając na ich pochodzenie. Marcusa, przyzwyczajonego walczyć z ministerstwem o wymianę każdego znoszonego płaszcza, zdumiewała sprawność funkcjonowania nowego systemu – jakby zardzewiałe zawiasy zastąpiono nowymi i dobrze naoliwionymi.

Oczywiście pomogło w tym to, że Koronie nie brakowało złota. Kiedy stało się jasne, że Hamveltajczycy zamierzają potulnie zakończyć swój udział w wojnie, pomniejszych miasta w dolinie Velt i na południe od Deslandu nie traciły czasu i też porozumiały się z Vordanajami. Janus przyjął ich z otwartymi ramionami, ale wymógł na radach miejskich i bogatych mieszczanach hojne kontrybucje, płacąc za wojskowe dostawy weksłami realizowanymi po zakończeniu wojny. Gdzieś w pałacu w Ohnlei młoda przyjaciółka Raesinii, Cora, starała się zapanować nad tym wszystkim. Marcus był jej za to ogromnie wdzięczny, gdyż wolałby wypalić sobie oczy rozżarzoną pogrzebaczem, niż zajmować się zawilóściami armijnych finansów.

Jego namiot był wielki jak na wojskowe standardy, dostatecznie duży, by czterech lub pięciu mężczyzn mogło stać wokół składanego stołu. Obecnie był tam tylko jeden człowiek. Pułkownik Alek Giforte spojrzał na wchodzącego, zasalutował mu i wrócił do pisania.

Był starszy od Marcusa, miał siwe włosy i krótką brodę, przetykaną nitkami siwizny. Marcus poznał go jako wicekapitana Straży, kiedy Janus, będący wówczas ministrem sprawiedliwości, mianował go dowódcą tej formacji. Giforte okazał się zarówno wspaniałym administratorem, jak i szpiegiem Ostatniego Diuka; w typowy dla siebie sposób Janus postanowił zignorować to drugie i zachować Giforte'a do tego pierwszego. Generał kolumny musiał wysyłać mnóstwo rozkazów i zadaniem Giforte'a było przekładanie zwięzłych komend Janusa i Marcusa na konkretne polecenia i harmonogramy – zadanie, które wykonywał z zapałem.

– Jak poszło? – zapytał.

– Wymaszerujemy rano – oznajmił generał, a potem krótko streścił to, co powiedział mu pierwszy konsul. Gdy doszedł do rekwirowania koni i wozów, Giforte zmarszczył brwi. Chociaż przeszedł do wojska, w głębi serca nadal był przedstawicielem prawa.

– Dwie dywizje zostaną tutaj – rzekł, kiedy Marcus skończył. – Na pewno szósta. Czy Janus powiedział, która jeszcze?

– Nie. Masz jakieś sugestie?

– Myślę o dziesiątej. Generał dywizji Beaumartin jest trochę powolny, ale wytrwały. Nadaje się, aby tu dowodzić, gdyby Dorsay zrobił coś nieoczekiwanego.

– Racja.

– Każę chłopcom pisać rozkazy. – Giforte wstał. – Będiesz tu za godzinę, żeby je podpisać?

„Chłopcy” byli młodymi żołnierzami stłoczonymi w namiocie pełnym map, przegródek i stert papieru. Formalnie byli kancelistami generała kolumny, ale Marcus często miał wrażenie,

że w rzeczywistości są personelem Giforte'a, który tylko chwilowo mu ich wypożyczył. W niektórych wypadkach dosłownie tak było, gdyż wiedział, że Giforte werbuje na swych skrybów dawnych Strażników.

– Powiniennem tu być – odparł Marcus i zmarszczył brwi. – Chociaż może nie. Zupełnie zapomniałem. Andy, zechcesz pójść do namiotu królowej i powiedzieć jej, że generał kolumny d'Ivoire chciałby się z nią jak najszybciej zobaczyć?

– Kapuję.

Andy wybiegła z namiotu, nie oddawszy honorów. Giforte przewrócił oczami.

– Na zbyt wiele jej pozwalasz – zauważył.

– Sam spróbuj zmusić ją do czegoś – odrzekł Marcus, z westchnieniem siadając przy stoliku. – A potem powiedz mi, jak ci poszło.

– Jeżeli ma cię reprezentować, powinna okazywać więcej szacunku. Pewnego dnia może obrazić jakąś ważną osobę.

– Przyjaźni się z Raesinią, a Janusowi chyba nie przeszkadza jej zachowanie – stwierdził Marcus. – Nie sądzę, żeby zetknęła się z jakimiś ważniejszymi od nich osobami.

Giforte pokręcił głową, zaszutował i wyszedł. Nigdy nie polubi Andy, pomyślał Marcus. Zastanawiał się, czy ma to coś wspólnego z córką Giforte'a, która była teraz pułkownikiem Pierwszego Dziewczęcego. Obecnie ojciec i córka rozmawiali ze sobą, ale plotki głosiły, że nie zawsze się zgadzali.

Stos papierów czekał na przejrzenie. Giforte nie mógł zajmować się wszystkim, chociaż Marcus miał teraz nieporównywalnie mniej roboty papierkowej niż wtedy, gdy dowodził oddziałami

kolonialnymi. Rzucił się w wir pracy i poczynił spore postępy, zanim Giforte wrócił z nowym plikiem papierów czekających na jego podpis. Marcus przejrzał je pobieżnie i podpisał.

Jedno pociągnięcie pióra, pomyślał, uruchamia całą tę ogromną maszynę.

Wkrótce wróciła Andy i oznajmiła, że królowa z przyjemnością zje z nim dziś kolację. Marcus westchnął, odłożył papiery i wstał, aby poszukać czystszej bluzy.

– Próbowali i powiedziano mi, że ponieśli ciężkie straty – rzekł Marcus. – Jednak Dorsay wzmocnił grań oddziałami ściągniętymi z miasteczka. Musieli się wycofać i Borelgajowie zniszczyli most, nim zdołaliśmy ich dopaść.

– Wygląda na to, że Dorsay wiedział, co chce zrobić Janus – zauważyła Raesinia.

Marcus wzruszył ramionami.

– Być może odgadł, że taki ma plan. Ostatecznie i tak został zmuszony do odwrotu. Janus uważa, że nie będzie nas już niepokoił, dopóki nie przybędzie murnskajska armia.

Raesinia wydeła wargi, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo weszły służące – jedna z parującymi talerzami gęstej zielonej zupy, druga wlała wino do kubka i podała do skosztowania królowej, a po jej aprobującym skinieniu głową obesła stół i napełniła pucharek Marcusa.

Kwaterna królowej była zaskakująco skromna, chociaż nie spartańska. Był tam gruby materac, stolik i krzesła oraz takie same składane biurczko, jakich używali oficerowie. Sam namiot wyglądał na jedwabny, lecz nie było w nim żadnych dywanów

i gobelinów, jakich Marcus mógłby oczekiwać, ani wykwintnej porcelany czy złoconych półmisków. Jedli z polerowanych mosiężnych talerzy i pili z fajansowych kubków, które doskonale nadawały się do zwykłej winiarni.

Tak urządzona kwatera odzwierciedlała te cechy charakteru Raesinii, które sprawiały, że Marcus czuł się przy niej nieswojo. W czasie, który spędzili razem w Vordanie, należała na porzucenie formalności, a on zaczął cieszyć się jej towarzystwem. Później, gdy zobaczył ją jako królową w całym jej majestacie i splendorze, wydawało się oczywiste, że tamte dni minęły. Zajął się reorganizacją armii według wskazówek Janusa i starał się o niej nie myśleć.

Teraz jednak czuł, że utknął między dwoma światami. Nie biegali razem po ulicach stolicy, nie włamywali się do centrali Giełdy i nie skradali w Starym Mieście. Jednak nie było to także Ohnlei, gdzie uwagę królowej zaprzęтали dworzanie i pałacowe rytuały. Marcus miał wrażenie, że widzi dwie osoby: królową i młodą kobietę, którą dobrze poznał; władczynię i Raesinię, która pewnej nocy weszła do jego komnaty i rozcięła sobie dłoń, żeby wyjawić mu swoją tajemnicę. Nie wiedział, jak powinien się zachować.

– Czy Ihernglass jest cały i zdrowy? – zapytała Raesinia. – Nie został ranny?

– Nie jest ranny – ostrożnie odparł Marcus. – Jednak...

Wbił wzrok w swój talerz. Raesinia, unosząc łyżkę, skinieniem kazała mu kontynuować.

– Trudno pogodzić się z myślą, że wydało się rozkazy i zginęli ludzie, a być może nie były to właściwe rozkazy. Myślę, że każdy

dowódca przez to przechodzi, ale to wcale tego nie ułatwia. – Marcus przypomniał sobie Weltae, którego tak zaciekle bronił z Adrechtem Rostonem. Postanowił utrzymać pozycję i wierzyć w Janusa, zamiast się wycofać, a Adrecht za to zapłacił, wraz z wieloma innymi. – Myślę, że pogodzi się z tym, ale to nigdy nie jest proste.

Raesinia skinęła głową, a w jej oczach ujrzał zrozumienie. Marcus musiał sobie przypominać, że chociaż wygląda na nastolatkę, królowa przez ostatni rok wiele przeszła i w rzeczywistości była już prawie dwudziestojednoletnią kobietą.

– A teraz Janus chce pomaszerować prosto na Elizjum – powiedziała, opróżniwszy talerz. – Jakie jest twoje zdanie w tej kwestii? – Uśmiechnęła się tym łobuzerskim uśmiechem, który pamiętał z Vordanu. – Jako zawodowego wojskowego.

– Nie byłoby mnie tu, gdybym nie wierzył w Janusa – rzekł Marcus.

– A gdybyś nie znał Janusa? – spytała Raesinia. – Czy uważałybyś, że można zdobyć Elizjum? Farus Czwarty najechał Murnsk i historycy twierdzą, że był to jego największy błąd. A król Vetaraia stracił w śniegach całą swoją armię i skończył w klatce.

Marcus skosztował zupy. Była całkiem niezła, lekka, o smaku jabłek i ziół.

– W szkole wojskowej – powiedział po chwili – zwykli mówić, że Murnska bronią dwaj niewidzialni dowódcy: generał Styczeń i generał Luty. Żadna obca armia nigdy nie podbiła Murnska, ponieważ imperatorowi wystarczyło tylko poczekać na ich wsparcie. Może oddawać teren przez długi czas, gdyż Murnsk to bardzo duży kraj.

Uświadomił sobie, że służąca stoi za nim, czekając z następnym daniem. Marcus wyprostował się z lekkim żalem. Oczywiście nie uchodziło obżerać się w towarzystwie królowej, ale jako żołnierz niechętnie zostawiał coś na talerzu.

– Na szczęście – ciągnął, gdy stawiano przed Raesinią półmisek z pokrojoną wołowiną – teraz mamy kwiecień i nie przybyliśmy tu, aby podbić Murnsk, tylko Elizjum. Jeśli imperator postanowi grać na zwłokę, będziemy z powrotem w Vordanie, nim generał Styczeń wkroczy na pole bitwy. Natomiast jeśli zechce walczyć, wierzę w naszą Wielką Armię.

Raesinia mruknęła coś, przeżuwając wołowinę. Marcus spojrział na talerz przed sobą, potem znów na królową i odkaslnął zmieszany.

– Wasza Królewska Mość... – zaczął.

Uciszyła go, podnosząc palec, przełknęła i napiła się wody. Czekał.

– Niech zgadnę – powiedziała. – Nie zdołał mnie namówić, żebym została na tyłach, więc przysłał ciebie, żebyś mnie o to poprosił.

Marcus oklapł.

– Coś w tym rodzaju.

– Jak na genialnego stratega bywa w najwyższym stopniu przewidywalny.

– Pole bitwy to nie miejsce dla królowej – argumentował. – Powinnaś być w Vordanie.

– Mój ojciec spędził całkiem sporo czasu na polach bitew – odpaliła Raesinia. – Mój brat zginął w jednej.

– Co było katastrofalne dla kraju – przypomniał Marcus. –

Gdyby księżę Dominic żył...

Za późno zdał sobie sprawę, że to dość niezręczny argument, i zamilkł zmieszany. Raesinia zmarszczyła brwi i dała znak najbliższej stojącej służącej. Wszystkie skłoniły się nisko i opuściły namiot.

– Oboje wiemy – powiedziała cicho – że w moim wypadku śmierć nie jest żadnym problemem.

– Kapłani Czerni już raz próbowali cię porwać – przypomniał Marcus. – Czy nie łatwiej będzie im tego dokonać tutaj, na ich terenie?

– Myślę, że Kapłani Czerni mają teraz poważniejsze zmartwienia, gdy idzie na nich Janus – stwierdziła Raesinia. – Ponadto gdzie byłabym bezpieczniejsza niż pośród Wielkiej Armii, mając w pobliżu ciebie, Janusa i Ihernglassa?

Marcus nie robił tu żadnych postępów, to pewne. Nie żebym się jakichś spodziewał, westchnął w duchu.

– Co właściwie chcesz osiągnąć? Mam nadzieję, że nie zamierzasz krytykować po fakcie wojskowych poczynań Janusa.

– Nie, wojskowych nie – odparła Raesinia. – Jednak jeśli pokona imperatora i Dorsaya, to o sytuacji na kontynencie może zdecydować to, co zdarzy się potem. A to będzie kwestia polityki i nie zamierzam być w odległym o całe miesiące drogi Vordanie, kiedy to nastąpi.

Właściwie nie jest to zupełnie nierozsądne, pomyślał Marcus, pochłaniając wołowinę, szczególnie jeśli się wie, że królowa nie musi się obawiać chorób czy zabłąkanych kul. To jednak bynajmniej go nie uspokoiło. Janus ma rację, Raesinia mu nie ufa, pomyślał. Zerknął na nią, ale ona ze skupioną miną wpatrywała się

w swój talerz.

Przez jakiś czas jedli w milczeniu. Grzecznie odczekawszy chwilę, Marcus odsunął swój talerz i wstał.

– Wasza Królewska Mość – powiedział. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Mam wiele spraw do załatwienia.

– Oczywiście. – Raesinia również wstała. – Miałam nadzieję, że...

– Tak?

– Zjesz ze mną znowu kolację? – zapytała, odrobinę zbyt pospiesznie. – Oczywiście, jeśli tylko nie będzie to kolidowało z twoimi obowiązkami. – Zawahała się, po czym dodała: – Przyznaję, że nie rozumiem wielu spraw związanych z wojskiem i wojną. Miałam nadzieję, że mógłbyś mi je wyjaśnić po drodze.

Marcus skłonił się, skrywając zmieszanie.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość. Kiedy tylko sobie życzysz.

– Dziękuję. – Znów się uśmiechnęła, teraz tym samym łobuzerskim uśmiechem, który pamiętał. – Zatem wkrótce znowu cię zobaczę.

Wielka Armia maszerowała.

Marcus zawsze wyobrażał sobie Murnsk jako krainę wiecznej zimy, zasypanych śniegiem pól i skutych lodem lasów. Wprawdzie wiedział, że mieszkają tu ludzie, którzy nie przetrwaliby tutaj, gdyby zima nigdy się nie kończyła. Mimo to był lekko rozczarowany, gdy rzeczywistość okazała się niezgodna z jego operetkowymi wyobrażeniami.

Oczywiście znajdowali się na południu, co oznaczało, że ta część Murnska niewiele się różni od północnego krańca Vordanu. Pagórkowaty teren był poprzecinany szachownicą zielonych i brązowych pól, z rzadka pojawiały się zagajniki. Na południu płynęła rzeka, najpierw Ytolin, a potem jej mniejszy dopływ – Intolin – zwężający się, w miarę jak podążali na wschód, ale wciąż głęboki i rwący po wiosennych roztopach. Co parę dni mijali jakąś wioskę, a raczej osadę z kilkoma otynkowanymi domami i nieodłączną wieżą Kościoła Zaprzysiężenia. Marcus obchodził je z daleka, wysyłając tylko kilkusobowe patrole, żeby kupowały wszelką żywność, jaka będzie na sprzedaż, i rekwirowały konie oraz wozy.

W regularnych odstępach czasu pułki robiły wypadki na południe, żeby pod eskortą kawalerii zgodnie z rozkazem Janusa przeczesywać okolicę. Ciągący za kolumną sznur wozów i zwierząt pociągowych wydłużał się po powrocie każdego takiego oddziału rekwizycyjnego, aż liczył kilka mil i wymagał rozbijania obozu niemal równie dużego jak bojowe oddziały. Na szczęście żywności i paszy było w bród, gdyż dostarczano ją barkami przypluwającymi rzeką z nowej bazy zaopatrzeniowej w Vantzolku.

Raporty składane przez powracające oddziały rekwizycyjne nie były przyjemną lekturą. Marcus nie spodziewał się, że miejscowi będą uszczęśliwieni tym, że muszą oddać swoje zwierzęta pociągowe i wozy, ale żołnierze przynosili opowieści, które nieprzyjemnie przypominały mu Khandar. Żyjąc w Vordanie, gdzie do Wielkiej Schizmy doszło przed stu laty i niemal o niej zapomniano, łatwo było bagatelizować spory Kościoła

Zaprzysiężenia z Wolnym Kościołem i uważać je za drobne różnice zdań. Tutaj było oczywiste, że wojna religijna nigdy się nie zakończyła i miejscowi uważali Vordanajów za pogan przybywających, by gnębić prawdziwą wiarę. Zwykle przewaga liczebna Wielkiej Armii zapobiegała przerodzeniu się tych sporów w potyczki, ale Marcus był pewny, że jest to tylko kwestią czasu.

A tymczasem kolacje z Raesinią stały się cwieczornym zwyczajem. Ponieważ jedzenie było znacznie lepsze od standardowych żołnierskich racji, Marcus miał nieustannie poczucie winy, ale Raesinia wydawała się szczerze zainteresowana sprawami wojska i okazała się pilną uczennicą. Marcus rysował schematy rozlanym winem i tworzył pozycje piechoty ze sztuców i solniczek.

Raesinia nie pozwalała, by dobre maniere powstrzymywały ją od zadawania pytań, jeśli czegoś nie rozumiała. Było to bardzo stymulujące i uzmysłowiło Marcusowi, jaki jest samotny, od kiedy wrócił w szeregi armii. W Khandarze miał Adrechta, Vala i Mora, dowódców innych batalionów oraz swojego adiutanta, Fitz Warusa. Adrecht już nie żył, a Fitz, Val i Mor mieli swoje dywizje, którymi musieli się zajmować. No i teraz są moimi podkomendnymi, westchnął. Wszyscy byli jego podkomendnymi prócz Janusa. Raesinia była chyba jedyną osobą, z którą mógł jeszcze rozmawiać.

– Myślę, że ona cię lubi – powiedziała Andy, gdy po kolacji wracali z namiotu królowej na kwaterę Marcusa. Znajdowali się o pięć dni drogi za Gilphaite, mając kolejne pięć do Vantzolku. Na uprzejme zaproszenie Raesinii Andy zjadła z nimi kolację i obie przez cały wieczór opowiadały sobie historie z czasów, gdy

w Vordanie uciekały przed siepaczami Dyrektoriatu.

– Co proszę? – spytał Marcus.

– Królowa – wyjaśniła Andy. – Myślę, że cię lubi.

– Mam nadzieję, że okazałem się godny jej zaufania.

Andy posłała mu zirytowane spojrzenie.

– Mam na myśli to, że lubi ciebie. No wiesz. Tak jak dziewczyna chłopaka. – Wydęła usta w zadumie. – Wiesz, o czym mówię, prawda? Widzisz, gdy dziewczyna i chłopak się lubią, albo po prostu trochę za dużo wypiją, to...

– Andy! – warknął Marcus.

– Przepraszam. Po prostu znamy się już... no ile, sześć miesięcy? I chyba nie widziałam, żebyś chociaż spojrzął na jakąś dziewczynę. Nie sądzę, żeby armia zmuszała do składania ślubu czystości. Wiem, że Winter miał Szaloną Jane, a Fitz Warus swojego młodzieńca. A za taborami ciągnie tłum dziwek, z których można by sformować jeszcze jeden pułk.

Fitz... Marcus potrząsnął głową. To nie moja sprawa.

– Ja nie... to znaczy...

– Jeśli nie chcesz o tym mówić, to w porządku – rzekła Andy. – Po prostu byłam ciekawa.

– Była pewna dziewczyna. – Marcus przeciągle westchnął. – W Khandarze.

– Ach. – Andy uśmiechnęła się ze zrozumieniem. – Pewnie złamałeś jej serce, tak?

– Usiłowała mnie zabić – beznamytnie rzekł Marcus. – Nie zdołała i to ja pomogłem zabić ją.

– Och. – Andy spuściła głowę. – Kurwa. Przepraszam.

– W porządku. – Marcus popatrzył na nią i zmrużył oczy. – Jednak chyba nie mówisz poważnie, że królowa Vordanu... interesuje się mną. To absurd.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest królową! A ja... – Machnął ręką.

– Generałem kolumny Wielkiej Armii? Prawą ręką pierwszego konsula?

– Zwykłym człowiekiem. Nawet nie szlachcicem, a tym bardziej nie królewskiej krwi.

– Niewiele o tym wiem – powiedziała Andy. – Jednak widziałam dość dziewczyn z chłopcami, których sobie wybrały, żeby rozpoznać objawy.

– Myślę, że się mylisz.

– W porządku, w porządku. Tak tylko o tym wspomniałam.

– Lepiej nie wspominaj o tym nikomu innemu – ostrzegł Marcus. – Nie chcę, żeby zaczęły krążyć jakieś plotki.

Pięć

Winter

Sierżant była postawną kobietą, o blond włosach upiętych w kok i gęsto usianej piegami, szerokiej twarzy. Natarła biegiem, mieląc buciorami błoto i oburącz unosząc pałkę nad głową. Głupota, uznała Winter. Miała dłuższe ręce, lecz straciła tę przewagę, atakując w ten sposób i tak otwarcie sygnalizując cios, co dało Winter różne możliwości obrony. Wybrała najprostszy: zrobiła krok naprzód, nadstawiając bark pod opadające ręce, i pałka przecięła powietrze. Jednocześnie silnym pchnięciem swojej trafiła przeciwniczkę w brzuch. Powietrze z głośnym świstem uszło z płuc sierżant, która zgięła się wpół, upuszczając pałkę.

Winter odsunęła się, gdy kobieta upadła na ziemię i zwinęła się w kłębek. Tłum obserwował to w milczeniu.

– Gdybym miała na tym bagnet – powiedziała donośnie – teraz strząsałabym z butów jej flaki. I gdybym nie wyświadczyła jej przysługi, podrzynając jej gardło, żyłaby co najmniej do zmroku, leżąc w stercie swoich wnętrzności. Wszyscy rozumieją, co to oznacza?

Stojący wokół żołnierze z kompanii Pierwszego Dziewczęcego i kilku kompanii trzeciego pułku de Koste'a ostrożnie potwierdzili. Winter odwróciła się do Bobby i wyciągnęła rękę, a Bobby podała jej muszkiet z nasadzonym bagnetem. Trójgraniaste stalowe ostrze

lśniło, gdy podniosła je nad głowę.

– Pytałam, czy rozumiecie.

Tym razem odpowiedź była zdecydowana.

– Tak jest, generale!

– To dobrze. – Winter opuściła broń. – Stańcie w dwóch szeregach, naprzeciwko siebie. Atak i obrona. I bez udawania, zrozumiano? Powiem kucharzom, że kto wróci bez przynajmniej jednego porządnego sińca, nie dostanie kolacji.

Jednym spojrzeniem uciszyła rodzący się jęk. Zaczekała, aż porucznicy zaczną organizować ćwiczenia, dzieląc kompanie na atakujących i broniących się, a potem znów odwróciła się do sierżant, która przetoczyła się na plecy, ciężko dysząc. Winter pochyliła się i wyciągnęła do niej rękę, żeby pomóc jej wstać.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała.

Kobieta skrzywiła się, wstając z ziemi.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie generale.

– Dajcie posmakować tego samego żołnierzom de Koste'a – rozkazała Winter. – I żadnego oszczędzania kobiet. Zrozumiano?

– Zrozumiano, panie generale.

Sierżant chwiejnym krokiem dołączyła do swojej kompanii. Winter odczepiła od pasa manierkę i pociągnęła tęgi łyk, zwilżając wyschnięte gardło. Ostatnio zbyt dużo krzyczała.

– To wszystko na dziś? – zwróciła się do Bobby.

– Tak jest, panie generale. Jednak Abby mówiła, że chce zamienić kilka słów.

– Gdzie ona teraz jest?

– Przy ćwiczących strzelanie z muszkietu.

W obozie drugiej dywizji panował ożywiony ruch. Winter wyznaczyła na plac ćwiczeń pas otwartej przestrzeni przylegający do namiotów i teraz byli tam wszyscy żołnierze z jej czterech pułków, którzy nie pełnili innej służby. Kompanie ćwiczyły szyk marszowy, atak na bagnety i posługiwanie się bronią, a nawet – na jej wyraźne polecenie – formowanie czworoboku, chociaż podręcznik taktyki tego nie przewidywał. Większe grupy wykonywały takie ćwiczenia jak to, które właśnie zademonstrowała: ataku i obrony, okładając się kijami i pałkami. Hanna Courvier, starszy chirurg, rozstawiła punkt opatrunkowy, do którego już napływał strumyk pacjentów.

Było wczesne popołudnie. Długa kolumna Wielkiej Armii wciąż przybywała do obozu, pułk po pułku i dywizja za dywizją. Maszerowały wolno w porównaniu z kampanią Velt: dziesięć mil dziennie, co pozwalało taborom nadążyć po wyboistych murnskajskich drogach. Winter prowadziła swoje oddziały przodem, żeby wcześniej przybyły na miejsce i miały większość dnia na ćwiczenia.

– Czy nie byłoby łatwiej, gdyby pułki ćwiczyły drużynami? – zapytała Bobby, gdy obchodziły kolejną grupę wykonującą ćwiczenie, które przerodziło się w ogólną bijatykę.

Sierzanci krzyczeli i odciągali walczących, oblepionych błotem i trawą.

– Dojdziemy do tego – odparła Winter. – Wszyscy widzieli, co się przydarzyło Ibsly’emu, i to powinno być wystarczającą motywacją do opanowania jak najszybszego formowania szyku. Ponadto chcę, żeby pozostali żołnierze przyzwyczaili się walczyć razem z Pierwszym Dziewczęcem.

Kiedyś wykorzystywała w tym celu mecze piłkarskie, ale teraz uważała, że po rozpoczęciu kampanii nie można sobie pozwolić na takie rozrywki. Po dotarciu do Vantzolku w każdej chwili mogą napotkać nieprzyjaciela.

Abby czekała w pobliżu placu przeznaczonego na ćwiczenia w strzelaniu z muszkietu. Długie szeregi żołnierzy w niebieskich mundurach raz po raz wykonywały kolejne czynności ładowania i strzelania, a oficerowie głośnymi okrzykami popędzali ich i karcili nieudolnych. W ubłoconym i mokrym od potu mundurze Abby też wyglądała jak po ciężkim boju. Zasalutowała Winter, która sztywno skinęła jej głową.

– Panie generale!

– Bobby powiedziała, że chcesz ze mną pomówić?

Abby kiwnęła głową i odeszła nieco od najbliższych stojących żołnierzy.

– Ostatnio nie jadasz kolacji ze zwykłymi żołnierzami – powiedziała ściszym głosem.

– Mam nawał pracy – odparła Winter, starając się nie mówić tego tonem usprawiedliwienia.

– Rozumiem, generale. Pomyślałam tylko, że może chcesz wiedzieć, co myślą.

– Niech zgadnę. Nie są uszczęśliwieni.

– Nie, generale. Szczególnie Pierwszy Dziewczęcy.

– Nie sądziłam, że odrobina ćwiczeń wzbudzi ich niezadowolenie.

– Ta odrobina ćwiczeń to jedno. Musiałam pożyczyć wozy z taborów, żeby umieścić na nich tych wszystkich żołnierzy, którzy rano nie mogli maszerować. Jednak nie tylko o to chodzi.

– Nie?

– Uważają, że pod Gilphaite zrobili, co mogli – wyjaśniła Abby.

– Straciliśmy tam wielu dobrych ludzi. A teraz myślą, że je karzesz.

– Wiesz, że nie mogę traktować Pierwszego Dziewczęcego inaczej niż inne oddziały – odparła Winter. – I to nie ma być kara. Powiedz im, że kiedy następnym razem Janus poprosi, żeby ta dywizja coś zrobiła, spodziewam się, że będą w stanie to zrobić.

– Gdybyśmy trochę zmienili plan ćwiczeń...

– Nie. Mamy tylko siedem dni do Vantzolku i zamierzam je wykorzystać.

Abby wydeła usta i wydawało się, że zamierza zaprotestować, ale powiedziała tylko „Tak jest, generale”. Odwróciła się na pięcie i odeszła.

– Winter... – zaczęła Bobby.

– Co? – Winter obróciła się do niej. – Już to omawialiśmy. Lepszy pot i sińce teraz niż krew później.

– Wiem – rzekła Bobby. – Tylko że...

– Co?

– Nieważne.

Dziewczyna potrząsnęła głową. Winter westchnęła.

Oni nie rozumieją. Wyraz twarzy Janusa, gdy składała mu raport. Ten cień – ledwie zauważalny – rozczarowania w jego oczach. Oni nie wiedzą, jak to jest być odpowiedzialną za to wszystko. Ta mroczna otchłań majaczyła w głębi jej świadomości i Winter miała wrażenie, że wisi na jej skraju, trzymając się tylko czubkami palców.

Ponieważ wszyscy byli na placu ćwiczeń, obóz był prawie pusty, nie licząc kucharzy i wartowników. Nie było słychać zwykłych śmiechów i rozmów przy grze w kości i ukradkowo wychylanych butelkach. Dobrze. Winter szła między rzędami ciemnych namiotów do swojego. Bobby przystanęła, unosząc klapę zasłaniającą wejście.

– Czy jeszcze coś, generale? – spytała.

– Nie – krótko odparła Winter. – Dziękuję.

– Jeśli chcesz... – Bobby lekko się zarumieniła. – Porozmawiać, no wiesz? Wydajesz się...

– Dziękuję, kapitanie. Idź dotrzymać towarzystwa kapitanowi Marshowi.

Bobby skrzywiła się. Zasalutowała, zrobiła w tył zwrot i odeszła.

To było nieładne. Bobby i kapitan Marsh wydawali się dobraną parą, a ona powinna cieszyć się ich szczęściem. Jednak ich widok był jak obracanie noża w ranie. Boże, co się ze mną dzieje? Wszystko to wiązało się z Jane, pieprzoną Jane, czającą się w jej myślach jak pantera w dżungli, atakującą, ilekroć przestała się strzec. Niech Bobby się pieprzy ze swoim przystojnym kapitanem. Co mnie to obchodzi?

Niech to szlag, zachnęła się. Zrzuciła buty i usiadła za biurkiem. Stos papierów już czekał na przejrzenie, ale nie mogła ich czytać oczami nagle pełnymi łez. Nie, nie, nie. Dość już to opłakiwałam. Na wszystkich pieprzonych świętych, koniec z tym. Nabrała tchu i otarła oczy wierzchem dłoni.

Większość raportów zawierała listy ofiar. Cyte proponowała, że się nimi zajmie, ale Winter nie potrafiła się zmusić do przyjęcia tej

propozycji tym razem. Miała wrażenie, że byłaby to zdrada. Listy, niekończące się rzędy równych liter, niosły straszliwe i zimne przesłanie.

Merriwan, Joanna. Niezdolna do dalszej służby.

Moore, Anette. Wróciła do służby.

Morse, Sasha. Nie rokuje wyzdrowienia.

Murphy, Andria. Nie rokuje wyzdrowienia.

Murphy, Genevieve. Zaginiona. (4/19)

Murzow, Bridgette. Zaginiona. (4/19)

Nailer, Susan. Niezdolna do dalszej służby.

Tyle się kryło za tymi słowami. Określenie „niezdolna do dalszej służby” kojarzyło się ze zgrzytem chirurgicznej piły i stertą bezkrwistych kończyn przed namiotem chirurgów. Okaleczeni ludzie, odwożeni wozami do Vordanu, przezuci i wypluci przez wojnę. „Nie rokuje wyzdrowienia” oznaczało długie szeregi umazanych krwią i odchodami posłań w szpitaliku, żołnierzy z rozplatanymi brzuchami lub rozbitymi czaszkami, którym nie można było pomóc, jedynie czekać, aż rany zaczną się jątrzyć.

Najgorzej było z „zaginionymi”. Niektórzy z nich z pewnością leżeli martwi na pobojuwisku z obrażeniami uniemożliwiającymi identyfikację lub w miejscu, gdzie nikt nie mógł ich znaleźć. Inni niewątpliwie zdezerterowali. Jednak część z nich wpadła w ręce Borelgajów, nie mogąc się bronić na skutek odniesionych ran lub zwykłego zmęczenia.

Oczywiście Winter już wcześniej czytała takie raporty. Te listy nie tylko były dłuższe, ale zawierały więcej okropnych adnotacji

o zaginięciu, z całą ich straszną niepewnością. Podczas kampanii Velt Pierwszy Dziewczęcy nigdy nie zszedł z pola bitwy, oddając je nieprzyjacielowi. Z tego, co Winter wiedziała, jedynymi żołnierzami jej pułku, którzy dotychczas zostali wzięci do niewoli, byli ci nieliczni maruderzy, którzy zostali schwytani przez patrole Ligi w trakcie długiego i wyczerpującego marszu z Deslandu do Jirdos. Po zakończeniu działań wszyscy zostali uwolnieni, nie mając większych powodów do narzekań poza nudą. Tym razem, choć pułkownik Blackstream był przekonany, że Borelgajowie są ludźmi honoru, Winter obawiała się najgorszego.

Po pewnym czasie żołnierz przyniósł jej kolację, wojskową zupę i suchary, z kawałkiem pływającej w talerzu tłustej wieprzowiny, będącej oficerską racją. Winter postawiła miskę na stoliku i zjadła machinalnie, nie czując smaku. Przewracała kartki, czytała nazwiska i składała podpis na dole, gdzie równe liczby sumowały zabitych, rannych i zaginionych, podając obecny stan każdego oddziału.

Wiedziała, że dywizja Ibsly'ego poniosła cięższe straty, zarówno podczas pierwszego, jak i drugiego ataku, który załamał się pod borelgajskim kontratakiem. Pierwszy Dziewczęcy miał największe straty z jej pułków, natomiast pozostałe trzy znacznie mniejsze.

Czy powinnam zrobić to inaczej? Najpierw wysłać z Ibslym Sevrana i jego ludzi, którzy mogli zmienić wynik bitwy? A gdy zobaczyliśmy działa, w ogóle nie atakować? Wiedziała, że takie rozmyślenia prowadzą do szaleństwa, ale nie mogła powstrzymać tych myśli.

Pracowała, aż oczy same zaczęły się jej zamykać, a opar zmęczenia zmienił listę nazwisk w rozmazaną plamę. Zaginiona,

zaginiona, zaginiona, poległa, poległa, poległa. Dopiero wtedy w końcu przyznała się do porażki, odkładając pióro i w ubraniu padając na materac. W tej krótkiej chwili, jaka upłynęła od złożenia głowy na poduszce do zaśnięcia, zdążyła się pomodlić, żeby zmęczenie nie pozwoliło jej śnić.

Jej modlitwa nie została wysłuchana, jak każdej nocy.

Złe sny dręczyły Winter niemal przez całe życie. Najwcześniejsze zawsze były snami o pożarze, buchających i otaczających ją płomieniach, odcinających wszystkie drogi ucieczki, napierających ze wszystkich stron. W tych płomieniach pojawiały się kształty i niemal pamiętane twarze. Krzyki. Po przybyciu do więzienia pani Wilmore każdej nocy budziła się z krzykiem, a przynajmniej tak później mówiły jej wychowawczynie.

Po tym, jak uciekła z sierocińca, śniła o Jane i nocy poprzedzającej jej ucieczkę. Śnił jej się farmer Ganhide wchodzący do pokoju Jane, żeby wyegzekwować swoje nowo nabyte prawa małżeńskie. I nóż błyszczący w jej dłoni. „Weź ten nóż”, powiedziała Jane, i „pchnij nim w górę, z całej siły”. Nie zdołała tego zrobić i uciekła, najdalej jak można było uciec. Jednak sny podążyły za nią.

Potem w Khandarze wybuchło powstanie Odkupicieli. Gdy już było po wszystkim, miała nowe sny. O zielonych oczach płonących w ciemnościach świątyni ukrytej pod piaskami pustyni, syczącym dymie i wyciągających się rękach umarłych. Sny, w których ukryty w niej demon, Wszystkożerca, uwalniał się i pożerał wszystko wokół.

Teraz spodziewała się snu o bitwie, listach nazwisk, straszliwych wizji tego, co mogło spotkać tych, którzy zostali wzięci do niewoli. Albo nawet o Jane, tym duchu, który nie chciał zostawić jej w spokoju. Czy można być nawiedzanym przez kogoś, kto nie umarł? I rzeczywiście ujrzała Jane, ale nie z końcowego okresu, w pijackim szale czy podczas konfrontacji w gabinecie Janusa, nie palec Jane ściągający spust i opadający kurek. Jej sen był...

...pełen szczęścia. Śniło jej się, jak pierwszy raz się pocałowały w gąszczu żywopłotu, obsypane gałązkami i liśćmi. I ściany przytułku, które zdawały się znikać, kiedy były razem, obojętnie jakie prace przydzieliły im wychowawczynie. Ich pierwsze nieporadne próby, dotyk warg i palców, chichotanie w ciepłym, ciemnym kącie, przyspieszony oddech i serce tłukące o żebra tak mocno, że niemal boleśnie. Czuły się jak odkrywczynie dziwnej, nowej, zapierającej dech w piersiach krainy.

Kiedy się budziła, zawsze mijała krótka chwila, zanim wszystko sobie przypomniała. To było gorsze od jakiegokolwiek koszmaru.

Sześć dni drogi do Vantzolku. Winter kazała batalionom ćwiczyć rozwijanie kolumny w szereg i ponowne jej formowanie, wciąż domagając się, by robiły to szybciej. Kiedy zaczynała te ćwiczenia, żołnierze zaakceptowali to bez oporu, znając los dywizji Ibsly'ego. Teraz jednak otwarcie szemrali i gdziekolwiek spojrzeła, widziała skrzywione miny. Abby skrupulatnie wykonywała każdy rozkaz, ale nie mówiła nic poza „tak jest, generale” i „nie, generale”. Bobby pozostawała u boku Winter jak zdenerwowane dziecko próbujące uspokoić zwaśnionych rodziców.

Cyte większość dnia spędzała w taborach i była nieobecna w namiocie dowodzenia, gdy Winter przyszła tam w poszukiwaniu ostatnich raportów. Sfrustrowana wróciła do swojej kwatery i zaczęła ślęczeć nad mapami, planując etapy przemarszu do Vantzolku, a potem do odległego o wiele mil Elizjum. Obojętnie jak długo się w nie wpatrywała, Droga Pielgrzyma nie stawała się wcale krótsza, a murnskajskie góry i lasy mniej groźne.

Ktoś przeciągnął palcami po klapie namiotu. Winter podniosła głowę znad mapy, zirytowana.

– Co tam?

– To ja, Cyte – usłyszała. – Mogę wejść?

Kolejne raporty. Winter wydała głośne westchnienie, dobrze wiedząc, że udaje. Kolejna wymówka, żeby pracować, aż padnę. Może tej nocy...

– Wejdz. – Zwinęła mapę i odsunęła ją. – Co dla mnie masz?

Cyte wśliznęła się do namiotu. Nie trzymała pod pachą pliku papierów, co w jej przypadku było czymś niezwykłym. Niosła zalakowaną butelkę z ciemnożółtą zawartością. Winter zmarszczyła brwi.

– Stało się coś złego?

Cyte odkaszlnęła.

– Nie... w pewnym sensie. Znalazłam ją. – Pokazała butelkę. – W taborach. To najwyraźniej jakiś miejscowy murnskajski trunek. W wioskach można go kupić za grosze. Pomyślałam, że mogłybyśmy ją opróżnić.

– Opróżnić? Teraz? – Winter przyjrzała się Cyte, która lekko poczerwieniała. – Nie mówisz poważnie, prawda?

– Mówię.

– Wiesz, że jestem zajęta. Czy masz ostatnie raporty...

– Zajęłam się nimi – powiedziała Cyte. – Dziś po południu. Zajęłam się wszystkim.

– Dlaczego? – W głosie Winter zabrzmiała gniewna nuta. – Co się dzieje, do diabła? Czy ktoś kazał ci to robić?

– Winter... – Cyte westchnęła. – Mogę usiąść?

– Jeśli powiesz mi, kto cię tu przysłał. Czy to ma być jakiś żart?

– Nikt mnie nie przysłał. Nie dosłownie – odparła Cyte. A kiedy Winter usiłowała coś odpowiedzieć, powstrzymała ją, unosząc dłoń.
– Po prostu wysłuchaj mnie, dobrze? Martwimy się o ciebie.

– Kto się o mnie martwi?

– Twoi przyjaciele. Bobby, Abby, Sevrán. Folsom i Graff. Ja.

– Dzięki za troskę – burknęła Winter. – U mnie wszystko w porządku.

– Wcale nie. Święci i męczennicy, Winter, ja nie jestem najbardziej spostrzegawczą osobą na świecie, ale widzę, że nie. Byłaś nieszczęśliwa przed bitwą, a po niej prawie z nikim nie rozmawiasz. My ćwiczymy cały dzień, a ty pracujesz, aż padniesz. Przeglądałaś się w lustrze? Wyglądasz jak żywy trup.

– Ja tylko chcę mieć pewność, że...

– ...następnym razem będziemy przygotowani. Wiem. Mówiłaś to każdemu po sto razy. Jak ty będziesz przygotowana, jeśli zaśniesz w siodle?

Winter zmarszczyła brwi. Po wielu dniach bez odpoczynku jej myśli biegły wolno i z trudem jak w melasie i nie była w stanie znaleźć na to dobrej odpowiedzi.

– A zatem uczona rada – powiedziała – orzekła, że coś ze mną

jest nie tak, i w rezultacie wysłano cię do mojego namiotu z butelką... czegoś, co naprawdę wygląda podejrzanie. I co zamierzasz zrobić, związać mnie i wlać mi to do gardła?

– Raczej miałam nadzieję, że porozmawiamy.

– Nie mam czasu...

– Masz – ucięła Cyte. – Ja wiem to lepiej niż ktokolwiek.

Zapadła długa cisza.

– Naprawdę wysłali cię z butelką? – spytała Winter.

– Bobby powiedziała, że już co najmniej raz działała cuda. Z tobą i jakąś Feor, w Ashe-Katarionie.

Winter prychnęła.

– A powiedziała ci, że następnego dnia Odkupiciele spalili pół miasta?

– Nie. Jednak chętnie posłucham tej opowieści.

Winter zmierzyła ją wzrokiem. Cyte wciąż była lekko zarumieniona, ale miała zdeterminowaną minę. Winter z westchnieniem wskazała jej miejsce na poduszce obok materaca.

– Tak z ciekawości – Winter podniosła wieko swojego kuferka – jak to się stało, że wypadło na ciebie?

– Zgłosiłam się na ochotnika – odrzekła Cyte. – Bobby spędza mnóstwo czasu z Marshem, a Abby uważa, że... trudno byłoby wam się porozumieć. Ponadto chciałam pomóc. Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

– Ty wobec mnie? – zaśmiała się Winter, wyjmując dwa blaszane kubki. – Praktycznie sama administrujesz tą dywizją. Co mi zawdzięczasz?

– Poza tym, że uratowałaś mi życie w Vendre i Deslandzie?

– No dobrze, tak. Poza tym.

– Ja... – Cyte spojrzała na butelkę. – Muszę się napić, zanim zacznę mówić.

– Naprawdę zamierzasz to pić?

– Mówiłam ci, że tak.

Winter wzięła butelkę, wyjęła nóż i zaczęła przecinać lak.

– Po prostu... – Korek wyszedł z cichym pyknięciem. – Nie przypominam sobie, żebyś kiedyś popijała. Myślałam, że jesteś abstynentką albo kimś takim.

– Winter – obruszyła się Cyte. – Proszę. Chodziłam na uniwersytet.

Winter zaśmiała się i naląła po małej porcji trunku do obu kubków. Podsunęła jeden Cyte, która podniosła go, powąchała i pokręciła nosem.

– Lepiej wypić to jednym haustem. – Winter podniosła swój kubek. – Gotowi. Cel. Pal!

Obie opróżniły kubki. Cokolwiek w nich było, miało kopa i Winter z trudem powstrzymała napad kaszlu. Cyte z trzaskiem postawiła kubek na stoliku i odchyliła głowę, ze łzami w kąciakach oczu.

– Na jaja Bestii! Murnskajczycy muszą mieć stalowe gardła.

– Jesteś pewna, że nie wcisnęli ci rozcieńczalnika do farb?

– Nie, według sierżanta, od którego to kupiłam.

Winter przewróciła oczami.

– Oto twój problem. Nigdy nie ufaj sierżantowi. W każdym razie kiedy chodzi o flaszkę.

– Dobra rada. – Cyte zamrugnęła i otarła łzy rękawem. –

Jeszcze raz?

– Naprawdę lubisz się umartwiać.

– Lubię doprowadzać sprawy do końca.

Winter ponownie napełniła kubki, tym razem bardziej szczerze. Razem podniosły je i wygłosiły toast.

– Gotowi. Cel. Pal!

Za drugim razem nie było już tak źle, może dlatego, że jej gardło znieczuliło się w samoobronie. Winter odchyliła się do tyłu, czując, jak trunek rozgrzewa ją, dochodząc do żołądka.

– Miałaś mi powiedzieć, dlaczego tu przyszłaś – przypomniała.

Cyte westchnęła przeciągle.

– Czy pamiętasz, jak się poznałyśmy?

– Tego raczej nie zapomnę. To było tamtej nocy, kiedy zdobyliśmy Vendre.

– Byłam z rebeliantami. Nazywaliśmy się Radykałami. – Cyte potrząsnęła głową. – Teraz wydaje się to takie głupie. Banda bogatych dzieciaków z uniwersytetu, którym się zdawało, że wiedzą, jak rządzić światem.

Winter nic nie powiedziała, przypomniawszy sobie, że wtedy myślała tak samo.

– Nie miałam pojęcia, co robię – ciągnęła Cyte. – Poszłam na uniwersytet, ponieważ uwielbiałam historię, a ta nagle tworzyła się tuż za moim oknem. Pomyślałam sobie, że muszę to zobaczyć. Wpadłam na pomysł, że napiszę o tym, zostanę wielkim historykiem rewolucji. To moją książkę będą czytać za sto lat. „No cóż, Cytomandiclea podaje, że to było tak”, będą mówili studenci, a potem będą pisali prace dowodzące, że miałam takie czy inne uprzedzenia. Później poznaliśmy ciebie i Jane, a wy

powiedziałyście, że wejdziecie do Vendre. Poczułam się tak, jakby ktoś zdjął mi klapki z oczu. Nagle uświadomiłam sobie, że nie muszę jedynie obserwować, jak tworzy się historię. Mogłam brać w tym rzeczywisty udział. Musiałam tylko zrobić krok.

– I zaryzykować życie – przypomniała Winter. – Niektórzy powiedzieliby, że nie wyświadczyłam ci przysługi.

– Mój ojciec przyznałby im rację – rzekła Cyte. – Napisał do mnie list, kiedy usłyszał, co się dzieje. Rozumiesz, on praktycznie mnie wydziedziczył i była to pierwsza wiadomość od niego od lat. Jednak gdy usłyszał o rewolucji, napisał do mnie list, błagając, żebym wróciła do domu. – Pokręciła głową. – I tak dostałam go dopiero wtedy, kiedy już było po wszystkim.

– Odpisałaś na ten list?

Cyte uśmiechnęła się łobuzersko.

– Posłałam mu kopię zaświadczenia, że zaciągnęłam się do wojska. Czy to się liczy?

Winter roześmiała się i znów sięgnęła po butelkę.

– A więc uważasz, że masz wobec mnie dług wdzięczności, ponieważ wpakowałam cię w to wszystko? – zapytała, podsuwając Cyte blaszany kubek.

– Tak.

– Długie marsze, kiepskie wyżywienie i nieustanna groźba nagłej śmierci.

Cyte uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Tak to mniej więcej wygląda.

– No cóż, jesteś stuknięta, ale przyjmuję wszelkie podziękowania, jakie mi się trafią. – Winter podniosła kubek. – Piękne dzięki. Gotowi, cel...

– PAL!

Tę noc Winter przespała spokojnie i bez żadnych snów. Rano bolała ją głowa, ale nie tak bardzo, jak mogłaby się spodziewać. Minęło trochę czasu, od kiedy się naprawdę upiła – nawet w najgorszym okresie, tuż po ucieczce Jane, unikała zaglądania do butelki, może dlatego, że tak często widziała, jak ona to robi.

Następnego dnia ogłosiła, że dywizja zasłużyła na odpoczynek po doskonałych postępach, co przyjęto chóralnymi owacjami i westchnieniami ulgi. Zauważyła, że Abby i Bobby wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, i postanowiła, że później im podziękuje. Zamiast ćwiczeń spontanicznie rozpoczęto mecz piłki ręcznej między drużynami Pierwszego Dziewczego a drugiego pułku Sevrana, które zapoznały resztę dywizji z tą tradycją. Winter pomyślała, że żołnierze bardziej się męczą, walcząc na boisku, niż podczas ćwiczeń, ale potem wyglądali na szczęśliwszych.

Ku jej lekkiemu zaskoczeniu Cyte znów pojawiła się po kolacji, proponując dokończyć butelkę tego soku z robaków czy z czego tam był zrobiony ten piekielny murnskajski trunek. Następnego wieczoru przyniosła jakiś zielonkawy napój, twierdząc, że znalazła go na dnie skrzyni z sucharami. Rozmawiały o Voulennie i Prawach człowieka oraz czy to prawda, że generał kolumny d'Ivoire sypia z królową. Winter, która spędziła sporo czasu z Marcusem, oznajmiła, że to mało prawdopodobne.

– Janus powiedział mi kiedyś, że Marcus minął się o czterysta lat ze swoim powołaniem błędnego rycerza – powiedziała. – A prawdziwy rycerz nie ośmieli się dotknąć władczyni.

Następny ranek przyniósł gorsze wieści. Murnskajscy partyzanci napadli na konwój z dostawami, zabijając kilku strażników, podpalając wozy i wyrządzając sporo szkód. Stosunkowo beztroska atmosfera w obozie natychmiast znikła i podwojono patrole jazdy. Dwa dni później rano kilku młodszych oficerów, którzy wybrali się na dziwki, znaleziono z poderżniętymi gardłami tuż za granicą obozu. Janus kazał zlikwidować ciągnący się za armią „ogon” prostytutek, markietanek i praczek, pod groźbą zbiorowej kary. Niektórzy mężczyźni narzekali, że teraz będzie trudniej uzupełnić racje żywnościowe czy znaleźć sobie kobietę, ale większość przyznawała, że to niewielka cena za to, że nie zaszlachtują cię jak wieprza. Winter dopilnowała, żeby Pierwszy Dziewczęcy rozstawił dodatkowe warty, na wszelki wypadek.

Gdy były jeszcze dwa dni drogi do Vantzolku, została wezwana do namiotu dowodzenia. Janus i Marcus siedzieli przy stole naprzeciwko siebie. Leżąca między nimi mapa była pokryta zrobionymi ołówkiem znakami.

– Generale dywizji – zagaił Janus. – Ufam, że dobrze się czujesz.

– Tak jest, pierwszy konsulu. – Dzięki nowej tradycji wieczornych pogawędek Winter wysypiała się i rzeczywiście czuła się o wiele lepiej. – Czym może służyć druga dywizja?

– Oczywiście wiesz o niedawnym ataku partyzantów.

– Oczywiście, pierwszy konsulu. Podjęliśmy odpowiednie środki ostrożności.

– Dobrze. – Janus splótł dłonie. – Niestety, chociaż takie ataki są teraz tylko irytujące, gdy Wielka Armia skręci na północ, mogą

się okazać znacznie groźniejsze. Nasze linie dostaw będą rozciągnięte i narażone na ataki, a nie możemy pozwolić, żeby nieprzyjaciel przecinał je, kiedy chce.

– Tak jest, pierwszy konsulu.

– Kawaleria generała dywizji Stokesa starała się znaleźć źródło tych problemów i uważamy, że zlokalizowaliśmy bazę głównych sił partyzanckich. Znajduje się na północy – wskazał miejsce na mapie – w środku lasu. Nie jest to dogodny teren dla jazdy.

Stało się oczywiste, do czego to zmierza.

– Wezmę Pierwszy Dziewczęcy i zlikwidujemy ten obóz, pierwszy konsulu.

Janus uśmiechnął się.

– To właśnie miałem nadzieję usłyszeć. Twój pierwszy pułk najlepiej w całej armii radzi sobie w walce w trudnym terenie. Jesteś pewny, że doszedł do siebie po bitwie pod Gilphaite?

– Całkowicie, pierwszy konsulu. Naprawdę można rzec, iż niecierpliwie czekają na następną bitwę.

– To dobrze. – Janus uniósł palec. – Jednak ostrzegam. Nadmierna brutalność tylko zwróci tutejszych mieszkańców przeciwko nam. Wszystkich uzbrojonych mężczyzn należy uważać za wrogów, ale kobiety, a szczególnie dzieci, mają być traktowane z szacunkiem. Kościół Zaprzysiężenia kładzie na to szczególny nacisk. A ja nie będę tolerował żadnych ekscesów. Czy to jasne?

– Całkowicie, pierwszy konsulu.

Jeszcze jeden powód, żeby posłać Pierwszy Dziewczęcy, a nie jakiś nazbyt entuzjastycznie nastawiony męski pułk. Jak zawsze, gdy coś robi, Janus ma po temu więcej niż jeden dobry powód.

Marcus i Janus wymienili spojrzenia, przekazując sobie coś,

czego Winter nie potrafiła zgłębić.

– Powodzenia, generale – rzekł Marcus.

– Dziękuję, generale kolumny.

Ku jej zdziwieniu eskortującym je oddziałem konnicy dowodził sam generał dywizji Stokes, czyli stary Piekielnik, obecnie dowodzący całą jazdą Wielkiej Armii. Prowadził szwadron czterdziestu kawalerzystów, uzbrojonych w karabiny i szable. Przeczytawszy raporty o szacowanych siłach wroga, Winter zabrała Abby oraz pięć kompanii Pierwszego Dziewczęcego, łącznie czterystu żołnierzy, co powinno zapewnić im wystarczającą przewagę liczebną. Gdy ten tłum kłębił się tuż za linią wart, ustawiając się w szyku, Piekielnik podszedł do nich rozkołysanym krokiem, którym poruszał się zawsze, gdy nie siedział na końskim grzbiecie.

– Ihernglass! – powiedział. – Dobrze znów z tobą pracować! Wtedy pod Jirdos było gorąco, bez dwóch zdań, no nie?

Winter z trudem powstrzymała uśmiech. Przynajmniej Piekielnik nigdy się nie zmieni. Niewielki wzrost i wypukła pierś upodabniały go do tokującego gołębia, a każde zdanie wypowiadał tak głośno, jakby pokrzykiwał na jakiegoś sierżanta stojącego na drugim końcu placu. Pomimo tych jego lekko komicznych cech musiała przyznać, że doskonale radzi sobie w wybranej dziedzinie: sam był nieustraszony, a to udzielało się jego podkomendnym. Z kilkoma szwadronami rozbił wychwalane elitarne hamveltajskie oddziały i niemal samodzielnie wygrał bitwę o Jirdos. I nie patrzy z góry na Pierwszy Dziewczęcy, w przeciwieństwie do wielu dawnych królewskich oficerów, pomyślała Winter.

– Istotnie – przyznała.

– Podczas tej kampanii nie zdarzyło się jeszcze nic tak ekscytującego – zauważył. – Borelgajscy tchórze schowali się w mieście i całą walkę ograniczyli do ostrzału z dział. Pomimo to śmiem twierdzić, że będziemy mieli trochę więcej pracy, gdy imperator ruszy na południe. Te dzikie plemiona z północy są podobno najlepszymi jeźdźcami na świecie! Myślę, że będziemy mieli przednią zabawę.

– To coś, na co warto czekać – odparła Winter. – Jednak jestem zdziwiony, widząc tu pana dzisiaj.

– Och, pomyślałem, że zabiorę się z wami i dopilnuję, żeby wszystko zrobiono jak należy. – Nachylił się do niej. – Mówiąc między nami, mam porachunki z tymi tak zwanymi partyzantami. Podczas jednego z napadów poprzecinali ścięgna kilkunastu wierzchowcom! Musieliśmy je dobić, biedactwa.

W jego oczach zapalił się groźny błysk i Winter przez moment współczuła murnskajskim bandytom.

– Na pewno wiecie, gdzie oni są?

– Mamy ich na widelcu, to pewne jak piorun. Poruszają się głównie nocą, a paru moich ludzi ma ich na oku. Są w jaskini kilka mil w głębi lasu, w pobliżu jednej z ich osad. Pokażemy wam drogę. Potem twoi ludzie rozwiną tyralierę...

– ...i urządzimy im piekielną łaźnię?

– Właśnie tak! – Klepnął Winter w ramię. – Wiedziałem, że jest dobry powód tego, że tak lubię z tobą pracować, Ihernglass. Jakbyś czytał w moich myślach!

Kolumna szła w luźnym szyku, z kawalerią na szpicy. Winter pomachała sierżantowi Graffowi z pierwszej kompanii, jednemu z nielicznych mężczyzn w oddziale. Był jednym z jej kaprali

w Khandarze i chociaż zgodził się zostać sierżantem w Pierwszym Dziewczęcym, uparcie odmawiał przyjęcia kolejnego awansu, twierdząc, że nie czułby się dobrze z paskami na naramiennikach. Jego stary kompan. James Folsom, nie miał takich obiekcji; był teraz kapitanem w drugim pułku Sevrana. Anne-Marie Wallach, bohaterka oblężenia Antovy, pomagała Graffowi jako młodszy sierżant, z blond lokami wmykającymi się spod czapki.

Abby maszerowała w środku kolumny. Ona i Winter, obie słabo jeżdżące konno, zostawiły swoje wierzchowce w obozie i kiedy słońce stanęło w zenicie, Winter zaczęła tego żałować. Wprawdzie nie było tak upalnie jak w Khandarze, gdzie słońce mogło zabić człowieka w kilka godzin, lecz w tym parnym i wilgotnym powietrzu czuła się jak w łaźni.

– Abby – powiedziała, zrównując się z nią.

– Generale. – Abby zerknęła na nią, nieco nerwowo, po czym znów zaczęła się wpatrywać w plecy idących przed nią żołnierzy.

– Przysłałaś do mnie Cyte.

– Nie powiedziałabym, że ją przysłałam. Zebraliśmy się i zdecydowaliśmy, że ktoś powinien pójść, a ona sama się zgłosiła.

– Chcę ci tylko podziękować.

– Och. – Abby uśmiechnęła się skromnie. Ulga buchała z niej jak para. – Przepraszam, generale. To nie był mój interes, ale wetknęłam swój nos. Nie byłam pewna, jak to przyjmiesz.

– To był twój interes. Musisz zapewnić bezpieczeństwo kobietom z tego pułku, a zatem dopilnować, żeby dowódca wykonywał swoją pracę. – Winter uśmiechnęła się do podkomendnej. – Jeśli kiedyś znów będę... głupio postępować, proszę, powiedz mi to.

– Rozumiem – odparła z uśmiechem, w którym kryła się tylko odrobina żalu. – Przywykłam do takiej roboty.

Przez chwilę maszerowały w milczeniu. Kolumna ciągnęła na północ; wchodziła coraz wyżej, oddalając się od rzeki, i chłodniejsze powietrze przyjemnie łagodziło duchotę. Pozostawili za sobą pola uprawne farm; trakt biegł przez zachwaszczone pastwiska. Milę dalej zaczynał się las; linia prastarych drzew wyznaczała granicę terenu zawłaszczonego przez człowieka z toporem. Jeden z konnych wskazał im początek wąskiego szlaku, przypominającego ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta, i kolumna się rozciągnęła.

– Generale Stokes! – zawołała Winter do przejeżdżającego Piekielnika. – Można na chwilkę?

Ochoczo skinął głową i zwolnił do stępa.

– O co chodzi?

– Mówił pan, że w pobliżu tej jaskini jest jakaś osada?

General sposepniał.

– Tak. Wkrótce będziemy ją mijać.

– Czy jej mieszkańcy sympatyzują z partyzantami? Nie ostrzegą ich, że nadchodzimy?

– Nie zrobią tego – odparł Piekielnik. – Zobaczycie.

Po mniej więcej godzinie ścieżka poszerzyła się i niemal zaczęła przypominać trakt, a potem wyszła na dużą polanę. Wyrąbano tam drzewa, żeby zrobić miejsce dla kilkunastu chat, które kręgiem otaczały plac pośrodku. Wszystkie domy były z bali i miały strome dachy kryte gontem. Wioska drwali i myśliwych, odgadła Winter, handlujących z rolnikami zamieszkującymi nadrzeczną równinę.

A przynajmniej tak przypuszczała, widząc, co z niej pozostało.

Z chat niewiele więcej niż poczerńnięte ruiny; z pogorzeliśk sterczały kamienne paleniska. Krokwie i gonty leżały tam, gdzie upadły. Większość zadaszenia placu runęła i jego niedopalone resztki wystawały z cembrowiny studni.

– Święci i męczennicy – szepnęła Winter, gdy podjechali bliżej. Spojrzała na Piekielnika, który ponuro pokiwał głową.

– Co się tu stało? – spytała Abby.

– Przejeżdżał tędy jeden z naszych oddziałów aprowizacyjnych.

– Nasi to zrobili? Z którego pułku? Janus będzie wściekły.

Dowódca kawalerii pokręcił głową.

– Już tak było, kiedy tu dotarli. Pogorzeliśka jeszcze były ciepłe. Widzisz, oni wiedzieli, że nadchodzimy. Najwyraźniej przekłęci kapłani Kościoła Zaprzysiężenia wmówili im, że Vordanajowie przychodzą po dusze ich dzieci i ich świętym obowiązkiem jest spalić i zniszczyć wszystko, co mogłoby nam się przydać. – Wskazał na studnię. – Nawet wrzucili do niej gnijące truchło kozy, żeby woda nie nadawała się do picia.

– Na jaja Bestii! – zakląła Winter. – A myślałam, że Odkupiciele byli szaleni.

– Ci przekłęci Odkupiciele przynajmniej nie kryli się po krzakach – przypomniał Piekielnik. – Nie ma to jak porządna szarża na otwartej przestrzeni.

– Co się stało z mieszkańcami? – zapytała Abby. – Nie ma tu żadnych ciał.

– Uważamy, że stąd się wzięli partyzanci – wyjaśnił Piekielnik.

– W pewien chory sposób ma to sens – orzekła Winter. – Każ wieśniakom spalić wszystko, co mają, a potem powiedz im, że potrzeba ludzi do walki z poganami. Nie pozostaje im nic innego,

jak tylko przyłączyć się. – Popatrzyła na Abby. – Powiedz swoim żołnierzom, żeby zachowali ostrożność, jeśli zobaczą jakichś kapłanów.

– Myślę, że i tak będziemy ostrożni – odparła Abby. – Którędy do tej jaskini?

– Około mili w tym kierunku. – Piekielnik wskazał północny zachód.

Naga skała przebijała baldachim lasu niczym wyspa stercząca z morza.

– Podejdziemy tam z trzech stron – orzekła Winter. – Abby, wyślij dwie kompanie, żeby obeszły górę, aż znajdą się po jej południowo-wschodniej stronie. Ty i ja ruszymy z dwiema innymi kompaniami od północy. Generale, czy może pan ze swoimi ludźmi wykonać bezpośrednie uderzenie, jeśli damy panu kompanię wsparcia?

Piekielnik skinął głową.

– Oczywiście.

– Zatem proszę nam dać godzinę.

Sześć Winter

Winter wzięła pierwszą kompanię porucznik Malloy oraz siódmą, dowodzoną przez tyczkowaną dziewczynę, która przedstawiła się jako porucznik d'Orien. Winter słabo pamiętała Malloy z kampanii w Velt. Niska, ciemnowłosa kobieta z Transpalu mówiła z lekko chropawym akcentem tego regionu. D'Orien miała krótszy staż i wydawała się onieśmielona obecnością Winter. Niektóre kobiety z Pierwszego Dziewczęcego, szczególnie świeżo zwerbowane, miały skłonność do traktowania jej jako swego rodzaju bóstwa, do czego nigdy nie zdołała przywyknąć.

Obeszli spaloną wioskę, idąc skrajem polany, po czym zagłębili się w las po drugiej stronie. Tam nie było już ścieżki, która wskazywałaby kierunek, i gdyby nie widoczny po lewej skalny masyw, Winter zgubiłaby drogę. Na szczęście las tu był bardzo stary, z rzadkim poszyciem pod koronami ogromnych, wysokich drzew.

Po około czterdziestu pięciu minutach Abby zatrzymała oddział, porównując położenie góry i słońca. Przywołała do siebie dowódców obu kompanii.

– To powinno być tutaj – stwierdziła. – Malloy, weź swoją kompanię na prawo i rozstaw ludzi, powiedzmy, na odcinku pięciuset metrów. D'Orien, ty zajmiesz lewą flankę. Każda z was

niech przyśle mi tu po tuzinie żołnierzy z muszkietami. Zatrzymam ich tutaj jako odwód. Powiedz dziewczynom, żeby nie strzelały, dopóki nie zobaczą celu, rozumiesz? Nie chcę strzelania na oślep. Jeśli jakiś Murnskajczyk spróbuje uciekać, zatrzymacie go.

– Tak jest, pani kapitan.

– Pani kapitan? – spytała d'Orien. – A jeśli nie zechcą się zatrzymać?

– Strzelajcie – odparła Abby. – Jeśli pozwolimy im uciec, jutro znów na nas napadną.

– A jeśli się poddadzą? – zapytała Malloy.

Abby zawahała się i zerknęła na Winter. Obie pozostałe kobiety także. Winter przełknęła ślinę.

– Weźmiemy ich do niewoli, rzecz jasna – powiedziała. – Ale uważajcie.

– Każcie im położyć się twarzami do ziemi, w pewnej odległości od pierwszej linii – dodała Abby. – Nie chcę, żeby któryś niby to się poddał, a potem uciekł, kiedy nikt na niego nie patrzy.

– Albo wbił którejś z nas nóż w plecy – mruknęła Malloy.

Obie panie porucznik zasalutowały i rozeszły się w przeciwnie strony, żeby wydać rozkazy swoim oddziałom.

Winter patrzyła, jak odchodzą. Brała już udział w tylu bitwach, że walka powinna być dla niej czymś zwyczajnym, szczególnie przeciwko niewielkiej grupie partyzantów, ale teraz czuła jakiś podświadomy niepokój. To pierwsza bitwa od czasu klęski pod Gilphaite. Jednak przynajmniej Pierwszy Dziewczęcy chyba otrząsnął się z wywołanego tym szoku i zdawał się chętnie znów ruszać do boju. A zatem...

Uświadomiła sobie, że powodem tego odczucia jest coś zupełnie innego. Coś, czego nie czuła od miesięcy, od kiedy opuściła Vordan i Feor. W głębi jej duszy coś się poruszyło, jakby drzemiący smok z zacięciem otworzył jedno oko. Wszystkożerca, demon pożerający swoich pobratymców, zbudził się i mógł być po temu tylko jeden powód.

Winter zamknęła oczy i skupiła się na tym uczuciu. Feor powiedziała jej, że każdy naathem – bo takim khandarskim słowem określała to, co Kościół zwał nosicielem demona – potrafi wyczuć innego naathem. Feor umiała wytropić demony ze sporej odległości, chociaż mówiła, że ta umiejętność zależy zarówno od naath, jak od wyszkolenia naathem. Winter nie była pewna, czego zabrakło w jej wypadku, ale nigdy nie była specjalnie wrażliwa na sygnały słane przez Wszystkożercę. Teraz nie reagował takim gwałtownym zainteresowaniem, jakie wykazywał w pobliżu innego demona, lecz ten nie mógł być daleko, bo inaczej niczego by nie poczuła.

Obróciła się powoli, usiłując sprawdzić, czy to wrażenie się nie nasila, gdy jest zwrócona w jakimś konkretnym kierunku. Wydawało się jej, że nieco silniej odczuwa to, patrząc na południowy wschód, w stronę spalonej wioski, ale różnica była zbyt subtelna, żeby mogła być tego pewna. Zakłęła w duchu. O ile wiedziała, Feor była w Vordanie, a Raesinia w głównym obozie Wielkiej Armii. Poza nimi dwiema – i sporadycznie spotykanymi nieświadomymi osobami, takimi jak nieszczęsny Danton Aurene – jedynymi znanymi jej nosicielami demonów byli Przeklęci Penitenci, posiadający nadludzkie moce słudzy Kapłanów Czerni. Jeśli jest tutaj jeden z nich, ta misja będzie o wiele bardziej

skomplikowana, przeszło jej przez myśl.

– Dobrze się pan czuje, generale? – zapytała Abby.

– Świetnie. – Winter otworzyła oczy. Zaledwie garstka ludzi znała prawdę o demonach; z Pierwszego Dziewczęcego tą wiedzą podzieliła się tylko z Jane, Bobby i Cyte. Janus nalegał, żeby zachowywała ją dla siebie, ale w takich chwilach jak ta zastanawiała się, czy on na pewno wie, o co prosi. Jak mam powiedzieć Abby, żeby uważała, jeśli ona nie wie na co? – Tylko... rozmyślam.

Abby uniosła brew, ale nie skomentowała tej odpowiedzi. Kilkanaście kobiet otoczyło ich luźnym kręgiem i wszystkie spoglądały na skaliste zbocze i wierzchołek góry. Czy demon jest z partyzantami? Jeśli tak, to Winter przychodziło do głowy tylko jedno, co mogłaby zrobić. Będę musiała go złapać, jak tylko się pokaże, zdecydowała. Wszystkożerca mógł pożreć każdego innego demona, jeśli tylko zdoła złapać i przez kilka sekund przytrzymać jego nosiciela. Niestety, jeśli lepiej ode mnie potrafią wyczuwać zagrożenie, to także wiedzą, że tu jestem, rozmyślała. Jeśli tam naprawdę był demon, to musiała liczyć na to, że ruszy na nią, a nie zaatakuje jednej z kompanii Pierwszego Dziewczęcego. Niech to szlag.

Jakby wtórując jej myślom, dał się słyszeć donośny trzask, jak klaśnięcie w dłonie w oddali. Odbijał się echem wśród drzew, chwilę później rozległy się dwa kolejne, a potem kilkanaście naraz. Nagle w lesie po obu stronach Winter zaroiło się, gdy Pierwszy Dziewczęcy zajmował stanowiska za pniami stojących lub leżących drzew, jeśli tylko sprawiały wrażenie dostatecznie solidnych, żeby zatrzymać kule. Kilka kobiet metodycznie sprawdzało proch na

panewkach, upewniając się, że się nie wysypał i nie zamókł w czasie marszu.

– Zaczyna się – stwierdziła Abby. – Jak sądzisz, okopią się tam czy spróbują się przedrzeć?

– Okopywanie się byłoby samobójstwem – odrzekła Winter. – Na pewno o tym wiedzą. Uciekną.

Pytanie tylko, w którą stronę. Kompanie Pierwszego Dziewczęcego ustawiły się w trójkąt wokół góry, ale Winter doskonale wiedziała, że ich kordon nie jest szczelny.

– Przygotujcie się do ataku, kiedy otrzymamy sygnał od pozostałych oddziałów.

– Hej! – krzyknął ktoś w szeregu. – Tam ktoś jest!

Po tych słowach natychmiast padł strzał, któremu towarzyszył pomarańczowy rozbłysk i obłok dymu.

– Wstrzymać ogień! – rozkazała Abby, osłaniając oczy przyłożoną do czoła dłonią. – Z tej odległości nie trafilibyście w stodołę!

– Tam – powiedziała Winter, wskazując palcem. Mniej więcej trzysta metrów dalej, za rozwidlonym pniem drzewa stał jakiś wysoki i brodaty mężczyzna, w stroju ze skóry i samodziału. Miał na ramieniu strzelbę, ale nie próbował jej użyć ani się kryć. Abby miała rację – dla strzelającego z muszkietu równie dobrze mogłby stać na Księżycu.

Mężczyzna przez kilka sekund spokojnie ich obserwował, po czym znikł z pola widzenia. Chwilę później kilkunastu podobnie odzianych ludzi ruszyło w dół zbocza, kryjąc się za drzewami, w miarę jak podchodzili bliżej. Abby nie pozwoliła Pierwszemu Dziewczęcemu strzelać i partyzantów nie powitały kolejne

wystrzały. Kiedy znaleźli się w odległości około stu metrów, zatrzymali się i zajęli pozycję za kępą gęsto rosnących brzóz. Zza ich osłony wystawili lufy muszkietów i spomiędzy drzew zaczęły tryskać języki ognia oraz chmury dymu. Kule przelatywały ze świstem lub z głuchym cmoknięciem wbijały się w ziemię, a z trafionych przez nie drzew sypały się drzazgi.

– Nie strzelać – zakomenderowała Winter w odpowiedzi na pytające spojrzenie Abby. – Z tak daleka nie wyrządzą żadnej szkody.

– Moglibyśmy ich oskrzydlić – zauważyła kapitan.

– Jeszcze nie. – Dym wystrzałów coraz bardziej zasłaniał kępę brzóz. Winter zmrużyła oczy. – Chcą odwrócić naszą uwagę. Macie czekać.

Ten rozkaz przekazano po linii i Pierwszy Dziewczęcy pozostał w ukryciu, nie zważając na prowadzony przez partyzantów ostrzał. Kule przeważnie przelatywały górą, nie wyrządzając żadnych szkód, lecz po prawej Winter usłyszała co najmniej jedno przekleństwo świadczące o tym, że któraś kula trafiła w cel. Już miała dać Abby rozkaz do ataku, gdy w chmurze dymu wokół brzóz coś się poruszyło.

– Nadchodzą! – zawołała.

Na moment zamknęła oczy, usiłując ustalić, czy demon jest z nimi, ale wciąż zdawał się być daleko. Kiedy znów otworzyła oczy, na zboczu roiło się od ludzi. Ci, którzy strzelali z za brzóz, teraz byli na czele, zbiegając pędem po zboczu, a za nimi co najmniej stu innych wyłaniało się z dymu. Część z nich też była uzbrojona w muszkiety lub wiekowe strzelby o długich, lejkowato rozdętych lufach, ale większość nie miała nic prócz prymitywnych

włóczni lub toporów. Niektórzy wydawali się mniejsi od prowadzących atak, lecz dopiero gdy chóralnie wznieśli bojowy okrzyk, Winter usłyszała w nim głosy kobiet i dzieci.

Och, na świętych i męczenników... dlaczego...

Pierwszy Dziewczęcy otworzył ogień z pięćdziesięciu metrów. Biegący padali, zmiecieni przez salwę, lub tracili równowagę i staczali się po zboczu, by znieruchomieć u jego podnóża. Część bojowych okrzyków przeszła w przeraźliwe wrzaski, ale większość atakujących biegła dalej. Mężczyźni z muszkietami przystanęli, przyklęknęli i wystrzelili, a potem znów wstali i kontynuowali atak. Ze strony Pierwszego Dziewczęcego padły kolejne strzały, gdy stojące dalej też otworzyły ogień.

Winter zrozumiała, że to nie wystarczy.

– Bagnet na broń! – zawołała, usiłując przekrzyczeć tumult.

Stojący przed nią odwód też zatknął bagnety, na moment przed tym, zanim pierwsi partyzanci rzucili się naprzód. Byli wśród nich brodaci mężczyźni w skórzanych kurtkach i kobiety w długich burych spódnicach spiętych między nogami, żeby łatwiej było im biec. Jakiś chłopiec, który jeszcze nawet nie miał zarostu, pędził na vordanajskie pozycje, dopóki nie powalił go celny strzał z boku; zachwiał się i osunął po pniu drzewa. Padło jeszcze kilku innych partyzantów, powalonych przez tych żołnierzy, którzy zaczekali, żeby wystrzelić z bliskiej odległości, a pozostali napastnicy zatrzymali się, żeby odpowiedzieć ogniem. Jedna ze stojących przed Winter kobiet wrzasnęła i zatoczyła się w tył, z twarzą poszarpaną gradem kul z garłacza. Pierwszym napastnikiem, który dotarł do vordanajskiej linii, była dziewczyna o długich włosach związanych czerwoną chustką, oburącz trzymająca

uniesiony nad głową topór. Kobieta z Pierwszego Dziewczęcego zatrzymała ją pchnięciem bagnetu w brzuch, podpierając go całym ciężarem ciała, i przez moment obie stały nieruchomo, oddzielone tylko długością muszkietu.

Winter wyrwała miecz z pochwy i nie miała już czasu, żeby przyglądać się innym. Dwaj mężczyźni oraz kobieta ruszyli na nią i jeden z nich w biegu wbił topór między żebra kobiecie z Pierwszego Dziewczęcego. Drugi miał oszczep, zwykły kij z zaostrzonym końcem, i mierzył nim w Winter, jeszcze niesiony rozpędem po biegu w dół zbocza. Zwinnie uskoczyła i nie zdołał w porę skorygować pchnięcia. Gdy przelatywał obok niej, Winter podstawiała mu nogę; nie upadł, ale na moment stracił równowagę. Drugi mężczyzna i kobieta zaatakowali ją jednocześnie. On był rosły, z mięśniami drwala i toporem o długim stylisku. Machał nim zręcznie, zadając szerokie zamaszyste ciosy, trzymające ją w odległości uniemożliwiającej cios mieczem. Winter zamarkowała unik w lewo, uchyliła się przed ciosem topora i cięła go w dłoń. Coś wyleciało w powietrze – chyba jego kciuk – i napastnik z ochryplym okrzykiem upuścił broń. Kobieta wypadła zza jego pleców, wściekle wywijając nożem do mięsa, a Winter błyskawicznie uskoczyła i niemal odruchowo cięła ją na odlew w twarz. Gdy kobieta wrzasnęła i zatoczyła się, Winter dopadła drwala, który usiłował podnieść topór drugą ręką, i pchnęła go między żebra. Osunął się z jękiem.

Ten z oszczepem upuścił go i rzucił się do rozpaczliwej ucieczki. Przebiegł kilkanaście kroków, zanim rozległ się ogłuszający huk i partyzant padł, uderzając twarzą w murawę. Abby wyszła zza pleców Winter, opuszczając dymiący pistolet.

– Nic ci się nie stało, generale? – usłyszała Winter przez dzwonięcie w uszach.

Skinęła głową i rozejrzała się. Stok był usiany ciałami, ale tylko nieliczne były w niebieskich mundurach. Partyzanci nie zdołali wściekłością nadrobić braków uzbrojenia i taktyki. Ujrzała jakiegoś odzianego w skóry chłopca, który siedział okrakiem na zwłokach kobiety z Pierwszego Dziewczęcego, raz po raz dźgając je nożem o krótkiej klindze. Płakał i wykrzykiwał coś. Winter, która spędziła trochę czasu z murnskajskim słownikiem, wydawało się, że słyszy: „Zabiłaś ją! Zabiłaś ją!”, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, jakaś sierżant dopadła młodzika, złapała za włosy i szarpnięciem odchyliła głowę do tyłu, po czym poderżnęła mu gardło. Krew trysnęła z bulgotem i gdy Vordanajka puściła go, upadł na swoją ofiarę, rżąc.

– Na jaja Bestii! – zakłęła Winter, opuszczając miecz.

– Nie spodziewałam się czegoś takiego – powiedziała Abby. – Przykro mi, generale. Powinniśmy być ostrożniejsi.

– W porządku – rzekła Winter. – To nie był atak, ale zbiorowe samobójstwo. Nie sądziłam... – Pokręciła głową.

– Poślę gońców do pozostałych oddziałów – stwierdziła Abby. – Myślę jednak, że to chyba wszyscy.

Winter skinęła głową. Pochyliła się nad ciałem mężczyzny, którego zadźgała, wytarła ostrze o jego ubranie i schowała miecz z powrotem do pochwy. Miała zdrętwiałą rękę i wciąż dzwoniło jej w uszach; dopiero po chwili uświadomiła sobie, że zraniona przez nią kobieta wciąż krzyczy.

– Zbierzcie rannych – rozkazała Winter. – Naszych i tych Murnskajów, którzy mogą przeżyć. Janus zechce ich przesłuchać. –

Spojrzała na wznoszącą się nad nimi górę. – Potem musimy iść dalej. To może jeszcze nie koniec.

Pół godziny później, po otrzymaniu od pozostałych oddziałów potwierdzenia, że nie zostały zaatakowane, i pozostawiwszy pół kompanii do zebrania rannych i zabitych z pobojuwiska, reszta żołnierzy poszła dalej, na szczyt. Winter zwróciła uwagę, że członkowie Pierwszego Dziewczęcego szli w milczeniu, nie tyle nie chcąc robić hałasu, ile mocno wstrząśnięci. Ta potyczka – a raczej rzeź – bardzo się różniła od walki na polu bitwy. To nie było wojsko. Po prostu cała wioska zaatakowała nas zaostrzonymi kijami i kuchennymi nożami, rozmyślała Winter.

Na szczycie góry, gdzie zza drzew wyłaniały się nagie skały, znajdowało się nędzne obozowisko złożone z prymitywnych daszków i innych prowizorycznych osłon ustawionych wokół kręgu ognisk. Po kilku minutach poszukiwań znaleziono jaskinię, o której mówił Piekielnik – wąską szczelinę w skale wiodącą w ciemność. Winter spojrzała na nią czujnie, czekając na reakcję Wszystkożercy, ale demon, którego obecność wyczuła wcześniej, wciąż zdawał się być daleko.

– Nie podoba mi się to – mruknęła Abby, patrząc na wejście do jaskini. – Ktoś może tam czekać, za pierwszym skalnym załomem.

– Wiem – odparła Winter. – Ale nie możemy tak tego zostawić.

Z poczuciem winy pożałowała, że nie zabrała ze sobą Bobby. Jeśli już ktoś musi wpaść w zasadzkę, to rozsądnie byłoby posłać kobietę, która nie może umrzeć, pomyślała. A tak Abby zapytała, kto się zgłosi na ochotnika, i wystąpiła jedna szczupła dziewczyna imieniem Liz, z oddziału porucznik d'Orien. Po sposobie, w jaki się poruszała, Winter odgadła, że nie pierwszy raz zakrada się po

ciemku w niebezpieczne zakamarki. Nisko zgięta, wysunęła się zza załomu skały i wrzuciła do środka pochodnię. Kiedy to nie wywołało żadnej reakcji, wśliznęła się do jaskini, z pistoletami w dłoniach.

Minęła długa chwila. Dwa tuziny żołnierzy stały z muszkietami wycelowanymi w otwór wejściowy jaskini, a Winter czekała na huk wystrzałów. Zamiast tego usłyszała chrzęst buciorów na skale i zobaczyła wybiegającą z jaskini Liz, z obłędem w oczach. Dziewczyna zrobiła dwa kroki, upadła na kolana i z wymiotowała.

– Święci i męczennicy – powiedziała Winter. – Co...

Abby precisnęła się przez szeregi żołnierzy i uklękła przy Liz. Mówiły cicho, lecz najbliższe stojące kobiety usłyszały je i wydały chóralny jęk. Abby wstała, pobladła i wróciła do Winter.

– Tam... nie ma nikogo żywego. – Abby zaczerpnęła tchu. – Jest tam reszta wioski.

– Co takiego? – zdziwiła się Winter.

Jedna z kobiet podeszła i zajrzała do jaskini, po czym pospiesznie się cofnęła, z wytrzeszczonymi oczami.

– Wszyscy, którzy nie mogli wziąć udziału w ataku – wyjaśniła Abby. – Starcy i... dzieci. – Zamknęła oczy. – Babcie zabiły pozostałych, a potem popodrzynały sobie gardła.

– Och, na Karisa w niebiesiech! – zaklęła Winter. – Na wszystkich świętych i pieprzonych męczenników...

Przez jakiś czas Winter nie próbowała zaprowadzić porządku. Przybyły pozostałe oddziały i szeptem przekazano im wiadomość o tym, co zaszło na zboczu i w jaskini. Niektóre kobiety wpadły

w furie. Partyzancki obóz zniszczono, rozrywając wszystko na strzępy lub wrzucając do pospiesznie rozpalonego ogniska. Jedna z szeregowych znalazła węzełek należący do kapłana Kościoła Zaprzysiężenia i wyjąwszy zeń zniszczony egzemplarz Mądrości, zaczęła wyrywać z niego kartkę po kartce. Większość jednak tylko siedziała w milczeniu.

Winter, usiadłszy na skraju urwiska, dostrzegła w oddali wijącą się, srebrzystą wstęgę płynącego na wschód Intolinu. Gdzieś przy rzece była Wielka Armia. I Janus, który nas tu przyprowadził.

Abby usiadła przy niej i bez słowa podała jej drewnianą manierkę. Winter ostrożnie pociągnęła łyk. Cokolwiek było w środku, paliło gardło. Pociągnęła jeszcze raz i oddała manierkę.

– Napisali coś na ścianie jaskini – powiedziała Abby. – Krwią.

– Chcę wiedzieć co? – spytała Winter.

– Mój murnskajski nie jest zbyt dobry, ale jedna z szeregowych powiedziała, że napisano „nie dostaniecie ich dusz”.

– Myślisz, że to kapłani Kościoła Zaprzysiężenia namówili ich do tego?

Abby kiwnęła głową.

– Nie ma co do tego cienia wątpliwości. Przecież przybyliśmy tu kraść dusze, pamiętasz? Karisie Wszechmocny.

Winter odchyliła głowę, mrużąc oczy w popołudniowym słońcu. Kościół Elizjum. Może Janus ma rację. Wiedziała, że Kapłani Czerni chcą ją dopaść, lecz w pewnym sensie zgodziła się wziąć udział w tej wojnie, gdy wypowiedziała naath Wszystkożercy. Jednak walka to jedno, ale kazać ludziom, żeby mordowali swoje dzieci? Poczowała nagły przyływ wściekłości. Spalimy Elizjum do cna i zatańczymy na jego gruzach. Spojrzała na zapatrzoną w dal

Abby, zastanawiając się, czy ona też snuje takie myśli.

– Ktoś musi ich pogrzebać – powiedziała Winter. – Nie możemy po prostu tak ich tu zostawić.

– Wiem. – Abby wbiła wzrok w ziemię. – Powinnaś wrócić i złożyć raport Janusowi. Weź Piekielnika i jego jazdę. Ja zostanę tutaj i zajmę się... wszystkim.

– Abby...

Abby położyła dłoń na ramieniu Winter.

– W porządku. Jedź.

Winter odjechała, z ulgą i poczuciem winy. Piekielnik poprowadził ją do podnóża góry, gdzie jego żołnierze uwiązali konie. Przeprowadzili kilku lekko rannych wrogów, ze związanymi rękami. Wśród tych jeńców była kobieta zraniona przez Winter; teraz miała twarz zasłoniętą bandażem.

Dojeżdżając tam, Winter potrząsnęła głową, usiłując pozbyć się obrazu twarzy Liz po wyjściu z tej rzeźni. Jak oni mogli to zrobić? Zastanawiała się, czy dzieci opierały się, czy...

Dość. Stało się, cokolwiek sobie wyobrażała, i przywoływanie takich koszmarnych obrazów nic nie pomoże. Z trudem przełknęła ślinę, starając się opanować ssanie w żołądku, i nagle zamarła.

To nie żołądek sprawiał jej kłopoty. Wszystkożerca znów się obudził, a wrażenie obecności demona stało się teraz silniejsze. Rosło od pewnego czasu, gdy żołnierze prowadzili wierzchowce w kierunku spalonej wioski. Teraz wyraźnie wyczuwała kierunek i gdy okręciła się na pięcie, żeby go ustalić, nabrała pewności, że źródło wywołujące to wrażenie znajduje się gdzieś między spalonymi budynkami.

– Stańcie – poleciła Piekielnikowi. – Muszę coś sprawdzić.

– Tutaj? – zapytał, a gdy kiwnęła głową, wzruszył ramionami. – Bardzo dobrze. Prowadź...

– Nie – pospiesznie ucięła Winter. – Wy wszyscy zostańcie tutaj. A jeśli coś się stanie, wynoście się stąd, rozumiano?

– Nie mów głupstw – rzekł Piekielnik, prostując się na całą swoją niewielką wysokość. – Przynajmniej ja będę ci towarzyszył.

– Nie! Zaczekajcie na mnie tutaj. To rozkaz.

Winter przypomniała sobie, że Piekielnik też jest generałem dywizji, i wcale nie była pewna, czy ma prawo mu rozkazywać. Jednak usłuchał, mrużąc, i został ze swoimi żołnierzami, gdy ona poszła w kierunku tego, co pozostało z wioski.

Jeśli jest tam Przeklęty Penitent, tylko daliby się zabić. Ci trzej Przekłęci Penitenci, którzy próbowali ją dopaść w Deslandzie, zabili pół tuzina żołnierzy z Pierwszego Dziewczęcego i nie chciała, żeby to się powtórzyło. Jedną rękę trzymała na rękojeści miecza, a drugą miała luźno opuszczoną. Muszę tylko ich dotknąć, pomyślała.

Słońce późnego popołudnia rzucało długie cienie nielicznych belek i słupów, które jeszcze sterczały z pogorzelniska. Winter szła tam, gdzie kierował ją Wszystkożerca, i czuła się jak myśliwy idący z psem, który zwietrzył zwierzynę. Jej demon już całkiem się obudził, pożądliwie kłębiąc się tuż pod jej skórą.

Jedna z chat na skraju polany nie spaliła się do cna. Dwie ściany wciąż stały, a kawałek ocalałego dachu rzucał głęboki cień. Winter ostrożnie podeszła tam. Wydawało jej się, że dostrzega jakąś postać skuloną w kącie.

– Hej tam! – zawołała. Nie ma sensu milczeć. Jeśli ja ich wyczuwam, to oni mnie również. – Wyjdź i stań w miejscu,

w którym będę cię dobrze widzieć.

– Nie mam zamiaru. – Głos był młody, kobiecy. Winter bezwiednie odezwała się po vordanajsku, za późno uświadamiając sobie, że nikt jej tu raczej nie zrozumie. Jednak tamta odpowiedziała w tym samym języku, chociaż z hamveltajskim akcentem. – Kim jesteś?

– Żołnierzem Wielkiej Armii Vordanu – odrzekła Winter.

Ledwie widoczna postać westchnęła.

– I masz w sobie demona.

Winter skinęła głową. Nie było sensu zaprzeczać.

– A zatem... – Kobieta zaczęła kaszleć. Był to mokry i niezdrowy kaszel. – Pracujesz dla Janusa bet Vhalnicha?

– Kim ty jesteś? – zapytała Winter. – I czego chcesz?

– Przeszłam... długą drogę... szukając was. – Kobieta oddychała z wysiłkiem. – I myślę... że zaraz znów stracę przytomność. Proszę. Janus...

Winter usłyszała przeciągłe, rżące westchnienie, a potem zapadła cisza. Po chwili podeszła tam, wciąż trzymając dłoń na rękojeści miecza. Cień w kącie nie ruszał się. Winter podeszła bliżej i zobaczyła młodą kobietę leżącą na boku; skuloną jakby z bólu. Dziewczyna miała ze dwadzieścia lat, brudne czarne włosy oraz przedziwny strój – podartą koszulę i spodnie, a do tego płaszcz i buty wyglądające na zdarte z jakiegoś znacznie większego od niej murnskajskiego żołnierza. Leżała z zamkniętymi oczami, oddychając szybko i płytko. Winter uklękła przy niej i położyła dłoń na jej czole, rozpalonym gorączką.

Wszystkożerca poderwał się, przepływając przez jej rękę i palce, tam gdzie skóra dotykała skóry. Wystarczyłoby bierne

przyzwolenie, lekkie rozluźnienie kontroli, aby się rzucił, wdarł w ciało dziewczyny i pożarł jej demona. A ponieważ nieznajoma była osłabiona, Winter podejrzewała, że to by ją zabiło.

Może tak byłoby najlepiej. Dziewczyna nie wyglądała na Przekłętego Penitenta, ale Jen Allhundert też. Zabójcy Kościoła byli podstępni. Może w ten sposób chce się zbliżyć do Janusa. Wyobraziła sobie, że wprowadza do obozu kogoś podobnego do Jen, mogącego zatrzymywać kule i rozbijać skały. Najlepiej byłoby zostawić ją tutaj.

Winter spoglądała na ledwie poruszającą się klatkę piersiową dziewczyny, a Wszystkożerca wciąż szalał w czubkach jej palców. Nie. Najlepiej byłoby zabić ją, tu i teraz. Dopóki jej moc pozostawała nieznana, nie było wiadomo, jak dużym zagrożeniem jest ta dziewczyna.

Oni zdaje się myślą o tym w taki sposób, Kapłani Czerni. W ten sposób patrzyli na świat. Każdy demon, każdy naath był zagrożeniem dla boskiej łaski, którą Karis zapewnił ludzkości, przybliżając Dzień Sądu, w którym Bestia znów zostanie spuszczone z łańcucha. Każdą odrobinę wiedzy, każdego zdającego się im sprzeciwiać, każdego bezwiednie opętanego przez demona tak jak Danton należało zabrać do Elizjum lub zniszczyć. I nie obchodzi ich, kogo przy tym skrzywdzą. Pomyślała o jaskini w zboczu góry.

Kiedyś uratowała Feor z podobnego wiru rzezi i zniszczenia. Wówczas nie miała pojęcia, w co się pakuje, nic nie wiedziała o demonach czy naathem. Po prostu natknęła się na kogoś, kto potrzebował pomocy. Jednak teraz...

Winter powoli cofnęła dłoń i wstała. Wróciła na skraj wioski,

gdzie czekał zaniepokojony Piekielnik ze swymi kawalerzystami.

– Tam jest dziewczyna – oznajmiła, pokazując im. – Musimy zabrać ją do obozu. Uważajcie. Myślę, że jest ranna.

Przynajmniej tym razem nie muszę tego ukrywać przed moim dowódcą. Janus będzie bardzo chciał o tym usłyszeć.

– To... było... Nie wiem, jak to określić. Chore – powiedziała Winter. Pociągnęła łyk z kubka, napełnionego do połowy jakimś gęstym purpurowym płynem, według Cyte wyprodukowanym przez Borelgajów. – Po prostu cała wioska zbiegała z góry, prosto na nas. Całe rodziny. Możesz sobie wyobrazić, że atakujesz pozycje wroga w taki sposób, razem ze swoimi rodzicami, braćmi i siostrami, którzy padają zabici, a ty musisz biec dalej?

Cyte pokręciła głową.

– Mój ojciec i ja nigdy nie byliśmy sobie bliscy. Jednak... nie. – Upiła łyk ze swojego kubka. – Chociaż wiesz, na pewno mogę sobie wyobrazić moją matkę pędzącą z nożem kuchennym na uzbrojonych w muszkiety nieprzyjaciół.

Winter uśmiechnęła się.

– Chyba była groźną osobą.

– Była.

– Do licha. – Winter westchnęła i podniosła butelkę. – Przykro mi. Jeszcze...?

– Proszę. – Cyte pozwoliła, by Winter napełniła jej kubek niemal po brzegi, zanim powstrzymała ją gestem. – W porządku. To było wieki temu.

– Mogę spytać, co się stało?

Cyte wzruszyła ramionami.

– Och, z nożem kuchennym zaatakowała nieprzyjaciela uzbrojonego w muszkiety.

Winter spojrzała na nią ze zdumieniem, nie wiedząc, jak zareagować, dopóki Cyte nie uśmiechnęła się łobuzersko. Winter odpowiedziała tym samym i po chwili obie parsknęły śmiechem.

– Trudno z czegoś takiego żartować – zauważyła Winter.

– Przepraszam – powiedziała Cyte. – Nie mogłam się powstrzymać. Poza tym mama nie miałaby mi tego za złe. Zawsze powtarzała... – Cyte nabrała tchu i wydeła policzki. – Temperance, dlaczego zawsze jesteś taka poważna? To niezdrowe dla dorastającej dziewczyny!

Znów zamilkły.

– Temperance? – zapytała po chwili Winter.

– Och. Tak. – Cyte oblała się rumieńcem. – Takie... imię dali mi rodzice.

– Karisie Wszechmogący. Rozumiem, dlaczego je zmieniłaś.

– Prawda? Może zdołasz wyjaśnić to mojemu ojcu.

– Jednak nie sądzę, żeby ktoś, kto daje córce na imię Temperance, mógł narzekać, że dziewczyna jest zbyt poważna.

– Niejeden raz mówiłam to matce. – Cyte pociągnęła tęgi łyk. – Umarła, kiedy miałam dwanaście lat. Na jakąś gorączkę mózgową. Ojciec był zdruzgotany. Byłam najmłodszym dzieckiem, więc tylko ja zostałam w domu, a on... chyba można powiedzieć, że trząśł się nade mną.

– Rozumiem, że to może być trochę przytłaczające.

– Wtedy nie mogłam się doczekać, kiedy opuścę dom. – Cyte

westchnęła. – Chyba powinnam odwiedzić staruszkę, kiedy już będzie po wszystkim.

Winter skinęła głową, wracając myślami do ciał toczących się po zboczu i tego, co później znaleziono w jaskini. Pospiesznie podniosła swój kubek.

– Zatem twoja rodzina była głęboko wierząca? – zapytała.

– Ojciec był – odparła Cyte. – Matka raczej tylko zachowywała pozory.

– Pewnie należeliście do Wolnego Kościoła.

Cyte potwierdziła skinieniem głowy.

– Dlaczego pytasz?

– Ja tylko... próbuję zrozumieć, co może skłonić kogoś do tego, co oni zrobili. Ja nigdy... – Zawahała się. – Nigdy nie mówiłam ci o moim dzieciństwie, prawda?

– Trochę wiem. Z obozowych plotek. – Cyte znów się uśmiechnęła. – Nie chciałam być wścibska.

Ten uśmiech, pomyślała Winter, zmieniał jej twarz, szeroki, promienny i rzadki u tak zazwyczaj opanowanej osoby. Aczkolwiek Cyte bardzo się zmieniła w tym czasie, który upłynął od ich pierwszego spotkania. Pamiętała tamtą chudą, bladą dziewczynę, z oczami podkrążonymi od zbyt częstego ślęczenia nad książkami do późnej nocy i nadmiernego upodobania do mocnego makijażu. Mimo że wojskowe wyżywienie było zawsze skromne, regularne ćwiczenia korzystnie zaokrągliły jej kształty.

Winter zamrugnęła, zastanowiła się chwilę i pociągnęła kolejny łyk, żeby to ukryć. Ten trunek jest mocniejszy, niż się zdaje.

– Wychowałam się w sierocińcu – zaczęła. – Nazywałyśmy go więzieniem dla młodych dam pani Wilmore.

– Nie pamiętasz swoich rodziców?

Winter pokręciła głową.

– Tylko strzępy wspomnień. Podobno przywieziono mnie, kiedy miałam cztery latka, czyli wcześniej. Większość dziewcząt znalazła się tam dopiero, mając dziesięć, jedenaście lat.

Jane miała mniej więcej tyle. Ich spojrzenia spotkały się, tego pierwszego wieczoru, gdy przedstawiano nowo przybyłe...

Odkaszlęła.

– W każdym razie... Chciałam powiedzieć, że wychowywano nas według reguł wiary Wolnego Kościoła. Mnóstwo lekcji religii, czytania Mądrości, żywotów świętych i modlitw. I chyba wierzyłam w to wszystko, przeważnie.

W każdym razie pamiętała, że chciała wierzyć, widząc twarze otaczających ją dziewcząt zatopionych w modlitwie, chcąc znaleźć taką samą pociechę jak one. Później, kiedy spędziła trochę czasu z Jane, zaczęła się zastanawiać, czy one nie udawały tak samo jak ona.

– Jednak nie wyobrażam sobie, że mogłabym zrobić coś takiego jak ci wieśniacy, tylko dlatego że jakiś kapłan oznajmił, iż Bóg tak chce.

– Ojciec może jest głęboko wierzący – rzekła Cyte – ale gdyby nasz kapłan kazał mu kiedyś zamordować mnie i moje rodzeństwo, to jestem pewna, że wróciłby do domu z Mądrościami wepchniętymi w dupę.

– Dlaczego ktokolwiek miałby usłuchać? – Winter odchyliła się do tyłu, z zawieszonym na palcu pustym kubkiem. – Przyznaję, Odkupiciele w Khandarze byli okropni. Mimo to miałam wrażenie, że ich rozumiem, przynajmniej częściowo. Byli biednymi,

głodującymi ludźmi, którzy chcieli dopaść księcia oraz grubych kapłanów ze świątyń i publicznie ich stracić. Trudno się im dziwić. Do diabła, robiliśmy to w Vordanie, tylko że doktor Sarton wynalazł do tego specjalną maszynę.

– Odkupiciele i was chcieli wymordować – przypomniała Cyte.

– Nie ma w tym niczego zagadkowego – powiedziała Winter. – Zawsze łatwo się nienawidzi cudzoziemców. Jednak ci wieśniacy... Nie rozumiem tego.

– Ja mam ci to wyjaśnić?

– Studiowałaś historię, no nie?

– Według mojej oficjalnej oceny historycznej ludzie w ostatnich latach robią mnóstwo popieprzonych rzeczy – rzekła Cyte. – Czasem kapłani mówią im, co mają robić, czasem królowie, bankierzy lub tajne stowarzyszenia, lub... – Rozpromieniła się. – Czy wiedziałaś, że tyranią Montrauk kiedyś przez cały rok rządziły kury?

– Zmyślasz.

– Klnę się na Karisa. – Cyte przycisnęła dłoń do serca. – Mieli tablicę, na której zapisywali różne warianty decyzji, a potem sypali na nią ziarno i patrzyli, w którym miejscu kury wydziobią je najpierw. Najwyraźniej poprzedni tyran orzekł, że te kury są święte.

– I co się stało?

– Kapłani, którzy tak naprawdę wszystkim kierowali, dopilnowali, żeby kury kazały zabić jednego z buntujących się generałów. Ten dowiedział się o tym wcześniej i doszło do rozlewu krwi, chociaż historia nic nie wspomina o losie kur.

Winter wytrzeszczyła oczy.

– Teraz już na pewno zmyślasz.

– Kiedy wrócimy do Vordanu, zabiorę cię do biblioteki uniwersyteckiej. W księgach są najróżniejsze dziwne rzeczy.

Kiedy wrócimy do Vordanu... Winter zazdrościła Cyte tej spokojnej pewności siebie. Janus twierdzi, że w końcu dochodzimy do sedna sprawy. Do Kapłanów Czerni. Jeśli tym razem zwyciężymy, może to naprawdę będzie koniec wojny. Chciałaby w to wierzyć.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Cyte.

– Świetnie. Tak sędzę. – Winter odstawiła kubek, lekko się chwiejąc. – Może jestem trochę pijana. To był bardzo długi dzień.

– Lepiej już pójdę. – Cyte przełknęła resztę trunku, wstała i przeciągnęła się. Winter przyłapała się na tym, że gapi się na nią, i pospiesznie odwróciła głowę, zanim tamta to zauważyła. – Co z twoim jeńcem?

– Nie jestem pewna, czy mam uważać ją za jeńca – odparła Winter. – Przynajmniej na razie.

– Przeżyje?

– Hanna uważa, że tak.

Hanna Courvier, chirurg Pierwszego Dziewczęcego, swoim ostrym językiem podsumowała stan umysłu nieprzytomnej dziewczyny, która najwidoczniej przez jakiś czas wędrowała z głęboką raną w boku.

– Wycięła trochę zgniłej tkanki i powiedziała, że nie wdała się gangrena. Dziewczyna gorączkuje, ale jeśli trucizna nie dotarła do krwi, ranna powinna wyzdrowieć.

– Jesteś pewna, że przywożenie jej do obozu to dobry pomysł?

– Nie – odparła Winter. – Ale jest tu dobrze pilnowana

i kazałam Bobby spać w jej namiocie, na wszelki wypadek.

Cyte skinęła głową. Była przy tym, jak Bobby toczyła wyrównaną walkę z ogropodobnym Penitentem Skrętem, ratując im przy tym życie.

– A co na to Janus?

– Wysłałam mu raport. Rano zobaczymy, co powie.

– Zatem do rana. – Cyte odchyliła klapę namiotu.

– Tylko nie za wcześnie, proszę – powiedziała Winter. – Przekaż to wszystkim. Szczególnie Abby.

– Zrobię co w mojej mocy.

Cyte wysliznęła się w noc i poła namiotu opadła, zasłaniając otwór.

Lampa lekko migotała na wietrze. Winter przez moment siedziała nieruchomo, po czym sięgnęła po kubek i wychyliła resztę napitku.

Co ja robię?

Nie żeby przedtem w ogóle nie zwracała uwagi na kobiety. W Pierwszym Dziewczęcym było kilka uderzająco pięknych – na przykład Anne-Marie z anielską buzią i miękkimi złocistymi lokami. I oczywiście w czasie przemarszu bywały chwile, gdy trafiała się bieżąca woda i oddziały kolejno brały kąpiel, a Winter raz po raz spoglądała na którąś z wykraczającym poza zawodowe zainteresowaniem.

Nigdy jednak nie było w tym nic więcej – jedynie chłodne uznanie. To Jane obudziła te uczucia i Winter zakładała, że zawsze będą związane wyłącznie z nią. Przedtem, gdy dziewczęta z sierocińca rozmawiały o chłopakach – niemal jak o jakichś mitycznych stworzeniach w rodzaju jednorożców – Winter uważała

to za głupią i bezsensowną paplaninę. A kiedy ją i Jane połączył potajemny związek, jeszcze bardziej się od nich oddaliła. Miała sekret, skrywany w głębi serca, którym nie mogła się z nimi podzielić. A potem Jane odesłano z Ganhidem, a Winter uciekła z sierocińca do Khandaru i uważała, że ten okres jej życia został zamknięty na zawsze.

Nie oszukuj się, powiedziała sobie. Była taka noc, gdy kuliły się z Bobby pod jednym kocem i bezkresnym, rozgwieżdżonym niebem Wielkiej Desol. Pomyślała wtedy... no co? Właściwie nic konkretnego. I do niczego nie doszło. Gdy Bobby wróciła z Khandaru, miała już porucznika Marsha i patrząc na to z perspektywy czasu, Winter wiedziała, że potraktowała go surowiej, niż na to zasługiwał. Jednak to wszystko.

A więc co ja wyprawiam? – zastanawiała się. Cyte była zupełnie niepodobna do Jane. Ciemnowłosa, a nie ruda, gibka i szczupła w porównaniu z obdarzoną pełnymi kształtami Jane. Chłodna, opanowana i zawsze trzeźwo myśląca, podczas gdy wybuchowa Jane zawsze była tyleż namiętna, ile skłonna do przemocy. Jednak Winter pragnęła sprawdzić, czy to racjonalne zachowanie nie jest tylko zasłoną, pod którą kryje się coś bardziej pierwotnego. Chcę zobaczyć ją...

Niech to szlag. Na jaja pieprzonej Bestii! Jestem w sztok pijana. Winter chwiejnie wstała i utrzymała się na nogach na tyle, żeby dotrzeć do posłania. Rano ten świat będzie miał więcej pieprzonego sensu.

Rano świat rozmywał się jej w oczach, a słońce świeciło za jasno. Winter wyszła z namiotu w poszukiwaniu kawy i zobaczyła stojącą

na baczność dziewczynę. Zmrużyła oczy.

– O co chodzi?

– Wiadomość od kapitan Forester – zameldowała zapytana. – Powiedziała, że kazał pan, żeby natychmiast pana zawiadomić, kiedy jeniec się ocknie.

– Już doszła do siebie? – Hanna sądziła, że dziewczyna prześpi kilka dni. – Do licha. Lepiej tam pójdę. – Winter zawahała się, czując zapach dolatujący znad pobliskiego ogniska. Do diabła, po co się jest generałem jak nie po to, żeby wykorzystywać szeregowych żołnierzy? – Kiedy kawa się zaparzy, przynieś mi kubek lub dwa, dobrze?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Oczywiście, panie generale.

Winter przeszła przez obóz do szpitalnego namiotu, w którym ulokowali tajemniczą nieznajomą. Pilnowało jej sześciu uzbrojonych wartowników z drugiego pułku Sevrana, którzy zastąpili drużynę pełniącą wartę w nocy. Jeśli wykonano rozkazy wydane przez Winter, to kilkunastu innych czekało w zasięgu głosu, gotowych podnieść alarm, gdyby pacjentka próbowała zrobić coś niezwykłego. Na przykład rozcinać ludzi na pół strumieniem czystej magii.

Bobby czekała przy wejściu do namiotu, jedną ręką odchylając klapę, a drugą salutując.

– Dzień dobry, generale.

– Dzień dobry. Kiedy się ocknęła?

– Zaledwie kilka minut temu, generale, kiedy przyszłam sprawdzić, jak się ma. – Bobby zniżyła głos. – Ja też to wyczuwam. Myślę, że jej demon jest silny.

W ocenie Winter jej podkomendna znajdowała się w niezwyklej sytuacji. Feor, która miała w sobie demona, użyła jej jego mocy, co oznaczało, że w pewnym stopniu potrafi wyczuć obecność demonów, a sama pozostaje dla nich niemal niewykrywalna. Nawet stojąc tuż przy niej, Wszystkożerca ani drgnął. A przynajmniej tak przypuszczała, gdyż Bobby spędziła trochę czasu z Feor, ucząc się podstawowych umiejętności w trakcie długiej podróży z Khandaru, podczas gdy Winter pośpiesznie przepłynęła się przez morze z Janusem i wzięła udział w rewolucji.

– Pozwól, że porozmawiam z nią sama, żeby nie czuła się zagrożona – powiedziała Winter. – Jednak zostań w pobliżu. Jeśli będę cię potrzebowała, zawołam.

– Zaczekam, generale.

Winter weszła do namiotu. Był duży jak dla jednej pacjentki, wsparty na trzech masztach i z kilkoma pustymi materacami. Dziewczynie znaleziono wojskowe spodnie i koszulę, mniej więcej w jej rozmiarze. Ku zdziwieniu Winter siedziała na pościeli z lekko podciągniętą koszulą, oglądając bandaż, którym owinięto ją w pasie. Spojrzała na wchodzącą. Zapadnięte policzki i ciemne kręgi pod oczami wyraźnie świadczyły o wyczerpaniu, chociaż wyglądała na zupełnie przytomną.

– Założyłam się sama ze sobą – powiedziała bez wstępów. – O to, gdzie będę, kiedy się zbudzę. Jeśli w ogóle się obudzę. – Rozejrzała się po szpitalnym namiocie i objęła się rękami. – Chyba wygrałam ten zakład.

– Jesteśmy w moim obozie – poinformowała ją Winter. – To druga dywizja Wielkiej Armii Vordanu. Ja nazywam się Winter Ihernglass.

– Ty tu dowodzisz?

– Tą dywizją. Pierwszy konsul Vhalnich dowodzi armią. Jest tu także królowa Raesinia.

– Niezłe towarzystwo – powiedziała dziewczyna. – Ja jestem Alex. Chyba uratowałeś mi życie.

– Możliwe – odparła Winter. – Jednak tak naprawdę zrobiła to Hanna, nasza chirurg. Lepiej się czujesz?

– Wciąż lekko oszołomiona. I brakuje mi kawałka ciała w boku. Ale tak dobrze nie czułam się od wielu dni, a to o czymś świadczy.

Winter usiadła ze skrzyżowanymi nogami obok jej pośłania.

– Nie wiem, od czego zacząć. Kim jesteś? Każdy napotkany, który był taki... jak my, rozumiesz? – Zerknęła na ściany namiotu, niezbyt odległe i strasznie cienkie. – Oni wszyscy byli sługami Kościoła. – Winter zniżyła głos. – Przeklętymi Penitentami. Domyślam się, że nie jesteś jedną z nich, ponieważ nie próbujesz mnie zabić.

– Nie zamierzam – rzekła Alex. – Oczywiście właśnie tak powiedziałabym, gdybym była jedną z nich, żeby zdobyć twoje zaufanie. Prawda? – Uniosła brew i wzruszyła ramionami. – Widziałam wartowników. Jesteś ostrożny. Nie mam ci tego za złe. Jednak nie służę Kościołowi. W istocie kapłani bardzo chcieliby mnie uwięzić. Przez długi czas myślałam, że jestem jedyną taką, dopóki nie natknęłam się na Przekłętego Penitenta.

Winter skrzywiła się.

– Złapali cię?

– Można tak powiedzieć – odparła Alex zbolalym głosem i Winter na razie zostawiła ten temat. Przyjdzie na to czas.

– Hanna mówi, że miałaś szczęście, że żyjesz.

– Po drodze natknęłam się na murnskajski patrol. – Alex zmieniła pozycję, krzywiąc się z bólu. – Przypomnij mi, żebym jej podziękowała.

– Mówiłaś, że szukałaś nas. Janusa.

Alex kiwnęła głową.

– Dlaczego?

– Ponieważ kapłani mówią wszystkim, że on poprzysiągł zniszczyć Kościół. – Wzruszyła ramionami. – Nie będę udawała, że nie przyszło mi do głowy, żeby się na nich zemścić. Mam z nimi porachunki.

Zapadła długa cisza.

– Nie ufasz mi. – Alex przechyliła głowę na bok.

– A ty byś ufała na moim miejscu? – spytała Winter.

– Zapewne nie. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Mogę ci tylko dać moje słowo.

– A zatem co mam powiedzieć, kiedy Janus zapyta, co tutaj robisz?

– Powiedz mu, że chcę pomóc. – Podniosła rękę i znów się skrzywiła. – Z tym chyba trzeba będzie poczekać, aż jeszcze trochę odpocznę. Ale zaufaj mi, mogę być użyteczna. A w zamian chcę tylko zobaczyć upadek Elizjum.

– Tylko tyle? – zapytała z lekkim uśmiechem Winter.

– No cóż, ciepła rządowa posadka z dobrą pensją też by się przydała. Jednak przede wszystkim pragnę zemsty.

Jej szczerść miała w sobie coś rozbijającego. Winter odpowiedziała uśmiechem i wstała.

– W porządku. Na razie staraj się tylko wydобрzeć. Mam

nadzieję, że nie poczujesz się urażona tym, że zostawię wartowników w pobliżu. Gdy wydobrzejesz, porozmawiamy o tym, dokąd cię przenieść.

– Rób, co musisz.

Alex ostrożnie wyciągnęła się na posłaniu i złożyła głowę na poduszce.

– Bobby, czyli kapitan Forester, i szef mojego sztabu, kapitan Cytomandilea, wiedzą o... tym wszystkim, ale tylko one. Byłbym wdzięczny, gdyby tak pozostało.

– Oczywiście nie wiem jak ty, ale ja przez całe życie ukrywam, kim jestem – wyznała z nikłym uśmiechem Alex. – Naprawdę dziwnie się czuję, rozmawiając z kimś o tym. Jakbym się rozebrała w publicznym miejscu.

– Starajmy się tego unikać – ostrzegła Winter. – Zawiadomię cię, kiedy porozmawiam z Janusem. Może zechce się z tobą spotkać.

Alex wyniośle machnęła ręką.

– Spróbuję znaleźć na to czas.

– Interesujące – powiedział Janus. – Jesteś pewna, że ona ma w sobie demona?

– To nie jest coś, co można udawać – odparła Winter. – W każdym razie nie z bliska. Wszystkożerca... reaguje.

– Jednak nie powiedziała, jakiego rodzaju moc daje jej demon?

– Na ten temat niewiele powiedziała. Jednak kapitan Forester potwierdza, że to potężny demon.

– Myślisz, że ona mówi prawdę? – Janus w zadumie postukał

woskową kredką w wielką mapę leżącą na stole pośrodku namiotu.
– O tym, że ukrywa się przed Kościołem?

– Wydaje się to... wiarygodne – odrzekła Winter. – Rozumiem, że jako nosicielka demona mogła usłyszeć jakieś plotki i pomyślała, że schroni się u nas. Jednak jest w tym coś więcej, czegoś nam nie mówi.

– Ukrywanie się szybko wyrabia nawyk skrytości – zauważył Janus. – W porządku. Na razie zatrzymaj ją tutaj, zachowując wszelkie niezbędne środki ostrożności. Zobacz, co jeszcze zdołasz z niej wyciągnąć.

– Nie chcesz się z nią zobaczyć, generale? – spytała Winter.

– Lepiej nie – powiedział Janus. – Nie możemy wykluczyć możliwości, że ona jest Przeklętym Penitentem. Mogę sobie wyobrazić, że ostatnio pontifex Czerni jest coraz bardziej zdesperowany i z całą pewnością spróbowałby mnie zabić, gdyby mógł. A taki samobójczy atak miałby największe szanse powodzenia.

– Będziemy mieli ją na oku, generale. – Winter zawahała się. – Ona zdaje się sporo wiedzieć o demonach. Czy to coś, czego mogła się dowiedzieć od Kapłanów Czerni?

– Wątpliwe. Oni niechętnie dzielą się swoją wiedzą. – Janus przesunął ołówek na północną część mapy, ku wzgórzom i lasom północnego Murnska. – Może zetknęła się z kimś innym.

– Czy jest ktoś inny?

– Są... inni. Ci, którzy przetrwali. – Janus wzruszył ramionami. – Kościół robił, co mógł, żeby wymazać wszelką wiedzę i tradycje z czasów sprzed narodzin Karisa, ale nadal można znaleźć ich pozostałości, jeśli się wie, gdzie szukać. Dawne plemiona miały

swoje mistyczne tradycje, tak jak tyrani Mithradacji. Ta wiedza osiągnęła wyżyny po ich upadku, w epoce tak zwanego Króla Demona i jego kolegów. Nawet wczesny Kościół w swych przedelizejskich czasach... – Potrząsnął głową. – W każdym razie oazy dawnej wiedzy pozostały tu i ówdzie. Zanim przysłano mnie do Khandaru, zaledwie przekonałem się, że magia naprawdę istnieje, uważnie studiowałem ten problem. Kościół był bardziej represyjny na południu, wśród cywilizowanych ludów, niż tu, na północy. Przez pewien czas szperałem w odległych zakątkach Murnska. To możliwe, że Alex też odkryła jeden z nich.

Winter po raz pierwszy słyszała o czymś takim. Janus również, pomyślała, niezbyt chętnie dzieli się swoją wiedzą.

– W każdym razie myślę, że podjęłaś słuszną decyzję, przywożąc ją tutaj. Może być użyteczna, jeśli zdołamy ją przekonać, żeby się otworzyła.

Winter uspokoiła się trochę.

– Dziękuję, generale.

– A twoja operacja przeciwko partyzantom została dobrze przeprowadzona. Rozumiem, że nasze straty były niewielkie?

– Tak jest, generale – odparła Winter, starając się odegnać obraz nieszczęsnego chłopca raz po raz dźgającego nożem zabita kobietę z Pierwszego Dziewczęcego. – Muszę powiedzieć, że niepokoi mnie murnskajski fanatyzm. To może być bardzo nieprzyjemna kampania.

– Zgadzam się z tym – rzekł Janus. – Tym bardziej powinniśmy się starać, żeby była krótka.

Spojrzał na południowy skraj mapy. Zaznaczona na czerwono Droga Pielgrzyma biegła na północny wschód od Vantzolku

i przekraczała jedną rzekę po drugiej przy miasteczkach, których nazwy Winter ledwie mogła odczytać. Mnóstwo zrobionych czerwoną kredką znaczków znajdowało się przy rzece Syzrii, gdzie symbole i daty tworzyły istny gąszcz.

– Dopilnuj, że twoi żołnierze byli przygotowani do szybszego marszu, generale dywizji – powiedział Janus, jakby czytając w jej myślach. – To już niedługo.

Siedem Raesinia

Przez kilka ostatnich dni nastroje w obozie wyraźnie się popsuły.

Raesinia jechała blisko czoła kolumny, z nieliczną świtą. Teraz, gdy zaczęły się walki, większość żołnierzy eskorty z Pierwszego Dziewczęcego odesłała do ich pułku, chociaż Barely i Joanna dobrowolnie pozostały jako jej ochrona. W wyniku nalegań Raesinii większość gwardii przybocznej pozostała na tyłach. Nie byli frontowymi żołnierzami, a ich wyposażenie zajmowało w taborach dużo miejsca, które można było wykorzystać na zapasy. Ponieważ Janus nieustannie sugerował, że byłaby bezpieczniejsza na tyłach, Raesinia nie zamierzała dawać mu żadnego powodu do stwierdzenia, że ona opóźnia marsz.

Z początku szybki odwrót Borelgajów i powolne tempo marszu nadawały temu pozory triumfalnego pochodu. Przechodzili przez miasta i wioski, obserwowani z poboczy przez podziwiających ich wieśniaków. Niewiele się oni różnili od tych w Vordanie, chociaż ich kobiety nosiły spódnice do kostek, w borych kolorach. Nawet najmniejsze osady miały swoje kościoły z drewnianymi wieżami zwieńczonymi podwójnym krzyżem, nieustannie przypominającym cudzoziemcom, że są daleko od domu.

Pomimo wszystko, czy uważano ich za wrogów czy nie, ludność

chętnie sprzedawała im, co miała, po okropnie wygórowanych cenach. Ku ogromnej konsternacji służby Raesinia uparcie próbowała miejscowych specjałów, takich jak ciemny razowy chleb, pieczone ziemniaki i pasternak, oraz przyrządzanych na niezliczone sposoby różnych części świni. Wino trafiało się rzadko, ale nie brakowało miejscowych trunków robionych ze sfermentowanych ziemniaków, buraków lub zboża. Nabyła kilka na próbę, żeby podać je do kolacji z Marcusem, chociaż sama miała z nich niewielki pożytek, ponieważ demon nie pozwalał się jej upić.

Podróżowanie z wojskiem dawało poczucie swobody i powody do irytacji, w równej mierze. Była daleko od dworu, jego tłumu pochlebców i niekończących się ceremonii, nie wspominając o nieustannych debatach Zjazdu Generalnego nad mało istotnymi punktami tworzonej konstytucji. Marcus rozluźnił się, przynajmniej trochę, a także wszedł w swoją rolę wojskowego gubernera królowej. Teraz wszystkie uwagi o dywizjach i batalionach, szwadronach i bateriach, liniach, flankach i rozwijaniu szyku już nie były dla niej takie niezrozumiałe. Żołnierze, orzekła w duchu, trochę przypominają lekarzy nadających skomplikowane nazwy prostym rzeczom, żeby postronni nie rozumieli, o czym oni, do diabła, mówią.

Jednak rozmowy z Marcusem przypominały jej o wszystkim, z czego zrezygnowała. Lata przed rewolucją z perspektywy czasu wydawały się okresem nieznośnej naiwności, lecz mimowolnie tęskniła za wieczornymi posiedzeniami w „Niebieskiej Masce” z Benem, Corą i innymi oraz sporami o pewne kwestie, które teraz Zjazd Generalny tak długo roztrząsał. Ten krótki okres wolności, którym cieszyła się później u boku Marcusa, gdy incognito badała

próbę zamachu na jej życie, pozostawił tylko rosnący po powrocie do pałacu niedosyt. Teraz, chociaż uciekła z Ohnlei, miała wrażenie, że jakaś część pałacu podążyła za nią aż tutaj. Nieustannie towarzysząca jej eskorta zmuszała do stałego noszenia oficjalnej maski, a Marcus, chociaż teraz nieco bardziej przyjacielski, nadal skrupulatnie przestrzegał dobrych manier.

A najgorsze było to, że niczego nie musiała robić. Postanowiła trzymać się w pobliżu Janusa, żeby być na miejscu, gdy wojna osiągnie swój decydujący punkt. Jednak nie pełniła w armii żadnych obowiązków, nawet ceremonialnych, do których niechętnie przywykła w Ohnlei. Sothe początkowo chciała urządzać przeglądy i parady, lecz Raesinia zabroniła tego – znów nie chcąc dawać Janusowi powodu do stwierdzenia, że wtrąca się w sprawy wojska.

Kiedy zaczęły się ataki partyzantów, nie było już mowy o lustracjach i paradach i odeszły w przeszłość przyjazne targi z murnskajskimi wieśniakami. Żołnierze pozostawali w obozie, czujnie śpiąc za kordonem skorych do strzelania wartowników, jak zwierzę nagle wyczuwające obecność drapieżników w ciemności. Dwa dni drogi za Vantzolkiem Pierwszy Dziewczęcy wysłano, by oczyścił gniazdo partyzantów, i opowieści, które później zaczęły krążyć, były przerażające.

– Czy to prawda? – Raesinia zapytała Marcusa przy kolacji. – O tych dzieciach?

– Co? – Popatrzył na nią znad kieliszka zawierającego jakiś podejrzanie wyglądający płyn, zapewne otrzymany z buraków. – Jakich dzieciach?

– Kiedy Pierwszy Dziewczęcy wytropił partyzantów, cała ich

banda przypuściła atak i została wystrzelana... w tym kobiety, chłopcy i dziewczynki. A kiedy żołnierze weszli do ich obozu, starcy...

– Och. – Marcus pokręcił głową. – Tak to mniej więcej wyglądało, o ile mi wiadomo.

– Na jaja Bestii! – zakląła Raesinia. Robiła to częściej, niż powinna, tylko po to, żeby zobaczyć zgrozę i zdumienie, jakie zawsze pojawiało się przy tym na twarzy Marcusa. – Myślisz, że to przez Kapłanów Czerni?

– Janus tak uważa – odparł z niewyraźną miną. – Powiedział mi, że pontifex nie zawaha się krzywdzić tubylców, ponieważ wie, że ostatecznie to nas będą o wszystko obwiniać.

– Czy ma rację?

– Sądzę, że tak. – Marcus opróżnił kieliszek i skrzywił się. – Moje doświadczenia w Khandarze nauczyły mnie, że łatwo jest nastawić ludzi przeciwko cudzoziemcom.

– Zatem co z tym zrobimy?

– A co możemy zrobić? Dojdziemy do Elizjum i położymy temu kres.

Raesinia zawahała się. Najgorsze było to, że przy takim barbarzyństwie Kościoła stanowisko Janusa wyglądało rozsądniej. Jeśli kapłani Kościoła Zaprzysiężenia każą wieśniakom zarzynać dzieci jak prosięta, to może rzeczywiście powinniśmy ich wytępić, pomyślała. Jednak jakkolwiek straszne byłyby czyny Kościoła Elizjum i jak zaciekle jego retoryka, Raesinia ani przez chwilę nie wierzyła, żeby Janus się tym przejmował. Co zrobi, kiedy zajmie Elizjum? Przebył pół świata, żeby zdobyć Tysiąc Imion, i teraz miał na wyciągnięcie ręki ten największy zasób magicznej wiedzy. Jak

zamierza go wykorzystać? Chce zostać następnym Królem Demonem?

Jednak rozmawiając o tych okropnościach, Marcus najwyraźniej czuł się nieswojo, Raesinia więc porzuciła ten temat. Gdy służba wniosła następny miejscowy specjał – smażony razowy chleb i smarowidło składające się niemal wyłącznie ze świńskiego sadła – poklepał się po kieszeni kurtki i wyjął kilka złożonych kartek.

– Dostaliśmy wiadomość z Vordanu – powiedział, gdy znów byli sami. – Przysłaną pstrykaczem.

Ten wynalazek Janus skopiował od Desoltajów; za pomocą szeregu takich lamp w ciągu jednej nocy można było przekazywać informacje na odległość setek mil.

– Coś ważnego?

– Większość to oczywiście logistyka wojskowa. Zaopatrywanie armii wymaga ogromnych wysiłków. Jednak Feor dołączyła notatkę, z której wynika, że nie wyczuwa żadnego nowego naathem i jej program szkoleniowy daje pewne rezultaty. Wspomniała, że rozmawiała z... hm... naszym nieoczekiwanym sojusznikiem.

– Stalowym Duchem?

Ten tajemniczy Khandarczyk, który niegdyś walczył z Marcusem, pomógł im pokonać Przekłętego Penitenta, chociaż Raesinia wciąż nie miała pojęcia, z jakich pobudek działał.

Marcus skinął głową.

– Przyszedł do mnie, zanim opuściliśmy Vordan, wiesz? – powiedziała.

– Naprawdę? – Marcus zmarszczył brwi. – Mogłaś mu

powiedzieć, że chcemy mu zadać kilka pytań.

– On chyba nie ma zwyczaju odpowiadać na pytania.

– A więc po co przyszedł?

– Ostrzec, że nie będzie mógł czuwać nad moim bezpieczeństwem, gdy wyruszę na północ – powiedziała. Odcięła kawałek grzanki i posmarowała ją błyszczącym w blasku świec smalcem. – Strzegł mnie przed Penitentami, ale powiedział, że gdy Janus opuści z wojskiem stolicę, on będzie musiał zostać, żeby chronić Tysiąc Imion.

– Janus też się tym zajął – rzekł ponuro Marcus. – Ufasz Stalowemu Duchowi?

– Ocalił nas przed tamtym potwornie wielkim Penitentem.

– Owszem – przyznał Marcus. – Tylko z jakiego powodu? Dlaczego miałby nam pomagać?

– On zdaje się nienawidzić Kapłanów Czerni tak samo jak Janus. – Raesinia wepchnęła do ust kęs chleba, słonego i grubo posmarowanego tłuszczem. – Zapewne wychodzi z założenia, że wróg jego wroga...

– A jeśli pokonamy Kapłanów Czerni, co wtedy?

Raesinia potrząsnęła głową. Wszystko sprowadza się do Janusa, czyż nie? Do licha.

– Chyba bardziej mi się to podobało, kiedy musieliśmy się obawiać tylko Orlanki.

– Mów za siebie – rzekł z uśmiechem Marcus. – Nawet jeśli sytuacja jest bardziej skomplikowana, to dobrze wiedzieć, że mamy znacznie większą siłę ognia.

Jednak dla niego to nie jest takie skomplikowane, prawda? – pomyślała Raesinia, obserwując Marcusa, gdy służba wносиła

główne danie. On ufa Janusowi. Musi tylko wykonywać rozkazy. Przez moment żałowała, że ona nie może tego robić. Jednak nie pozwalało jej na to poczucie odpowiedzialności, które popchnęło ją do buntu przeciwko swoim własnym rządóm, żeby nie dopuścić do przejęcia władzy przez uzurpatora Orlankę. Muszę doprowadzić sprawę do końca.

Następnego dnia główne siły Wielkiej Armii dotarły do Vantzolku. Widok robił wrażenie. Nie samego miasteczka, składającego się z kilkuset budynków z drewna i tynku stłoczonych wokół starożytnego kamiennego mostu, ale obozu, który rozłożono na okolicznych polach. Zdeptano wiele akrów żyta i ziemniaków, żeby utworzyć składy większe niż przy większości targowisk, z piętrzącymi się w nich stosami wszelkiego rodzaju sprzętu wojskowego. Skrzynie z sucharami, beczki z prochem, skrzynki z kulami, wozy prowiantu, butów, koszul i spodni, manierki i ładownice oraz stojaki z zapasowymi muszkietami. Jeszcze większe wrażenie robiły zwierzęta: niekończące się szeregi wierzchowców dla oficerów i kawalerzystów, pociągowe muły i osiołki, bydło prowadzone za wojskiem i zarzynane wedle potrzeb. Do samego ich żywienia i uprzątania gnoju zatrudniono tylu ludzi, że można by sformować z nich nowy batalion.

Oprócz pojazdów, które zarekwirowali podczas przemarszu, Vordanowi kazano dostarczyć wszystko, co poruszało się na kołach. Raesinia zauważyła powozy przeznaczone do wożenia dam na wspaniałe bale; teraz były pozbawione dachów i wypełnione suszoną kukurydzą, a stołeczne dorożki, jeszcze z namalowanymi na bokach cennikami, z turkotem i piskiem resorów przewoziły

worki kawy lub osełki masła. Skraj obozu wyglądał jak Giełda w szczególnie gwarny dzień, z mnóstwem gniewnie pokrzykujących woźniców i zdenerwowanych zwierząt.

Przybycie Wielkiej Armii, czyli gromady żołnierzy równej liczbie mieszkańców średniej wielkości miasta, zmieniło i tak trudną sytuację w kompletny chaos, pomimo wysiłków oficerów, którzy mieli tym kierować. Raesinia trzymała się na uboczu: służba rozstawiła jej namiot na małym wzniesieniu dobrze za linią wart i w należytej odległości od tego zamieszania. Nie zdziwiła się, gdy przyszedł posłaniec od Marcusa z wiadomością, że generał nie będzie mógł zjeść z nią kolacji.

Widok tych stert wyposażenia sprawiał, że wszystko to wydawało się bardziej realne. Kolosalny wysiłek, jakiego wymagało sprowadzenie tutaj tych rzeczy, to dopiero początek. Inwazja na Murnsk przez wieki była synonimem lekkomyślnego i bezowocnego przedsięwzięcia, ale Janus naprawdę zamierzał tego dokonać – przejść z tą ogromną armią i całym jej zaopatrzeniem przez setki mil kiepskich dróg i nieprzebytych lasów, mimo tego wszystkiego, co spróbuje zrobić imperator, żeby go powstrzymać. Oto człowiek, którego mianowaliśmy pierwszym konsulem. Święci i męczennicy. A najstraszniejsze było to, że wierzyła, że może mu się to udać.

Ponadto musiała przyznać, że ten fakt budził dumę. Dokonaliśmy tego. My, Vordanajowie. Od Wojny Książąt królestwo Vordanu podupadło, stłamszone przez sojusz Hamveltajczyków z Borelgajami. Teraz potężna Antova padła, Hamveltajczycy spokornieli, legendarny diuk Brookspring zaś ledwie uniknął całkowitego rozbicia swych wojsk. A Janus zamierzał poprowadzić swoją armię tam, gdzie nawet Farus IV nigdy nie dotarł, do

samego Elizjum.

Następnym etapem marszu był sześćdziesięciomilowy odcinek do Tsivny leżącej nad rzeką Norilią. Droga Pielgrzyma oddalała się tam od rzeki i zwężała do wyboistego traktu, który w Vordanie ledwie uznano by za wiejską dróżkę. Pomimo to rozkazy Janusa wyraźnie nakazywały kolumnie trzymać się tego traktu, a gdy oddalili się od rzeki i zapuścili w głąb lądu, Raesinia zrozumiała dlaczego. Droga wiała się pośród wzgórz, przecinając pagórkowaty teren, a im dalej na północ, tym las był bliższy i gęstszy.

Niebawem jechali w cieniu drzew, a ogromna kolumna zwężyła się w niewiarygodnie cienką niebieską linię, rozciągniętą na wiele mil. Upchnięcie jej całej w jednym obozie było niemożliwe, tak więc każda dywizja rozstawiła swoje namioty tam, gdzie zastała ją noc. Kawaleria, podążająca na przedzie i pilnująca, żeby żaden wróg nie zagroził tak rozproszonym oddziałom, była zmęczona nieustannymi patrolami, których domagał się Janus.

Marcus co wieczór zjawiał się na kolacji zmęczony, ale zadowolony. Raesinia zdała sobie sprawę, że wtedy w Talbonn nie próbował jej odtrącić, kiedy powiedział, że cieszy się z powrotu w szeregi armii. Ta praca, nieustanne rozwiązywanie problemów związanych z przemarszem armii przez terytorium wroga, była jego żywiołem.

– Zapewne masz rację – powiedział, gdy o tym napomknęła. Z uśmiechem nachylił się do niej. – Potraktuj to jako lekcję, Wasza Królewska Mość. Każde zadanie wymaga odpowiednich narzędzi, a wojna to nie tylko toczenie bitew.

– Staczałeś bitwy – zaprotestowała Raesinia.

– Oczywiście, że tak. Nigdy jednak nie twierdziłem, że mam do

tego nadzwyczajne kompetencje. – Wskazał na namiot dowodzenia.
– Janus jest taki, jaki powinien być prawdziwy dowódca. Zna swoich ludzi, teren i nieprzyjaciela. Zna myśli swojego przeciwnika, może nawet lepiej niż on sam.

– Nie jest niepokonany – powiedziała Raesinia, czując się trochę niezręcznie.

– Nikt nie jest – rzekł Marcus. – Po prostu on jest bardzo, bardzo dobry. Jednak dla niego ten marsz po kiepskich drogach i wszystko, co się z tym wiąże, to zaledwie przygotowania do głównego wydarzenia. Natomiast jeśli trzeba rozładować korek na drodze lub tak zorganizować obóz, żeby nikt nikomu nie wchodził w drogę, to jest to moja specjalność. – Uśmiechnął się nieco bezradnie i podrapał po brodzie. – Właściwie kiedy tak to ująć, nie robi to wrażenia, prawda?

– Wasza Królewska Mość... – powiedziała cicho Sothe.

– Wiem. Uważasz, że to zły pomysł.

– Ci ludzie są niebezpieczni.

Raesinia wskazała ręką. W wielkim namiocie, wystarczająco dużym, by wydać w nim przyjęcie, była tylko ona, Sothe i pięć wartowniczek z Pierwszego Dziewczęcego. Ona i Sothe siedziały na ławie po jednej stronie stołu, jak gospodynie czekające na przybycie gości.

– Sądzę, że podjęliśmy odpowiednie środki ostrożności – powiedziała Raesinia. I zniżywszy głos, dodała: – Ponadto dla mnie oni nie są groźni.

– Ryzyko zawsze istnieje, choćby niewielkie. Nie rozumiem, co chcesz przez to osiągnąć.

Tej kwestii Raesinia wolała nie roztrząsać, lecz przybycie niewielkiego oddziału oszczędziło jej tej konieczności. Drużynę prowadziła sierżant z Pierwszego Dziewczęcego, postawna kobieta z niesforną szczotką rudych włosów, a za nią szła czwórka żołnierzy. Eskortowały jeńców, dwie kobiety i chłopca, noszących bure szaty murnskajskich wieśniaków.

Raesinia wstała, gdy pojmanych ustawiono po drugiej stronie stołu. Zauważyła, że mają ręce związane na plecach i są okropnie brudni, w odzieniu sztywnym od błota, ze skórą pokrytą warstwą zaschniętej krwi. Wyższa z kobiet miała głowę owiniętą bandażem, który nie całkiem zasłaniał ognieście czerwoną plamę rozchodzącej się infekcji. Poczula smród, mdlący słodkawy odór gnijącej rany.

– Sierzancie – powiedziała Raesinia. – Generał Ihernglass zapewniał mnie, że jeńcy są dobrze traktowani.

– Zrobiliśmy dla nich wszystko, co mogliśmy – odparła sierżant, nisko się kłaniając. – Generał Ihernglass powiedział, że nie chce, aby dotykano ich, jeśli to nie jest konieczne. Proponowałyśmy im kąpiel i czystą odzież, ale nie chcą o tym słyszeć. I nie dopuszczają do siebie chirurga. – Gniewnie zerknęła na więźniów. – Jeśli ten smród denerwuje Waszą Królewską Mość, każę dziewczynom ich rozebrać i zlać wodą.

– Nie – powiedziała Raesinia. – Myślę, że generał Ihernglass ma rację. – Ponownie zwróciła się do tych trojga. – Czy ktoś próbował z nimi rozmawiać?

Sierżant podrapała się po policzku.

– Szczerze mówiąc, mało kto z nas mówi po murnskajsku, Wasza Królewska Mość. Oni znają kilka vordanajskich słów, ale za mało, żeby rozmawiać. Generał Ihernglass rozmawiał z nimi przez

chwilę, ale kiedy zniszczyliśmy ich gniazdo, uznał, że nie mają już nic ciekawego do powiedzenia.

Raesinia kiwnęła głową, wciąż przyglądając się tym trojgu. Kobieta bez bandaża była najstarsza z nich i na spojrzenie królowej odpowiedziała hardym spojrzeniem jasnoniebieskich oczu. Chłopiec nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat i wciąż ukradkiem zerkał na władczynię, po czym wbijał wzrok w ziemię.

– Dobry wieczór – powiedziała Raesinia, odkurzając swoją znajomość murnskajskiego. Mówiła powoli i zapewne zbyt uprzejmie, gdyż wszystkie wyuczone zwroty miały służyć dyplomatycznym celom. – Jestem Raesinia Orboan. Jak wy się nazywacie?

Starsza kobieta zamrugła zaskoczona, że zwrócono się do niej w jej ojczystym języku. Zerknąwszy potem na dwoje pozostałych, zacisnęła zęby i nic nie powiedziała.

– Nie zamierzam was skrzywdzić – ciągnęła Raesinia. – Chcę tylko porozmawiać. Zechcecie usiąść?

– Ja jestem Vitali – wymamrotał chłopiec.

Starsza kobieta westchnęła.

– Ja jestem Nina – odezwała się. – A to jest Lidiya. – Zmrużyła oczy. – Ty jesteś... cesarzową?

– My mówimy: królową – sprostowała Raesinia. – Tak. Jestem królową Vordanu.

– Królową heretyków – mruknęła pod nosem Lidiya. – Królową niegodziwców.

Nina puściła to mimo uszu.

– Dlaczego miałybyś z nami rozmawiać?

– Chcę pomówić o tym, co zrobiliście w wiosce. Chciałam... –

Raesinia zamilkła, kręcąc głową. Przede wszystkim chciała zrozumieć, choć to wydawało się niemożliwe. – Walczyliście. Wszyscy razem, mężczyźni, kobiety i dzieci.

– Oczywiście – prychnęła Nina. – Moi synowie i ja nie zostawilibyśmy mojego męża samego. – Głośno wypuściła powietrze. – Żałuję tylko, że muszę czekać, aż znowu ich zobaczę.

– A wcześniej atakowaliście nocami wojsko? Wozy z dostawami i tabory. Zgadza się?

– Ona nas zabije – szepnął pospiesznie Vitali. – Nic nie mów.

– I tak nas zabije – powiedziała Lidiya.

Raesinia zauważyła, że bandaż unieruchamia jej szczękę, zmuszając do cedzenia słów przez zaciśnięte zęby.

– Niech zabija – syknęła Nina, z nieskrywaną pogardą w głosie.

– Tak. Zrobiliśmy, co do nas należało, żeby przegnać twoją przeklętą armię.

– Dlaczego? – zapytała Raesinia. – Żaden z naszych oddziałów nawet nie zbliżył się do waszej wioski. Nic wam nie zrobiliśmy.

– Za kogo nas uważasz? – Nina się gorzko zaśmiała. – Myślisz, że jesteśmy tak tchórzliwi, że zignorujemy spalone przez twoich żołnierzy wioski, zgwałcone dziewczyny i zrabowane plony tylko dlatego, że jeszcze nie przyszedliście do naszej osady? Że tak bardzo cenimy nasze życie, że będziemy beczynnie patrzeć, jak wasz generał-demon niszczy Święty Kościół i skazuje świat na wieczną ciemność?

– Żadne wioski nie zostały spalone – rzekła Raesinia. – Jesteśmy tu dlatego, że wasz cesarz wypowiedział wojnę nam.

Jednak mówiąc to, czuła, że to czysta sofistyka. Jesteśmy tutaj, ponieważ Janus chce zniszczyć Kapłanów Czerni, sprostowała

w duchu. Pierwszy konsul wyraźnie powiedział, że wszystko inne ma drugorzędne znaczenie.

– Cesarz spełnia wolę Boga – rzekł Vitali. Zabrzmiało to jak cytat z katechizmu. – Kościół Elizjum jest uosobieniem boskiej woli.

– Kto kazał wam spalić waszą wioskę? – spytała Raesinia. – Kapłani?

– Nic o nas nie wiesz – odparła Nina. – Wszystko, co robimy, jest zgodne z wolą Boga. Czujemy to. – W jej oczach na moment pojawiło się współczucie. – Heretyk nigdy tego nie zrozumie.

– Masz rację. – Raesinia czuła, że wzbiera w niej gniew. – Nie rozumiem, co może skłonić ludzi do mordowania swoich dzieci. – Spojrzała na Lidię i znów na Ninę. – Ponieważ właśnie to zrobiliście, czyż nie? Zabiliście każdego, kto był zbyt młody lub za stary, żeby przyłączyć się do waszego szaleńczego ataku.

– Są teraz z Bogiem – oświadczyła Nina, zamykając oczy. – Moja matka. I córka.

– Moje siostry – dorzucił Vitali. – I mój brat. Jedna z twoich kobiet-żołnierzy poderżnęła mu gardło.

– Tak nie musiało się stać – powiedziała Raesinia. – Gdybyście zostali w domach, zostawilibyśmy was w spokoju!

– Kłamstwa – zachnęła się Lidiya. – Kłamiesz, ty... ty...

Gdy burza uczuć pozbawiła ją i tak jej ograniczonej zdolności mowy, złapała bandaż i zdarła go z głowy. Wraz z nim oderwała skorupę zaschniętej krwi i ropy, opryskując stół. Raesinia instynktownie odwróciła oczy od jej twarzy, oszpeconej skośną raną ciętą, gnijącą na brzegach.

– Myślisz, że nas oszukasz, harpio! – wrzasnęła Lidiya. –

Dziwko. Królowo kurew. Spójrz na siebie, ubrana jak chłopak, żeby podobać się generałowi. Pewnie lubi chłopców.

Sierżant z Pierwszego Dziewczęcego zrobiła krok naprzód, marszcząc brwi, lecz Raesinia powstrzymała ją, unosząc dłoń. Wyczuła napięcie Sothe.

– Miałam zostać w domu i nic nie robić? – powiedziała Lidiya, brocząc krwią przy każdym słowie. – Moje dzieci są teraz bezpieczne i cieszą się swoją wieczystą nagrodą. Miałam pozwolić, żebyście zabrali ich dusze? Zrobili z nich dziwadła, takie jak wasze kurwy udające żołnierzy? – Ruchem głowy wskazała eskortę z Pierwszego Dziewczęcego i uśmiechnęła się szyderczo, spierzchniętymi i popękkanymi wargami. – Murnsk i Święty Kościół usypią górę z waszych heretyckich zwłok, a wtedy będziecie na wieki smażyć się w piekle!

Zabrakło jej tchu i zamilkła, dysząc i brocząc krwią na blat stołu. Nina wyprostowała się.

– I co? – powiedziała. – Zabijecie nas teraz?

– Nie – odparła Raesinia, ocierając z policzka kroplę krwi. – Sierzancie?

– Wasza Królewska Mość? – Sierżant wpatrywała się w oszpeconą kobietę.

– Odprowadźcie tych dwoje. – Wskazała na Ninę i Vitaliego, a potem na Lidiyę. – Znajdźcie chirurga i każcie mu, żeby zrobił dla niej, co w jego mocy.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość. – Sierżant skinęła na strażniczki. – Chociaż może być już za późno.

– Mimo to powiedz mu, żeby spróbował. – Królowa ciężko opadła na drewnianą ławę. – Dziękuję wam za pomoc, sierzancie.

– Wedle rozkazu. – Sierżant skłoniła się i podążyła za odchodzącymi jeńcami.

– Miałaś rację – powiedziała Raesinia, gdy Sothe usiadła obok niej. – To był zły pomysł. Myślałam... – Sama nie była pewna, co myślała. – Sądziłam, że skoro walczymy z Kapłanami Czerni, to może zdołamy przekonać wszystkich pozostałych, żeby trzymali się z daleka.

– Tak byłoby lepiej dla wszystkich zainteresowanych – rzekła Sothe. – Wiesz jednak, że to niemożliwe.

Raesinia potrząsnęła głową.

– Myślałam, że może przynajmniej niektórych z nich da się przekonać. Przecież właśnie widzieli, jak ich rodziny wymordowano na rozkaz Elizjum. Powinni nienawidzić za to kapłanów. Tymczasem... – Spojrzała na Sothe. – Będą z nami walczyć, prawda? Przez całą drogę do Elizjum.

– Przez całą drogę – potwierdziła ochmistrzyni.

Jeszcze sto takich wiosek jak ta. Sto następnych rzezi. Nocnych ataków i płonących wiosek.

– Niestety, trzeba to zrobić – powiedziała Sothe, widząc jej minę.

Po to, żeby obronić mnie przed atakami Kapłanów Czerni, dopowiedziała w myśli Raesinia i westchnęła przeciągle. Czy to czyni mnie winną czy ich?

– Wasza Królewska Mość? – zaniepokoiła się Sothe. – Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. Wracaj do namiotu. Chcę... chwilę pospacerować.

Po smrodzie zgnilizny unoszącym się w namiocie chłodne powietrze na zewnątrz było przyjemną odmianą. Raesinia szła przed siebie bez konkretnego celu, podążając między ciasno stojącymi namiotami obozu Pierwszego Dziewczęcego. Wszędzie były kobiety: gotowały kolację, czyściły broń, grały w kości lub karty i wykonywały wszelkie inne niepojęte dla postronnych czynności, które żołnierze wykonują podczas przemarszu. Niektóre z nich rozpoznawały ją i pozostawiała za sobą falę zaskoczonych spojrzeń i nerwowych ukłonów.

W końcu poczuła to dziwne, prawie bolesne mrowienie, które – jak już wiedziała – oznaczało, że w pobliżu znajduje się inny demon. Raesinia nie nauczyła się biegle wykorzystywać tego dodatkowego zmysłu, ale przynajmniej zazwyczaj potrafiła wyczuć Winter, gdy ta była blisko. Tym razem czuła to niezwykle mocno i spodziewała się, że generał znajduje się w pobliżu, lecz gdy w końcu przystanęła, ujrzała ją stojącą przed wejściem do namiotu stojącego w połowie rzędu. Winter również zauważyła Raesinię i skłoniła się nadchodzącej królowej.

– Wasza Królewska Mość – powiedziała. – Nie spodziewałam się zobaczyć cię tutaj.

– Spaceruję, żeby zebrać myśli – rzekła Raesinia.

Winter wymieniła spojrzenia ze stojącą obok niej kapitan.

– Nie przyszłaś tu, żeby odwiedzić Alex? – spytała.

Raesinia zamrugnęła.

– Alex?

– Jest... naszym gościem. Myślałam, że pierwszy konsul przekazał ci mój raport.

– Nic mi o tym nie mówił – odparła Raesinia, zgrzytnąwszy

zębami. – Kim jest Alex?

– Znalazłam ją po potyczce z partyzantami. Ona... – Winter rozejrzała się wokół. – Jest taka jak my. Rozumiesz?

Nosicielka demona. Chociaż tylko nieliczni znali prawdę o uwięzionym w niej demonie, nie można było ukryć jego obecności przed innymi nosicielami. Teraz, gdy Raesinia już wiedziała, czego szukać, zdołała rozdzielić to mrowienie na dwa sygnały, jeden słany przez Winter, a drugi płynący z namiotu.

– To Murnskajka? – zapytała. – Penitentka?

– Raczej jest Hamveltajką. Dochodzi do siebie, gdyż była ciężko ranna i nie mieliśmy jeszcze okazji dokładnie jej przesłuchać. Twierdzi, że szuka zemsty na Kapłanach Czerni, ale... – Winter wzruszyła ramionami. – Janus prosił mnie, żebym wyciągnęła z niej coś więcej.

– Czy mogę z nią porozmawiać? – zapytała Raesinia.

Winter zmarszczyła brwi.

– Właśnie zamierzałam z nią pomówić, ale nie mamy pewności, czy to bezpieczne. Jeśli jest Penitentką...

– Nie musisz się o mnie martwić – przypomniała Raesinia. – Umiem się zatroszczyć o siebie.

W przeciwieństwie do Sothe Winter wzięła to stwierdzenie za dobrą monetę. Skinęła na kapitan.

– Bobby, zaczekaj na zewnątrz, ale nie odchodź daleko.

– Tak jest, generale.

Bobby zaszutowała i odeszła na bok. Raesinia zniżyła głos.

– Ona też jest jedną z nas?

Winter skinęła głową.

– To... skomplikowane, ale tak.

Utrzymanie mojej tajemnicy będzie trudniejsze, niż sądziłam, pomyślała. Wyglądało na to, że wokół jest zdumiewająco wielu nosicieli demonów.

Winter odchyliła klapę namiotu i wśliznęła się do środka, a Raesinia za nią. Jej oczy dopiero po chwili oswoiły się z panującym tam półmrokiem. Był to szpitalny namiot, zapewniający dość miejsca dla chirurga i kilku pacjentów, ale teraz był zajęty tylko jeden materac. Siedziała na nim młoda kobieta, zapewne Alex, czytając jakąś grubą, oprawioną w skórę księgę. Była młodsza od Raesinii, najwyżej kilkunastoletnia, o czarnych włosach i dużych, inteligentnie patrzących oczach. Twarz miała lekko ściągniętą; zapewne dokuczała jej rana, ale spojrzała na nich czujnie.

– Winter! – powiedziała. – Dzięki Bogu! Już myślałam, że będę musiała przebrnąć przez następny rozdział.

– Aż tak kiepska lektura? – spytała Winter.

– Z pewnością fascynująca, jeśli kogoś interesują związki małżeńskie jakiegoś tyrana Mithradacji, który nie żyje od tysiąca lat.

– Zapytam Cyte, czy ma coś ciekawszego. – Winter wskazała Raesinię. – To jest...

Raesinia obserwowała Alex i w jej oczach nie dostrzegła błysku rozpoznania. Pochwyciła spojrzenie Winter i uniosła brew. Winter zrozumiała i zaledwie się zająknąwszy, dokończyła: – Raes.

– Następna nosicielka demona – rzekła Alex. – Janus ma ich całą kolekcję, no nie?

Raesinia posłała jej zdawkowy uśmiech.

– Możemy usiąść? – spytała Winter.

– To twój namiot – odrzekła Alex. – Ja tylko go pożyczyłam.

Winter przyciągnęła poduszki i razem z Raesinią usiadły naprzeciwko Alex. Dziewczyna odłożyła książkę.

– A zatem – zaczęła – przypuszczam, że to nie jest towarzyska wizyta. – W jej głosie pobrzmiwała nuta gorczy. – Czy ty i Janus już zdecydowaliście, czy jestem Penitentką?

– Mam nadzieję, że odpowiesz mi na kilka pytań – powiedziała Winter. – Jeśli czujesz się na siłach.

Alex poklepała swój bok.

– Myślę, że dam radę.

Winter wymieniła spojrzenia z Raesinią, po czym zapytała:

– Czy odczytałaś imię twojego demona, czy urodziłaś się z nim?

– Urodziłam się – odparła Alex. – Długo nie wiedziałam, do czego jestem zdolna. To mnie przerażało. – Wzruszyła ramionami i jej twarz spochmurniała. – Dorastałam na ulicach Hamvelt, zebrząc o łaskę gildii. To nie było dobre miejsce dla... odmieńców.

– Czy ktoś cię uczył? – dociekała Winter.

– Niezupełnie. Stary... – Alex spojrzała na nie czujnie i westchnęła. – Teraz to już chyba nie ma znaczenia, prawda? Nazywał się Metzinger i przyjął mnie jako... czeladnika.

– W jakim fachu? – wtrąciła Raesinia.

– Był złodziejem – beznamiętnie wyjaśniła indagowana. – Naprawdę najlepszym złodziejem na świecie. Teraz chyba ja zajęłam jego miejsce.

– Nie żyje? – zapytała Winter.

Alex kiwnęła głową, z gniewną miną.

– To oni go zabili. Kapłani Czerni. Był dla mnie jak ojciec, a oni wrzucili jego ciało do Vor, tylko dlatego że chcieli dopaść mnie.

Raesinia skrzywiła się. To samo spotkało zbyt wiele osób z jej otoczenia – Bena, Faro, a nawet Dantona – wszyscy oni zostali zabici przez jej wrogów, chcących dopaść ją w taki czy inny sposób.

– Przedtem o nich nie słyszałaś? – spytała Khandarkę.

– Słyszałam o nich – powiedziała Alex. – Po prostu nie sądziłam, że naprawdę istnieją. – Postukała palcem w podręcznik historii. – Wtedy oczywiście wszyscy wiedzieli, że Kapłani Czerni walczą z demonami i czarownikami. Teraz już nie. Myślałam, że tylko ja jedna o tym wiem. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się to trochę nieprawdopodobne.

– Zdołałaś im uciec? – zapytała Winter.

– Nie... niezupełnie. – Alex wyprostowała się. – Właściwie to wcale nie. Był w Vordanie taki Penitent zwany Cieniem...

– Ionkovo – ponuro wtrąciła Raesinia.

– Znasz go? – zdziwiła się Alex.

– Nie na towarzyskiej stopie – mruknęła Raesinia. – Próbował mnie zabić.

– A więc pewnie wiesz, co on potrafi. Wykorzystuje cienie jako bramy do jakiegoś innego świata. Może przez nie wchodzić i wychodzić, jeśli tylko jest dostatecznie ciemno. – Wzdrygnęła się. – Zabrał mnie ze sobą, kiedy opuszczał miasto. Podali mi jakiś środek usypiający, ale zbudziłam się pod koniec. To było... nieprzyjemne. – Alex przełknęła ślinę. – Przekazał mnie innemu Penitentowi. Spędziłam miesiąc w łańcuchach na wozie, na pół oszalała od naparu, którym mnie poili. Zamierzali trzymać mnie

w takim stanie przez całą drogę do Elizjum.

Raesinię przeszedł dreszcz. Ionkovo niewątpliwie szykował dla niej taki sam los, gdy usiłował ją porwać w trakcie podjętej przez Mauriska próby przewrotu. Tylko interwencja Winter zapobiegła temu w ostatniej chwili. Widząc teraz jej minę, Raesinia domyśliła się, że jej myśli też biegną tym samym torem.

– I dotarłaś tam? – spytała Winter. – Do Elizjum?

– Och, nie. Jeśli liczyliście na jakieś informacje, obawiam się, że niewiele wiem. Napotkaliśmy inną karawanę, z innym więźniem. Był nim chłopiec imieniem Abraham. On... – Alex zamilkła na moment. – Znalazł sposób ucieczki i zabrał mnie ze sobą.

– I dokąd uciekliście? – zapytała Winter. – Gdzie się ukrywaliście?

– Najpierw w lasach. Czasem spotykaliśmy ludzi, którzy nam pomagali.

– A potem postanowiliście odszukać Janusa? – dociekała Winter.

– Mniej więcej. Jeszcze przed rozmowami pokojowymi kapłani opowiadali każdemu, kto tylko chciał ich wysłuchać, że Janus chce zniszczyć Kościół i posiada demoniczne moce. To wystarcza, żeby zagrzać wieśniaków do walki. – Raesinia, pamiętając tyradę, której niedawno musiała wysłuchać, skinęła głową. Alex mówiła dalej: – Początkowo nie zastanawiałam się nad tym, ale po pewnym czasie zaczęły mnie dochodzić bardziej wiarygodne pogłoski o tym, co się stało w Vordanie. I pomyślałam sobie, że może to moja szansa, żeby odplacić Kapłanom Czerni za starego i za mnie. Tak więc wyruszyłam sprawdzić, czy plotki mówią prawdę. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście nie planowałam tego, że po drodze dam się

postrzelić.

Winter usiadła wygodniej, zastanawiając się nad tym. Raesinia drażyła dalej:

– Co się stało z Abrahamem?

– To... – Alex potrząsnęła głową. – Chcę, żebyście mi ufali, więc staram się was nie okłamywać. Jednak niektóre sekrety nie są moje i nie mogę ich wyjawić, rozumiecie? On nikogo nie będzie niepokoił.

– Rozumiem. – Winter wstała. – Dziękuję, że byłaś z nami szczerza. Porozmawiam z Janusem...

– Poczekaj – przerwała jej Alex. – Nadal myślisz, że jestem jedną z nich?

Winter zrobiła zboląłą minę.

– Wcale tak nie twierdzę.

– Podjęłam ogromne ryzyko, przybywając tutaj. – Alex dotknęła zabandażowanego boku. – Zapewne większe, niż zdawałam sobie sprawę. Proszę tylko, żebyście dali mi szansę. Wierście mi, jeśli zamierzacie walczyć z Kapłanami Czerni, będzie wam potrzebna moja pomoc.

– Wiem o tym – odparła Winter. – Jednak musisz zrozumieć naszą sytuację.

– Jak mam udowodnić, że nie jestem waszym wrogiem? – Alex przewróciła oczami. – Może Abraham miał rację.

Raesinia wzięła ją za rękę, co zaskoczyło dziewczynę. Spojrzały sobie w oczy.

– Gdy przyjdzie czas, będziesz walczyć – obiecała Raesinia. – Generał Ihernglass i ja rozumiemy, czym jest chęć zemsty.

Winter odkaszlnęła i Raesinia zamilkła. Alex zamrugła kilkakrotnie.

– W porządku – powiedziała, odrywając wzrok od Raesinii. – Są jakieś nadzieje na to, że niebawem opuścę ten namiot?

– Zobaczę, co się da zrobić – obiecała Winter.

Bobby czekała na nie na zewnątrz, z dwiema kobietami z Pierwszego Dziewczęcego, które przyniosły jedzenie i picie. Winter machnięciem ręki skierowała je do namiotu.

– Przepraszam – powiedziała Raesinia. – Nie zamierzałam podważać twojego autorytetu.

– Jesteś królową – odparła Winter. – Masz prawo.

– Po prostu... wiem, jak ona się czuje. – Raesinia nabrała tchu. – Jeśli jest Penitentką, to również doskonałą kłamczuchą.

– Wciąż nie mówi nam wszystkiego – przypomniała Winter. – Za tą opowieścią o ucieczce kryje się coś więcej.

– To jednak nie czyni jej jedną z nich – zauważyła Raesinia. – My umiemy docenić wartość osoby potrafiącej dochować tajemnicy.

Winter uśmiechnęła się i zwróciła do Bobby:

– Możesz przydzielić jej strażnika, jeśli pozwolę jej swobodnie się poruszać po obozie?

Bobby skinęła głową.

– Nie widzę problemu. Gdyby była Penitentką, to ściany namiotu nie byłyby dla niej żadną przeszkodą.

– Powiedz wszystkim, żeby mieli ją na oku – rozkazała Winter.

– Jeśli zauważycie coś dziwnego, chcę natychmiast o tym wiedzieć.

– Odwróciła się do Raesinii. – Dziękuję za pomoc, Wasza Królewska Mość.

– Drobiazg.

Janus nie zamierzał mi o tym powiedzieć, przypomniała sobie Raesinia. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, co jeszcze pierwszy konsul ukrywał.

Dotarli do Tsivny tego samego dnia, w którym Sothe przyprowadziła szpiega.

Świta Raesinii znacznie się zmniejszyła, od kiedy opuścili Talbonn. Należało do niej pół tuzina gwardzistów, którzy na zmianę pełnili warty przed jej namiotem, oraz tylko tyle osób służby, ile było trzeba do wykonywania podstawowych prac, takich jak gotowanie i czyszczenie. Para żołnierzy z Pierwszego Dziewczęcego, Barley i Joanna, towarzyszyła jej wszędzie. No i była Sothe, teoretycznie pełniąca obowiązki ochmistrzyni, a praktycznie ochroniarza, szpiega, a czasem zabójcy.

W Vordanie Raesinia przywykła do niemal bezustannej obecności Sothe, lecz od kiedy armia wyruszyła, widywały się bardzo rzadko. Oczywiście Sothe była przeciwna podróżowaniu królowej z wojskiem, lecz gdy Raesinia podjęła tę decyzję, ochmistrzyni zajęła się tworzeniem siatki szpiegów, dostarczającej jej pani bieżących wiadomości o wszystkim, co dotyczyło Wielkiej Armii. Sothe miała swój namiot, w którym czasem siedziała do późna, pracując przy przenośnym biurku, ale najczęściej krążyła wśród żołnierzy. Raesinia zawsze wyobrażała sobie, że Sothe skrada się i podsłuchuje rozmawiających, choć podejrzewała, że używa nieco bardziej wyrafinowanych metod.

Tego ranka zostawili w tyle leśną głuszę i ponownie znaleźli się wśród pół uprawnych, rozpościerających się wokół ostatnich dwóch

wzgórz i w głąb doliny Norilii. Rzeka migotała w oddali, długimi i leniwymi zakolami łapiąc słońce, a żołnierze znów podążali przez pola buraków, pasternaku i żyta. Raesinia zawsze słyszała, że wobec braku porządnych dróg Murnsk wykorzystuje rzeki, lecz do tej pory nie zdawała sobie sprawy z tego, że dosłownie tak jest – wszyscy tutaj, zdaje się, mieszkali nie dalej niż dzień jazdy od brzegu którejś z nich, a na rozległych terenach pomiędzy rzekami rosła puszcza.

Tsivny było miściną jeszcze mniejszą niż Vantzolk, z kamiennym kościółkiem i kilkunastoma budynkami z bali przytulonymi do brzegu rzeki. Był tam drewniany most, wystarczająco szeroki, żeby mogły przejechać po nim wozy, lecz zanim tam dotarli, pozostał z niego tylko zwęglony szkielet. Partyzanci, domyśliła się Raesinia. Przynajmniej nie spalili miasta. W każdym razie Janus najwyraźniej spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń, gdyż wozy ze świeżo zrąbanymi kłodami ruszyły w kierunku miasta, gdy tylko zwiadowcy zameldowali, że nie ma w nim nieprzyjaciela. Rzeka była głęboka, ale niezbyt szeroka i zanim reszta kolumny zaczęła wyjeżdżać z lasu i kierować się do obozu, na ruinach starego powstawał już nowy most.

Zaledwie Raesinia usiadła w swoim namiocie, gdy ktoś poskrobał w klapę. Barely wetknęła głowę do środka.

– Wasza Królewska Mość? Jest tu panna Sothe i mówi, że to pilne. Przyprowdziła kogoś. Wygląda na cywila.

– Przyślij ich tu – poleciła Raesinia z natychmiast obudzoną ciekawością. Sothe nie potrzebowała pozwolenia, żeby wejść do jej namiotu; jeśli o nie poprosiła, to oznaczało, że nie chce, by ten

cywil dowiedział się, jaką naprawdę ma tu pozycję.

Sothe weszła pierwsza, w szaro-czarnej szytej na miarę sukni, niewątpliwie maskującej ukryty pod nią arsenał. Za nią podążał jej gość, młodzian o skołtunionej blond czuprynie, w długim brezentowym płaszczu i filcowym kapeluszu. Wchodząc, nisko się uklonił, a Raesinia w odpowiedzi skinęła głową.

– Wasza Królewska Mość – rzekł.

– To jest mistrz Whaler – przedstawiła go Sothe. Podeszła do Raesinii i nachyliwszy się, szepnęła jej do ucha: – To borelgajski szpieg, jednak nie wie, że ja o tym wiem. Myśli, że załatwił sobie tę audiencję, dając mi łapówkę.

Raesinia zerknęła na Sothe zaskoczona, ale nie chciała wszystkiego zdradzić, zadając pytania. Zadowolona się uniesieniem brwi, po czym znów spojrzała na Whalera, wciąż zgiętego w pokłonie.

– Proszę się wyprostować, mistrzu Whaler – powiedziała. – Witamy.

– Mam wiadomość dla Waszej Królewskiej Mości – rzekł Whaler, zerkając na Sothe. – Sądzę, że byłoby najlepiej, gdybym przekazał ją na osobności.

– Oczywiście. Sothe, zechcesz zaczekać na zewnątrz?

Sothe skrzywiła się, ale nie zaprotestowała. Czasem Raesinię bardzo cieszyło to, że jest nieśmiertelna – podejrzewała, że gdyby była zwyczajnym człowiekiem, Sothe domagałaby się, żeby spędziła całe życie w klatce, otoczona falangą gwardzistów.

– Mówiłeś o jakiejś wiadomości? – przypomniała gościowi.

– Tak, Wasza Królewska Mość – potwierdził Whaler. – Od jego wysokości diuka Brookspring.

– Od Dorsaya? – Raesinia udała zdziwienie. – Jesteś szpiegiem?
Uśmiechnął się zawadiacko.

– To niezbyt dyplomatyczne określenie, Wasza Królewska Mość, ale oddające stan rzeczy.

– A dlaczego Dorsay uważa, że chcę otrzymać od niego jakąś wiadomość? – Raesinia szerokim gestem pokazała obóz. – Toczmy wojnę, gdybyś tego nie zauważył.

– To nie uszło mojej uwagi – rzekł Whaler. – Jednak księżę kazał mi powiedzieć, że w trakcie waszej ostatniej rozmowy odniósł wrażenie, że nie jesteście całkowicie przeciwna sensownemu kompromisowi.

– Co za komplement – powiedziała sucho Raesinia. – I?

– Teraz, kiedy sytuacja się zmieniła, pragnie znów porozmawiać w nadziei, że wasze interesy mogą być zbieżne.

– Fascynujące – mruknęła Raesinia, gorączkowo rozważając te słowa. – Oczywiście mógł po prostu przysłać delegację pod pokojową flagą.

– Diuk pragnie, by pierwszy konsul nie wiedział o tych rozmowach.

Ach. Miało to sens po przemowie Janusa, który zerwał rokowania pokojowe.

– Rozumiem. W takim razie jak proponuje przeprowadzić tę rozmowę?

– Jeśli Wasza Królewska Mość się zgodzi, może z niewielką świtą pojechać w pewne miejsce na ziemi niczyjej. Księżę będzie tam czekał z równie nieliczną eskortą.

– To mógłby być znakomity plan porwania – zauważyła Raesinia.

– I równie dobry plan wystawienia się na niebezpieczeństwo grożące księciu ze strony waszych zwiadowców – przypomniał Whaler. – Nieodzowne jest obopólne zaufanie.

– Skąd mam mieć pewność, że mówisz w imieniu Dorsaya?

– Polecił mi przekazać, że ma nadzieję, iż między kolejnymi waszymi spotkaniami nie upłynie tyle czasu co ostatnio. Powiedział, że zrozumiesz, co to oznacza.

Raesinia wróciła myślami do swego ostatniego spotkania z diukiem Brookspring. „Odwiedziłem dwór pani ojca z delegacją wojskową i przedstawiono nas królewskim dzieciom. Miałaś wtedy chyba dwa latka, ale uważałem, że nosisz się godnie”...

– Rozumiem – powiedziała powoli. – Dziękuję, mistrzu Whaler. Muszę się... zastanowić.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość. Jednak sugeruję szybką decyzję, inaczej sytuacja może się zmienić.

– Na pewno uważasz, że to podstęp – powiedziała Raesinia do Sothe.

– Prawdę mówiąc, nie sędzę – odrzekła Sothe. Siedziała za stołem, przy którym zwykle królowa jadła kolację z Marcusem.

Raesinia chodziła tam i z powrotem po namiocie.

– Jak to? – zdziwiła się. – Przecież ty we wszystkim wietrzysz podstęp.

– Może to być pułapka, ale w dyplomatycznym sensie – odparła Sothe. – Jednak nie sędzę, żeby Borelgajowie chcieli cię zamordować lub uprowadzić, jeśli to masz na myśli.

– Diuk Orlanko z pewnością chciałby.

– Nie wydaje się, żeby to on w tym momencie podejmował decyzje. – Sothe wzruszyła ramionami. – Zbyt łatwo byłoby wydać Whalera Janusowi, kiedy już wyjawi nam lokalizację miejsca spotkania. Jestem pewna, że Dorsay podejmie jakieś środki ostrożności, ale sądzę, że naprawdę chce negocjować.

– Negocjować ze mną – przypomniała Raesinia. – Nie z Janusem.

– Dorsay powiedział ci, że uważa Janusa za szaleńca – rzekła Sothe. – Nie negocjuje się z wariatami.

Raesinia wydeła usta.

– A jeśli Janus się dowie?

– Jesteś królową – przypomniała Sothe. – Prowadzenie negocjacji z przedstawicielami obcych państw to twój przywilej.

– Może się z tym nie zgodzić, jako dowódca armii w polu, ale to bez znaczenia. Jeśli to zrobię, uzna, że aktywnie działam przeciwko niemu. – Raesinia przeszła parę kroków, odwróciła się i potrząsnęła głową. – I niekoniecznie by się mylił. Czy możemy ryzykować taki rozłam, będąc tak daleko od Vordanu?

– Nie wiem – odpowiedziała Sothe.

Raesinia zerknęła na nią. Jej przyboczna nieczęsto przyznawała, że czegoś nie wie. Niewiadome było dla niej wykalkulowanym ryzykiem, dokładnie zrównoważonym przez dowody.

– Wszystko zależy od Janusa – powiedziała Sothe, zauważywszy spojrzenie królowej. – A obserwowałam go dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że go nie rozumiem. Większość ludzi tak naprawdę nie jest strasznie skomplikowana. Pragną władzy, wygód lub seksu i różni ich tylko sposób, w jaki realizują

te pragnienia.

– Czy tego nauczył cię diuk Orlanko?

– To pierwsze, czego nauczyliśmy się w Konkordacie. Odkryj czyjeś najskrytsze pragnienie, a będziesz miał dźwignię, która zapewni ci kontrolę nad tym człowiekiem. Tymczasem Janus... – Sothe pokręciła głową. – On gromadzi władzę równie swobodnie, jak oddycha, ale zdaje się nie pragnąć jej dla niej samej. Wydaje się, że nie ma żadnych nałogów, żadnych bliskich związków, żadnej wielkiej sprawy czy ideologii. A jednak wspiał się niezwykle wysoko, wiele przy tym ryzykując. Po co?

– Powiedział mi, że robi to wszystko dla mnie – rzekła Raesinia.

– Ponieważ mój ojciec go o to prosił.

– Wierzysz w to?

– Nie. – Raesinia pokręciła głową. – Janus najwyraźniej zaczął gromadzić wiedzę o nadprzyrodzonych zjawiskach, zanim się dowiedział o moich kłopotach, inaczej dlaczego mój ojciec w ogóle by się z nim kontaktował? Musi chodzić o coś innego.

– Tak więc doszliśmy do sedna sprawy – stwierdziła Sothe. – Robienie czegoś za jego plecami jest związane z ryzykiem. Czy warto je podjąć, zależy od tego, co on twoim zdaniem uczyni, jeśli tego nie zrobisz.

Raesinia na moment zamknęła oczy.

„Strzeż się Vhalnicha”, powiedział Stalowy Duch. „On ma własne plany”. Tylko jakie? I czy od samego początku? Czy pomaganie mi było tylko pretekstem, żeby popłynąć do Khandaru i zdobyć Tysiąc Imion, w celu... jakim?

„Królowa kurew”. Przez chwilę znów była w namiocie z Lidią, której krew kapłała na stojący między nimi stół. „Usypimy górę

z waszych heretyckich zwłok...”

Otworzyła oczy i wypuściła powietrze z płuc.

– Powiedz Whalerowi, żeby zorganizował to spotkanie.

Najtrudniejszą rzeczą było wydostać się z obozu niepostrzeżenie. Jak zwykle, Sothe znalazła sposób. Mimo że za armią podążali partyzanci, wciąż trwał potajemny handel z miejscową ludnością i wieśniacy dostarczali żołnierzom trunki, tytoń, a czasem dziewczyny w konwojach z dostawami, które bez przerwy ciągnęły drogą z Vantzolku. Ci wieśniacy wracali na pustych wozach, a przemykający oko na ten proceder wartownicy okazywali zainteresowanie tylko wtedy, jeśli wyjeżdżających było mniej niż wjeżdżających do obozu.

Raesinii i Sothe, ubranym w nierzucające się w oczy podrózne stroje i peleryny z kapturami, towarzyszyły tylko Barely i Joanna. Sothe niechętnie przyznała, że tym dwom z Pierwszego Dziewczęcego zapewne można ufać, a ponadto bardzo trudno byłoby wymknąć się spod ich czujnej opieki. Jednej z pozostałych w obozie służących kazano mówić wszystkim pytającym, że królowa jest chora i odpoczywa w swoim powozie.

Poprzedniego dnia armia przekroczyła Norilię, przechodząc po brzydkim, lecz funkcjonalnym moście, po jednodniowym odpoczynku na południowym brzegu rzeki. Tak wielka kolumna przechodziła po wąskim moście przez większość dnia, pozostawiając niewielki garnizon mający zabezpieczać linię dostaw z Vantzolku i na południe, a wozy, turkocząc i skrzypiąc, przejeżdżały przy świetle pochodni aż do późnej nocy. Rankiem następnego dnia, gdy zaczęto rozbijać obóz, Raesinia ze swoją

świtą wykorzystała zamieszanie, żeby spotkać się z Whalerem, wymknąć się z obozu i pojechać drogą biegnącą wzdłuż rzeki na zachód.

– Dziękuję za okazane zaufanie, Wasza Królewska Mość – rzekł Whaler. – Diuk będzie bardzo zadowolony.

Sothe spojrzała nań gniewnie. Teraz, gdy Raesinia podjęła już decyzję, Sothe znów okazywała swoją paranoiczną podejrzliwość i jechała na przedzie, jakby w każdej chwili spodziewała się zasadzki. Miała dwa pistolety i długi nóż oprócz broni, którą chowała pod płaszczem. Barely i Joanna również włożyły cywilne ciuchy, ale obie miały swoje muszkiety.

– Mogę spytać, dokąd jedziemy? – zagadnęła Raesinia.

– Oczywiście. Do małej rybackiej wioski zwanej Lyzk, jakieś dziesięć mil w górę rzeki. Diuk przybędzie tam łodzią.

Nieźle pomyślane, przyznała w duchu Raesinia. Gdyby to była pułapka, to ktoś z łatwością mógł wysłać Dorsayowi umówiony sygnał i diuk po prostu przybiłby do drugiego brzegu rzeki. Zakładając, rzecz jasna, że ta pułapka nie byłaby zastawiona przez niego.

Jechali w milczeniu. Zanim Lyzk pojawił się w polu widzenia, słońce stało już wysoko i Raesinii zaczynało być gorąco w długim płaszczu, a dzień zapowiadał się naprawdę skwarny, Wioska była jeszcze mniejsza niż Tsivny, bez ułatwiającego przeprawę mostu; zaledwie grupka chat i przystań z kilkoma przycumowanymi do niej starymi łodziami. Nie wyglądało to na odpowiednie miejsce na zasadzkę, lecz Raesinia pomimo to zatrzymała się z Whalerem, natomiast Sothe, Barely i Joanna pojechały naprzód, żeby to sprawdzić. Po kilkuminutowych poszukiwaniach zameldowały, że

wioska jest opuszczona, a wieśniacy niewątpliwie uciekli na wieść o zbliżaniu się vordanajskiej armii.

– Jeśli to cię zadowala, to powinienem dać znać diukowi, że może tu przy płynąć – rzekł Whaler.

Sothe założyła ręce na piersi i kiwnęła głową, chociaż z niezadowoloną miną. Whaler zapalił pochodnię i zatoczył nią kilka kręgów nad głową, dopóki nie dostrzegł reakcji na drugim brzegu rzeki. Wtedy zgasił pochodnię i uśmiechnął się do Raesinii.

– Nie powinniśmy długo czekać – oznajmił.

– Dziękuję – powiedziała Raesinia i przechyliła głowę na bok. – Tak z ciekawości, jak dobrze znasz Dorsaya?

– Nie śmiałym twierdzić, że go znam – odparł Whaler. – Jednak służę jego wysokości od ponad dziesięciu lat. Dlatego wybrał mnie do tego zadania.

– Nie wiem, czy nadażam.

– Był pewny mojej lojalności. – Whaler zmarszczył brwi. – Ostatnio na dworze... co do zbyt wielu osób nie można być tego pewnym. Nie zamierzam twierdzić, że rozumiem, z jakiego powodu, lecz wasz diuk Orlanko ma tam spore wpływy. Księżę nie chciał powierzać tak delikatnej misji komuś, kto mógłby ulec pokusie.

– Rozumiem.

Łódź, sunąc po rzece jak owad, zbliżała się popychana dwiema parami wiosel. Raesinia wycofała się bliżej zabudowań, gdyż szopy i nabrzeże za bardzo cuchnęły patroszonymi tam przez lata rybami. Kiedy łódź przybiła do brzegu, ze zdziwieniem zobaczyła, że Dorsayowi towarzyszy tylko dwóch żołnierzy, którzy zostali tam, gdy Whaler poprowadził go do wioski. Raesinia pokazała

Sothe i żołnierzom z Pierwszego Dziewczęcego, żeby oddaliły się o kilka kroków.

– Wasza Królewska Mość – przywitał ją Dorsay, kłaniając się. Wyglądał niemal tak samo jak wtedy, kiedy widzieli się ostatnio, chociaż teraz był w polowym borelgajskim mundurze, a nie w galowym, który miał na sobie podczas konferencji. Raesinia odpowiedziała ukłonem, mając nieprzyjemną świadomość, że nie wygląda na królową w brudnym płaszczu i spodniach. – Zaszczyciłaś mnie swoim zaufaniem.

– Wzajemnie, diuku Dorsay – odrzekła. – Jestem bardzo ciekawa, co masz mi do powiedzenia i dlaczego jest takie ważne, żeby pierwszy konsul się o tym nie dowiedział.

– Muszę przyznać, że pomyliłem się w ocenie tego człowieka, kiedy spotkaliśmy się ostatnio – odparł Dorsay. – Podejrzywałem, że jego zwycięstwa nad Hamveltajczykami są wynikiem szczęścia lub braku kompetencji ze strony nieprzyjaciela. Nie muszę mówić, że odkryłem, iż jest dokładnie tak groźny, jak o nim mówią.

– Mogłam ci to powiedzieć – rzekła z lekkim uśmiechem Raesinia.

– Myślałem, że jego groźby pod adresem Elizjum to pobrzękiwanie szabelką – ciągnął Dorsay. – Żądania mające niechybnie zapobiec zakończeniu wojny, ponieważ wiedział, że Murnskajczycy nie będą mogli ich zaakceptować. Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy zaniechał pościgu za moją armią po Gilphaite i ruszył na północ Drogą Pielgrzyma. – Dorsay potarł swój sławetny nos i pokręcił głową. – On naprawdę zamierza to zrobić, czyż nie? Zaatakować Elizjum.

– Jeśli zaprosiłeś mnie tutaj, żeby spróbować poznać szczegóły

planów Janusa, diuku Dorsay, to obawiam się, że będziesz rozczarowany – ostrzegła Raesinia. – Jednak niewątpliwie zdaje się mieć taki zamiar.

– Nie sędę, żebyś mogła mi wyjaśnić dlaczego...

To trudniejsze pytanie, niż przypuszczasz, odparła w myśli.

– Podał swoje powody podczas konferencji – powiedziała na głos.

– To Kościół doprowadził do wojny z Vordanem.

– Przecież nie może sądzić, że zdobywając Elizjum, zniszczy Kościół Zaprzysiężenia, tak jak zdobycie pałacu Ohnlei nie zniszczyłoby Vordanu. Nie wierzę, żeby był taki naiwny.

– Nie zamierzam udawać, że wiem, w co Janus wierzy, a w co nie – powiedziała Raesinia.

– A ty w to wierzysz?

Raesinia zachowała kamienną twarz.

– Czy te spekulacje do czegoś zmierzają?

– Tylko do tego, że jeśli Janusowi się powiedzie i zajmie Elizjum, rezultatem tego będzie katastrofa o takiej skali, że dotychczasowa wojna będzie przy niej wyglądała jak letni festyn.

Raesinia nadal miała nieprzeniknioną minę.

– Nie w jakimś teologicznym sensie, jak sędę.

Dorsay prychnął.

– Zapewniam cię, że nie będzie trzeba cudów.

– Zatem dlaczego tak twierdzisz?

Zamilkł na moment.

– Ile miałaś lat, dziesięć, gdy wybuchła Wojna Książąt?

– Wystarczająco, żeby pamiętać – odparła Raesinia, pozwalając, by w jej głosie zabrzmiała nuta urazy.

Dorsay złagodniał.

– Wybacz mi. Nie chciałem przywoływać złych wspomnień. Chodziło mi o to, że Wojna Książąt jest jedyną wojną, którą pamiętasz.

– Tak sędzę.

– Ja mam sześćdziesiąt siedem lat – rzekł Dorsay. – Widziałem więcej wojen, niż jestem w stanie pamiętać. Na przykład wojnę o Srebrną Grań, mniej więcej tutaj. Wojnę sześcioletnią na wschodzie. Wojnę bankową, podczas której byłem oblegany w Antovie, którą Janus zdobył z taką łatwością. I tak dalej.

– Znam twoją reputację.

– Czy wiedziałaś, że wszyscy moi krewni to żołnierze? To swego rodzaju rodzinna tradycja, chociaż ja zaszedłem dalej niż którykolwiek z moich przodków. Mój ojciec zginął młodo, gdzieś na polu bitwy, a mnie wychowywał głównie dziadek. On też walczył z Vordanem, w czasach Farusa Czwartego.

– Diuku Dorsay. – Raesinia się zniecierpliwiła. – Historia twojej rodziny jest fascynująca, ale nie sędzę, żebyś zaprosił mnie tutaj na rozmowę o twoim dzieciństwie.

Dorsay zachichotał.

– Przepraszam. Im jestem starszy, tym bardziej błędę myślami. Zatem do rzeczy. Przez te wszystkie lata wojowania nie widziałem niczego nawet w połowie tak paskudnego jak to, co dziadek opowiadał mi o wojnie w jego czasach, a z tego, co czytałem, wynika, że wcale nie przesadzał. Żyjemy w łagodniejszych czasach i nasze wojny są bardziej... cywilizowane. Są pewne zasady. – Machnięciem ręki wskazał na opuszczoną wioskę. – Gdy kompania mojego dziadka wchodziła do takiej wioski

jak ta, rozstrzeliwali wszystkich mężczyzn, gwałcili kobiety, a potem zabierali najładniejsze z nich i niektóre starsze dzieci do obozu. Wszystkich innych nabijali na drewniane pale, w dwóch rzędach wzdłuż drogi. Niemowlęta, starców. Jako ostrzeżenie dla tych, którzy przyjdą później. Potem rabowali wszystko, co zdołali unieść, i podpalali resztę. I żaden z nich nie miał poczucia winy, ponieważ wiedzieli, że gdzieś tam wróg robi to samo w jednej z ich wiosek. Wojna Religii była jednym z najmroczniejszych okresów na tym kontynencie od Upadku Tyranów. I zakończyła się tylko dlatego, że królowie i kapłani po cichu uzgodnili, że zostawią się nawzajem w spokoju. Weźmy Wojnę Książąt. Zwyciężyliśmy, wy przegraliście, ale nikt w Borelu nie proponował nawracania Vordanu przemocą na wiarę Kościoła Zaprzysiężenia. Gdybyście wy zwyciężyli, twój ojciec postąpiłby tak samo. Trochę zagarniętych terenów, kilka restrykcyjnych traktatów handlowych, tego rodzaju rzeczy. Cywilizowana wojna.

Dla tych, którzy przeżyli, pomyślała Raesinia. Nie dla mojego brata i wszystkich innych, których pochowano w płytkich grobach. A na głos powiedziała:

– Wielka Armia traktuje Murnskajczyków w cywilizowany sposób.

– Dotychczas. Jeśli jednak Janus zdobędzie Elizjum... jeśli naprawdę chce zniszczyć Kościół Zaprzysiężenia... wszystko się zmieni. Powrócą czasy Wielkiej Schizmy i nie skończą się, aż pół kontynentu spłynie krwią. Cały Murnsk stanie przeciwko wam. Nie na polach bitew, ale po nocach, aż zaczniecie robić to wszystko, co robił mój dziadek. – Dorsay potrząsnął głową. – Rzecz w tym, że cywilizowana wojna kończy się, kiedy król mówi, że już dość.

Jednak gdy jeden naród powstaje przeciwko drugiemu, nie ma nikogo, kto mógłby to zakończyć.

„Góra trupów”. Raesinia znów usłyszała kapanie kropel krwi na blat stołu i wyzywające okrzyki murnskajskiej kobiety. Będą atakować nas przez całą drogę do Elizjum, pomyślała.

– A co ty byś zrobił?

– Ja osobiście? Nie mam pojęcia. Borel jednak stanie przeciwko wam. Georg nie będzie miał wyjścia.

– Bardzo zaangażowałeś się w tę sprawę – zauważyła Raesinia.

– Możesz mnie nazwać idealistą – odrzekł sucho Dorsay – ale nie można do tego dopuścić. Rozumiesz? Janus nie może zniszczyć Elizjum.

Zapadła długa cisza. Raesinia z wyuczoną, nieprzeniknioną miną spoglądała na opuszczoną wioskę i przepływającą dalej rzekę.

– Czy nie jest na to za późno? – powiedziała, wskazując na opustoszałe budynki. – Kapłani Zaprzysiężenia mówią wieśniakom, że przyszedłszy zabrac ich dusze.

– Mam nadzieję, że nie jest za późno. Mówiąc brutalnie szczerze, ani Georg, ani imperator nie będą się przejmować grupką rozgniewanych wieśniaków. Jednak upadek Elizjum wywołałby gwałtowną reakcję każdego Kościoła Zaprzysiężenia na świecie.

Raesinia nabrał tchu.

– Założmy przez chwilę, że masz rację. Co twoim zdaniem powinnam zrobić?

– Powiedziałem ci to w Talbonn.

– Żebym odłożyła miecz. – Raesinia skrzyżowała ręce na piersi.

– W zamian za niejasną obietnicę rozpoczęcia rokowań i wydanie poszukiwanego przestępcy?

Dorsay miał poważną minę.

– Mogę zaproponować coś więcej. Georg skontaktował się ze mną. Jeśli Janus odejdzie z waszego rządu, jest gotowy zagwarantować pokój z zachowaniem obecnego stanu rzeczy. – Niedbale machnął ręką. – Oczywiście możecie sobie też wziąć Orlankę.

Raesinia spojrzała diukowi w oczy i zobaczyła, że ich nie spuścił. Mówi serio, skonstatowała.

– A co z Murnskajczykami? – spytała ostrożnie. – Rozmawiając teoretycznie.

– Nie możemy, rzecz jasna, niczego gwarantować w imieniu ich cesarza. Jednak Georg wykorzysta wszystkie swoje wpływy. – Dorsay nachylił się do niej. – Tylko że trzeba działać szybko. Im bliżej jesteście Elizjum, tym większe wpływy ma Kościół, a z nim Orlanko, w Viadre. Możemy stracić okazję do zawarcia pokoju.

Pokój. Może z Borelgajami i cesarzem, ale nigdy z Kapłanami Czerni. Oni przyjdą po mnie wcześniej czy później, cokolwiek zrobię. Jednak...

Dreńczyło ją wspomnienie rozmowy w namiocie. Byłoby łatwiej odrzucić propozycję Dorsaya, gdyby osobiście nie zobaczyła, do jakich szaleńczych czynów może nakłonić ludzi Kościół. Jeśli weźmiemy Elizjum...

Wyobraziła sobie tysiąc takich kobiet jak Lidiya, rzucających się pod grad kul. Tysiąc płonących wiosek. Górę zwłok.

Nie mogę tego zrobić. Czuła, że ziemia rozstępuje się jej pod nogami. Kapłani Czerni przyjdą po mnie. Jednak zdobycie Elizjum oznacza wojnę dla całego Vordanu, i to taką, której nie możemy wygrać.

Muszę powstrzymać Janusa, zdecydowała.

Zamrugła, rozchyliła drżące wargi i zrobiła głęboki wdech. Jeśli Dorsay zauważył jej stan, to nie dał tego po sobie poznać.

– Trudno byłoby wyjaśnić wojsku, dlaczego chcę zawrzeć pokój, gdy wszystko wskazuje na to, że zwyciężamy – powiedziała spokojnie. – Nie mówiąc o Zjeździe Generalnym.

– Jestem całkowicie pewny, że potrafisz sobie poradzić ze Zjazdem Generalnym. Co do armii zaś... – Dorsay przechylił głowę. – Gdybyś kazała Janusowi ją zatrzymać, myślisz, że by nie usłuchał?

– To możliwe – rzekła Raesinia. – Ta jego chęć dotarcia do Elizjum graniczy z obsesją.

– A gdyby odmówił, za kim poszłaby armia? Za królową czy pierwszym konsulem?

To najważniejsze pytanie, czyż nie? Jedyne, które naprawdę miało znaczenie. W końcu wszystko sprowadza się do tego, kto dzierży władzę.

– Nie chcę zmuszać żołnierzy do dokonywania wyboru – powiedziała Raesinia. – Gdyby do tego doszło, armia mogłaby się podzielić. Tu, w głębi nieprzyjacielskiego terytorium, byłaby to katastrofa dla Vordanu.

– Zatem dopóki Janus jest pierwszym konsulem, nigdy nie będziemy mieli pokoju. – Dorsay zmrużył oczy. – Gdyby dało się go usunąć...

Mógł mieć na myśli tylko jedno.

– Nie! – warknęła Raesinia. – Nie jestem Orlanką. Nie rozwiązuję moich problemów sztyletem.

Dorsay skinął głową, a Raesinia zadała sobie pytanie, czy była

to próba i czy ją przeszła.

– Tak więc znaleźliśmy się w impasie. Jeśli masz jakieś pomysły, jestem gotowy ich wysłuchać.

Znów chwila milczenia. Raesinia spojrzała przez ramię w dal, na obóz Wielkiej Armii. Gdzieś na północy, za horyzontem, były murnskajskie wojska.

– Generał kolumny Marcus uczył mnie strategii – powiedziała.
– Wkrótce dojdzie do następnej bitwy.

– Wydaje się to możliwe – przyznał Dorsay. – Ani Janus, ani cesarz nie są skłonni unikać walki.

– Jeśli ją przegramy, kwestia zajęcia Elizjum będzie nieaktualna – powiedziała Raesinia. – Będziemy musieli wycofać się do granicy.

– Zakładając... no cóż, wiele różnych rzeczy, ale rozumiem, co chcesz powiedzieć. Muszę jednak przypomnieć, że Janus jeszcze nie został zdecydowanie pokonany w żadnej bitwie.

Raesinia skinęła głową.

– Jeśli zwyciężymy, to nastroje w armii mogą się zmienić. Gdybym wtedy spotkała się z przedstawicielami imperatora i podpisała pokój korzystny dla Vordanu, może oddający nam jakieś tereny...

– Rozumiem. – Dorsay uśmiechnął się. – Janusowi może być trudniej nalegać na kontynuowanie wojny, jeśli imperator zaproponuje korzystną ugodę.

– Właśnie. A jeśli nie zechce się wycofać, to zwolnienie go z zajmowanego stanowiska może stać się politycznie możliwe.

– Wiele stawiasz na to, że cesarz będzie się chciał poddać po jednej bitwie.

– Nie tylko ty studiowałeś osiągnięcia Janusa.

– Ha. – Dorsay westchnął i przygładził rękami gęszcz włosów na potylicy. – W każdym razie jest to jakaś szansa. W porządku. Z mojej strony... Będziemy obserwować tę bitwę... w której i tak nie zdołamy wziąć udziału... i jeśli sprawy potoczą się tak, jak tego oczekujesz, przyślę do ciebie Whalera.

– Dobrze. – Raesinia zamilkła, a potem dodała. – Cieszę się, że postanowiłam ci zaufać, diuku Dorsay.

– Ja również. – Dorsay zawahał się, zmagając się z czymś. Po chwili rzekł: – Wiesz, ja nigdy nie chciałem śmierci twojego brata.

Raesinia zamrugła.

– Co takiego?

– Pod Vansfeldt. Georg był wówczas nieco zapalczywy, ale ja szanowałem księcia Dominica. Unikałem otwartej bitwy, ponieważ wiedziałem, że nie będzie decydująca. Kiedy zająłem obronną pozycję pod Vansfeldt, sądziłem, że Dominic zrozumie, że jest nie do zdobycia. Sądziłem, że jeśli zdołamy uniknąć decydującego rozstrzygnięcia na polu bitwy do czasu, aż wojska udadzą się na zimowe kwatery, to twój ojciec zrozumie bezsens kontynuowania tej wojny. – Westchnął. – Jednak Dominic doszedł do wniosku, że sam musi poprowadzić ostatnią szarżę. Potem zawsze myślałem o tobie. Myślałem, że jeśli kiedyś znów cię spotkam, to powiem... Sam nie wiem. Chyba to.

Raesinia spoglądała na niego w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć. Dorsay lekko się zarumienił, a jego wydatny nos poczerwieniał.

– W każdym razie – rzekł – lepiej wróć, zanim zauważą moją nieobecność. Mam nadzieję, że znów się spotkamy, tylko

w przyjemniejszych okolicznościach.

Odwrócił się, zanim Raesinia zdążyła odpowiedzieć, i lekko zgarbiony pomaszerował z powrotem przez opustoszałą wioskę. Patrzyła za nim przez chwilę, po czym wróciła do Sothe oraz dwóch kobiet z Pierwszego Dziewczęcego.

– Przynajmniej najwyraźniej nie była to pułapka – zauważyła Sothe, zerkając na odchodzącego Borelgaja.

– Nie – powiedziała Raesinia. – Niezupełnie.

– O co prosił?

– To... skomplikowane. Wyjaśnię ci później.

Sothe zauważyła wyraz twarzy królowej, kiwnęła głową i poszła po konie. Raesinia spojrzała na Barely i Joannę.

– Co byście zrobiły – powiedziała nagle – gdyby Janus powiedział wam jedno, a ja coś innego? Komu uwierzyłybyście?

Barely zmarszczyła brwi.

– Nie wyobrażam sobie, żeby to mogło się zdarzyć, Wasza Królewska Mość.

Raesinia oklapła.

– Przepraszam. To głupie pytanie.

Oczywiście nie powiedzą mi prosto w oczy, że posłuchałyby Janusa.

Joanna klepnęła Barely w ramię i wykonała kilka szybkich ruchów rękami. Barely spojrzała na Raesinię i wzruszyła ramionami.

– Ona pyta, co powiedziałby o tym generał dywizji Ihernglass – rzekła Barely. – To pod jego rozkazy się zaciągnęliśmy. – Podrapała się po nosie. – Chyba ma rację. Nie obrażając pierwszego

konsula, oczywiście.

– Oczywiście – mruknęła Raesinia, gdy Sothe wracała z wierzchowcami. Może...

Osiem Marcus

O d dwóch dni nie pojawił się żaden goniec od królowej z zaproszeniem na kolację i Marcus odkrył, że jest bardziej rozczarowany, niż się spodziewał. Oczywiście bezsprzecznie mógł spędzić ten czas gdzie indziej. Po całych dniach jeździł z miejsca na miejsce, godząc zwaśnionych oficerów i rozładowując korki na drodze. Jednak kolacja u królowej była miłym wytchnieniem, gdyż tam tylko najodważniejsi kurierzy ośmielali się go niepokoić.

Ponadto, szeptał zdradziecki głos w jego podświadomości, ona jest ładna. Co za śmieszna myśl – przecież to królowa Vordanu, na litość boską – która jednak przypomniała mu, że od dawna nie cieszył się towarzystwem żadnej kobiety. Było kilka dziewczyn w Ashe-Katarionie, a potem Jen Alhundt, agentka Konkordatu i Przekłeta Penitentka, która z rozmysłem uwiodła go, żeby zdobyć potrzebne jej informacje. A po jej śmierci, czyli jakby wieki temu, był... zajęty.

Następną rzeką była Syzria, którą Droga Pielgrzyma przecinała w mieście zwanym Polkhaiz. Plotka głosiła, że cesarska armia jest blisko, aczkolwiek zwiadowcy Piekielnika jeszcze jej nie napotkali. Po trzech dniach prowadzenia kolumny przez lasy i mokradła Marcus pogodził się z myślą o kolejnym samotnym posiłku, kiedy

pojawił się kurier. Jednak nie z zaproszeniem do namiotu królowej, lecz do pierwszego konsula, więc Marcus pospiesznie przełknął trochę chleba, popił wodą, narzucił płaszcz i poszedł za kapralem.

Na razie nieźle, pomyślał z satysfakcją, gdy mijali rzędy namiotów i uwiązanych koni. Nieco dalej porykiwało bydło i stały w równym rzędzie bombardy. System dostaw działa. Po tych kiepskich drogach wozy mogły się poruszać z niewielką prędkością, ale równoważono to ogromną liczbą pojazdów, w długich konwojach przewożących dostawy na północ od Vantzolku, gdzie je rozładowywano, żeby wróciły i znów odbyły tę podróż. Borelgajska armia również nie sprawiała kłopotów, najwyraźniej zadowolając się czekaniem gdzieś na zachodzie, a choć ataki partyzantów stały się irytujące, patrole utrzymywały straty w dopuszczalnych granicach. Gdyby ktoś na początku powiedział mi, że wejdziemy tak daleko i sprawnie w głąb Murnska, nie uwierzyłbym.

Kolonialni pilnujący namiotu Janusa w milczeniu zasalutowali i przepuścili Marcusa. Był zdziwiony, zastając wielki stół pusty, a za nim tylko pierwszego konsula. A zatem nie jest to narada wszystkich dowódców, przemknęło mu przez myśl.

– Pierwszy konsulu – rzekł Marcus, oddając mu honory. – Proszę wybaczyć, że kazałem panu czekać.

Janus zbył to machnięciem ręki i wskazał mu krzesło po drugiej stronie stołu.

– Przepraszam, że przerwałem ci kolację – rzekł. – Obawiam się, że jest wiele do zrobienia.

– Co się dzieje?

– Generał dywizji Stokes melduje, że nawiązał kontakt z murnskajskimi patrolami – odparł Janus. – Jeszcze nie

podeszliśmy dostatecznie blisko, żeby zobaczyć ich główne siły, ale one niewątpliwie są tam. – Wskazał na mapie Polkhaiz, zwykły punkcik przy krętej niebieskiej linii Syzrii. – Nad rzeką lub na południe od niej, stoją pomiędzy nami a Elizjum.

– Mam nadzieję, że nie za daleko na południu – powiedział Marcus, zerkając na mapę. – Chciałbym wyjść z tego przekłętego lasu, zanim podejmiemy walkę.

– Nie odejdą daleko od rzeki – zawyrokował Janus. – Nasz wywiad donosi, że dowodzi nimi księżę Vasil, najstarszy syn cesarza. Podobno jest pobożny do przesady, ale nie głupi. Wie, że musimy do niego przyjść... nie tylko dlatego, że nie zdołamy w nieskończoność zaopatrywać się konwojami, ale także nie możemy ryzykować unieruchomienia tutaj przez zmianę pogody.

– W porządku. A zatem atakujemy?

– Oczywiście. Jednak nie frontalnie, jeśli można tego uniknąć. Nawet gdybyśmy przewagą liczebną zmusili Murnskajczyków do odwrotu, mogliby się wycofać i spróbować znowu, powtarzając to wielokrotnie i za każdym razem zbierając krwawe żniwo. W przeciwieństwie do borelgajskiej, murnskajska jazda jest liczna i sprawna, tak więc nie zdołamy ich wciągnąć w pułapkę. Trzeba będzie zrobić to inaczej.

Marcus skinął głową.

– Jak?

– Księżę Vasil jest w niewygodnej sytuacji – odparł Janus. Przesunął palcem po Drodze Pielgrzyma, na północny wschód, w kierunku Elizjum. – Ma powstrzymać nasz marsz w tym kierunku, do Elizjum i Mokhby. Jednak tamtejsze drogi są zbyt kiepskie, żeby zapewnić dostawy jego armii, zważywszy na

przestarzały system murnskajskiego zaopatrzenia. Tak więc polega na dostawach rzeką. – Przeniósł palec wskazujący na zachód, wzdłuż płynącej ku wybrzeżu Syzrii. – Wodny transport jest pewniejszy, a borelgajska flota kontroluje ujście rzeki. Tak więc musimy zaatakować rzekę.

Postukał palcem w inny punkt na mapie. Marcus pochylił się i odczytał nazwę – Bskor.

– Murnskajczycy zawsze obawiali się inwazji od strony morza – powiedział Janus. – Mają forty nad każdą z rzek, tak daleko na wschód, jak mogą dopłynąć jednostki o głębokim zanurzeniu. Bskor jest ostatnim ważnym punktem obrony nad Syzrią.

– Czy to twierdza?

– Obecnie słabo strzeżona. Jej głównym atutem jest nabrzeżna bateria ciężkich dział, która skutecznie może zamknąć rzekę dla wszystkich jednostek mniejszych od okrętu liniowego. Od strony lądu obrona nie jest tak silna. Ponadto dowiedzieliśmy się, że jest to główny punkt przeładunkowy murnskajskich dostaw, tak więc tamtejsze magazyny powinny być pełne. – Janus oderwał wzrok od mapy i uśmiechnął się. – Zdobędziesz je dla nas.

– Hm – mruknął Marcus. – Twierdza może jest słabo broniona teraz, ale jeśli ruszymy w jej kierunku, czy Murnskajczycy jej nie wzmocnią? Książę może przejść ze swoją armią wzdłuż rzeki szybciej, niż my tam dotrzemy.

– Istotnie. Główna część Wielkiej Armii będzie kontynuować marsz na północny wschód, grożąc atakiem na siły księcia. To powinno zatrzymać Murnskajczyków na linii obrony, którą tam przygotowali. Tymczasem ty poprowadzisz pierwszą dywizję Fitz Warusa na północny zachód, zajmiesz Bskor i okopiesz się tam.

Kiedy otrzymamy wiadomość, że to ci się udało, chwilowo wstrzymamy nasze konwoje z dostawami i ruszymy do was. Zapasy w magazynach i na murnskajskich barkach, które przejmemy na rzece, powinny nam wystarczyć, ale Murnskajczycy szybko zaczną głodować.

– Sądzi pan, że się wycofają?

– To możliwe. Mogliby utworzyć nową linię dostaw wykorzystującą Kovrię albo pomaszerować w górę rzeki i spróbować nas obejść. To jednak zajęłoby sporo czasu, a oni go nie mają. Pamiętaj, ich armia nie jest ochotnicza, w przeciwieństwie do naszej. Składa się z poborowych, niewiele różniących się od feudalnych lenników. Jeśli zabraknie im żywności, zaczną dezertować i jestem pewny, że księżę zdaje sobie z tego sprawę.

– Co oznacza, że zaatakuje – powiedział Marcus.

– Nie będzie miał wyjścia – potwierdził Janus. – I wiedząc o tym, możemy wykorzystać to w taki sposób, żeby uzyskać przewagę. Oczywiście to moje zadanie. Od ciebie oczekuję tylko zajęcia Bskoru i odcięcia dostaw drogą wodną.

Marcus poczuł dreszczyk podniecenia.

– Rozumiem, pierwszy konsulu. Kiedy się rozdzielimy?

– Jutro. Kawaleria znalazła... no cóż, „droga” mogłoby być przesadnym określeniem, ale doprowadzi twoich ludzi tam, gdzie mają dojść. Oprócz pierwszej dywizji dostaniesz silny oddział lekkiej jazdy.

– Tak jest, pierwszy konsulu.

– Chcę ci coś uzmysłwić, Marcusie. – Janus ponownie postukał palcem w mapę. – Bskor musi paść szybko. Nie ma czasu na oblężenie. Gdyby to trwało zbyt długo, cała ta akcja okazałaby się

gorzej niż zbyteczna, a wy mielibyście na karku całą murnskajską armię. Zabierzecie prowiant i nie będziecie się zatrzymywać po drodze. Jeśli ludzie będą głodni, powiesz im, że żywność jest w nieprzyjacielskich magazynach. Żadnych wypadów aprowizacyjnych ani niczego, co mogłoby spowolnić wasz marsz. Czy to jasne?

– Całkowicie, pierwszy konsulu.

– Fitz otrzyma rozkazy jutro rano. Do tego czasu nie mów o tym nikomu prócz swoich oficerów. Murnskajczycy w końcu was zauważą, ale im później, tym lepiej. Szczegóły możesz dopracować z Fitzem po drodze.

– Tak jest, pierwszy konsulu. Nie zawieziemy pana.

Janus znów się uśmiechnął.

– Ty nigdy mnie nie zawodzisz, Marcusie. A kolonialni to nasze najlepsze oddziały. Jestem pewny, że nie będziecie mieli żadnych problemów.

Andy czekała na niego, gdy Marcus wrócił do swojego namiotu.

– Dobry wieczór, generale – powiedziała, jak zwykle niedbale salutując. – Był posłaniec od królowej. Chciała się z tobą widzieć.

– Do licha – mruknął Marcus.

– Co się dzieje? Znów jakaś kłótnia pułkowników?

– Rozkazy. – Marcus zniżył głos. – Jutro opuszczamy kolumnę. Przekaż Giforte'owi, że on zostaje ze swoimi ludźmi i ma się wszystkim zająć.

– Kapuję – powiedziała Andy. Już wyglądała na podekscytowaną.

– Z czego się tak cieszysz? Jeszcze nie powiedziałem ci, co mamy zrobić.

– Wszystko będzie lepsze od tego jeżdżenia tam i z powrotem – odrzekła Andy. – Co mam powiedzieć królowej?

– Zapytaj, czy zechce zobaczyć się ze mną rano.

Andy uniosła brew.

– To niegrzecznie kazać damie czekać.

Marcus westchnął.

– Po prostu to zrób, dobrze?

Rano wieści przychodziły jedna po drugiej. Fitz otrzymał rozkazy i przysłał gońca z wiadomością, że pierwsza dywizja pobiera prowiant i do południa będzie gotowa do wymarszu. Marcus pospiesznie zjadł śniadanie i poinformował o wszystkim Giforte'a, podpisując rozkaz upoważniający go do rozstrzygnięcia wszelkich sporów pomiędzy dywizjami, dopóki on nie wróci. I tak pewnie lepiej ode mnie wie, co robić, pomyślał. Kiedy wrócił, drużyna żołnierzy pierwszej dywizji już sprawnie pakowała jego ekwipunek i składała namiot pod nadzorem Andy. Co cięższe rzeczy odkładano na bok. Jeśli mieli podróżować z lekkim obciążeniem, Marcus zamierzał dać swoim ludziom przykład.

– Jakież wieści od królowej? – zapytał, patrząc, jak pracują. Swędziały go ręce, żeby do nich dołączyć, bo nigdy nie przywykł do tego, że wysokie stanowisko uwalnia go od konieczności pomagania przy ciężkich pracach.

– Jeszcze nie – odparła Andy. – Reszta armii wstaje później, więc ona może nie... Nieważne, już idzie.

– Co? – zdziwił się Marcus, lecz Andy już się kłaniała. Odwrócił się i zobaczył stojącą tuż przed nim Raesinię, a za nią dwie

ochraniające ją kobiety z Pierwszego Dziewczęcego. Marcus też złożył swój, nieco spóźniony, ukłon, czując się jak dziecko przyłapano na czymś niewłaściwym.

– Wasza Królewska Mość – powiedział poważnie.

– Generale kolumny d'Ivoire – rzekła Raesinia. – Wiem, że dziś rano jesteś zajęty, ale mógłbyś poświęcić mi chwilę?

– Oczywiście.

Marcus wyprostował się i dał znak Andy, żeby dopilnowała zwijania namiotu. Błysnęła zębami w znaczącym uśmiechu, którego – miał nadzieję – Raesinia nie zauważyła.

Królowa skinęła głową swojej obstawie; kobiety z Pierwszego Dziewczęcego odeszły na bok i stanęły w pewnej odległości od nich dwojga.

– Przepraszam, że przez kilka ostatnich dni nie mogłam jeść z tobą kolacji – powiedziała Raesinia. – Byłam... zajęta.

– Przywilejem Waszej Królewskiej Mości jest jądanie kolacji, z kim chce – odparł Marcus. – Jesteśmy do twoich usług.

Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się przez długą chwilę. Marcus spuścił wzrok zmieszany. Siła jej osobowości sprawiała, że czasem się zapominało, jaka jest maleńka. Wyobraził sobie swoją dłoń na jej policzku, delikatne rysy jej twarzy kontrastujące z jego szeroką i twardą od odcisków dłonią. Zacisnął zęby.

– Zatem opuszczasz nas? – zapytała.

– Mam nadzieję, że na krótko – powiedział Marcus. – Przykro mi, że nie mogę podać żadnych szczegółów.

– Rozumiem. Mam nadzieję, że będziesz ostrożny. Uważam cię za równie cennego dla armii jak pierwszy konsul.

Marcus zarumienił się pod zarostem i znów się skłonił.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość. To dla mnie zaszczyt słyszeć, że tak mówisz, chociaż jestem pewien, że to nieprawda.

– Nie zaprzeczaj słowom królowej – powiedziała Raesinia, z nutą dawnej przekory w głosie. – Po twoim powrocie musimy omówić kilka spraw.

– Oczywiście. Kiedy tylko sobie życzysz.

I znów jakby zastanowiła ją jego odpowiedź. Po chwili potrząsnęła głową i lekko poklepała go po ramieniu.

– Powodzenia, generale.

– Generale! – Chociaż Fitz siedział na koniu, sprężyście zasalutował w sposób, który Marcus tak dobrze pamiętał. Pod gwiazdką generała dywizji lśnił srebrny skorpion oddziałów kolonialnych.

Fitz czekał na poboczu drogi, którą przechodziła długa kolumna pierwszej dywizji. Nieco dalej oficer kawalerii kierował ruchem, wskazując niewielką przerwę w linii drzew prowadzącą do oznaczonego przez zwiadowców szlaku, który odchodził od kolein wąskiej Drogi Pielgrzyma i skręcał na północny zachód. Trzej kapitanowie, których Marcus nie znał, wszyscy młodzi i eleganccy, siedzieli na koniach tuż za Fitzem.

– Witamy w pierwszej dywizji – powiedział generał, gdy Marcus odpowiedział na jego powitanie.

– Dobrze znów z tobą pracować – rzekł Marcus.

– Tak jest, generale. Wzajemnie.

– Nie wiem, czy znasz Andy Dracht. Tylko ją zabieram ze sobą,

tak więc będę polegał głównie na twoich oficerach.

– Miło pana poznać, panie generale – przywitała się Andy.

Fitz skłonił się i skinieniem przywołał swoją świtę.

– To moi oficerowie sztabowi – powiedział. – Kapitan Adlo Ritter, kapitan Mandua Gortei i...

– Viera! – wypaliła Andy. – Wiedziałam, że wyglądasz znajomo.

Viera? Marcus spojrzał na trzecią postać i zobaczył ją z zupełnie innej perspektywy. Ta poważnie wyglądająca kobieta była teraz w mundurze, a czarne włosy miała obcięte na jeża. Kiedy zobaczyła, że ją poznał, kąciki jej ust lekko uniosły się w uśmiechu, natychmiast powstrzymanym.

– Kapitan Viera Galiel – dokończył Fitz. – Którą, jak sądzę, już znacie. Dowodzi naszą artylerią.

– Dowodzi? – rzekł Marcus. – Kiedy ostatnio cię widziałem, jeszcze uczyłaś się u Kaznodziei.

A wcześniej była studentką uniwersytetu w Vordanie i jedną z osób, które Marcus uchronił przed zlinczowaniem przez tłum. Zrobione przez nią bomby i granaty pomogły naprędce zebranej przez Marcusa grupie pokonać miotającą ogniem Penitentkę, Popiół.

– Pułkownik Vahkerson jest bardzo zadowolony z moich postępów – powiedziała Viera. Wciąż mówiła po vordanajsku z bardzo wyraźnym hamveltajskim akcentem. – Przez kilka miesięcy nie wysadziłam się w powietrze, co jego zdaniem czyni mnie najlepszą w klasie.

– To pożądana cecha artylerzysty – rzekł Marcus. – Lub artylerzystki, w tym wypadku. Mnie też miło cię widzieć.

– Dziękuję, generale. – Spojrzała na Fitza. – Za pana

pozwoleniem, generale, chciałabym dopilnować moich ludzi. Na takim terenie najtrudniej jest zawlec te przeklęte armaty na pole bitwy.

– Zezwalam – odparł Fitz. – W istocie, generale, jeśli zechce pan pojechać za mną, to sądzę, że najlepsze dla nas będzie miejsce w pobliżu czoła kolumny, na wypadek gdyby pojawiły się jakieś problemy. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, że pozwoliłem sobie wydać rozkaz wymarszu.

– Oczywiście, że nie – rzekł z uśmiechem Marcus. Chłodna i kojąca efektywność Fitz’a była czymś, czego brakowało mu od Khandaru. – Prowadź.

Zgodnie z oczekiwaniami Marcusa przemarsz został sprawnie zorganizowany. Kawalerzystów na koniach rozstawiono przy wszystkich odgałęzieniach szlaku, żeby kierowali piechotę i wozy we właściwą stronę. Inni jeźdźcy jechali przed kolumną, regularnie wracając z meldunkiem, że nie zauważono wroga. Minęli Vierę i jej działa, dwie baterie sześć- i dwunastofuntówek o mosiężnych lufach sprawiających wrażenie maleńkich przy swych szerokich kołach i ciężkich drewnianych jaszczach z amunicją.

Marcus nie spodziewał się owacji, którymi tu i ówdzie go witano. Dwa z czterech pułków pierwszej dywizji składały się głównie z żołnierzy oddziałów kolonialnych, tych ponad trzech tysięcy weteranów, którzy przeżyli kampanię w Khandarze oraz późniejsze bitwy, a teraz tworzyli połowę z ośmiu batalionów dywizji. Oczywiście uzupełniono je nowymi rekrutami, lecz tylko ci, którzy służyli w Khandarze, mieli prawo do noszenia odznaki ze skorpionem. Marcus nie zawsze ją nosił, ale dzisiaj ją przypiął i na ten widok maszerujące kompanie spontanicznie witały go

owacjami. Pomachał im, lekko zmieszany.

– Można by pomyśleć, że w Khandarze nie robiliśmy nic poza wypoczywaniem i paradowaniem – mruknął po czwartym takim powitaniu.

– Pamięć to dziwna rzecz – zauważył Fitz, który zawsze wszystko słyszał. – Już mówią o walce z Odkupicielami jako o „dawnych dobrych czasach”.

– Ja pamiętam, że przez większość czasu bałem się tak, że niemal sikałem w gacie.

– Jednak zwyciężyliśmy – odparł Fitz. – I to się liczy.

Jego dwaj kapitanowie przez cały dzień jeździli tam i z powrotem, a wróciwszy, składali zwięzłe meldunki w najwyraźniej dobrze wyćwiczony sposób. Im dalej na zachód, tym teren stawał się zdecydowanie trudniejszy, wzgórza wyższe, a porastające je lasy gęstsze. Musieli trzymać się dna dolin, podążając ścieżką wytyczoną przez kawalerię, żeby ominąć najgorsze błota. Tu nie było żadnej drogi, nawet tak kiepskiej, jaką maszerowali dotychczas. Były to naprawdę dzikie ostępy, które już dawno znikły na cywilizowanym południu. Kiedy po pokonaniu jednego wzniesienia widziało się przed sobą następne porośnięte lasem wzgórze, łatwo było zrozumieć, dlaczego Murnsk nigdy nie został podbity.

– Problem z tym krajem polega na tym, że jest tu za dużo ziemi, a za mało ludzi – stwierdził Marcus.

– Farus Czwarty zauważył kiedyś, że Murnsk jest tym, co zostało, gdy wszystkie cywilizowane kraje podzieliły między siebie lepsze części świata – rzekł Fitz. – Oczywiście ponieważ wcześniej stracił tu w zimie znaczną część swojej armii, jego osąd mógł nie

być obiektywny.

Marcus zachichotał.

– Naprawdę mi cię brakowało, wiesz? Szkoda, że jesteś zbyt dobrym oficerem, żeby w nieskończoność trzymać cię przy sobie. Jak ci idzie dowodzenie?

– Tak jak można było oczekiwać – odrzekł Fitz. – Miałem sporo pracy, żeby doprowadzić oddziały do przyzwoitego stanu.

– Masz na myśli to, że twój brat i ja pozwalaliśmy robić kolonialnym, co chcieli?

– Teraz są inne czasy – powiedział Fitz, lekko unosząc brew. – Jednak mamy dwa pułki rewolucyjnych ochotników i reorganizacja mocno dotknęła kolonialnych. Obawiam się, że Janus pozbawił ich większości doświadczonych oficerów i trzeba było wyszkolić nowych sierżantów oraz kapitanów. Na szczęście okres spokoju po kampanii Velt dał nam chwilę wytchnienia.

– To brzmi tak, jakby to były piekielne zmagania – zauważył Marcus.

– Naprawdę niezwykle. – Fitz zerknął z ukosa na generała. – Jeśli cię to interesuje, z przyjemnością szczegółowo ci to opiszę, kiedy rozłożymy obóz.

– Chętnie posłucham – powiedział Marcus.

Wczesnym popołudniem zaczął padać deszcz, zacinający kapuśniaczek gnany wiatrem. Woda sączyła się za kołnierze i do plecaków. Wciąż padało, gdy zaszło słońce, i dywizja z ulgą rozbiła namioty na porośniętym lasem zboczu. Zamiast taborów cały ciężki sprzęt transportowano na grzbietach koni i mułów, tak więc działa i ich jaszczce były jedynymi kołowymi pojazdami, o które musieli się martwić.

Marcus zjadł kolację z Fitzem i jego oficerami, skinieniem głowy powitawszy gromadkę salutujących mu pułkowników i kapitanów, których nazwisk z pewnością nigdy nie zapamięta. Kilku pamiętał z kampanii w Khandarze, choć ich niegdyś opalone twarze przybladły i nie pasowały do eleganckich nowych mundurów. Fitz, jak zawsze, wiedział o każdym wszystko, co istotne. Marcus musiał się powstrzymać, żeby zanadto nie powrócić do dawnej zażyłości ze swoim podkomendnym; traktując Fitz'a jak swojego adiutanta, tylko zniszczyłby jego autorytet u tych ludzi, którymi będzie musiał dowodzić, gdy Marcus wróci do swoich obowiązków generała kolumny. W rezultacie starał się mówić jak najmniej, uważnie słuchając opowieści o kampanii Velt i upadku Antovy.

Jego własny namiot, duży model zarezerwowany dla oficerów, wydawał się o wiele za duży bez stołu, biurka i reszty wyposażenia. Było w nim tylko posłanie, wepchnięte w jeden róg, oraz to, co wiózł w jukach. Marcus usiadł z westchnieniem i zaczął rozsznurowywać buty.

– Generale? – zawołała przed wejścia Andy. – Mogę wejść?

– Wchodź.

Marcus ściągnął jeden but i poruszał palcami. Skarpeta była lekko wilgotna, więc też ją zdjął.

Andy weszła i zasalutowała.

– Chciałam tylko sprawdzić, czy będzie mnie pan jeszcze dziś potrzebował, generale.

– Już idziesz spać? – spytał Marcus. Jej namiocik stał obok jego namiotu.

– Nie, generale. – Andy uśmiechnęła się szeroko. – Kilku

oficerów chce zagrać w karty. Pomyślałam, że spróbuję zasilić trochę mój skarbczyk, generale.

Marcus przewrócił oczami.

– Nie wygraj za dużo od jednego z nich – poradził. – I pamiętaj, że jutro wyruszymy wcześniej.

– Tak jest, panie generale.

Wybiegła w podskokach. Marcus zdjął drugi but, rozłożył swoje posłanie i wyciągnął się na nim.

Omówić kilka spraw. Co Raesinia miała na myśli, mówiąc o sprawach do omówienia? Obrócił się na bok, marszcząc brwi. Mieliśmy mnóstwo czasu, żeby wszystko omówić.

Marsz do Bskoru trwał dzień dłużej, niż Marcus by chciał, ale deszcz wszystko utrudniał. Ustawiał i znów zaczynał padać przez większość czasu, zmieniając grunt w śliskie błoto, które oblepiało wszystko i uciekało spod nóg. Stracili kilka koni, które źle stanęły i połamały nogi, a jedna z sześciofuntówek Viery zapadła się po osie i ani drgnęła, obojętnie ilu ludzi próbowało ją wyciągnąć. Marcus kazał ją zostawić i odrzucił propozycję kapitan, która chciała uwolnić działo z błota za pomocą ładunków prochu.

Tak jak poprzednio, gdy dotarli na odległość kilku dni jazdy od rzeki, pojawiły się ślady cywilizacji. Zwiadowcy meldowali o murnskajskich wieśniakach umykających przed nimi całymi rodzinami i roznoszących po dolinie plotkę, że najeźdźcy wdarli się już na wiele mil w górę rzeki. W ten sposób nieprzyjaciel dowie się o ich obecności, jeśli jeszcze tego nie wiedział, więc Marcus kazał zwiększyć tempo marszu. Nawet polne drogi i ścieżki wydeptane przez zwierzęta były lepsze od brodzenia w błocie dolin i lasów, tak

więc szybko zbliżali się do Syzrii. Rozbili obóz na noc na pastwisku, na którym mięso świń pechowego gospodarza zapewniło pożądaną odmianę w zdominowanym przez suchary menu. Drugiego dnia marszu zobaczyli w oddali Bskor.

Marcus nie był inżynierem, ale zauważył, że twierdza jest dobrze umiejscowiona. Razem z Fitzem siedzieli na koniach na niskim wzgórzu około dwóch mil od niej, patrząc przez lunety. Poniżej leżało miasteczko, które wyrosło po obu stronach nadrzecznej drogi. Kawalek dalej jakiś kaprys górotworu ze zwykle łagodnie opadającego brzegu rzeki stworzył strome urwisko. Stojąca na nim twierdza była pięciobokiem z kamieni i cegieł, o niskich, pochyłych murach mających odbijać kule armatnie, z ambrazurami chroniącymi działa obrońców. Marcus domyślił się, że jej artyleria może ostrzeliwać rzekę i przeciwległy brzeg, szczególnie z ciężkich, lecz potężnych dział okrętowych baterii nabrzeżnej.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

– Nie będzie łatwo – odrzekł Fitz. – Zależy, ilu ludzi tam upchnęli. Jeśli Janus ma rację i obrona jest słaba, może udałoby się wziąć ją nagłym uderzeniem, lecz jeśli nie, to bitwa będzie krwawa. Z drugiej strony, to stara konstrukcja. Nawet nasze działa polowe mogą uszkodzić jej mury... po pewnym czasie.

Marcus skinął głową, wydymając usta. Bskor nie miała wałów ziemnych ani starannie zaplanowanego gwiaździstego kształtu, dzięki którym nowoczesne twierdze były odporne na prawie wszystkie ataki poza ostrzałem z najcięższych dział. Tylko że...

– Nie mamy czasu. Janus to podkreślał. – Spojrzał przez ramię na nadrzeczną drogę wiodącą na wschód, do Polkhaiz

i murnskajskiej armii. – Na pewno już wiedzą, że tu jesteśmy. Nie możemy dać się wziąć w kleszcze między twierdzą i posiłkami, które tu przyślą.

– Wysłałem zwiadowców w tamtym kierunku – rzekł Fitz. – Ale możesz mieć rację. Zatem co rozkażesz?

Marcus mocniej przycisnął lunetę do oka, jakby w ten sposób mógł lepiej widzieć twierdzę w oddali. Po chwili odłożył przyrząd.

– Który pułk znajduje się najbliżej? – zapytał.

– Trzeci, generale. Dzisiaj oni szli na przedzie.

Nie kolonialni. Może to dobrze.

– Weź go i atakuj. Żadnych skomplikowanych manewrów, dwie kolumny i prosto do muru. Powiedz pułkownikowi, żeby nie nacierał zbyt zażarcie. Jeśli twierdza nie padnie przy pierwszym uderzeniu, to przynajmniej będziemy wiedzieli, jak silny jest przeciwnik.

– Rozumiem, generale.

– W tym czasie ściągnij pozostałe trzy pułki i artylerię. Jeśli mamy wykonać frontalny atak, to chcę uderzyć wszystkimi siłami.

Fitz zasalutował i popędził wierzchowca. Marcus został i po kilku minutach niebieskie szeregi trzeciego pułku, teraz ustawione kompaniami w dwóch zwartych kolumnach, przeszły obok niego i przez miasteczko. Przed nimi uwijali się kawalerzyści, jak psy pasterskie pilnujące stada.

Obrońcy fortecy byli czujni. Otworzyli ogień z dużej odległości. Ryknęły działa i kłęby dymu wytrysnęły z otworów strzelniczych niczym para oddechu w mroźny dzień. Kule z wyciem przelatowały nad maszerującymi, początkowo tylko niszcząc kilka domów w miasteczku. Jednak Murnskajczycy nie oszczędzali amunicji

i wkrótce się wstrzelali. Dwie kolumny pozostawiały za sobą niebieski ślad, podążając w górę zbocza w pozornie ślimaczym tempie.

Kiedy znalazły się o sto metrów od murów, do huku dział dołączył trzask muszkietów i smugi białego dymu uniosły się w górę i po blankach. Marcus przyglądał się murom, usiłując po błyskach wystrzałów oszacować liczbę obrońców, ale trudno mu było nie patrzeć na niebieskie kolumny. Coraz więcej żołnierzy padało, w miarę jak zbliżali się do twierdzy i ostrzał się wzmacniał. Artylerzyści zmienili kule armatnie na kartacze, które czyniły wyrwy w szeregach idących na przędzie kompanii.

Z tej odległości nie można było orzec, czy pułk rzucił się do ucieczki, czy ich pułkownik zdecydował, że mają dość, i nakazał odwrót. Rezultat był taki sam – szyk niemal natychmiast zmienił się w uciekający tłum, pozostawiający za sobą łań zabitych i rannych ciągnący się aż do miejsca, gdzie dotarli. Marcus z zadowoleniem zauważył, że nie rzucają broni, tylko pospiesznie rejterują do podnóża stoku, do miejsca, z którego rozpoczęli atak, znajdującego się poza zasięgiem straszliwego gradu kul.

Odjął lunetę od oka i popędziwszy konia, zjechał do miasteczka. Towarzyszyło mu kilkunastu konnych eskorty z Andy na czele, ale niepotrzebnie. Mieszkańcy uciekli lub ukryli się w piwnicach i wokół widać było tylko Vordanajów. Kule armatnie wybiły dziury w drewnianych ścianach kilku domów, lecz na szczęście niedawny deszcz zapobiegł pożarom. Duża stajnia na skraju miasta już została zajęta przez chirurgów i zaczęli do niej przybywać pierwsi samodzielnie poruszający się ranni w nieudanym ataku. Marcus przejechał stępą obok niej, starając się nie wzdrygnąć. Żaden

żołnierz, pomyślał, nigdy nie wyzbędzie się lęku przed chirurgami. Lepsza jest czysta, szybka śmierć.

Fitz ustawił kordon kawalerii, powstrzymując uciekających żołnierzy trzeciego pułku. Oficerowie starali się znów podzielić ich na bataliony i kompanie, ale trzeba będzie trochę czasu, nim znów będą gotowi do akcji. A tymczasem trzy pozostałe pułki sformowały wąskie, mogące szybko się poruszać kolumny, po sześć batalionów w każdej. Działa na murach twierdzy wciąż huczały, lecz na tę odległość większość kul nie dolatywała do Vordanajów i tylko sporadycznie jakiś rykoszet ze świstem przeleciał nad ich głowami.

Marcus znalazł Fitz'a za pierwszym pułkiem, gdzie czekała artyleria. Dwadzieścia cztery działa, w tym tuzin dużych dwunastofuntówek i tyleż samo mniejszych sześciofuntowych, odłączono od podobnych do wozów jaszczy i lufami do tyłu podczepiono do końskich zaprzęgów. Viera rzucała rozkazy swoim artylerzystom, którzy biegali, przenosząc worki z prochem oraz ciężkie skrzynie z amunicją.

– Generale – rzekł Fitz na widok Marcusa. – Obawiam się, że atak trzeciego pułku został odparty.

– Widziałem. Pozostałe gotowe do ataku?

– Tak jest, generale. Na pański rozkaz.

– A co z artylerią?

Fitz spojrzał na Vierę, która gniewnie patrzyła na Marcusa.

– Jesteśmy gotowi – powiedziała. – Jednak tamci mają działa o większym zasięgu i przewagę wysokości. Jeśli podejdziemy bliżej, wpadniemy pod ich ostrzał, zanim będziemy mogli skutecznie odpowiedzieć ogniem.

– Tam jest więcej obrońców, niż przewidywaliśmy – rzekł Fitz.

– Co najmniej sześć ciężkich dział na murach oraz batalion piechoty. Pułkownik Morag melduje, że napotkał nadzwyczaj silny opór.

– A zatem nie mamy wyjścia, musimy zaatakować wszystkimi siłami – stwierdził Marcus. – Kapitanie Galiel, podciągnij swoje baterie i rozpocznij ostrzał. Skupcie się na ambrazurach... jeśli zdołacie uszkodzić choćby część tych dział, bardzo nam to pomoże.

Viera spoglądała na niego przez chwilę. Marcus czytał w jej myślach jak w otwartej księdze. Ten rozkaz oznaczał, że niektórzy ludzie – jej ludzie – zginą. Widział, że ona uświadamia to sobie i wie, że on również zdaje sobie z tego sprawę, a mimo to wydał taki rozkaz. Pamiętał, jak niedawno sam był w takiej sytuacji, gdy Janus przybył do Khandaru. Przywykniesz do tego, jeśli nadal będziesz dowodzić. I właśnie to jest takie okropne, pomyślał.

– Tak jest, generale – rzekła w końcu Viera. Sztywno zasalutowała i zrobiła w tył zwrot, po czym zaczęła wydawać rozkazy swoim porucznikom.

Niebawem działony zostały rozstawione i ruszyły w górę, omijając szeregi czekającej piechoty i zadziwiająco szybko jadąc po trawiastym zboczu przed twierdzą.

Nie minęło wiele czasu, a jej artylerzyści spostrzegli nowe cele. Działom trudniej trafić niż kolumnę piechoty, ale dawali z siebie wszystko i fontanny ziemi tryskały wokół jadących armat. Jedna celnie wystrzelona kula armatnia, odbijając się, trafiła prosto w koński zaprzęg ciągnący jedną z sześciofuntówek i pozostawiła za sobą szereg zabitych ludzi i zwierząt. Pozostali przy życiu artylerzyści zostawili unieruchomione działo i pobiegli za innymi.

Marcus z trudem odwrócił wzrok.

– Kiedy zacznie strzelać – powiedział do Fitz’a – każ kolumnom ruszać. Niech szybkim krokiem dojdą na pięćdziesiąt metrów, a potem atakują. Nie strzelać. Dopilnuj, aby wszyscy wiedzieli, że naszą jedyną szansą jest wedrzeć się na mury i dać tamtym posmakować zimnej stali. Zrozumiano?

– Tak jest, generale – odparł Fitz. A potem, w nietypowy dla niego sposób, zawahał się. – Jest pan pewny, generale? Nie znamy ich liczebności, a poniesiemy ciężkie straty. Może...

– Nie mamy wyjścia – rzekł Marcus. – Janus chce zająć tę twierdzę, i to szybko. Musimy ją zdobyć dla niego.

– Tak jest, generale. Oczywiście.

Fitz okręcił konia i pojechał do swoich oficerów. Marcus skinieniem przywołał Andy, która potrzebowała chwili na nakłonienie swojego wierzchowca, żeby ruszył z miejsca. Była dziewczyną z miasta i chyba jeszcze gorszym jeźdźcem niż Marcus, chociaż nie podzielała jego niechęci do koni.

– Znajdź kogoś, żeby pilnował mojego konia – powiedział jej. – Dalej pójde piechotą.

– Tak jest, generale. Znajdę też kogoś, kto przypilnuje mojego. Marcus westchnął.

– Pewnie nie zdołam cię przekonać, żebyś została na tyłach.

– Tak samo jak ja nie przekonam pana, żeby tam nie iść – powiedziała Andy. – Wie pan, że Janus będzie zły, jeśli da się pan tam zabić. I złamię pan serce królowej.

– Przestaniesz z tym? – Marcus potrząsnął głową. – Mamy tylko tę jedną szansę. Nie zamierzam stać tu i patrzeć.

– Zatem będę tam z panem, generale.

Marcus nie był w stanie jej powstrzymać, więc niechętnie

ustąpił. Oboje zsiadli z koni i oddali je pod opiekę kawalerzysty, po czym truchtem pobiegli do pierwszego pułku, gdzie Fitz wydawał ostatnie rozkazy pułkownikowi.

– Gotowi ruszać na rozkaz, generale! – zameldował Fitz.

Marcus osłonił oczy dłonią i spojrzał w górę stoku. Działa Viery już prowadziły ostrzał, hucząc i błyskając ogniem z luf w gęstej chmurze dymu. Ich celne strzały wyrzucały w górę kawałki rozbitych cegieł z murów twierdzy, ale Marcus ocenił, że wszystkie nieprzyjacielskie działa wciąż są sprawne. Przynajmniej Viera odwraca ich uwagę. W trakcie długiego pojedynku artyleryjskiego lżejsze działa polowe zostałyby zniszczone. Musimy kontynuować atak.

– No dobrze – rzekł. – Bagnet na broń! Szybkim krokiem, naprzód marsz! Chcę zobaczyć was na tych murach!

Podniósł głos i słysząc go, żołnierze wznieśli okrzyk, który rozszedł się po wszystkich szeregach. Sześć tysięcy ludzi wyjęło bagnety z pochew, zatknęło je na lufy muszkietów i przygotowało się. W następnej chwili zawarczały werble, podając tempo marszu, i bataliony ruszyły naprzód. Pierwsza kompania każdego z nich niosła dwa sztandary, jeden z numerem jednostki, a drugi srebrnoniebieski Vordanu, które powiewały nad maszerującymi szeregami.

– Zamierza pan dołączyć do nas, generale? – spytał Fitz, zsiadając z konia.

– Tylko tak mogę się na coś przydać – odparł Marcus.

Kiedy minęły ich ostatnie kompanie, Marcus poprowadził naprzód Fitz i Andy. Stwierdził, że niemal odruchowo odnajduje właściwe tempo – już od lat nie maszerował w szeregu, lecz szkoła wojskowa wpoila mu tę odruchową reakcję na dźwięk werbli. Andy

usiłowała dotrzymać mu kroku.

Kanonierzy Viery też zaczęli wiwatować na widok mijającej ich piechoty i ostrzał się wzmógł. Co najmniej jedno działo było rozbite i leżało ze strzaskanymi drewnianymi kołami wśród zabitych koni. Zaczęli napotykać ofiary pierwszego ataku: żołnierzy leżących nieruchomo lub rozpaczliwie usiłujących przyciągnąć uwagę towarzyszy. Marcus usłyszał krzyki sierżantów, zabraniających opuszczać szyk tym litościwym, którzy próbowali przyjść im z pomocą. Werble grały niestrudzenie.

Działa forteczne znów zaczęły ostrzeliwać piechotę i kule padały wokół, wyrzucając w powietrze wielkie fontanny ziemi i odbijając się od niej pod niemożliwymi do przewidzenia kątami. Ilekroć któraś przeleciała przez równe szeregi, wyrywała z nich ludzi niczym dłoń olbrzyma – jednego, dwóch lub trzech naraz. „Zewrzeć szyk, zewrzeć szyk!” – ten okrzyk będący mantrą wszystkich sierżantów przelatywał nad nacierającymi, rywalizując głośnością z wrzaskami padających.

Marcus maszerował dalej, opanowując instynktowną chęć pochylenia się, jakby walczył z huraganowym wiatrem. Opuszczona czy pochylona głowa nie robiła żadnej różnicy nadlatującej kuli, choć była to niezbyt pocieszająca myśl. Zerknął przez ramię i zobaczył coraz wolniej idącą za nim Andy; nie odrywała oczu od ziemi, usłanej ciałami poległych podczas poprzedniego i obecnego ataku. Niemal potknęła się o wyciągniętą rękę człowieka z oderwaną połową torsu, błagającego o litość pustymi oczami i podkurczonymi palcami.

Marcus uświadomił sobie, że nie przywykła do tego rodzaju walki. Andy dowiodła swojej wartości na ulicach Vordanu, ale

w bijatykach wymagających odwagi, aby stawić czoło zbirom w ciemnych uliczkach i walczyć aż do zwycięskiego końca. Tutaj było inaczej – śmierć nadlatywała z góry i zabierała przypadkowe ofiary, niczym jakiś starożytny bóg ciskający błyskawice, których nie można powstrzymać ani odbić.

Marcus złapał ją za rękę i pociągnął naprzód, omijając zwłoki. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, a on nachylił się, żeby krzyknąć jej do ucha.

– Nie patrz w dół! – powiedział. – Nie patrz za siebie! Patrz na sztandary! – Groty drzewc srebrzyście lśniły, widoczne nawet przez ten dym, a vordanajski orzeł falował i łopotał. – Idź krok za krokiem!

Andy przełknęła ślinę, zamrugła i kiwnęła głową, znów łapiąc rytm. Pozostała u jego boku, gdy ich działa odpowiedziały ogniem, zmieniając świat w chaos huk i kłębow prochowego dymu. Odgłos wystrzałów dział fortecznych zmienił się, gdy zaczęły strzelać kartaczami, zasypując szeregi idących ołowianymi kulami i zasnuwając wszystko dymem. Kompanie kurczyły się, na rozkaz sierżantów i kaprali zwierając przerzedzone szeregi.

Potem obrońcy otworzyli ogień z muszkietów, oddając salwę, której trzask przeleciał po murach jak płomień po luncie. Uniosła się nowa ściana dymu i leniwie spłynęła po pochyłości muru na trawę. Kule z wizgiem przelatowały nad głowami i z pacnięciem trafiały w ziemię lub w ciało, a wtedy żołnierze zataczali się lub padali. Idące na przedzie kompanie naturalnie obrywały najgorzej, ale również idący najwyżej sześć metrów przed Marcusem żołnierz nagle wypadł z szeregu, rozpaczliwie przyciskając dłonie do zmasakrowanej zabłąkaną kulą twarzy.

Marcus wyjął szablę.

– Dać sygnał do ataku!

– Atakować! – krzyknął Fitz ochryplym, wciąż chłopięcym głosem.

Zagrały werble, w przyspieszonym rytmie, jak bicie serca. Vordanajowie z bojowym okrzykiem runęli do ataku, łamiąc szyki, aby jak najszybciej dopaść wroga. Działa znów plunęły kartaczami, kosząc łąny żołnierzy, i pędzący naprzód Marcus musiał przeskakiwać przez leżących i omijać padających. Fitz biegł po jednej jego stronie, a Andy po drugiej, lecz dalej widział tylko kłębiący się dym.

– Za mną! – zawołał łamiącym się głosem. – Na mury! Za mną!

Zdawało mu się, że odpowiedziały mu okrzyki, ale nie był pewny, bo dzwoniło mu w uszach. Biegli w tej siwej mgłę dłużej, niż wydawało się to możliwe. Przecież do muru nie było tak daleko, czyżbym biegł w przeciwną stronę? – zastanawiał się. Nagle ujrzał przed sobą mur: długi i łagodnie nachylony ceglany stok za płytkim rowem. Niegdyś ten rów mógł być głęboki i najeżony ostrymi palikami, lecz w wyniku erozji oraz zaniedbania zmienił się w płytkie zagłębienie. Marcus przeskoczył przez nie, wylądował na ceglach i przez moment łapał równowagę. Odwrócił się, szukając Andy, ale dziewczyna gdzieś znikła.

Natomiast Fitz był tam, gramoląc się obok po ceglach. Marcus przez moment daremnie wpatrywał się w dym, po czym wrzasnął ile tchu w piersi i pobiegł w górę. Wszędzie wokół słyhać było ogłuszający huk wystrzałów, a błyski z luf były niczym przelatujące tuż obok błyskawice. Z dymu przed nim wyłonili się dwaj żołnierze w murnskajskich mundurach, białych kurtkach

i szarych spodniach, z gęstymi brodami i wysokimi płasko zwieńczonymi hełmami. Cofnęli się o krok, gdy dotarł na szczyt muru i przeskoczył na schodki, ciosem szabli rozcinając jednego z nich od obojczyka po mostek. Drugi upuścił muszkiet i próbował sięgnąć po broń wiszącą u pasa, lecz Fitz natychmiast go dopadł i pchnął w brzuch. Murnskajczyk z jękiem osunął się na ziemię. Marcus uświadomił sobie, że ogień z muszkietów cichnie, zastąpiony przez szcęk stali i wrzaski umierających.

– Co się stało z Andy? – krzyknął do Fitz’a. – Widziałeś ją?

Fitz pokręcił głową, a potem wskazał mieczem.

– Musimy zdobyć baterię przybrzeżną, nim zaczną zagważdzać działa!

Oczywiście miał rację. Takie zadanie dał nam Janus. Z dymu wyłaniały się kolejne postacie w niebieskich mundurach, ludzie z zakrwawionymi bagnetami, wypierający przeciwnika z murów i w głąb twierdzy. Marcus pomachał szablą nad głową, żeby przyciągnąć ich uwagę, po czym znów zawołał ochryplym głosem:

– Do baterii! Za mną!

Dopiero po dobrej godzinie walka się zakończyła. Kiedy atakujący wdarli się na mury, jej rezultat był przesądzony, ale wielu Murnskajczyków nie chciało się poddać. Trzeba było uporać się z setką pojedynczych ognisk oporu na dziedzińcach i korytarzach twierdzy, a każde z nich zbierało daninę krwi od nacierających.

Na szczęście broniący się tak zażarcie garnizon dopiero w ostatniej chwili przypomniał sobie o konieczności zniszczenia dział, których miał strzec, a wtedy było już za późno. Ludzie Fitz’a wdarli się na bastion baterii nabrzeżnej i utrzymali go, odpierając

rozpaczliwy kontratak. Bskor został zdobyty niemal nietknięty, oprócz kilku miejsc, w których działa Viero podziurawiły zewnętrzne mury.

Jednak cena tego zwycięstwa była straszliwa. Przy kilkuset zabitych lub wziętych do niewoli obrońcach pierwsza dywizja miała niemal dwa razy tylu zabitych lub rannych, leżących na zboczu, w okopach lub na dziedzińcach twierdzy. Odróżnienie jednych od drugich też miało zająć sporo czasu drużynom zbierającym zwłoki, opatrującym lekkie rany i odnoszącym ciężko rannych do chirurgów.

Marcus stał na murze od strony rzeki, gdy przyprowadzili do niego Andy. Wspierała się na ramieniu krzepkiego kaprała i jedną nogę miała owiniętą bandażem. Pomimo to zdołała zaszalutować i uśmiechnąć się.

– Przepraszam, panie generale – powiedziała. – Nie zamierzałam zostawić pana samego.

Marcus uśmiechnął się w odpowiedzi, powstrzymując nieżołnierską chęć uściskania jej.

– Wybaczam, kapitanie. Jednak tylko tym razem. – Zerknął na jej nogę. – Nic ci nie będzie?

– Chirurg mówi, że miałam szczęście. Kula przeszła na wylot, omijając kość. Jeśli rana nie zacznie się jątrzyć, powinno być dobrze.

– Miło mi to słyszeć. – Marcus odetchnął. – Kaprału, zechcecie odprowadzić panią kapitan do kwater oficerskich? Niech tam skorzysta z jakiegoś łóżka.

Podczas gdy koszary zwykłych żołnierzy były ciasne i nieprzyjemne, duży budynek zajmowany przez murnskajskich

oficerów bardziej przypominał wiejską rezydencję niż wojskowy obiekt. Teraz wzdłuż brzości żołnierze przeszukiwali sale, zabierając sobie na pamiątkę różne drobiazgi i sztucce.

Viera, z głową owiniętą zakrwawionym bandażem i jak zwykle marsową miną, zjawiała się tuż po odejściu utykającej Andy. Jej artylerzyści już obsadzili wielkie działa wycelowane w rzekę i wytaszczyli z podziemi proch oraz amunicję. Nie minęło wiele czasu, nim pojawiły się ich pierwsze cele – cztery powoli płynące barki rzeczne załadowane prowiantem i ekwipunkiem dla murnskajskiej armii.

Marcus zwrócił się do Fitz'a.

– Zechcesz pełnić honory?

Fitz uśmiechnął się.

– Strzały ostrzegawcze, kapitanie Galiel. Gotowi. Ognia!

Ryknęły potężne działa okrętowe. Potwornie wielkie fontanny wody wytrysnęły z leniwej toni rzeki, obramowując barki. Gdy spieniona woda oblała zaskoczonych marynarzy, wybrany przez Fitz'a ze względu na donośny głos żołnierz wszedł na mur i zaczął pokrzykiwać po murnskajsku. Marcus domyślił się, że to pospieszne tłumaczenie nie jest doskonałe, ale ludzie na rzece pojęli, w czym rzecz. Barki powoli zmieniły kurs i zmierzały ku przystani poniżej twierdzy.

– Chcę, by obserwowano rzekę w dzień i w nocy – polecił Marcus. – Nic nie może przepłynąć tędy bez naszego zezwolenia. Jeśli choćby łódź wiosłowa nie zechce przybić do brzegu, macie zdmuchnąć ją z powierzchni wody.

– Tak jest, generale – z wyraźną przyjemnością powiedziała Viera.

Na razie nieźle, pomyślał Marcus. Wysłani na wschód zwiadowcy meldowali, że nadal nie widać murnskajskiej armii. Miejmy nadzieję, że ten plan się powiedzie.

Dziewięć

Winter

Winter podejrzliwie spojrzała na miskę z szarą mazią.

– Co to jest?

– Najpierw spróbuj – odrzekła Cyte, podając jej grubą pajdę razowego chleba.

– Wygląda niezbyt zachęcająco – stwierdziła Winter.

Wzięła nóż i zanurzyła go w szarej mazi. Rozsmarowała ją na chlebie jak gęste, ziarniste masło.

– Murnskajczycy nazywają to dimoczka. Jest uważany za przysmak.

– Przypomnij mi kiedyś, żebym ci opowiedziała, co uważają za przysmak w Khandarze.

– Po prostu jedz.

Winter westchnęła, zamknęła oczy i ugryzła kęs. Chleb był prząsny i chrupiący, a szara maź mocno słona i śliska. Małeńkie ziarenka pękały, gdy gryzła. W duchu musiała przyznać, że to coś smakuje nieźle. Chociaż wolałaby chleb posmarowany masłem.

– W porządku – powiedziała, kończąc kromkę. – Co właśnie zjadłam?

– Rybie jajka – powiedziała Cyte, krojąc sobie pajdę.

Winter oczami duszy ujrzała rybę siedzącą w gnieździe.

– Ryby nie składają jajek.

– Właściwie to składają – wyjaśniła Cyte, smarując chleb grubą warstwą dimoczki. – Tylko maleńkie. To jest ikra samicy strzałowca. Gdy mają tarło, przyplływają do Podzielonego Wybrzeża, a rybacy łowią je i rozcinają...

– Wiesz co, to mi wystarczy. – Winter otarła usta rękawem i westchnęła. – A co robią z resztą ryby?

– Ryby to pożywienie wieśniaków – odparła Cyte. – Ten przysmak jest dla szlachty.

– Zamierzam wygłosić publiczne oświadczenie, że wszystkie kraje poza Vordanem są zwariowane – mruknęła Winter. – Dlaczego oni nie mogą jeść normalnych rzeczy?

– Takich jak niewymowne kawałki świni zmielone i wepchnięte do jej kiszek?

– To raczej specjalność Hamveltajczyków – odparła Winter, powstrzymując śmiech. – Obce wpływy.

– Przecież zjadamy kurze jaja – zauważyła Cyte, kończąc swoją kromkę. – To niewielka różnica.

Winter skrzywiła się. Przez ostatnie dni nie brakowało im żywności, dzięki składom w Bskorze, ale często miała ona dziwny wygląd i smak. Cyte miała szczególne upodobanie w wynajdywaniu najdziwniejszych rzeczy, zazwyczaj „specjałów” przeznaczonych dla oficerów i królewskiego dworu. Rybie jajka nie były najdziwniejsze na tej liście.

Ktoś poskrobał w klapę namiotu.

– Generale? – powiedziała Bobby, nie czekając na odpowiedź. – Znow nadchodzi.

– Na wszystkich pierdolonych świętych! – zaklęła Winter. – Nie

wierzę!

– Sama ich widziałam – rzekła Bobby. – Co najmniej sześć batalionów...

– Wiem, wiem. – Winter podniosła z ziemi kurtkę i zaczęła zapinać guziki. – Zaraz tam będę.

– To będzie szósty atak w ciągu dwóch dni – zauważyła Cyte.

– Czy oni mają nadzieję, że się zmęczymy? – mruknęła Winter, zapinając kołnierz. – Albo zabraknie nam amunicji?

Na szczęście to drugie było niemożliwe – te same składy, które dostarczyły im prowiantu, były również pełne kul i prochu.

– Może po prostu nie wiedzą, co innego mogliby zrobić – podsunęła Cyte.

– Ja wiem, co bym zrobiła – mruknęła Winter. Popędziłabym do domu co sił w nogach i do diabła z każdym, kto próbowałby mnie zatrzymać, dodała w duchu. Przypięła miecz i odchyliła klapę namiotu, wpuszczając do środka jasne słoneczne światło. Deszcz przestał padać, pozostawiając oślepiająco błękitne i niemal bezchmurne niebo.

Gdy pospiesznie szła błotnistą ścieżką, artyleria otworzyła ogień. Dwie baterie drugiej dywizji były ustawione wysoko na zboczu, skąd zza osłony swojej piechoty mogły ostrzeliwać równinę na dole. W przerwach między atakami artylerzyści zajmowali się ulepszaniem swoich stanowisk, tworząc za każdym działem rampę z ubitej ziemi; przy wystrzale armaty wjeżdżały na nie pchane siłą odrzutu, po czym same zjeżdżały na stanowiska, co pozwalało obsłudze szybciej ładować i strzelać. Działony pułkownika Archera doprowadziły tę sztukę do perfekcji i oddawały salwy z regularnością zegara.

Janus jak zwykle starannie wybrał pozycję swoich oddziałów. W połowie drogi między Polkhaiz i Bskorem, gdzie rzeka Szulia wpadała do Syzrii, łańcuch wzgórz ciągnął się na północ, dochodząc na pół mili od brzegu rzeki. Janus kazał dywizjom drugiej, trzeciej i czwartej bronić tego wąskiego przesmyku, po przejściu mniej więcej tej samej drogi, którą pierwsza dywizja podążała kilka dni wcześniej, podczas gdy druga połowa Wielkiej Armii prowadziła działania zaczepne na murnskajskim froncie. Główna rezerwa artylerii też się tu znalazła, przetransportowana przez przeklinających i spoconych żołnierzy przez wiele mil fatalnych dróg i błotnistych dolin.

Trzecia i czwarta obsadziły wąski pas równiny pomiędzy rzeką a wzgórzem. Z początku wydany przez Janusa rozkaz kopania okopów i sypania szańców wywołał zbiorowe narzekania, lecz kilka minionych dni przekonało wszystkich wątpiących. Murnskajska armia przybyła na zachód – pozornie niekończącym się strumieniem piechoty w białych kurtkach i licznych oddziałów jeźdźców. Napotkała linię najeżonych palami rowów oraz piechotę ukrytą za wysokimi ziemnymi szańcami, które wieńczyły grube kłody. Luki w tej linii pozwalały skupionym w nich bateriom obu dywizji oraz rezerwy artyleryjskiej, których działa stały jedno przy drugim, ostrzeliwać całe dno doliny.

Druga dywizja Winter stała na prawym skrzydle, w miejscu, gdzie teren zaczynał się wznosić ku wzgórzom porośniętym lasami, przez które tak niedawno się przedzierali. Była rozstawiona w luźnym szyku, mając większy odcinek do kontrolowania, ale teren bardzo ułatwiał im to zadanie. Tuż poniżej linii drzew wykopali doły i usypali szanice, a na przedpolu porozrzucali ścięte

drzewa, tworzące dodatkową przeszkodę. Strzelające z góry działa miały doskonałe pole rażenia i większy zasięg niż armaty przeciwnika, a na dodatek murnskajscy artylerzyści do tej pory okazali w najlepszym razie brak polotu.

Tak umocniwszy swoje pozycje, Janus czekał na atak Murnskajczyków. A oni, ku zdumieniu Winter, posłusznie go przeprowadzili, prąc naprzód pomimo oczywistej przewagi pozycyjnej Vordanajów. Ktokolwiek tam dowodzi, nie przejmując się wysokością strat, to pewne, przemknęło jej przez myśl.

Vordanajski obóz znajdował się jeszcze wyżej, między drzewami. Winter minęła stanowiska artylerii i zeszła do piechoty. Stanowisko dowodzenia umieszczono w samym środku pozycji Pierwszego Dziewczęcego, otaczając je palisadą z wyciętymi otworami obserwacyjnymi. Abby już tam była, spoglądając przez lunetę.

– Wygląda na to, że tym razem poszczęściło się nam i chłopcom Blackstreama – powiedziała. Czwarty pułk piechoty Blackstreama stał na prawym skrzydle, a pułki Sevrana i de Koste'a na lewym. – Jednak tamci robią coś, czego nie rozumiem.

– Pozwól mi spojrzeć – rzekła Winter.

Abby wręczyła jej lunetę. Omiótlszy wzrokiem przedpole, Winter ujrzała kolumnę złożoną z ośmiu batalionów, ustawioną w klin i zbliżającą się miarowym krokiem. Musiała przyznać, że ich białe kurtki tworzą piękny widok. Ziemia, po której szli, była już usłana trupami; z tego, co Winter widziała, Murnskajczycy nie próbowali grzebać zabitych ani zbierać rannych, pozostawiając ich na polu bitwy, żeby zeszli z niego o własnych siłach. Pierwszy Dziewczęcy uratował nielicznych, którzy padli stosunkowo blisko

linii obrony, ale nie odważył się zapuścić dalej. W nocy w obozie słychać było dolatujące z pobojuwiska ochryple krzyki i błagania, powoli cichnące w miarę upływu czasu.

– Co jest dziwne? – spytała Winter. Oprócz tego, że w ogóle atakują.

– Spójrz za szeregi piechoty – odrzekła Abby. – To mi wygląda na pułk kirasjerów, rozciągnięty w szereg.

Winter wycelowała tam lunetę. Chyba nie są tak szaleni, żeby spróbować szarży? Nawet tak potwornie głupi dowódca, jakim zdawał się być ten murnskajski generał, powinien wiedzieć, że wysyłanie jazdy w górę zbocza, na ostrokół i inne przeszkody, jest szaleństwem.

A jednak kirasjerzy rzeczywiście tam byli; postawni mężczyźni na wielkich koniach, w stalowych napierśnikach i długich futrzanych płaszczach. Zbliżali się powoli, w równym tempie z piechotą. Zamiast trzymać zwarty szyk, jaki zwykle usiłuje utrzymać jazda, rozciągnęli się w długi szereg, na całą szerokość kolumny piechoty. Każdy z nich trzymał wyciągniętą już szablę.

– To istotnie dziwne. – A dziwne oznacza coś złego, mówił jej instynkt. – Ale nie mam pojęcia, w czym to ma im pomóc.

– Ja również. – Abby wzięła od niej swoją lunetę. – Jakies rozkazy?

Winter pokręciła głową.

– Na razie nie.

Jednak okazało się, że żadne rozkazy nie były potrzebne.

Ogień armatni poczynił wielkie wyrwy w murnskajskich szeregach. Po dwóch dniach ostrzeliwania tego samego terenu artylerzyści Archera na pamięć znali właściwe odległości

i ustawienia, więc niemal każdy ich strzał trafiał w szeregi białych kurtek. Kolejny łań ludzkich ciał dołączył do sztywniejących zwłok z poprzednich ataków, miejscami tworząc tak wysokie sterty, że nacierająca piechota musiała je obchodzić.

Po pierwszym ataku vordanajscy żołnierze zmierzili krokami odległości i umieścili na przedpolu dobrze widoczne z góry znaki. Teraz, gdy Murnskajczycy podeszli na sto pięćdziesiąt metrów, cała linia obrony jednocześnie plunęła ogniem, jakby na bezgłośny sygnał pstrykacza. Przy takiej przewadze wysokości nawet kule z muszkietu mogły śmiertelnie razić wroga, a ponieważ amunicji było pod dostatkiem, Winter nie widziała powodu, żeby ją oszczędzać. Dym skłębił się nad szańcami z kłód drewna i spływał w najeżone ostrymi palami doły. Ze znajdującego się nieco dalej stanowiska dowodzenia Winter wciąż miała dobry widok.

– Atak się załamuje – stwierdziła Abby.

Winter skinęła głową. Idące na przedzie murnskajskie kompanie topniały w morderczym ogniu, a ich żołnierze przystanęli, aby skryć się za stertami ciał swoich poległych i bezskutecznie ostrzelać rozbłyskujące ogniem wystrzałów stanowiska nieprzyjaciela. Następne kompanie zmieszały się z nimi i ich równe szeregi zmieniły się w bezładną plątaninę, która stanowiła jeszcze lepszy cel dla artylerii. Najpierw poszli w rozsypkę Murnskajczycy znajdujący się naprzeciw prawej flanki Vordanajów, gdzie miarowe salwy pułku Blackstreama zmieniły ich w uciekający, przestraszony tłum. Panika szybko ogarnęła całą kolumnę, batalion po batalionie.

– Ta kawaleria... – zaczęła Abby i urwała. – Och.

– Co takiego? – zapytała Winter.

Abby bez słowa oddała jej lunetę. Winter wycelowwała ją w kirasjerów i zobaczyła, że ruszyli naprzód. Szable unosiły się i opadały, siekąc własną piechotę, która rzuciła plecaki i karabiny, żeby szybciej uciekać.

– Na jaja Bestii! – zaklęła Winter.

– Oto odpowiedź na twoje pytanie – rzekła Cyte, która dołączyła do nich i spoglądała przez swoją lunetę. – Najwyraźniej oddanie Kościołowi i imperatorowi nie wystarcza.

– Boże Wszechmogący. – Winter odjęła lunetę od oka i pokręciła głową. Natarcie załamało się ponad sto metrów przed linią obrony, krwawo okupione, tak samo jak wszystkie poprzednie.

– To może być dobry znak – rzekła Cyte. – Jeśli w taki sposób trzeba ich zmuszać...

– Generale dywizji!

Winter odwróciła się i zobaczyła szeregowca z Pierwszego Dziewczęcego wyprężoną na baczność tak, że chyba trudno jej było oddychać. Za nią stał Janus we własnej osobie, z eskortą kilkunastu żołnierzy z emblematami skorpiona noszonymi przez kolonialnych weteranów. Winter odruchowo wyprostowała się i oddała mu honory, a Abby i Cyte poszły za jej przykładem.

– Dziękuję. – Janus machnięciem ręki kazał im spocząć. – Otrzymałem wiadomość, że znów próbują na tym końcu linii, więc pomyślałem, że to sprawdzę. Jak wygląda sytuacja?

– Nieprzyjaciel został odparty, pierwszy konsulu – służbiście zameldowała Winter, oficjalnym tonem w obecności swoich oficerów. – Wygląda na to, że ponieśli ciężkie straty.

– Czego nauczyłem się oczekiwać po Pierwszym Dziewczęcym – rzekł Janus, nieco głośniejszym, niż było to konieczne. Stojący w pobliżu

żołnierze powtarzali jego słowa, tak że rozeszły się po całej pierwszej linii niczym kręgi po powierzchni stawu.

– Nieprzyjaciel... – Winter zawahała się. – Widzieliśmy, jak ich kirasjerzy wycięli własną piechotę, gdy rzuciła się do ucieczki. Myślę, że pędzą swoich ludzi na nas pod groźbą egzekucji.

Janus uniósł brew.

– Naprawdę są zdesperowani.

– Tak jest, pierwszy konsulu.

Zastanowił się.

– Czy pamiętasz, generale dywizji, naszą niegdysiejszą rozmowę o zwycięstwie doskonałym?

– Tak jest, pierwszy konsulu. Powiedział pan, że doskonałe zwycięstwo jest bezkrwawe, ponieważ wynik bitwy jest tak oczywisty, że wcale do niej nie dojdzie.

– Istotnie. – Janus popatrzył na pobojowisko, usłane stertami zabitych w białych murnskajskich mundurach. – Niestety wygląda na to, że zwycięstwo doskonałe wymaga przeciwnika dostatecznie mądrego, by wiedział, kiedy jest pokonany. – Westchnął i znów podniósł głos. – Generale dywizji Ihernglass. Czy możesz utrzymać tę pozycję?

– Pierwszy konsulu. – Winter wyprężyła się. – Jeśli będą zmuszeni atakować po tym zboczu i będziesz dostarczał mi dość amunicji, moja dywizja może utrzymać tę pozycję przeciwko wszystkim armiom świata.

Janus odpowiedział jej wilczym uśmiechem.

Do zmroku bitwa jako taka była zakończona. Książę Vasil

nieustannie wycofywał coraz więcej swych wojsk z linii obrony na południe od Polkhaiz, rzucając je na umocnioną pozycję Janusa przy drodze do Bskoru. Po południu drugiego dnia cztery dywizje Wielkiej Armii wciąż czekające przy Drodze Pielgrzymia przypościły niespodziewany atak na północ, tworząc szeroką wyrwę w murnskajskiej linii obrony. Czekająca w odwodzie kawaleria Piekielnika wdarła się w tę lukę, rozbiła wroga i wyszła na tyły sił atakujących Janusa. Większość murnskajskiej armii, zmęczonej po kilku dniach bezowocnych ataków, poszła w rozsypkę i tylko kilka oddziałów jazdy wycofało się we względnym porządku za Syzrię. Nawet most w Polkhaiz został zdobyty nietknięty.

Te wieści dotarły do drugiej dywizji w porze kolacji. Ogniska, na których gotowano wieczerzę, zapłonęły jaśniej i zaczęto świętować. Zwycięstwo pod Gilphaite było skromne, gdyż wróg wycofał się niemal nietknięty, a ciężkie straty drugiej dywizji nie dawały powodów do radości. Tym razem nic jej nie mąciło. Wróg został rozbity przy minimalnych stratach własnych, przeważnie lekko rannych w wyniku przysypania ziemią w okopach.

Regulamin vordanajskiej armii nie przewidywał wydawania racji alkoholu żołnierzom, lecz w murnskajskich dostawach było mnóstwo rozmaitych trunków. Winter kazała rozdzielić je oddziałom, najpierw zarekwirowawszy sobie kilka najlepiej wyglądających butelek. Właśnie zerwała woskowe zamknięcie pierwszej – jak stwierdziła przy swej ograniczonej znajomości murnskajskiego, zawartość flaszki została zrobiona z ziemniaków i pieprzu – kiedy ktoś poskrobał w klapę namiotu.

– Wejść – powiedziała Winter.

Cyte uniosła klapę.

– Pijesz sama?

– Nikt nie chce, by dowódca stał mu nad głową, kiedy się upija
– odparła Winter. – Uznałam jednak, że zasłużyłam na kielicha.

– Masz coś przeciwko temu, że ci potowarzyszę?

Cyte pokazała jej zieloną szklaną butelkę, już na pół opróżnioną. Dziewczyna miała wyraźnie zarumienione policzki.

– Jeśli jesteś gotowa znieść trochę melancholii. – Winter westchnęła i otworzyła kufer, żeby wyjąć blaszane kubki.

Cyte opadła na swoje zwykłe miejsce po drugiej stronie składanego stolika.

– Melancholii? Wszyscy nie posiadają się z radości. Nazywają to największym zwycięstwem w dziejach.

– Zwycięstwo doskonałe – mruknęła Winter.

– Co mówisz?

– Nic. Masz rację. Powinam... sama nie wiem. – Winter postawiła kubki na stoliku. – Czy ta ciecz nadaje się do picia?

– Tak naprawdę to niezbyt.

– A więc spróbuję tego. – Nalała do blaszanego kubka porcję przezroczystego płynu z odkorkowanej butelki. – Nie mogę przestać myśleć o tych biednych draniach. Maszerowali do bitwy pod groźbą egzekucji i zostali rozsiekani szablami, kiedy nie byli w stanie dłużej wytrzymać ostrzału. – Powąchała zawartość kubka i opróżniła go. Pieprz parzył język, a alkohol piekł gardło. Niezłe. – Nikt nie zasługuje na takie traktowanie.

– Lepiej, że to oni niż my – powiedziała Cyte i westchnęła, widząc minę Winter. – Wiem. Hanna wysłała sanitariuszy, żeby szukali żyjących.

– Zatem za Hannę. – Winter ponownie napełniała sobie kubek.
– Najlepszego pułkowego chirurga...

– ...którego mam nadzieję nigdy nie potrzebować – dokończyła Cyte.

Wypiły razem i przez chwilę Winter siedziała w milczeniu, czując, jak trunek przyjemnie rozgrzewa jej żołądek.

– Co ty tu robisz? – spytała po chwili.

Cyte zarumieniła się jeszcze bardziej.

– Pomyślałam, że przyda ci się...

– Nie w tym namiocie – wyjaśniła Winter. – Tutaj. W Murnsku. Dlaczego tu jesteś?

– Och. – Cyte postawiła zieloną butelkę na stole. – Należysz do tych pijaków.

– Jeszcze nie jestem pijana – obruszyła się Winter.

– Miewałam już takie rozmowy – powiedziała Cyte. – Studentom filozofii wystarczyło kilka kolejek, żeby zaczęli gadać o tym, dlaczego tu jesteśmy i o sensie życia. Potem zwykle próbowali mnie obmacywać i tracili przytomność. – Prychnęła. – Filozofowie nie umieją pić.

– A ty się nad tym nie zastanawiasz?

– Rozmyślałam o tym wystarczająco długo, żeby stwierdzić, że nie znajdę żadnych sensownych odpowiedzi. Zatem do diabła z tym.

– I słusznie. – Winter odchyliła się do tyłu. – Jednak nie to miałam na myśli. Zastanawiałam się, dlaczego jestem tutaj, a nie tam, w zbiorowej mogile.

Cyte wzdrygnęła się.

– Chyba dlatego, że masz szczęście być Vordanajką?

– Czyżby? Vordan nigdy nic dla mnie nie zrobił. Zamknęli mnie w więzieniu, w którym wydawano nastoletnie dziewczęta za sadystycznych potworów. To dlatego uciekłam do Khandaru. A to wszystko – skubnęła swój mundur – po prostu się stało. Mogłam wyruszyć w przeciwną stronę, uciec do Murnska, i teraz leżałabym nieżywa.

– Święci i męczennicy, ależ masz kiepski humor. Pewnie. Albo mogłaś odkryć żyłę złota i zostać najbogatszą kobietą na świecie. Albo zachorować i umrzeć w pierwszym tygodniu szalejącej zarazy. Tego nigdy się nie wie. – Cyte ponownie trąciła jej kubek swoim. – Wierz mi, studiowałam historię, więc wiem. Historycy lubią mówić, że wielcy ludzie kształtują bieg wydarzeń, ale wydaje się, że to najczęściej zależy od szczęścia. Komuś odpadnie koło od powozu, ktoś nie przeczyta jakiegoś listu, deszcz spadnie tego dnia, a nie następnego, i zanim się obejrzysz, potężne imperium upada albo powstaje królestwo.

– Nie wiem, czy to jest krzepiące czy przygnębiające.

– Takie i takie, po trosze. Czy mówiłam ci kiedyś o królowej Gekitorix?

– Myślę, że pamiętałabym takie imię, więc zapewne nie.

Cyte zaczęła opowiadać kolejną historyczną anegdotę, niezbyt zrozumiałe, ze względu na nieco zaawansowany stan upojenia alkoholowego. Naprawdę przyjemnie było nie pić w samotności, odprężyć się trochę, czuć, jak umysł powoli tonie w morzu pijackiego oszołomienia i paplaniny.

Podczas rozmowy mimowolnie wracała myślami do wcześniejszej kwestii. Janus. Wszystko sprowadza się do Janusa. Winter lubiła Vordan, a nawet samą Raesinię, jednak nie mogła się

oprzec przeświadczeniu, że gdyby nie Janus, to już dawno odeszłaby z wojska. Zbyt duże było ryzyko, że w końcu zostanie podkomendną kogoś takiego jak ksiązę Vasil, który wolał skazywać swoich ludzi na śmierć, niż przyznać się do porażki, albo nieudolnego gbura jak de Ferre. Albo jak sierżant Davis.

Poszła za Janusem, ponieważ okazał się zdolnym dowódcą, znał tajemnicę jej płci i demona, a także dlatego, że obiecał ponownie połączyć ją z Jane. I dotrzymał tej obietnicy, a kiedy wszystko to rozsypało się jej w rękach, wciąż szła za nim, gdyż nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić. I ponieważ jestem to winna tym wszystkim ludziom, których pociągnęłam za sobą, pomyślała. Odpowiedzialność bywa gorzką pigułką do przełknięcia.

Jednak kiedy tak to ująć, to oznacza, że Jane miała rację. Mogłam opuścić szeregi armii i zostać z nią. Dokonałam wyboru...

– Winter?

Natychmiast otworzyła oczy. Cyte nachylała się do niej, machając ręką i chichocząc.

– No co? – powiedziała Winter. – To był długi dzień.

– I jesteś pijana.

– Przyganiał kocioł...

Cyte usiadła i przygładziła włosy.

– Jest coś, co chciałabym zrobić, ale mam wrażenie, że to mogłoby być głupie, więc pomyślałam, że powinnam się ugrzać, zanim spróbuję.

– To źle brzmi. Jeśli ma to coś wspólnego z działem, zamierzam cię powstrzymać.

– Jest coś, o co chcę cię zapytać. To osobiste i zupełnie nieprofesjonalne pytanie.

Winter zamrugnęła i wyprostowała się. Serce biło jej mocniej.

– O co chodzi?

– W porządku. – Cyte nabrała tchu. – Masz... hmm...

– Mam co?

Cyte była tak zarumieniona, że trudno było powiedzieć, czy się zaczerwieniła czy nie.

– Masz chorobę tyrana. Zgadza się?

Miała taką poważną i przejętą minę, że Winter z trudem powstrzymała chichot. Zamiast parsknąć śmiechem, też poważnie spojrzała na Cyte i powiedziała z godnością:

– Nie mam pojęcia, co to takiego.

– Och.

– Mam nadzieję, że nie jest nieuleczalna.

– Nie o to chodzi. – Cyte spuściła oczy i na widok jej stropionej miny Winter pożałowała swojego rozbawienia. – To choroba umysłowa. Czytałam o niej w bibliotece uniwersyteckiej. Polega na tym, że kobieta pożąda innych kobiet. – Cyte znów podniosła głowę i nabrała tchu. – No wiesz. Jako... no wiesz.

– Jako... – Zamroczony umysł Winter potrzebował chwili, żeby to przetrwać. – Och.

Och. Och.

– Nie jest to coś, co tak po prostu powiedziałabym każdemu – pospiesznie dodała Cyte – ale ty i Jane właściwie nie trzymałyście tego w tajemnicy, więc pomyślałam... Ja... – Energicznie potrząsnęła głową. – Zapomnij o tym. Zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

– Cyte. – Winter złapała ją za ramiona. – Cyte, w porządku.

Uspokój się.

– Przepraszam. – Cyte miała łzy w oczach. – Naprawdę mi przykro. Nie powinnam...

– Wszystko w porządku, naprawdę. To o to chciałaś mnie zapytać? Czy Jane i ja sypiałyśmy ze sobą? – Winter potrząsnęła głową. – Jak powiedziałaś, właściwie nie robiłyśmy z tego tajemnicy.

– To właściwie nie było pytanie. – Cyte zamrugła i otarła oczy rękawem. – Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

– Mówiłam ci, że nie. – Winter założyła nogę na nogę i siedziała, obserwując Cyte. – Czy to naprawdę nazywa się chorobą tyrana?

– Chyba tak – odrzekła Cyte. – Tak jest napisane w Zaburzeniach umysłu. Zdaje się, że dwór mithradacejskich tyranów słynął z rozpusty i perwersji.

– W porządku. Zatem pewnie ją mam. – Winter pokręciła głową. – A jakie masz pytanie?

– Jak odgadłaś, że ją masz? – cichutko zapytała Cyte.

– Ja... – Winter zawahała się. – Nie jest to coś, nad czym się zastanawiałam. Nie wiedziałam, że to rodzaj choroby, dopóki ty mi tego nie powiedziałaś. Kiedy byłam młoda, uważałam...

– Co?

Teraz Winter się zaczerwieniła.

– Chyba, że to dotyczy tylko mnie i Jane.

– Ile miałaś lat, gdy się poznałyście?

– Poznałyśmy się, kiedy byłyśmy prawie dwunastolatkami. – Winter mówiła powoli, badając swoje uczucia, jakby dotykała

językiem bolącego zęba. Wciąż czekała na ból, ale czuła tylko tępe mrowienie. – Dorastałyśmy razem, w sierocińcu.

– I po prostu wiedziałyście?

– Nie...zupełnie. Nie potrafię tego opisać. Czułam się... dziwnie.

– Co się stało?

– Pocałowała mnie. Opiekowałyśmy się kilkoma młodszymi dziewczynami i bawiłyśmy się na jednym z trawników. Przypadkiem wpadłyśmy na siebie i ona... pocałowała mnie.

– A co ty zrobiłaś?

– Uciekłam. – Usta Winter wygięły się w leciutkim uśmiechu. – Musiała za mną gonić przez labirynt z żywopłotów.

Cyte odetchnęła.

– Ach.

– Nie wiedziałyśmy, co robimy. Ale wydawało mi się to dobre. – Winter niezgrabnie wzruszyła ramionami. – Jak powiedziałam, to nie było coś, nad czym bym się zbyt głęboko zastanawiała. Może powinnam była.

– Jednak była tylko Jane? – spytała Cyte. – Nigdy nie było nikogo innego?

– Nigdy – odparła Winter. – Chcę powiedzieć, że po ucieczce z sierocińca obawiałam się tego, że odkryją, że jestem dziewczyną, więc trzymałam się z daleka od wszystkich. A potem, kiedy tu wróciłam, znów pojawiła się Jane.

– Nie zastanawiałaś się nad tym? No wiesz. Nie rozważałaś tego?

– Czasem.

Winter pochyliła się i Cyte zeszywniała. Miała przyspieszony

oddech i Winter widziała pulsującą żyłkę pod białą skórą szyi.

– Cyte – powiedziała.

– Tak? – odpowiedziała dziewczyna głosem, który bardziej przypominał pisk.

– Chcesz, żebym cię pocałowała?

– Ja nie... to znaczy... tylko jeśli... – Głos Cyte przeszedł w ledwie słyszalny szept. – Tak.

Winter pocałowała ją.

Z początku Cyte tak zeszywniała ze strachu, że było to jak całowanie posągu. Ich usta niezdarnie przywarły do siebie. Potem rozluźniła się odrobinę i lekko rozchyliła wargi. Miały smak trunku z zielonej butelki, mocnego i miętowego.

Zaledwie sekundę później Cyte odsunęła się.

– Nie – wymamrotała. – Nie, nie, nie.

– Cyte...

– Przepraszam – powiedziała Cyte, zrywając się na równe nogi.

– Nie powinnam była tego robić. Jestem pijana. Bardzo, bardzo, bardzo pijana. Muszę iść.

– Zaczekaj. Proszę.

– Przepraszam. – Cyte znów miała oczy pełne łez. – Ja nie... to znaczy... – Otarła oczy i potrząsnęła głową. – Dobranoc.

– Ja... – zaczęła Winter, lecz Cyte już wyszła, za klapę namiotu i w ciemność.

No cóż. Winter ciężko opadła na posłanie. Całe ciało mrowiło ją po tym przelotnym kontakcie. Niech to szlag.

Ranek przyniósł ból głowy jakiego nie miała od czasu kampanii

w Khandarze. Winter, jęcząc, wylała resztę zawartości butelki na ziemię obok namiotu, potem wyłopała wodę z czajnika i posłała żołnierza po więcej.

Kiedy ktoś poskrobał w klapę namiotu, niemal spodziewała się zobaczyć Cyte, lecz zamiast niej zobaczyła Bobby. Ciemne kręgi pod oczami dziewczyny świadczyły, że ona też świętowała zwycięstwo. Winter zaczęła się zastanawiać, jak ona wygląda. Dobrze, że nie mam tu lustro, stwierdziła.

– Dzień dobry, generale – powiedziała Bobby, wnosząc stos papierów.

– Dzień dobry – odpowiedziała Winter, nieufnie spoglądając na papierzyska. – Nie wiem, czy jestem już w stanie się tym zająć.

– Nic pilnego, generale. Wczorajsze listy ofiar oraz porannych dostaw.

– Jakie mamy straty?

– Niemal żadnych – odparła Bobby. – Jeden zabity w akcji z pułku Sevrana, chłopak, któremu pocisk armatni praktycznie wpadł w podolek. Jeden z ludzi de Koste’a omyłkowo dwukrotnie nabił muszkiet i ten wybuchł mu w twarz. Większość pozostałych to powierzchowne obrażenia od drzazg i upadków. W najgorszym razie kilka złamanych kończyn.

Dwaj ludzie nie żyją, pomyślała Winter. Dwaj jej podkomendni, na których powinno jej zależeć tak samo jak na pozostałych. Tymczasem uśmiecham się, ponieważ jest o wiele lepiej, niż mogło być. Pomyślała, nie po raz pierwszy, że wojna to dziwna rzecz.

– A zatem przejrzę te raporty później. Coś pilniejszego?

– Janus wydał rozkaz, by każdy pułk wyznaczył drużyny do chowania zabitych.

Winter skrzywiła się. Po dwóch dniach walk niektóre ciała na równinie z pewnością były w bardzo złym stanie. Jednak nie da się tego uniknąć. Jest piekielnie wielu zabitych Murnskajczyków i ktoś musi ich pogrzebać.

– Poproszę, żeby zgłosiły się na ochotnika.

– Cyte kazała powiedzieć, że zajmie się tym. Już od rana zaczęła organizować drużyny.

Cyte. Miniona noc pozostawiła w głowie Winter zamęt, nie tyle dlatego, że była pijana, ale ponieważ niezupełnie rozumiała, co właściwie się stało. Pocałowałam Cyte. A ona uciekła. I teraz najwyraźniej woli spędzić dzień z gnijącymi trupami, niż rozmawiać ze mną. Cała ta sprawa miała w sobie coś ze snu i Winter wołała się nad tym nie zastanawiać. A może po prostu nie mam pojęcia, co teraz zrobić, skwitowała w duchu.

– Ponadto – ciągnęła Bobby – Alex prosiła o chwilę rozmowy.

– Dobrze – rzekła Winter, wdzięczna za odwrócenie uwagi. – Masz z nią jakieś problemy?

– Żadnych, generale. Zachowuje się wzorowo. Anne-Marie i kilka innych dziewczyn bardzo się do niej przywiązały.

Winter skinęła głową. Zastanawiała się, czy nie zostawić dziewczyny z taborami. Gdyby jednak była Penitentem – w co Winter coraz trudniej było uwierzyć po ich kolejnych rozmowach – to największe szanse powstrzymania jej ataku miałyby ona sama i Bobby. Tak więc dziewczyna uczestniczyła w męczącym przemarszu do Bskoru, nie narzekając na złe drogi i błoto. Sądząc po jej wyglądzie, kiedy ją znalazłam, przeszła gorsze rzeczy, uznała Winter.

– Zobaczę się z nią teraz – oznajmiła. – Nadal jest w namiocie?

– Chciała spotkać się w lesie – odparła Bobby. – Zamierza coś zademonstrować. Sama ją tam przyprowadzę, jeśli mogę. Na wszelki wypadek.

Winter skinęła głową. Bobby znów zasalutowała i wysliznęła się na zewnątrz, mijając się z żołnierzem niosącym pełny dzbanek lodowato zimnej wody. Po kolejnym długim łyku i wizycie w latrynie Winter znów poczuła się niemal człowiekiem. Wciąż łupało ją w głowie, ale przynajmniej nie raziło ją światło dnia.

Bobby i Alex spotkały się z nią na skraju obozu, po czym razem przeszły za linię wart i na skalisty leśny teren ciągnący się wzdłuż grani. Khandarka wyglądała znacznie lepiej: wprawdzie miała na sobie bure murnskajskie odzienie i niebieską wojskową kurtkę, ale jej policzki odzyskały kolor i jeśli dokuczała jej rana w boku, to nie było tego po niej widać.

– Rozumiem, że powinnam ci pogratulować – powiedziała.

Winter spojrzała na nią.

– Dlaczego?

– Odniosłeś zwycięstwo, czyż nie?

– Och. – Winter wzruszyła ramionami. – Ta bitwa była wygrana, gdy tylko Janus przeciął murnskajską linię dostaw. Trzeba było tylko czasu, żeby księżę Vasil to zrozumiał.

Czasu i bardzo wielu trupów.

– Czy Janus naprawdę jest taki dobry?

– Dobry to niewłaściwe słowo. On jest... – Winter szukała odpowiedniego wyrażenia. – Jakbyś patrzyła na dorosłego grającego w piłkę z gromadką dzieci.

– Zatem wygląda na to, że przychodząc do was, podjęłam słuszną decyzję. – Alex popatrzyła wokół. – Chyba jesteśmy już

dostatecznie daleko.

– W porządku. – Winter założyła ręce na piersi. – Co chcesz mi pokazać?

– Mojego demona. Hm, nie jestem żołnierzem... – Alex zawahała się. – Jak mam się do ciebie zwracać?

Winter roześmiała się.

– Oficjalnie? Generale dywizji Ihernglass. Jednak równie dobrze możesz nadal mówić mi Winter.

– Dobrze. Chyba obiecałam, że coś ci zademonstruję. Przybyłam tu, aby pomóc w walce z Kapłanami Czerni i Przeklętym Penitentem. Tak więc powinieneś wiedzieć, co potrafię, a sądzę, że wydobrałam już na tyle, żeby ci to pokazać.

– W porządku. Cóż więc potrafisz?

– Mówiłam ci, że jestem złodziejką. – Alex uśmiechnęła się promiennie. – Byłam w tym bardzo dobra, nawet bez demona. Jednak to mi pomogło.

Podniosła ręce i nieco przydługie rękawy niebieskiej kurtki zsunęły się z jej chudych przedramion. Przy jej dłoniach urosły kule ciemności, powiększając się tak, że skryły je aż po nadgarstki. Winter poczuła, że Wszystkożerca poruszył się w głębi jej jaźni.

Z jednej kuli wystrzeliła czarna nić, tak szybko, że Winter nie mogła nadążyć za nią wzrokiem. Owinęła się wokół pnia pobliskiej sosny, około sześciu metrów nad ziemią. Alex pobiegła w kierunku tego drzewa, skoczyła i nić ciemności uniosła ją tak, że dziewczyna wbiegła po pniu i przywarła doń, wysoko nad ziemią. Wisiała tam przez chwilę, spoglądając na las wokół. Potem uniosła drugą rękę, wypuszczając następne takie czarne włókno, które śmignęło w powietrzu i chwyciło sąsiednie drzewo. Winter zaparło dech, gdy

dziewczyna skoczyła i z wesołym okrzykiem przeleciała w powietrzu na końcu tej magicznej liny. Gdy znalazła się na drugim drzewie, czarny sznur znikł, a Alex odbiła się od pnia, zrobiła salto i wylądowała na ziemi.

– Przepraszam – powiedziała. – Trochę mnie poniosło. Minęło sporo czasu i już zapomniałam, jaka to frajda.

– Robi wrażenie – mruknęła Winter.

– To nie wszystko – powiedziała Alex. Spochmurniała, ale odwróciła się i wyciągnęła ręce w kierunku pnia złamanego drzewa. Dwie włócznie ciemności wystrzeliły z jej dłoni i przebiły na wylot wyschnięte drewno. Na moment znieruchomiały, po czym wygięły się, w wyniku czego pień zaczął trzeszczeć i rozleciał się w drzazgi. Alex opuściła ręce, kule ciemności znikły, a ona odwróciła się do dwóch pozostałych kobiet.

– Ach – powiedziała Winter. Zastanowiła się. – Możesz to zrobić z człowiekiem?

Bobby niepewnie zerknęła na Winter. Ta nie odrywała oczu od Alex, która przez długą chwilę spoglądała na poszycie lasu.

W końcu nabrała tchu i skinęła głową.

– Mogę.

– A zrobisz, jeśli cię o to poproszę?

– Ja... – zaczęła Alex i zamilkła.

– Nie jesteś żołnierzem – powiedziała Winter. – Jednak jeśli chcesz nam pomóc, może będziesz musiała się nim stać.

– Nie chcę walczyć z jakimiś biednymi murnskajskimi draniami, którzy nic mi nie zrobili – odparła Alex. – Jednak jeśli to będą Kapłani Czerni lub ich słudzy, zrobię, co będzie trzeba.

– Chyba trudno odmówić ci racji – powiedziała Winter i po

chwili namysłu wyciągnęła rękę. – Witamy w drugiej dywizji.

– Dziękuję.

Gdy uścisnęły sobie dłonie, Wszystkożerca poruszył się niespokojnie. Nagle bestia w duszy Winter jakby zwróciła się w innym kierunku, jak zwierzę dostrzegające coś na horyzoncie.

Alex obróciła głowę, spoglądając przez ramię.

– Poczuliście coś?

– Nie wiem. – Winter popatrzyła na Bobby, która pokręciła głową. – Lepiej wracajmy do obozu.

– Taak. – Alex otuliła się kurtką. – Zimno dzisiaj jak na wiosenny dzień.

CZEŚĆ DRUGA

Pontifex Czerni

Zniszczona? – W drżącym głosie pontifeksa Bieli brzmiała nuta niedowierzania.

– Zniszczona – potwierdził pontifex Czerni. Mimo okoliczności z mimowolną satysfakcją patrzył, jak opada maska pewności siebie tego starca. – Może kilka oddziałów kawalerii zdołało uciec. Los księcia Vasila jest nieznany.

– Czy twoi informatorzy mogą się mylić?

– Niemożliwe – wtrącił się pontifex Czerwieni. – Zaczynam otrzymywać podobne raporty, choć najwidoczniej moje metody nie są równie szybkie jak naszego brata Czerni. Wygląda na to, że armia imperatora została zdecydowanie pokonana.

Pontifeksowie Bieli i Czerwieni siedzieli na swoich miejscach przy trójkątnym stole. Pontifex Czerni, zbyt wzburzony, by pozostać w fotelu, przechadzał się tam i z powrotem po sali.

– Vhalnich przyjdzie do Elizjum – rzekł. – Tak powiedział i nie ma powodu, aby wątpić w jego słowa.

– Elizjum stoi od tysiąca lat – przypomniał pontifex Bieli, odzyskując nieco pewność siebie. – Jedna bitwa to nie wojna. Dorsay wciąż jest w polu, a cesarz zbierze następną armię. Obojętnie jak będzie się miotał Vhalnich, nie może liczyć na to, że w nieskończoność będzie zmieniał bieg historii.

Ty ślepy głupcze, pomyślał pontifex Czerni. Dokładnie tak, jak

przewidziała Bestia.

– Nie musi w nieskończoność zmieniać biegu historii – rzekł, panując nad szalejącym w nim gniewem. – On nie walczy z Borelem ani Murnskim. Przychodzi po nas. Ma spuściznę Króla Demonów i chce zetrzeć Elizjum z powierzchni ziemi, żeby uwolnić wszystkie bestie, które tak długo trzymaliśmy w okowach. Ten jeden cios może przekreślić wszystkie osiągnięcia Kościoła od czasu świętego Ligamentiego.

– Nie sądzisz, że trochę za bardzo dramatyzujesz? – rzekł Biały.

– Chociaż nie zamierzam udawać, że znam pobudki Vhalnicha – odparł Czerwony – to muszę przyznać, że sytuacja wygląda poważnie. Nie jestem generałem, ale umiem patrzeć na mapę. Polkhaiz leży zaledwie sto pięćdziesiąt mil stąd w linii prostej i nie ma tam żadnych znaczących sił, które mogłyby go powstrzymać. Uderzenie na jego tyły mogłoby go spowolnić, lecz diuk Dorsay zdaje się nie mieć na to ochoty.

– Za co zostanie ukarany, kiedy będzie po wszystkim – warknął Biały. – Bardzo dobrze. Mój Czarny bracie, skoro wydajesz się tak pobudzony, czy słusznie przypuszczam, że masz jakiś plan?

– Czas na wstrzymywanie się z czymś dawno minął – odparł Czarny. – Przekłęci Penitenci zrobią, co w ich mocy, ale to może nie wystarczyć. Nie mam innego wyjścia, jak wypuścić Starą Wiedźmę.

Na moment przy stole zapadła cisza.

– Starą Wiedźmę z Lodowych Lasów – beznamiętnie rzekł Biały. – Serce Murnska.

– Potwora, na którego pokonanie, jeśli wierzyć naszym zapisom, poświęcono sto lat i życie tysięcy ludzi – powiedział

Czerwony. – Chcesz użyć go jako broni?

– To najskuteczniejsza broń w naszym arsenale – odrzekł Czarny.

– Czy można ją kontrolować? – zapytał Biały.

– Do pewnego stopnia. Przez bardzo długi czas pozostawała w naszej mocy i jej obecne wcielenie jest przynajmniej... uległe. Jednak jego działania są... hm... nieprzewidywalne.

– I, jeśli wierzyć zapisom, to znów niedopowiedzenie – zauważył Czerwony. – Mówisz o śmierci tysięcy ludzi.

– Dziesiątków tysięcy – poprawił Czarny. – Co najmniej.

– To absurd! – wrzasnął Biały. – To nasi wierni!

– I oddaliby życie za Kościół, gdybyśmy ich poprosili – rzekł Czarny. – To niczym się nie różni.

– Nie ma innego wyjścia? – bezradnie zapytał Czerwony.

– Moja sakwa ze sztuczkami nie jest bezdenna, bracia – odparł Czarny. – To moja ostatnia atutowa karta.

Zapadła długa cisza.

– Zatem musimy nią zagrać – uznał Czerwony. – Niech Bóg się zlituje nad nami wszystkimi.

Czarny uśmiechnął się pod swoją maską.

– Niech Bóg się zlituje nad Janusem bet Vhalnicem.

Bo ja nie zamierzam, dodał w myśli.

– Poślij wieść do plemion zamieszkujących tundrę za Bateria – rozkazał pontifex Czerni, gdy schodzili po spiralnych schodach do podziemi. – Wykorzystaj wszystkich, którzy są nam coś winni. Chcę mieć tylu jeźdźców, ilu zdołają zebrać.

– Tak jest, wasza ekscelencjo – powiedział skryba. – Czy dotrą do nas przed Vhalnicem?

– Po prostu to zrób. – Vhalnich nigdy nie dotrze do Elizjum, pomyślał.

– Jak każesz, panie. – Skryba przerzucił papiery. – Lustro spotkał się z Cieniem, w pobliżu wojsk Dorsaya. Pyta, czy życzysz sobie usunięcia Dorsaya.

– Jeszcze nie. – Dorsay działał teraz wbrew interesom Kościoła, lecz jeszcze się przyda, gdy Vhalnich zostanie pokonany. Później się z nim policzymy. – Każ mu czekać w gotowości.

– Co ma powiedzieć diukowi Orlance?

– Cokolwiek, byle ten się zamknął – warknął pontifex Czerni. Gorąco pragnął, aby okoliczności pozwoliły mu pozbyć się tego pompatycznego vordanajskiego arystokraty. Niestety, Orlanko był jedynym możliwym kandydatem do rządzenia Vordanem, kiedy rewolucja zostanie zdławiona, a Raesinia zamknięta w celi, gdzie jej miejsce. Nigdy nie powinienem był go słuchać. Orlanko był ewidentnie zapatrzonym w siebie durniem, ale gdy obejmie władzę, łatwo nim będzie manipulować.

– Tak jest, wasza ekscelencjo.

– Zaczekaj tutaj – rozkazał pontifex Czerni. – Nie będę tam długo.

Do celi w podziemiach pod górą wiodło troje kolejnych drzwi, każde zamykane i otwierane innym kluczem, którego przysięgł bronić nawet za cenę swego życia. Kiedy wszystkie zostały otwarte, pontifex przeszedł przez nie do wąskiej i ciasnej, wykutej w skale celi. Uwięziona tam postać wisiała na jednej ze ścian, a okowy na jej przegubach były połączone łańcuchami z ogniwami

osadzonymi w kamieniu. Żelazna obręcz otaczała jej głowę, jak zbyt duża korona, podtrzymując metalową płytę zasłaniającą oczy. Chociaż przebywała w wiecznych ciemnościach, podniosła głowę, gdy pontifex Czerni wszedł do jej celi, słysząc nawet cichy szmer jego cizem na kamieniach.

– Cześć, Zacharze – powiedziała Bestia.

Pontifex Czerni z rozmysłem nie zareagował. Bestia lubiła przypominać mu, kim jest, i że pomimo świeżego młodego ciała ma wiedzę demona, sięgającą wielu wieków wstecz. Znała jego prawdziwe nazwisko, które porzucił, gdy został przeorem swego zakonu, ponieważ pamiętała go z czasów, gdy jako młody człowiek służył poprzedniemu pontifeksowi Czerni.

– Jak przebiegła narada z twymi braćmi? – spytał stwór.

– Pontifex Bieli był temu niechętny – odparł pontifex Czerni.

– Tak jak ostrzegałam – powiedziała Bestia. – Twój poprzednik bardzo dokładnie go opisał. Ten człowiek niczego nie lubi bardziej od kłótni. Ufam, że go przekonałeś?

– Owszem. – Pontifex Czerni zmarszczył brwi. – Wiedziałaś, że Vhalnich pokona armię imperatora. Skąd?

– Ponieważ Janus bet Vhalnich ma obsesję. – Bestia nachyliła się nieco, aż zabrzęczały łańcuchy. – Poświęci wszystko, żeby osiągnąć to, czego chce, i to daje mu przewagę. Przybywa po ciebie, drogi Zacharze.

– Nie dotrze do Elizjum.

– Nie byłabym tego taka pewna – zadrwiła Bestia. – Lekceważenie uporu Vhalnicha cię zgubi.

– Niczego nie zamierzam lekceważyć – rzekł pontifex Czerni. – Masz coś użytecznego do powiedzenia?

– Jaki niewdzięczny – mruknęła Bestia, mierząc go niewidzącymi, zasłoniętymi oczami. Chociaż pontifex był w swych wspaniałych szatach, a stwór nagi i przykuty do ściany, słysząc jego głos, Zachar miał wrażenie, że jest na odwrót. – Czyż dotychczas nie byłam przydatna?

– Dostarczyłaś... kilku wskazówek. – Bestia posiadała ogromną wiedzę. Korzystanie z niej bez narażania swej duszy przypominało spacer po ostrzu brzytwy, lecz w tych ciężkich czasach pontifex nie mógł zrezygnować z jakiegokolwiek przewagi. Już pomogła mu wymanewrować braci w Radzie. I zna Vhalnicha! – Myślę jednak, że nie mówisz wszystkiego, co wiesz.

– Lista wszystkiego, co wiem, jest bardzo długa, Zacharze – powiedziała Bestia. – Musisz zadawać właściwe pytania.

– Dość.

Odwrócił się i skinął na strażników.

– Znów przyjdiesz się ze mną zobaczyć – powiedziała Bestia. To nie było żądanie, ani nawet rozkaz. Tylko przepowiednia. – Kiedy wróg stanie pod murami.

– Ja tu wydaję rozkazy, nie ty – mruknął pontifex. – Potworze. Bestia się roześmiała.

Przyszła wiosna, nawet do Elizjum. Szczyty gór wciąż spowijał biały całun, lecz w połowie ich wysokości, tam gdzie miasto twierdza przywarło do zbocza, nietrwale ciepło wabiło rzadkie trawy i wczesne polne kwiaty. Słońce wisiało na bezchmurnym niebie. Pontifex Czerni pocił się pod swymi grubymi szatami i obsydianową maską.

Skwar zapewne jeszcze bardziej dokuczał dwom stojącym przed nim kobietom, ale jeśli tak było, to niczym tego nie zdradzały. Jedna z nich była wysoka i chuda, a druga niska i krępa, muskularna. Obie miały na sobie futrzane płaszcze i skórzane stroje, włącznie z grubymi rękawicami i butami. Ich twarze były niewidoczne, zasłonięte czarnym materiałem nabijanym tysiącami odłamków obsydianu, tworzącego błyszczące maski. Za nimi czekały mocno obładowane cztery juczne konie.

– Rozumiecie, jakie jest wasze zadanie? – spytał pontifex.

Reszta jego świty stała nieco dalej, poza zasięgiem głosu. Niepodobna, żeby Vhalnich miał szpiegów w samym Elizjum, ale nie można tego całkowicie wykluczyć. Lepiej zachować ostrożność.

Obie kobiety skinęły głowami.

– Bądźcie ostrożne – rzekł. – Rozumiem, że bardzo chcecie spełnić swój obowiązek. Jednak możecie być ostatnią nadzieją Kościoła, a może i świata. Zaczekajcie na odpowiedni moment.

– Tak, wasza ekscelencjo – beznamiętnie powiedziała niższa. – Nie zawiedziemy cię.

– Służycie nie tylko mnie, ale nam wszystkim. – Pontifex z szacunkiem schylił głowę. – Szanujemy wasze poświęcenie.

Odpowiedziały jednogłośnie.

– Ahdon ivahnt vi, ignahta sempria. „Boże, błogosław nas, Przeklętych Penitentów”.

– Idźcie.

Odeszły, ciągnąc za sobą małe, pewnie idące konie. Pontifex obserwował to w ponurym nastroju. Od początku starał się nie ryzykować utraty swych cennych Penitentów, unikając ich bezpośredniej konfrontacji z Vhalnichem. Jednak czas rozwagi

minął. Tak jak powiedział swoim braciom z Rady, zamierzał wykorzystać wszystkie pozostałe mu atuty.

Do Elizjum wiodło wiele bram, w większości dawno zamkniętych i zapomnianych, co było bardzo użyteczne dla Kapłanów Czerni. Ta, z której teraz skorzystali, była przed stu laty przejściem dla służby i tylko nieliczni pamiętali o jej istnieniu. Wiodła na wąską skalną ścieżkę, która przecinała rwący strumień, po czym meandrami schodziła do połowy góry, gdzie łączyła się z główną drogą. Była idealna dla tych, którzy chcieli wejść do fortecy lub ją opuścić, nie przyciągając niczyjej uwagi.

Dwaj Kapłani Czerni trzymali otwarte drzwi. Dwaj kolejni czekali w środku, trzymając chudego mężczyznę w łańcuchach. Więzień nie wyglądał groźnie: w istocie, gdyby kapłani go nie podtrzymywali, chyba nie byłby w stanie samodzielnie zrobić nawet jednego kroku. Z pewnością nie przypominał legendarnego potwora, który budził grozę ludu przez ponad tysiąc lat.

Gdyż jeszcze przed narodzeniem Karisa, a nawet przed pojawieniem się tyranów Mithradacji wieśniacy Murnska opowiadali straszliwe historie o Starej Wiedźmie z Lodowych Lasów. Matki ostrzegały dzieci, że Stara Wiedźma zabierze je, jeśli będą nieposłuszne, a wioski składały ofiary w jej świątyniach w najciemniejszych zakątkach miejscowych lasów. Mówili, że każda społeczność, która nie odda jej hołdu, wyginie w trakcie niekończącej się okrutnej zimy i zostanie na zawsze pod śniegiem oraz lodem, nawet wtedy gdy do reszty świata przyjdzie lato.

Wiele wieków wcześniej, w trakcie swych nieustannych prób wykorzenienia resztek herezji z odludnych krańców Północy, poprzednicy pontifeksa szukali prawdy kryjącej się w tych

legendach. Spodziewali się, że niczego nie znajdą, gdyż nawet w czasach Króla Demona na każdego prawdziwego czarnoksiężnika czy demona przypadały setki mitycznych i wymyślonych. Byli jednak zmuszeni walczyć z wiecznie żywym w tych skutych lodem lasach sekretnym kultem, którego sercem było imię demona przechodzące przez pokolenia z matki na córkę.

Kapłani Czerni wygrali tę wojnę, chociaż zajęło im to sto lat. Wyplenili ten kult i zawlekli Starą Wiedźmę, plującą i wrzeszczącą, aż do Elizjum. Gdy najsroższa zima, jaką pamiętano, skuła lodem twierdzę, kaci wydobyli imię demona z torturowanej kobiety i od tego czasu był on jedną z najpotężniejszych bestii uwięzionych w menażerii Kościoła.

Młodzian, który obecnie nosił w sobie tego demona, był zupełnie wyczerpany męką wypowiedania jego imienia. Patrząc na to wychudłe ciało, sterczące pod skórą żebra i zapadniętą klatkę piersiową, pontifex odgadł, że niedługo będzie trzeba szukać nowego nosiciela. Jeśli Kościół przetrwa. Potrząsnął głową. Teraz ważne było tylko to, żeby ten nieszczęśnik był należycie posłuszny – o wiele za słaby na duchu i ciele, żeby być Przeklętym Penitentem, ale gotowy wykonywać polecenia w zamian za jedzenie i łagodne traktowanie – jak tresowane zwierzę.

Jeden z dwóch kapłanów, którzy go pilnowali, odszedł od swego podopiecznego, skłonił się i przemówił do pontifeksa.

– Wasza eksceleńcja rozumie – rzekł wyraźnie zdenerwowany – że on nie jest w stanie kontrolować swojego demona tak dobrze, jak niektórzy poprzedni nosiciele. Jeśli Stara Wiedźma zostanie uwolniona, będzie w pełni swych sił. Konsekwencje...

– Jestem świadomy tych konsekwencji – rzekł pontifex. –

Zróbcie to.

– Tak, wasza ekscelencjo.

Kapłan skinął na swojego towarzysza, który nachylił się i szepnął coś do ucha więźniowi. Nieszczęśnik skrzywił się i kapłan znów powiedział mu coś, po czym tamten się skulił. W końcu z przygnębieniem skinął głową. Zamknął oczy i uniósł ręce, wyraźnie drżąc z wysiłku.

Przez długą chwilę nic się nie działo. Pontifex już nabrał tchu, żeby rzucić gniewne pytanie, ale zawahał się.

Dzień nadal był słoneczny i pontifex wciąż się pocił w swoich grubych szatach. Nagle jednak zerwał się wiatr, wiejący z północy i niosący znajomą woń śniegu.

Ręce więźnia drżały nie tylko z wysiłku naprężonych mięśni. Trząśnięcie jak osika i oczy zapadły mu w głąb czaszki. Z jego ciała zaczęła się unosić ku niebu biała mgła, niczym dym. Najpierw kilka, a potem więcej smużek utworzyło słup gęstej mgły, całkowicie go spowijający i sięgający w górę tak wysoko, jak pontifex sięgał wzrokiem. Nieliczne pasma chmur nad nimi rozpadły się, rozszarpane i rozrzucone nadprzyrodzoną siłą.

Nagle i niespodziewanie ta mgła gwałtownie eksplodowała, tworząc białą ścianę, która lodowato zimnym strumieniem przemknęła obok pontifeksa i po zboczu góry. Znikła w mgnieniu oka, pozostawiając za sobą chłodne, nieruchome powietrze. Więzień osunął się w ramiona jednego z opiekujących się nim kapłanów.

– Zrobione? – zapytał pontifex, patrząc w górę.

– Tak, wasza ekscelencjo. – Kapłan spojrzał na nieprzytomnego nosiciela demona. – Chociaż może minąć trochę czasu, zanim...

– Dobrze. Zabierzcie go do środka.

– Tak jest, wasza ekscelencjo.

Obaj podnieśli swego podopiecznego i przenieśli go z powrotem przez bramę. Pontifex został tam jeszcze przez chwilę, gapiąc się nań. Pod maską jego wargi wygięły się w uśmiechu.

Daleko na północy, na horyzoncie, masa czarnych chmur zaczęła się rozlewać jak plama na błękitnym niebie.

Dziesięć Raesinia

Dwa dni po triumfalnym połączeniu obu skrzydeł Wielkiej Armii zaczęło padać naprawdę.

Raesinia nie była obecna przy zwycięskiej bitwie, ale wystarczająco blisko, by słyszeć huk dział. Gdy wrócił Piekielnik i jego kawalerzyści, wieść o triumfie rozeszła się po obozie jak pożar, na długo przed wszelkimi oficjalnymi meldunkami. Jeszcze pokonani Murnskajczycy nie zdążyli umknąć z pola bitwy, a już zaczęto świętować.

Następnego dnia obóz przeniesiono na przedmieścia samego Polkhaiz, ostatniego z wielu nędznych murnskajskich miasteczek, które na krótko nabrały znaczenia dzięki znajdującym się w pobliżu mostom. Jak zwykle, większość mieszkańców uciekła i opuszczone domy zostały zajęte przez wyższych oficerów. Raesinia nie chciała zamieszkać w żadnym z tych domów i kazała służbie rozbić namiot na skraju obozu. Częściowo dlatego, że pomysł zajmowania domostwa jakiegoś biednego murnskajskiego mieszczanina uważała za nieco upiorny, ale głównie po to, żeby maksymalnie ułatwić ewentualny kontakt z nią Whalerowi lub innemu agentowi Dorsaya.

Tak jak przewidział diuk Brookspring, Janus zmiótł główną przeszkodę stojącą mu na drodze do Elizjum, i to zaledwie w kilka

dni. Jeśli miała się nadarzyć jakaś szansa, żeby zapobiec wojnie religijnej, której tak bardzo obawiał się Dorsay, to powinna pojawić się szybko. Raesinia bez konfrontacji z Janusem nie mogła jawnie zaproponować imperatorowi zawarcia pokoju, tak więc była zmuszona polegać na tajnych działaniach. Sothe wysłała posłańców, lecz ponieważ księżę Vasil zaginął i być może poległ, na wszystkich szczeblach murnskajskich władz panowało zamieszanie. Minie trochę czasu, zanim jej propozycja zostanie wysłuchana, a tym bardziej rozważona.

Czas, czas i jeszcze raz czas. A ten nie był po jej stronie, miała pewność. Nie było już cienia wątpliwości, że Wielka Armia może dotrzeć do Elizjum przed nadejściem zimy. Tak więc ścigała się z czasem, usiłując stworzyć odpowiednie warunki do negocjowania pokoju, zanim Janus przekreśli tę możliwość, bezczeszcząc najświętsze sanktuarium Kościoła Zaprzysiężenia.

A przy okazji zniszczy Kapłanów Czerni, którzy chcą zamknąć mnie w lochu, gdzie szeszę. Raesinia robiła, co mogła, żeby oswoić się z tą myślą. Powtarzała sobie, że i tak ma zaledwie kilka lat, zanim zacznie się rzucać w oczy to, że się nie starzeje. Wtedy nie będzie miała innego wyjścia, jak „umrzeć” i odejść... dokądś. Zanim to się zdarzy, muszę mieć pewność, że podążamy właściwą drogą.

W tych okolicznościach deszcz powinien ją cieszyć. Zaczął padać, gdy Wielka Armia – oprócz piątej, siódmej i dziewiątej dywizji, które zostały pilnować Polkhaiz i linii dostaw – rozpoczęła marsz na północny wschód od Syzrii. Przez kilka ostatnich tygodni zdarzały się przelotne deszcze, ale ten był inny – nie krótki, nagrany słońcem deszczyk, lecz porządna ulewa, lodowato zimna pomimo wiosennej pory. Droga Pielgrzyma, nawet przy pogodzie

niewiele lepsza od polnej ścieżki, natychmiast zmieniła się w grząskie bagno i piechota musiała maszerować poboczami, gdzie grunt był twardszy. Działa i wozy nie miały tyle szczęścia, więc trzeba było najpierw podwoić, a potem potroić ich obsadę, żeby przeciągać odporne wozy przez błota.

W rezultacie marsz był powolny, sześć mil pierwszego i jeszcze mniej następnego dnia, co oznaczało, że teraz czas jest po stronie Raesinii. Jednak miała dość tego deszczu tak samo jak wszyscy, przez cały dzień przemoczona do nitki i opryskiwana gęstym żółtym błockiem. Na dodatek zaczynało brakować żywności, gdyż wozy z dostawami wlokły się daleko za kolumnami piechoty.

– Jest bałagan – rzekł Marcus. Był u niej na kolacji po raz pierwszy, od kiedy odłączył się od głównej kolumny, żeby poprowadzić atak na Bskor. – Jazda próbuje sprowadzić wszystkich spóźnialskich.

– Jeśli nie przestanie padać, będzie jeszcze gorzej – stwierdziła Raesinia. Dziabnęła widelcem zwiędłą zieleninę na talerzu, uważnie przyglądając się Marcusowi. – A konwoje z zaopatrzeniem jadące z północy, z Vantzolku i Tsivny, nie mają łatwiejszego zadania.

– To nie potrwa długo – zapewnił ją Marcus. – Wszyscy miejscowi twierdzą, że to nietypowa pogoda o tej porze roku.

Raesinia nie rozwijała tego tematu. Od kiedy Joanna bezwiednie podsunęła jej pomysł, jak oddzielić armię od Janusa, o wiele trudniej było jej rozmawiać z Marcusem.

Wojsko posłucha swoich dowódców. Ten prosty fakt powinien być oczywisty od początku dla wojskowego, lecz Raesinia, przywykła do luźniejszej dyscypliny jej rewolucjonistów, nie

pojmowała tego, dopóki nie zapytała Joanny i Barely, co by zrobiły, otrzymawszy sprzeczne rozkazy. Aczkolwiek poszczególni żołnierze teoretycznie byli lojalni wobec Janusa, większość z nich nigdy się z nim nie zetknęła i nie mogła wiedzieć, czego on chce. Tak więc Raesinia musiała mieć po swojej stronie dowódców. Gdyby istotnie doszło do najgorszego, czyli do jej bezpośredniej konfrontacji z pierwszym konsulem, chciała mieć generałów po swojej stronie.

Powinni to jednak być wszyscy generałowie, a przynajmniej przytłaczająca ich większość, żeby spór nie przerodził się w prawdziwą walkę. Raesinia nie mogła znieść myśli o tym, że Vordanajowie mogliby zwrócić się przeciwko sobie, po tak strasznym rozlewie krwi w wyniku rewolucji. Z tą myślą poprosiła Sothe, by zbadała możliwość oddzielenia dowódców Wielkiej Armii od Janusa.

Teraz w kolumnie szło pięć dywizji oraz jazda i główna rezerwa artylerii. Sothe zameldowała, że z tych ośmiu dowódców na kilku już może liczyć. Generał dywizji Vaian Solwen, dowódca trzeciej, był zagorzałym rojalistą, tak samo jak Piekielnik. Dowódca ósmej, Christopher de Manzet, był dowódcą mianowanym przez ojca Raesinii, jednym z niewielu pozostałych „królewskich” wyższych oficerów.

Z innymi byłoby trudniej. Czwartą dywizją dowodził Morwen Kaanos, kolonialny weteran i nieprzejednany wróg szlachty. Według Sothe gorąco wierzył w nowy rząd, tak więc mógł popierać każdego, kto miał pełnomocnictwa Zjazdu Generalnego. Ephraim Tadula, dowodzący artylerią, był niedoszłym kapłanem i byłym podkomendnym Vahkersona, tak więc podejrzewała, że trudno byłoby przeciągnąć go na swoją stronę, aczkolwiek artylerzyści byli

nieliczni w porównaniu z pozostałymi oddziałami.

Tak więc pozostawali Fitz Warus z pierwszej dywizji i Winter Ihernglass z drugiej oraz Marcus. On był najważniejszy. Cieszył się takim samym zaufaniem żołnierzy jak Janus i brał większy udział w codziennym życiu armii. Ponadto z jego słowem liczyli się inni dowódcy, szczególnie należący do kolonialnych, i nie widzieli nikogo innego, kto mógłby wpłynąć na Fitza i Winter.

Marcus był również absolutnie i irytująco odporny na wszelkie sugestie, że Janus może nie być ideałem. Raesinia wielokrotnie próbowała podsuwać mu taką myśl, każdorazowo otrzymując stanowcze zapewnienia, które równie dobrze mogłaby usłyszeć od samego pierwszego konsula. Pod koniec każdego takiego wieczoru miała ochotę wtłuc mu trochę rozsądku do głowy.

Gdyby się odsłoniła, mówiąc mu o tym wszystkim; prosząc, by opowiedział się po którejś stronie, na dobre przekroczyłaby granicę. Ponieważ czułby się zobowiązany powiedzieć o wszystkim Janusowi, co byłoby jak rzucenie mu rękawicy, uznała. Zrobiłaby to tylko w ostateczności, tak więc nadal krążyła wokół tego tematu, gdy armia wlokła się na północ, dzień za dniem, w niekończącym się deszczu.

– Dobrze, że Wasza Królewska Mość zechciała się ze mną spotkać
– przywitał ją Whaler.

Miał na sobie długi płaszcz z kapturem, śliski i ciężki od deszczu, choć w ciągu ostatniej godziny zimna ulewa przeszła w mżawkę.

– Szalałam z niecierpliwości – powiedziała Raesinia. – Masz jakieś nowiny od Murnskajczyków?

Stali na skraju obozu, dostatecznie daleko od linii wart, by żaden żołnierz ich nie podsłuchał, a Sothe z kilkoma swoimi ludźmi pilnowała z drugiej strony, żeby nikt im nie przeszkodził.

Borelgajski szpieg westchnął.

– Deszcz wszystko utrudnił. Nawet dla kurierów na dobrych koniach drogi są poważnym problemem.

Raesinia zgrzytnęła zębami, rozczarowana.

– Nic?

– W każdym razie żadnych dobrych wieści. Wygląda na to, że księżę Vasil zginął, zabity w walce lub w trakcie ucieczki. Według informacji, jakie mamy z murnskajskiej armii, imperator mianował księcia Dzurka dowódcą tego, co z niej zostało.

– Już? – zdziwiła się Raesinia. – Chyba niespecjalnie dba o swoich synów.

– Jest ich tylu, że ma z czego wybierać – odrzekł Whaler. – Jednak ta nominacja źle nam wróży. Vasil był dobrze znany jako głęboko wierzący i byłby gotów bronić Elizjum za wszelką cenę. Dzurk prędzej zawrze jakąś ugodę.

– Niech twój dowódca opowie mu o okropnościach niecywilizowanej wojny – zaproponowała Raesinia. – Potrafi mówić o tym z niezwykłą pasją.

– Niestety wątpię, czy przyniosłoby to zamierzony efekt. Wojna w Murnsku nigdy nie była zbyt cywilizowana. – Whaler przechylił głowę. – Jakiś postęp po waszej stronie?

– Niewielki – przyznała Raesinia. – Generał kolumny d'Ivoire odgrywa kluczową rolę, ale jest za bardzo związany z Janusem.

– Można go kupić?

– Marcusa? – Raesinia zaśmiała się gorzko. – Niepodobna.

– Królowa ma znacznie więcej do zaoferowania niż pieniądze – rzekł Whaler. – Zrób go hrabią. Do diabła, zrób go diukiem. Obiecay mu miejsce w radzie.

Potrząsnęła głową.

– On nie pragnie władzy.

– A zatem czego? Każdy czegoś chce.

„Większość ludzi tak naprawdę nie jest strasznie skomplikowana. Pragną władzy, wygod lub seksu i różni ich tylko sposób, w jaki realizują te pragnienia. Odkryj czyjeś najskrytsze pragnienie, a będziesz miał dźwignię, która zapewni ci kontrolę nad tym człowiekiem”.

– Nie wiem – powiedziała w zadumie. – Myślę jednak, że mogę się dowiedzieć.

Poruszyła tę kwestię po niezbyt dobrej kolacji złożonej z twardego mięsa, suchego chleba i zupy. Patrzyła ponuro w talerz i usiłowała wykrzesać z siebie energię do uporania się z ostatnim kawałkiem tłustej wołowiny.

– Kucharz przeprasza – powiedziała. – Prawdę mówiąc, prawie we łzach. Kiedy zaczyna brakować żywności, nawet w królewskiej kuchni odczuwa się braki.

– Przekaż mu, że zdziałał cuda – uspokoił ją Marcus, maczając piętękę chleba w resztkach zupy. – Widzę, co wszyscy jedzą.

– Jak długo możemy tak wytrzymać? Mam na myśli, jeśli wciąż będzie padał deszcz. Słyszałam, że konwoje mają problemy z dotarciem do Polkhaiz, nie mówiąc już o doganianiu armii.

– Tutaj nie możemy się zaopatrywać – wyjaśnił Marcus. Tak jak poprzedni, i ten obszar był coraz słabiej zaludniony, w miarę jak oddalali się od rzeki. – Jednak nawet przy tak powolnym

tempie w kilka dni dotrzemy do doliny Kovrii. Tam zdobędziemy prowiant w okolicznych miasteczkach. – Zniżył głos. – Janus zamierza także wysłać ekspedycję w dół rzeki. Zbiorą wszystko, co się da, i wyślą nam barką, co powinno być znacznie łatwiejsze niż transport po tych tak zwanych drogach.

Jak zawsze pokłada nieograniczoną wiarę w Janusie. Raesinia powstrzymała westchnienie. Spojrzała na dach namiotu, lekko obwisły w miejscu, gdzie zbierała się woda, i zmieniła taktykę.

– Czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

Marcus wyprostował się.

– Wasza Królewska Mość może mnie pytać, o co chce.

Raesinia żartobliwie przewróciła oczami.

– Już ci mówiłam, żebyś przestał mnie tytułować.

– Przepraszam – rzekł z uśmiechem Marcus. – Co chcesz wiedzieć?

– Powiedzmy, że zniszczymy Elizjum i bezpiecznie wrócimy do domu. Co wtedy?

Marcus wydał usta.

– Zapewne znów zaczniemy stawiać kraj na nogi. Chociaż Borelgajowie może nie tak od razu zawrą pokój, gdy wojska Dorsaya wciąż są w polu. Może będziemy musieli ich wyprzeć z wyspy Ecco...

– Nie to miałam na myśli – przerwała mu Raesinia. – Pytałam, co to oznaczałoby dla ciebie. Jesteś generałem kolumny Wielkiej Armii. Co będziesz robił?

– O tym zdecydujesz ty i Janus – odparł Marcus. – Generał kolumny też jest żołnierzem, więc wykonuję rozkazy.

– A kiedy w końcu nastanie pokój?

To najwyraźniej go poruszyło. Z dziwnym wyrazem twarzy popatrzył na nią zza stolika i milczał przez chwilę.

– Nie jest to coś, nad czym się zastanawiałem – rzekł po namyśle. – Kiedy ostatnio w Vordanie panował pokój, ja byłem jeszcze w Khandarze.

– Zapewne mogłabym załatwić ci powrót do tego kraju – rzekła Raesinia. Miał to być żart, ale Marcus poważnie potraktował jej słowa.

– Może – powiedział. – Jednak... nie wiem. Czy wiesz, dlaczego w ogóle tam się znalazłem?

– Niezupełnie. Wiem, że twoja rodzina zginęła w pożarze.

Skinął głową.

– Moi rodzice zginęli. Wtedy po prostu chciałem wyjechać jak najdalej. Mój przyjaciel dostał przydział do Khandaru, który wydał mi się najodleglejszym z dostępnych krańców świata.

– Jednak postanowiłeś wrócić na wieść o rewolucji?

– Nie tylko – odparł po długiej chwili Marcus. – W kolonialnych oddziałach mieliśmy... szpiega. Agentkę diuka Orlanki, która... zbliżyła się do mnie. Kiedy odkryłem, kim jest, powiedziała mi, że nie znam prawdy o tym, co się stało z moimi rodzicami, oraz że mogłaby mi ją wyjawić. Kiedy było po wszystkim, Janus obiecał mi, że spróbuje się dowiedzieć, co miała na myśli.

– Co się stało z tą agentką?

– Zabiłem ją – odrzekł Marcus tonem niezachęcającym do dalszych pytań.

Znów zapadła cisza.

– Ach. – Raesinia zawahała się. – Jeśli nie chcesz o tym mówić...

– W porządku. To, co teraz powiem... jesteś pierwszą osobą, której to mówię. Dziwnie się czuję, wyznając to królowej.

– Lubię uważać, że jesteśmy przyjaciółmi – cicho powiedziała Raesinia.

– Wiem. – Zrobił głęboki wdech. – Po upadku Konkordatu schwytałem niektórych jego szpiegów. Janus złamał szyfr ich archiwów i przysłał mi akta. To Orlanko kazał podpalić nasz dom. Jego agenci zabili moich rodziców.

– Och, Marcusie, tak mi przykro...

– Zabawne było to – ciągnął – że zanim się dowiedziałem, na kim powinienem się zemścić, już to zrobiłem. Nie ma Orlanki, a jego Konkordat jest zniszczony. Pozostała mi tylko... – Zawahał się. – Ellie.

– Ellie?

– Moja siostra. – Marcus zacisnął zęby. – Ona żyje. Ja to wiem. Akta Konkordatu dowodzą, że przeżyła pożar. Została wysłana do jakiegoś sierocińca na południu, ale spłonął potem do cna. Nie zachowały się żadne dokumenty i nikt z tych, którzy tam byli, a których zdołałem odnaleźć, nie pamięta Ellie d'Ivoire. Jednak ona gdzieś jest, żywa. – Usiadł wygodniej i odetchnął. – Jeśli kiedyś naprawdę nastanie pokój, zamierzam ją odnaleźć. Ona jest całą moją rodziną, jaka mi została.

Raesinia skinęła głową, z zamętem w myślach. To może być to. Jeśli ta dziewczyna żyje i jest gdzieś, była gotowa się założyć, że Sothe może ją znaleźć. Zwłaszcza zaś, dysponując wszystkimi zasobami Korony. Tylko co to da? – zastanawiała się. Ellie d'Ivoire

zapewne była gdzieś w Vordanie, tysiąc mil stąd, a oni z pewnością nie zdołają jej odnaleźć przed zakończeniem tej kampanii.

– Może Janus mógłby w tym pomóc – ciągnął nieświadomy jej rozterek Marcus. – Jestem pewny, że mógłby coś wymyślić. Jak zawsze.

– Tak – mruknęła Raesinia. – Jest w tym dobry.

– A co z tobą? – spytał Marcus, nieco zbyt gwałtownie. – Co ty byś zrobiła, gdyby nastął pokój? Zapewne znów spierałabyś się ze Zjazdem Generalnym o konstytucję.

Raesinia pokręciła głową.

– Muszę pomyśleć o następcy.

– Przecież nie ma z tym pośpiechu. – Zmarszczył brwi. – Wciąż jesteś... młoda.

Zamilkł i Raesinia o mało się nie roześmiała.

– Właśnie. Prędzej czy później ktoś zauważy, że wyglądam teraz dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy miałam osiemnaście lat. Nie możemy w nieskończoność tłumaczyć tego chorobą.

– Chyba że Janus zdoła coś z tym zrobić.

Wydawało się, że Marcus chciał powiedzieć coś jeszcze, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

– To możliwe. Mam jednak alternatywny plan. Kiedy ustąpię, Vordan będzie potrzebował nowego władcy. Tak więc powinnam pomyśleć o małżeństwie i dzieciach, zanim zejdem ze sceny.

– Och. – Marcus miał niewyraźną minę. – Przepraszam. O tym nie pomyślałem.

– Miałam dużo czasu, żeby oswoić się z tą myślą. A potem... kto wie? Pewnie będę mogła swobodnie wędrować po świecie. Może

zobaczę Khandar.

– Jeśli tak – rzekł Marcus, posyłając jej uśmiech – jest taka kafejka w Ashe-Katarionie, którą musisz odwiedzić. Narysuję ci mapę.

Raesinia uśmiechnęła się w odpowiedzi, po czym oboje odwrócili głowy, gdy ktoś poskrobał w klapę namiotu.

– Wasza Królewska Mość? – zawołała służąca. – Jest goniec do generała kolumny.

– Wpuść go tu – poleciła Raesinia.

– Marcusie! – Andy wetknęła głowę do namiotu. – Raes! Musicie wyjść i to zobaczyć!

Oboje wstali, przy czym Marcus w pośpiechu zawadził szablą o stolik. Kiedy wychodzili przed namiot, Raesinia niemal oczekiwała buchających w niebo płomieni, ale w obozie nadal panował idealny porządek i nie było widać oznak paniki, jaką wywołałby nieoczekiwany atak nieprzyjaciela. Za to wszędzie wokół widziała ludzi spoglądających na szare niebo z wyraźnym zdumieniem.

– Co się dzieje? – warknął Marcus.

Andy, lekko utykająca, skinęła na niego i wskazała w górę.

Raesinia wyciągnęła szyję, nie wiedząc, na co ma patrzeć. Marcus zerknął w niebo, potem na gapiących się ludzi i zmarszczył brwi.

– Andy – rzekł. – Co to ma...

Coś zimnego spadło Raesinii na czubek nosa.

Winter

Krople deszczu ściekały z daszka jej czapki i Winter po dwóch godzinach musiała przerwać mecz piłki ręcznej.

Zawody między kompaniami wznowiono po zwycięstwie pod Bskorem, gdzie Pierwszy Dziewczęcy i królewscy Sevrana pokazali reszcie dywizji, na czym polega ta tradycja zapoczątkowana w trakcie kampanii Velt. Wprawdzie nie było tyle wolnego czasu co podczas powolnego marszu do Gaafen, lecz wszyscy tak dobrze się przy tym bawili, że Winter nie miała serca tego przerwać, choć następnego ranka widywała podkrążone oczy. Gdy zatrzymali się pod Polkhaiz, Abby zorganizowała całodniowy turniej, który przyciągnął widzów z całej armii. Zgodnie z przewidywaniami laury przypadły jednej z kompanii jej pierwszego batalionu, po zażartym meczu z drużyną trzeciego pułku de Koste'a. Winter widziała stojącą przy bocznej linii Alex, która wymieniała pełne podekscytowania okrzyki z zawodniczkami Pierwszego Dziewczęcego.

Winter kazała pułkownikom ostrzec żołnierzy, że być może po rozpoczęciu marszu na północ tych spotkań nie da się kontynuować. Miała rację, ale z innego powodu, niż się spodziewała. Przemarsze trwały krótko, ze względu na utykające w błocie działa i tabory, ale deszcz był tak ulewny, że mecze zmieniały się w zapasy. Obie drużyny brodziły po kostki w błocie, pokryte nim od stóp do głów, szukając piłki, która opadła na dno zagłębienia wypełnionego gęstą mazią.

W końcu Hanna Courvier wymogła na Winter przerwanie zawodów, gdy pewnego młodzieńca z czwartego pułku tak długo

przytrzymano zanurzonego w błocie, że stracił przytomność. Wprawdzie udało się go uratować, lecz Winter nie mogła odmówić chirurg racji i ogłosiła remis przy chóralnym jęku kibiców.

– I dobrze – skwitowała Hanna, gdy tłum półnagich żołnierzy pokrytych błotem się rozszedł. – Cały ten chłód i wilgoć wywołują choroby. Jeśli tak będzie dalej, to pół dywizji będzie nam wykasływać płuca lub wyrzygiwać wnętrzności, wspomnisz moje słowa.

– Ta pogoda musi się kiedyś zmienić – powiedziała Winter, gniewnie zerkając w niebo.

Tak mówili wszyscy, gdy racje stawały się coraz mniejsze, a na mokrej skórze pojawiały się otarcia i pęcherze. Ta pogoda musi się kiedyś zmienić. Winter powlokła się z powrotem do swojego namiotu, w namokniętych buciorach ciężkich jak z ołowiu. Tak przywykła do kulenia się w ulewnym deszczu, że gdy w końcu znalazła się pod brezentowym dachem, dopiero po chwili wyprostowała ramiona. Najpierw sprawdziła, czy maszty się nie przekrzywiły; błotnista ziemia i ciężar wody w ciągu kilku ostatnich dni doprowadziły do zwalania się wielu namiotów, z najrozmaitszymi skutkami, od zabawnych po groźne.

Ściągnęła kurtkę i koszulę, czując się niebezpiecznie odsłonięta w samym dopasowanym podkoszulku, który – zupełnie przemoczony – przywarł do skóry i pokazywał to, co chciała ukryć. Pospiesznie zmieniła go na czysty – a przynajmniej suchy, gdyż teraz nic nie było zupełnie czyste – po czym krzywiąc się, ponownie włożyła wilgotną koszulę. Niestety, żadna z pozostałych nie była w lepszym stanie. Od wielu dni nie mogła porządnie się umyć, jedynie z grubsza wycierała brud wilgotną szmatą. Żołnierze

zarzucili zwyczaj kąpieli w najbliższym strumieniu; po prostu stali przez kilka minut nago w lodowato zimnych strugach dżdżu, czego Winter z oczywistego powodu nie mogła robić, tak więc kisła się we własnym pocie.

Ktoś poskrobał w klapę namiotu, ledwie słyszalnie w bębniącym deszczu. Winter upewniła się, że ma zapiętą koszulę, po czym zawołała:

– Wejść!

Bobby zajrzała do środka.

– Przyszli pułkownicy, generale. Jest pan gotowy ich przyjąć?

– Przyślij ich tu. – Winter zawahała się, po czym dodała: – Jest tu Cyte?

– Nie, generale. Powiedziała, że musi coś sprawdzić na wozach z dostawami. – Bobby zmarszczyła brwi. – Czy coś się z nią dzieje? Ostatnio jest strasznie zajęta.

Winter wzdrygnęła się. Jeśli Bobby to zauważyła, to już za późno, by zrobić coś, co naprawiłoby sytuację. Liczyła – nieco tchórzliwie, musiała przyznać – że Cyte sama dojdzie do siebie. Na jaja Bestii, zaklęła w duchu. Mam nadzieję, że nie spieprzyłam tego nieodwracalnie. Bez niej nie dam rady dowodzić dywizją.

– Porozmawiam z nią.

– Mam jej powiedzieć, żeby zameldowała się u ciebie?

– Nie! Ja... znajdę ją później. – Winter przeciągle westchnęła. – Wprowadź tu pozostałych.

Abby i de Koste weszli razem, śmiejąc się z czegoś. Sevrans był posępniejszy, a Blackstream zdecydowanie ponury. Zdjąwszy buty i płaszcze – co wprawdzie było nieco swobodne w obecności przełożonego, ale lepsze od zmoczenia całego namiotu – zebrali się

wokół niskiego stołu, siadając na wilgotnych poduszkach.

– No dobrze – zagaiła Winter. – Myślę, że wyrażę zdanie wszystkich tu obecnych, mówiąc, że mamy dość tego pieprzonego deszczu. – Zerknęła na dach namiotu, w który deszcz bębnił z niesłabnącą siłą. – Niestety Karis najwyraźniej nie przyjmuje rozkazów, nawet od generałów dywizji. Zatem jak wygląda sytuacja?

– Morale wydaje się nadal dobre – zameldowała Abby. – Trochę narzekania na zmniejszone racje, ale po brodzeniu w błocie nawet szeregowi żołnierze rozumieją trudności z zaopatrzeniem.

– To jednak może się zmienić – rzekł Sevrán. – Głodni ludzie stają się mniej wyrozumiali.

– Ta pogoda kiedyś musi się zmienić – powiedział de Koste, nieświadomie wtórując myśłom Winter. – Ponadto mamy zapasy. Jedzenie jest monotonne, ale głód nam nie grozi.

– Bardziej niepokoją mnie choroby – zauważył Blackstream. – To w najlepszym razie niezdrowy tryb życia, a deszcz pogarsza sprawę. Widziałem, jak kaszel i gorączka zabierały więcej ofiar niż kule armatnie.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli się przejmować katarem – rzekł de Koste.

– Pułkownik Blackstream ma rację – powiedziała Winter, widząc gniewne spojrzenie starego wiarusa. – Hanna Courvier mówiła mi to samo. Pułkowniku, czy możemy coś z tym zrobić, czekając, aż deszcz przestanie padać?

Blackstream odchrząknął.

– Po pierwsze, dopilnować, żeby ludzie nie pili wody z kałuż. Tylko płynącą wodę albo z beczek. Picie brudnej wody to najlepszy

sposób, żeby się rozchorować. I wszyscy powinni spać bosą, rozwiesiwszy skarpety, żeby wyschły.

– Mówisz jak moja matka – mruknął de Koste.

Abby zachichotała.

– Grzybica stóp to nie żart – ostrzegł Blackstream. – Znałem kiedyś żołnierza, który przez tydzień deszczu nie zdejmował butów z nóg. Kiedy w końcu się rozebrał i ściągnął skarpety, ciało odeszło razem z nimi, aż widać było białe kości.

– Czarujący obraz – zauważyła Winter. – Niech wszyscy pamiętają o zmienianiu skarpet. A teraz, gdzie jest Archer?

– Jeszcze przy działach – odparła Abby. – Wciąż grzęzną w błocie.

– Żadna niespodzianka – stwierdził Sevrán. – Jeśli Janus chce, żebyśmy walczyli, to powinien dać nam kilka dni, żeby artyleria mogła nas dogonić.

– To niedopuszczalne – zaprotestowała Winter. – Powinniśmy być przygotowani.

– Na co? – spytał de Koste. – Murnskajska armia jest rozbita.

– Murnsk to duży kraj – przypomniała Winter. – Cesarz ma inne armie. I zawsze są partyzanci.

De Koste prychnął.

– Nie będziemy potrzebować dział, żeby rozprawić się z bandą wieśniaków.

– Pułkownik – warknęła Winter, tracąc cierpliwość. – Nie chcę być zmuszona wyjaśniać pierwszemu konsulowi, że moja dywizja nie jest w stanie wykonywać rozkazów, z jakiegokolwiek powodu. Zrozumiano?

– Tak jest, generale – odparł de Koste ze szczerą skruchą.

– Mam pomysł, generale – odezwał się Sevrán. – Ponieważ piechota i tak będzie czekać na tabory, to może wysłalibyśmy drużyny, żeby pomogły je przyciągnąć? Wydaje się, że kilkuset ludzi mogłoby usprawnić transport.

– To na pewno im się nie spodoba – rzekła Abby.

– Zróbcie to – poleciła Winter. – Jeśli będziemy musieli walczyć, brak dział spodoba im się jeszcze mniej. Niech pomagają je przeciągać na zmiany. – Uśmiechnęła się. – Zróbcie z tego zawody. Zamiast meczów piłki ręcznej.

Było więcej takich prozaicznych problemów spowodowanych przez deszcz i błoto. Winter po kolei załatwiła wszystkie, które zgłaszali pułkownicy, a potem zwolniła ich, każąc im uważnie sprawdzać listy chorych. Wszyscy zbierali się do wyjścia, lecz Winter skinieniem kazała Abby zostać jeszcze chwilę.

– To dobrze, że przyjaźnisz się z de Koste’em – powiedziała, gdy zostały same. – Jednak proszę, nie zachęcaj go, żeby był dupkiem.

Abby pokraśniała.

– Przepraszam. Po prostu Blackstream to taki łatwy cel.

– Wiem. Jednak ma większe doświadczenie niż my wszyscy razem wzięci, więc nie zrażaj go.

– Tak jest, generale. De Koste nie jest taki zły, naprawdę. Tylko... hałaśliwy.

Winter z namysłem spojrzała na podkomendną. Czy może się w tym kryć coś więcej? Abby i Jane były kochankami, co oznaczało, że Abby również miała to, co Cyte nazywała „chorobą tyrana”, ale... Może u niej ma ona łagodny przebieg. Winter w myślach wzruszyła ramionami.

– Jeszcze coś? – spytała Abby.

– Nie w tym momencie. Tylko dopilnuj, żeby przekazano wszystkim przestrożę Blackstreama. Większość Pierwszego Dziewczęcego to mieszkanki Vordanu, zatem wątpię, aby były przyzwyczajone do deszczu i błota.

– Rozumiem, generale. – Abby zawahała się. – Miałam zapytać o Cyte...

Winter powstrzymała jęk.

– Wiem. Pracuję nad tym.

– W porządku, generale. Nie spiesz się.

Gdy Abby włożyła przemoczony płaszcz i odeszła, Winter przez chwilę siedziała za stołem, bębniąc palcami w cienką deskę. W końcu zawołała Bobby.

– Czy możesz powiedzieć komuś, żeby miał oko na namiot Cyte? – poprosiła. – Niech da znać, kiedy ona wróci.

– Oczywiście, generale. Mam ją wtedy przyprowadzić?

– Nie. Myślę, że wpadnę do niej.

Lepiej nie dawać jej kolejnej sposobności do ucieczki.

Winter uświadomiła sobie, że nigdy nie była w namiocie Cyte. Przysługiwał jej osobny jako kapitanowi, chociaż nie większy od tych, które dzielą szeregowi żołnierze. Winter poskrobała w klapę, skulona w ulewnym deszczu.

– Chwileczkę. – W głosie Cyte słychać było zmęczenie. – Kto tam?

– Winter.

Cisza. Winter zgrzytnęła zębami.

– Wiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać – odezwała się – ale proszę, weź po uwagę, że tu leje jak z cebra.

– Przepraszam – powiedziała Cyte. Winter usłyszała szmery. – Wejdz.

Musiała schylić głowę, wchodząc. Na środku namiotu wisiała lampa i dopiero po chwili oczy Winter oswoiły się z półmrokiem. Cyte siedziała na posłaniu; miała ręce założone na piersi, a ciemne włosy zlepione i rozczochrane. Kurtka jej munduru leżała na ziemi, zupełnie przemoczona i ubłocona.

– Nie chciałam cię zaskoczyć – Winter zdjęła swoją – ale zaczęło wyglądać na to, że nie mam innego wyjścia.

– Przepraszam – powtórzyła Cyte. Nie patrzyła przełożonej w oczy. – Byłam... zajęta.

– Nie jestem aż tak głupia. Jesteś moim oficerem sztabowym i zawsze jesteś zajęta, ale zazwyczaj nie znikasz mi na kilka dni. – Winter ściągnęła buty i usiadła naprzeciw Cyte. – Musimy porozmawiać.

– Ja... – Cyte nabrała tchu. – Muszę przeprosić za... to, co się stało.

– Dlaczego miałabyś przeproszać? – zdziwiła się Winter. – O ile dobrze pamiętam, to zapytałam, czy chcesz, żebym cię pocałowała, a ty powiedziałaś, że tak, więc to zrobiłam. Czy się mylę?

Cyte zaczerwieniła się. Gwałtownie skinęła głową.

– Zatem jaka w tym twoja wina?

– To ja poruszyłam ten temat – rzekła Cyte.

– Zadałaś pytanie, a ja na nie odpowiedziałam. Co...

– Posłuchaj – powiedziała z błagalną miną Cyte. – Bardzo chciałabym, żebyśmy po prostu... zapomnieli o tym. To był błąd.

To się już nie powtórzy.

Winter zmusiła się do uśmiechu, ukrywając, jak bardzo zaboląły ją te słowa.

– W porządku.

Cyte zamrugała zbity z tropu.

– Naprawdę?

– Lubię uważać, że jesteśmy przyjaciółkami – powiedziała Winter. – Byłabym kiepską przyjaciółką, gdybym zignorowała taką prośbę. Chciałam się tylko upewnić, że nie będziesz się ukrywać przede mną.

– Słusznie. – Cyte odetchnęła i przyglądała rękami rozczochrane włosy. – Słusznie. Masz rację, oczywiście. To było... nieprofesjonalne z mojej strony.

– Dywizja cię potrzebuje, kapitanie. Szczególnie teraz.

– Rozumiem, generale. – Cyte wyprostowała się. – Przyjmij moje przeprosiny.

– Jasne. – Winter przełknęła ślinę. – To wszystko. Oczekuję, że jutro rano wrócisz do swoich obowiązków.

– Tak jest, generale.

Winter powoli skinęła głową i wstała, pochylając głowę, żeby nie dotknąć nią brezentu. Włożyła wciąż mokre buty i kurtkę, czując na plecach zbyt intensywny wzrok Cyte. Jakaś część jej umysłu wciąż miała nadzieję na coś, na jakieś słowo, ale zegnała ją tylko cisza. Winter spojrzała przez ramię, a Cyte odwróciła głowę, kuląc się na posłaniu.

– Dobranoc, kapitanie.

– Dobrej nocy, generale.

I nagle Winter znów stała na deszczu przed namiotem. Czuła bolesne skurcze w brzuchu i ściskanie w gardle.

No cóż. Potrząsnęła głową. To chyba oznacza, że muszę znaleźć kogoś innego, z kim będę mogła pić.

Skrobanie w klapę namiotu wyrwało ją ze snu. Winter usiadła półprzytomna i sięgnęła po przyciemnioną lampę stojącą przy jej pościeli.

– Kto tam? – spytała ochryplym głosem. – Czy coś się stało?

– To ja.

– Cyte? – Winter zamrugnęła. – Wejź.

Klapa namiotu odchyliła się i Cyte weszła do środka. Ociekała wodą, która powiększała błotnistą kałużę przy wejściu.

– Czy coś się stało? – powtórzyła Winter. Podkręciła płomień lampy i zawiesiła ją na maszcie namiotu. Teraz zobaczyła, że dziewczyna jest w opłakanym stanie, z przekrwionymi oczami i włosami zwisającymi w mokrych strąkach. Nie miała na sobie płaszcza i deszcz przemoczył jej koszulę.

– Dlaczego mnie o to poprosiłaś? – spytała Cyte.

– Co? – Winter potrząsnęła głową. – Nie wiem, o czym...

– Dlaczego zapytałaś, czy chcę, żebyś mnie pocałowała?

Serce Winter zatrzymało się na jedno uderzenie.

– Myślałam, że mamy o tym zapomnieć.

– Winter...

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Cyte z przygnębieniem kiwnęła głową.

Winter nabrała tchu.

– Ponieważ myślałam, że do tego zmierzasz – powiedziała. – I ponieważ pomyślałam, że nie miałabym nic przeciwko temu.

– Tylko że... – Cyte potrząsnęła głową, aż zakołysały się jej zmierzwione włosy. – Dlaczego się zgodziłam?

– Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. Karis wie, że nie jestem... – Winter zawahała się. – Nie jestem ideałem. Pod wieloma względami.

– Nie bądź niemądra. Jesteś Winter Ihernglass. Podziwiam cię od czasu rewolucji. Jednak nie jestem... chcę powiedzieć, że nie mam... tej choroby. Nie. – Cyte spuściła wzrok, zaciskając pięści.

– Ja też nie wiedziałam, że ją mam – stwierdziła Winter. – Dopóki mi nie powiedziałaś. Po prostu wiedziałam, co czuję.

– A ja nie – rzekła Cyte. – Nie wiem, co czuję. Ja... – Zamilkła i w ciszy słychać było tylko szum deszczu na zewnątrz.

– Zechcesz usiąść? Tylko najpierw zdejmij buty. I tak jest tu dość błota.

Cyte pochyliła się i zaczęła gmerać przy sznurowadłach. Winter wstała i znalazła zapasowy koc, po czym położyła go obok stolika.

– Jesteś przemoczona – zauważyła. – Hanna mówiła mi, że trzeba unikać wychłodzenia.

– Racja. – Cyte owinęła się kocem i zadrzała. – W porządku. Rozważmy to logicznie.

– Czy to pomoże? – zapytała Winter, siadając naprzeciw niej.

– Nie mam pojęcia. Jednak tylko tak mogę o tym myśleć. – Cyte podciągnęła kolana, chowając nogi pod koc. – Chciałaś mnie pocałować.

– Chciałam.

– A ja powiedziałam, że możesz.

– Powiedziałaś.

– I zrobiłaś to.

– I co czułaś?

– Zaparło mi dech – powiedziała Cyte. – I myślałam, że serce mi eksploduje.

– Czy przedtem całowałaś się z kimś?

Cyte zmarszczyła brwi.

– Raz. Nazywał się Fetter Blalloc. Na przyjęciu z okazji Dnia Mądrości.

– I jaki był tamten pocałunek?

– Mokry. I trochę obleśny.

– Zatem zupełnie niepodobny do tego.

– Nie. – Cyte spojrzała na nią. – Chyba jednak dwa eksperymenty to za mało, żeby sformułować hipotezę.

Winter uśmiechnęła się.

– Najwyraźniej tak. Może powinnaś całować każdego napotkanego człowieka, aż zbierzesz dość materiału, żeby sformułować końcowy wniosek.

– Może – odparła z nikłym uśmiechem Cyte.

Zapadła niezręczna cisza. Winter z trudem powstrzymała się od bębnienia palcami w stół. Dlaczego nigdy nie wiem, co powiedzieć?

– zdenerwowała się w myśli.

– Napijesz się? – zapytała w końcu.

– Nie – odparła Cyte zaskakująco pewnym głosem. – Nie sądzę.

Wstała, pozwalając, by koc opadł na podłogę namiotu. Winter zamarła, gdy Cyte obeszyła składany stolik i usiadła przy niej.

– Cyte? – zapytała. – Co robisz?

Cyte położyła dłoń na jej ramieniu, pochylając się, co zaskoczyło Winter tak, że odchyliła się do tyłu i upadła na posłanie. Cyte uklękła na materacu, opierając dłonie po obu stronach jej głowy, i patrzyła na nią. Jej gęste włosy zwisały w strąkach, z których kropelki wody miarowo kapały na posłanie.

– Działam logicznie – powiedziała.

– To jest logiczne? – spytała Winter z sercem łomoczącym w piersi.

– Zgodziłaś się o tym zapomnieć. Jednak wróciłam tutaj. Cokolwiek wydaje mi się, że myślę, to chyba zupełnie jasno dowodzi, co myślę naprawdę. Mam rację?

– Nie mam pojęcia, co to znaczy – rzekła Winter.

– Nie jestem zupełnie pewna, czy to ma sens – odparła Cyte – ale zamierzam znów cię pocałować. W porządku?

– Jeśli jesteś pewna, że tego chcesz.

Cyte powoli opuściła głowę i pocałowały się. Tym razem trwało to dłużej i Winter zamknęła oczy. Poczowała, że Cyte przysuwa się, a potem coś mokrego i lepkiego dotknęło jej ramienia, wywołując mimowolny okrzyk.

Cyte usiadła, z szeroko otwartymi oczami.

– Coś nie tak?

– Przepraszam. – Winter też usiadła, ciężko oddychając. – Twoja koszula. Jest bardzo zimna i mokra.

– Och.

Cyte popatrzyła na siebie. Potem szybkim ruchem złapała za rąbek koszuli i ściągnęła ją przez głowę razem z podkoszulkiem.

Kiedy spojrzała na Winter, jej mina – wyrażająca jednocześnie nadzieję, strach, podniecenie i bezbronność – sprawiła, że Winter zapragnęła wziąć ją w ramiona i nigdy nie wypuścić.

– Twoja koszula też wygląda... – Cyte zawahała się zarumieniona – na trochę wilgotną.

– Wiesz co? – odparła Winter, walcząc z guzikami. – Możesz mieć rację.

Potem Winter leżała na wznak na materacu, nasłuchując w ciemności. Deszcz przestał padać, a oddech Cyte był cichy i regularny. Winter miała wrażenie, że jej kości zmieniły się w galaretę i można by ją całą wlać do kotła, jak zupę.

Nigdy nie spała z nikim poza Jane, nigdy nie dotykała nikogo prócz Jane. Obie znały każdy centymetr swoich ciał. Gdy Winter wróciła z Khandaru i odnalazła Jane, powrót do jej łóżka był jak powrót do domu, do czegoś niezapomnianego, za czym długo się tęskniło. I było doskonale – wcale nie nieporadnie czy niezręcznie, jakby nigdy się nie rozstawały.

Tym razem było inaczej. Przypominało Winter jej pierwsze doświadczenia z Jane, gdy całowały się i pieściły, z zapartym tchem odważając się posuwać nieco dalej podczas kradzionych chwil w szafach i pustych pokojach. Tylko że wtedy obie były niedoświadczone. Teraz, po początkowym zmieszaniu, Winter dobrze wiedziała, co robi, a Cyte okazała się zdolną uczennicą.

– Winter? – zapytała bardzo cicho Cyte. – Śpisz?

– Jeszcze nie.

– Muszę cię o coś zapytać.

– Nie wiem czemu – rzekła Winter – ale mam wrażenie, że już to przerabialiśmy.

– Przepraszam. To... sama nie wiem. Coś, nad czym się zastanawiam.

– Mów.

– Jesteś pewna, że to ci odpowiada?

– Cyte...

– Nie ze mną. Z... tym. Nie minęło wiele czasu, od kiedy Jane... odeszła. I myślałam...

– Co? Że się do tego zmuszam, żebyś poczuła się lepiej? – Winter przesunęła palcami po włosach Cyte. – Chyba przypisujesz sobie zbyt wielką zasługę.

– Ja po prostu wiedziałam, że jesteś nieszczęśliwa – rzekła Cyte. – To dlatego zaczęłam tu przychodzić, pamiętasz? A teraz... nie jestem pewna...

– Nic mi nie jest – powiedziała Winter, z większym naciskiem, niż zamierzała. – Jane... – Przez moment czuła ściskanie w gardle. – Odeszła. Zakochałam się w niej, gdy była wystraszoną dziewczyną w sierocińcu. Kiedy wróciłam do kraju, ona wyrosła i stała się inną osobą. Przez pewien czasu wmawiałam sobie, że ona się zmieni. Jednak tak się nie stało. A i ja... też nie jestem taka sama.

Cyte przysunęła się do niej, mocno przyciskając głowę do jej boku.

– Wciąż brakuje mi tamtej dziewczyny – wyznała Winter. – Zapewne zawsze tak będzie. Jednak to już przeszłość.

– Chyba rozumiem – powiedziała Cyte. A potem dodała bardzo cicho: – Kurwa.

– Co się stało?

– Jest tak przyjemnie, ciepło i wygodnie. – Westchnęła. – Jednak muszę się wysikać.

Winter zaśmiała się.

– Przynajmniej deszcz przestał padać.

Cyte mruknęła coś niecenzuralnego, po czym wstała i zaczęła szukać swojej koszuli i spodni. Winter leżała bez ruchu. Poczowała zimny powiew na nagiej skórze, gdy kłapa wejściowa odchyliła się i opadła. Po chwili znów się odchyliła i Winter usiadła na posłaniu, drżąc z zimna.

– Cyte? – Trudno było coś zobaczyć przy zgaszonej lampie. – To ty?

– Powinnaś to zobaczyć – odparła Cyte.

– Co się dzieje?

– Pada śnieg.

Marcus

– Śnieg – powiedział Janus.

– Najwyraźniej, pierwszy konsulu – odparł Marcus.

– W maju.

– To Murnsk, pierwszy konsulu.

– Nawet w Murnsku przychodzi lato – zauważył Janus, ze skupioną miną patrząc w niebo, jakby siłą woli chciał podporządkować sobie pogodę, lecz płatki śniegu sypały nadal. – Może na północnych pustkowiach lub wysoko w górach, ale tutaj? Nie.

– Jednak... – Marcus wskazał ręką bezradnie.

– Nie neguję rzeczywistości – rzekł z przelotnym uśmiechem Janus – tylko przyczynę. To nie jest naturalne. – Wyciągnął rękę i płatek śniegu wylądował na jego dłoni, aby przetrwać zaledwie moment, zanim stopniał. – Pontifex Czerni musi być zdesperowany.

– Sądysz, że to ich robota? – Marcus zniżył głos. – Przeklętych Penitentów?

– Czy można w to wątpić? Najpierw wielodniowa ulewa, a teraz śnieg w maju.

– Jednak... czy oni naprawdę potrafią to robić? – Marcus potrząsnął głową. Na myśl o Przeklętych Penitentach i ich demonach czuł się nieswojo, jakby jego świat chwiał się w posadach i lada chwila mógł runąć. Walczył z nimi kilkakrotnie, ale nie był pewny, czy kiedykolwiek naprawdę do tego przywyknie. – Kontrolować pogodę?

– Widziałeś chodzące trupy, Marcusie – odparł Janus. – Po czymś takim chyba powinieneś się wyzbyć wszelkich wątpliwości co do ich mocy.

Marcus zaniepokoił się.

– Chyba nie natkniemy się na nie znowu, prawda?

– Nie – rzekł Janus. – Tamten demon był jednym z Tysiąca Imion, które przejęliśmy w Khandarze. Jednak moce wielu demonów są zbliżone, więc nie zdziwiłbym się, napotykając jakiegoś Penitenta dysponującego podobnymi możliwościami. Teraz musimy być przygotowani na wszystko.

– Co możemy zrobić z tym śniegiem?

– A co nam pozostaje, jak nie maszerować dalej? – odparł

Janus. – Za dwa dni dotrzemy do Kovrii. Nasze drużyny zaopatrzeniowe przyślą nam zaopatrzenie barką, więc będziemy mogli zatrzymać się i odbudować zapasy. Potem wykonamy ostatni krok. – Spoglądał na horyzont, szary i daleki, jakby już widział mury Elizjum. – Już prawie tam jesteśmy, Marcusie. Prawie tam dotarłem.

– Tak jest, pierwszy konsulu – powiedział Marcus.

Janus zamrugał i znów na niego popatrzył, ze swym zwykłym przelotnym uśmiechem.

– Porozmawiaj z miejscowymi. Zapytaj, czy coś takiego już kiedykolwiek się zdarzyło i jak długo trwało. Jeśli to jakiś Penitent wpływa na pogodę, to jego moc musi mieć jakieś granice.

– Tak jest, pierwszy konsulu. – Marcus zasalutował i pospiesznie wyszedł.

Prawdę mówiąc, zrobił to z ulgą. Janus zawsze był trochę dziwny, ale od czasu rozbicia murnskajskiej armii zachowywał się wprost przedziwnie. Podstawowe kwestie związane z przemarszem – takie jak wyznaczanie tras i etapów, lokalizacja obozów i tysięcy innych szczegółów – zdawały się go już nie interesować, tak więc spadały na barki Marcusa. Bez pomocy Giforte'a i jego personelu zupełnie by się w tym pogubił.

A sytuacja była naprawdę poważna: konwoje dostawcze, grzęznące w błocie, nie były w stanie dostarczać prowiantu równie szybko, jak wojsko go spożywało, a ponieważ wszystkie środki transportu wykorzystywano do przewożenia żywności, zapasy wszystkiego innego szybko się kurczyły. Konie padały, pozostawiane na poboczach drogi lub beznadziejnie pogrążone w błocie, a złowieszcze ostrzeżenia chirurgów o przeziębieniach

i grzybicach skóry szybko okazały się prorocze. Dotychczas padający śnieg był błogosławieństwem w porównaniu z nieustanną ulewą, ale Marcus zaczynał się niepokoić. Nawet w samo południe słońce było ledwie widoczne za ciężkimi szarymi chmurami, a w nocy wartownicy musieli rozbijać skorupę lodu w beczkach z wodą.

Andy, już tylko lekko utykająca, dogoniła Marcusa, gdy wracał do obozu. Dopiero co ogłoszono postój i wyznaczone miejsce było niemal puste; pułki dopiero zaczynały schodzić z drogi, żeby rozbić namioty i rozpalic ogniska do ugotowania skromnej kolacji.

– Powiedział panu coś, generale? – zapytała Andy.

Marcus pokręcił głową.

– Chce, żebym wypytał miejscowych i dowiedział się, czy ktoś pamięta taką pogodę.

– To może być trudne – zauważyła. – Zwiadowcy mówią, że wszystkie napotykanne wioski są wyludnione.

– Idź i znajdź Piekielnika – polecił Marcus. – Powiedz mu, że musimy znaleźć paru Murnskajczyków, żeby z nimi pogadać, a także kogoś, kto zna ich język. Wątpię, czy tak daleko na północy mówią tu po vordanajsku.

– Już idę, generale.

Godzinę później Marcus, Andy i Piekielnik jechali na wschód z kilkunastoma żołnierzami eskorty. Dowódca jazdy wyjaśnił, że wioski na trasie ich przemarszu są opustoszałe, ale ludzie w osadach leżących dalej woleli pozostać w swoich domach. Ponadto znalazł porucznika Govroska, poważnie wyglądającego młodzieńca murnskajskiego pochodzenia, który znał ten język na tyle, że mógł być przydatny.

– Nigdy nie słyszeliście o śniegu w maju? – zapytał go Marcus.

– Nie mogłem słyszeć – odrzekł Govrosk. – Urodziłem się i wychowałem w Vordanie, generale. W naszym domu tylko moja babka mówiła w dawnym języku i dzięki niej trochę się go nauczyłem.

– Ach.

Znajdowali się na tyle blisko Kovrii, że znów pojawiły się oznaki cywilizacji. W porastających wzgórza lasach widać było ślady wyrębów, a długie i kręte polne drogi prowadziły do samotnych gospodarstw. Śnieg wciąż sypał, tłumiąc stukot końskich kopyt. Topił się na ziemi, powiększając błotniste kałuże, ale drzewa i krzaki pokrywał cienką warstwą bieli.

– Jakąś milę dalej powinna być wioska! – zawołał Piekielnik, jak zwykle jadący na czele kolumny. – Jeśli ta przeklęta mapa jest coś warta.

Jadąca obok Marcusa Andy nachyliła się do niego i zniżyła głos.

– Coś tu jest nie tak, generale.

– Oprócz śniegu w maju?

– Tak jest, generale. Oprócz tego. Wydawało mi się... – Wpatrzyła się w kurtynę sypiącego śniegu. – Sama nie wiem. Może mi się przywidziało.

Ta głucha, niemal kompletna cisza wydawała się złowroga. Marcus rozejrzał się i uświadomił sobie, jak niewiele widać.

– Masz dobre oczy – rzekł. – Miej je otwarte i krzyknij, jeśli coś zauważysz.

Nagle zapragnął, by ta wyprawa jak najszybciej się zakończyła. Jeśli tej wioski tam nie będzie, każe wracać do obozu, postanowił.

Jednak gdy przejechali niecałą milę, ze śniegu wyłoniła się

grupka chat z nieokorowanych bali. Było ich może tuzin, stłoczonych wokół kościółka wszechobecnego Zaprzysiężenia. Sądząc po spętanych zwierzętach i dymiących kominach, wioska jeszcze nie została opuszczona. Niewielki vordanajski oddział wjechał na centralny plac, na którym dywan trawy był teraz niemal zupełnie pokryty śniegiem.

– Wyjdźcie! – krzyknął Piekielnik. – Nikomu nie zrobimy krzywdy! – Szturchnął łokciem porucznika Govroska. – Powiedz im, że nie przyjechaliśmy nikogo krzywdzić, tylko porozmawiać.

Porucznik skinął głową, na moment zamknął oczy w namyśle, a potem zawołał coś w dziwnie brzmiącym murnskajskim. Marcus miał wrażenie, że dostrzegł jakiś ruch za okiennicami jednej z chat, ale nikt nie odpowiedział na wołanie.

– Powiedz im, że nie chcę rozwalać im drzwi – rzekł Piekielnik. – Jednak zrobię to, jeśli będę musiał. – Potarł dłonie. – Ale zimno, niech to szlag.

Govrosk przetłumaczył. I znów przez chwilę nie było żadnej reakcji. Potem drzwi domu obok kościoła otworzyły się, rzucając prostokąt światła na plac. Jakaś stara kobieta, zakutana w koce, stanęła w progu. Ktoś w środku krzyknął coś do niej, a ona w odpowiedzi wypaliła coś po murnskajsku.

– Co ona mówi? – zapytał Marcus.

Porucznik odkaszlnął zmieszany.

– Ta... hm... osoba w domu każe jej wracać, ponieważ wszyscy wiedzą, że Vordanajowie gwałcą każdą kobietę, którą złapią. A stara powiedziała, że... hm... – Lekko poczerwieniał. – W przybliżeniu, że jeśli chcemy z nią poswawolić, to nie ma nic przeciwko temu, bo nikt inny nie chciał już od wielu lat.

Zanim skończył to tłumaczyć, staruszka już maszerowała przez plac. Marcus zobaczył stojącego w drzwiach młodzieńca, nerwowo odprowadzającego ją wzrokiem, oraz kulące się za nim, ściskające jego kolana i patrzące szeroko otwartymi oczami dziecko. Zsiadł z konia i skinął na Andy oraz tłumacza, żeby zrobili to samo, po czym wyszedł z kręgu obserwujących chatę żołnierzy, na spotkanie staruszce.

– Kdja svet Murnskedj? – warknęła, po czym wyrzuciła z siebie potok słów, których Marcus nie był w stanie rozróżnić.

– Chce wiedzieć, czy mówimy po murnskajsku – powiedział Govrosk. – Ponieważ nie zamierza się uczyć żadnego z naszych pogańskich języków.

– Powiedz jej, że jestem Marcus d'Ivoire, generał kolumny Wielkiej Armii – rzekł Marcus. – Nie mamy zamiaru tu nikogo skrzywdzić. Chcemy tylko zadać jej kilka pytań.

Govrosk przełożył to i czekał na odpowiedź. Po jego wargach przemknął uśmiech.

– Ona mówi, że jest księżną Murnska i ma zaszczyt cię tu powitać, generale. Właściwie powinna cię opluć, ale jest gotowa odpowiedzieć na nasze pytania, jeśli zgodzimy się odjechać, zanim któryś z młodych ludzi spróbuje zrobić coś głupiego.

Marcus zachichotał i spróbował się uśmiechnąć do starej. Groźnie zmarszczyła brwi.

– Ten śnieg. Spytaj ją, czy zazwyczaj tu pada tak późną wiosną.

– Musisz być z południa – padła przetłumaczona odpowiedź. – Wszyscy południowcy myślą, że tu przez cały rok leży lód i śnieg. Myślicie, że co my tu jemy, jedni drugich?

– Czy pamięta, żeby kiedyś śnieg padał tak późno?

– Nie tutaj – odrzekła staruszka za pośrednictwem Govroska. – Jednak gdy byłam małą, mieszkałam na wschodzie, za Mokhbą. Matka opowiadała mi, że jednego roku zima nie chciała się skończyć i śnieg padał do czerwca, a deszcz aż do końca sierpnia. Pola były zbyt zamrożone, by je obsiać, a bydło pozdychało na pastwiskach. Połowa mieszkańców wioski umarła z głodu.

– Czy wie dlaczego? – zapytał Marcus. – Co się wtedy stało?

Staruszka zamilkła na moment, po czym warknęła coś do Govroska.

– Mówi, że jej pan nie uwierzy.

– Niech spróbuje.

Stara zapatrzyła się w dal, w odległą przeszłość. Powoli zaczęła mówić i Govrosk zmarszczył brwi.

– Ona mówi, że... pewien hrabia, miejscowy pan, miał piękną córkę. Pewnego dnia przybyli obcy w czarnych maskach i kazali, żeby im ją oddał. Hrabia był przestraszony, ale odmówił i zamknął dziewczynę w wieży. Ci obcy zapowiedzieli, że jego lud zginie, jeśli jej nie wyda, ale on się uparł. Tamtego roku lato nie przyszło. Jej matka mówiła, że to przez Starą Wiedźmę z Lodowych Lasów, którą ci obcy sprowadzili, żeby zabiła wszystkich. Wystarczająco wielu wieśniaków uwierzyło jej i oblegli dwór hrabiego. On skoczył z najwyższego okna dworu, a służby wydali jego córkę.

– I wtedy przyszło lato? – zapytał Marcus.

Staruszka pokręciła głową.

– Nie – przetłumaczył Govrosk. – Śnieg leżał przez całe lato i jesień. Dopiero rok później zrobiło się cieplej, ale w wiosce nie został niemal nikt, żeby to zobaczyć. Nawet wrony pozamarzały.

Cały rok. Trudno było sobie wyobrazić taką moc. Przeklęta

Penitentka, z którą walczył w Vordanie, mogła kontrolować ogień, spopielać ludzi spojrzeniem i zatrzymywać w powietrzu kule z muszkietów. Jednak sprowadzić zimę w środku lata... Jeśli to potrwa do zimy, nie tylko my poumieramy z głodu.

Staruszka powiedziała jeszcze coś. Govrosk przetłumaczył.

– Ona mówi, że tym razem to nasza wina. Stara Wiedźma jest okrutna, ale jest sercem Murnska. Nie będzie tu tolerowała żadnych obcych.

– Powiedz jej, że była bardzo pomocna – rzekł Marcus. – I zapytaj, czy możemy w zamian coś dla nich zrobić.

– Mówi, że jeśli chcemy coś zrobić – przetłumaczył Govrosk – to możemy iść do...

Usłyszeli dziwny świst. Porucznik zmarszczył brwi i spojrzał w dół.

– Do...

Marcus powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem. Z piersi Govroska sterczało około półmetrowe drzewce zakończone brzechwą. Porucznik ze zdziwieniem dotknął go palcami i ciężko usiadł na śniegu.

Coś z sykiem przecięło powietrze, tuż przed nosem Marcusa.

– To atak! – wrzasnęła Andy. – Jesteśmy atakowani!

Spomiędzy domów wyłoniły się białe postacie, wyrastając jak duchy z zasp. Marcus dostrzegł futrzane płaszcze, galopujące konie i długie, wygięte łuki lśniące jak kość. Kolejna strzała z sykiem przecięła powietrze, trafiając jednego z żołnierzy w szyję. Zachwiał się w siodle, brocząc szkarłatną krwią, po czym zsunął się na ziemię, gdy jego rumak stanął dęba.

Trzej żołnierze wypalili jednocześnie i huk ich muszkietów

rozdarł straszliwą ciszę. Widmowi wojownicy pierzchli, ale zaraz zawrócili i znów ruszyli do ataku, w tumanach śniegu spowijających ich niczym płaszcz. Dwaj następni wyskoczyli z domu staruszki i ruszyli wprost na Marcusa, który dopiero wtedy wyjął szablę z pochwy.

Andy wysunęła się przed niego z pistoletem w dłoni, celując w najbliższego jeźdźca. Huk wystrzału otrzeźwił Marcusa. Jeździec spadł z konia i potoczył się po ziemi, a wtedy generał zobaczył, że to jednak tylko człowiek, mały i chuderlawy, zakutany w grube futra. Jego koń, kudłaty i siwy, niewiele większy od kuca, zatrzymał się i stanął dęba, uniemożliwiając celny strzał drugiemu jeźdźcowi. Wystrzelona przezeń strzała chybiła, ale jechał dalej, wprost na Andy. Marcus złapał ją wolną ręką i odciągnął na bok, jednocześnie zadając mordercze cięcie szablą. Nie trafił jeźdźca, rozciął jednak bok jego rumaka, którego przeraźliwy, niemal ludzki kwik zagłuszył kolejne wystrzały.

– Musimy się stąd wynieść! – powiedziała Andy. – Jest ich zbyt wielu!

Marcus skinął głową. Piekielnik zebrał pozostałych żołnierzy w zwartą gromadę, wywijającą szablami, ale jeźdźcy unikali starcia. Marcus zobaczył, że jeden z żołnierzy próbował stratować uciekającego napastnika w białym futrze, lecz ten uskoczył w ostatniej chwili. Gdy żołnierz ściągnął wodze, drugi z atakujących zaszedł go od tyłu i z odległości zaledwie paru metrów strzelił mu w plecy. Grot strzały wyszedł mu z brzucha niczym jakiś straszliwy pęd i nieszczęśnik runął z konia na ziemię. Porucznik Govrosk leżał nieruchomo, a stara kobieta na nim, z brzechwami dwóch strzał sterczącymi z pleców.

Marcus nigdzie nie widział swojego konia, ale w pobliżu był wierzgający rumak jednego z zabitych żołnierzy. Podbiegł i złapał wodze, usiłując uspokoić zwierzę. Na szczęście szkolone konie kawaleryjskie niełatwo wpadały w panikę i gdy Marcus go dosiadł, wierzchowiec się uspokoił. Podjechał na nim do Andy, złapał ją za rękę i posadził za swoimi plecami.

– Henry! – zawołał. – Jedziemy!

– Odwrót? – powiedział z niedowierzaniem Piekielnik. W jednej ręce trzymał szablę, a w drugiej pistolet. – Dlaczego?

– To rozkaz, do licha! – rzekł Marcus. – Za mną, już!

Nie czekając na odpowiedź, zatoczył półokrąg, kierując się w lukę między otaczającymi plac domami, po czym dał koniowi ostrogi. Andy objęła go ramionami, gdy nabierali szybkości, w gradzie strzał z sykiem przecinających powietrze wokół nich. Jakiś mężczyzna w białym futrze wyrósł przed nimi i zamachnął się toporem, lecz Marcus ominął go i w pędzie zadał mu mordercze cięcie szablą. W następnej chwili znaleźli się za wioską, z powrotem na zaśnieżonym szlaku, którym tu przyjechali. Słońce stało jeszcze wysoko nad horyzontem, lecz za ołowianymi chmurami zdawało się zachodzić, a niesiony wiatrem śnieg zasłaniał wszystko. Sypał coraz mocniej – nie było widać dalej jak na parę metrów.

Padły kolejne strzały i coś rozbłysło w półmroku. Za plecami odjeżdżającego Marcusa wyrosły płomienie pożaru, strzelające coraz wyżej i rzucające dziwną poświatę na śnieżne zasy.

Piekielnik dogonił ich, gdy Marcus wstrzymał konia mniej więcej milę dalej. Generał kawalerii ciężko dyszał, wciąż ściskając w dłoni szablę. Rękaw kurtki miał mokry od krwi. Byli z nim tylko

dwaj kawalerzyści.

– Zostawiliśmy tam ludzi, którzy wciąż walczą z tymi draniami!
– ryknął. – Powinniśmy zawrócić i urządzić tam piekielną łaźnię!
Kto wie, co te dzikusy im zrobią?

– Musimy wracać do obozu – odrzekł Marcus. – Tam może ich być więcej. Trzeba ostrzec Janusa.

Jak się okazało, ostrzeżenie było niepotrzebne. Wszyscy w obozie już dobrze wiedzieli o obecności białych jeźdźców.

Ci zaatakowali ze wszystkich stron, wyłaniając się w swych białych futrach ze śniegu i zasypując gradem strzał przerażonych wartowników. Potem odskoczyli i zatrzymali się tuż poza zasięgiem muszkietów, jakby rozmyślnie prowokując przeciwnika. Na szczęście dla Vordanajów większość dowódców dywizji – Winter, Fitz, Val i Mor – walczyła w Khandarze, gdzie Desoltajowie wybili niemal do nogi cały batalion kolonialnych, gdy Adrecht Roston wpadł w taką pułapkę. Pułki stanęły w szyku, ale pozostały na swoich pozycjach w obozie i tylko kawaleria zaatakowała napastników.

W przeciwieństwie do oddziałów kolonialnych na Wielkiej Desol Wielka Armia miała dość liczne oddziały lekkiej kawalerii i kirasjerów. Ciężkie uzbrojenie i pancerze dawały tym ostatnim przewagę w bezpośrednim starciu z białymi jeźdźcami, ale wielkie południowe konie grzęzły w śniegu, napastnicy zaś zadziwiająco celnie strzelali z łuków ze swych wierzchowców. W zaspach i trudnym, nierównym terenie walka przerodziła się w setkę potyczek w lodowatym mroku, w którym gromady konnych krążyły na oślep, nie wiedząc, czy następni napotkani okażą się

przyjaciółmi czy wrogami.

Zanim Marcus z resztką swej eskorty wrócił do obozu, Janus już wziął sprawy w swoje ręce i sytuacja znacznie się poprawiła. Mniejsze działa podciągnięto na skraj obozu i rozmieszczono w regularnych odstępach, a ich ogień przepędził białych jeźdźców, którzy nie mogli już skutecznie strzelać z łuków. Piekielnik natychmiast wycofał swoją jazdę, ale jej ściągnięcie z powrotem do obozu zajęło większość nocy. Marcus objeżdżał stanowiska, uspokajając zdenerwowanych dowódców i wywołując owacyjne okrzyki żołnierzy. Ze wschodem słońca zamieć zelżała i biali jeźdźcy się wycofali. Na śniegu wokół obozu zostały nieruchome ciała ludzi i zwierząt niczym porzucone zabawki, niebieskie mundury vordanajskiej kawalerii i odziane w futra trupy ich wrogów. Gruba warstwa śniegu pokrywała wszystko, sącząc się przez gałęzie drzew i okrywając ledwie zazielenione pola duszącą białą kołdrą. Zimne i skurczone słońce nie dawało wiele ciepła.

– Myślałem, że będzie lepiej, kiedy błoto zamarznie – powiedział Fitz.

– Wieczny optymista – prychnął Marcus.

Stali z grupą żołnierzy, czekając na rozładowanie korka na drodze. Pękło wielkie koło jaszczaka, który wywrócił się, przygniatając jednego konia z zaprzęgu. Spoceni ludzie w kłębach pary buchających z ust usiłowali go podnieść.

– Muszę porozmawiać z Janusem – powiedział Marcus. – Możesz się tym zająć?

– Oczywiście, generale – odparł Fitz. – Idź.

Przynajmniej rozsądnie nie spytał, co Janus teraz zrobi, gdyż

Marcusowi już znudziło się odpowiadać na to pytanie. A raczej nie odpowiadać, Janus bowiem jak zwykle nie wyjawiał swoich zamiarów.

Marcus ostrożnie przeprowadził swojego konia obok wyciągających wóz ludzi, po czym go dosiadł i dalej pojechał stępa. Zmrożony grunt był zdradliwy, szczególnie dla zwierząt. Błoto zastygło w takie wyboje i koleiny, jakie tworzyło dzień przed nadejściem mrozu, i stwardniało na kamień. Teraz, gdy te nierówności terenu skryła warstwa śniegu, koń mógł źle stanąć lub złamać koło u wozu, wpadając niespodziewanie w dziurę.

Piechota miała własne problemy. Kurtki mieli nieodpowiednie na takie zimno – i nawet Marcusowi trudno było winić o to kwatermistrzów, zważywszy na porę roku. W ciągu jednej nocy żołnierze stracili swój regulaminowy wygląd, wpychając pod kurtki brezent namiotów, prześcieradła lub koce i cokolwiek, co mogło ich ogrzać. Szczęściarze zdarli futra z zabitych białych jeźdźców. Tym razem ta grabież była oficjalnie usankcjonowana. Wykopywanie grobów w zamrzniętej ziemi okazało się niewykonalne, tak więc w nocy poległych spalono, obłożwszy ich blade nagie ciała rozłupanymi kłodami. Słodkawa woń tych stosów godzinami unosiła się nad maszerującą armią.

Okolo południa Janus przysłał po Marcusa. D'Ivoire przejechał wzdłuż kolumny, która w kilku miejscach zatrzymała się, a w wielu innych utworzyła luki, po czym został skierowany przez konną pikietę na wzgórze znajdujące się po lewej stronie drogi. Zostawił konia żołnierzowi i pieszo ruszył po zboczu, wbijając czubki butów w śnieg.

Po drodze minął krępego mężczyznę, w którym rozpoznał

Christophera de Manzeta, dowódcę ósmej dywizji. Generał miał lekko błędne spojrzenie i schodził po zboczu w ryzykownym pośpiechu, przystanąwszy tylko, by machinalnie zaszalutować Marcusowi. Kilku adiutantów czekało na niego u podnóża pagórka, lecz de Manzet bez słowa poszedł w kierunku kolumny, a jego sztab podążył za nim jak chmara latawców.

Na wierzchołku Janus był sam, w grubym płaszczu i z lunetą w dłoni. Spojrzał przez ramię na Marcusa i przywołał go skinieniem.

– Chciał mnie pan widzieć, pierwszy konsulu?

– Tak. – Ton jego głosu natychmiast zaniepokoił Marcusa. Było w nim coś, skryte pod pozorami zwykłego opanowania jak ostra żyletka w chlebie. – Cieszę się, że wróciłeś cały zeszłej nocy.

– Niewiele brakowało, pierwszy konsulu – odparł Marcus. – Napastnicy zabili naszego tłumacza oraz połowę eskorty i spalili wioskę, którą odwiedziliśmy.

– Wygląda na to, że nie tylko tę jedną. – Janus pokazał palcem. – Widzisz dym? Tam i tam.

– Dlaczego to robią? Palą swoje wioski.

– Murnsk to rozległy kraj, jak już mówiłem – odrzekł Janus. – Szczególnie jego północne granice są... sporne. Za rzeką Batarią rozpościera się wielkie śnieżne pustkowia, na którym trwa wieczna zima. Imperator uzurpuje sobie władzę nad mieszkającymi tam plemionami, ale one uznają go bardzo niechętnie.

– To ci biali jeźdźcy, którzy zaatakowali nas zeszłej nocy?

Janus skinął głową.

– Zabataryjczycy, na pewno.

– Jeśli nie uznają cesarza, to co tutaj robią?

Janus sięgnął do kieszeni i pokazał mu prymitywny amulet zawieszony na przerwanym rzemyku. Dwa koła, nieudolnie wyrzeźbione z rogu lub kości, umieszczone jeden w drugim.

– Mogą nie uznawać władzy cesarza, ale władza Elizjum to co innego, a szczególnie pontifeksa Czerni. Zabataryjczycy od wieków napadali na osiadłych tu Murnskajczyków i wojowali z nimi, ale jeszcze bardziej niż ich nienawidzą heretyków.

Marcus zawahał się i rozejrzał na boki, sprawdzając, czy nie usłyszą ich strażnicy. Upewniwszy się, że nikt nie podsłucha tej rozmowy, powiedział:

– W tamtej wiosce rozmawialiśmy z kobietą, która opowiedziała nam ciekawą historię. Właściwie legendę.

Powtórzył Janusowi opowieść o Starej Wiedźmie i przybyszach w czarnych maskach.

– Wziąłbym to za miejscowy przesąd – zakończył – gdyby nie rzeczy, jakie widziałem, walcząc z Kapłanami Czerni.

– Właśnie tego chce Kościół – rzekł Janus. – Stara Wiedźma. Słyszałem te opowieści, oczywiście, ale pochodzą sprzed wieków. Nie sądziłem, że schwytali ją Kapłani Czerni.

– Jeśli wierzyć w tę opowieść, to śnieg może leżeć cały rok – rzekł Marcus.

– To możliwe – odparł Janus. – Jednak może ludzie przesadzają.

– A jeśli nie? – Marcus nabrał tchu. – Pierwszy konsulu, nawet bez ataków białych jeźdźców żywienie armii w taką pogodę będzie trudne. Nie możemy chronić dwustumilowej linii dostaw. Nawet jeśli nie zaatakują nas bezpośrednio...

– Co sugerujesz, Marcusie? – Ten dziwny ton wrócił, groźny

pomruk w aksamitnym głosie.

– Ja... – Marcus nie zastanawiał się nad tym wcześniej. – Nie wiem, czy możemy kontynuować marsz, nie tracąc połowy armii na skutek głodu i zimna. Może gdybyśmy wycofali się do Polkhaiz...

Zamilkł, widząc, że wódz mruży oczy.

– Nie możemy zawrócić – bardzo cicho powiedział pierwszy konsul. – Jeśli cofniemy się o krok, przegramy. Oni właśnie tego chcą.

– Jednak...

– Jesteśmy tak blisko. – Janus wskazał na północ, gdzie widać było już szarą wstęgę rzeki. – To Kovria! A Elizjum leży zaledwie sto mil za nią!

Sto mil czy tysiąc, to żadna różnica, chciał powiedzieć Marcus. Nie zdołamy tam dojść. Jednak na widok gniewnego spojrzenia przełożonego te słowa utknęły mu w gardle.

– Widzisz, do czego oni są zdolni – syknął Janus. – Sądzisz, że pontifex Czerni pomyślał choć raz o ludziach, których jego rabusie z północy ograbią po drodze? Myślisz, że obchodzi go los wieśniaków, którzy umrą z głodu, gdy tegoroczne plony zamarzną na polach? Myślisz, że okaże nam litość?

– Pierwszy konsulu... – zdołał wykrztusić Marcus. – Ja...

– Do diabła z tym – warknął pierwszy konsul. Marcus dotychczas tylko raz słyszał taki gniew w jego głosie, w podziemnych tunelach pod Ashe-Katarionem. Zimną, morderczą furiją, ostrą jak strzaskane szkło. – Nie obchodzi mnie, co myślisz. Ta armia dotrze do Elizjum, Marcusie, nawet gdybyśmy musieli iść na czworakach. Dotrzemy tam, nawet gdybyśmy mieli żywić się

ciałami zmarłych i zdzierać z nich skórę, żeby się okrywać przed mrozem. Nie harowałem tak długo i nie przebyłem pół świata, żeby powstrzymała mnie jakaś pierdolona pogoda.

Gniewnie rzucił Marcusowi lunetę i odszedł. Generał ledwie ją złapał i poczuł, jak zimny metal ziębi mu dłoń.

Ciekawe, co powiedział biednemu Manzetowi? – pomyślał. Nic dziwnego, że biedak był taki wstrząśnięty. Przyłożył lunetę do oka. Słup dymu przybliżył się i Marcus ujrzał szkielety spalonych budynków sterczące z brudnego śniegu. Dalej była rzeka. Na jej środku woda wciąż płynęła, lecz od brzegów wyciągały się ku niej cyple lodu, jak palce chcące się zacisnąć na czyjejs szyi.

Jedenaście

Winter

Jesteśmy tysiąc mil od domu, otoczeni przez wroga, zakopani w śniegu na brzegach rzeki zamarznętej w maju, pomyślała Winter. To wydaje się nienormalne, że jestem szczęśliwa.

Było wczesne popołudnie, chociaż trudno było to stwierdzić, patrząc na zimną szarą poświatę sączącą się przez brezent i nieprzerwaną warstwę chmur nad nim. Winter leżała nago na posłaniu, nakryta stertą wszystkich koców, jakie miała. Cyte skuliła się przy niej, przyciskając piersi do jej boku. Jeszcze spała i jej oddech lekko łaskotał Winter w szyję.

Teraz połowa dywizji spała za dnia. Biali jeźdźcy atakowali głównie nocą, wypadając z ciemności i zasypując strzałami namioty lub spętane konie. Winter dwukrotnie podwajała straże i zwarty szereg strzelców czekał w zimnie i ciemnościach, aby stawić czoło napastnikom. To odniosło skutek i biali jeźdźcy krwawo płacili za każdy atak, ale druga dywizja była zmęczona. Już nie było mowy o meczach, a tym bardziej ćwiczeniach. Każdą chwilę wolną od służby poświęcano na jedzenie, spanie lub pomaganie przy niekończącym się przeciąganiu dostaw przez śnieżne zasy.

Oficjalnie rozbili obóz tutaj, na północnym brzegu Kovrii, żeby zgromadzić zapasy żywności i amunicji przed ostatnim przemarszem na północ, po końcowych stu milach Drogi

Pielgrzymia do Elizjum. Szlak za nimi był zapchany konwojami z dostawami, mozolnie transportowanymi z dobrze zaopatrzonych składów w Polkhaiz i Tsivny. Jednak zaprzężone w konie i muły wozy nie mogły zbyt szybko pokonywać śniegu, zwłaszcza że zwierzętom także dokuczał mróz. Każdego dnia część pułków podążała na południe, żeby w tym pomóc, i wracały zziębnięte i wyczerpane o zmroku. Pomimo to żywności ledwie wystarczało na zmniejszone racje, nie mówiąc już o gromadzeniu zapasów.

Wypady aprowizacyjne, które miały zdobywać żywność w górze rzeki i przywozić ją barką, zostały odwołane. Takie wyprawy były zbyt ryzykowne ze względu na zagrożenie ze strony białych jeźdźców, a ponadto niewykonalne. Kovria zamarzła w ciągu jednej nocy, kiedy do niej dotarli, a teraz skorupa lodu na niej była tak gruba, że żołnierze przechodzili po niej na drugi brzeg zamiast po drewnianym mostku w miasteczku Isket, nieco na południe od obozu.

Jakby byli podrzuconą wysoko w powietrze piłką, która osiągnęła najwyższy punkt lotu i nie mogła lecieć dalej, ale jeszcze nie zaczęła spadać. I zawisała tam, podtrzymywana jedynie siłą woli Janusa. Zaczęły krążyć plotki i nikt nie śmiał nawet szepnąć słowa „odwrót” w obecności pierwszego konsula. Jednak było wszędzie, na ustach żołnierzy pełniących warty w śniegu i w grupach posepnych oficerów, pijących zdobyczne trunki w swoich namiotach.

Winter czuła się odizolowana od tego wszystkiego, wprawdzie będąc w centrum tych wydarzeń, ale jednocześnie daleko. Jej namiot i łóżko tworzyły krąg ciepła, do którego mróz nie mógł wtargnąć. Powinna się martwić, rozmyślać o tym, co teraz robi

Janus, albo o ostatecznym wyniku całej kampanii. Zamiast tego błądziła myślami wokół tego, jak nieznacznie uśmiechała się Cyte, gdy sądziła, że nikt nie patrzy, sposobu, w jaki jej włosy opadają na delikatne zagłębienie szyi, cichych jęków, gdy ją pieściła.

W pewien sposób trudna sytuacja armii ułatwiała im wszystko. Nie musiały przejmować się konwenansami czy koniecznością zachowania tajemnicy, czując rozpaczliwą potrzebę bliskości. I na pewno nie my jedne, stwierdziła Winter. Miało to także pewien praktyczny wymiar. Niewiele jest lepszych sposobów, żeby się ogrzać.

Ktoś poskrobał w klapę namiotu.

Kurwa, zakłęła w myślach Winter. Kurwa mać. Tu było ciepło, cicho i spokojnie. Tam, na zewnątrz, czekały obowiązki i odpowiedzialność, a ona nie miała ochoty wstawać. Jednak wiedziała, że w końcu to zrobi.

– Co jest? – spytała i poczuła, że Cyte się poruszyła.

– Biali jeźdźcy, generale! – Winter usłyszała kobiecy głos, którego nie rozpoznała. – Atakują warty Pierwszego Dziewczęcego.

– W środku dnia? – Winter zmarszczyła brwi. To odbiegało od ich typowego zachowania. – Gdzie jest pułkownik Giforte?

– Już tam idzie, generale. Posłał mnie po pana z wiadomością, że na razie ich powstrzymujemy.

– Dobrze. Dajcie mi kilka minut na ubranie się. Zaraz przyjdę.

– ...ę dzieje? – sennie wymamrotała Cyte, gdy Winter wstała i zaczęła szukać bielizny.

– Biali jeźdźcy znów nękają warty.

Winter włożyła koszulę i wciągała spodnie.

– Szlag. – Cyte usiadła, odrzucając koc. – Zaczekaj na mnie.

– Pewnie już ich nie będzie, zanim tam dotrę – rzekła Winter, wkładając buty. Były wciąż wilgotne od poprzedniego dnia. – Zostań tutaj. Mogą spróbować ataku na innym odcinku.

Cyte skinęła głową, próbując wytrząsnąć z niej resztki snu. Winter przypięła miecz i wyszła na zewnątrz. Zimny wiatr mroził twarz. Czekała przed namiotem żołnierza z Pierwszego Dziewczęcego miała na sobie obszarpany płaszcz z prowizorycznie zszytych koców.

– Prowadź... – zaczęła Winter i urwała, gdy poczuła lekkie mrowienie w głębi podświadomości.

Zza namiotu wyłoniła się Alex. Próbowwała biec i wzbijała kaskady śniegu.

– Winter! – zawołała.

– Co się stało? – Wszystkożerca zbudził się w niej, jak zwykle głodny.

– Nie czujesz tego? – spytała Alex. Wskazała na skraj obozu.

Winter znacząco zerknęła na stojącą obok kobietę. Alex natychmiast zamknęła usta, jednak nadal wyciągała rękę i gdy Winter popatrzyła we wskazanym kierunku, uświadomiła sobie, że coś czuje. Demon Alex skupiał niemal całą uwagę Wszystkożercy, lecz gdy się skoncentrowała, wyczuła ślad innej obecności. Za linią wart...

– Czy tam właśnie atakują? – zapytała żołnierza.

Młoda kobieta skinęła głową.

– Tuż za tamtymi drzewami.

– Niech to szlag. – W końcu zjawił się jakiś Penitent? – Alex, chodź ze mną. A ty – rozkazała żołnierzowi – znajdź kapitan Forester i powiedz, żeby spotkała się tam ze mną jak najszybciej.

Biegiem!

– Tak jest, generale! – zawołała kobieta, z lekkim zdziwieniem i determinacją i pognąła w głąb obozu.

Winter pobiegła w przeciwną stronę, o ile była w stanie biec w tym śniegu. Alex pędziła tuż za nią.

– Myślisz, że to oni? – zapytała.

– Jesteśmy zaledwie sto mil od Elizjum – odparła Winter. – Praktycznie na ich podwórku.

– Tylko po co atakują warty?

– To właśnie usiłuję zrozumieć. Może współpracują z białymi jeźdźcami.

Dotarły do linii drzew. Alex obejrzała się przez ramię i wyciągnęła rękę.

– W ten sposób dotrę tam szybciej.

– Zaczekaj...!

Jednak Alex już unosiła się w powietrzu; leciała ku najbliższemu drzewu na linii z czystej ciemności, sypiąc śniegiem z butów. Wylądowała i złapała się pnia, po czym wyciągnęła drugą rękę i znów skoczyła. Winter brnęła w śniegu za nią, teraz już widząc w głębi lasu błyski z luf muszkietów. Śnieg tłumił huk wystrzałów, zmieniając je w głuche stuknięcia, jakby ktoś nieregularnie walił w bęben. Po chwili ten ogień ucichł, aczkolwiek w oddali padły kolejne strzały.

Pierwsze ciało było oparte o drzewo. Należało do kobiety w mundurze z insygniami Pierwszego Dziewczęcego, rozplataną od obojczyka po pępek jednym gwałtownym cięciem. Daremnie próbowała zacisnąć rękami ranę. Krew była zaskakująco czerwona na białym śniegu; jej krople utworzyły małe kratery w jego

delikatnej strukturze. Nieco dalej leżała druga wartownicza, skulona na boku, w kałuży rdzawej brei.

– Święci i pierdoleni męczennicy – szepnęła Winter. Położyła dłoń na rękojeści miecza i przez chwilę uważnie spoglądała na cichy, ciemny las. Chrzęst śniegu pod jej butami wydawał się donośny.

Kolejne ciało, wciąż ściskające muszkiet. I jeszcze jedno, ze stopami kilkanaście centymetrów nad ziemią, przybite do pnia mlecznobiałym kolcem sterczącym z klatki piersiowej. Ta ofiara miała szeroko otwarte oczy z przerażenia i zdumienia.

– Tu jesteś – usłyszała Winter. Kobieta mówiła po vordanajsku z wyraźnym murnskajskim akcentem. – Znudziło mnie już zabijanie tej hołoty.

Wszystkożerca poderwał się w jaźni Winter, gdy z za drzewa wyszła chuda i wysoka postać, z grzywą czarnych włosów opadających poniżej ramion. Była zakutana w grube futro, lecz na widok Winter zrzuciła je, pozostając w opiętym stroju z czarnej skóry.

Jej twarz była niewidoczna za czarną maską z maleńkich kawałków obsydianu. Słaby słoneczny blask rozświetlał ją przy każdym ruchu, spływając po krzywiznach jak ściekająca farba.

– Jesteś Penitentką. – Winter podeszła bliżej.

– Ahdon ivahnt vi, ignahta sempria – przyznała kobieta. Powoli krążyły wokół siebie, coraz bliżej. – A ty jesteś oswojonym demonem Vhalnicha, prawda? Ihernglass.

– Pewnie nie ma sensu prosić cię, żebyś się poddała – rzekła Winter.

Penitentka zaśmiała się.

– Powiem ci coś. Jeśli oszczędzisz sobie tego, to nie będę udawała, że pozwolę ci żyć.

Co się stało z Alex? Winter powstrzymała chęć zerknięcia na korony drzew. Dziewczyna musiała gdzieś tam być, ale może zabrakło jej odwagi. Może powinnam była zaczekać, aż Cyte zbierze oddział żołnierzy, pomyślała Winter, ale natychmiast odrzuciła tę myśl. Cokolwiek umiała robić nosicielka demona, najwyraźniej pozwoliło jej to bez trudu zamordować cztery wartowniczeki. Nie zamierzam prosić moich żołnierzy, żeby oddawali życie w walce z potworem.

Muszę ją złapać.

Wszystkożerca mógł zniszczyć każdego demona, lecz aby go uwolnić, musiała dotknąć przeciwnika.

Jeśli ona nie wie, co ja potrafię, może uda mi się ją zwieść.

Mocniej ścisnęła miecz i stanęła w szermierczej pozie.

Ona nie ma broni, ale to o niczym nie świadczy...

– I co? – powiedziała Penitentka. – Zacziesz czy ja mam to zrobić?

Winter wzruszyła ramionami. I nie kończąc tego ruchu, rzuciła się na nią, aż śnieg trysnął spod jej nóg. Dzielilo je zaledwie półtora metra, lecz Winter zamachnęła się wcześniej, sygnalizując silny cios wymierzony w lewy bok przeciwniczki. Nawet nieudolny szermierz mógłby go odparować i oczywiście o to jej chodziło. Uniosła lewą rękę, wnętrzem dłoni zwróconą do przodu, pozornie niestanowiącą żadnego zagrożenia.

Jeśli ją złapię...

Penitentka nie poruszyła się, ale śnieg wystrzelił w górę wokół jej stóp. Gdy miecz Winter opadał, fala białych drobin zalała strój

kobiety, błyskawicznie otaczając ją grubą skorupą. Nim ostrze wbiło się w ciało, płatki śniegu utworzyły grubą mlecznobiałą warstwę, która szybko stawała się zupełnie przezroczysta. Ostrze uderzyło w nią i odbiło się jak od głazu, z brzękiem stali i fontanną odłupanych kawałków lodu.

Winter wyciągnęła drugą rękę i przycisnęła dłoń do brzucha Penitentki. Ręka natychmiast jej zdrętwiała, ale już w myślach nakazywała Wszystkożercy atakować. Przeplłynął przez jej rękę, z rykiem wpadając do końców palców, lecz demon Penitentki uparcie pozostawał poza jego zasięgiem, oddzielony lodową barierą.

Warstwa jest za gruba, uświadomiła sobie Winter. Zrobiła krok i o mało nie upadła. Jej dłoń nie oderwała się od skorupy chroniącej przeciwniczkę; straciła czucie w palcach i zimno powoli obejmowało całą rękę.

– Niezbyt obiecujący początek – zauważyła Penitentka. Jej głos odbijał się dziwnym echem; warstwa lodu utworzyła wokół jej głowy przezroczysty hełm z przyłbicą, upodabniając ją do średniowiecznego rycerza. – Z pewnością stać cię na więcej?

Winter wymierzyła kolejny cios w głowę kobiety. Z brzękiem odbił się od lodowego hełmu, odłupując kawałek wielkości kciuka i tworząc na nim pajęczynę białych pęknięć. Kobieta zmarszczyła brwi i pęknięcia znikły, zespoiwszy się. Uniosła prawą rękę i więcej śniegu poderwało się z ziemi, tworząc długą i cienką klingę, z ostrym jak igła końcem.

– Naprawdę nie rozumiem, jak zdołałaś pokonać Strzyżyka, nie mówiąc o Skręcie – rzekła Penitentka. – Może ktoś ci pomógł...

Czarne jak noc pasmo wystrzeliło spomiędzy drzew i uderzyło w lodowy miecz tuż przy rękojeści. Broń w zimnym podmuchu

rozleciała się na kawałki. Penitentka zatoczyła się, ciągnąc za sobą Winter, a z mroku nadleciała druga włócznia ciemności i trafiła ją w pierś. Rozległ się przeraźliwy pisk, jakby ktoś przeciągnął nożem po szkle, i Penitentka chwiejnie cofnęła się o krok w chmurze lodu zmienionego w pył. Gdy obłok się rozwiął, Winter zobaczyła, że jej lodowy pancerz popękał, tworząc koncentryczne kręgi wokół miejsca trafienia, ale nie został przebity.

Jednak uderzenie oszołomiło kobietę na chwilę i Winter nie zamierzała zmarnować tej okazji. Podskoczyła, naprężając mięśnie ręki, która przymarzła do Penitentki, i obiema nogami oparła się o jej biodra. Zawisła tak na moment, jak ktoś wspinający się po pniu drzewa, po czym zacisnęła zęby i wyprostowała nogi, ciągnąc z całych sił.

Uwolniła rękę, czemu nie towarzyszył ból, tylko suchy trzask zapowiadający późniejsze cierpienia. Oderwała się od Penitentki i wylądowała metr dalej w śniegu, aby w tumanie śnieżnych drobin natychmiast przetoczyć się w bok. Penitentka zignorowała ją, otaczając się wirami białych płatków niczym miniaturowym cyklonem. Uformowały one tuzin ostrych jak sztylety białych sopli, które przez moment wisiały w powietrzu, a potem jak strzały wystrzelone z łuków pomknęły między drzewa. Z koron posypał się śnieg i oderwane konary, lecz po chwili śmignęły stamtąd dwie kolejne czarne włocznie. Z trzaskiem pękającego lodu jedna trafiła w głowę Penitentki, odrywając duży fragment hełmu, a druga w kolano. Kobieta stęknęła, zasłaniając twarz dłonią w lodowej rękawicy, i śnieg uniósł się spiralą, aby zasklepić dziurę w zbroi.

Winter skorzystała z okazji i wykonała strategiczny odwrót, biegnąc w kierunku drzewa, z którego wylatywały czarne

włócznie. Następny tuzin lodowych noży śmignął w powietrzu. Uskoczyła, kryjąc się za pniem. Drzewo znów się zatrzęsło, tracąc kolejne gałęzie.

– Winter! – dobiegł ją głos z góry. Winter spojrzała i zobaczyła przestraszoną Alex, przytuloną do pnia. – Nic ci nie jest?

– Tak sędzę – odparła.

– Ona poradziła sobie ze wszystkim, czym dysponuję – powiedziała Alex. – Zabijałeś już przedtem takie stwory, prawda? Jak możemy ją zranić?

Nadleciały kolejne sztylety, tym razem wlatując za pień niczym stado ptaków. Winter przypadła do ziemi, unikając trafienia, po czym wstała.

– Na razie chyba lepiej uciekajmy – odparła. I może wróćmy tu z jakąś cholerną armatą, dodała w myśli.

Wyskoczyła zza osłony i zygzakiem pobiegła do następnego drzewa, a Alex przeskoczyła na nie górą. Za nimi huczał śmiech Penitentki.

– Naprawdę nie wierzę, że to wszystko, co potrafisz! – wrzasnęła. – Ty jesteś Winter Ihernglass, którego tak obawia się pontifex? To chyba żart.

Winter uskoczyła za drzewo i spojrzała za siebie.

– Nie ściga nas.

– Może ma coś lepszego do roboty – odparła Alex, opuszczając się tuż nad Winter na swej czarnej linii.

Myśl, rozkazała sobie Winter.

– Może nie jest w stanie. Ta zbroja waży chyba pół tony. Na pewno niełatwo w niej chodzić. Nie miała jej na sobie, gdy tutaj przyszedłam.

– Wiedziałam, że powinnam od razu ją zabić – skonstatowała Alex. – Pomyślałam, że zaczekam, co zrobisz, ponieważ jesteś generałem i w ogóle.

– W przyszłości możesz zabić każdego Penitenta, jakiego napotkamy, nie pytając o pozwolenie.

– Zapamiętam. I co teraz?

– Sprowadzimy pomoc. – Może armata byłaby skuteczna. Jeśli nie może robić uników, moglibyśmy ją trafić, pomyślała. – Potrzebujemy Bobby...

Przerwał jej nowy dźwięk, przeciągły i jękliwy, jak wycie wzmagającego się wichru. Winter wyrzała zza pnia i zobaczyła Penitentkę nadal stojącą w tym samym miejscu, z rękami uniesionymi nad głowę, jakby domagała się braw.

Wokół nich w kilkunastu miejscach eksplodował śnieg, tworząc słupy wirującej mroźnej mgły, które zestaliły się w człekokształtne postacie, bezgłowe torsy z prymitywnymi nogami i rękami zakończonymi długimi białymi ostrzami. Zwinnie pomknęły po śniegu ku stojącym dziewczynom.

– To jakieś żarty – mruknęła Alex.

Wypuściła czarną wić z dłoni, przebijając nią jedną z nacierających zjaw. Ta jakby tego nie zauważyła. Inna ruszyła na Winter, niezdarnie wymachując ostro zakończonymi rękami. Winter odskoczyła i uchyliła się przed uderzeniem drugiej, która zaszła ją od tyłu. Ominęła zastawę i zręcznym ciosem rozcięła zjawę od pachy po ramię. Ostrze napotkało niewielki opór, jakby przecięła nim ubity śnieg, i zjawa znikła w białym rozbryzgu.

Winter obróciła się na pięcie, ciężko dysząc, a para jej oddechu zawisała w powietrzu jak dym. Lewa dłoń już zaczynała ją boleć, ale

nawet nie śmiała na nią spojrzeć. Następna zjawa natarła na nią; uchyliła się przed jednym ciosem i odparowała drugi, przy czym stalowe ostrze napotkało lód z tym samym przeraźliwym piskiem. Wprawdzie jej riposta przeszła widmo, rozbijając je na kawałki, ale od tyłu już zbliżały się dwa kolejne.

Alex z głuchym łoskotem zeskoczyła z drzewa między nacierające zjawy. Ciemność wytrysnęła z jej dłoni, tym razem nie w formie włóczni, lecz grubego bicia, którym roztrzaskała zjawę na lodowe odłamki. Radośnie obróciła się na pięcie i rozbiła dwie następne, aż śnieżny tuman zawisł w powietrzu jak prochowy dym.

– Za tobą! – krzyknęła Winter, odbijając cięcia czterech lodowych mieczy.

Te stwory były niezdarne, ale silne i niezmordowane. Rozbiła następnego i zobaczyła, że Alex uskoczyła w ostatniej chwili, tak że ostrze ześliznęło się po jej barku, zamiast wbić się między żebra. Dziewczyna zakłęta i zniszczyła zjawę, cofając się ku Winter, która wyrąbała sobie drogę do niej.

– Trzymaj je na dystans – rzuciła Alex. – Przynajmniej z nimi mogę się uporać.

Winter rozprostowała palce lewej dłoni. Mogła nimi poruszać, ale na moment zacisnęła powieki z bólu. Gdy znów przejrzała na załzawione oczy, wokół nich wyrastały nowe słupy białej mgły i kolejne zjawy tworzyły się z wiatru i śniegu.

– Z iloma sobie poradzisz? – spytała.

– Zapewne nie z tyloma – przyznała Alex.

– Możesz nas stąd zabrać?

Alex spojrzała na swoje dłonie.

– Może. Dotychczas tylko parę razy unosiłam innych ludzi.

– To byłaby naprawdę dobra sposobność, żeby to sprawdzić.

– Racja. – Alex objęła Winter w pól. – Teraz.

Czarne pasma śmignęły w powietrzu, owinęły się wokół pobliskiego drzewa i obie dziewczyny przeleciały w powietrzu nad widmami. Bezgłowcy wyciągnęli ku nim lodowe ostrza, które przeszły kilka centymetrów poniżej stóp Winter, i pęd mroźnego powietrza wycisnął jej łyzy z oczu. Alex wylądowała na drzewie, stękając z wysiłku, po czym natychmiast wykonała następny skok.

Coś błysnęło w powietrzu. Winter ostrzegawczo krzyknęła i Alex zmieniła kierunek lotu, unikając chmury nadlatujących lodowych sztyletów. Trafiły w drzewo, do którego przyczepiła się Alex, i cienki pień sosny rozleciał się w drzazgi pod ich uderzeniem. Drzewo zaczęło się przechylać, ściągając je z obranego kursu i zrzucając w zaspę. Winter dzwoniło w uszach. Uniosła głowę i zobaczyła nacierające ze wszystkich stron zjawy. Alex jęknęła.

Dwa z widm eksplodowały i z obłoków śnieżnego pyłu wyłoniła się Bobby. Jej miecz nadal tkwił przy pasie, ale trzymała dwumetrowy drąg, którym obracała z taką łatwością, z jaką zwykły człowiek macha pałką. Następna zjawa usiłowała się zasłonić, podnosząc ręce, ale bezskutecznie: cios roztrzaskał ją na kawałki. Winter szarpnięciem postawiła Alex na nogi i wycofała się ku nadchodzącej Bobby.

– Generale! – krzyknęła Bobby. – Co się tu dzieje, do diabła? Co to za stwory?

– Penitentka – wysapała Winter. – Tam przed nami.

– Cała linia wart odpiera atak – poinformowała ją Bobby. – Białych jeźdźców.

– Chcą odwrócić naszą uwagę – rzekła Winter. – Ona przyszła

po mnie.

– A zatem wynieśmy się stąd.

– Nie! – Winter wskazała mieczem stojącą dalej Penitentkę. – Tylko my mamy szansę ją pokonać. Musimy ją powstrzymać tutaj, inaczej zabije Bóg wie ilu ludzi. Alex, jesteś cała?

– Tylko trochę posiniaczona. Jaki masz plan?

– Ona jest cała pokryta lodem – powiedziała Winter. – Bobby, chcę żebyś spróbowała go rozbić i przytrzymać ją w miejscu, a wtedy Alex i ja ją wykończymy.

– Spróbuję, generale. – Bobby zważyła w ręku drąg. – Idźcie za mną.

Utorowała sobie drogę przez nacierające zjawy, a Winter i Alex zajęły się każdą, która próbowała ominąć koszące uderzenia jej pałki.

– Nie wiedziałam, że ona jest jedną z nas – powiedziała Alex. – Wcale jej nie wyczuwam.

– To skomplikowane – mruknęła Winter, parując cios i likwidując zjawę. – Przypomnij mi, że mam ci to wyjaśnić w wolnej chwili.

Tłum zjaw szybko się kurczył i nowe już nie pojawiały się w miejscu tych, które zniszczyły. Chce, żebyśmy tam wróciły i walczyły, domyśliła się Winter. Wkrótce przedarły się na polanę i znów znalazły się przy przysypanych śniegiem ciałach zabitych wartowniczek, gdzie Penitentka stała w swej przezroczywej zbroi.

– Ach, przyprowadziliście nową przyjaciółkę – powiedziała. Śnieg zawirował wokół niej, tworząc nowy wachlarz sztyletów. – Wspaniale.

– Pozwól, by Bobby szła pierwsza – szepnęła Winter. – Trudno

ją zranić.

Bobby ruszyła do ataku i lodowe noże pomknęły ku niej. Jeden z nich wbił się w jej brzuch, a drugi rozciął ramię, lecz ona przyjęła te ciosy jedynie z cichym pomrukiem. Winter uskokczyła i zaczęła biec, zachodząc Penitentkę z lewej, a Alex robiła to samo po prawej. Kobieta zmarszczyła brwi i na obu rękawicach uformowała długie, ostre klingi ze śniegu. Bobby z rozmachem rąbnęła drągiem w jej bok, z taką siłą, że rozleciał się w drzazgi. Na strzaskanym pancerzu pojawiły się koncentryczne kręgi pęknięć.

– No, teraz już lepiej! – ryknęła kobieta, ciąższy oboma mieczami. Bobby uskokczyła. Zanim Penitentka zdołała się obrócić, Alex uderzyła ją włóczniami ciemności, celując w ten bok, w który trafił cios Bobby. Kawał lodu wielkości talerza odleciał w fontannie białego pyłu.

Penitentka gniewnie warknęła i spowił ją śnieżny opar. Bobby wyciągnęła rękę i złapała za jeden z jej mieczy, zabarwiając go na czerwono krwią ze skaleczonej dłoni. Przyciągnęła Penitentkę do siebie i uderzyła łokciem w jej brzuch, czemu towarzyszył odgłos przypominający dźwięk rozbijającej się skrzyni z porcelaną. Kawałki lodu odpadły, lecz Penitentka pchnęła Bobby drugim mieczem, wbijając go tuż pod obojczyk. Zamiast spróbować się uwolnić, Bobby przysunęła się do Penitentki i zacisnęła dłoń na jej ramieniu.

Winter zobaczyła, że kawał zbroi zupełnie znikł. Bobby i Penitentka potknęły się i zachwiały. Wokół unosił się śnieg i powstawały nowe zjawy, szykując się do rozsiekania Bobby na kawałki.

– Alex! – krzyknęła Winter. – Celuj w jej brzuch! Teraz!

– Bobby ją zasłania! – odkrzyknęła Alex.

– Zrób to! – wrzasnęła Bobby.

Dwie igły ciemności wystrzeliły naprzód. Trafiły Bobby w plecy, przeszły na wylot przez jej ciało, jakby go tam nie było, i wbiły się w brzuch Penitentki. Zbroja na jej plecach pękła i rozleciała się w fontannie odłamków lodu. Na moment wszystkie znieruchomiały; Bobby i Penitentka zastygły razem, przebite dwiema włóczniami czarnej jak noc ciemności.

Fragment lodowego hełmu odpadł, uwalniając długie czarne włosy. Jej zjawy osunęły się, po czym rozsypały w mgłę i śnieg, gdy zbroja odpadała kawałek po kawałku. Ostrze tkwiące w ciele Bobby pękło, gdy pod zamaskowaną kobietą ugięły się kolana. Runęła na wznak w śnieg, z szeroko rozrzuconymi rękami, a Bobby leżała na niej.

– Bobby! – Winter starała się jak najszybciej dobiec do niej, grzęznąc w zaspach, a Alex robiła to samo z drugiej strony. Winter upadła na kolana, wzbijając fontannę śniegu, po czym oderwała Bobby od Penitentki. Niebieski mundur był oblepiony śniegiem i mokry od krwi wokół dziur na brzuchu i pod obojczykiem, ale Vordanajka uśmiechała się.

– Alex? – powiedziała. Krew plamiła jej wargi i zęby.

– T-tak? – zająknęła się Alex.

– To... – Odkasznęła, plując krwią, i zamknęła oczy. – To nie bolało tak bardzo, jak się spodziewałam.

Oddech wydobywał się z jej ust kłębamii gęstej pary.

– Nic jej nie będzie – powiedziała Winter z udawaną pewnością siebie. Proszę, proszę, niech nic jej nie będzie, modliła się w duchu.
– Wydobrzała po zadanym przez Odkupiciela ciosie, który niemal

rozciął ją na pół. Tylko czasem trochę to trwa.

– Ja... – Alex miała oczy wielkie jak spodki. – Kurwa. Co robimy? Możemy jej jakoś pomóc?

– Musimy zabrać ją z powrotem do obozu. Zapewne lepiej będzie umieścić ją w ciepłe.

– Zostań z nią – powiedziała Alex. – Ja sprowadzę pomoc.

Usłyszały nieprzyjemny, bulgoczący dźwięk. Dopiero po chwili Winter uświadomiła sobie, że Penitentka się śmieje. Podeszła do niej i zerwała z jej twarzy czarną maskę, aż zabrzęczały kawałki obsydianu. Wargi i policzek kobiety już plamiła krew.

– Dobrze mi... tak – wymamrotała Penitentka i znów zabulgotała śmiechem. – Za długo się guzdrałam. Zawsze wiedziałam, że to mnie zgubi.

– Umrzesz – powiedziała Winter.

– Naprawdę? – Kobieta znów zakaszłała, plując krwią. – Co ty... nie powiesz.

– Chcę tylko, żebyś przed śmiercią wiedziała, że z twojego pierdolonego Kościoła nie zostanie kamień na kamieniu. – Winter zgrzytnęła zębami. – Ta hołota, te kobiety, które zabiłaś... każda z nich była warta setkę waszych przeklętych potworów. Wasz pontifex będzie błagał o łaskę.

Penitentka znowu prychnęła śmiechem, zduszonym i bulgoczącym. Spoglądała na Winter z niepokojącym spokojem.

– Powodzenia z tym wszystkim – wymamrotała – bez... waszego cudownego.... generała...

Zamknęła oczy. Winter spojrzała na nią niepewnie, a potem znowu na Alex i Bobby.

– Może to blef – powiedziała.

– Idź – odparła Alex. – Sprawdź to. Ja zostanę z nią, aż przybędzie pomoc.

Winter kiwnęła głową i pobiegła.

Raesinia

Raesinia nigdy nie widziała Marcusa tak podekscytowanego poza polem bitwy. Przechadzał się tam i z powrotem w jej namiocie, ignorując podany posiłek.

– Prawdziwym problemem są konie – mówił. – Kiedy wojsko jest w namiotach, możemy zmniejszyć racje, przynajmniej przez jakiś czas. Jednak nie mamy dość paszy, a ponieważ wszystko pokrywa śnieg, możemy ją otrzymywać tylko ze składów. Konie są nam potrzebne do transportowania paszy, którą je żywimy! Wykorzystujemy wszystkie, które mamy, ale to nie wystarcza. Najśłabsze już zdychają. A im więcej ich tracimy, tym trudniej będzie zapewnić ciągłość dostaw. Coraz więcej żołnierzy gorączkuje i kaszle, a zapewne niedługo będziemy mieli masowe zachorowania. Biali jeźdźcy atakują każdego, kto opuszcza obóz, a wczoraj jakiś idiota wyrąbał dziurę w lodzie, bo chciał wziąć kąpiel! Kończy się nam drewno opałowe, a świeże nie wysycha dostatecznie szybko. Wszyscy dowódcy mówią mi, że ich ludzie są niezadowoleni. Nie możemy tu zostać. Jeszcze trochę i armia pójdzie w rozsypkę.

– Nie musisz mi tego mówić – powiedziała Raesinia. – Też to widzę.

Odbyła kilka wycieczek po obozie, usiłując podtrzymać morale.

– A on nie – rzekł Marcus. – Od wielu dni nie schodzi z tego wzgórza.

– Przypuszczam, że próbowałeś mu o tym powiedzieć.

Marcus ze znużeniem skinął głową.

– Upiera się, że ta pogoda wkrótce się zmieni. Jakoś to sobie wykalkulował. Jest to jakoś związane z tym, jaką moc może mieć demon. – Marcus rozejrzał się. – Zazwyczaj staram się nie mieszać do... tych dziwnych spraw. Janus wie, co robi. Nie zamierzam udawać, że potrafię zrozumieć, o czym mówi, ale mam wrażenie, że coś jest nie tak. Jakby wygłaszał pobożne życzenia.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– A co mogę zrobić? – Marcus przygładził dłonią włosy. – Siedzieć tutaj i mieć nadzieję, że on ma rację. Mieć nadzieję, że pogoda się zmieni, zanim dojdzie do masowych dezercji albo przypadków kanibalizmu. Nie byłby to pierwszy cud, który zdarzył się za jego przyczyną.

Raesinia westchnęła w duchu. Nawet teraz, w obliczu katastrofy, Marcus nie wyobrażał sobie, że mógłby zdradzić Janusa. Gdyby pierwszy konsul kazał swoim żołnierzom trwać na posterunku i zginąć co do jednego, Marcus byłby ostatnim, który by padł.

– Czy jest coś, co mogłabym zrobić? – spytała. – Wiem, że na pewno mnie nie posłucha.

– Właśnie o tym przyszedłem z tobą porozmawiać – rzekł ponurym tonem Marcus. – Wiem, że to ci się nie spodoba, ale proszę, wysłuchaj mnie. Myślę, że powinnaś wrócić, przynajmniej do Polkhaiz.

Chyba nie mówi poważnie.

– Jak by to wyglądało, gdyby królowa zostawiła swoją armię?

– A co się stanie z Vordanem, jeśli królowa oraz pierwszy konsul zamarzną w środku Murnska? – Nawet mówiąc to, miał minę winowajcy. – Oczywiście do tego nie dojdzie. Janus zawsze znajdował wyjście z sytuacji. Jednak... na wszelki wypadek. Dam ci silną eskortę kawalerii, której biali jeźdźcy nie ośmielą się zaatakować.

– Nie odjadę, Marcusie – powiedziała Raesinia. Nabrała tchu. Teraz albo nigdy. – Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Westchnął, a Raesinia zawahała się. Musi się dowiedzieć o propozycji Dorsaya, zawarcia pokoju w zamian za usunięcie Janusa. Nie mogła jednak się oprzeć wrażeniu, że on nawet nie weźmie pod uwagę takiej możliwości. Może nawet uzna mnie za zdrajczynię, pomyślała. Nie wiadomo, dlaczego to byłoby w tym najgorsze.

W tej chwili ciszy coś poruszyło się w głębi jej jaźni – poczuła to dziwne napięcie oznaczające, że w pobliżu jest inny nosiciel demona. Raesinia potrafiła to wyczuć w ograniczonym stopniu, ale tym razem wrażenie było tak silne, że demon musiał być w pobliżu.

– Gdzie jest Winter? – Generał była jedyną nosicielką demona, która mogła znajdować się w namiocie dowodzenia. Raesinia zawsze ledwie wyczuwała obecność Bobby, a Alex nadal była dobrze pilnowana. Chyba że mimo wszystko jest Penitentką...

– Bo co? – Marcus zmarszczył brwi. – Druga dywizja obozuje milę stąd, na skraju lasu. Ona jest tam, chyba że coś się stało.

Napięcie rosło. Raesinia obróciła głowę, czując, jak ucisk przemieszcza się pod jej czaszką.

– Ktoś tam jest. Jakiś demon i chyba żaden z naszych.

– Penitent! – prychnął Marcus, podnosząc leżący na stole pas z szablą.

Pewna, że zaraz każe jej trzymać się z daleka, Raesinia ominęła go i wybiegła na śnieg. Jej namiot stał na zboczu wznoszącego się nad Kovrią pagórka, którego wierzchołek zajmował namiot dowodzenia oraz ten, w którym kwaterował Janus. Nieco niżej były mniejsze namioty jej służby i eskorty.

– Sothe! – zawołała Raesinia.

Zabójczyni pojawiła się tak nagle i bezszelestnie, że Raesinia mogłaby przysiąc, iż wyrosła spod ziemi.

– Wasza Królewska Mość?

– Kłopoty. – To napięcie wywoływało coś w pobliżu namiotu Janusa. – Penitenci.

– Raes! – zawołał Marcus, wypadając z namiotu. – Powinnaś...

Raesinia zaczęła biec, nie zwracając na niego uwagi. Sothe biegła obok niej, znacznie łatwiej przedzierając się przez śnieg dzięki dłuższym nogom.

– To spory kawał za linią wart – rzekła Sothe. – Jesteś pewna?

– Czuję to – odparła Raesinia. – Tam. Nie, tam!

Wskazała na miejsce, gdzie wzgórze kończyło się stromym piarżystym zboczem opadającym ku rzece. Jej powierzchnia była niewidoczna pod grubą taflą pokrytego śniegiem lodu, lecz jej część się wybrzuszyła. Na ich oczach eksplodowała białym gejzerem, z którego wyskoczyła jakaś człekokształtna postać i potruczała w górę zbocza.

– Pod lodem – skomentowała Sothe. – Sprytnie, zakładając, że przeżyjesz w lodowato zimnej wodzie.

– To atak! – krzyknęła Raesinia, wymachując rękami. – Hej, wy tam!

Pół tuzina kolonialnych strzegących namiotu Janusa popatrzyło na nią ze zdziwieniem. Dopiero po chwili pojęli, że to naprawdę królowa biegnie ku nim, wymachując rękami jak szalona. Minęła jeszcze chwila, nim zrozumieli, co do nich woła. Żołnierz stojący najbliżej zbocza odwrócił się w kierunku, który wskazywała palcem, i popatrzył. Zdążył tylko krzyknąć, zanim Penitent dopadł go i zadał mu potężny cios w skroń. Zwiotczał i padł jak uderzony obuchem, a napastnik rzucił się na drugiego wartownika.

Teraz Raesinia mogła dobrze mu się przyjrzeć i ujrzała coś dziwnego. Napastnikiem była kobieta, przysadzista i muskularna postać w czarnym skórzanym stroju, podobnym do tego, w jakim walczyła Sothe. Jej twarz zasłaniała czarna obsydianowa maska. Jednak jej ciało było zdeformowane, o zbyt grubych i niekształtnych kończynach, jakby pod skórą miała warstwę jakiejś półpłynnej substancji.

Na oczach Raesinii wygląd kobiety się zmienił, gdy wijące się jak kłębowisko węży mięśnie odzyskały zbliżony do normalnego wygląd. Penitentka uniosła ręce i coś w nich zabłysło – rząd stalowych igieł, nie większych od wykałaczek, trzymany w zaciśniętych palcach.

Drugi wartownik pchnął ją nasadzonym na lufę muszkietu bagnetem. Penitentka obróciła się tak, że ostrze ześliznęło się po jej boku, rozcinając skórzany strój, ale nie ciało. Machnęła ręką, muskając szyję żołnierza i wbijając w nią coś. Jedną ze stalowych igieł, która natychmiast przybrała obrzydliwy i jadowicie zielony kolor.

Igła była tak mała, że nie utoczyła nawet kropli krwi z ofiary. Wartownik zrobił krok w tył i zamierzał ponownie pchnąć bagnetem, lecz nagle zachwiał się. Upuścił muszkiet, przycisnął dłoń do miejsca, gdzie tkwiła igła, a potem w konwulsjach upadł na ścianę namiotu.

Dwaj inni wartownicy stojący przy drugim rogu namiotu przyłożyli muszkiety do ramion. Penitentka obróciła się i machnęła rękami, ciskając w nich swe igły. Jedna kula z gwizdem zrykoszetowała od zamarznętej ziemi, a druga poszła za wysoko. Obaj żołnierze upadli niemal natychmiast, przyciskając dłonie do ran zbyt małych, żeby je zobaczyć.

Sothe gwałtownie się zatrzymała w fontannie śniegu i sztylety pojawiły się w jej dłoniach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pierwszy śmignął w powietrzu i trafiłby Penitentkę w czoło, gdyby się nie uchyliła. Prostując się, machnęła ręką, jakby zmiatała coś ze stołu. Raesinia nie dostrzegła stalowych igieł, ale Sothe zareagowała błyskawicznie, rzucając się na śnieg. Przetoczyła się i zerwała na równe nogi, gdy Penitentka już wbiegała do namiotu.

– Na spizowe jaja Bestii! – zaklął Marcus, dobiegając do nich. – Co, do diabła...

– Chodź! – krzyknęła Raesinia, pędem pokonując ostatnie metry dzielące ją od namiotu. Sothe była tuż przed nią, odrzuciła klapę wejściową i natychmiast uskoczyła. Coś ze świstem przeleciało koło ucha Raesinii.

Namiot Janusa był duży, ale skromnie umeblowany: mieścił tylko pryczę, składany stolik i kilka skrzyń. Byli tam dwaj kolejni wartownicy, ale jeden z nich już leżał na ziemi z wytrzeszczonymi

oczami i rękami przyciśniętymi do szyi. Drugi trzymał w ręku miecz, a za nim Janus sięgał po długi rapier wiszący obok łóżka.

– Nie daj się jej skaleczyć! – krzyknęła Raesinia, rzucając się na Penitentkę. Zamaskowana kobieta odwróciła się, machnęła ręką i Raesinia poczuła, że coś ukłuło ją w ramię. Trucizna zawarta w metalu błyskawicznie rozeszła się po wszystkich włóknach nerwowych jej ciała, powodując okropny ból, który sięgał do serca.

Raesinia jednak przywykła do cierpienia, a więc już wzięła się do pracy i pędziła po drogach nerwów jak kontratakująca armia. Raesinia zdobyła się na złowrogi uśmiech, ledwie zwolniwszy kroku, a Penitentka, która już się odwracała do niej plecami, nagle znieruchomiała i spojrzała na nią z przestrawieniem.

Tego się nie spodziewałaś, co? – zadrwiła w duchu królowa. Z impetem wpadła na nią, napierając całym niewielkim ciężarem swojego ciała. Kobieta zachwiała się, ale nie upadła. Raesinia okręciła się, oburącz złapała ją za rękę i przytrzymała.

– Sothe! – wrzasnęła.

Długa współpraca przynosi liczne korzyści. Sothe również błyskawicznie oceniła możliwości przeciwniczki i doszła do tego samego wniosku. Gdy Raesinia unieruchomiła rękę kobiety, Sothe rzuciła drugim sztyletem, który wbił się w dłoń Penitentki. Kobieta wrzasnęła z bólu – był to pierwszy dźwięk, który Raesinia usłyszała z jej ust – i drugą ręką cisnęła gradem igieł w Sothe. Jednak Sothe już zaczepiła nogą o rzucony na podłogę koc i kopniakiem posłała go w powietrze, jako prowizoryczną osłonę przed nadlatującymi igłami.

W namiocie rozległ się ogłuszający huk, gdy Marcus wypalił z pistoletu. Kula wyrwała dziurę w brezentowej ścianie, gdyż

zabójczyni na usługach Kościoła się uchyliła. Marcus zaklął i wyjął szablę. Penitentka cofnęła się o krok, ciągnąc za sobą Raesinię, po czym sprawną ręką cisnęła resztę igieł w kierunku Janusa i wartownika. Kolonialny żołnierz, zasłaniający dowódcę własnym ciałem, oberwał kilkunastoma igłami i runął na Janusa, przygniatając go do ziemi. Następny sztylet śmignął w powietrzu ku drugiej dłoni Penitentki i chybił o włos.

Kobieta powiedziała po murnskajsku coś, co zabrzmiało jak przekleństwo. Błyskawicznie zamachnęła się sprawną ręką i uderzyła nią w szyję Raesinii. Już sam ten cios byłby bolesny, a w dodatku Penitentka miała ostre jak brzytwy paznokcie, które przebiły skórę. Raesinia poczuła, jak pulsują, gdy przepływa przez nie strumień zielonego jadu. Jej palce rozchyliły się mimowolnie i puściły rękę Penitentki.

Odzyskawszy swobodę ruchów, kobieta ruszyła do wyjścia. Marcus ciął szablą, mierząc w jej głowę, ale zwinnie jak wąż uchyliła się i musiał odskoczyć, żeby uniknąć ciosu jej szponiastej dłoni. Sothe była szybsza: okręciła się i wbiła sztylet w plecy Penitentki. Zamaskowana kobieta potknęła się, ale nie upadła i wybiegła na zewnątrz. Sothe podążyła za nią.

Janus wstał, zepchnąwszy z siebie martwego żołnierza, wciąż trzymając w dłoni rapier. Machnął nim w powietrzu, w ślad za uciekającą Penitentką.

- Generale kolumny, nie pozwól temu stworowi uciec.
- Tak jest! – Marcus wyprężył się, a potem spojrzał na Raesinię.
- Raes, nic ci nie jest?

Raesinia opadła na ścianę namiotu, przytrzymując się brezentu, żeby nie upaść. Dawka trucizny była tak duża, że jej serce niemal

natychmiast przestało bić, a włókna nerwowe zapłonęły żywym ogniem, który przekroczył granice bólu i zmienił się w błogosławione odrętwienie. Dopiero po chwili znów podjęło pracę, gdy więź owinęła się wokół drżącego, obumierającego organu.

– Nic mi nie będzie – wyrzęziła. – Jestem nieśmiertelna, pamiętasz?

Marcus kiwnął głową i skierował się do wyjścia. Jednak zanim zdążył opuścić namiot, usłyszał szczęk i odwróciwszy się, zobaczył, że Janus upuścił rapier.

– Pierwszy konsulu? – zaniepokoił się Marcus.

– Ach. – Janus dotknął dłonią policzka. Miał na nim maleńkie skaleczenie, niewiele większe od zadrapania, z którego wypłynęła kropelka krwi. Mięśnie jego twarzy zadrgały. – Wygląda na to, że mogę potrzebować pomocy.

Postawił oczy w słup i stracił przytomność.

Dwanaście

Marcus

Przepraszam, Wasza Królewska Mość – powiedziała Sothe, kłaniając się.

– W porządku. – Raesinia wciąż mówiła ochryłym szeptem. – Walczyłaś z Przeklętą Penitentką.

Sothe zacisnęła wargi, ale się nie spierała.

Penitentka uciekła. Dopadła uwięzanych koni i kilka dźgniętych jej zatrutymi pazurami zwierząt zaczęło szaleć, wywołując ogólny popłoch. W zamieszaniu wskoczyła na jedno z nich i pogalopowała na skraj obozu, gdzie biali jeźdźcy wciąż atakowali linię wart. Kiedy do nich dołączyła, natychmiast uciekli, pozostawiając tylko wystrzelone strzały i zabitych.

Ihernglass przybył do namiotu dowodzenia zaledwie minutę po ucieczce Penitentki. Natychmiast posłał po chirurga Pierwszego Dziewczęcego, Hannę Courvier, zapewniając Marcusa, że jest najlepsza w całej armii. Kiedy przybyła, w kurtce narzuconej na nocną koszulę, natychmiast wyrzuciła wszystkich z namiotu Janusa. Zebrali się w namiocie dowodzenia obok, wokół dużego stołu z mapami.

Nie było nikogo, kto by nie wiedział, co się stało. Plotki o próbie zabójstwa rozeszły się po całym obozie, powiększając wzburzenie atakami białych jeźdźców. Marcus kazał generałom postawić

dywizje w stan gotowości w nadziei, że to powstrzyma żołnierzy przed rozpowszechnianiem plotek. Na próżno: wyczuwał rosnące napięcie każdego kolejnego posłańca przybywającego do namiotu dowodzenia. Dyskretnie rozglądali się, szukając Janusa lub jakichś oznak tego, co się stało.

Oprócz niego w namiocie była Raesinia, Sothe i Ihernglass. Sothe powoli podniosła głowę i usiadła obok królowej. Ihernglass odkaszlnął.

– Powinienem wiedzieć – rzekł. Zacisnął prawą dłoń w pięść i skrzywił się. Drugą dłoń miał zabandażowaną. – Ta druga Penitentka poświęciła się, żeby zwabić mnie na skraj obozu i odwrócić moją uwagę. Gdyby nie to, może wyczułbym, co się tu dzieje.

– Obwinianie się nic nam nie da – wychrypiała Raesinia. – Musimy się zastanowić, co dalej.

Jakby na zawołanie, ktoś poskrobał w klapę wejściową namiotu. Usłyszeli głos Andy.

– Generale? Chirurg chce się z panem widzieć.

W jej głosie słyhać było niepokój. Marcus jeszcze nie wyjawiał jej prawdy o ataku, ale nie mogła nie zauważyć panującego w obozie nastroju oraz kilku zabitych kolonialnych.

– Wpuść ją – rzekł Marcus.

Hanna była poważną i kompetentną lekarką, ale na widok jej miny Marcusowi serce stanęło w gardle. Wchodząc, pokręciła głową, najwyraźniej niespeszona obecnością generała kolumny i królowej Vordanu.

– Czy on... – zaczął Marcus.

– Żyje – powiedziała Hanna. – Jednak to chyba wszystko, co

mogę wam powiedzieć. Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

Marcus odetchnął, razem ze wszystkimi zebranymi wokół stołu.

– Może jakieś szczegóły – zachęciła ją Raesinia.

– Obejrzałam skaleczenie na jego policzku – rzekła Hanna. – Nie jest głębokie, ale z tego, co mi powiedzieliście, wynika, że broń była zatruta. Zazwyczaj na skórze lub w samej ranie są jakieś pozostałości trującej substancji, ale niczego nie znalazłam. Poszerzyłam nieco ranę i wypływająca z niej krew wygląda normalnie.

– To może być dość... niezwykła trucizna – stwierdziła Sothe.

Hanna skinęła głową.

– Niewątpliwie. Większość trucizn albo działa szybko i krótkotrwale, albo potrzebuje dużo czasu, zanim zacznie działać. Zbadałam wartowników i jest jasne, że ta substancja ma nadzwyczaj gwałtowne działanie. Jednak nic nie wskazuje na to, żeby tak działała na pierwszego konsula.

Marcus odkaszlnął.

– A w jakim właściwie jest stanie?

– Jest nieprzytomny i ma wysoką temperaturę – odparła bez ogródek Hanna. – To bardziej przypomina gangrenę niż działanie trucizny, ale dokładnie go zbadałam i nie znalazłam żadnych innych obrażeń.

– I co pani prognozuje? – zapytała Raesinia. W tej krótkiej chwili milczenia, które zapadło po jej pytaniu, zdawało się, że świat wstrzymał oddech.

– Nie mam pojęcia. Przykro mi, Wasza Królewska Mość, ale jak już powiedziałam, jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. Zrobię, co w mojej mocy, żeby złagodzić objawy, ale czy on

wyzdrowieje, czy jego stan się pogorszy, możemy tylko zgadywać.
– Hanna wzruszyła ramionami. – Może pomogłoby mi, gdyby przesłuchać zabójczynię i dowiedzieć się, jakiej użyła trucizny, albo gdybym miała próbkę tej substancji. W przeciwnym razie mogę tylko czekać.

– W porządku – rzekł Marcus. – Dziękuję, panno Courvier. Proszę nadal robić, co w pani mocy.

Hanna ukloniła się i odeszła. Marcus popatrzył na zebranych wokół stołu.

– Nic dziwnego, że ona nie wie, co to jest – rzekła Raesinia i zanosła się kaszlem. – W końcu to czary.

– Ihernglass, ty masz pożeracza demonów, prawda? – zapytał Marcus, czując się nieco niezręcznie. – Czy on mógłby pomóc?

– Nie w tym wypadku – odparł generał. – Wszystkożerca musi zetknąć się z demonem, a ten jest w ciele Penitentki, która uciekła.

Sothe zwiesiła głowę, nic nie mówiąc.

– Czy możemy się spodziewać, że sam wyzdrowieje? – zapytał Marcus. – Najwyraźniej przeżył ukłucie igłą, w przeciwieństwie do innych.

– Dostał znacznie mniejszą dawkę – przypomniała Raesinia. – Jednak... nie sądzę. – Zerknęła na Ihernglassa, który patrzył na nią z zaciekawieniem. – Sądząc po tym, co czułam, kiedy mnie ukłuła, ta trucizna działa jak jakieś żywe stworzenie. Jak część demona. Myślę, że będzie atakowała go, aż... umrze.

– Musi być coś, co możemy zrobić – powiedział Marcus, spoglądając na nie. – Nie zamierzam udawać, że znam się na demonach i magii, ale czy nie ma jakiegoś... zaklęcia, naparu czy czegoś? – I po chwili dodał: – Mógłbym posłać wiadomość do

Vordanu i poprosić Feor, żeby poszukała w Tysiącu Imion.

– To by za długo trwało – orzekła Sothe. – Łączność za pomocą pstrykaczy nie działa za Polkhaiz, a kto wie, co zrobił z nią śnieg. Mogą minąć tygodnie, zanim otrzymamy odpowiedź.

– I nawet gdyby Imiona mogły pomóc – dodała Raesinia – nie wiem, co Feor mogłaby zrobić w Vordanie.

– Tylko jedno przychodzi mi do głowy – rzekł Ihernglass. – Musimy znaleźć tę Penitentkę i zabić ją.

Wszyscy przez chwilę spoglądali na niego.

– Jesteś pewny, że to zadziała? – zapytała Sothe.

– Oczywiście, że nie jestem – odparł. – Przeważnie jednak, kiedy nosiciel demona umiera, jego moc przestaje działać.

Marcus skinął głową, przypomniawszy sobie świątynię pod Wielką Desol. Gdy Jen zabiła khandarskiego chłopca, wszystkie zielonookie trupy upadły na ziemię.

– Byłoby jeszcze lepiej – powiedział Ihernglass – gdybym zdołał wykorzystać do tego Wszystkożercę. On pożera w całości każdego innego demona. Nie wiem, czy stan Janusa natychmiast by się poprawił, ale przynajmniej trucizna przestałaby działać.

– Jednak zabójczyni uciekła – przypomniała Sothe.

– Zatem podążymy za nią – odparł Ihernglass.

Znów zapadła cisza.

– Jest ranna – dodał. – Nie da rady szybko podróżować. Jeśli wyruszymy od razu, niewielką grupą, może zdołamy ją dogonić.

– Przez te śniegi i wszystko, co może tam być – powiedział Marcus. – Nie mówiąc już o białych jeźdźcach. Nigdy ci się to nie uda.

– Zatem Janus już nie żyje – stwierdził Ihernglass. – To nasza jedyna szansa i zamierzam ją wykorzystać.

– Wspomniałeś o wykorzystaniu Wszystkożercy do zniszczenia zabójczyni – odezwała się Raesinia. – Czy zgłaszasz się do dowodzenia tym pościgiem?

Ihernglass zamrugnął, jakby się nad tym nie zastanawiał. Potem westchnął przeciągle, ze znużeniem.

– Tak, chyba tak.

– Jeśli ktoś ma to zrobić, powinienem to być ja – zaczął Marcus, ale Raesinia pokręciła głową.

– Dowodzisz armią, dopóki Janus jest niedysponowany – przypomniała. – Potrzebujemy cię tutaj.

– Ona ma rację – zgodził się Ihernglass.

– Kogo weźmiesz ze sobą? – zapytała Sothe.

– Kilku moich ludzi – odparł Ihernglass. – Wybiorę takich, którzy są obcy z pustkowiami. Będziemy potrzebowali tyle koni i żywności, ile możecie nam dać.

– Bierz tylko ochotników – poradził Marcus. – Nikomu nie można nakazać podjęcia się takiej misji.

Ihernglass westchnął.

– Nie sądzę, żeby był z tym jakiś problem.

Winter

– Nie możesz tak po prostu mnie tu zostawić – zaprotestowała Cyte. – Nie masz prawa podejmować takiej decyzji.

– Prawdę mówiąc, mam – odparła Winter, grzebiąc w swoim

kufrze. – To przywilej generała dywizji.

– Jednak... – Cyte stała na środku namiotu, przygryzając wargę.

– Rozważ to logicznie – powiedziała Winter. – Jesteś w tym dobra, prawda? Ja jadę, ponieważ mam Wszystkożercę. Bobby, ponieważ gnie stalowe sztaby gołymi rękami. Nie zostawiam cię na tyłach. Zostawiam cię, żebyś dowodziła, rozumiesz?

– To Abby powinna dowodzić – oponowała Cyte. – Jest wyższa rangą.

– Abby ma swoje obowiązki. Dobrze wiesz, że dowodzisz tą dywizją w takim samym stopniu jak ja, od kiedy zaczęliśmy maszerować. Marcus będzie potrzebował twojej pomocy.

Cyte zamrugła, powstrzymując łzy. Te argumenty były logiczne i Winter wiedziała, że ona to zrozumie. Chociaż czasem to nie wystarcza.

– Sposób, w jaki o tym mówiłaś – powiedziała Cyte tak cicho, że niemal szeptem. – O tym, że weźmiesz tylko ochotników. To zabrzmiało tak, jakbyś nie spodziewała się wrócić.

– To będzie niebezpieczne – odrzekła Winter. Powoli zamknęła kufer i wstała. Zabolą ją lewa dłoń, wciąż zabandażowana i krwawiąca. – Jednak tocymy wojnę. Wszystko jest niebezpieczne.

– Jest różnica między narażeniem się na niebezpieczeństwo a samobójstwem – zauważyła Cyte. – Winter, proszę. Spójrz mi w oczy i powiedz, że twoim zdaniem wrócisz cała.

Winter przeszła przez namiot i stanęła przed nią, twarz przy twarzy. Wargi dziewczyny drżały.

– Tak długo zajęło mi... zrozumienie tego – szepnęła Cyte. – Po

tym wszystkim... gdybyś...

– Niczego nie będę ci obiecywać – weszła jej w słowo Winter. – Jesteś na to zbyt mądra. Jednak zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Nie musisz – powiedziała ledwie dosłyszalnie Cyte, jakby uważała tę myśl za zbyt niebezpieczną, żeby ją wypowiedzieć. – Wiem, że Janus jest twoim przyjacielem, ale...

Winter pocałowała ją, mocno. Cyte przytuliła się do niej, obejmując ją.

– Muszę iść – rzekła Winter, gdy w końcu się rozdzieliły.

– Wiem. – Głos Cyte nie drżał, choć w oczach wciąż błyszczały łzy. – Powodzenia.

– Sprawdziłam listę – powiedziała Abby. – Sami dobrzy ludzie. Żaden z nich cię nie zawiedzie.

Do zmroku zostało tylko kilka godzin, ale Winter chciała wyruszyć jak najszybciej. Rana może spowolniła Penitentkę, ale i tak miała nad nimi przewagę. Śnieg akurat przestał padać, więc łatwo będzie podążać po jej śladach. To jednak w każdej chwili mogło się zmienić, a nawet parę centymetrów śniegu mogło wystarczyć, żeby pościg zgubił trop. Ich jedyną przewagą było to, że demony wyczuwały swoją obecność, lecz i ta słabła wraz ze zwiększeniem dystansu. Winter postanowiła szybko zbliżyć się do Penitentki na tyle, żeby wyczuć jej obecność, zanim śnieg zatrze jej ślady.

Oczywiście to oznaczało, że Penitentka też będzie mogła ją wyczuć. Na to jednak nic nie można było poradzić.

Zabrała dwudziestu pięciu żołnierzy, wszystkich z Pierwszego

Dziewczęcego. Abby znała swoich ludzi lepiej niż większość dowódców i szybko skompletowała grupę ochotniczek, które jej zdaniem będą przydatne. Pierwszy Dziewczęcy był także jednym z najbardziej oddanych Janusowi oddziałów i zapewne najmniej skłonnych do paniki, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Dodatkową korzyścią było to, że płeć Winter była dla nich publiczną tajemnicą, co oznaczało, że nie będzie musiała udawać, co przy tak bliskiej styczności byłoby trudne.

– Dzięki – powiedziała. – Zrobię, co będę mogła, żeby wszystkie wróciły do obozu.

Abby skinęła głową.

– Ty też wróc.

Winter uśmiechnęła się, nieco smętnie.

– Spróbuj pomóc Cyte, dobrze? Poradzi sobie, ale może nie wierzy we własne siły. Nie pozwól, żeby de Koste ją zakrzyczał.

– Przypilnuję go – obiecała Abby. – Na pewno nie chcesz sama z nim pogadać?

– Nie mam czasu. – De Koste z czystej galanterii nalegałby, żeby jej towarzyszyć, a perspektywa kłótni z nim nie była zachęcająca. – Cyte ma pisemne rozkazy, a Marcus ją poprze.

– W porządku. – Abby klepnęła Winter w ramię, nieco mocniej, niż to było konieczne, a potem zasalutowała. – Powodzenia, generale.

Paru żołnierzy z oddziału, umiejących tropić, już wyruszyło na poszukiwania śladów Penitentki. Pozostali dosiadali koni na skraju obozu drugiej dywizji. Marcus wybrał najsilniejsze i najzdrowsze wierzchowce, nie zważając na protesty oficerów i kawalerzystów, którym je odbierał. Każdy żołnierz z oddziału Winter miał dwa

zapasowe konie, niosące prowiant – głównie paszę – oraz inny ekwipunek. W wyniku równie stanowczej rekwizycji wszyscy mieli płaszcze, chociaż w niezbyt dopasowanych rozmiarach.

Na skraju obozu Bobby sprawdzała juki, a Alex usiłowała włożyć o trzy numery za duży płaszcz. Gdy wreszcie jej się to udało, Winter o mało nie parsknęła śmiechem: rąbek płaszcza włókł się po ziemi, a ręce znikły w głębi za długich rękawów.

– Trzeba go będzie trochę przerobić – powiedziała Alex, spostrzegłszy jej minę. – Ale jest ciepły.

– Na taki wygląda – przyznała Winter i po chwili dodała: – Wiesz, że nie musisz tego robić.

– Przyszłam do was, żeby pomóc Janusowi – rzekła Alex. – Sądzę, że pomogę, jeśli przyczynię się do uratowania mu życia. Ponadto powiedziałaś, że lepiej wyczuwam inne demony niż ty, no i znam trochę okolicę, przez którą pojedziemy. Potrzebujecie mnie.

Winter kiwnęła głową i zwróciła się do Bobby.

– Na pewno już się dobrze czujesz?

Bobby poklepała się po brzuchu.

– Rany się zamknęły. Nie martw się. – Uśmiechnęła się do Alex, jakby z jakiegoś tylko im znanego żartu. – Dogonimy ją bez trudu.

– Mam nadzieję. Nie wiem, ile mamy czasu. – Winter nabrała tchu i poczuła lodowate zimno w płucach. – Gdzie sierżant?

Bobby wskazała barczystą kobietę o rozczochranych rudych włosach, ledwie ujarzmionych skórzaną opaską. Właśnie poprawiała źle umocowane juki na jednym z koni, karcąc nieszczęśnika, który to zrobił. Gdy Winter podeszła do nich, sierżant urwała gniewną tyradę i zasalutowała razem z szeregowcem.

– Sierżant Taring? – spytała Winter.

– Tak jest, generale! – Kobieta uśmiechnęła się. – Proszę mówić mi Ruda. Większość pozostałych tak mnie nazywa.

– A jak wy się nazywacie, szeregowy?

– Videlia Litton, generale! – Dziewczyna, chuderława nastolatka, z nabożnym podziwem patrzyła na Winter. – To dla mnie zaszczyt, generale!

Niedługo możesz tego pożałować. Winter usiłowała odepchnąć od siebie tę myśl. Wszyscy ci żołnierze zdawali sobie sprawę z ryzyka związanego z opuszczaniem obozu. Wiedzą, w co się pakują, równie dobrze jak ja.

– Sierżancie, każcie wsiadać na koń. Chcę, żebyśmy ruszyli za dziesięć minut – rozkazała.

– Tak jest, generale! – Ruda podniosła głos. – Ruszać się! Troczyć juki i szykować się do drogi! Ivers, co ty robisz, do diabła?

Niecały kwadrans później już jechali: długi rząd kobiet i mocno obładowanych koni. Ominęli zatłoczone części obozu, jadąc jego skrajem do miejsca, gdzie Penitentka przedarła się przez linię wart. Jedna z tropicielek, szeregowiec Margaret Jacks, czekała tam ze swoim wierzchowcem. Zasalutowała nadjeżdżającym i wskazała na północny wschód.

– Ślad wciąż jest dobrze widoczny, generale! – zameldowała. Nawet Winter to dostrzegła, gdyż odjeżdżająca galopem Penitentka pozostawiła w miękkim śniegu głębokie dziury, jak rany. – Farah pojechała przodem, żeby znaczyć trop. Dzięki temu będziemy mogli podążać za nią nawet po zmroku.

– Dobrze pomyślane – pochwaliła Winter.

Abby mówiła jej, że te dwie tropicielki, Margaret i Farah, znają

się na rzeczy; większość dziewcząt z Pierwszego Dziewczęcego pochodziła ze stolicy Vordanu, te dwie zaś były kłusowniczkami i złodziejkami, zanim schroniły się przed prawem w szeregach Skórzanych Kurtek.

Margaret dosiadła konia i poprowadziła je, podążając za śladami. Wkrótce zobaczyły tkwiącą w śniegu drewnianą tyczkę, wystarczająco długą, żeby tropicielka mogła ją wbić, nie zsiadając z konia. Po kilku kolejnych minutach dotarły do linii wart, najdalej wysuniętej granicy obozu. Wartownicy zaszalutowali, stojąc na baczność, dopóki kompania nie znikła im z oczu.

Napotykały kolejne tyczki w regularnych odstępach. Gdy niewidoczne słońce opadło za horyzont, zapaliły latarnie, podążając po śladach i znakach pozostawionych przez Farah. Na północ od Kovrii pas cywilizowanej okolicy był wąski, więc zaledwie kilka mil dalej zostawiły za sobą zasypane śniegiem pola i żywopłoty, znów wjeżdżając w las.

Winter nie podobała się panująca w nim cisza. Śnieg tłumiał dźwięki i wydawało się, że tylko odgłosy ich przejazdu – oddechy koni, poskrzypywanie i pobrzękiwanie uprzęży, miarowy chrzęst śniegu pod kopytami – zakłócają odwieczną ciszę tego świata. Wszędzie wokół nich wznosiły się drzewa, których pnie jak czarne kolumny majaczyły tuż za kręgami światła rzucanymi przez latarnie. W ciemnościach i na nierównym terenie ślady Penitentki coraz trudniej było znaleźć, lecz drewniane tyczki wciąż wyznaczały im drogę.

Dogoniły Farah tuż po północy. Wraz z koniem schroniła się pod konarami potężnej sosny, gdzie warstwa śniegu była cienka. Chuda i ciemnowłosa, niezdarnie zaszalutowała i uśmiechnęła się.

– Już zaczęłam myśleć, że nie przyjdziecie – powiedziała z wyraźnym transpalskim akcentem. – Dotarłam aż tu przed zachodem słońca i nie chciałam zgubić tropu w ciemności. Ruszamy za nią ponownie po wschodzie słońca.

– Dziękuję, szeregowa Igniz – powiedziała Winter, po czym dodała głośniejszym głosem: – Dziękuję wam wszystkim. Wiecie, że nie prosiłabym was, żebyście to zrobili, gdyby to nie było ważne. Nie możemy oznajmić wszystkim, co się stało, ale wy zasługujecie, żeby to wiedzieć.

Przekazała im uproszczoną wersję wydarzeń minionego dnia, pomijając wszelkie fakty o demonach i czarach. Nasłana przez Kościół zabójczyni otruła Janusa i trzeba ją wytropić, żeby zdobyć odtrutkę. Rozległy się westchnienia zgrozy i ciche przekleństwa.

– Prześpijcie się – powiedziała Winter, kiedy ucichły. – O świcie podejmiemy pościg.

W jakiś dziwny sposób, pomimo anomalii pogodowych, ten Murnsk wydawał się najzupełniej normalny. Był to Murnsk z opowieści i ulicznych przedstawień, lodowe i śnieżne pustkowia bez śladu cywilizacji. Winter o mało się nie roześmiała, gdy sobie uzmysłowiła, że spogląda wokół z pewną satysfakcją.

W lesie zalegał mrok, nawet w ciągu dnia. Przez korony drzew, gdzie wciąż uparcie wisały zwiędłe liście, i wszechobecne ołowiane obłoki, słońce z trudem oblewało ziemię słabym szarym blaskiem.

Śnieg zdawał się jarzyć w półmroku, zaskakująco biały, a ciemne pnie drzew były na jego tle mrocznymi cieniami.

Winter już bolały plecy i boki. Zdołała zdrzemnąć się kilka godzin oparta o pień drzewa, opatulona płaszczem i kocem. Po

śniadaniu złożonym z suszonego mięsa, sucharów i wody znów dosiadły koni i pojechały za Farah i Margaret.

Jednak bardziej niż obolałe od jazdy mięśnie dokuczała jej lewa dłoń. Tylko przelotnie na nią zerknęła – zaognioną i krwawiącą, ze skórą zdartą lub zwisającą w strzępach – nim Hanna znów ją zabandażowała. Chirurg powiedziała, że większość tych obrażeń jest powierzchowna i powinna się zagoić, chociaż mogą pozostać widoczne blizny. Jednak ból był taki, jakby gryzła ją Bestia – nieustanny, palący – i musiała powstrzymać chęć drapania ręki przez opatrunek. Ledwie mogła utrzymać wodze w palcach.

Zostawiła Edgara w obozie, częściowo dlatego, że ze swoim łagodnym charakterem nie nadawał się do takiego pościgu, a trochę z sentymentu; gdyby ta wyprawa trwała dłużej, musieliby zostawić konie z braku paszy, a nie wiedziała, czy potrafiłaby zostawić go samego w śniegu. Jechała teraz na młodej nerwowej klaczy, której imienia nie знаła, trudnej do opanowania po spokojnym Edgarze. Jednak klacz była wytrzymała, co było ważniejsze od wygody. Koniom wcale nie było łatwiej niż ludziom przedzierać się przez śniegi.

Gdybyśmy miały czas, powinnyśmy zrobić sanie. Winter błędziła myślami. I załadować na nie więcej prowiantu. Może mogłabym jechać na nich ze skrzyniami. Wypuściła powietrze z płuc, patrząc na znikający obłok pary. Trudno było się skupić, gdyż biały las i człapanie koni działały niemal hipnotycznie. Otoczenie zmieniało się w tak niewielkim stopniu, jakby jeździły w kółko.

Dogonimy ją, uznała. Penitentka miała tylko jednego konia i żadnych zapasów paszy. Była ranna. Nie zajedzie daleko.

– Generale?

Winter zacisnęła lewą dłoń. Ukłucie bólu otrzeźwiło ją; zamrugła i zobaczyła jadącą obok Farah.

– Szeregowa Igniz – powiedziała. – Czy coś się zmieniło?

– Lepiej proszę na to spojrzeć.

Na śniegu leżał martwy koń, w czerwonej mazi otaczającej jego szyję, obok długich bruzd, które pozostawił, wierzgając nogami w agonii.

– To ten, na którym jechała Penitentka? – zapytała Winter.

Farah skinęła głową. Razem z Margaret przykucnęły przy padłym zwierzęciu. Reszta oddziału trzymała się z daleka, żeby nie zadeptać śladów na śniegu.

– W każdym razie to jeden z naszych – rzekła Farah. – Nie murnskajski, one mają inne podkowy. I z pewnością nie jest to wierzchowiec białych jeźdźców.

– W porządku. – Winter spoglądała na martwe zwierzę. Miało pianę na pysku. – Ostro go poganiała, a kiedy nie mógł dalej iść, poderżnęła mu gardło.

– Sądzymy, że spędziła tu noc – powiedziała Margaret. – Pod tamtym drzewem śnieg jest odgarnięty.

Winter chciała sprawdzić położenie słońca i nie mogła go znaleźć za drzewami. Uznała, że nie może być później niż po drugiej lub trzeciej. Jeśli Penitentka spędziła tu noc, to były pół dnia drogi za nią.

– A teraz zła wiadomość. – Farah wskazała ręką miejsce znajdujące się nieco dalej. Śnieg był tam zdeptany jak po przejściu wielu nóg. Kilka wyraźnie widocznych śladów miało kształt litery X, a nie U, jakie pozostawiały podkowy vordanajskich koni. – Ślady

białych jeźdźców. Są tak płytkie, że mogły je pozostawić tylko ich lekkie kuce.

– Kiedy? – zapytała Winter.

– Dzisiaj.

– Zatem jesteśmy bliżej, niż sądziliśmy. Czekala tu na nich.

Margaret zmarszczyła brwi.

– Trudno powiedzieć, ilu ich było, ale co najmniej kilkunastu. A może o wiele więcej, jeśli celowo zacierali swoje ślady. – Popatrzyła na resztę grupy. – A jeśli się rozdziela, nie będziemy wiedzieli, w którą stronę pojechała Penitentka.

– Poradzimy sobie z tym, jeśli zajdzie taka potrzeba. – Winter odwróciła się do pozostałych. – Alex! Pozwól tu na chwilę, proszę.

Alex, niemal równie kiepsko jeżdżąca konno jak Winter, podjechała na swoim wierzchowcu. Kawaleryjskie wierzchowce były przyzwyczajane do widoku krwi, lecz mimo to rumak kilkakrotnie parsknął, zaniepokojony.

– Wyczuwasz coś? – spytała ją Winter ściszoneg głosem.

– Poza tobą? – Alex zamknęła oczy i powoli obróciła głowę. – Trudno powiedzieć. Może nikły ślad.

– Jeśli szybko nie zbliżymy się do niej na tyle, żeby ją wyczuć, nie będzie potrzebowała opadu śniegu, aby uciec – powiedziała Winter. – Próbuj dalej i powiedz mi, jeśli będziesz pewna.

– Rozumiem. – Alex zerknęła na szlak, a potem na niebo. – Jesteśmy teraz na zachód od Drogi Pielgrzyma. Są przy niej gospody, ale oni trzymają się od niej z daleka. Założę się, że jadą prosto do Elizjum.

– Jak daleko ono się znajduje?

– Jeśli pojedziemy w takim tempie? – Alex wzruszyła ramionami. – Pięć, może sześć dni drogi.

– Musimy dogonić ich, zanim tam dotrą. – Winter podniosła głos. – Ruda! Ruszamy. Możemy jechać szybciej?

– Tak jest, generale – odparła sierżant. – Jednak biednym zwierzakom będzie ciężko.

– Trudno. Jeśli zgubimy zabójczynię, wszystko to będzie na próżno.

– Racja. – Głos sierżant odbił się głuchym echem po zaśnieżonym lesie. – Ruszać!

Raesinia

– Janusie? – powiedziała Raesinia. – Słyszysz mnie?

Janus bet Vhalnich, pierwszy konsul Vordanu, leżał półnagi na swoim polowym łóżku, okryty cienkim kocem. Na czole miał okład z zawiniętego w szmatę lodu, który topniał i moczył mu włosy. Poszerzona skalpelem przez badającą go Hannę rana na policzku była zamknięta ciemnoczerwonym strupem.

Miał otwarte oczy, ale chyba nie patrzył na nic w najbliższym otoczeniu. Poruszały się na boki, jakby obserwując coś przesuwanego się po niebie nad dachem namiotu.

– Słyszę... – wymamrotał. – Kto? Kto tu jest?

– To ja – powiedziała. – Raesinia.

– Raesinia. – Zmarszczył brwi. – Biedna dziewczyna. Martwa, nieżywa i nawet o tym nie wie. Biedactwo.

– Janusie? – powtórzyła. – Rozumiesz, co mówię?

– Pomóc jej. – Janus zamrugał ciężkimi powiekami. – Jak mogę jej pomóc? Tylko w jeden sposób można pomóc zmarłym. Tkwi w ciemności. Mya... oni wszyscy... tkwią w ciemności. – Jego przeciągłe westchnienie przypominało szloch. – Utknęli w mroku. Tak mi przykro. Przepraszam... powinienem...

Zamknął oczy. Raesinia przez moment obserwowała, jak oddycha, powoli i regularnie, po czym dotknęła jego policzka. Skóra była gorąca, a topniejący śnieg mieszał się z kroplami potu.

Kim była Mya? To imię nic jej nie mówiło. Najwidoczniej kimś, kto umarł. Tak jak ja, stwierdziła.

Wstała, owinęła się płaszczem i opuściła namiot. Hanna czekała na zewnątrz.

– Znów śpi.

– Mówił coś? – spytała chirurg.

– Trochę. Jednak niczego sensownego.

– Gorączka – mruknęła Hanna. – Mów do niego, jeśli możesz. Kiedy takie majaki trwają zbyt długo, ludzie potrafią się w nich zatracić. Mówienie do nich podobno pomaga.

– Tak zrobię.

Znajdujący się tuż obok namiot dowodzenia był otoczony kręgiem kolonialnych wartowników, tak samo jak zamieniony w izolatkę namiot Janusa. Marcus podjął wszelkie możliwe środki ostrożności na wypadek następnego ataku. Skłonili się Raesinii, a ona odchyliła klapę i weszła do środka. Palący się w kącie ogień utrzymywał znośną temperaturę. Wszystkie krzesła były odsunięte od stołu, a Marcus ze zboląłą miną pochylał się nad mapą.

– Jak poszło? – zapytała.

– Wszyscy są zaniepokojeni – rzekł Marcus. Miał odprawę

z generałami dywizji. – Ogłosiliśmy, że w wyniku zamachu Janus został ranny, ale wydobrzeje. Wszyscy są jeszcze trochę wstrząśnięci, ale nie wiem, co będzie, kiedy szok minie.

– Żadnych wieści od Winter?

– Jeszcze nie. – Spojrzał na nią. – Jak on się ma?

– Chwilami przytomny, ale nie ma z nim kontaktu. Nie wydaje się, żeby cierpiał, ale wciąż gorączkuje.

– Niech to szlag. – Marcus potarł oczy. Miał pod nimi sine worki; niewiele spał. – No cóż, dobra wiadomość jest taka, że biali jeźdźcy przestali atakować nasze warty.

– Dlaczego?

– Domyślam się, że uznali, że gdzie indziej mogą zadać nam dotkliwszy cios. To chyba jedyna dobra wiadomość. Atakują niemal każdy konwój jadący z dostawami z Polkhaiz, nawet eskortowany przez kawalerię. Jeśli nadal będziemy w takim tempie tracić konie, to wkrótce znów trzeba będzie zmniejszyć racje. Tamci tracą mnóstwo ludzi, ale zdaje się, że się tym nie przejmują. – Znowu spojrzał na mapę i zacisnął pięści. – Ten przeklęty śnieg. Na jaja pierdolonej Bestii.

– Marcusie. – Raesinia przysunęła sobie jedno z krzeseł i usiadła. – Posłuchaj mnie.

Znów na nią spojrzał, jakby zobaczył ją dopiero teraz.

– Przepraszam. Po prostu... – Bezradnie wskazał mapę. – Nie wiem, co robić.

Wiesz, pomyślała Raesinia. Tylko nie chcesz się do tego przyznać.

Żałowała, że nie może się skontaktować z Dorsayem lub Whalerem. Oczywiście reprezentowali nieprzyjaciela, ale takiego,

z którym mogła paktować, w przeciwieństwie do białych jeźdźców czy nieubłaganego mrozu. Jednak zważywszy na pogodę i niebezpieczeństwa grożące na drogach, było mało prawdopodobne, żeby zaryzykowali próbę nawiązania kontaktu. Po raz setny zadała sobie pytanie, czy powinna powiedzieć Marcusowi o swoich spotkaniach z Dorsayem, i po raz setny zdecydowała, że nie. Jeszcze nie.

– Jeśli od razu zmniejszymy racje żywnościowe o połowę – rzekł Marcus, przerzucając luźne kartki porozkładane na stole – zyskamy trochę czasu. Może tydzień. Powiem Piekielnikowi, żeby wziął wszystkich swoich ludzi i oczyścił drogę do Polkhaiz. Zaczniemy od przetransportowania jak najwięcej paszy. Ludzie mogą głodować dłużej niż konie. A potem...

– Potem? – podchwyciła. – Założmy, że to zadziała. Co wtedy?

– Zyskamy czas. Jeśli Janus wyzdrowieje, jeśli Winter wytropi tę Penitentkę, może zdoła coś wymyślić. A może ktoś, kto sprowadza na nas ten śnieg, wyczerpie swoją moc i pogoda wróci do normy. Coś musi się zmienić na lepsze.

– A jeśli nic się nie zmieni?

– Coś musi się zmienić – powtórzył. – Janus nie przyprowadziłby nas tutaj, gdyby nie miał jakiegoś planu.

– Janus jest nieprzytomny – przypomniała Raesinia. – Jeśli ma jakiś plan, to nikomu go nie wyjawia. – Milczała chwilę. – Jeśli będziemy to ciągnąć tak długo, jak się da, i sprawy nie przybiorą pomyślnego dla nas obrotu, jak wrócimy do Polkhaiz? To tydzień marszu w trudnym terenie.

– Wiem.

– Jak długo możemy tu zostać, jeśli mamy mieć wystarczające

zapasy, żebyśmy nie głodowali?

Raesinia już знаła odpowiedź na to pytanie, ponieważ tego ranka poszła do Giforte'a i kazała mu to wyliczyć. Wiedziała, że Marcusowi również przekazał te obliczenia, ale chciała, żeby powiedział to na głos.

Mogłabym wydać mu rozkaz. Ponieważ Janus jest nieprzytomny, zapewne by posłuchał, ale potem mogłabym go stracić. Na myśl o tym ścisnęło się jej serce i wmawiała sobie, że wcale nie z osobistych powodów. Marcus jest mi potrzebny. Nikomu innemu nie mogę tu ufać.

Westchnął.

– Gdybyśmy nie chcieli ograniczać racji żywnościowych, powinniśmy byli wyruszyć przedwczoraj – rzekł w końcu. – Jutro, jeśli ograniczymy je do połowy.

– Zatem uważam, że nie mamy już wyjścia.

Marcus zamknął oczy.

– Janus...

– Janus teraz nie dowodzi – powiedziała Raesinia – tylko ty.

– Nie rozumiesz. Jeśli się ocknie i odkryje, że nakazałem odwrót... – Marcus pokręcił głową. – Nie słyszałaś, jak o tym mówił. Nigdy by mi nie wybaczył, gdybym wszystko zepsuł po tym, jak zaprowadził nas tak daleko.

– Marcusie – rzekła łagodnie Raesinia. – Wiesz, przed kim odpowiadasz.

– Przed Vordanem. – Spojrzał na nią z miną winowajcy. – Przed tobą.

– Nie tylko. Życie wszystkich żołnierzy tej armii spoczywa w twoich rękach. Masz obowiązek zrobić to, co da im największą

szansę powrotu do domów. – I dodała bardziej oficjalnym tonem: – Generale kolumny, czy pana zdaniem, jako zawodowego wojskowego, utrzymanie armii na obecnej pozycji jest możliwe?

Marcus odruchowo wyprostował się i wygiął wargi w nikłym uśmiechu.

– Nie, Wasza Królewska Mość.

– A więc, proszę, podejmij odpowiednie kroki w celu poprawy sytuacji.

Skłonił głowę.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość. Rozumiem.

– Właśnie wydano rozkazy – zameldowała Sothe. – Rano przeprawimy się przez rzekę.

– Dzięki Bogu. – Raesinia odchyliła głowę. – Dlaczego mam wrażenie, że ta Przekłeta Penitentka wyświadczyła nam przysługę?

Już sama nie potrafiła zinterpretować swoich uczuć. Przypominały misę zmieszanych różnokolorowych farb – ulga, niepokój i poczucie winy, wszystko jednocześnie. A do tego niejasne przeświadczenie, że stchórzyła. Nie musiała zrealizować swojego planu i przyjąć propozycji Dorsaya. Czy naprawdę zdołałabym to zrobić, gdybym musiała? – zastanawiała się.

Sothe nic nie mówiła. Od czasu ucieczki Penitentki zabójczyni była w ponurym nastroju – w każdym razie bardziej ponurym niż zwykle, sprostowała w myślach Raesinia.

– Marcus będzie ważniejszy niż kiedykolwiek – powiedziała Raesinia. – Czy Janus wydobrzeje czy nie, Marcus może

przeciągnąć armię na naszą stronę, co oznacza, że potrzebujemy czegoś, co przyciągnie jego. Kiedy znów będziemy mogli kontaktować się z Vordanem, chcę, żebyś rozpoczęła poszukiwania.

– Poszukiwania? – Sothe podniosła głowę. – Czego?

– Jego siostry. Marcus ma młodszą siostrę, wiedziałaś o tym? Najwyraźniej znikła w wyniku jednej z intryg Orlanki, ale Marcus jest pewny, że ona wciąż żyje. Janus obiecał mu, że jej poszuka. Chciałabym, żebyśmy znalazły ją pierwsze.

– Jego... siostrę. – Sothe miała nieobecne spojrzenie.

– Dobrze się czujesz? – spytała Raesinia. – Jesteś pewna, że ta Penitentka cię nie zadrasnęła? Nawet odrobina tej trucizny może zabić.

– Nie... nic mi nie jest. – Sothe potrząsnęła głową. – Tylko się zamyśliłam. Ostatnio za dużo myślę.

– Czy wiesz coś o siostrze Marcusa?

– Nie – odrzekła Sothe. – Sądzę jednak, że mogę się dowiedzieć.

Interludium

Pontifex Czerni

Prowadzący – mały, biadolący i łasicowaty kapłan – skulił się pod spojrzeniem pontifeksa w czarnej masce.

– To przez ten śnieg – tłumaczył się. – Nasi zwiadowcy nie byli w stanie zapuścić się daleko. A plemieńcy nie sporządzają pisemnych raportów.

– To nie jest skomplikowana sprawa – rzekł pontifex. – Czy armia Vhalnicha nadal obozuje nad Kovrią?

– Tak uważamy – jęknął prowadzący. – Nie mogę jednak tego potwierdzić. Przez ten śnieg.

– Ona jednak może – zauważył zjadliwie pontifex.

Odwrócił się do nosicielki demona, kilkunastoletniej dziewczyny ostrzyżonej na jeża. Siedziała na krześle w obszernej szarej szacie, bezmyślnie patrząc w dal. Jej demon nie miał imienia, tylko sygnaturę – Wyczuwająca nr 74. Prowadzący zapewnił pontifeksa, że to najlepszy, jakiego teraz mają.

– Dotychczas nigdy się nie myliła – stwierdził prowadzący. – Sprawdzaliśmy to.

– Zapytaj ją jeszcze raz.

Kapłan zrobił taką minę, jakby chciał się spierać, ale zrezygnował, wyczuwając nastrój pontifeksa pomimo maski

skrywającej jego twarz. Uklęknął przy dziewczynie i szepnął jej coś do ucha, jakieś strzępy słów, które pontifeksowi wydały się zupełnie pozbawione sensu. Dziewczyna zaczęła mówić, równie niezrozumiale.

Pontifex zgrzytnął zębami. Wyczuwający osiągnęli pełnię swych możliwości, jeśli za młodu zostali połączeni z demonem, lecz ten proces powodował u nich niedorozwój umysłowy. Prowadzący musieli się nimi opiekować i interpretować ich meldunki, a on zawsze podejrzewał, że w wyniku tych tłumaczeń powstawały pewne nieścisłości. Jak wiele innych rzeczy, ten miecz też miał dwa ostrza, lecz był zbyt użyteczny, żeby z niego zrezygnować.

– Dwa z nich – powiedział w końcu prowadzący. – Zbliżają się, bardzo szybko. I być może trzeci, bardzo słaby.

– A te dwa?

– Jeden jest potężny. A drugi... – Przełknął ślinę. – Ona mówi, że to władca demonów, wasza ekscelencjo.

Władca demonów. To na pewno Ihernglass, jeśli wierzyć raportom ostatniego zespołu. Nadal nie było wiadomo, jaką dysponuje mocą, ale najwyraźniej potężną. Jeśli zbliża się Ihernglass, to Vhalnich jest z nim. Nie oddałby tak łatwo takiej mocy, rozumował pontifex Czerni.

– A kiedy tutaj dotrą? – zapytał pontifex.

– Trudno dokładnie oszacować odległość, wasza ekscelencjo...

– Precz z moich oczu.

– Wciąż nadchodzą – powiedział pontifex. – Jak to możliwe?

– Przebył pół kontynentu, żeby się tu dostać – odezwała się Bestia. – Trochę śniegu i lodu go nie zatrzyma.

– Wojska potrzebują chleba. Konie potrzebują paszy. Plemieńcy

pałą wszystko, czego nie zasypał śnieg.

– A jednak on wciąż nadchodzi. – Bestia uśmiechnęła się chytrze. – Tak jak cię ostrzegałam.

Pontifex prychnął, gniewnie spoglądając na więźnia. Co było bezcelowe, gdyż oczy Bestii zasłaniał żelazny hełm, więc stwór nie mógł go widzieć. Nie mógł, a pomimo to podniósł głowę, jakby chcąc spojrzeć mu w oczy. Dziewczyna będąca jego nosicielką była coraz chudsza, a jej przeguby otarte i ropiejące od kajdan. Rude włosy wystawały spod żelaznego hełmu, który uniemożliwiał regularne, higieniczne golenie. Pozlepiane brudne kosmyki sterczały ze szczelin metalowej opaski.

– Jakiego demona nosi Ihernglass? – zapytał pontifex. – Jaką on daje mu moc?

– Pewnych spraw nie obejmują nawet moje zasoby wiedzy – odrzekła Bestia, szczerząc zęby w trupim uśmiechu. – Jednak istotnie musi to być potężne stworzenie.

– Zatem jaki z ciebie pożytek? Dlaczego narażam moją duszę, rozmawiając z wrogiem ludzkości? – Pontifex odwrócił się. – Zostawię cię, żebyś zgnił w ciemności.

– Wiesz dlaczego – szepnęła Bestia.

Pontifex Czerni zdrętwiał.

– To największe zagrożenie, przed jakim stanął Kościół od czasów Karisa – rzekła Bestia. – Moich czasów.

Karis Zbawca. Mądrości uczyły, że błagał Boga, aby oszczędził ludzkości Sądneho Dnia, a poruszony tym Bóg okazał łaskę i powstrzymał Bestię. Była jednak inna historia, znana tylko Kapłanom Czerni.

Karis pojął, że Bestia oznaczałaby zagładę ludzkości. Dlatego

modlił się o siłę i stawił czoło temu stworowi. I z Bożą pomocą poskromił ją.

Taki był prawdziwy początek zakonu. Wszystko, co powstało później – Mądrości, Rada, samo Elizjum – służyło tylko temu jednemu celowi. Strzeżeniu Bestii i zapewnianiu bezpieczeństwa ludzkości.

Karis ujarzmił Bestię.

– Mój mistrz ostrzegał mnie – rzekł pontifex, nie odwracając się. – Przez tysiąc lat kusileś tak przeorów mojego zakonu. I przez tysiąc lat żaden z nas nie uległ pokusie.

– Twój mistrz był tchórzem – odparła Bestia. – Słabej wiary. Miał świat w garści i nie chciał go wziąć, ponieważ bał się, że Bóg nie obdarzy go taką siłą, jaką obdarzył Karisa.

Karis ujarzmił Bestię. Najpotężniejszy z demonów, posłuszny jego woli. Władza.

Moja wiara jest poddawana próbie. Pontifex nabrał tchu.

– Vhalnich poniesie klęskę. Ihernglass poniesie klęskę. Elizjum będzie trwać, tak jak trwa od tysiąca lat. Znów przegrałeś, potworze.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Sama w ciemnościach. Bestia zaczęła się śmiać.

– Powiedz mu, że potrzebujemy czegoś więcej.

– Więcej? – Prowadzący nosiciela Starej Wiedźmy patrzył zaspanymi oczami na pontifeksa, który wyrwał go ze snu w jego skromnej celi.

– Więcej – powtórzył Czarny. – Śniegi nie zatrzymały

Vhalnicha.

– Tylko że... – Nosiciel oblizał suche wargi. – Jeszcze więcej, a może tego nie wytrzymać. Już jest słaby.

– Jego przetrwanie nie będzie miało żadnego znaczenia, jeśli armaty Vhalnicha zwałą miasto na nasze głowy.

– I nie może kontrolować tej mocy, nie całkowicie. Ludzie...

– Ofiary są potrzebne. Wiesz, o co toczy się ta gra. Zrób to.

Prowadzący spuścił wzrok pokonany.

– Tak, wasza ekscelencjo.

Mróz

Oczywiście od początku wiedziała, że tego nie przeżyje.

Łgarz poprowadził Skręta i Strzyżyka na Vhalnicha oraz jego demony. Ci trzej byli najlepszymi Przeklętymi Penitentami i nigdy nie wrócili. Ten drań Cień zameldował, że stwory broniące Vhalnicha są silniejsze od czegokolwiek, czemu Kościół stawiał czoło przez setki lat. Przekłęci Penitenci byli zaledwie cieniem tego, czym byli w swym najlepszym okresie, gdy jawnie walczyli z królami-czarnoksiężnikami i demonicznymi kultami. Magia zniknęła z tego świata i pozwolono, by szeregi Penitentów się przerzedziły, w miarę jak ich przeciwnik słabł.

To był błąd. Zawsze tak uważała, choć nie jej to kwestionować. Zło urosło w siłę poza zasięgiem Kościoła, w Khandarze, a teraz powróciło.

Starannie wszystko zaplanowały ze Żmiją. Atak Mrozu odciągnie stwory Vhalnicha. Żmija, chroniona przed zimnem przez

jeden z jej magicznych naparów, przepłynię pod lodem i przypuści atak. Prosty plan, lecz Mróz wiedziała z doświadczenia, że proste plany zawsze są najlepsze.

Przez moment, w lesie, sądziła, że zdoła zwyciężyć. Ihernglass, o którym krążyły plotki, że jest władcą demonów, wydawał się zaledwie słabym człowiekiem. Jednak dwa pozostałe demony zaskoczyły ją.

Nie wiedziała, czy plan się powiódł, nie na pewno, ale domyślała się, że tak. Plemieńcy powiedzieli jej, że Żmija uciekła i Vordanajowie ruszyli za nią w pościg. A teraz wielka armia zwijała obozy i szykowała się do marszu, nie na północ, ku Elizjum, lecz na południe, z którego przyszła.

Udało się. Elizjum jest uratowane. Moja ofiara nie była daremna. Przełknęła ślinę, walcząc z bólem.

Niechętnie myślała o swojej śmierci. W końcu jej dusza była zgubiona, złożona w ofierze w chwili, gdy wypowiedziała imię lodowego demona, który w niej zamieszkał. Mogła oczekiwać jedynie wieczności w piekle. Nie dla niej zbawienie. Jedna dusza poświęcona, aby uratować tysiące. Oto, czym ostatecznie był Przeklęty Penitent.

Jednak śmierć nadchodziła, czy ona tego chciała, czy nie. Ocknęła się w męce, przywiązana do prymitywnych sań ciągniętych przez dwa białe kuce plemieńców. Znaleźli ją tam, gdzie Ihernglass i jego towarzyszki pozostawili ją, żeby umarła. Plemieńcy traktowali ją z nabożną czcią i nie śmieli jej zostawić, żeby wykrwawiła się na śniegu.

Przeklinała ich. Oni mogli uważać ją za nadczłowieka, ale Mróz wiedziała, że nim nie jest. I potrafiła rozpoznać śmiertelną ranę.

Te dziwne włócznie ciemności przeszły jej brzuch na wylot i chociaż plemieńcy opatrzyli te rany najlepiej, jak umieli, już cuchnęły ropą i rozkładem. Kręciło jej się w głowie od gorączki i raz po raz traciła przytomność. W jednej z rzadkich chwil, gdy myślała trzeźwo, kazała im rozbić obóz w pobliżu vordanajskiej armii i czekać.

Teraz zrozumiała. Pan nią kierował, oczywiście. Było jeszcze jedno zadanie, które mogła wykonać, oddać ostatnią przysługę wiernym, zanim porzuci swoje ciało i przyjmie zasłużoną karę za złamanie boskich praw.

– Kiedy zaczęli się przeprawiać? – zapytała plemieńca, który się nią zajmował. Był niski i brudny, z tłustymi włosami splecionymi w misterne warkoczyki.

– O świcie, Błogosławiona – powiedział, odwracając oczy. – Jest ich wielu. Zabrało im to większość dnia.

– Jednak jeszcze się przeprawiają?

– Tak, Błogosławiona.

Chwała Bogu. Nie przegapiła swojej szansy.

– Zanieście mnie nad rzekę.

Pospiesznie usłuchali. Przyszli jeszcze dwaj plemieńcy i podnieśli ją jak najdelikatniej. Pomimo to ten ruch wywołał fale bólu rozchodzące się z jej przedziurawionych wnętrzności i zasnuwające oczy mgłą. Była jednak pewna, że Pan nie zabierze jej, dopóki zadanie nie zostanie wykonane.

Schronili się w płytkiej pieczarze. Teraz nawet słabe słońce spowodowało, że Mróz mrużyła oczy i kręciło się jej w głowie. Plemieńcy znieśli ją po zboczu, z chrzęstem depcząc skórzanymi butami śnieg, po czym z szacunkiem położyli ją na brzegu rzeki.

Nawiany śnieg utworzył zaspy na zmrożonej powierzchni, lecz tutaj lód był widoczny pod jego cienką warstwą. Mróz położyła na nim dłoń i skoncentrowała się.

Jeszcze jedno zadanie. Przywołała demona, poczuła, jak reaguje, czerpiąc energię z jej słabnących sił. Osiągnęła granicę swej mocy i przekroczyła ją, pozwalając, by stwór pochłonął ją całą. Jeszcze jedno.

Pajęczyna pęknięć rozeszła się po skorupie lodu. Pod nią Kovria płynęła równie wartko jak zawsze, szerokim i lodowatym nurtem. Gdy demon przejął kontrolę, lód zmienił kształt, napierając w dół, żeby spowolnić nurt. Potężna rzeka naparła równie mocno, rycząc i kłębiąc się, gdy Mróz usiłowała ją stłamsić.

Coś musiało trzasnąć i Mróz wiedziała, co to będzie – lód. Przy wtórze trzasków donośnych jak wystrzały z muszkietów pękł i woda trysnęła w górę, wyparta potwornym naciskiem. Rzeka, na moment zatrzymana, ze zdwojoną furią pomknęła dalej. Nieco dalej skorupa lodu popękała, gdy poziom wody się obniżył, i teraz nurt uderzył w nią z impetem, niczym młot Boga.

Ściana spienionej wody i koziółkującej kry pomknęła w dół rzeki, z furią lawiny pędzącej ku niczego się niespodziewającej vordanajskiej armii. Jednak Mróz już tego nie zobaczyła. Demon zużył resztki jej sił witalnych i z westchnieniem satysfakcji wydała ostatnie, rżące tchnienie.

Trzynaście

Raesinia

Armaty i jaszczce, najtrudniejsze do przetransportowania, pierwsze przeprowiono przez most. Wiele wozów i innych środków transportu zostało, ale Marcus stanowczo zabronił pozostawiania dział. Całe bataliony piechoty przydzielone do ich przeciągania na zmianę pchały i ciągnęły je po zaśnieżonej ziemi, podkładając połamane gałęzie, żeby zwiększyć tarcie, gdy zapadały się zbyt głęboko, a w najgorszym razie po prostu podnosząc działa i z trudem przenosząc je kilka kroków dalej, na twardszy grunt.

Opatulona płaszczem z kapturem Raesinia obserwowała większość tej przeprawy, stojąc na południowym końcu mostu. Druga dywizja, dowodzona przez Cyte, oficer ze sztabu Winter, przeszła długim szeregiem przez most, żeby sformować przednią straż armii. Pierwsza dywizja pozostała w kurczącym się obozie, gdy reszta armii przemaszerowała obok, długą kolumną mozolnie przeciągającą po wąskim moście. Niektórzy żołnierze, zirytowani czekaniem, aż maszerujące przed nimi jednostki zejść z mostu, po prostu brnęli w śniegu po zamarznętej powierzchni rzeki, zachęceni okrzykami przez kompanów. Tu i ówdzie obrzucano się śnieżkami.

Ponury nastrój ostatnich dni trochę się poprawił. Morale armii mocno podupadło, gdy Janus został zraniony, ale Marcus cieszył się

niemal takim samym zaufaniem żołnierzy. Co ważniejsze, wiadomość o tym, że armia wraca do Polkhaiz, gdzie czekają pełne składy, dodała wszystkim otuchy.

– Tak naprawdę to nie można tego uważać za odwrót – mówił pewien sierżant swojej kompanii, przechodzącej obok królowej. – Ponieważ pobiliśmy Borelgajów i Murnskajczyków, pomimo ich paskudnych sztuczek. Wracamy z powodu pogody, a za to nie można nas winić.

Wszyscy zgodnie uważali, że gdy śniegi stopnieją i Janus w pełni wróci do zdrowia, wrócą tutaj i raz na zawsze rozprawią się z Elizjum.

Miejmy nadzieję, że nie, pomyślała Raesinia. Nadal nie miała żadnych wieści od Dorsaya, ale na południe od Kovrii jego posłańcom łatwiej będzie do niej dotrzeć. Kiedy groźba głodu minie, będzie czas poruszyć temat wznowienia rozmów pokojowych. Mam tylko nadzieję, że zdołamy nakłonić imperatora, żeby poszedł po rozum do głowy, westchnęła w duchu.

Kolonialni wartownicy nadal uwijali się wokół namiotu dowodzenia na wzgórzu. Marcus postanowił zostawić tam Janusa, dopóki nie przeprowią się wszystkie oddziały poza tylną strażą. Teoretycznie ze względu na zły stan zdrowia głównodowodzącego, choć Raesinia podejrzewała, że Marcus wciąż ma nadzieję, iż on cudownie ozdrowieje, nim zakończy się przeprawa. Współczuła Marcusowi, ilekroć widziała, jak okrutnie jest rozdarty pomiędzy oczywistym oddaniem Janusowi i równie oczywistą troską o dobro swoich żołnierzy.

Jakby przywołany jej myślami, Marcus pojawił się na moście, jadąc po skrawku wolnego miejsca wzdłuż maszerującej kolumny.

Pomachała do niego, a on lekko przyspieszył, ale popędził wierzchowca do kłusa, dopiero kiedy znalazł się na brzegu. Zeskoczył z konia obok Raesinii, machnięciem ręki przyjmując honory oddawane przez najbliższych stojących żołnierzy.

– To ostatnie pododdziały trzeciej – oznajmił. – Teraz przeprowia się pierwsza. Do zmroku powinniśmy mieć już wszystkich po tej stronie.

– Nigdy bym w to nie uwierzyła – powiedziała Raesinia. I tak było naprawdę; organizacyjna sprawność stworzonej przez Janusa armii, nawet w tak trudnej sytuacji, była zdumiewająca. Miasto namiotów na północnym brzegu znikło i tylko pozostawione śmieci świadczyły, że tam było. – Biali jeźdźcy nie sprawiają kłopotów?

– Dotychczas nie – odrzekł Marcus. – Są tam, to pewne, ponieważ od czasu do czasu widzimy ich zwiadowców. Najciężej będzie na końcu, jeśli spróbują zaatakować tylną straż. Ale jesteśmy na to przygotowani.

– To dobrze. – Raesinia obserwowała go; wciąż spoglądał na północ, na namiot dowodzenia. – Podjąłeś słuszną decyzję, Marcusie.

– Wiem – mruknął. – Tylko nie mogę się oprzeć wrażeniu, że on znalazłby jakiś inny sposób.

– Albo i nie – powiedziała. – Nawet Janus musi kiedyś zaryzykować i czasem nie wyrzuci samych szóstek.

Generał mruknął coś pod nosem.

– Być może – dodała z lekkim wahaniem – tak jest najlepiej.

Marcus spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– W ten sposób będziemy mieli jeszcze jedną szansę na pokój – ciągnęła. – Gdybyśmy zniszczyli Elizjum, rozpoczęlibyśmy wojnę,

która mogłaby trwać do końca naszych dni.

– Jednak ty nie zaznasz pokoju – przypomniał Marcus. – W tym rzecz. – Zniżył głos. – Kapłani Czerni...

– Ja może nie zaznam – przerwała mu – ale Vordan mógłby. Spochmurniał jeszcze bardziej.

– Nie mówisz poważnie.

– Muszę być realistką – rzekła Raesinia. – Nie zamierzam zmarnować wszystkiego, czego dokonaliśmy, poświęcić tysiące istnień dla mojego osobistego bezpieczeństwa.

– Jesteś królową. Przysięgliśmy cię chronić. A ja... – Marcus urwał i spuścił wzrok. – Ja... nie chciałbym, żeby cię to spotkało. Żebyś musiała opuścić Vordan lub poddać się tym potworom. Ja...

Potrząsnął głową i spojrzał w górę rzeki, w dal. Raesinia obserwowała to ze ściśniętym gardłem.

Powiedz coś, poprosiła w myślach. Miała wrażenie, że stoją po dwóch stronach przepaści, otchłani hierarchii, pozycji społecznej i okoliczności. Próbował ją pokonać, wyciągając rękę najdalej, jak śmiał. Jeśli ja wyciągnę swoją, chociaż trochę...

Na moment zamknęła oczy, otworzyła je i nabrała tchu, z mocno bijącym sercem.

– A co to takiego, do diabła?! – krzyknął Marcus.

Raesinia odwróciła się i powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

Coś zbliżało się rzeką, wypływając ze skutego lodem zakola. Wyglądało jak biała ściana, poruszające się wzgórze, zwodniczo powolne, dopóki nie uświadomiła sobie, jakie jest wielkie. Masa spienionej wody i przewalających się z chrzęstem kawałów kry płynęła w dół rzeki z siłą i prędkością lawiny.

– O Boże Wszechmogący! – jęknęła Raesinia.

– Na spiżowe jaja pierdolonej Bestii! – zaklął Marcus i pobiegł po moście, na którym niektórzy żołnierze zaczęli się gapić na nadchodzącą katastrofę. – Uciekajcie! Już, już, już!

– Marcusie! – krzyknęła Raesinia.

– Uciekaj! – zawołał do niej przez ramię. – Wynoś się stąd!

Chciała pobiec za nim, ale był już prawie w połowie mostu, zapchanego umykającymi, przestraszonymi żołnierzami. Ci, którzy szli po lodzie, też zaczęli uciekać, potykając się i padając. Marcus wciąż krzyczał, lecz jego głos zagłuszyły coraz głośniejsze okrzyki przerażenia. Zobaczyła, jak wymachuje rękami, kierując tych żołnierzy, którzy jeszcze nie doszli do połowy mostu, z powrotem na północny brzeg.

– Marcus! – Głos Raesinii też utonął w zamęcie, ludzkich krzykach zmieszanych z trzaskiem i jękiem lodu, pękającego z hukiem przypominającym odległą kanonadę.

Tłum gęstniał i uciekający popychali ją, nieświadomi, że tak traktują swoją władczynię. Marcus był maleńką niebieską postacią w tłumie innych, usiłujących dotrzeć na północny brzeg. Straciła go z oczu, gdy tłum wokół niej zgęstniał jeszcze bardziej, i nie widziała już nic prócz ściany niebieskich mundurów i guzików u płaszczy. Szarpała otaczających ją ludzi, pracując łokciami i pięściami, ale o mały włos nie została zwalona z nóg.

Lawina dotarła do mostu, poprzedzona falą śniegu i kropel wody, która spadła na zbity tłum. Drewniane przęsła nie były dla niej żadną przeszkodą i natychmiast się rozleciały, a ich resztki powiększyły tę niszczycielską kaskadę. Ludzie idący po lodzie, którzy nie zdążyli uciec, po prostu znikli, a szalejący nurt litościwie

skrył ten dramat.

Raesinia przestała walczyć z ludzką falą, która ją unosiła. Pozwoliła jej się nieść, z oczami piekącymi od łez.

– Zatem łodzie – powiedziała Raesinia.

– Rzeka wciąż płynie szybko i pełno na niej dryfującej kry – odparł Giforte. – Nawet gdybyśmy mieli łodzie, których nie mamy, nie moglibyśmy przepłynąć na nich, dopóki się nie uspokoi, a kto wie, jak długo to potrwa. Pogoda tutaj jest nie do przewidzenia.

To nie jest naturalne, pomyślała Raesinia. Była odrętwiała. Ta powódź była dziełem Penitentów, była tego pewna, tak samo jak sprowadzony przez nich lód i śnieg. Byliśmy głupcami, przybywając tutaj, tak blisko centrum ich władzy. Nieprzypadkowo Elizjum przez tysiąc lat nie zostało zdobyte.

Giforte stał i z szacunkiem milczał. Gdy Sothe wydołała Raesinię z tłumu wystraszonych żołnierzy, zajęły niewielkie wzniesienie przy drodze i zabrały się do przywracania jakiegoś takiego porządku. Generałowie byli zajęci zbieraniem swych dywizji, lecz na szczęście Alek Giforte przeprowadził się wcześniej ze swoim personelem. Raesinia nie знаła byłego kapitana Straży, ale Marcus mu ufał, tak więc pierwszym pytaniem, jakie mu zadała, było, jak przeprowić się z powrotem przez Kovrię. Niestety jego odpowiedź nie była taka, jakiej oczekiwała.

– Musi być coś, co możemy zrobić – upierała się, patrząc na wezbraną rzekę. Powódź przyniosła opar mgły i śniegu, który unosił się w powietrzu, zasłaniając drugi brzeg. – Są tam tysiące żołnierzy, nie mówiąc o generale kolumny i pierwszym konsulu. Nie możemy ich tak zostawić.

Przez mgłę było widać jakieś migoczące błyski; Raesinia nie wiedziała, czy to światła latarni czy rozbłyski wystrzałów.

– Wiem – powiedział Alek. – Jednak nie mamy wyjścia. I tak trudno nam będzie dotrzeć do Polkhaiz, a jeśli zaczekamy, aż woda opadnie...

Nie musiał kończyć tej myśli. Sześć dni do Polkhaiz. Mieli dość żywności, żeby dotrzeć tam na zmniejszonych racjach. Większość prowiantu przewieziono, zanim zaczęto przeprowiać żołnierzy, co oznaczało, że ci na północnym brzegu prawie go nie mieli. Jeśli nie da się prędzej przepłynąć przez rzekę niż za kilka dni, czekając, narazimy się na niebezpieczeństwo, myślała gorączkowo. Głodna armia siedząca w obozie to jedno, ale nie mogła prosić swoich żołnierzy, żeby długo brnęli przez śniegi o pustych brzuchach.

Tylko co innego mogę zrobić?

– Pułkownik Giforte!

Podbiegł do nich jakiś młody żołnierz. Miał przemoczony mundur, na którym już pojawiły się drobinki lodu. Dzwoniąc zębami, wręczył dowódcy karteczkę.

– Zauważyliśmy światło na drugim brzegu, p-p-pułkowniku! – wyjąkał. – Zacząłem liczyć błyski i ktoś tam nadaje pstrykaczem! To wiadomość, pułkowniku! – Zerknął na Raesinię. – Dla królowej.

Giforte, który już miał rozwinąć kartkę, rozmyślił się i odwrócił do Raesinii, której serce nagle zaczęło szybciej bić. Wzięła od niego kartkę i zawahała się.

– Niech ktoś okryje tego człowieka kocem, proszę – powiedziała.

Kilku stojących w pobliżu żołnierzy Giforte'a skoczyło wykonać ten rozkaz.

Na kartce papieru żołnierz pospiesznie zanotował:

Wasza Królewska Mość!

Bezpieczni, ale atakowani przez białych jeźdźców. Pozycja niekorzystna. Ruszamy w górę rzeki szukać przeprawy.

Nie czekaj. Zabierz armię w bezpieczne miejsce. Znajdziemy was.

Raes, proszę. Nie poddawaj się.

Marcus

Raesinia szybko zamrugła, powstrzymując łzy.

– Wasza Królewska Mość? – rzekł Giforte.

– Powiedz generałom, że chcę ich widzieć za pół godziny – poleciła. – Ruszamy na południe.

Marcus

Strzały świszczwały, padając jak śmiercionośny grad. Było coś okropnego w ich cichym locie, w tym braku błysków i huku muszkietowych wystrzałów. Spadały z nieba, niosąc śmierć, niczym cisi zabójcy. Kirasjer jadący przed Marcusem dostał jedną w szyję i nie wydawszy nawet jęku, spadł z konia, zaplątując się w wodze. Marcus ubódł swego wierzchowca ostrogami i przemknął obok zabitego ku trzem białym jeźdźcom, którzy zagrodzili im drogę. Wymierzył pistolet w jednego z nich i z odległości zaledwie paru metrów wpakował mu kulę w pierś. Trafiony osunął się na kark swego konia, a Marcus odrzucił pistolet i wyjął szablę.

Drugi biały jeździec zaatakował go toporem. Przy pierwszym uderzeniu o mało nie wytrącił mu szabli z ręki, bo choć o głowę niższy, był silny i doskonale panował nad swoim wierzchowcem, krążąc i uderzając. Trzeci zajechał Marcusa z drugiej strony

i generał w ostatniej chwili uchylił się przed ciosem. Ciął w górę, rozcinając do kości rękę jeźdźca, który zachwiał się w siodle i odskoczył. Drugi ciął toporem w zad Marcusowego konia, który z kwikiem stanął dęba. Gdy topór znów opadał, Marcus zsunął się z siodła na ziemię, na pół zeskakując, a na pół spadając.

Koń białego jeźdźca uskoczył poza zasięg kopyt wierzgającego rumaka Marcusa, a plemieniec wepchnął topór do pochwy i znów złapał łuk. Z tej odległości nie mógł chybić, więc Marcus uznał, że jego jedyną szansą jest uskoczyć przed nadlatującą strzałą i rozpruć brzuch kuca, zanim tamten wypuści następną. Zdążył jeszcze pomyśleć, jak mało prawdopodobne jest, żeby to mu się udało, gdy padły dwa strzały i biały jeździec runął w śnieg.

Dwaj kawalerzyści wyjechali z mgły, z dymiącymi karabinami.

– Generale! – powiedział jeden z nich na widok Marcusa. – Nic się panu nie stało?

– Nic. – Marcus wepchnął szablę do pochwy. – Gdzieś tu jest mój koń. Jeśli zdołacie go złapać, zajmijcie się nim i oddajcie komuś, kto wie, co z nim robić. Przed nami czysto?

– Tajest! – Żołnierz zasalutował, gdy jego towarzysz pospiesznie ładował muszkiet. – Generał Warus z czwartym batalionem jest niedaleko.

– Dziękuję.

Marcus ruszył truchtem, jak się dało w kopnym śniegu. Miejscami był ubity po przejściu piechoty, odsłaniając zamarznąły muł. Huk i błyski wystrzałów za plecami generała świadczyły o trwającej wciąż walce.

Biali jeźdźcy uderzyli, zanim opadł śnieżny pył, dostrzegłszy znakomitą sposobność. Na północnym brzegu została tylko garstka

vordanajskiej kawalerii, mająca być tylną strażą, więc szarża plemieńców nie napotkała niemal żadnego oporu ze strony bezładnych gromad piechoty. To jednak nie trwało długo. Fitz szybko objął dowodzenie, ustawił bataliony w czworoboki i odpędził jeźdźców, podczas gdy Marcus poprowadził nielicznych kawalerzystów na wzgórze, żeby zabrać stamtąd wszystkich, którzy pozostali w namiocie dowodzenia.

Nie wiedział, czy jego wiadomość dotarła na drugi brzeg. Nie mieli pstrykacza, tylko ognisko zasłaniane kawałkiem brezentu, i nie mogli czekać na odpowiedź. Gdy biali jeźdźcy zauważyli ich odizolowaną grupę, zaatakowali i Vordanajowie wrócili do kolumny, tracąc połowę ludzi i koni.

Fitz też poruszał się na piechotę, gdyż wszyscy oficerowie mający jeszcze konie musieli je oddać kawalerzystom, idąc na końcu zwartej, powoli maszerującej kolumny. Przed nimi żołnierze pierwszej dywizji byli tylko niewyraźnymi sylwetkami we mgle, a tu i ówdzie błyski wystrzałów znaczyły miejsca, gdzie biali jeźdźcy szukali słabych miejsc ich obrony.

– Janus – odezwał się Marcus, spieszenie dołączając do swego podkomendnego. – Czy...

– Jest na noszach nieco dalej. Jednak nie sądzę, żeby mróz dobrze mu zrobił. – Fitz pokręcił głową.

Marcus odetchnął.

– Lepsze to, niż zostawić go tym dzikusom.

– Racja, generale – przytaknął Fitz. – Wygląda na to, że chwilowo opanowaliśmy sytuację. Co dalej?

Marcus spojrzał na jego młodą, urodziwą, pełną ufności twarz i uświadomił sobie, że nie ma zielonego pojęcia, co robić.

Marcus był tak zaprzątnięty ratowaniem jak największej liczby ludzi, że nie do końca pojął, iż będzie dowodził całym tym bałaganem. Oczywiście, patrząc z perspektywy, nie mogło być inaczej: Janus był nieprzytomny, a Raesinia, jedyna osoba, która teoretycznie mogła objąć dowodzenie, została z resztą armii na drugim brzegu rzeki. W ten sposób on, generał kolumny Marcus d'Ivoire, został z kilkoma mocno pokiereszowanymi pułkami i nieprzytomnym głównodowodzącym na kilkuset metrach kwadratowych śniegu i lodu zajadłe atakowanych przez dzikusów.

Przede wszystkim należało sprawdzić, co zostało z pierwszej dywizji. Czwarty pułk przeszedł po moście, zanim zerwała go kra, a trzeci właśnie się przeprawiał. Nie wiadomo, ilu ludzi zmiażdżył lód lub pochłonęła ściana wody, lecz na północnym brzegu pozostało mniej więcej cztery tysiące w pięciu batalionach. Artyleria pierwszej dywizji również pozostała z tyłu, mając pomoc tylnej straży osłaniającej odwrót wraz z małym oddziałem jazdy.

Całość tworzyła siłę niemal tak liczną jak oddziały kolonialne w Khandarze, ale żałośnie małą w porównaniu z Wielką Armią. W dodatku zapasów było niebezpiecznie mało. Rezerwy armii, tak istotne dla jej przetrwania, przeprowiono przez rzekę z pierwszymi pułkami. Pierwszym rozkazem Marcus nakazał skonfiskować żołnierzom wszelką żywność, żeby ją racjonować, ale wyniki nie były zachęcające. Co gorsza, nie było paszy dla koni poza kilkoma workami uratowanymi przez poszczególnych kawalerzystów i tych, które udało się zabrać zabitym białym jeźdźcom. Przynajmniej amunicji było mnóstwo, gdyż Marcus podczas przeprawy nadał jej niewielki priorytet w porównaniu z prowiantem.

Miał mapy z namiotu dowodzenia, ale nie wiedział, czy będą

przydatne. Gdy słońce zapadało za horyzont, Marcus zwołał naradę wojenną w zwykłym żołnierskim namiocie, jednym z niewielu pozostałych. Na zewnątrz prowizorycznie sformowane przez Fitzę czworoboki zastąpił krąg wartowników z pochodniami, spoglądających w gęstniejący mrok i czekających na białych jeźdźców.

Poza Marcusem i Fitzem w naradzie uczestniczyła Viera, Andy i Piekielnik. Viera, jako dowodząca artylerią pierwszej dywizji, miała nadzorować ostatnią fazę przeprawy, a Andy przekazywała tylnej straży rozkazy Marcusa. Obecność Andy budziła w Marcusie ulgę i poczucie winy zarazem; Bóg wie, że potrzebował każdej pary rąk, ale mimo to wolałby, żeby była bezpieczna po drugiej stronie rzeki. Obecność Piekielnika była największą niespodzianką. Nikt nie wiedział, że generał kawalerii tam jest, dopóki nie wyskoczył w nocnej koszuli ze swego namiotu, głośno pytając, co się dzieje. Lekko ranny w trakcie potyczek o świcie, po opatrzeniu rany został wysłany z butelką brandy do swego namiotu i najwyraźniej ominęły go późniejsze atrakcje.

Nie było stołu, na którym można by rozłożyć mapę, zresztą namiot był tak mały, że nie było na to miejsca. Marcus rozłożył welinowy zwój na kocu i cała piątka pochyliła się, żeby spojrzeć na mapę w świetle lampy.

– Następny most jest w Bolkanzi – rzekł Marcus, przesuwając palcem wzdłuż linii rzeki Kovrii. – To co najmniej dwanaście dni drogi w dół rzeki.

– Jeśli wciąż stoi – powiedziała Andy. – Lód popękał jak okiem sięgnąć w obie strony.

– Dwanaście dni to tyle samo co rok – stwierdził Fitz. – Nie

przetrwamy tak długiego marszu.

– Największe szanse mamy w górze rzeki – zauważyła Viera. – To coś musiało się gdzieś zacząć. Może dalej lód jest nietknięty.

– Nawet jeśli nie, to jest tam bród. – Marcus postukał palcem w mapę. – To zaledwie parę dni stąd.

– Biali jeźdźcy pojedą za nami – ostrzegł Fitz. – Jeśli domyślą się, co zamierzamy, będą na nas czekali. Możemy się nie przebić na drugi brzeg.

– Zwłaszcza jeśli rzeka wciąż jest wezbrana – zauważyła Viera. – Nie mam tylu dział, żeby zapewnić dostateczną osłonę.

– To nasza jedyna szansa – skwitował Marcus. – Nie możemy pozwolić sobie na czekanie.

– Jestem za tym – odezwał się Piekielnik. Przez cały wieczór był dziwnie cichy, co Marcus uznał za skutek kaca. – Jeśli spróbują wejść nam w drogę, będziemy po prostu musieli się przebić!

– Wyruszymy o świcie – zdecydował Marcus. – Fitz, będziemy musieli iść bardziej zwartą kolumną niż zwykle. Nie mamy tyle kawalerii, żeby ryzykować wysyłanie patroli mających trzymać białych jeźdźców z daleka, tak więc musimy być przygotowani na ataki.

– Coś wymyślę – obiecał Fitz. – A co z działami? Damy radę przeciągnąć je przez śnieg?

Spojrzeli na Vierę, która zmarszczyła brwi.

– Dotychczas dawaliśmy radę – odparła – ale koniom było piekielnie ciężko.

– Działa będą nam potrzebne przy przeprawie – argumentował Marcus. – Jeśli zostawimy je, a biali jeźdźcy będą na południowym brzegu, nigdy się nie przedrzemy.

– Moglibyśmy zostawić sześćofuntówki – orzekła Viera. – I tak nie mają odpowiedniego zasięgu.

– Zróbcie to – polecił Marcus. – I wyznaczcie drużynę z poszczególnych pułków do przeciągania pozostałych.

Fitz skrzywił się.

– To im się nie spodoba.

– Powiedz im, że jeszcze mniej spodobałoby się im brodzenie w wodzie pod gradem strzał – rzekł Marcus. – Jeśli uda nam się przejść przez rzekę, zostawimy wszystko prócz koni i spróbujemy dogonić resztę armii. – I dodał z kwaśną miną: – To mi o czymś przypomina. Wszystkie kulejące lub słabe konie trzeba zarznąć. Ich mięso wkrótce będzie nam potrzebne.

Wszyscy pozostali też mieli nietęgę minę, szczególnie Piekielnik, ale nikt nie oponował. Marcus odetchnął.

– W porządku – powiedział. – Przebijemy się. A teraz idźcie się przespać. To był okropny dzień, a jutrzejszy nie będzie wcale lepszy.

Andy została, gdy wszyscy pozostali zasalutowali i wyszli, znikając w ciemnościach. Marcus spojrział na nią, zwijając mapę.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. – Jak twoja noga?

– Co? – Andy spojrzała w dół. – Och, nic mi nie jest. Czasem trochę pobolewa, to wszystko.

– Przykro mi, że tu utknęłaś. Gdybym wiedział, co nastąpi, wysłałbym cię przodem z królową.

– Gdybym wiedziała, co nadchodzi, upierałabym się, żeby zostać z tobą – odparła Andy z uśmiechem. – A właściwie, gdybyśmy wiedzieli, co będzie, może zdołalibyśmy coś z tym zrobić. – Jej uśmiech przygasł. – To robota Kapłanów Czerni, prawda?

– Niemal na pewno – zgodził się Marcus. – Rzeka nie mogła wezbrać tak nagle.

– Najpierw Janus, a teraz to. – Potrząsnęła głową. – Oni nie żartują.

– Przykro...

– Przykro ci? – Andy uniosła brew. – Musisz przestać przeproszać za to, że wpakowałeś mnie w to bagno, Marcusie. Sama w nie wskoczyłam, pamiętasz?

– Właściwie to chyba Kaznodzieja przysłał mi do pomocy ciebie i Hayvera.

– No cóż, od tamtego czasu miałam wiele okazji się z tego wyrwać.

– Masz rację. – Marcus o mało znów nie powiedział „przepraszam”, powstrzymał się jednak i roześmiał. – Jeśli to jakieś pocieszenie, to dobrze, że jesteś tu ze mną.

Twarz Andy na moment przybrała dziwny wyraz, którego Marcus nie potrafił zinterpretować. Zaraz jednak znikł, gdy zmarszczyła brwi.

– Jednak nie o to chciałam cię zapytać – powiedziała. – Co z Ihernglassem? Miał wrócić tutaj, prawda?

– Do diabła. – Marcus zupełnie o tym zapomniał. Pierwotny plan zakładał pozostawienie tu oddziału mającego bronić mostu, przynajmniej przez jakiś czas, ale oczywiście teraz było to niewykonalne. – Nie wiem... Nie wiem, czy jest coś, co możemy zrobić.

– Nie możemy tak po prostu go tu zostawić.

– On może być w lepszej sytuacji niż my. – Marcus pokręcił głową. – Nie możemy ryzykować, zostawiając tu ludzi, i nie

możemy tu tkwić. – Zastanawiał się chwilę. – Kiedy przeprowimy się przez rzekę, może wyślemy oddział do zerwanego mostu. W ten sposób przynajmniej będziemy mogli przesłać mu wiadomość, jeśli się pojawi.

To nie było wiele i oboje o tym wiedzieli, ale Andy nie naciskała. Marcus nie wspomniał o najbardziej prawdopodobnej możliwości – że Winter i te kobiety, które z nim pojechały, już nie żyją i leżą gdzieś w śniegach między Kovrią a Elizjum. Andy wyszła z nadąsaną miną.

Ledwie wystarczało namiotów dla wyższych oficerów, więc żeby pomóc uporać się z tym niedoborem, Marcus zgodził się dzielić z Janusem namiot, który służył jako izolotka. W końcu pierwszy konsul nie był zakaźnie chory, a w ten sposób Marcus mógł pilnować go w nocy. Hanna Courvier przeszła przez most z drugą dywizją, zostawiając tylko przepracowanego asystenta, który opiekował się Janusem i potrzebował pomocy.

Ponadto wątpię, czy zdołam zasnąć, pomyślał Marcus. Było dobrze po zmroku, nim znalazł się w niskim brezentowym namiocie, i do świtu pozostało zaledwie kilka godzin.

W środku paliła się tylko jedna lampa, zawieszona na maszcie namiotu. W jej świetle Marcus ujrzał pierwszego konsula, który leżał skulony na boku, z prześcieradłami i kocami skłębionymi w nogach. Marcus nachylił się, żeby z powrotem umieścić zimny okład na jego czole i okryć go kocem. Ten ruch najwidoczniej obudził dowódcę, który poruszył się na posłaniu.

– Mmm – wymamrotał. – ...o tu jest?

– To ja, Marcus. Wszystko w porządku. Śpij.

– Mya. – Na twarzy Janusa pojawił się uśmiech, nie ten

zwykły, przelotny, ale cieplejszy i szerszy. – Miałem sen. Ja... trzymałem cię za rękę, obejmowałem. A potem... – Uśmiech przygasł i znikł. – Spadałaś. Spadałaś w ciemność, na zawsze. Krzyczałem, ale mnie nie słyszałaś.

– Janusie? – cicho rzekł Marcus. – Pierwszy konsulu?

– Nie spadaj, Mya. Utrzymam cię. – Dłonie Janusa konwulsyjnie zaciskały się na kocu. – Przysięgam, że cię utrzymam. Nie... opuszczaj mnie.

Po chwili znieruchomiał i jego twarz się wygładziła. Marcus usiadł zmieszany, że przypadkowo usłyszał coś zbyt osobistego. Mya? Nigdy nie słyszał tego imienia. Może ukochana? Od kiedy Marcus go znał, Janus nigdy nie wykazywał zainteresowania kobietami i sprawiał wrażenie, że wszelkie romanse są poniżej jego godności. Trudno było sobie wyobrazić, żeby pozwolił komuś zbliżyć się na tyle, by obdarzyć go szczerym uczuciem. W końcu jest jednak człowiekiem, a nie posągiem z marmuru. Może to ktoś z czasów jego młodości? Długotrwała gorączka, jak mówiła Hanna, może wywołać majaki. Może to nic nie oznacza, stwierdził Marcus.

Rozebrał się i wczułgał do swojego łóżka, kuląc się przed zimnem. Zasnął niemal natychmiast, kiedy zamknął oczy, i śnił o Raesinii, spadającej samotnie w bezdenną czarną otchłań.

Następnego dnia, jakby niebo z nich drwiło, znów zaczął padać śnieg. Co gorsza, wiatr się wzmógł, ciskając kryształkami lodu w twarze ludzi i tworząc śnieżne wiry, tańczące wśród drzew. Płatki śniegu padały na parujące końskie boki i zbierały się na lufach dział, wycierane przez sumiennych artylerzystów Viery.

Fitz wybrał szyk jak żywcem wzięty ze starej księgi, z czasów,

gdy na polu bitwy decydującą rolę odgrywały wielkie gromady ludzi z sześciometrowymi pikami. Piechota szła w dwóch długich rzędach, zwartych jak do ataku, a nie luźnymi grupami, w jakich maszerowała zazwyczaj. Na rzucony przez oficera rozkaz każda część tego dwuszeregu mogła wykonać zwrot i oddać morderczą salwę albo nałożyć bagnety i odeprzeć szarżę konnicy. Między tymi szeregami szła artyleria, działa ciągnione przez konne zaprzęgi i drużyny piechoty ściskające grube liny, oraz wozy z resztkami zapasów i kilkoma wózkami dla rannych. Ku jego niezadowoleniu Piekielnik i reszta jego kawalerzystów musieli jechać wewnątrz tego szyku, żeby zbyt energicznie nie pogonili za widmowymi jeźdźcami i nie zostali odcięci.

Ten prowizoryczny szyk doskonale spełniał swoje zadanie. Zaledwie kolumna ruszyła, a biali jeźdźcy spróbowali atakować ją z dwóch stron. Za każdym razem zostali szybko odparci przez czujnych obrońców i uciekli, ponosząc ciężkie straty. Ujemną stroną takiego zwartego szyku było wolne tempo marszu i konieczność nieustannego pilnowania kolumny przez chodzących tam i z powrotem oficerów, baczących, by nie powstały niebezpieczne luki. Marcus wydłużył zwykły ośmiogodzinny marsz do dwunastu godzin, aż zaczął zapadać zmrok, a mimo to dywizja ledwie pokonała dystans, który spodziewał się z łatwością przebyć w ciągu dnia.

Rzeka po prawej wciąż była wezbrana, chociaż prąd zabrał większość kry. Teraz była tylko ciemną i lodowatą, szybko płynącą strugą. Przy brzegach tworzył się nowy lód, lecz minie co najmniej kilka dni, zanim skuje rzekę, a znacznie więcej, nim wytrzyma ciężar człowieka, nie mówiąc o armii. Kurtyna śnieżnych płatków

znikała w skłębionych wodach.

Rozbili obóz, jeśli można było to tak nazwać, na wzniesieniu nad rzeką. Na kolację była wojskowa zupa, zawierająca znacznie więcej wody, a o wiele mniej pożywnych składników niż zwykle. Przynajmniej nie musimy się martwić, że zabraknie nam wody pitnej, gorzko skonstatował Marcus. Na Wielkiej Desol była ich największym zmartwieniem; tutaj wystarczyło nabrać śniegu do kotła i podgrzać do wrzenia.

Było wielu chorych, głównie przeziębionych, i chirurdzy z pierwszego pracowali nad siły, żeby utrzymać ich na nogach. Nieliczne miejsca na wozach były zazdrośnie pilnowane i gorączkujących, na pół żywych żołnierzy spychano z nich, gdy tylko byli w stanie samodzielnie przejść kilka kroków i wlec się naprzód. Odmrożenia też stawały się poważnym problemem i amputowano już kilka palców u rąk lub nóg.

Marcus zaproponował, że zajmie się Janusem, dopóki dzieli z nim namiot. Ciepła i pachnąca wojskowa zupa chyba trochę wyrwała go z odrętwienia, bo zdołał usiąść i sam nabierać ją łyżką. Marcus uważnie go obserwował, co pewien czas podsuwając manierkę z zimną wodą.

– Marcusie? – Pociągła twarz Janusa jeszcze bardziej wychudła, miał ciemny zarost na policzkach i worki pod oczami. – Marcusie, wciąż tu jesteś?

– Jestem – potwierdził Marcus. – Proszę dokończyć posiłek, pierwszy konsulu.

Janus machinalnie przełknął jeszcze trochę, po czym odłożył łyżkę.

– Miałem wizję – powiedział. – Ten świat jest... Czy wiesz, jaka

jest natura tego świata?

– Nie, pierwszy konsulu. Jednak proszę zjeść jeszcze trochę.

– Ten świat to ocean. – Janus powoli zamrugał. – Jego powierzchnia jest jasna i czysta. Statki, ptaki, ryby. Sporządzamy mapy tej jasnej części i mówimy: oto ten świat. To wszystko. – Parsknął śmiechem, który przeszedł w kaszel. – Zadufanie. Pycha.

– Pierwszy konsulu, proszę.

Janus przełknął następną łyżkę zupy, a potem zapatrzył się w miskę.

– Jednak jest jeszcze coś, jak wiesz. Głębiej. To ciemność, bezkresna, aż do samego dna. Tyle ciemności. O wiele, wiele więcej jej niż światła. Rozumiesz? Kontynenty mroku, głęboko pod powierzchnią, nigdy niewidzące słońca. Światło jest najcieńszą warstwą, jak piana na powierzchni stawu. – Szturchnął łyżką cienką warstwę tłuszczu pływającego na powierzchni zupy. – Oto świat.

– A tak naprawdę ocean.

– To świat! – Janus obrócił się na swoim posłaniu i Marcus pospiesznie złapał miskę z zupą, zanim się wylała. – Nie rozumiesz, Marcusie. Tam, w głębi, jest tyle ciemności. Bezkresnej. A ona gdzieś tam jest. Muszę ją znaleźć. Jest tam... żyłka rybacka. – Zachichotał. – Żyłka rybacka! Niedaleko. Jeszcze kawałek...

Zamknął oczy. Marcus odstawił na bok miskę i złapał za ramiona osuwającego się Janusa, po czym ostrożnie położył go na łóżku. Jego oddech był zbyt gorący i za szybki. Marcus spoglądał na nieruchomą twarz śpiącego.

Co się za nią kryje? Wyobrażał sobie umysł Janusa jako ostre i zimne narzędzie, sprawną maszynę skonstruowaną z lodu. Tryby,

koła i wahadła z ostrzami jak brzytwy, poruszające się tam i z powrotem z przerażającą, wymuszoną precyzją. Teraz wyobraził sobie szalejący pożar, topiący tłoki i dźwignie, zatrzymujący tę maszynę z grzechotem i zgrzytem.

Nawet jeśli wydobrzeje, czy coś z tego zostanie? Czy naprawdę usiłuje mi coś powiedzieć, mówiąc o oceanach i żyłkach rybackich, czy to tylko... oderwane fragmenty? Marcus zamknął oczy.

– Wróć do nas – cicho rzekł. – Proszę.

W południe następnego dnia dotarli do brodu. Rzeka wciąż była wezbrana. Marcus liczył na wodę po kostki, tymczasem miejscami miała głębokość od pół metra do metra i płynęła niebezpiecznie szybko. To jednak było niczym w porównaniu z tym, co czekało na nich po drugiej stronie.

– Biali jeźdźcy – ponuro powiedział Fitz, spoglądając przez lunetę.

Oddał ją Marcusowi, który przyłożył ją do oka.

Prawdę mówiąc, Marcus uważał, że wyglądają trochę inaczej – mieli takie same blade twarze, ale nosili płaszcze, a nie owinięte rzemieniami skóry, oraz wiele ozdób z kości i rogu. Może to jakiś inny szczep? Nic nie wiedział o północnych pustkowiach poza tym, że są rozległe i niegościnnie. Jednak trudno było liczyć na to, że ci ludzie są przyjaźniej nastawieni od tych, z którymi Vordanajowie walczyli dotychczas; najwyraźniej szykowali się do bitwy. Wzdłuż brzegu stały długie szeregi oszczepników z tarczami obciążonymi skórą, a za nimi grupki łuczników.

– Prawie nie ma tam jeźdźców – zauważył Marcus. W przeciwieństwie do dotychczasowych przeciwników ci zdawali

się walczyć głównie na piechotę. Na skraju ich pozycji stało kilka grup kawalerii, na takich samych kucykach, jakich dosiadali biali jeźdźcy. Marcus dostrzegł coś między drzewami za rzeką i wyostrzył obraz. – Tyle że nie są sami. Spójrz między drzewa.

Fitz wziął od niego lunetę i spojrzał tam.

– To murnskajska jazda.

– Kirasjerzy – rzekł Marcus. – Trzymają się poza zasięgiem naszych armat.

Wszystko to tworzyło niezbyt krzepiący obraz. Ktoś inny mógłby zlekceważyć zagrożenie ze strony dzikusów z łukami i dzidami, ale Marcus był w Khandarze i miał respekt w stosunku do prymitywnej broni, wiedząc, jaka jest groźna we właściwych rękach. Szczególnie gdy było ich tak wiele – ocenił, że przy brodzie stoi co najmniej osiem tysięcy plemieńców, dwukrotnie więcej niż Vordanajów, a kto wie ilu jeszcze czeka pośród drzew. A za nami są jeszcze biali jeźdźcy, pomyślał.

– Powiedz Vierze, żeby podtoczyła działa – polecił Marcus. – Potem zbierz wszystkich. To zmienia sytuację.

Pół godziny później zebrali się w dopiero co postawionym namiocie, kuląc się przy słabo grzejącym ognisku. Chociaż Fitz był nieporuszony jak zwykle, a marsowa mina Viery nie była niczym niezwykłym, wyczuwało się ponury nastrój.

– Dzikusy – mruknął Piekielnik. – Dajcie mi tysiąc huzarów, a załatwiłbym wszystkich.

– Gdybym miał tysiąc huzarów, chętnie bym ci ich dał – rzekł Marcus. – Jednak musimy obyć się tym, co mamy. Viera, działa na stanowiskach?

Skinęła głową.

– Kończą podciągać.

– Zatem dajmy im pokosztować ołowiu! – zawołał Piekielnik. – Z pewnością uciekną po pierwszym wystrzale.

– Wątpię – powiedział Marcus. – To nie khandarscy wieśniacy, którzy jeszcze nigdy nie walczyli. Biali jeźdźcy z pewnością nie uciekli na widok muszkietów.

– A zatem co? – Dowódca jazdy zmarszczył brwi. – Chyba nie zamierzasz się wycofać?

– Nie mamy żywności – odparł Marcus. – I nie ma żadnych gwarancji, że nie podążyliby za nami. – Nabrał tchu. – Nie możemy ich obejść, a nie mamy wystarczającej siły, żeby się przebić. Jeśli nie otrzymamy pomocy od reszty armii, nie zdołamy przejść przez rzekę.

To beznamiętne stwierdzenie zawisło w powietrzu jak nieprzyjemny odór. Andy odkaszlnęła.

– Problem polega na tym – powiedziała – że reszta armii nie wie, że potrzebujemy pomocy, ani nawet gdzie jesteśmy.

– Właśnie – rzekł Marcus. – I dlatego musimy zrobić tak...

W milczeniu słuchali, gdy przedstawiał im plan. Kiedy skończył, nawet Piekielnik marszczył brwi.

– To będzie... bardzo napięty plan – zauważył Fitz. – Nawet gdy się powiedzie. Jakies pięć dni do Polkhaiz i pięć z powrotem.

– Jeśli się powiedzie – dodała Andy, zerkając na Piekielnika.

– Osiem dni – powiedział dowódca kawalerii. – Klnę się na mój honor.

Twój honor przeciwko lodom, śniegom i ośmiu tysiącom zbrojnych. Marcus uśmiechnął się w duchu. A najciekawsze było to, że niekoniecznie obstawiałby przegraną Piekielnika.

– To nasza najlepsza szansa – rzekł na głos. – Jeśli ktoś ma jakąś lepszą propozycję, to cały zamieniam się w słuch. Tylko proszę zgłosić ją jak najprędzej. Dzień szybko mija.

Nikt się nie odezwał.

– W porządku – powiedział Marcus, czując ściskanie w piersi. – Kapitanie Galiel, proszę sprawdzić, czy uda ci się przekonać naszych przyjaciół po drugiej stronie rzeki, żeby dali nam trochę miejsca.

Po porzuceniu sześciofuntówek artyleria pierwszej dywizji składała się z baterii dwunastofuntowych dział polowych. Stały w luźnym szyku na wzniesieniu przy brzegu rzeki, a zawierające większość zapasów amunicji jaszczcze w pewnej odległości za nimi, żeby uniknąć przypadkowego zaproszenia ognia. Kanonierzy Vieri uwijali się wokół nich, starannie ustawiając kierunki i kąty wzniesienia luf, a zakończywszy te przygotowania, stawali za swoimi działami. Kiedy wszyscy byli gotowi, Viera spojrzała na Marcusa i skinęła głową,

Zmrużył oczy, patrząc na zwarte szeregi plemieńców za rzeką. Czuł na sobie wzrok nie tylko kanonierów, ale i czekającej za nimi piechoty. Nabrał tchu i ryknął:

– Otworzyć ogień!

Lufy dział plunęły ogniem, kolejno od lewej do prawej, z gromowym hukiem przypominającym uderzenia jakiegoś monstrualnego zegara. Od drugiego brzegu dzieliło je dobre siedemset metrów, tak więc kule leciały stromym łukiem i przez moment były widoczne w powietrzu, zanim opadły w kierunku celu. Dwie upadły za blisko, wzbijając gejzery wody, ale pozostałe

trafiły w szeregi nieprzyjaciela. Fontanny śniegu znaczyły miejsca trafień, utrudniając oszacowanie efektów.

– Ten śnieg będzie problemem – zauważyła Viera, spoglądając przez lunetę. – Kule nie będą się odbijać. To znacząco obniża ich skuteczność.

– Z tej odległości i tak nie wyrządzimy im poważnych szkód – stwierdził Marcus. – Prowadź ostrzał przez kwadrans i zobaczymy, czy nadal będą chcieli stać na otwartej przestrzeni.

– Tak jest, generale!

Viera odwróciła się do kanonierów, którzy już pędzili ponownie nabić działa, i zaczęła pokrzykiwać na tych, którzy oddali niecelne strzały. Mijając czekającą piechotę, Marcus wszedł na szczyt wzniesienia, do tego, co zostało z kawalerii.

To był przykry widok. Zaledwie dwieście koni, w większości pociągowe lub wierzchowce oficerów, a nie prawdziwe kawaleryjskie. Sami jeźdźcy też byli zbieraniną: głównie lekka kawaleria pierwszej dywizji i sporo ochotników z oddziałów piechoty. Wszyscy uzupełnili swoje lekkie płaszcze kocami, futrami, płachtami namiotowymi i czymkolwiek, co wpadło im w ręce, w wyniku czego wyglądali jak banda rozbójników, a nie żołnierze regularnej armii. Dowodzący nimi Piekielnik dumnie zrezygnował z takich dodatków, pozostając w regulaminowej kurtce. Srebrne gwiazdy skrzyły się na jego epoletach, a w mroźnym powietrzu z jego ust wydobywały się kłęby pary. Stał obok swojego konia, poprawiając popręg.

– Henry – powiedział Marcus. Czasem potrzebował chwili, żeby sobie przypomnieć, jak ten człowiek ma na imię.

– Generale! – Piekielnik odwrócił się z błyskiem w oku. –

Jesteśmy gotowi, czekamy na rozkaz!

Marcus zauważył siwe nitki na skroniach kawalerzysty. Zastanawiał się, ile lat ma Piekielnik. Wydawał się równie odwieczny jak sama wojna. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, westchnął Marcus.

– Posłuchaj – rzekł głośno. – Kiedy się przebijecie, nie możecie się zatrzymać za nic w świecie, rozumiesz? Nieważne, co się tu zdarzy, jedź dalej.

– Znam plan – prychnął Piekielnik.

– Wiem. Jednak wiem również, jak trudno powstrzymać cię od walki. – Marcus się uśmiechnął. – Znamy się od dawna, pamiętasz?

– Istotnie. – Piekielnik wyprostował się i wyprężył na baczność, aż ramiona zadrżały mu z wysiłku, po czym zasalutował. – Nie zawiodę cię, generale. Nikt z nas cię nie zawiedzie.

– Wiem. – Marcus klepnął go w ramię. – Powodzenia.

– Marcusie! – zawołała nabiegająca i zasapana Andy. – Cofają się.

– To nie potrwa długo. – Marcus spojrzał w niebo. Zostało jeszcze kilka godzin do zmroku. Wystarczy. – Kaź Fitzowi ruszać. Ja zostanę przy artylerii.

Było to ustępstwo z jego strony, ale Fitz i Andy zgodnie nalegali: że miejsce Marcusa nie jest w pierwszej linii. Tak więc zajął pozycję na wzgórzu, dostatecznie daleko od huczących dział, żeby móc słyszeć własne myśli i nie wdychać prochowego dymu. Grupa młodych żołnierzy z trzeciego pułku czekała w pobliżu, gotowa roznosić rozkazy, lecz prawdę mówiąc, niewiele mógł wydać takich, które uczyniłyby jakąkolwiek różnicę. Po rozpoczęciu ataku nie miał już nań żadnego wpływu.

Plemieńcy – których żołnierze zaczęli nazywać kościanymi ludźmi z powodu noszonych przez nich ozdób – istotnie cofali się znad brzegu rzeki. Nie była to paniczna ucieczka, na jaką w duchu liczył Marcus, ale sprawnie przeprowadzony odwrót, i nie odeszli daleko. Albo pomimo swej pozornej dzikości wiedzieli coś o działach, albo tak poradzili im ich murnskajscy sprzymierzeńcy. Tak czy inaczej, kościani ludzie ponownie sformowali linię zaledwie kilkaset metrów dalej, wystarczająco daleko, żeby być poza zasięgiem dwunastofuntówek. Zgodnie z poleceniem Marcusa Viera wstrzymała ostrzał.

Trzy bataliony piechoty pierwszego i drugiego pułku ruszyły naprzód, brodząc w śniegu i lodowatej wodzie. Byli to kolonialni, ludzie, którzy walczyli pod komendą Janusa w Khandarze i Velt, chociaż ich szeregi przed inwazją na Murnsk uzupełniono świeżymi poborowymi. Powszechnie uważano ich za najlepszą piechotę Wielkiej Armii, może z wyjątkiem Pierwszego Dziewczęcego Ihernglassa. Marcus ledwie ich rozpoznał – podobnie jak kawalerzyści, oni też pookrywali się czym popadło dla ochrony przed zimnem, w wyniku czego kolumny tworzyły melanż szarości i brązów zamiast vordanajskiego błękitu. Jednak ich zdyscyplinowanie robiło wrażenie; utrzymali szyk, nawet przechodząc przez rwącą rzekę. Piekielnik i jego kawalerzyści podążyli za nimi, rozpryskując płytką wodę.

Po wyjściu na drugi brzeg piechota rozwinęła się z kolumny w tyralierę, tworząc jeden szereg długi na prawie tysiąc metrów. Gdy tylko wyszli z wody, kościani ludzie ruszyli im na spotkanie. Grupki oszczepników gnały kłusem przez śnieg, a łucznicy za nimi, w nieco luźniejszym szyku. Na jakiś niewidoczny sygnał plemieńcy

z tuzina oddziałów, trzymając przed sobą tarcze, pobiegli ku nadchodzącym Vordanajom. Przywitał ich równy rząd uniesionych muszkietów i Marcus zaczął bezgłośnie wydawać rozkazy razem z sierżantami i porucznikami tych batalionów.

– Pierwszy szereg, ognia!

Z tej odległości salwa przypominała trzask fajerwerków, ale trudno byłoby przeoczyć jej skutek. Cały pierwszy szereg oszczepników padł, jak ścięty niewidzialną kosą. Kilka sekund później, gdy rozpędzeni plemieńcy przebiegali po ciałach swych zabitych, huknęła druga salwa. Tarcze ze skór, pomyślał Marcus, są słabą ochroną przed kulami muszkietów. Atak załamał się, jakby napotkał mur z cegieł, i pozostali przy życiu pierzchli, wzbijając chmury śniegu w rozpaczliwej ucieczce przed morderczym ogniem. Trzecia salwa popędziła ich, dodając więcej ciał do tych, które już zasłały czerwieniejący śnieg.

Łucznicy za nimi rozstawili się i posłali strzały, które uniosły się wysoko w niebo, aby spaść na Vordanajów. Piechota wycelowała i następna salwa skosiła wielu łuczników, lecz ci stali dalej i w luźnym szyku, tak więc ogień z muszkietów był mniej skuteczny. Ponadto łucznicy przypadali do ziemi, co czyniło ich trudnym celem. Niebawem, jak zwykle, miarowe salwy przeszły w nieregularną palbę i błyski wystrzałów rozświetlały chmurę dymu, gdy strzały wciąż spadały na vordanajskie szeregi. Ranni chwiejnie wychodzili z szeregu, żeby wydostać się z zasięgu strzał i wrócić na drugą stronę rzeki.

Marcus wydał usta. Zwykle teraz należałoby przeprowadzić atak, żeby rozproszyć łuczników wroga, albo posłać swoich harcowników lub lekką jazdę i zepchnąć ich w tył. Nie miał jednak

w odwodzie kawalerii, a atak nie wchodził w grę; nie mogli oddalić się od rzeki, ponieważ naraziliby się na uderzenie z flanki. Wyraźnie przedstawił to niebezpieczeństwo Fitzowi, który jak zawsze wziął sobie jego ostrzeżenie do serca. To jednak oznaczało, że Vordanajowie znaleźli się w patowej sytuacji. Wytrzymajcie. To nie potrwa długo, zagrzewał ich w myślach Marcus.

Niewielka kolumna Piekielnika dotarła do drugiego brzegu i popędziła konie do kłusa, gdy tylko wyjechała z wody. Grupa konnych kościanych ludzi zauważyła ich, ruszyła naprzód i oba oddziały pomknęły na siebie. W ostatniej chwili Vordanajowie, którzy mieli pistolety lub karabiny, wystrzelili z nich, kładąc pokotem pierwszą linię nieprzyjacielskiej konnicy i powodując ogromne zamieszanie. Kościani ludzie jechali w luźnym szyku, natomiast Piekielnik sformował ze swojej jazdy wąski klin, który wbił się w nich jak grot włóczni. Vordanajowie przedzierali się, tracąc ludzi na flankach od ciosów toporów i wypuszczanych z bliska strzał, ale nieustannie prac naprzód.

Oddział kościanych ludzi zaatakował, uderzając w bok klina i rozdzielając go. Część szyku zmieniła się w kłęb walczących żołnierzy i koni, nad którym szable wznosiły się i opadały. Prząd klina jechał dalej i po chwili wydostał się z masy plemieńców, znacznie mniejszy, lecz nadal w równym szyku. Przez lunetę Marcus zobaczył Piekielnika na czele tego klina, w przekrzywionej czapce, wywijającego szablą. Dowódca kawalerii rozejrzał się i Marcus wstrzymał oddech.

Jedź dalej, jedź, popędził go w myślach. Taka ucieczka nie leżała w charakterze kawalerzysty. Część jego ludzi wciąż była związana walką, nie mogąc się przedrzeć, i wystarczyłby jeden

rozkaz Piekielnika, żeby jego oddział uderzył na tyły linii kościanych ludzi. Odsłonięte flanki i tyły były dla dowódców kawalerii tak nieodparcie kuszące jak myszy dla kotów. Pamiętaj, Henry, chociaż ten jeden raz...

Piekielnik ubódł konia ostrogami, popędzając go do galopu. Jego ludzie wzięli z niego przykład, pozostawiając wspaniałą okazję i ginących towarzyszy. Trzymając się brzegu rzeki, pognali na zachód, aż śnieg przyskał spod kopyt ich koni.

Udało im się. Jeśli nie przeszkodzą im inne, niewidoczne stąd siły wroga, trudny teren lub tysiąc innych przeszkód. Osiem dni, powiedział. Będą musieli utrzymać mordercze tempo, lecz Marcus nie wątpił, że Piekielnik spróbuje to zrobić. Osiem dni, żeby dotrzeć do armii i wrócić.

Kawaleria skręciła za las i znikła mu z oczu. Marcus ponownie skupił uwagę na toczącej się bitwie i dostrzegł, że w lesie coś się porusza. Murnskajscy kirasjerzy, postawni mężczyźni w lśniących napierśnikach i wysokich białych czakach, równą kolumną wyłaniali się z lasu. Nie było ich wielu, ale niewielu było potrzeba, gdyby okrążyli pole walki i uderzyli na piechotę z flanki. Sformowany czworobok znalazłby się pod gradem strzał, mając ograniczone możliwości odpowiadania ogniem. Wyoś się stamtąd, Fitz.

Długa vordanajska tyraliera nagle się rozsypała. Na rozkaz oficerów piechurzy odwrócili się plecami do wroga i pobiegli, aby z pluskiem wpaść na płycizny rzeki. Marcus z satysfakcją zauważył, że nie rzucili broni, lecz biegli z determinacją, przy każdym kroku wzbijając fontanny wody. Łucznicy ruszyli za nimi, Marcus jednak nie odrywał oczu od kirasjerów. Na widok

uciekających przyspieszyli, gnając po zaśnieżonym zboczu. Jak kot za myszą. Wargi Marcusa wygięły się lekko, gdy wyobraził sobie okrzyki ich oficerów.

Działa Viery otworzyły ogień, gdy tylko vordanajska piechota wróciła do brodu. W przeciwieństwie do luźnego szyku łuczników zwarte szeregi kirasjerów stanowiły doskonały cel i kule armatnie z równą łatwością kładły pokotem ludzi i konie. Zaskoczeni ostrzałem zbili się w bezładny kłęb, ponosząc dalsze straty, zanim ich dowódca w końcu opanował sytuację i wycofał oddział poza zasięg vordanajskiego ognia.

Działa przestały strzelać, gdy pierwsi piechurzy wyszli na brzeg. Artylerzyści i żołnierze dwóch batalionów, którzy nie brali udziału w walce, powitali ich wiewatami, podjętymi przez wszystkich stojących wzdłuż rzeki. Zrobili to, co zamierzali zrobić, a nieskładna ucieczka kirasjerów nadawała temu posmak zwycięstwa. Marcus nie odrywał oczu od grupki walczących kawalerzystów, aż bój ustał, gdy ostatni odcięci żołnierze Piekielnika zostali usieчени lub ściągnięci z siodeł.

Żadne to zwycięstwo. W najlepszym razie można było powiedzieć, że jego plan się powiódł, a ocena sytuacji okazała się prawidłowa. Gdybyśmy próbowali się przedrzeć, wyrzneliby nas w pień, rozmyślał Marcus. Nie mając własnej kawalerii, żeby odeprzeć szarżę kirasjerów, musieliby polegać wyłącznie na piechocie, której jedyną obroną przed jazdą było sformowanie czworoboków, a te pod gradem strzał powoli stopniałyby do zera.

Tak więc Piekielnik jest w drodze do Raesinii, a my utknęliśmy tutaj. Marcus uśmiechnął się z przymusem i wesoło pomachał Vierze, po czym pospieszył nad rzekę, szukając Fitz'a. Znalazł go

w tłumie podekscytowanych żołnierzy, zaprowadzającego porządek w kompaniach.

– Dobra robota – pochwalił Marcus. – Idealne wycucie czasu.

– A zatem generał Stokes się przebił? – spytał Fitz.

– Tak. Teraz musimy się tu utrzymać do jego powrotu.

– To nie będzie łatwe. – Ci łucznicy znajdują się na swojej robocie. Straciliśmy wielu ludzi. – Fitz zamilkł, po czym dodał: – Może zechcesz przekazać to wszystkim. Te oddziały z włóczyniami składają się chyba z samych kobiet, chociaż tego nie widać, dopóki nie podejną blisko. Nie chcę, żeby nasi ludzie byli tym zaskoczeni i się zawahali.

Dawniej Marcus powiedziałby, że tylko dzikusy mogą stosować takie barbarzyńskie praktyki. Teraz... Może ci dzicy tylko wyprzedzają swoje czasy. Westchnął. A może reszta świata dziczeje, upodabniając się do nich.

Wzruszył ramionami.

– Rozpalmy ogniska i wysuszmy naszych ludzi. Mam kilka pomysłów, które chcę z tobą przedyskutować.

Czternaście

Winter

Winter wiedziała, że doganiają Penitentkę, dużo wcześniej, nim ją zobaczyli.

Alex zameldowała, że coraz wyraźniej wyczuwa ściganą, i nawet mniej wyostrzone zmysły Winter zaczęły na nią reagować. Trudno było ignorować silną obecność Alex w pobliżu, lecz patrząc w kierunku jazdy, Winter poczuła słabe, ale rosnące zainteresowanie Wszystkożercy. Margaret i Farah wciąż prowadziły oddział, podążając tropem białych jeźdźców przez śniegi, ilekroć jednak miały wątpliwości, Alex lub Winter wskazywały prawidłowy kierunek.

Reszta żołnierzy z Pierwszego Dziewczęcego nie kwestionowała tego, Winter więc zaczęła się zastanawiać, ile wiedzą. Oczywiście krążyły plotki po próbie zamachu w Deslandzie i walce Marcusa z Penitentką w stolicy Vordanu. Ludzie zawsze snuli opowieści o czarach i demonach, lecz te były konkretniejsze i bliższe niż zwykle, więc z pewnością niektóre z tych kobiet w nie wierzyły. Jednak nikt nigdy otwarcie o tym nie mówił, przynajmniej w obecności Winter.

Rankiem czwartego dnia wyjechały spomiędzy drzew na szczycie górującym nad wąską doliną rzeki. Farah zatrzymała oddział, osłaniając dłonią oczy i uważnie oglądając teren w dole.

Winter pomyślała, że wąska, zamarznięta rzeka, ledwie widoczna pod śniegiem, nie będzie trudną przeszkodą. Jednak droga do niej wiodła po stromych i niebezpiecznych zboczach.

– Tam! – Farah wskazała palcem.

Winter zauważyła poruszające się, niemal niewidoczne na tle śniegu białe postacie. Jeźdźcy znikali między drzewami po drugiej stronie doliny, zaledwie kilka mil dalej.

– Jak długo jeszcze? – spytała.

Farah zmarszczyła brwi i spojrzała na Margaret.

– Trudno powiedzieć. Jadąc w takim tempie, co najmniej jeszcze dzień lub dwa.

– Alex, jak blisko jesteśmy Elizjum? – indagowała Winter.

Dziewczyna, zakutana w za duży na nią płaszcz, wzruszyła ramionami.

– Może ze trzy lub cztery dni? Wciąż się do niego zbliżamy.

– Bliżej, niżbym chciała. Czy możemy odciąć im drogę?

Alex pokręciła głową.

– Wprawdzie nie jadą wprost do Elizjum, ale jeśli zjedziemy ze szlaku, próbując odciąć im drogę, mogą nas zatrzymać wzgórze lub inne przeszkody.

– Jadąc za nimi, przynajmniej wiemy, że napotykają takie same przeszkody jak my – stwierdziła Farah.

Winter odetchnęła, przy czym para jej oddechu uniosła się i rozwiała.

– W porządku. Zatem zbliżmy się do nich na tyle, na ile zdołamy. Ruda!

Sierżant wydała rozkaz i oddziałek ruszył dalej. Kobiety przez

większość dnia prowadziły swoje wierzchowce po skalistej grani, uważając na płaty świeżego śniegu. Pomimo to straciły jedno juczne zwierzę, które źle stanęło i spadło w przepaść, przeraźliwie kwicząc, dopóki nie uderzyło o skały na jej dnie. Poprzedniego dnia puściły wolno dwa inne konie, z lekkimi obrażeniami niepozwalającymi im dotrzymać kroku pozostałym. Winter nie była w stanie ich dobić, chociaż nie miała zbyt wielkich nadziei, że przeżyją w tych śniegach. Pozostałe zwierzęta cierpiały, coraz chudsze i słabsze w miarę upływu dni. Już drugiego dnia podróży temperatura zaczęła spadać i nie przestawała, aż trudno było oddychać zimnym powietrzem.

Wróg też musi cierpieć, pocieszała się Winter. Biali jeźdźcy byli lepiej wyposażeni na tego rodzaju pogodę, ale też byli ludźmi. Doganiamy ich.

Po krótkim, smętnym posiłku złożonym z zimnych sucharów i suszonego mięsa, przekroczyły zamarznąłą rzekę i ruszyły w górę łagodniej nachylonego zbocza, w kierunku rosnącego dalej lasu. Tam wśród drzew sterczały wielkie głazy i szlak skręcał między dwie takie okryte śniegiem skalne formacje. Winter podjechała do Alex.

– Nadal wyczuwasz Penitentkę? – zapytała.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Spory kawałek przed nami. Dlaczego pytasz?

– Ponieważ to dobre miejsce na zasadzkę. Zachowaj czujność. – Winter podniosła głos. – Ruda! Wyjąć karabiny. Powoli naprzód!

Margaret ruszyła w kierunku skał, wpatrując się w ślady, a Winter i pozostałe poszły za nią, z bronią gotową do strzału. Nigdzie jednak nie było widać białych jeźdźców i Winter odetchnęła

z ulgą, gdy Margaret doszła do skał i odwróciła się.

– Trop biegnie dalej – powiedziała, gdy kolumna dochodziła do niej. – Żadnych śladów świadczących, że mogli się rozdzielić.

– To dobrze. – Winter zerknęła na niebo. Trzy lub cztery godziny do zmroku. Jeśli przyspieszymy...

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odruchowo pochyliła się i strzała ze świstem przeleciała nad nią, z cichym pacnięciem wbijając się w śnieg kilka kroków dalej.

– Padnij! – krzyknęła Ruda. – Kryć się!

– Maggie! – przeraźliwie krzyknęła Farah.

Winter spojrzała i zobaczyła zakrwawioną strzałę sterczącą z szyi Margaret, wbitą aż po brzechwę. Tropicielka zamrugała zaskoczona, po czym przycisnęła dłoń do rany, chwiejąc się w siodle.

Winter zeskoczyła ze spłoszonego konia i niezdarnie wylądowała w śniegu. Huknął karabin, a potem drugi, ale wciąż nie widziała, do kogo strzelają. Kolejne strzały świsnęły w powietrzu, wzbijając obłoczki śniegu lub krzesząc skry, odbijały się od skały. Winter dopadła śnieżnego garbu i schowała się za nim ułamek sekundy przed tym, nim następna strzała ze świstem przeleciała jej nad głową. W końcu dostrzegła jednego z napastników – niskiego mężczyznę w białym futrze, skulonego na szczycie skały i nakładającego następną strzałę na cięciwę. Jego biały płaszcz stapiał się ze śniegiem, czyniąc go prawie niewidzialnym. Nic dziwnego, że ich nie zauważyliśmy.

Dwie inne kobiety z Pierwszego Dziewczęcego leżały nieruchomo w śniegu. Kolejna, ze strzałą w nodze, na czworakach szukała osłony. Pozostałe schowały się za głazami, zostawiając na

wąskiej ścieżce stające dęba, przerażone konie. Ruda wycelowała i strzeliła z karabinu. Jakiś ciało spadło z góry wraz z lawiną śniegu, ale sierżant ledwie zdążyła się uchylić przed dwoma strzałami wypuszczonymi w odpowiedzi.

Niedobrze. Dopiero po tak długiej chwili umysł Winter doszedł do oczywistej konkluzji. Strzały sypały się nie tylko na jej żołnierzy, ale także na konie, które zaczynały się rozbiegać. Biali jeźdźcy strzelali cholernie celnie, a nawet karabin o krótkiej lufie trudno było nabić, leżąc na ziemi za głazem. Nie wiedziała, ilu jest napastników, gdyż nieustannie zmieniali pozycje, a ich kamuflaż był doskonały.

– Winter! – usłyszała głos Bobby. Zaryzykowała spojrzenie i zobaczyła ją machającą ze skały po drugiej stronie szlaku. – Wypłoszę ich!

– Dobrze! – odkrzyknęła.

Nabrała tchu, policzyła do dziesięciu, a potem w chmurze śnieżnego pyłu wybiegła zza osłony. Strzały świszczały wokół niej, ale zdołała dobiec do wielkiego głazu, za którym Ruda schowała się z kilkoma innymi kobietami. Gorączkowo ładowały krótkie karabiny, przy czym jedna trzymała broń, a druga operowała stemplem.

– Bobby ich wypłoszy – powiedziała do sierżant. – Przygotujcie się i wystrzelajcie, gdy zaczną uciekać.

– Zabiją ją – ostrzegła Ruda. – Dobrze strzelają z tych łuków.

– Zaraz zobaczycie.

Winter znów wyjrzała zza osłony i zobaczyła, jak Bobby podnosi się zza swojej i wyciąga miecz. Wskoczyła na szczyt skały, zrzucając małą śnieżną lawinę. Strzały trafiły ją, jedna z przodu,

a druga z tyłu. Zignorowała sterczące z płaszcza drzewce, ugięła kolana i skoczyła. Winter usłyszała zaskoczone westchnienie Rudej. Bobby jednym susem przeskoczyła na drugą stertę głazów i upadła jak długa obok przerażonego łucznika. Próbował wyjąć nóż, lecz Bobby złapała go za nadgarstek i niedbałym ruchem złamała mu rękę, po czym zrzuciła wrzeszczącego ze skały.

– Teraz! – zakomenderowała Winter. – Ognia!

Inni biali jeźdźcy odsłonili się, pierzchając przed tą niesamowitą postacią. Kolejna strzała utkwiała tuż pod obojczykiem Bobby, a ona wyrwała ją i odrzuciła na bok jak irytujący cierni. W kilku susach dopadła następnego łucznika, silnym ciosem miecza przełamując jego zastawę i przecinając futro oraz ciało. Padł i zsunął się ze skały. Gdy pozostali łucznicy rzucili się do ucieczki, huknęły karabiny i kilku z nich bezwładnie runęło w śnieg.

Uwagę Winter przykuł odgłos przypominający cichy plusk wody. Po drugiej stronie ścieżki Alex wychyliła się zza głazu, z kulami ciemności otaczającymi jej dłonie. Czarna włócznia przecięła powietrze, przesywając pierś plemieńca na skałach naprzeciwko. Padł, nie wydając jęku, a druga czarna smuga śmignęła i trafiła drugiego łucznika, który podniósł się, żeby wypuścić strzałę.

Kilka minut później było po wszystkim. Pozostali biali jeźdźcy próbowali uciec, ale zostali skoszeni ogniem karabinów, nie prosząc o zmiłowanie i nie otrzymując go. Jeszcze przez chwilę nikt się nie ruszał, dopóki donośny głos Rudej nie wyrwał ocalałych z paraliżu. Podzieliła oddział na drużyny do zbierania zabitych i rannych oraz wyłapania spłoszonych koni.

Winter pospieszyła między skały, za którymi znikła Bobby,

upadłszy po uśmierceniu trzeciego łucznika. Znalazła dziewczynę siedzącą pod głazem, obok trupa z karkiem skrzyconym tak, że leżąc na brzuchu, spoglądał w niebo.

– Bobby! – szepnęła Winter. – Słyszysz mnie?

Proces gojenia trwał zazwyczaj jakiś czas i Bobby leżała nieprzytomna, zanim jej rany zamknęły się tą dziwną, twardą i białą jak marmur skórą.

Tym razem skinęła głową. Strzała nadal sterczała z jej piersi, drżąc przy każdym oddechu. Bobby spojrzała na nią, stęknęła i wyrwała ją. Grot był zakrwawiony.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – To jest coraz szybsze. Gojenie. Szczególnie jeśli się skupię. – Oparła się plecami o skałę. – Tylko wciąż odczuwam ból.

– Zapewne uratowałaś życie nam wszystkim – oznajmiła Winter. – Ale stajesz się strasznie zuchwała.

Bobby zaśmiała się.

– Lepiej, żebym ja oberwała strzałą niż któraś z was, prawda?

– Tylko co teraz powiesz pozostałym?

– Prawdę... mniej więcej. Powiem, że byłam w Khandarze i tam przydarzyło mi się coś dziwnego. – Bobby uśmiechnęła się. – To ty mi mówiłaś, że ludzie uwierzą we wszystko, co podobno dzieje się w dalekich krajach.

Winter złapała ją za rękę i pomogła wstać. W drżącym uśmiechu Bobby było coś, co się jej nie spodobało, ale starała się odpowiedzieć uśmiechem.

Zginęły cztery kobiety, w tym Margaret. Farah z pochyloną głową

siedziała przy zabitej partnerce i nic nie powiedziała, gdy zabierano jej ciało. Trzy inne były ranne, jedna miała rozcięte ramię, a druga strzałę w nodze. Ruda przepchnęła drzewce na drugą stronę, gdy dwie towarzyski przytrzymały ranną, a później oznajmiła, że kobieta przeżyje, jeśli rana pozostanie czysta.

Ostatnią ranną była szeregową Litton, która przywitała Winter z takim entuzjazmem. Oparli ją o głaz. Stercząca z jej brzucha strzała poruszała się przy każdym jej szybkim, drżącym oddechu. Ruda przez moment badała ranę, po czym odciągnęła Winter na bok.

– Już jest trupem – wypaliła bez ogródek. – Grot rozerwał jej wnętrzności i rana zacznie gnić, to pewne jak wschód słońca. Mogłybyśmy przywiązać ją do konia i zabrać, ale to nas spowolni, a ona i tak umrze po kilku dniach.

– Niech to szlag – cicho zaklęła Winter. Domyśliła się tego, widziawszy wiele ran odniesionych w bitwach, ale miała nadzieję, że sierżant będzie innego zdania.

– Możemy ją tu zostawić – rzekła Ruda. – Śmierć z zimna... podobno nie jest taka zła. Albo...

– Nie możemy jej tu zostawić. – Winter spojrzała na pozostałe kobiety, zbierające ciała białych jeźdźców. – Porozmawiam z nią. A ty...

Ruda skinęła głową. Winter minęła ją i uklękła przed Litton, która spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

– Generale – powiedziała ochryłym szeptem. – Czy zwyciężyliśmy?

– Tak. – Winter ujęła jej dłoń, tak zimną, jakby dziewczyna już nie żyła. – Dobrze się spisałaś.

– Dałam się postrzelić, ot co. – Litton zakaszłała i obróciła głowę do Rudej, która uklękała przy niej. – Sierzancie...

– Patrz na mnie, szeregowy – powiedziała Winter. – Właśnie tak. Bądź spokojna. Wszystko będzie dobrze.

Litton uśmiechnęła się. Po chwili długi sztylet Rudej wbił się w jej bok, gładko przechodząc między żebrami i trafiając w serce. Dziewczyna zadygotała i przez moment ścisnęła dłoń Winter. Potem opadła i przestała oddychać.

– Dziękuję – powiedziała Winter do Rudej, mrugając, żeby powstrzymać łzy.

– Ona to samo zrobiłaby dla mnie – mruknęła Ruda, spoglądając na nieruchomą młodą twarz.

Nie było mowy, żeby pogrzebać ciała, więc zostawiły je pod stertą śniegu i kamieni. Białych jeźdźców rzucono obok, rozebranych do naga, a ich futra i skóry rozdzielono między pozostałych żołnierzy. Kobiety wyglądały koszmarnie i ledwie mogły chodzić okutane tyloma warstwami okryć; wojskowych koców, futer i wyprawionych skór. Zabici wrogowie nie mieli koni i bardzo mało żywności, co upewniło Winter, że wykonywali samobójczą misję, mającą dać więcej czasu Penitencie.

– Rozdzielili się kawałek dalej – powiedziała beznamiętnie Farah. – Zatoczyli krąg i podjechali do tych skał z drugiej strony, żebyśmy ich nie zauważyli.

– To było dobrze zaplanowane – pocieszyła ją Winter. – Niczego nie zauważyłem, dopóki nie zaczęli strzelać.

– Miałam złe przeczucia – rzekła Farah. – Powinnam była coś powiedzieć.

Ruda prychnęła.

– Nie wiem, czy w tej przeklętej przez Bestię krainie jest coś, co nie budzi we mnie złych przeczuc.

Znów ruszyły, teraz tylko w dwudziestkę, mając mniej niż sześćdziesiąt koni. Niektóre zwierzęta zostały zranione lub zabite od strzał, ale większość po prostu uciekła za daleko, żeby dało się je odnaleźć. Po tej stronie rzeki rosły głównie drzewa iglaste i ich baldachim zatrzymywał śnieg, który na ziemi leżał cieńszą warstwą. Jechały w dobrym tempie, a gdy słońce schowało się za horyzont, zatrzymały się pod osłoną wielkiego głazu.

Ku zdziwieniu Winter nikt nie zadawał żadnych pytań. Jednak wokół Bobby i Alex zrobiło się pusto i siedziały same, jedząc swoje skromne racje żywnościowe. Winter podeszła do nich ze swoim posiłkiem i usiadła na śniegu.

– Raczej kiepsko się wam odwdzięczają – zauważyła.

Alex wzruszyła ramionami.

– Ludzie nie lubią tego, czego nie rozumieją.

– Nie winię ich – powiedziała Bobby. – Zanim mnie to spotkało, również nie chciałabym mieć do czynienia z kimś takim jak ja.

Alex spojrzała na nią.

– Nie urodziłaś się ze swoją mocą?

– Nie. – Bobby pokręciła głową. – I nie sędzę, żebym miała w sobie demona. Feor wyjaśniła mi to. Nazywa się to... „Użyczenie mocy”, to chyba jej najlepsze tłumaczenie.

– Kim jest Feor? – Alex wyglądała na szczerze zaciekawioną. – I jak...? – Zamilkła, spoglądając na Winter. – Przepraszam. Zrozumiem, jeśli to tajemnica.

– Nie widzę przeszkód, żeby ci powiedzieć – odparła Winter. – Bobby, chcesz o tym opowiedzieć?

– Lepiej ty to zrób. – Bobby energicznie ugryzła zeschnięty suchar. – Ja przez większość czasu byłam nieprzytomna.

Winter sięgnęła myślami wstecz i opowiedziała, jak razem z Bobby znalazły Feor na pobojowisku w Khandarze i jak młoda kapłanka zaoferowała pomoc Bobby, gdy ta została ciężko ranna. O późniejszym odkryciu, że zaklęcie leczy odnoszone przez nią rany, i o jej stopniowo rosnącej sile.

Alex zmarszczyła brwi.

– Zatem nigdy nie wypowiedziałaś imienia demona?

– Nie – odrzekła Bobby. – Feor mówi, że to są zaklęcia, a nie demony, ale żadnego nie wypowiadałam. Ona to zrobiła. I użyczyła mi swojej mocy. Myślę, że ona wie jeszcze coś o tym, co się ze mną dzieje, ale nie chciała mi nic powiedzieć, kiedy ostatnio się spotkałyśmy. Już dawno jej nie widziałam. – Bobby popatrzyła na Winter. – A skoro o tym mowa, generale, czy nie należy nam się jakiś urlop?

– Możesz złożyć podanie drogą służbową – odparła z uśmiechem Winter. – Jednak o ile pamiętam, wzięłaś jeden dzień tuż po Nowym Roku i cały ten czas spędziłaś w łóżku z Marshem.

– Trudno to liczyć jako urlop – mruknęła Bobby. – Niewiele odpoczywałam. – Gdy Winter się roześmiała, a Alex uśmiechnęła, zapytała: – A skoro już sobie gawędzimy, czy to prawda? O tobie i Cyte?

Winter poczerwieniała.

– Czy wszyscy już o tym wiedzą?

– W obozie plotki szybko się rozchodzą – odparła Bobby. – Zatem rozumiem, że to prawda?

– Chciałam powiedzieć... że my... – Winter westchnęła. – Nie

wiem, co robimy.

– Pieprzycie się? – podpowiedziała Bobby.

Winter uniosła brwi.

– Pamiętam, że kiedyś nie mogłaś o tym mówić, nie rumieniąc się.

– To było dawno temu – rzuciła niedbale Bobby. – Byłam na wojnach.

– Tak więc jednak dobrze jest być jedynym mężczyzną w kobiecym pułku? – zapytała Alex.

Winter zmarszczyła czoło stropiona. Potem zrozumiała, gdy Bobby zaczęła się śmiać. Zapomniałam, że jest tu jedna osoba, która nie wie. Winter też się roześmiała, zasłaniając dłonią usta.

– No co? – dopytywała się Alex. – Nie łapię jakiegoś żartu, tak? To nieładnie trzymać mnie w niewiedzy.

– Ona ma rację – powiedziała Winter, ocierając oczy. – Czy ty chcesz jej powiedzieć, Bobby, czy ja mam to zrobić?

Następnego ranka zaczął padać śnieg.

Z początku tylko prószył, tak drobny, że Winter mogła zauważyć, iż pada, tylko nadstawiając dłoń i czekając, aż białe drobinki pojawią się na rękawicy. Farah, z oczami czerwonymi od płaczu, nadal robiła swoje i prowadziła kolumnę tropem Penitentki. Oznajmiła, że teraz towarzyszy jej zaledwie czterech lub pięciu jeźdźców, i Winter miała nadzieję, że zasadzka pochłonie większość ich sił.

Do południa śnieg już sypał równo, a wiatr się wzmógł, zasypując trop i inne ślady. Farah zatrzymała się w miejscu, gdzie

szlak zaczął opadać w jeszcze jedną dolinę. Marszcząc brwi, spoglądała na nagą skałę.

– Myślę, że nadal znajduję trop – powiedziała. – Jednak staje się to coraz trudniejsze. Jeśli ta pogoda się utrzyma, zgubimy ich.

Winter przywołała Alex na początek kolumny. Od wieczornej rozmowy dziewczyna dziwnie na nią spoglądała, kręcąc głową w zadumie, a teraz posłała jej szeroki uśmiech.

– Zostań z Farah – powiedziała jej Winter. – We dwie możecie razem odnajdować trop.

Farah z wyraźną nieufnością spojrzała na Alex. Winter uniosła brwi.

– Czy to jakiś problem, szeregowo Igniz?

– Nie, generale – odparła Farah. – Jestem pewna, że... rady Alex będą przydatne.

Jechały w coraz trudniejszym terenie. Według Alex zbliżały się do Elizjum i gór, więc łagodne nadrzeczne pagórki zmieniały się tu w poszarpane skały. Teraz już przez cały czas były widoczne szczyty Votindri, pasma ciągnącego się na północ i wschód. Alex wyjaśniła, że znalazły się na północ od Elizjum, tak więc miasto twierdzę miały teraz na południowym wschodzie. Penitentka najwyraźniej zmierzała ku niemu okrężną drogą, omijając odgałęzienie górskiego pasma strzegące miasta od zachodu.

Z każdą godziną wiatr się wzmacniał, a śnieg sypał mocniej. Niebawem z wyciem smagał ich twarze i kobiety musiały pozasłaniać je pasami oddartymi z koców, żeby móc oddychać. Teraz nie dało się już odnaleźć śladów, więc Alex prowadziła oddziałek, kierując się jedynie swoją zdolnością wyczuwania demona Penitentki.

Jadąca obok Winter Farah musiała się nachylić i przekrzyzczyć ryk wichru.

– Generale! Trzeba znaleźć jakieś schronienie!

Winter potrząsnęła głową, zbyt zziębnięta, żeby mówić. Było za zimno, żeby oddychać, za zimno, aby robić cokolwiek poza wpatrywaniem się w kurtynę śniegu przed brnącym przez śnieg wierzchowcem.

– Generale! – Farah ścisnęła jej ramię. – To cholerna zamieć! Tamci też będą musieli się gdzieś schronić, dopóki nie minie.

Jadąca kilka kroków za nimi Ruda zrównała się z nimi.

– Ona ma rację, generale. Niektóre dziewczyny ledwie się trzymają. Musimy odpocząć.

Odpocząć. Winter o niczym bardziej nie marzyła. Jednak Penitentka była tuż-tuż, zaledwie parę godzin...

Niechętnie skinęła głową. Farah pojechała naprzód znaleźć Alex, a Ruda została w tyle, żeby przekazać rozkaz kompanii. Prowadzone przez tropicielkę znalazły rozpadlinę, skalną szczelinę dostatecznie szeroką, żeby pomieściła żołnierzy i ich konie. Winter była zaskoczona, że gdy skała osłoniła ich przed lodowatym wiatrem, zrobiło się o wiele cieplej, a gdy Ruda zdołała rozpalić ognisko, pierwsze słabe fale ciepła wycisnęły z jej oczu łzy. Cała grupa skupiła się wokół ognia, stając jak najbliżej siebie.

– Jak długo to może potrwać? – Winter zapytała stojącą obok niej Farah.

– Nie mam pojęcia – odparła tropicielka. – Maggie znała lasy znacznie lepiej ode mnie, ale ta zamieć późną wiosną... To nie jest normalne.

To nie jest normalne. Ta myśl nie opuszczała Winter, gdy wiatr

ucichł i znów dosiadły koni. Te słowa rozbrzmiewały jej w głowie, gdy godzinę później nadciągnęła druga zamieć, jeszcze silniejsza od poprzedniej. Tym razem Winter szybciej rozkazała oddziałowi szukać schronienia, ale nie dość szybko. Kiedy rozbiły obóz pod słabą osłoną gęstej kępy sosen, okazało się, że brakuje dwóch kobiet i czterech koni, które odłączyły się w zawiei. Nie było mowy o szukaniu ich; Winter mogła tylko się modlić, żeby znalazły jakieś schronienie.

Trzecia burza, o zmierzchu, była najgorsza. Właśnie wyjechały z dolinki i spadła na nie, gdy znalazły się na nagiej skale. Nic nie osłaniało ich przed podmuchami wiatru, tak silnymi, że koń Winter kilka razy się potknął. Słoneczne światło, i tak niezbyt jasne, przygasło jeszcze bardziej, gdy gnany wichrem śnieg przesłonił niebo.

– Musimy wrócić – powiedziała Winter do Farah. – Jeśli dotrzemy między drzewa...

– Nie zdołamy! – Farah wskazała ręką. – W dół zbocza, w tej zamieci?

– Zatem co? Nie możemy tu zostać!

– Przed nami są skały – oznajmiła Farah. – Widziałam je, zanim rozpętała się śnieżycy. Możemy schronić się między nimi.

Winter pokręciła głową.

– Jeśli nie ma tam żadnej szczeliny...

– To nasza jedyna szansa!

Nie czekając na odpowiedź, tropicielka popędziła konia. Winter zawołała do Rudej, żeby przekazała rozkaz pozostałym, i podążyła za nią.

To nie jest normalne. Ponieważ to już nie wyglądało na

załamanie pogody. Ktoś próbuje nas zabić, przebiegło Winter przez myśl. Jeśli Kapłani Czerni potrafili wywołać opady śniegu późną wiosną, to zapewne także zamiecie. Szczególnie tak blisko Elizjum. Zastanawiała się, czy Penitentka ze swoją kompanią też tak cierpi. Jeśli umrze w śniegach, może Janus zostanie uratowany, nawet jeśli nam się to nie uda.

Wiatr oczyścił skały ze śniegu. Kilka dużych głazów leżało jeden na drugim, tworząc kilka szczelin dostatecznie szerokich, żeby się w nie wcisnąć. Nie było to dobre schronienie, a dla koni nie znalazły żadnego, lecz kilka ostatnich minut przekonało Winter, że Farah miała rację. Próba powrotu byłaby samobójstwem.

Zsiadłszy z konia, Winter wcisnęła się w największy otwór, jaki zdołała znaleźć, i najgłębiej, jak mogła. Wokół niej stłoczyły się inne kobiety, nierozpoznawalne w ciemności, w oblepionych śniegiem futrach. Nie było słyhać żadnych dźwięków poza wyciem wichru. Nie dawała rady się poruszyć, mogła tylko oddychać. Ogrzana ciepłem innych ciał zaczęła odzyskiwać czucie w dłoniach i stopach. Poczwała w nich kłujący ból, tak dotkliwy, że wrzasnęłyby, gdyby mogła nabrać tchu. A zamieć szalała i nie ustawała, z niemal wyczuwalnym morderczym zamysłem.

W pewnej chwili Winter zasnęła. Śniła jej się Jane, Cyte i one obie razem. Janus, grubo odziany dla ochrony przed śniegiem i zdejmujący z siebie warstwy futer, aż pozostał tylko jego szkielet. Ogień, początkowo przyjemnie ciepły, ale buchający coraz wyżej wokół niej. Głos jakiejś staruszki, mówiący jej coś niezrozumiałego, nazywający ją nie jej imieniem. Bobby, z marmurową skórą obejmującą całą twarz, aż stała się nieruchoma i pozbawiona życia jak oblicze posągu, z pustymi i martwymi oczami.

Te sny mieszały się z rzeczywistością ich prowizorycznego schronienia i niekończącej się zamieci, tworząc koszmar naprzemiennych majaków i jawy. Słyszała szepty w ciemności, pomiędzy wściekłym zawrotem wiatru. Modlitwy do Karisa i wszystkich świętych, ciche słowa kierowane do rodziny i pozostawionych w Vordanie ukochanych. Zamknęła oczy i myślała o Cyte, zasypiając i budząc się. Poczowała ucisk w pęcherzu i posikała się. W ustach zaschło jej tak, że zrobiłaby wszystko za kilka łyków wody.

W końcu obudził ją słoneczny blask i jakiś ruch. Jęknęła.

– Generale? – usłyszała głos Bobby. – Winter? Słyszysz mnie?

Winter zamrugnęła. Jej gałki oczne były suche i szorstkie jak bawełna.

– Jestem tutaj – wyrzęziła. – Wody.

– Zaczekaj.

Minął jakiś czas. Ciężar przytrzymujący Winter znikł i słabe odbicie słońca na skałach zmieniło się w jasne światło dnia. Znów zamrugnęła i dostrzegła ciemny kształt w wejściu do płytkiej pieczary, wyciągający do niej rękę. Niepewnie chwyciła ją, a Bobby wyciągnęła ją na zewnątrz i pomogła stanąć na nogach. Ktoś inny podał jej bukłak, a ona napiła się łapczywie, łykając zimną jak lód wodę. Gdy się skończyła, Winter zakaszłała i rozejrzała się.

Po raz pierwszy od tygodni niebo było bezchmurne i słońce jasno świeciło z lodowato zimnego błękitnego sklepienia. Skaliste zbocze było niemal wolne od śniegu, oprócz tych miejsc, gdzie potworzyły się wielkie zasy przy skałach. Wiatr ucichł, choć powietrze nadal było zimne.

Zobaczyła kilkanaście martwych koni, leżących w śniegu lub

skręconych w skurczach agonii. Parę żywych zwierząt stało bok przy boku, patrząc na nią ciemnymi ślepiami, jakby oskarżycielsko. Żołnierze, opatuleni grubymi warstwami odzienia, stali w pełnym oszołomienia milczeniu, jakby po bitwie. Bobby chyba była w najlepszym stanie z nich wszystkich, a Ruda rozcierała policzki i ciężko dyszała. Była jeszcze Alex i dwie inne kobiety z Pierwszego Dziewczego, których Winter nie знаła, ale to wszystko.

– Musimy... – powiedziała ledwie słyszalnym głosem i znów dostała ataku kaszlu. Kiedy minął, przynajmniej wszystkie skupiły na niej uwagę, więc dodała ochryłym szeptem: – Musimy znaleźć pozostałe. I wszystkie żywe konie.

Przez moment nie było żadnej reakcji.

– Słyszaliście generała – warknęła Ruda. – Zaczynicie szukać!

Z nadejściem poranka rozmiary katastrofy stały się oczywiste. Ocalało jeszcze kilka koni, które same znalazły jakieś schronienie, ale większość padła, zamarzając lub spadając ze skał w oślepiającej śnieżycy. Pierwsze zamrożone ciało żołnierza znaleziono w śnieżnej zaspie wkrótce potem, przygniecione wierzchowcem, który padł. Inna szeregowka była żywa, ale nieprzytomna i majaczyła w gorączce.

To Winter znalazła Farah, skuloną z inną kobietą w wąskiej skalnej szczelinie, nie dość głębokiej, żeby osłonić je przed lodowatym wichrem. Tuliły się do siebie, szukając ciepła, lecz kiedy Winter dotknęła policzka Farah, ten był zimny jak głaz, a jej skóra miała siną barwę.

Tylko osiem kobiet i dziewięć koni przeżyło tę noc. Winter usiłowała liczyć ciała, ale nie mogła zebrać myśli i zrezygnowała

z tego bezcelowego zajęcia. Nawet jeśli jakieś jeszcze żyją, to nie jesteśmy teraz w stanie ich szukać. Ten skrawek ziemi, na którym stały, był czysty, lecz tam, gdzie drzewa i skały zatrzymywały wiatr, leżała dwumetrowa warstwa śniegu.

Przynajmniej żywności miały pod dostatkiem. Pozostałe przy życiu rozпалиły ognisko na skale, po czym objadły się sucharami i suszonym mięsem z juków padłych koni, żywym wierzchowcom zaś dały tyle paszy, ile te zdołały zjeść. Pomimo to zostało więcej, niż zmniejszony oddział mógł zabrać.

– Alex – powiedziała po chwili Winter. – Wyczuwasz jeszcze Penitentkę?

– Generale – powiedziała cicho wstrząśnięta Ruda. – Chyba nie zamierza pan jechać dalej?

– A co innego możemy zrobić, sierżancie? – zapytała Winter. Wskazała na niebo. Wciąż było błękitne, lecz od wschodu już zaczynała napływać złowroga warstwa czarnych chmur. – Mamy chwilę wytchnienia, ale to nie potrwa długo.

– Jednak... – Ruda spojrzała na oszołomionych żołnierzy, a potem znów na Winter. – Nie przeżyjemy następnej takiej śnieżycy, generale.

Winter zamknęła oczy.

– A więc nie przeżyjemy jej, nawet jeśli teraz zawrócimy. Wierzcie mi, zamarznięcie na śmierć nie podoba mi się tak samo jak wam. Jednak jeśli zostało nam jeszcze trochę czasu, zamierzam go wykorzystać, próbując czegoś dokonać. Jeśli zdołamy uratować Janusa, może nasze poświęcenie nie będzie daremne.

To niepodobne do mnie, pomyślała Winter. Nigdy się nie

poddawała, nawet patrząc w lufę pistoletu. Iskra na panewce. To mogło być wtedy. Widziała wyraz twarzy Jane, gdy ta nacisnęła spust, a pistolet nie wypalił. Teraz miała wrażenie, że jej mózg spowija gruba warstwa jakiegoś materiału, jakby minioną noc jeszcze się nie skończyła i to nadal był sen.

– Wyczuwam ją – powoli powiedziała Alex. – Tylko że się oddaliła. Może już dotarła do Elizjum.

To tyle z naszego poświęcenia. Winter oklapła.

– Zatem pojedziemy do Elizjum – odezwała się Bobby. – W ten sposób uciekniemy przed zimnem i pozostaniemy na tropie Penitentki.

Winter spojrzała na nią.

– Do Elizjum?

Ruda prychnęła.

– Nie wiem, czy miasto pełne Kapłanów Czerni będzie lepsze od śnieżycy.

– To duże miasto – zauważyła Bobby. – Muszą tam być jakieś niepilnowane wejścia.

– To mało prawdopodobne – rzekła Winter.

– Jednak lepsze, niż zamarznąć na śmierć – odparła Bobby.

Alex odkaszlnęła.

– Ja... może mam inną propozycję.

Wszystkie obróciły się do niej, a ona się spieszyła.

– Jest takie miejsce, niedaleko stąd – powiedziała po chwili wahania. – Jest tam ciepło i mają jedzenie. Może uda nam się dotrzeć przed następną burzą.

– Czuję, że jest w tym jakiś haczyk – powiedziała Winter.

– Złożyłam uroczystą przysięgę, że nigdy nie pokażę nikomu, jak się tam dostać – wyjaśniła Alex. – Oni traktują to bardzo poważnie. Tak więc jeśli zjawię się tam, ciągnąc was ze sobą, mogą uciąć mi głowę.

– Założmy, że to zrobią – wtrąciła Ruda. – Co się stanie z nami?

Winter przeszła ją wzrokiem, lecz Alex tylko wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Jednak... – Nabrała tchu. – Być może mogliby pomóc nam dostać się do Elizjum. Bobby ma rację. Są na to sposoby. Jeśli zdołam przekonać kilku idiotów, żeby zmańdrzeli... – Potrząsnęła głową. – Zawsze to jakaś szansa. To najlepsze, co mogę zrobić.

– To wydaje się... – zaczęła z powątpiewaniem Ruda.

– To wydaje się naszą jedyną szansą – ucięła Winter. – Ruszajmy.

Przez resztę dnia jechały najszybciej, jak się dało, na wyczerpanych wierzchowcach, gdy teren na to pozwalał, albo prowadząc je, gdy nie było to możliwe. Zostawiły prawie całą żywność. Albo tam dotrzemy, albo umrzemy tutaj. Dodatkowy prowiant nam nie pomoże. Nieprzytomną dziewczynę, szeregowca Iversa, przywiązano do końskiego grzbietu, a Ruda wlała jej do gardła trochę wody.

Po spokojnym i słonecznym poranku chmury znów zaczęły zasłaniać słońce. Alex prowadziła je na północny wschód, dalej od Elizjum i tropu, którym jechały, lecz nadal w góry. Zostawiły ich podnóże za sobą, podążając przez zdradliwe przełęcze pomiędzy strzelistymi turniami i grzbietami usianych głazami grani. Im

dalej się zapuszczały, tym pewniejsza siebie była Alex, jakby już kiedyś przebyła tę drogę. Ścieżka zaczęła przypominać szlak celowo wytyczony przez góry, chociaż Winter nigdy by tego nie zauważyła, gdyby nie wiedziała, gdzie go szukać.

Znowu zaczął padać śnieg, zerwał się wiatr i złowieszczo zawodził w kanionach. Winter potwornie bolała lewa dłoń, bo gdy ból pozostałych kończyn w końcu się zmniejszył, odmrożenie nadal dawało znać o sobie. Trzymała dłoń przy boku, zaciskając zęby. Jeden z koni upadł, żywy, lecz niezdolny zrobić ani jednego kroku, więc zostawiły go.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – powiedziała Alex. – Prawie jesteśmy.

Winter uświadomiła sobie, że nie zdążą. Słoneczny dzień był odległym wspomnieniem, a śnieg smagał im twarze, wirując i mknąc we wszystkie strony. Robiło się coraz ciemniej; na tej wysokości źle postawiona stopa oznaczała śmierć, a nie nogę skręconą w kostce. Na moment zamknęła oczy i poczuła, że chwieje się w siodle. Przepraszam, Cyte. Próbowaliśmy.

– Prawie jesteśmy! – zawołała Alex, a wichur niemal połknął jej głos. – Jeszcze kawałek!

Z białej zamieci wyłoniła się skalna ściana. Alex zsiadła z konia i stała pod nią, gorączkowo machając. Winter zsunęła się z konia i prowadziła go, z trudem znajdując siłę, aby stawiać kolejne kroki. Wokół niej niewyraźne postacie robiły to samo.

– Tędy – wskazała Alex. – Idź przodem.

Winter nie spierała się. Chwiejnie ruszyła naprzód, prowadząc wierzchowca. Zbocze góry było pionowym urwiskiem, ale teraz zobaczyła, że skalny załom skrywa wąskie przejście, szczelinę

o stromych ścianach znikających w górze i w oddali. Tutaj przynajmniej nie wiało i Winter poszła dalej. Szczelina wiła się i skręcała, aż wreszcie wyprowadziła ją na otwartą przestrzeń, na...

Słońce. Winter zatrzymała się, jedną ręką odruchowo osłaniając oczy, zaskoczona.

Stała na zielonej murawie łąki w pełni lata, rozpościerającej się od skał w głąb wąskiej i krętej doliny. Trawa była usiana purpurowym i błękitnym polnym kwieciem, a dnem doliny płynął potok o kryształowo czystej, wesoło pluskającej wodzie. Motyle trzepotały w słońcu, a wokół brzęczały pszczoły. I było ciepło: śnieg na czapce i płaszczu Winter już się topił.

Na drugim końcu doliny wznosiła się wielka kamienna budowla, przytulona do ściany urwiska. Winter dostrzegła poruszających się tam ludzi i suszące się na sznurach pranie, powiewające w łagodnych podmuchach wiatru. Przed budowlą inni ludzie w kolorowych szatach pracowali na zaoranych polach. Dwa psy pomagały pasterzowi prowadzić stado owiec, zmniejszonych przez odległość do białych kulek.

Alex precisnęła się przez szczelinę i westchnęła przeciągle, z satysfakcją.

– Jesteśmy – powiedziała. – Witajcie na Górze.

CZEŚĆ TRZECIA

Pontifex Czerni

Minęło sporo czasu, od kiedy pontifex Czerni był na powierzchni bez swojej maski.

Po Wojnach Religii zakon Kapłanów Czerni oficjalnie przestał istnieć. To, co wydawało się klęską, tak naprawdę – jak uczono akolitów – było zwycięstwem. Czary i demony zostały wytępione tak skutecznie, że współcześni ludzie praktycznie nie wierzyli, że są czymś rzeczywistym, więc istnienie tropiącej je organizacji tylko niepotrzebnie by o nich przypominało. Ponadto, jak zauważali niektórzy historycy, Kapłani Czerni z czasem zbłądzili i poświęcali zbyt wiele uwagi sprawom świeckim oraz tłumieniu herezji, co wykraczało poza zakres ich właściwych obowiązków. Różnice teologiczne są nieistotne, jeśli nie dotyczą spraw nadprzyrodzonych.

Zakon Kapłanów Czerni odrodził się w tajemnicy. W Kościele tylko pontifeksi Bieli i Czerwieni oraz nieliczni najwyżej postawieni kapłani wiedzieli, że wciąż istnieje. Jego działalność w Elizjum było zdumiewająco łatwo ukryć; miasto twierdza było ogromne i w znacznej części opuszczone, a całe jego dzielnice służyły teraz głównie jako łatwo dostępne źródło kamienia na nowe budowle. Kapłani Czerni zniknęli w podziemnych tunelach i komnatach. Zakony Bieli i Czerwieni przez ponad tysiąc lat istnienia stały się tak liczne i rozbudowane, tak pełne tajnych,

wzajemnie się zwalczających odłamów, wydziałów i bractw, że wszelką zaobserwowaną sekretną aktywność łatwo można było przypisać jednej z tych grup, działającej bez wiedzy innych.

Jako akolita obecny pontifex Czerni spędzał sporo czasu w przebraniu, udając zwykłego kapłana jednego z dwóch pozostałych zakonów. Jednak od czasu nominacji mieszkał w podziemiach zajmowanych przez jego zakon, tak więc czarny płaszcz i obsydianowa maska stały się jego drugą skórą. Teraz, w rdzawoczerwonym płaszczu z kapturem i z twarzą zasłoniętą szarą chustą, miał wrażenie, że jest zupełnie nagi.

Poniżej znajdował się Dziedziniec Pierwszego Hołdu, gdzie Elizjusz Ligamenti ukląkł, aby podziękować Bogu za doprowadzenie go do tego bezpiecznego miejsca. Pierwszy, jak go powszechnie nazywano, był największym placem w mieście, rozpościerającym się od muru aż po wyniosłą fasadę katedry Karisa, największego ośrodka Karisowego kultu na świecie. Po jego prawej i lewej stronie ciągnęły się długie, niskie budynki z frontonami z różowego lub białego marmuru – wzniesione niedawno, aby pomieścić rozbudowany aparat administracji potrzebnej tym dwom zakonom do nadzorowania działań Kościoła. Jak wielu innych w Elizjum, większa ich część była ukryta pod ziemią: wielopoziomowe lochy wykute przez stulecia w litej skale.

Teraz było tam rojno. Przypominały Czarnemu przewrócony przez jakiegoś głupca ul, z którego wylatują chmury żółto-czarnych wojowników, żeby bronić swojego domu. Tylko że te owady nosiły białe lub czerwone szaty i zamiast bronić swojego domu, zamierzały go opuścić.

Kościół, po raz pierwszy od tysiąca lat, uciekał z Elizjum.

Niebo wciąż było ołowianoszare, ale śnieg w końcu przestał padać. Na środku placu stały długie rzędy zaprzęzonych w konie lub muły wózków, na które uwijający się kapłani pospiesznie ładowali wynoszone z budynków toboły. Paczki z dokumentami, wielowiekowe wykazy dziesięcin i prac na rzecz Kościoła wrzucano bez ładu i składu na wozy. Niektóre były tak stare, że rozsypywały się w pył, gdy kapłani je podnosili; inne, źle zabezpieczone, eksplodowały białymi kartkami, wirującymi na wietrze. Były tam księgi, zwoje i okute żelazem ciężkie kufry, które mogły zawierać święte relikwie lub kwity podatkowe.

Zabierano wszystko, co dało się wywieźć. Vhalnich nadchodził i nikt nie wątpił w szczerą obietnicę, że puści Elizjum z dymem.

– To twoja wina – rzekł pontifex Bieli. Rada stała na balkonie katedry, spoglądając z góry na tę gorączkową krzątanicę. – Gdy spojrzysz na ruiny Kościoła, bracie, wiedz, że to ty do tego doprowadziłeś.

– Nie ja postanowiłem porzucić mój posterunek, bracie – rzekł Czarny.

Przyniósł im wieść, że agent Vhalnicha, Ihernglass, wciąż się zbliża, pomimo śnieżyc, które niemal uniemożliwiały poruszanie się w górach. Duży oddział z pewnością nie może się tak szybko przemieszczać, powiedział pontifex, tak więc Ihernglass prowadzi najwyżej tysiąc zbrojnych. Armia Vhalnicha niewątpliwie była jeszcze daleko, a może nawet w odwrocie z powodu pogody. Zażądał wezwania na mury Czerwonej Falangi i Białej Straży – czyli kompanii honorowych obu zakonów – a także każdego kapłana będącego w stanie unieść włócznie.

Bestia ostrzegła go, że to bezcelowe, gdyż ani Czerwony, ani Biały nie mają odwagi, żeby to zrobić. Czarny miał nadzieję, że demon kłamie, lecz jak zwykle jego przepowiednia się spełniła. Rada, coraz bardziej zaniepokojona od czasu klęski murnskajskiej armii, uznała raport o zbliżaniu się Ihernglassa za kroplę przepelniającą czarę.

– Elizjum to kamienne mury i szklane witraże – rzekł pontifex Czerwieni. – Kościół żyje w ludziach. Vhalnich może zdobędzie miasto, ale nie zdoła go utrzymać. Kiedy odejdzie, my wrócimy i odbudujemy to, co zostało zniszczone.

– Wolicie porzucić tysiącletni dorobek na pastwę ciemności, niż ryzykować wasze nędzne życie – rzekł z pogardą w głosie Czarny, nie mogąc dłużej skrywać swych uczuć. – Uratujecie wasze sterty papierów, ale wszystkie prawdziwe osiągnięcia Kościoła są zamknięte w moich lochach.

Demony i ich imiona, usunięte z tego świata. Jeśli Vhalnich to zniszczy, demony wydostaną się, opętają nowo narodzone dzieci i powrócą czasy Króla Demonów.

– Nie masz prawa nas pouczać! – warknął Biały. – Mogliśmy zawrzeć pokój, ale ty się temu sprzeciwiłeś. Byłeś taki pewny, że twoi wspaniali Przekłęci Penitenci poradzą sobie z Vhalnichem. A czego dokonali? Ta zamieć, która nas gnębi, najwyraźniej nie powstrzymuje wroga! Ty i twoi zabójcy zawiedliście, w dodatku wielokrotnie. Kiedy twoi poprzednicy wypędzali Magów, może nie przejrżeli dokładnie waszych szeregów.

– Nie czas dzielić włos na czworo – powiedział Czerwony. – Bracie, jeszcze nie jest za późno, żebyś do nas dołączył. Twoje archiwa można wywieźć, nawet jeśli więźniów się nie da. Czyż nie

jest twoim świętym obowiązkiem powstrzymać Bestię i utrzymać rodzaj ludzki w stanie bożej łaski?

– Zapewnię tę łaskę, broniąc fortecy Pana – warknął Czarny. – Nawet jeśli wy nie chcecie. Mówię wam, że Vhalnich i Ihernglass zostaną zmiażdżeni. A kiedy zwyciężymy, może nadejdzie czas, aby Kapłani Czerni znów zajęli należne im miejsce na czele Kościoła. Ponieważ pozostałym odłamom najwyraźniej brak niezbędnej siły charakteru.

Czerwony i Biały popatrzyli na siebie, a potem znów na niego, z lekkim politowaniem. Czarny miał chęć napluć im w twarz, lecz zbyt wielu obecnych na placu mogłoby to zobaczyć. Tak więc odwrócił się na pięcie i odszedł, by po zakurzonych i rzadko używanych schodach zapuścić się w trzewia katedry.

Tam przez ukryte drzwi wrócił do swego królestwa, podziemnych tuneli i komnat będących siedzibą Kapłanów Czerni. Jego podwładni czekali tam z jego grubą czarną szatą i lśniącą, brzęczącą maską z wulkanicznego szkła. Zakładając obie, miał wrażenie, że odzyskuje swoją prawdziwą twarz.

– Wasza ekscelencjo – rzekł skryba, zacierając ręce, jakby je mył. – Nosiciel Starej Wiedźmy zmarł. Jego opiekun mówi, że z przemęczenia.

– Domyśliłem się tego, gdy śnieg przestał padać – powiedział Czarny. – Każ mu natychmiast szukać następnego nosiciela. Użyjcie tylu więźniów, ilu będzie trzeba.

– Tak jest, wasza ekscelencjo.

– Czy Żmija odzyskała przytomność?

– Tylko chwilowo, wasza ekscelencjo. Nie powiedziała, czy jej misja się powiodła. Jeden z naszych braci cały czas jest przy niej,

na wypadek gdyby zaczęła mówić.

Czarny pożałował, nie po raz pierwszy, że żaden z leczących demonów nie ma obecnie gospodarza. Niestety znalezienie dla nich odpowiedniego było niemal równie trudne jak dla samej Bestii, a dotychczas były pilniejsze sprawy.

Nieważne. Czy Vhalnich jest martwy czy nie, Ihernglass i tak jest u bram. Władca demonów, potężniejszy od wszystkich Penitentów pozostałych w fortecy i wciąż nie wiadomo, jaką posiadający moc.

– A nasi wrogowie?

Skryba odchrząknął.

– Ihernglass... znikł, wasza ekscelencjo. Razem ze swoim kompanem.

– Znikł? Może umarł? – Czy to nie byłoby ironią losu?

– Wyczuwający tak nie uważają, wasza ekscelencjo. Nie było rozbłysku, jaki zazwyczaj towarzyszy śmierci nosiciela demona. Oni po prostu znikli. To przypominało czary...

– ...Śnieżnej Lisicy. – Czarny skrzywił się z obrzydzeniem. – Powinienem wiedzieć, że ta nędzna kreatura się w to wmiesza. W końcu jest sługą Bestii, tak samo jak Ihernglass.

– Tak, wasza ekscelencjo.

Śnieżna Lisica była demonem, który od kilkuset lat niepokoił Kapłanów Czerni. Posługiwała się nim grupa heretyków, kilku ostatnich Magów, których nigdy całkowicie nie wytępiono. Mieli czelność działać pod samym nosem Elizjum, w czym pomagała im wyjątkowa zdolność Śnieżnej Lisicy do ukrywania przed wyczuwającymi mocy swojej i innych. Do niedawna nie sprawiali większych kłopotów. Może przez cały czas czekali na odpowiednią

chwilę. Magowie zawsze lubili knuć skomplikowane, długofalowe intrygi.

– Jeśli się sprzymierzyli – rzekł Czarny – to Ihernglass może wkroczyć do miasta, zanim się zorientujemy. Nie ma czasu. – Postaw w stan gotowości wszystkich naszych ludzi i wezwij strażników więziennych. Schodzę na dół.

Skryba przełknął ślinę.

– Tak jest, wasza ekscelencjo.

Żelazne ogniwa cicho zabrzęczały, gdy Bestia się poruszyła.

– Przyszedłeś zabić czas rozmową? – powiedziała. Spierzchnięte wargi jej nosicielki rozchyliły się w uśmiechu. – Można by sądzić, że obowiązki wezwą cię gdzie indziej.

Pontifex bez słowa przeszył ją gniewnym wzrokiem. Przechyliła głowę, uśmiechając się jeszcze szerzej.

– Powiedziałeś im – rzekła. – A oni postanowili uciec, zamiast bronić miasta.

Czarny zgrzytnął zębami.

– Mówiłam ci, że tak postąpią – ciągnęła Bestia, nadal tonem towarzyskiej pogawędki. – Nigdy nie spotkałam żadnego z tych dwóch, ale słyszałam, co o nich mówiono, a ponadto trochę poznałam naturę ludzi. Nie jesteście tak skomplikowani, jak uważacie, wiesz?

– Twoi słudzy usiłują cię uwolnić – powiedział Czarny.

– Ja nie mam żadnych sług, o czym mówiłam tobie i twoim poprzednikom. Jeśli ktoś usiłuje mnie uwolnić, robi to z własnej woli.

– Kłamiesz. Wygnaliśmy Magów, gdy dowiedzieliśmy się, że dążą do twojego uwolnienia, i robią to nadal. Teraz wiemy, że niektórzy z nich uciekli przed nami aż do Khandaru.

Bestia wzruszyła ramionami.

– Nic o tym nie wiem. Zapewne jednak tak bym powiedziała, gdybym wiedziała.

– Nie pozwolę, by sekta nierozumnych głupców naraziła na niebezpieczeństwo cały świat.

– Ach tak? A jak zamierzasz temu zapobiec? – Bestia nachyliła się tak, jak pozwalały jej łańcuchy. – Czyżbyś w końcu postanowił użyć oręża, które dał ci twój Bóg?

– To nie oręż. – Czarny oblizwał wargi pod maską. – To przekleństwo.

– Tylko dla słabych.

– Jeśli uważasz mnie za silnego, dlaczego mi pomagasz?

– Ponieważ jest to dla mnie korzystne oczywiście. Właśnie tego twoi poprzednicy nigdy nie rozumieli. Jeśli zdołasz dokonać tego, co zrobił Karis, znajdę się w ciekawszym miejscu niż ten loch.

– Pod moją kontrolą – powiedział Czarny.

– Przez jakiś czas – przyznała Bestia. – Tego wy, ludzie, nie możecie pojąć. Cokolwiek zrobicie, po pewnym czasie to ciało umrze, a wtedy powrócę.

– I znów zostaniesz zakuta w kajdany.

– I znowu umrę. I znowu. Ile razy będzie trzeba. – Bestia wzruszyła ramionami, dzwoniąc łańcuchami. – W obliczu wieczności nawet góry zostają zmielone w proch. Prędzej czy później musicie zawieść. Mając taką pewność, służba przez okres śmiertelnego życia jest lepsza od... nudy.

Zrobić to, co Karis. On spojrział Bestii Sądnego Dnia w ślepią i zapanował nad nią. Użył jej mocy, by chronić swe nieliczne stado wiernych i nauczyć ich, jak trzymać tego największego wroga ludzkości w pętach. Tylko dlatego, że Bóg obdarzył go siłą do dokonania tego cudu, ludzkość dostała bożej łaski.

Nie wierzę, że Bóg zamierza dopuścić do naszego upadku za sprawą kogoś takiego jak Vhalnich. Nie teraz, kiedy tak niewiele nam brakuje, żeby na zawsze oczyścić świat z demonów. Gdybym podjął wyzwanie... gdybym zrobił to, co Karis... – rozmyślał pontifex.

Kapłani Czerni rządząliby nie tylko Kościołem. Pontifex zażądałby tronu Murnska i innych. Wszyscy wierni Wolnego Kościoła powróciliby na łono prawdziwej wiary. Odległy Khandar, a nawet nieprzebyte południowe wyżyny za nim zostałyby oczyszczone z ich pogańskich zwyczajów i demonów. Albowiem cóż może się oprzeć mocy Bestii Sądnego Dnia?

A ci dwaj głupcy podający się za moich braci resztę życia spędziliby w najciemniejszym lochu pod Elizjum, za to, że zawiedli Kościół w godzinie potrzeby.

Zamknął oczy i pomodlił się.

Panie, proszę, pokaż mi drogę. Czy taka jest Twoja wola?

Nie odpowiedziały mu chóry anielskie ani jasny promień z niebios. Mimo to, gdy pontifex Czerni otworzył oczy, wiedział, co musi zrobić.

Oczywiście nie zaszkodzi podjąć pewne środki ostrożności. Odwrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz, gdzie czekali dwaj kapłani-strażnicy.

– Dajcie mi klucze od kajdan – rozkazał.

Uśluchali bez wahania. Czarny spojrział na trzy srebrne kluczyki i poczuł, że serce bije mu szybciej, niecierpliwie.

– Szepnę słowo do waszych uszu – powiedział im. – Zamknijcie drzwi, gdy tam wejde. Jeśli nie wypowiem tego słowa, kiedy poproszę, żebyście ponownie je otworzyli, macie zostawić je zamknięte, a mnie zabić. – Drzwi miały specjalnie w tym celu zrobione, okute żelazem otwory, dostatecznie duże, żeby można w nie wetknąć lufę pistoletu i zastrzelić więźnia czy kogokolwiek innego. – Czy to jasne?

– Tak, wasza ekscelencjo.

Nachylił się i kolejno szepnął każdemu jedno słowo. Takie, którego jeszcze nigdy nikomu nie mówił. Imię i nazwisko chłopca, którego kiedyś pocałował, w młodszej chwili słabości. Chłopca, którego później zepchnął z muru i szlochając, powiedział opiekunowi akolitów, że przyjaciel się pośliznął...

Drzwi zatrzasnęły się za nim i klucz cicho obrócił się w dobrze naoliwionym zamku. Pontifex przyjrzał się Bestii.

Kapłani dobrze opiekowali się jej nosicielką, żeby wiodła długie i zdrowe życie, zanim będzie trzeba znaleźć następną. Była codziennie myta, żeby zapobiec owrzodzeniom, i dobrze odżywiana. Rude włosy sterczały kępkami spomiędzy żelaznych taśm opasujących jej głowę. Jej skóra zbladła po długim pobycie w lochach i widział niebieską żyłkę pulsującą pod obojczykiem i na jednej pełnej białej piersi.

– Jeśli mnie zabijesz – rzekł, podchodząc bliżej – nic ci to nie da.

– Nie da – przyznała Bestia. – Jak już ci mówiłam, w tej kwestii nasze interesy są zbieżne.

Kłamie. Pontifex miał przyspieszony oddech. To jednak

nieważne. Moc Pana jest ze mną. Ujarzmię Bestię, tak jak zrobił to Karis, mówił sobie.

Kolejny krok i znalazł się obok stwora. Wziął największy ze srebrnych kluczy i wetknął go do zamka z boku żelaznej opaski. Przekręcił go z cichym szczękiem i kaptur rozchylił się jak żelazny kwiat. Próbując opanować drżenie rąk, pontifex zdjął tę metalową koronę z głowy nosicielki i z brzękiem upuścił na posadzkę.

Bestia zamrugła i spojrzała na niego. Jej nosicielka miała pociągłą, śliczną twarz i zaskakująco zielone oczy. Pontifex stał tuż przy niej, tak blisko, że czuł jej oddech na swojej masce.

Przez moment wahał się. Potem odchrząknął.

– Jak właściwie – zaczął – ma to...

Żrenice Bestii rozjarzyły się szkarłatnym blaskiem, który rozszedł się, połykając czern i zielen, powiększając się jak plama na jego polu widzenia, pochłaniająca cały świat. W następnej chwili ów blask natarł, wdzierając się przez oczy pontifeksa w głąb jego duszy.

Siła nie miała znaczenia. Nie w starciu z tym. Jakby największa z mrówek próbowała walczyć z rozdeptującym ją butem. Nie było mowy o powstrzymaniu tego nieubłagane przygniatającego go ciężaru.

Kłamała. Bestia zawsze kłamie. Taka była jego ostatnia myśl.

Nowe ciało Bestii wyprostowało się i wygładziło szatę.

Nieszczęsny, głupi człowieczek i jego żalosna ofiara. Wszystko, czym był Zachar Vachaven, stało się dla Bestii widoczne jak na dłoni: zawartość jego umysłu i pamięci, równo ułożona i dostępna

jak oskórowany i wypatroszony królik. Każde wspomnienie, każda skrywana wina, każde sekretne fantazje, jakie snuł ten człowiek, zmagając się ze swoimi słabostkami w ciemności celi. Bestia mogła korzystać do woli z wszelkich jego umiejętności.

Pontifex odwrócił się do drzwi i zerwał obsydianową maskę.

– Wypuście mnie! – zawołał donośnie. – Elijah. Quarnoff.

Po chwili klucze obróciły się w zamkach. Drzwi się otworzyły.

– Podejdźcie tu – rozkazała Bestia głosem pontifeksa.

Dwaj kapłani weszli. Pontifex skinieniem przywołał jednego z nich bliżej, a ten posłusznie podszedł, patrząc prosto w oczy zwierchnika. Rozbłysły szkarłatnym światłem.

Drugi kapłan zdążył tylko drgnąć zaskoczony, gdy jego towarzysz odwrócił się, złapał go i przyciągnął do siebie, zdzierając przy tym maskę. Kolejny czerwony błysk i było po wszystkim.

Cztery ciała. Kiedyś miała ich tysiące. I znów będę miała, postanowiła.

Pontifex wraz z jednym z kapłanów otworzyli kłódki łańcuchów pętających ręce nosicielki. Jane Verity nadal była siedzibą mocy Bestii, z której poruszała innymi ciałami jak swymi kończynami. I pozostanie nią do swej śmierci, a wtedy ktoś inny zajmie jej miejsce. A potem następny i jeszcze jeden, i tak przez wieczność.

Poprzednie ciało było młode, nowo narodzone i nieświadome swych ograniczeń. Uczyło się, lecz nie dość szybko. Jednak od tamtego czasu minęło tysiąc trzysta lat, trzynaście wieków nauki i planowania. Nie popełni więcej takiego błędu.

Nad nią była twierdza Elizjum, pełna przerażonych kapłanów. Dalej Murnsk, Borel i Vordan, a także miasta Ligi i Starego Wybrzeża. A jeszcze dalej świat pełen krzątających się wokół

swoich spraw, rozgorączkowanych ludzi.

Wargi Jane wykrzywiły się w uśmiechu, gdy Bestia pomyślała:
wszyscy będą moi.

Piętnaście

Raesinia

Chociaż niebo nadal było ciemne od chmur, śnieg ledwie prószył, za co Raesinia była bezgranicznie wdzięczna Opatrzności. W tym szarym całunieniu pojawiły się błękitne dziury, a wiatr wiał tylko z południa. Jednak nawet gdy słońce znów się pojawiło, temperatura w południe ledwie podniosła się powyżej zera, a wiatr podrywał śnieg i smagał nim twarze ludzi i konie.

Droga Pielgrzyma, zawsze niezbyt przyjazna dla podróżnych, stała się koszmarem. Ludzie i konie jakoś przedzierali się przez śnieg, ale działa i wozy nieustannie utykały w nim lub się psuły. Jeśli jechały na przedzie, tempo marszu spadało do żółwiego i wozy łamały sobie koła oraz osie w zamrożonych koleinach. Jeżeli podążały na końcu, to grzęzły w powstałej po przejściu tysięcy nóg lepkiej mazi, która wsysała wszystko niczym klej. Raesinia kazała porzucać wszystko, co uznano za zbędne, i za wojskiem pozostawał wąż jaszczy, pustych wozów i połamanych kół. Poświęcono nawet kilka dział, gdy ugrzęzły w błocie, które znów zamrzło przez noc, tak że drużyna ludzi z kilofami nie była w stanie ich uwolnić przed wznowieniem marszu.

Na szczęście, jeśli można użyć tego słowa, większości wozów nie potrzebowali, ponieważ niewiele mieli do przetransportowania.

Zapasy żywności wciąż zastraszająco topniały, a wyprawy aprowizacyjne nic nie dawały, ponieważ maszerowali teraz znowu przez tereny, na których zaopatrzyli się, podążając na północ. Martwe wierzchowce na krótko wystarczały tym, którzy byli w stanie jeść koninę, gdyż byli coraz chudsze.

Drażliwą kwestią było to, kto właściwie dowodzi tą wynędzniałą armią. Po katastrofie podczas przeprawy Raesinia musiała nakazać marsz na południe i nikt się temu nie sprzeciwił. Dywizje, które zdążyły się przeprawić – druga, trzecia, czwarta, piąta i ósma – wykonywały rozkazy swoich dowódców i właściwie nie było trzeba niczego uzgadniać. Jedynym, co łączyło wszystkich, były tabory Aleka Giforte'a, ochraniane przez około pięciuset żołnierzy pierwszej dywizji, którzy zdążyli przejść przez rzekę.

Sam Giforte chętnie zaakceptował władzę Raesinii, która bez niego kompletnie by się pogubiła. Nigdy nie mogła pojąć, czym tak bardzo są zajęci ci wszyscy oficerowie, ale nawet zorganizowanie wspólnych posiłków byłoby niemożliwe bez niezmordowanego i sprawnego personelu Giforte'a. Jednak z pozostałymi dowódcami sprawa wyglądała inaczej. Według Giforte'a formalnie dowodzenie armią powinien objąć Morwen Kaanos, dowódca trzeciej dywizji, najstarszy stażem ze wszystkich generałów dywizji. Dotychczas nie poruszył tej kwestii, a Raesinia też się nie kwapiła. Będzie na to czas, kiedy dotrzemy do Polkhaiz, stwierdziła.

Nie mogła przestać myśleć o Marcusie. Nie sypiała, tak więc nie miała sennych koszmarów, lecz łapała się na tym, że w wolnych chwilach mimowolnie tworzy skomplikowane, okropne sny na jawie. Widziała go ginącego na pięćdziesiąt sposobów, usieczonego przez wroga, zamierzającego na śmierć lub umierającego z głodu,

porwanego przez następną ścianę kry i skłębionej wody. Za każdym razem odwracał się i wyciągał do niej rękę, jakby błagał o pomoc.

Musiałam odejść, mówiła mu. Kazałeś mi odejść! On jednak nigdy nie odpowiadał.

Przez pierwsze dwa dni biali jeźdźcy ich nie niepokoiłi i Raesinia miała nadzieję, że to oznacza, iż nie będą atakować armii w odwrocie. Kiedy trzeciego dnia znów zaczęły się ataki na linię wart, zrozumiała, że tę chwilę wytchnienia zawdzięczali jedynie temu, że niestrudzeni plemieńcy musieli znaleźć inną przeprawę, a potem popędzać swe krzepkie kuce, żeby dogonić wolno maszerującego przeciwnika. Teraz boków i tyłów Wielkiej Armii strzegły patrole, a szybko kurczący się oddział kawalerii podzielono na szwadrony gotowe pogalopować na pomoc każdej atakowanej jednostce. Po każdej potyczce zostawały na śniegu trupy białych jeźdźców, lecz Raesinia obawiała się, że Wielka Armia słabnie szybciej niż jej przeciwnicy. Jedyłą korzyścią było to, że zabitym plemieńcom zabierano ciepłe okrycia i skromne zapasy żywności.

Raesinia spojrzała na mapę, jakby siłą woli chciała przybliżyć nakreślone linie. Brzegi mapy zwisały ze stolika; namiot dowodzenia wraz z dużym stołem został na północnym brzegu Kovrii.

– Prawie jesteśmy na miejscu – powiedziała.

– Tak, Wasza Królewska Mość. – Alek Giforte schudł podczas odwrotu, jak wszyscy poza Raesinią. Broda zaczynała mu siwieć i srebrne nitki pojawiły się na skroniach. Oczy miał głęboko

zapadnięte, ale wciąż bystre i czujne. – Jutro do południa zwiadowcy powinni dotrzeć do Syzrii.

– A składy w Polkhaiz? Czy mamy pewność, że będą tak pełne, jak sądzimy?

Giforte się zawahał.

– Jeżeli rozkazy pozostawione przez pierwszego konsula zostały wykonane, to powinny być.

– Czy mamy jakiś powód przypuszczać, że nie zostały wykonane?

Zmarszczył brwi.

– Nie napotykamy żadnych konwojów z dostawami jadących na północ. Wiem, że zagrożenie ze strony białych jeźdźców spowolniło transport, ale jakiś powinniśmy spotkać. Jestem zaniepokojony.

– Co się stanie, jeśli w Polkhaiz nie ma żywności?

– Racjonowaliśmy ją, zakładając, że tam będzie – rzekł Giforte. Wyprostował się. – Jeśli tam nic nie ma, to będziemy głodować.

Raesinia wygładziła ręką mapę, po czym spojrzała na niego.

– Zatem miejmy nadzieję, że niepotrzebnie się pan niepokoi, pułkowniku.

– Tak, Wasza Królewska Mość.

I co potem? Nie zastanawiała się, co będzie dalej, kiedy armia znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Pewnie rozbijemy obóz i wyślemy kurierów. Zaczniemy rozmowy z Borelgajami i Murnskajczykami. Poczowała ściskanie w brzuchu. Dowiemy się, co się stało z Marcusem. A potem...

– Powinien się pan przespać, pułkowniku Giforte. – To nazwisko poruszyło jakąś strunę jej pamięci i zmarszczyła brwi. –

Jest pan spokrewniony z pułkownik Giforte, która dowodzi Pierwszym Dziewczęcym?

– Tak, Wasza Królewska Mość – powiedział. – To moja córka.

Raesinia uśmiechnęła się zaskoczona.

– To musi być interesujące, mieć córkę równą rangą.

– Jestem... bardzo z niej dumny, Wasza Królewska Mość. – I po chwili dodał: – Chociaż minęło trochę czasu, od kiedy spotkaliśmy się jak członkowie rodziny. Nie zawsze się zgadzamy.

– Powinien pan z nią porozmawiać – powiedziała Raesinia. – Po tym wszystkim, co się wydarzyło...

Giforte skinął głową.

– Nasze spory wydają się mało ważne. Też tak uważam. Jednak zawsze jest tyle do zrobienia...

– Niech pan weźmie wolny wieczór – zaproponowała. – To polecenie królowej. Proszę znaleźć córkę, pogodzić się, a potem dobrze się wyspać. Kiedy przejdziemy rzekę, będzie jeszcze więcej do zrobienia.

– Tak, Wasza Królewska Mość. – Giforte skłonił się. – Dziękuję bardzo.

Wyszedł z namiotu, a Raesinia opadła na składane krzesło. Jeszcze jeden dzień, westchnęła. Kiedy nawiążą kontakt z siłami pozostawionymi na południe od rzeki, ustalą harmonogram dostaw żywności, utworzą skuteczną linię obrony przed atakami białych jeźdźców i zaczną przywracać armii pełną sprawność bojową.

A także myśleć o tym, co zrobić, jeśli Janus nie wróci. Ta myśl pozornie wydawała się śmieszna; pierwszy konsul zawsze był przygotowany na każdą ewentualność. Jednak tym razem za bardzo liczył na swoje szczęście. Miała nadzieję, że Marcus

i pierwsza dywizja powrócą; oczywiście, że tak. Jednak Janus...

Może byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby nie przeżył. Sama ta myśl wywoływała poczucie winy. W końcu Janus wielokrotnie ją ratował, ocalił Vordan i praktycznie wygrał wojnę ze wszystkimi mocarstwami na kontynencie. Teraz jednak, kiedy jest już po wszystkim, nie jest Vordanowi potrzebny. Jest niebezpieczny. Dorsay żądał jego dymisji, uzależniając od tego rozpoczęcie rozmów, i Raesinia nie mogła mieć mu tego za złe.

Sothe zjawiała się jak duch, ubrana w swój czarny bojowy strój. W nagłych wypadkach przestawała udawać ochmistrzynię. Patrząc teraz na nią, Raesinii trudno było uwierzyć, że ktokolwiek mógł uznać ją za nieszkodliwą. Poruszała się z gracją drapieżnika, zwinnego i groźnego.

– Jak wygląda sytuacja? – spytała Raesinia.

Sothe po całych dniach krążyła niepostrzeżenie wśród żołnierzy, oceniając morale wojska i słuchając plotek.

– Prawie jesteśmy na miejscu – powiedziała. – Niemal nie ma żywności, ale na razie narzekania ustały. Jednak mam złe wieści z obozu trzeciej dywizji.

– Generał Kaanos?

Ten człowiek był jednym z kolonialnych podkomendnych Marcusa i bardzo mu oddany, ale teraz zabrakło nie tylko Marcusa, ale i Janusa.

– Mówi się, że zamierza zwołać naradę wojenną, kiedy dotrzemy do Polkhaiz.

– I co chce zaproponować?

– Podobno, żeby armia została tam, gdy on zażąda nowych instrukcji od Zjazdu Generalnego.

Raesinia odetchnęła z ulgą.

– To nie jest najgorszy scenariusz.

– Ale i nie najlepszy.

Królowa wzruszyła ramionami. To, że Kaanos nie uznawał jej zwierzchnictwa nad armią, było irytujące, ale dopóki proponował, by siedzieć spokojnie, zamiast działać, miało to niewielkie znaczenie. Potrzebowała czasu, żeby doprowadzić do zawarcia pokoju, który teraz był jedynym możliwym rozwiązaniem. Oczekiwanie na decyzję deputowanych – co najmniej kilkutygodniowe, gdyż Kaanos nic nie wiedział o pstrykaczach – da jej przynajmniej tak potrzebny czas.

– Gdyby przypadkiem zapomniał mnie zaprosić, to dopilnuj, żebym wiedziała, kiedy i gdzie odbędzie się ta narada – rzekła Raesinia. – Nie chciałabym wyglądać na zupełnie bezradną.

Sothe skinęła głową.

– To nie będzie trudne.

– Przypuszczam, że nie ma wieści od Borelgajów?

– Niestety, nie. Być może Whalerowi trudno do nas dotrzeć przez krążących wokół białych jeźdźców.

– A może nie żyje i Dorsay zastanawia się, dlaczego nie wrócił – zauważyła Raesinia, usiłując opanować zdenerwowanie. Milczenie tamtej strony było niepokojące. – Tak czy inaczej, gdy przejdziemy rzekę, oficjalnie nawiążemy kontakt.

Sothe ponownie skinęła głową. Raesinia machnęła ręką.

– To tyle na dziś wieczór. Idź odpocząć.

– Tak, Wasza Królewska Mość.

Zabójczyni skłoniła się i odeszła.

W takich chwilach Raesinia żałowała, że nie może spać. Jakże miło byłoby spędzić kilka godzin w błogiej nieświadomości i wstać wypoczęta z porannym słońcem. Chyba mogłaby spełnić to marzenie, tylko odstrzeliwując sobie głowę, ale rezultaty tego zwykle bynajmniej nie były krzepiące. Nie mogła nawet czytać przez całą noc, gdyż światło palące się od zmierzchu do świtu w namiocie królowej mogłoby obudzić jakieś podejrzenia. Położyła się na posłaniu, patrząc na pociemniały brezent dachu namiotu i usiłując nie myśleć o Marcusie. Nie udawało jej się.

Jeśli musisz o nim myśleć, myśl o czymś przyjemniejszym, napomniła się. Przypomniła sobie ich wyprawę do głównego biura Giełdy i to, jak się zaśmiewali po udanej ucieczce. I jak czasem zauważała, że nie odrywa od niej oczu. Nie była pewna, czy to coś oznacza, czy nie jest to tylko złudzenie tworzone przez usłużną pamięć.

Na pewno mu na mnie zależy. „Nie poddawaj się” – napisał w wiadomości, nie wiedząc, czy ona ją przeczyta. Tylko czy z jego strony jest to jedynie troska o królową? Czy może o mnie jako... kobietę?

Ledwie mogła sformułować tę myśl, tak dziwna się wydawała. Po prostu nigdy nie myślała o sobie w taki sposób. Nie była nieświadomiona – edukacja księżniczki nie jest tak oderwana od rzeczywistości, jak sądzi większość ludzi, a ponadto przez parę lat spędzała wieczory ze studentami uniwersytetu. Jednak te sprawy zawsze wydawały jej się zwyczajami jakiejś odległej krainy, przeważnie niezrozumiałymi i zupełnie jej nie dotyczącymi. Biedny Ben, jeden z grupki jej rewolucjonistów, który umarł w jej ramionach, był w niej zakochany, lecz ona nigdy nie darzyła go

czymś więcej niż przyjaźnią, tak samo jak pozostałych towarzyszy.

Nawet teraz nie była całkiem pewna, czego pragnie, poza tym, że bardzo chciała wiedzieć, czego chce Marcus. I żeby wrócił cały i zdrowy, opowiedział jej o kolejnej ekscytującej ucieczce, uśmiechając się niepewnie, gdy delikatnymi pytaniami wyrwie go z pancerza dobrych manier.

Już prawie dotarliśmy. Raesinia zaczerpnęła tchu i powoli wypuściła powietrze z płuc. No, Marcusie. Wróć, jeszcze jeden raz.

Wieści, kiedy przyszły, były tak niewiarygodnie złe, że Raesinia potrzebowała chwili, żeby je ogarnąć. Młody kawalerzysta czekał, przyklękawszy, lekko drżąc. Twarz stojącego przy nim Aleka Giforte'a była nieruchoma i nie zdradzała żadnych uczuć.

Wszędzie wokół nich Wielka Armia kontynuowała marsz, wchodząc na ostatnie pasmo wzgórz przed doliną Syzrii. Raesinia wyobraziła sobie, jak ta wiadomość się rozchodzi, przekazywana przez żołnierzy niczym zaraźliwa choroba, przeskakując z umysłu do umysłu, nawet jeśli nie poruszają wargami.

– Jesteście pewni? – zapytała głupio.

– Tak, Wasza Królewska Mość. – Żołnierz przełknął ślinę. – Nad Polkhaiz powiewa borelgajska flaga. Podejść pilnuje piechota w białych mundurach. Widziałem to na własne oczy. Przykro mi.

– Zostawiliśmy tam nasze oddziały – powiedziała. – Trzy dywizje. Co się z nimi stało?

– Nie wiem – odparł kawalerzysta. – Jednak nasz sierżant ocenia siły w borelgajskim obozie na czterdzieści tysięcy żołnierzy. Być może nasze oddziały musiały się wycofać w obliczu takiej przewagi liczebnej wroga.

– Do licha, to prawie cała ich armia – rzekł Giforte. – Myślałem, że Dorsay jest ostrożny.

To powtórka Vansfeldt. Raesinia przypomniała sobie lekcje strategii dawane jej przez Marcusa. Jak pokonać silniejszego przeciwnika: zająć silną pozycję, którą będzie musiał atakować.

– Giforte. Wyślij wiadomość do wszystkich generałów dywizji, że chcę natychmiast z nimi pomówić. – Nie można było dłużej tego odkładać. – I znajdź Sothe. Nieważne jak.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość.

Giforte pospiesznie odszedł, zabierając ze sobą kawalerzystę. Raesinia czekała na poboczu drogi, obserwując przepływającą obok niekończącą się rzekę wymizerowanych ludzi. Niewielu z nich patrzyło na swoją królową, chociaż nie mogli jej nie rozpoznać. Joanna i Barley, jej ochrona, stały przy niej nieodłączne jak cienie.

Zjawiła się Sothe, przybywszy tak szybko, że Raesinia odgadła, iż już słyszała złe wieści.

– Wasza Królewska Mość – powiedziała zabójczynie.

– Idź do Polkhaiz – rozkazała królowa. – Znajdź Dorsaya. Powiedz mu, że muszę z nim porozmawiać, natychmiast.

Sothe niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę.

– Nie chcę zostawiać cię tutaj...

– Wiesz, że to jest dla mnie najważniejsze – ucięła Raesinia. – Idź, proszę, i wracaj jak najszybciej.

– Rozumiem. – Sothe skłoniła się. – Bądź ostrożna.

Ku ogromnej irytacji Raesinii zwoływanie generałów trwało do wieczora. Musiała przyznać, że ich wymówki brzmiały rozsądnie, bo gdy rozeszła się wieść, że maszerują do miasta zajętego przez

nieprzyjaciela, a nie do pełnych składów, oficerowie musieli dołożyć wszelkich starań, żeby kolumna nie zmieniła się w bezładny tłum. Dotarli do miejsca, gdzie zaplanowano nocleg, kilka mil od północnego brzegu Syzrii. Raesinia liczyła, że zjedzą tu obfity posiłek, dostarczony przez oddziały, które zostawili w Polkhaiz. Tymczasem siedziała za zbyt małym do rozkładania map stolikiem, czekając na oficerów, którzy teoretycznie przysięgli jej służyć.

Cyte przyszła pierwsza. Gdyby Raesinia nie widziała jej wcześniej, ledwie poznałaby w niej tę radykalną studentkę, która uczestniczyła w szturmie na Vendre. Tamta dziewczyna miała okrągłą dziecianną buzię, oczy podmalowane czarnym tuszem i nosiła niemodne męskie ciuchy, będące krzykiem mody. Wszystko to świadczyło o braku pewności siebie i rozpaczliwej potrzebie udowodnienia, że zasługuje na swoją pozycję społeczną. Kobieta, którą ujrzała teraz, była wychudła od trudów marszu, miała nierówno ostrzyżone czarne włosy i nieumalowaną twarz, ale najwyraźniej czuła się doskonale w swoim pomiętym niebieskim mundurze. Ukłoniła się, bynajmniej nieonieśmielona obecnością królowej.

– Kapitan Cytomandiclea. – Raesinia starała się poprawnie wypowiedzieć jej imię.

– Cyte, za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości. – Cyte się lekko uśmiechnęła. – Wiem, że to przydługie imię.

– Zatem Cyte – powiedziała Raesinia, odpowiadając ostrożnym uśmiechem. – Jak się mają sprawy w drugiej dywizji? Masz jakieś kłopoty z pułkownikami?

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość. Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić. Pułkownik Giforte była bardzo pomocna.

– To dobrze. – Raesinia zawahała się. – Wiem, że nie ma żadnych wieści od generała Ihernglassa...

Cyte otworzyła usta, zamknęła je, a potem powiedziała:

– On wróci. Jestem tego pewna.

Raesinia kiwnęła głową, zrozumiawszy. Znała tajemnicę prawdziwej płci Winter i Cyte najwyraźniej również, ale lepiej zachować ostrożność, czekając na innych. Sothe mówiła, że według obozowych plotek Winter i Cyte są kochankami, i obserwując jej twarz, gdy wypowiadała te słowa, Raesinia była skłonna w to uwierzyć. Dostrzegła cierpienie, głęboko skrywane pod żelaznym pancerzem wiary.

– Jestem pewna, że generał d'Ivoire też wróci – dodała cicho Cyte.

– Istotnie – usłyszały męski głos. Kłapa wejściowa namiotu odchyliła się i wszedł generał Kaanos. – Tylu zabłąkanych generałów. Miejmy nadzieję, że wszyscy wrócą cali i zdrowi.

Kaanos był postawnym mężczyzną, choć tak jak wszyscy wychudzonym okrojonymi racjami. Miał niesforną grzywę włosów, zjeżone wąsy i gęste bokobrody, tak że rysy jego twarzy były niemal zupełnie zasłonięte przez zarost. Nakrył jedną wielką, owłosioną dłoń drugą i niedbale skłonił się Raesinii. Oddał honory salutującej Cyte i opadł na krzesło po drugiej stronie stołu.

– Generale dywizji Kaanos, dziękuję za dołączenie do nas – powitała go Raesinia.

– ...asza Wysokość – zbulgotał arogancko Kaanos. – Ktoś musi znaleźć sposób, żeby wyciągnąć nas z tego bagna.

Raesinia zachowała spokój, ale w duchu się zjeżyła. Sothe ostrzegła ją, że Kaanos nie będzie przyjaźnie nastawiony, lecz on

zachowywał się wręcz wrogo. Zanim zdążyła go o to zapytać, klapa znów się odchyliła i weszli dwaj następni oficerowie.

Generał dywizji Valiant Solwen wyglądał jak urodzony jeździec; kiedy chodził po ziemi, z powodu krótkich nóg i szerokich barów trochę przypominał małpę w szytym na miarę mundurze. Cienki wypielegnowany wąsik był już ledwie widoczny pod tygodniowym zarostem. Natomiast Christopher de Manzet pozostał elegancki. Jeszcze przed czterdziestką, ale już łysy jak kolano, z resztkami ciemnoblonde włosów na potylicy i kozią bródką. Jako jedyny z uczestników narady nie wyglądał, jakby spał w mundurze.

Giforte przyszedł ostatni, mamrocząc słowa przeprosin. Wyglądał jeszcze gorzej niż poprzedniego wieczoru, a ciemne kręgi pod oczami były jak sińce na jego bladej i wymizerowanej twarzy. Podeszedł i usiadł obok Raesinii, ściskając plik papierów.

– Panowie – zagaiła królowa, kiedy wszyscy się usadowili. – Dziękuję za przybycie. Sądzę, że wszyscy znają sytuację.

– Dorsay zajął Polkhaiz i okopał się za rzeką – rzekł Solwen. – Co stawia nas w przykrym położeniu.

– Więcej niż przykrym – powiedział de Manzet, z dezaprobatą spoglądając na siedzących przy stole. – Raczej w bardzo groźnym.

– Chyba wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę – stwierdziła Raesinia. – Pytanie, co zamierzamy z tym zrobić.

– Możemy zrobić tylko jedno – odparł Kaanos. – Zaatakować o świcie.

Zapadła długa cisza.

– Atak? – zapytał Solwen. – Po moście?

– Zapomnijcie o moście. Rzeka jest wciąż zamarznęta. – Kaanos nachylił się nad stołem. – Unieruchomimy Dorsaya

frontalnym atakiem i weźmiemy miasto w kleszcze. Będzie musiał się wycofać, żebyśmy go nie odcięli.

– Nie wiem, czy to rozsądne – zauważyła Cyte. – Dorsay miał czas się przygotować i na pewno przewidział coś takiego.

– Ponadto nie mamy wystarczających sił – dodał Giforte.

– Mamy więcej ludzi niż on – przypomniał Kaanos.

– Teoretycznie. Nie otrzymywałem dokładnych wykazów przez miniony tydzień. – Giforte pomachał plikiem papierów. – Nasza kawaleria jest mocno osłabiona, a artyleria w opłakanym stanie. Nasi ludzie są wyczerpani, a Dorsaya wypoczęci.

– Na szczęście nie muszę pytać o zdanie – warknął Kaanos. – Ja tu dowodzę. Wszyscy o świcie otrzymacie rozkazy.

Niech to szlag. Raesinia nabrała tchu.

– Myślę, że powinniśmy rozważyć inne możliwości.

– Z całym szacunkiem, Wasza Królewska Mość, ale o twoje zdanie też nie muszę pytać.

De Manzet był wstrząśnięty.

– Generale Kaanos...

– Nie podlegam tobie – ciągnął Kaanos, patrząc na Raesinię – tylko ludowi Vordanu. To lud powołał Zjazd Generalny, a deputowani wyznaczyli pierwszego konsula do dowodzenia armią. On stworzył łańcuch dowodzenia, a ponieważ nie ma jego i generała d'Ivoire, ja je obejmuję. Nie jest ważne, czego ty chcesz.

– Powiedziałbym – niepewnie rzekł Solwen – że to trochę za... ostro, prawda?

– Nie zgadzasz się z tym? – zapytał Kaanos.

– W zasadzie zgadzam się. Jednak...

– Żadne jednak. Jeśli jej się nie podoba, może to załatwić z deputowanymi.

– Chcę rozpocząć negocjacje z Borelgajami – oznajmiła Raesinia, odrywając wzrok od Kaanosa. – Mam powody sądzić, że będą do tego skłonni.

– Och, jestem pewny, że wysłuchają – zadrwił Kaanos. – Będą rozmawiać, ile tylko zechcesz. A wiesz dlaczego? – Rąbnął pięścią w stół. – Ponieważ głodujemy, a oni mają mnóstwo naszych zapasów żywności! Każdy dzień stracony na gadaninę to kolejny dzień bez jedzenia!

– Obawiam się, że generał Kaanos ma rację – rzekł de Manzet, uprzejmie, lecz z wyższością. – Mieliby przewagę w tych negocjacjach.

– Chyba lepiej przynajmniej spróbować – zauważył Giforte. – Mówię wam, że nie mamy dostatecznych sił, żeby atakować.

– I nie będziemy silniejsi – zareplikował Kaanos. – A oni nie staną się słabsi. Tak jak ja to widzę, mamy dwie możliwości. Możemy uderzyć teraz albo zdać się na łaskę diuka Brookspring. Wszystko inne to czysty idiotyzm. – Odsunął krzesło. – Ja przynajmniej nie zamierzam się poddać. Dziękuję za radę, Wasza Królewska Mość. Reszta z was niech czeka rano na rozkazy.

Do namiotu wpadło zimne powietrze, gdy wychodził, i płomienie lamp zamigotały. Powoli de Manzet również wstał i elegancko skłonił się Raesinii.

– Wasza Królewska Mość – powiedział. – Generał Kaanos mógł ująć to znacznie delikatniej, ale uważam, że ma rację. Atak jest ryzykowny, ale nie mamy innego wyjścia. Za pozwoleniem, muszę przygotować moich ludzi. – Odszedł, znów się skłoniwszy.

– Atak byłby katastrofą – rzekł Giforte do Solwena. – Rozumiesz to, prawda?

– Dorsay nie jest głupcem – odezwała się Cyte. – Będzie przygotowany na taki prosty manewr oskrzydający.

Solwen westchnął.

– Zapewne macie rację. Tylko co możemy zrobić? On tu dowodzi.

– A ja jestem królową Vordanu – powiedziała z lekką urazą w głosie Raesinia.

Solwen zaczerwienił się.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość. Jednak... to sprawy wojskowe, wiesz. Bywają bardzo skomplikowane. Najlepiej zostawić je ekspertom. – Wstał. – A skoro o tym mowa, są sprawy, którymi muszę się zająć. Wszystko będzie dobrze, zobaczycie. – Skłonił się. – Dobranoc.

– Widziałem ulicznych żebraków mających więcej kręgosłupa – rzekł Giforte, gdy odszedł.

– Jest w trudnej sytuacji – zauważyła Raesinia.

– Jest tchórzem.

– Ponieważ chce atakować?

Giforte skrzywił się.

– Są różne rodzaje tchórzostwa. Niektórzy wolą zginąć, niż spojrzeć prawdzie w oczy.

– No cóż, ja tam wolałabym nie zginąć – stwierdziła Cyte. – I myślę, że w tej kwestii mogę się wypowiadać za całą moją dywizję. Co zrobimy?

– Co by się stało – zapytała z namysłem Raesinia – gdybym

kazała aresztować Kaanosa?

Giforte wciągnął powietrze przez zęby.

– Nic dobrego.

– Myślisz, że próbowałby walczyć? – spytała Cyte. – Ze swoją królową?

– Sądzę, że znalazł się w ślepym zaułku i nie wie, jak z niego wyjść – rzekł Giforte. – W takiej sytuacji człowiek staje się groźny.

– A co z de Manzetem? – pytała Raesinia. – Był w królewskiej armii.

– Trudno powiedzieć. – Giforte głośno myślał. – Wydaje mi się człowiekiem dbającym o własne interesy. W tym momencie oznacza to wykonywanie rozkazów, choćby po to, żeby uniknąć odpowiedzialności.

– A Solwen nie ma własnego zdania – dokończyła Raesinia. – Zatem wszystko sprowadza się do Kaanosa. – Wskazała na papiery, które Giforte trzymał w dłoni. – Czy sytuacja naprawdę jest taka zła?

Skinął głową.

– Zostały nam okruchy. Jeśli wydamy jutro wszystko, co nam zostało, może uzbiera się po pół racji. Później zaczniemy gotować buty.

– Święci i męczennicy – zakłęła Raesinia, wywołując uśmiech aprobaty Cyte. – A więc teraz albo nigdy.

– Naprawdę sądzisz, że Dorsay będzie negocjował? – spytała Cyte. – Niechętnie to mówię, ale Kaanos może mieć rację. Diuk ma wszystkie atuty.

– Tylko tu i teraz. – Raesinia przez moment gniewnie spoglądała na wejście do namiotu, marząc, by Sothe pojawiła się

w nim z odpowiedzią od Borelgajów. Tak się nie stało, więc głośno westchnęła. – Może jednak zostało nam jeszcze kilka sprytnych zagrywek.

Dochodziła północ, gdy ktoś poskrobał w brezent namiotu. Raesinia, która z braku lepszego zajęcia po raz setny studiowała mapy, pospiesznie zerwała się z krzesła. Odrzuciła na bok klapę i zobaczyła Sothe czekającą przed wejściem z jakimś zakapturzonym mężczyzną.

– Mam nadzieję, że nie zbudziłyśmy Waszej Królewskiej Mości – powiedział mężczyzna. Głos należał do Whalera. Szpieg wszedł do środka, mocno kulejąc, po czym zsunął kaptur. Na głowie miał świeżą ranę ciętą, zszytą katgutem.

– Nie sądzę, żebym dziś zasnęła – odparła Raesinia, absolutnie szczerze. – Nic ci nie jest?

Uśmiechnął się.

– Pamiątki po mojej poprzedniej próbie dotarcia do Waszej Królewskiej Mości, pozostawione mi przez naszych przyjaciół z północy. Próbowałem im wyjaśnić, że podobno jesteśmy sojusznikami, ale jakoś nie mieli ochoty mnie wysłuchać.

Sothe strząsnęła śnieg z butów i opuściła za sobą klapę wejściową.

– Pozwoliłam sobie przyprowadzić go tu natychmiast – powiedziała. – W tych okolicznościach uznałam, że lepiej nie zwlekać.

– Oczywiście – rzekła Raesinia i zawahała się. Whaler teoretycznie był nieprzyjacielem. – Moi generałowie... mają plany.

– Zaatakują o świcie. – Whaler, utykając, przeszedł kilka kroków i opadł na krzesło. – Wasza Królewska Mość wybaczy. Ta jazda nie posłużyła mojemu biodru.

– Dlaczego uważasz, że zaatakują?

– Ponieważ to oczywiste w tej sytuacji. – Uniósł brew. – Czy to prawda, że pierwszy konsul zaginął nad Kovrią?

– Tak. O czym najwyraźniej już wiecie.

– Przepraszam za bezpośredniość, Wasza Królewska Mość, ale muszę być co do tego pewny. Czy on nie żyje?

Raesinia milczała chwilę.

– Został zraniony przez murnskajską zabójczynię. Później on i generał kolumny d'Ivoire byli wraz z całą dywizją, która została odcięta przez plemieńców od naszych głównych sił. Mamy nadzieję, że przedrą się i dołączą do nas, ale nie wiem, czy Janus wyzdrowieje.

– To istotnie nadzwyczaj delikatna sytuacja.

– Teraz ty musisz mi wybaczyć moje pytanie – powiedziała Raesinia. – Czy propozycja Dorsaya jest nadal aktualna?

– Nasza sytuacja też stała się delikatna – odparł Whaler. – Frakcja Orlanki wzmocniła się, gdy szczęście odwróciło się od Vordanajów. Niektórzy uważają, że powinniśmy... hm... skopać was, kiedy leżycie.

– Wielka Armia to nie Vordan – zareplikowała Raesinia. – Nawet jeśli wszyscy tu zginiemy, wojna się nie skończy. Prawdę mówiąc, już teraz zakończenie jej może być niemożliwe.

– Jego wysokość też tak uważa. Myślę jednak, że z czasem te trudności da się przezwyciężyć.

– My nie mamy czasu. Kaanos chce zaatakować rano, a ja nie

mogę go powstrzymać. Nie wiem nawet, czy powinnam próbować. Ludzie głodują. – Musi być jakiś sposób. Potrzebowali utrzymania status quo: nie przyspieszając biegu wydarzeń atakiem, ale unikając złożenia broni. Raesinia nagle wpadła na niezwykle pomysł. – Zostawiliśmy w Polkhaiz pełne składy. Czy ta żywność wciąż tam jest?

– Jesteśmy dobrze zaopatrzeni, owszem.

– Powiedz Dorsayowi, że potrzebuję gestu dobrej woli, żeby przekonać moich ludzi do negocjacji.

– Jeśli sugerujesz, żebyśmy wycofali się z Polkhaiz...

– Nie, oczywiście że nie. Jednak gdybyście przysłali nam baręk z prowiantem... niewielką ilość, powiedzmy, wystarczającą na jeden dzień...

– Wtedy zyskalibyśmy tylko dzień. – Whaler zmarszczył brwi. – Jutro bylibyśmy w tej samej sytuacji.

– I przysłalibyście następny transport. I tak dalej. Dopóki nie zawrzemy rozejmu albo mimo wszystko postanowimy walczyć.

– Hm. – Pokiwał głową. – Powiem, że to dość niekonwencjonalne. Jednak może się udać. Orlanko będzie się pienił, ale on nie dowodzi naszymi operacjami wojskowymi. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że ten stan nie potrwa długo.

– Nie musi. – Tylko tyle czasu, ile mi potrzeba, dodała w myśli.

– Muszę jednak otrzymać wasze gwarancje jeszcze tej nocy.

– Do licha. – Whaler wstał z krzesła, krzywiąc się. – A ja myślałem, że przez jakiś czas nie wsiądę na konia.

– Zostań tu – powiedziała Raesinia do Barely.

– Wasza Królewska Mość... – Kobieta wahała się. – Na pewno?

– Myślę, że będę bezpieczna u jednego z moich generałów.

Joanna wymownie uniosła brew, lecz jak zwykle nic nie powiedziała. Barely podrapała się po skroni i kiwnęła głową. Raesinia zostawiła je na skrzyżowaniu alejek i poszła wzdłuż rzędu namiotów trzeciej dywizji. Reszta obozu nie wyglądała teraz tak schludnie jak kiedyś, ale tu, w pobliżu dowódców, nadal był porządek.

Przed namiotem generała Kaanosa stali dwaj wartownicy. Spojrzeli na nią z zaciekawieniem, a potem w ich oczach dostrzegła błysk rozpoznania. Obaj nisko się skłonili.

– Muszę się widzieć z generałem – oznajmiła Raesinia.

– On śpi, Wasza Królewska Mość.

– To ważne.

Jeśli Kaanos kategorycznie zabronił się budzić, mogą jej nie wpuścić.

Wtedy będziemy musieli poczekać do rana i zaryzykować.

Chciała jednak z nim przynajmniej porozmawiać i sprawdzić, czy da się uniknąć konfrontacji.

– Jedną chwileczkę, Wasza Królewska Mość.

Wartownik odwrócił się i z lekkim wahaniem zastukał w maszt namiotu. Po chwili odezwał się zaspany głos.

– Co?

– Jest tu... hm... królowa i chce się z panem widzieć. Mówi, że to ważne.

Długa chwila ciszy, a potem:

– Wpuście ją.

Wartownicy rozstąpili się na boki. Raesinia weszła do środka i zamruwała, oślepiona blaskiem zapalanej lampy. Kaanos stał przy składanym stoliku, gasząc zapalkę. Był w bieliźnie, tylko na ramiona narzucił gruby koc, który przy jego obfitym zaroście jeszcze bardziej upodabniał go do niedźwiedzia.

– Wasza Królewska Mość, proszę wybaczyć mój nieodpowiedni strój – sumitował się. – Jednak nie miałem czasu się przebrać.

– Nie przywiązuję wagi do konwenansów. – Raesinia stanęła przed stolikiem. – Musisz odwołać atak.

– Znów to samo? – Kaanos potrząsnął głową. – Mówiłaś, że to ważne.

– Skontaktowałam się z Dorsayem. Doszliśmy do porozumienia...

– Mówiłem ci – ze znużeniem rzekł Kaanos. – Będzie przeciągał rozmowy, aż tak osłabniemy, że będziemy musieli się poddać. Nie uczyli cię polityki w Ohnlei? – Spojrzał na nią z ukosa. – Czy może tylko tańca i uśmiechów?

Raesinia spokojnie patrzyła mu w oczy. Milczała chwilę, nim znów przemówiła.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Jesteś królową – rzekł Kaanos. – Możesz pytać, o co chcesz.

– Czym cię tak uraziłam?

Znów zapadła chwila ciszy. Kaanos poprawił koc na ramionach i przygładził zjeżoną brodę.

– Wiesz, że służyłem w Khandarze – rzekł.

– Z generałem kolumny d'Ivoire'em. Wiem.

– A wiesz dlaczego?

Pokręciła głową.

– Czasem sam już o tym zapominam. – Kaanos westchnął. – Była bójka. Jakiś rozpuszczony szlachecki drań powiedział w gospodzie kilka słów, których nie powinien był mówić. Takie rzeczy zdarzają się każdej nocy, ale ten elegancik wyleciał przez okno i nieszczęśliwie upadł. Złamał nogę i chirurdzy orzekli, że będzie chodził o lasce. Poszedł na skargę do ojca, a ten porozmawiał z przyjaciółmi... – Kaanos rozłożył ręce. – I nagle znalazłem się tam, żeby do końca zawodowej kariery łykać piach.

Raesinia skinęła głową. Marcus mówił jej, że Khandar był miejscem zsyłki, wysyłano tam oficerów, których kariera legła w gruzach.

– Mówiłem sobie, że to nawet dobrze – ciągnął Kaanos. – W dawnej królewskiej armii ktoś taki jak ja mógł dosłużyć się najwyżej rangi kapitana. Nadawaliśmy się tylko do tego, żeby prowadzić bataliony we właściwym kierunku, podczas gdy dowodził ktoś należycie wysoko urodzony. W Khandarze przynajmniej musiałem znosić tylko starego pułkownika Warusa. A potem wszystko zaczęło się walić. Nie masz pojęcia, jak tam było. W jednej chwili miasto było nasze, a w następnej tłumy szaroskórych zabijały każdego, kto nosił niebieski mundur.

– Może wiem więcej, niż sądzisz – powiedziała cicho Raesinia. – Byłam przy upadku Vendre.

Kaanos skinął głową, przyznając jej rację.

– To Marcus nas z tego wyciągnął. Gdyby nie on, usmażyliby nas wszystkich. On zebrał wszystkie kolonialne oddziały, wyprowadził nas z miasta i wezwał pomoc.

– A mój ojciec przysłał wam Janusa – powiedziała Raesinia.

– Kolejnego przeklętego szlachcica z błyskotliwym planem – prychnął Kaanos. – Mówiłem Marcusowi, że powinniśmy zakopać go w wydmie i popłynąć do domu.

– Jednak Janus zwyciężył. Pokonał Odkupicieli.

– I co dobrego komuś z tego przyszło? Straciłem przyjaciół w walkach, a w końcu zostawiliśmy to wszystko i popędziliśmy do Vordanu, żeby uratować ciebie.

Oczywiście, nic nie wiedział o Tysiącu Imion i tajnej wojnie z Kapłanami Czerni. Raesinia nieoczekiwanie zaczęła mu współczuć.

– On jest szalony – rzekł Kaanos. – Wiesz o tym, prawda? Vhalnich jest szaleńcem. Musi nim być, skoro przyprowadził nas tutaj. Śnieg w maju!

– Co więc tu robisz? – zapytała Raesinia. – Mogłeś opuścić szeregi armii po rewolucji. Dlaczego zostałeś?

– Ponieważ Marcus mnie prosił – mruknął Kaanos. – Vhalnich już głęboko wbił w niego swe szpony. Nie mogłem powiedzieć tego Marcusowi, więc jedyne, co mi pozostało, to mu towarzyszyć. Byłem mu to winny. – Pokręcił głową. – Teraz obaj nie żyją.

– Tego nie wiemy.

– Nie zostawiliśmy im żadnych zapasów. Gdyby się przebili, do tej pory już wiedzielibyśmy o tym. Oni nie żyją, Wasza Królewska Mość. Marcus zostawił mi dowodzenie tą armią i niech mnie szlag, jeśli pozwolę jej umrzeć z głodu w tych śniegach. Jutro przedrzemy się przez linię obrony Dorsaya i wyniesiemy się w diabły z tego przeklętego kraju.

Gniewny ton jego głosu skrywał żal. Gdybym wyjawiała mu mój plan, może zdołałabym go przekonać, zastanawiała się Raesinia.

Gdyby jednak się nie zgodził, to straciłaby przewagę zaskoczenia. A on się nie zgodzi. Już podjął decyzję i zamierzał przypuścić jeszcze jeden atak, żeby pomścić Marcusa i pokazać wszystkim, co potrafi. Współczuła mu.

– Generale dywizji – powiedziała. – Ja wierzę, że Marcus wróci żywy. Jednak co ważniejsze, gdyby tu teraz był, to wie pan, że zrobiłby wszystko, żeby uratować żołnierzy...

– Bzdura – przerwał jej Kaanos. – Gdyby tak było, to nigdy nie dotarlibyśmy tak daleko. Marcus zrobiłby wszystko, co mu każe Janus, ponieważ Janus zahipnotyzował go tak samo jak was wszystkich. – Westchnął. – Po raz pierwszy Vordan miał okazję pozbyć się szlachetnie urodzonych pasożytów, ale rewolucjoniści przy pierwszej okazji oddali władzę Janusowi pieprzonemu bet Vhalnichowi.

– Ja tylko próbuję zawrzeć pokój – rzekła Raesinia.

– Zatem nie powinnaś wybierać tego szalonego drania na pierwszego konsula. Teraz Dorsay przyparł nas do muru, a my możemy tylko spróbować się przedrzeć. – Zmierzył ją gniewnym wzrokiem. – A teraz, za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, chciałbym jeszcze trochę się przespać. Jeden Bóg wie, co się stanie rano.

Skłonił głowę, sztywno i nieznacznie, po czym się odwrócił. Raesinia spoglądała na niego jeszcze przez chwilę, a potem wyszła z namiotu, lekkim ukłonem dziękując wartownikom. Najprawdopodobniej słyszeli każde słowo, ale patrzyli przed siebie bez słowa.

Sothe i Cyte czekały na jej powrót w jej namiocie, z Barely i Joanną.

– Nic z tego? – zapytała Cyte.

– Opłakuje Marcusa – odparła Raesinia. – Chyba nie słyszał ani słowa z tego, co mówiłam.

– Ludzie Dorsaya czekają na sygnał – przypomniała Sothe.

Raesinia odwróciła się i popatrzyła na południe, za zamarznąłą rzekę. Światła Polkhaiz były ledwie widoczne.

– Zrób to – nakazała.

O pierwszym brzasku w szeregach Wielkiej Armii ogromne zamieszanie wywołał zapach boczku.

Rozchodził się z obozu drugiej dywizji, gdzie Pierwszy Dziewczęcy zwinął kilka namiotów, żeby zrobić miejsce dla prowizorycznych stołów. Rozpalono ogniska i zawieszono nad nimi wielkie kotły do gotowania. Żołnierze, którzy nie mieli kuchennych utensyliów, improwizowali: boczek skwierczał na odwróconych do góry dnem dzbankach, saperkach, a nawet rozłożony na bagnietach.

Kiedy żołnierze z innych dywizji przyszli sprawdzić, co się dzieje, chętnie ich powitano. Poza smażącym się boczkiem i kotłami z wojskową zupą były wozy z chlebem i warzywami, istny skarb dla wygłodniałych ludzi, którym wydał się manną z nieba. Przez kilka minionych tygodni łatwo było zapomnieć, że są jakieś inne krainy oprócz tego bezkresu śniegów, mrocznych lasów i zamarzniętych rzek. Teraz im o tym przypominano.

Wieść rozeszła się szybko i oficerowie nie byli w stanie tego powstrzymać. Żołnierze Pierwszego Dziewczęcego zajechali małymi wozami do pozostałych obozów i rzucali bochny chleba wdzięcznym tłumom, wyładowywali skrzynki z sucharami,

a nawet ze świeżym mięsem do kotłów. W całym obozie Wielkiej Armii zbierano wszystko, co się nadawało na opał, wrzucano łopatami śnieg do kotłów i pożądliwie spoglądano na buchające płomienie ognisk.

To królowa, powiedziały kobiety innym żołnierzom. Królowa negocjowała z Borelgajami i oto rezultat.

Raesinia siedziała w swoim namiocie, krojąc szynkę specjalnie przyslaną jej przez diuka Brookspring wraz z pozdrowieniami. Kolejno przybywali generałowie dywizji, a Sothe odprowadzała każdego na bok i ściszym głosem wyjaśniała sytuację. Potem stanęli obok namiotu i czekali; Raesinia była rozbawiona, chociaż niezdziwiona tym, że burczy jej w brzuchu.

Ostatni pojawił się Kaanos. Pod gęstym zarostem jego twarz była czerwona z gniewu.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – warknął, mijając Barely i Joannę, żeby stanąć przed Raesinią. – Powinniśmy teraz formować szyk. Czy masz pojęcie, na jakie wystawiasz nas niebezpieczeństwo? Gdyby Borelgajowie zaatakowali w tym momencie, mogliby roznieść całą armię, zanim zdążylibyśmy wystrzelić!

– Na pewno o tym wiedzą – odparła Raesinia. – A jednak nie atakują. Dziwne, czyż nie?

Wiedziała, że to dowodzi, iż frakcja Dorsaya nadal ma przewagę nad poplecznikami Orlanki. Tego jednak lepiej mu nie mówić, pomyślała.

– To zdrada! – burzył się Kaanos. – Sprzedałaś nas!

– Wynegocjowałam żywność, ponieważ umieraliśmy z głodu – sprostowała Raesinia. – Dziwię się, że nazywasz to zdradą.

– Podważyłaś mój autorytet! – krzyknął Kaanos.

– Ach. Co do tego... – Raesinia odsunęła krzesło i wstała. Czubkiem głowy ledwie sięgała Kaanosowi do podbródka i musiała ją odchylić do tyłu, żeby spojrzeć mu w oczy. – Generale dywizji Morwenie Kaanosie, jest pan aresztowany za odmowę wykonania rozkazów królowej.

– Nie mówisz poważnie. – Kaanos spojrział na pozostałych generałów. – Chyba nie zamierzacie tego tolerować, prawda?

– Ja popieram królową – rzekła Cyte.

– I ja – dodał Giforte.

– Rzecz w tym – wykrztusił stropiony Solwen – rzecz w tym, Mor, że nie wiem, co właściwie mogę zrobić. – Podrapał się po głowie zmieszany. – Chcę powiedzieć, że koniec końców ona jest królową.

– Nie ma prawa wydawać tu rozkazów! – wrzasnął Kaanos.

– Ona jest innego zdania – rzekł Solwen. – I co mam zrobić, kazać moim ludziom ją rozstrzelać?

– Aresztować ją za zdradę! – Kaanos popatrzył na Manzeta. – Obaj wiecie, że mam rację. Jeśli zawołacie tu swoich ludzi...

– Moi ludzie właśnie pałaszują pierwszy gorący posiłek od tygodni – spokojnie odparł de Manzet. – Jak myślisz, co by powiedzieli, gdybym kazał im odłożyć łyżki i przyjść aresztować królową?

– Mniej więcej tak to wygląda – zauważył Solwen.

– Moi ludzie tego nie zniosą – powiedział Kaanos, znów zwracając się do Raesinii. – W przeciwieństwie do tych pierdolonych tchórzy.

– Jak powiedział generał dywizji de Manzet – mruknęła

Raesinia – twoi ludzie są... zajęci. A my wyjaśnimy im sytuację.

– Wy, wysoko urodzeni, wszyscy jesteście tacy sami – syknął Kaanos. – Sami zdrajcy.

Raesinia ze znużeniem wzruszyła ramionami, po czym skinęła na Barely i Joannę. Za nimi stało kilka groźnie spoglądających kobiet, specjalnie wybranych przez pułkownika Giforte'a ze względu na ich lojalność. Joanna położyła dłoń na ramieniu Kaanosa i generała opuściła wola walki. Jakby uszło z niego powietrze.

– Do diabła – rzekł. – Zatem radźcie sobie sami.

Wyszedł, eskortowany przez żołnierzy. Raesinia zwróciła się do pozostałych dowódców.

– Pod względem prawnym – powiedziała – ponieważ Zjazd Generalny jeszcze nie uchwalił konstytucji, kwestie proceduralne mogą być nieco niejasne. Myślę jednak, że możemy spojrzeć na to w szerszej perspektywie. Królowa i deputowani mianowali pierwszego konsula, Janusa bet Vhalnicha, głównodowodzącym sił zbrojnych Vordanu. Ponieważ Vhalnich zaginął, pod jego nieobecność ta władza wraca tam, gdzie tradycyjnie spoczywa, czyli do rąk władczyni. – Powiodła wzrokiem po oficerach. – Czy zgadzamy się w tej kwestii?

Cyte uśmiechała się. Nawet Giforte się uśmiechał, choć tak wymizerowany. Solwen miał zamyśloną minę, a de Manzet jakby się zastanawiał. Obaj jednak skinęli głowami i cała czwórka chórem przytaknęła.

– Tak, Wasza Królewska Mość.

– Dobrze. – Raesinia odwróciła się do Sothe. – Proszę, sprowadź zastępcę generała Solwena, żebyśmy mogli go poinformować

o sytuacji.

Zastępca, młody pułkownik nazwiskiem Sebatish, wykazał pełne zrozumienie. Raesinia powierzyła mu dowodzenie trzecią dywizją i dopilnowała, żeby publicznie uznał jej autorytet. Pozostali dowódcy również. Wprawdzie to nie dawało żadnej gwarancji, że nie wybuchnie bunt, bo choć zwykli żołnierze wiedzieli, kto powinien dowodzić, to lojalności ich oficerów nie można było przyjmować za pewnik.

– Zręcznie – pochwaliła Sothe, kiedy wreszcie znów zostały same.

– Nigdy nie lekceważ tego, czego można dokonać kawałkiem boczku w odpowiedniej chwili – zażartowała Raesinia. – Kaanos nie chciał rozłamu w wojsku, ale doprowadziłby do niego, gdyby nie miał wyjścia. Musiałam temu zapobiec, nim go przycisnęłam.

– Każesz go rozstrzelać?

– O Boże, nie. Znajdziemy mu jakąś dyplomatyczną placówkę, zakładając, że rozwiążemy jakoś ten kryzys. – Raesinia wygodnie wyciągnęła się na krześle. – A skoro o tym mowa. Jakież wieści od Dorsaya?

– Zgodził się spotkać. Pracujemy nad rozwiązaniem dogodnym dla obu stron.

– Nie czepiaj się zbyt wiele szczegółów. Kaanos miał rację, Dorsay przyparł nas do muru. Naszym jedynym atutem jest to, że on nie chce nas zniszczyć, ale jeśli Orlanko przejmie kontrolę, to się zmieni...

Usłyszały pospieszne pukanie w maszt namiotu. Sothe zerwała się na równe nogi, kładąc dłoń na rękojeści sztyletu.

– Wejść. – Raesinia wyprostowała się na krześle.

– Wasza Królewska Mość. – Jakiś żołnierz wetknął głowę do środka. – Przybył generał dywizji Stokes.

Piekielnik? Przecież był z Marcusem...

– Jest tutaj?

– Tak. Jest ranny, ale powiedział, że musi się natychmiast widzieć z Waszą Królewską Mością.

Raesinia i Sothe wymieniły spojrzenia.

– Wnieście go.

Ściągnęły pościel z posłania, gdy dwaj żołnierze wnosili generała. Mundur Piekielnika był brudny i na jednym boku pokryty skorupą zaschniętej krwi, z plamami kurzu i potu. Kawalerzysta miał przyspieszony oddech i przez moment toczył wzrokiem, jakby nie pojmował, co widzi. W końcu zauważył Raesinię.

– Wasza Królewska Mość. – Westchnął. – Dzięki Bogu.

– Połóż się, generale – zadysponowała Raesinia. – Niech ktoś przyniesie mu wody.

Piekielnik pozwolił się położyć na posłaniu, kaszląc. Łapczywie napił się wody z podanego bukłaka.

– Jechałem kilka dni – wykrztusił, poruszając wężami. – Zostawiłem innych z tyłu. To bardzo ważne.

– Co jest ważne? – zapytała Raesinia. – Był pan z Marcusem? Co się stało?

– Marcus! Tak! – Potrząsnął głową. – Nie myślę trzeźwo. Marcus. Przy brodzie w górze rzeki za Isket, o kilka dni marszu stąd.

– Tam go pan zostawił? Nic mu nie jest?

– Utknął – wymamrotał Piekielnik. – Zbyt wielu ich. Białych jeźdźców, kościanych ludzi. Mam nadzieję, że wciąż walczy. Nie wiadomo, jak długo. – Nabrał tchu. – Pomóż mu. Proszę.

Z ciężkim westchnieniem generał opadł na posłanie i zamknął oczy. Po chwili jego wąsy zaczęły drżeć od donośnego chrapania.

– Sprowadźcie chirurga – poleciła Raesinia jednemu z żołnierzy.
– I natychmiast przyprowadźcie tu dowódcę kawalerii.

– Wasza Królewska Mość, generał Stokes nie wspomniał o Janusie – powiedziała Sothe, gdy dwaj młodzi ludzie pospieszyli wykonać rozkazy.

– Sądzisz, że to oznacza, iż Janus nie żyje?

– Po prostu tego nie wiemy – odparła Sothe. – A jeśli nie umarł i zdołamy się do nich przebić, sprawy mogą się... skomplikować.

Zapadła długa cisza.

– I tak jesteśmy w trudnej sytuacji – dodała. – Odsiecz byłaby nadzwyczaj ryzykownym przedsięwzięciem. – Spuściła wzrok, unikając spojrzenia Raesinii. – Na tym polega dowodzenie, Wasza Królewska Mość. Czasem trzeba podejmować trudne decyzje.

Trudne decyzje. Raesinia spojrzała na śpiącego Piekielnika, na Sothe i znów na generała. A więc to tak? Poświęcić tysiące ludzi albo pozwolić, żeby sprawy się „skomplikowały”?

Zamknęła oczy i zobaczyła Marcusa wyciągającego do niej rękę.

Szesnaście

Winter

Winter zbudziła się ze snu o bezkresnym mroźnym piekle i odkryła, że leży w miękkim łóżku, okryta ciepłym, choć szorstkim wełnianym kocem.

Usiłowała nadal miarowo oddychać. Spokojnie. Próbowwała zebrać myśli, leżąc z zamkniętymi oczami. Znaleźliśmy... jakieś ciepłe miejsce. A potem... Pamiętała, że pomagała pozostałym członkom swej nielicznej już grupy przejść przez szczelinę w skale, do tej słonecznej, dziwnej doliny. Alex mówiła coś ponagląco, ale Winter nie rozumiała jej słów. Wielodniowe zmęczenie i strach, zbyt długo odpierane, w końcu ją pokonały.

A zatem gdzie ja jestem?

Ostrożnie otworzyła jedno oko. Jej łóżko stało na końcu długiego rzędu innych. Komnata była niska, wykuta w skale. Na podłodze leżały grube wełniane dywany w kolorowe, abstrakcyjne wzory. Przez wąskie okno – a raczej otwór strzelniczy – Winter widziała fragment zielonej doliny, którą pamiętała ze snu, otoczonej przez wielkie, ośnieżone szczyty.

Uświadomiła sobie, że nie ma na sobie munduru. Zajrzawszy pod koc, odkryła, że ktoś ubrał ją w luźną bawełnianą koszulę. Zobaczyła też bandaże, których nie pamiętała, jeden na nodze, a drugi na ramieniu. Opatrunek na dłoni też był świeży.

Odruchowo spróbowała poruszyć palcami i poczuła przeszywający ból, tak silny, że przygryzła wargę, żeby powstrzymać krzyk.

Usłyszała szuranie odsuwanej krzesła i kroki. Pospiesznie znów zamknęła oczy i udawała, że śpi. Ktokolwiek je tu sprowadził, może nie zamierza wyrządzić im krzywdy, ale lepiej zachować ostrożność, dopóki to się nie wyjaśni.

– I co? – usłyszała głos Alex. Dziewczynka mówiła po hamveltajsku. – Zamierzają mnie zabić?

– Najstarszy jest na ciebie bardzo zły – powiedział młodzięczy głos, poważny i ponury.

– To coś nowego – rzekła Alex. – I?

– Maxwell żarliwie cię bronił. Najstarszy zgodził się zaczekać z osądem, dopóki się nie dowiemy, jakie kłopoty sprowadziłaś na nas tym razem.

– Mówiłam mu...

– Starszy wolałby usłyszeć to od tych obcych.

– Świetnie – powiedziała wyraźnie sfrustrowana Alex. – Czy mogę przynajmniej udać się do mojego pokoju?

– Czy do pokoju Maxwella? – W głosie młodzieńca słychać było lekko kpiącą nutę.

– To moja sprawa! – prychnęła Alex.

Młodzian westchnął.

– Najstarszy mówi, że możesz swobodnie poruszać się po świątyni, jeśli przysięgniesz, że nie uciekniesz, zanim podejmie decyzję.

– Dobrze – odparła Alex. – Daj mi znać, kiedy się namyśli. Nie będę na to czekała z zapartym tchem.

– On tylko stara się zapewnić nam wszystkim bezpieczeństwo – rzekł młodzian. – Naprawdę, Alex, co też ci przyszło do głowy?

– Przyszło mi do głowy, że wszyscy w tym przeklętym miejscu wolą gadać o problemie, zamiast coś zrobić. I że możemy przegapić okazję, która już się nie powtórzy, ponieważ Najstarszy woli dyskutować o niej latami, niż podjąć choćby najmniejsze ryzyko.

– Głównym obowiązkiem Najstarszego jest chronić Górę.

– Wiem – warknęła Alex tonem osoby, która słyszała ten argument zbyt wiele razy. – Dlatego odeszłam.

– Jednak wróciłaś. I przyprowadziłaś je tutaj.

– A co miałam zrobić? Wszystkie by zginęły.

– Niektórzy stwierdziliby, że tak byłoby lepiej.

– Pieprzyć to. – Alex nabrała tchu. – Pomogli mi, chociaż nie mieli żadnego powodu, żeby mi ufać. Ona mi pomogła.

– Jak się nazywa?

– Winter.

– Całkiem odpowiednio – rzekł z lekkim rozbawieniem młodzian. – Jej demon jest potężny. Czy wiesz, co potrafi?

– Nigdy nie widziałam, żeby go używała – rzekła Alex.

– Budziła się choć na chwilę?

– Trochę rzucała się na posłaniu, ale nie.

– Trzeba zająć się jej dłonią. – Młodzieniec westchnął. – Idź zobaczyć się z Maxwelllem, zanim eksploduje.

Chwila ciszy, a potem znów kroki.

– Alex?

Zatrzymała się.

– Co?

– Cieszę się, że nic ci nie jest.

Alex prychnęła.

– Może zaczekaj z tym do czasu, aż Najstarszy zdecyduje, czy uciąć mi głowę.

Młodzieniec przeszedł przez pokój, w miękkich cizmach niemal bezszelestnie krocząc po dywanie, po czym stanął przy łóżku Winter.

– Winter? – powiedział. – Winter, zbudź się.

Otworzyła oczy. Czekał kilka kroków dalej, z rękami splecionymi za plecami. Wyglądał na dwudziestolatka. Krótkie ciemne włosy okalały poważną twarz. Nosił długą powiewną szatę, trochę przypominającą strój kapłana, ale zrobioną z samodziału w skomplikowane wzory – splecione spirale i łańcuchy.

– Rozumiesz, co mówię? – zapytał, a potem przeszedł na murnskajski. – Tak lepiej?

– Po hamveltajsku proszę – wymamrotała Winter, starając się przywołać z pamięci zasób słów tego języka.

– Alex próbowała mnie uczyć vordanajskiego, ale niecierpliwiły ją moje powolne postępy – wyznał.

– Tak jest dobrze. Gdzie jestem?

– Nazywamy to Górą. Leży niedaleko od Elizjum.

– Moi żołnierze. Bobby i pozostałe. Nic im się nie stało?

– Nic. Ty i Bobby jesteście trzymane oddzielnie z powodu waszych mocy. Reszta jest z akolitami na dole.

Winter odetchnęła z ulgą, ale zaraz zdrętwiała, gdy dotarło do niej to, co powiedział. Wszystkożerca napierał na obrzeża jej jaźni, jak zawsze w pobliżu Alex, ale teraz dziewczyna odeszła, tak więc

nie tylko ona powodowała tę reakcję.

– Ty też masz w sobie demona – stwierdziła Winter. – Kim jesteś?

– Owszem, mam. – Młodzieniec skłonił głowę. – Nazywam się Abraham.

– Co zamierzacie z nami zrobić?

– Na razie chciałbym uleczyć twoją dłoń. Jest paskudnie odmrożona i ciało gnije. Gdybyśmy tak to zostawili, straciłabyś co najmniej kilka palców, a może całą dłoń.

Winter spojrzała na opatrunek i skrzywiła się.

– Chcesz odciąć mi palce, żeby uratować resztę?

– To nie będzie konieczne. Mój demon może ją uleczyć, jeśli mi na to pozwolisz.

Zamrugła.

– Twój demon potrzebuje pozwolenia?

– Ja go potrzebuję. – Abraham uśmiechnął się smutno. – Taką mam zasadę.

– No cóż, jeśli możesz coś z tym zrobić, to rób, proszę. Już boli jak diabli.

– Jedną chwileczkę.

Abraham ułożył jej rękę na pośłaniu, otwartą dłonią do góry. Przy każdym poruszeniu czuła w niej przeszywający ból. Nakrył jej dłoń swoją.

– Zaczekaj – powiedziała Winter. Przypomniała sobie Bobby, ranną i leżącą w namiocie w Khandarze, oraz propozycję Feor. – To mnie nie... zmieni, prawda?

– Nie. Nie martw się. Po prostu się odpręż.

Winter zamknęła oczy. Wszystkożerca miotał się, chcąc przepłynąć do ciała Abrahama i pożreć jego demona, ale powstrzymała go siłą woli. Poczowała zimne ukłucia pod bandażem, jakby srebrne nitki niemal bezboleśnie przechodziły przez zainfekowane ciało. Prawie natychmiast ból zaczął słabnąć, za to jakby setki mrówek przemaszerowały po jej skórze. Zacisnęła zęby, walcząc z chęcią wyrwania ręki z jego uścisku. Po długiej chwili i to wrażenie przeszło wraz z bólem. Abraham odetchnął i zabrał swoją dłoń.

– Teraz lepiej – rzekł. – Dobrze ją umyj, kiedy zdejmiesz bandaż. I musisz coś zjeść. Zdołasz wstać z łóżka?

Winter potwierdziła, choć kręciło jej się w głowie. Poruszyła palcami i poczuła, że reagują, nie powodując przeszywającego bólu. Święci i męczennicy.

– Twój demon potrafi... uzdrawiać ludzi? Może leczyć wszystko?

– Ogranicza go wiedza mojego ciała – odparł Abraham. – Niektóre rany łatwiej uleczyć niż inne. I nie mogę pomóc tym, którzy już odeszli.

To i tak piekielnie dobry dar. Winter usiadła, walcząc z falą mdłości, po czym spuściła nogi z łóżka. Zaczekała chwilę, a potem chwiejnie stanęła. Abraham podszedł do niej, trzymając długą i powiewną szatę przypominającą płaszcz kąpielowy, a Winter z wdzięcznością się nią okryła. Przy łóżku stała para kapci, które też włożyła.

– Dziękuję – powiedziała. – Za wszystko.

– Może zaczekasz z podziękowaniami do czasu, aż Najstarszy podejmie decyzję – rzekł Abraham. – Ty i twoi żołnierze stanowicie poważny problem. Alex nie powinna była was tu przyprowadzać.

– Uratowała nam życie – odparła Winter. – Nie powiem jej, że źle zrobiła.

Abraham westchnął.

– Wiem. Jest... impulsywna.

– Zatem co ten Najstarszy zamierza z nami zrobić?

– Niech sam to wyjaśni. Na razie chodź ze mną.

Abraham wyprowadził ją z długiego pokoju do wąskiego przedsionka z takimi samymi kolorowymi dywanami na posadzce. U zbiegu korytarzy woda wypływała z wykutej w kamieniu rury do zbiornika. Obok stał drewniany kubek. Abraham skinął głową i Winter napełniła go, i napiła się cudownej, orzeźwiająco zimnej wody. Gdy wypita jeszcze parę kubków, pomógł jej rozplątać bandaże owijający jej dłoń. Opatrunek początkowo schodził opornie, pokryty skorupą zaschniętej ropy i krwi, aż ją mdliło od smrodu. Kiedy zdjęli bandaże, ciało pod nim wyglądało okropnie, popękane, poczerniałe i zaognione, nie potrzebowała więc zachęty, żeby zanurzyć dłoń w zimnej wodzie. Jęknęła, ale energicznie zaczęła pocierać dłoń drugą ręką, aż zeschnięta skóra zeszała wraz z cienką warstwą obumarłej tkanki, odsłaniając świeżo zagojone, różowe i zdrowe ciało. W końcu wyjęła dłoń z wody, miękką jak u noworodka, zdrętwiałą z zimna, ale całą.

– To... O rany. – Winter zacisnęła pięść i zamrugła, powstrzymując łzy. – Nie zdawałam sobie sprawy, że było tak źle.

– W górach znamy się na takich odmrożeniach. Zimno łagodzi ból i skrywa gorączkę. Człowiek może chodzić wiele dni z nogami gnijącymi w butach. – Abraham uśmiechnął się. – Miałaś szczęście, że mogłem ci pomóc.

– Obejrzałeś także pozostałe? Niektóre były ranne.

– Oczywiście. Chociaż jedna z nich... Bobby? – A gdy Winter skinęła głową, dodał: – Przykro mi, ale nie mogliśmy znaleźć wspólnego języka. Jej ciało zostało zmienione przez innego demona w sposób, jakiego nigdy nie widziałem, i nie odważyłem się do niego zbliżyć. Jednak ona nie potrzebowała mojej pomocy.

– Nic jej nie będzie – powiedziała Winter. – Gdzie ją znajdę? Muszę im powiedzieć, że nic mi nie jest.

– Najpierw musisz się zobaczyć z Najstarszym – oznajmił stanowczo Abraham. – Idź za mną.

Winter już miała zaprotestować, ale ugryzła się w język. Bardzo chciała wiedzieć, co się dzieje, a ten Najstarszy mógł jej to wyjaśnić. Poszła za Abrahamem, który maszerował krętymi korytarzami wykutymi w skale, doskonale orientując się w tym labiryncie. Minęli kilka większych sal z kotarami w otworach drzwiowych, ale nie napotkali nikogo. W końcu dotarli do długich spiralnych schodów o stopniach niemal zaokrąglonych od ciągłego używania. Winter ostrożnie wchodziła, aż znalazła się na wysokości co najmniej drugiego piętra i w znacznie większym pomieszczeniu.

Wyglądało na naturalną jaskinię, którą poszerzono i utworzono nieregularną komnatę z otworem zamiast jednej ściany. Znajdowali się dość wysoko nad dnem doliny, którą z tej wysokości Winter widziała prawie całą. W pobliżu znajdowały się pola uprawne, równe prostokąty warzywników i łąnów zbóż poprzedzielane murkami z polnych kamieni. Resztę przeznaczono na pastwiska, na których spokojnie pasły się stada owiec, strzeżone przez pasterzy i psy. Na krawędzi urwiska paliło się ognisko pilnowane przez chłopca w długiej szacie.

Ten widok był tak absorbujący, że minęła chwila, zanim Winter rozejrzała się po sali. I tu posadzkę zakrywały dywany, na których leżały szerokie, płaskie poduszki. Na jednej z nich siedział łysy starzec z rzadką białą brodą. Po jego lewej ręce siedziała Alex ze skrzyżowanymi nogami na innej poduszce, a obok niej chłopak mniej więcej w jej wieku. Była wyraźnie sfrustrowana, chociaż minę miała poważną i zdeterminowaną.

– Przyprowaǳiłem przywódczynię obcych, Najstarszy – powiedział po murnskajsku Abraham, nisko się kłaniając. – Ma na imię Winter.

– ǳiękuję – rzekł starzec. Jego oczy, głęboko osadzone w pomarszczonej twarzy, patrzyły przenikliwie i uważnie. – Na pewno jest głodna. Antov, przynieś coś do jedzenia naszemu gościowi.

Siedzący przy schodach chłopiec pospiesznie wyszedł. Abraham zaprowaǳił Winter do dwóch innych poduszek, a ona usiadła, starając się naśladować gospodarzy.

– Mój murnskajski jest kiepski – powiedziała w tym języku, najwyraźniej jak mogła. – Będziesz musiał mówić wolno...

– Możemy mówić po vordanajsku, jeśli wolisz – odrzekł starzec w tym języku, ale z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. – Albo po hamveltajsku. Chyba wszyscy tu obecni znają te języki.

– ǳiękuję – odparła Winter. – I za to, że nam pomogliście. Przykro mi, jeśli sprawiliśmy wam kłopot.

– Wiem, że nie zamierzacie nas skrzywdzić – stwierdził Najstarszy. – Jednak chcę, żebyście zrozumieli, jakim jesteście dla nas zagrożeniem. Nosisz w sobie demona. Wiesz o istnieniu Kapłanów Czerni?

– Oczywiście, że wie – wtrąciła się Alex. – Mówiłam wam przecież...

– Przypominam ci, młoda Alex, że wciąż zastanawiamy się, jak cię ukarać. – W przyjaznym głosie starca zadźwięczała stalowa nuta. – Milcz, proszę.

– Tak – potwierdziła Winter. – Wiele razy walczyłam z Kapłanami Czerni. Chcą mojej śmierci.

– Zatem, nie wdając się w męczące wyjaśnienia, wystarczy powiedzieć, że równie gorąco pragną zniszczyć nas. Żyjemy w ich cieniu i naszą jedyną obroną jest pozostawanie w ukryciu. Tylko nielicznym pozwala się znaleźć Górę, a z tych tylko garstce ufa się na tyle, żeby pozwolić im stąd odejść. Zdawkowa uwaga w gospodzie, notatka w dzienniku znaleziona po stu latach... mogą zniszczyć nas jak płomień płatki śniegu. Rozumiesz to?

– Tak sędzę. – Wyczuwała w tym starcu demona, chociaż nie miała co do tego pewności, gdyż w pobliżu byli Alex i Abraham. – Moi żołnierze i ja złożymy dowolną przysięgę milczenia, jaką zechcecie od nas usłyszeć. Musimy jednak dostać się do Elizjum.

– Dlaczego?

Alex otworzyła usta, a Najstarszy posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Nasz przywódca, Janus bet Vhalnich, próbuje zniszczyć Kapłanów Czerni – wyjaśniła Winter. – Jedna z ich zabójczyń zraniła go, rzucając na niego czar, którego działanie naszym zdaniem może przerwać tylko jej śmierć. Podążaliśmy za nią aż tutaj.

– Ryzykowaliście życie, mając niewielką szansę powodzenia. Vhalnich jest taki ważny?

Winter skinęła głową.

– Jest... wielkim człowiekiem, który wiele dla mnie zrobił. I widziałam okrucieństwo Kapłanów Czerni. Muszę go uratować, jeśli będzie to w mojej mocy.

– Rozumiem.

Antov wrócił, niosąc na tacy świeżo upieczony, jeszcze parujący chleb oraz miskę z gęstą czerwoną zupą. Winter do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jaka jest głodna; niemal wyrwała mu tacę z rąk i pochłonęła czerwoną polewkę, maczając w niej chleb. Zupa była gęsta, z fasolą i pomidorami, a w tym momencie wydawała się Winter najlepszym daniem, jakie kiedykolwiek jadła.

– Uzdrawianie – wyjaśnił przepraszająco Abraham. – Potrzebuje po nim energii.

– Przepraszam – wymamrotała Winter z pełnymi ustami.

– Nie ma za co – odparł Najstarszy, marszcząc twarz w uśmiechu. – Naprawdę zamierzacie udać się do Elizjum?

Winter kiwnęła głową, wgrzyzając się w chleb.

– To nasza jedyna szansa, żeby go uratować.

– Jesteś pewna, że on jeszcze żyje?

– Nie. – Przełknęła i zaczerpnęła tchu. – Mogę tylko mieć nadzieję.

– Możemy to zrobić – odezwała się Alex. – Jest sposób...

Tym razem siedzący obok niej chłopak dał jej kuksańca. Winter odkaszlnęła.

– Alex bardzo nam pomogła – powiedziała. – I postanowiła przyprowadzić nas tutaj dopiero wtedy, kiedy nie było innego wyjścia. Proszę, nie bądź dla niej zbyt surowy.

– Alex musi jeszcze sporo się nauczyć o gościnności i odpowiedzialności – rzekł Najstarszy. – To jednak nie twoja sprawa. Powiedz mi coś. Jeśli Vhalnich zostanie uratowany, sądzisz, że może zwyciężyć w tej wojnie z Kapłanami Czerni?

– Tak – bez wahania odrzekła Winter.

– Bardzo wielu ludzi usiłowało ich pokonać. Nawet wasz Farus Czwarty nie zdołał.

– Farus Czwarty nie wiedział, z czym walczy – odparła Winter.

– Janus wie. Od początku ku temu zmierzał.

Winter zaczynała podejrzewać, że właśnie tak było. Kiedy spojrzeć na to w ten sposób, wszystko nabierało sensu. Wyprawa do Khandaru przyniosła Janusowi Tysiąc Imion i sławę bohatera wojennego. Powrót do Vordanu i kampania Velt zwiększyły tę popularność do tego stopnia, że mianowano go pierwszym konsulem. Każdy krok tej kampanii, zarówno obejmujący sprawy nadprzyrodzone, jak i kwestie militarne, zmierzał do tego celu.

– Minęło wiele lat, od kiedy przestałem marzyć o pokonaniu Kapłanów Czerni. – Najstarszy westchnął. – Bardzo, bardzo wiele.

– To niebezpieczne – odezwał się młodzieniec. – Jeśli się jej nie uda, może skończyć w izbie tortur, a wtedy niedługo utrzyma naszą tajemnicę.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Maxwellu – powiedział Najstarszy.

– Jednak jak lubi mówić nam Alex, przychodzi czas, kiedy trzeba przestać rozmyślać i zacząć działać.

– W końcu! – wypaliła Alex. – Ja...

– Być może przyszedł ten czas – uciał Najstarszy. – Chcę usłyszeć coś więcej o Vhalnichu i jego walce. Winter, zechcesz o tym opowiedzieć?

– Część z tego jest tajemnicą – oznajmiła Winter.

– Naturalnie. A zatem oto propozycja. Sekret za sekret. Z pewnością masz do mnie jakieś pytania?

– Tak – potwierdziła. – Jednak...

– Najstarszy! – zawołał Maxwell. – Co zamierzasz jej powiedzieć?

– Cokolwiek zechce wiedzieć – odrzekł stanowczo starzec. – Naszym największym sekretem jest samo nasze istnienie, a ona już o nim wie. Wszystkie inne w porównaniu z tym to drobnostki. I podejrzewam, że możemy odkryć obszary wspólnych interesów.

– W porządku – zgodziła się Winter. – Jeśli tego potrzebujecie, żeby pozwolić nam odejść.

– To się jeszcze okaże. – Najstarszy wstał, zaskakująco zwinnie jak na swój kruchy wygląd. – Pozwól, że pokażę ci archiwum.

Kolejne schody, na końcu sali, znów prowadziły w głąb góry. Tu nie było okien i Najstarszy oświetlał drogę kopczą lampą. Reszta pozostała w komnacie, gdzie niemal natychmiast wybuchła kłótnia między Alex i Maxwellem.

– Masz pytania – zachęcił Najstarszy.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziała Winter. – Co to za miejsce? Kim jesteście? Dlaczego...

– Lepiej będzie, jeśli opowiem wszystko od początku – odparł starzec, chichocząc. – Czy wiesz coś o powstaniu Kościoła Karisowego?

– Tylko to, co napisano w Mądrościach – przyznała Winter. – Karis uzyskał łaskę bożą i założył Kościół, aby nauczać ludzi, jak

mają żyć, żeby Bestia nie wróciła.

– Bestia Sądnego Dnia – podjął Najstarszy. – Gdy o tym myślisz, co widzisz?

Winter zmarszczyła brwi. U pani Wilmore był obraz Karisa przepędzającego Bestię. Potwór był niemal całkiem skryty w mroku, ale dziwnie przypominał ogromnego czarnego wilka o długich kłach i czerwono płonących ślepiach. Jednak zawsze uważała to za alegorię, a nie realistyczny portret.

– Nie powiem, żebym wiele o tym rozmyślała.

– Nigdy? To najważniejsza przypowieść Mądrości. Musiałaś słyszeć ją praktycznie już w kołysce.

– Oczywiście. Chyba tak... – Szukała odpowiednich słów. – Nigdy nie myślałam o Bestii jako o czymś żywym, jak o potworze. Raczej uważałam ją za pewną koncepcję. Za ucieleśnienie gniewu bożego.

– Jesteś bliska prawdy, chociaż nie z takiego powodu, o jakim myślisz. – Najstarszy uniósł lampę, żeby oświetlić rozwidlenie korytarzy, i skręcił w lewo. Tunele były zakurzone i puste, bez żadnych drzwi do pomieszczeń. – W rzeczywistości Bestia Sądnego Dnia jest demonem, trochę podobnym do tego, jakiego ty masz w sobie.

– Demonem? Przecież... – Winter zamilkła.

– Przecież?

– Bestia zamierzała zniszczyć świat. Niektóre z demonów, które widziałam, były przerażające, ale żaden z nich nie był do tego zdolny.

– Nie jest jasne, czy Bestia zniszczyłaby sam świat. A ludzkość? Och, tak. To najpotężniejszy demon, jaki się pojawił, i różni się od

innych pod dwoma względami. Po pierwsze, nie ogranicza się do jednego nosiciela. On się rozprzestrzenia. To esencja jego mocy. Gdyby go nie powstrzymano, w końcu każda ludzka istota znalazłaby się pod jego panowaniem. Bóg dobrze wybrał swe narzędzie zagłady.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała Winter. – Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś w taki sposób mówił o Bestii.

– Dochodzę do tego. – Najstarszy zerknął przez ramię i uśmiechnął się. – Druga różnica pomiędzy Bestią a zwykłym demonem jest taka, że ona jest na swój sposób inteligentna. Większość demonów nie ma więcej rozumu niż kot czy wilk, lecz Bestia jest w porównaniu z nimi jak człowiek przy zwierzętach. Pamięta wydarzenia wielu wieków. Uczy się.

Winter powoli pokiwała głową. Zawsze myślała o Wszystkożercy jako o pewnego rodzaju zwierzęciu, mającym humory i pragnienia, ale nie mądrzejszym od – powiedzmy – psa. W rzeczy samej bardzo podobnym do psa, gotowego do ataku, ale czekającego na rozkaz pana. Usiłowała sobie wyobrazić, że dzieliłaby duszę z czymś, co potrafi myśleć, i zadrżała.

– Kościół robił, co mógł, żeby ukryć prawdę – ciągnął Najstarszy. – My jednak pamiętamy, chociaż próbują nas zniszczyć. Karis był czarownikiem, człowiekiem, który studiował sztukę przywoływania demonów. W epoce wielkich umysłów był największym z myślicieli. Gdy Bóg stworzył Bestię i wysłał ją, aby zgładziła ludzkość, on jeden przewidział, co nastąpi. Modlił się i Bóg, wzruszony jego pokorą i wolą, obdarzył go wiedzą i siłą potrzebną do stawienia czoła potworowi. Karis złożył się w ofierze Bestii, gdy jego zwolennicy wybili wszystkich innych jej nosicieli,

w ten sposób zamykając ją tylko w swoim ciele. Jego akolici poznali imię Bestii, największe i najpotężniejsze z imion demonów. Rozumiesz naturę demonów i ich imion?

– Niezupełnie – wyznała Winter, czując, że tylko pobieżnie zna ten temat. – Janus co nieco mi wyjaśnił.

– Demona można przywołać z piekieł, wypowiadając jego imię. Każde z imion odnosi się tylko do jednego takiego stwora i jeśli ten już jest na tym świecie, wymawianie jego imienia nic nie daje. Jednak pozostawione samym sobie, demony nieustannie próbują przejść do naszego świata i od czasu do czasu to się im udaje. Czasem dziecko rodzi się opętane przez demona, bez przywoływania. – Przechylił głowę. – Czy tak było z tobą? A może wypowiedziałaś jego imię?

– Powiedziałam... coś. – Feor nazywała to naath, ale Winter domyślała się, że jest to tylko inna nazwa. – Bolało tak, że myślałam, że umrę.

– I równie dobrze mogłaś umrzeć. Im potężniejszy demon, tym trudniej ludzkiej duszy unieść jego brzemię. To także oznacza, że im silniejszy demon, tym trudniej jest mu dostać się do naszego świata. Karis zrozumiał, że Bestia, jako że jest inteligentna, uczy się na swoich błędach. Gdyby znów została uwolniona, nigdy nie byłaby tak niemądra, żeby pozwolić zabić wszystkich swoich nosicieli. A gdyby pojawiła się w jakimś zakątku świata, gdzie nie byłoby nikogo, kto stawiałby jej czoło, szybko urosłaby w niepowstrzymaną siłę. Karis rozumiał sens zadania, które Bóg postawił przed nim i tymi, którzy przyszli po nim. – Najstarszy na moment zamilkł, spoglądając na Winter. – Przez tysiąc trzysta lat Kościół więził Bestię. Kiedy umierał jeden jej nosiciel, szukano

następnego mogącego udźwignąć jej ciężar. Dopóki przebywa na tym świecie, można ją trzymać pod kluczem. Jeśli pozwoli się jej wrócić do piekieł, może pojawić się gdziekolwiek i jeśli stanie się to poza zasięgiem Kościoła, ludzkość czeka zguba. Taka jest istota łaski bożej. Tylko dopóki Kościół pełni straż, boże narzędzie zemsty nie zniszczy tego świata.

– Zaczekaj. To wciąż trwa? – zapytała Winter. – Chyba nie mówisz poważnie.

Nawet po tym wszystkim, co widziała, takie postacie jak Karis czy Bestia oraz czary wydawały się jej koncepcjami zaczerpniętymi ze starożytności.

– Mówię. Bestia Sądnego Dnia jest zamknięta w celi pod Elizjum.

– Na spizowe jaja... – Winter urwała. – Naprawdę. Niech to szlag.

– Istotnie.

– A jaka jest w tym wasza rola?

Najstarszy odwrócił się i podjął przerwana wędrowkę.

– Trzysta lat po tym, jak Karis złożył się w ofierze, w Kościele pojawił się jego największy przywódca od czasu śmierci Zbawcy.

– Święty Elizjusz Ligamenti – powiedziała Winter, pragnąc dowieść, że nie jest zupełną ignorantką. – On zbudował Elizjum, podzielił Kościół na trzy odłamy i zapoczątkował święte wojny.

– Zgadza się – rzekł Najstarszy. – Ponadto zaczął kodyfikować doktrynę Kościoła i tępić sekty, których przekonania zostały uznane za herezję.

– Tych, które składały w ofierze zwierzęta i nie tylko, prawda? Trwały przy pogańskich obrzędach.

W jednym z podręczników historii Winter znalazła o tym wzmiankę. To przypomniało jej Khandar i niekończące się rzędy posągów bóstw o zwierzęcych głowach.

– Trochę tego było – przyznał Najstarszy. – Jednak największy rozłam wywołał spór dotyczący charakteru przywoływania demonów. W początkach Kościoła kapłani, idąc w ślady Karisa, poznawali imiona demonów i wykorzystywali je do własnych celów. Wtedy czary były czymś zwyczajnym. Jednak gdy Kościół rósł w siłę, jedno jego ugrupowanie, któremu przewodził Ligamenti, zaczęło utrzymywać, że każdy nosiciel demona jest skazany na wieczne potępienie, nieważne do jakich celów ten demon jest wykorzystywany. A ponadto, że celem Kościoła powinno być uwięzienie wszystkich demonów, tak jak to zrobiono z Bestią, i usunięcie na zawsze wszelkiej magii z tego świata. Nazywaliśmy ich Oczyszcicielami. Wtedy moi przodkowie zwali się Pragmatykami i wierzyli, że te demony są narzędziami, które można wykorzystywać w dobrych lub złych celach. Jednakże teraz Kościół nazywa nas Magami, a nasze przekonania herezją Magów. To przydatne dla nich określenie. Tak więc wybuchła wojna między Kościołem a Magami. Czary nigdy nie cieszyły się sympatią zwykłych ludzi, nieważne w jakim celu były używane, więc Ligamenti podburzył ich przeciwko nam. Niektórzy z nas próbowali walczyć, chroniąc się pod skrzydła tyranów i królów władających większością kontynentu, ale w końcu zostali zgładzeni, w miarę jak Kościół rozszerzał swoje dominium. Inni uciekli tak daleko, że Ligamenti nie mógł ich dopaść. Moi przodkowie postanowili się ukryć tutaj, na Górze, w nadziei, że Ligamenti i jego Oczyszciciele sami się zniszczą.

Najstarszy zatrzymał się przed okutymi żelazem drzwiami. Sięgnął pod togę i wyjął stary mosiężny klucz, który wetknął w otwór w żelaznym okuciu. Drzwi bezszelestnie otwarły się do środka na dobrze naoliwionych zawiasach. Starzec uniósł lampę wysoko.

– Oto jesteśmy – powiedział. – Jeśli się nie mylę, widziałas już coś takiego.

Winter ominęła go i przeszła przez próg. Salka za nim była mała i prawie pusta, z niewielkim paleniskiem na drugim końcu oraz dwiema leżącymi obok poduszkami. Pod ścianami stały wielkie tablice, wyższe od niej, odbijające światło lampy matowym blaskiem oksydowanej stali. Na ich powierzchni widniały długie rzędy dziwnych znaków, głęboko wrytych w metalu, które – jak Winter już wiedziała – były imionami demonów.

Najstarszy rozpałił ognisko i razem z Winter usiadł przed owymi starożytnymi tablicami. Najspokojniej jak mogła opowiedziała mu o tym, co się zdarzyło w Khandarze – o Feor, spotkaniu z Matką i jej sektą, o odkryciu Tysiąca Imion – oraz potyczkach z Kapłanami Czerni, od kiedy wróciła do Vordanu. Starzec słuchał z niewzruszoną miną. Od czasu do czasu przegarniał ogień żelaznym pogrzebaczem, wzbijając przy tym chmury iskier unoszące się pod sufit.

– Domyśliłem się... części tego – powiedział, kiedy skończyła. – Jesteśmy tu odizolowani, ale nie aż tak, jak mogłoby się wydawać. Zawsze krążyła plotka... teraz już legenda... że jedna z największych Magów umknęła ze swymi archiwami do Khandaru po upadku Króla Demonów. Kapłani Czerni kilkakrotnie próbowali

ją dopaść, ale bez powodzenia.

– Tysiąc Imion – mruknęła Winter, patrząc na otaczające ich tablice.

– To jest inne archiwum – rzekł starzec. – Mniejsze, chociaż zawiera imiona kilku potężnych stworów. Starożytni Magowie chcieli, żeby ich zapisy trudno było zniszczyć lub ukraść.

– A zatem kilku Magów dotarło do Khandaru, a potem archiwum wpadło w ręce wyznawców kultu.

– Sądząc po tym, co powiedziałaś, podejrzewam, że to raczej ten kult zrodził się z Magów. Tradycje się zmieniają, przekazywane z pokolenia na pokolenie, chyba że społeczność jest tak odizolowana od świata jak nasza. – Potrząsnął głową. – Bardzo chciałbym się spotkać z tą Feor.

– To zapewne dałoby się załatwić. – Ta myśl sprawiła, że Winter gwałtownie wróciła do rzeczywistości. – Jeśli zechcesz nas wypuścić.

– Myślę, że nie mam innego wyjścia. Jeżeli Vhalnich ma Tysiąc Imion, może zmienić Kościół, a jeśli on zginie, zrobią to jego sojusznicy. – Westchnął. – Moi przodkowie mogli pragnąć zemsty na Ligamentim i jego Oczyszcicielach, ale ja chcę tylko zapewnić bezpieczeństwo moim ludziom. Stworzyliśmy tu dom. Jednak...

– Jednak?

– Bestia. – Przegarnął węgle. – Tę straż nadal trzeba pełnić. Jednym z powodów tego, że zdaniem moich przodków Oczyszciciele zbłądzili, było to, że gdyby wszelka magia została usunięta z tego świata, co według Ligamentiego było konieczne, zapomniano by o potrzebie zachowania czujności. Za sprawą Kapłanów Czerni demony przeszły do historii i bajek, ale Bestia Sądnego Dnia jest

jak najbardziej rzeczywista. Jeśli oni zawiodą i ich zakon zostanie zniszczony, ona powróci. Nie natychmiast... Bestia jest potężna, więc z najwyższym trudem może się przedostać do naszego świata. Jednak przybędzie, za rok czy dwa, a my nie będziemy w stanie ponownie jej powstrzymać.

– Nie wiem, czy Janus wie o tym wszystkim – powiedziała Winter. – Jestem jednak pewna, że nie chce uwolnić Bestii Sądnego Dnia. On nie chce zguby ludzkości.

– Jeśli mam wam pomóc, oto moja cena. Musisz go przekonać, żeby wziął na siebie obowiązek powstrzymania Bestii. Przysięgniesz, że to zrobisz?

– Przysięgnę – odparła Winter. Zdziwiła się, jak łatwo jej to przyszło. Najstarszy najwyraźniej był szczery, a ponadto okłamywanie jej nic by mu nie dało. Poza tym, jeśli zdobędziemy Elizjum, i tak dowiemy się prawdy, stwierdziła. Jeśli było tam coś, co mogło zniszczyć rodzaj ludzki, to była pewna, że Janus zrozumie, iż jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest trzymać to pod kluczem.

– A zatem pomożemy wam, tak jak zdołamy – rzekł starzec. Wstał i przeciągnął się, aż stawy zatrzeszczały. – Są wejścia do Elizjum zapomniane od tysiąca lat. I jestem pewny, że Alex zechce pójść z wami.

– Czy ona jest jedną z was? – zapytała Winter. – To tutaj przywołała swojego demona?

– Och, nie. – Najstarszy uśmiechnął się smutno. – Od czasu do czasu przyjmujemy zabłąkane dusze. Opętanych w dzieciństwie przez demony, uciekających przed Kapłanami Czerni i ich Przeklętymi Penitentami. Alex i Abraham przybyli do nas w ten

sposób, oboje.

– Przekłęci Penitenci. – Myśl o nich niepokoiła Winter. – Mówiłeś, że Ligamenti i Oczyszciciele wyrzekli się korzystania z demonów. Dlaczego Kapłani Czerni posługują się nimi?

– Hipokryzja i małostkowość. – Starzec przewrócił oczami. – Ligamenti przynajmniej miał odwagę stanowczo odrzucać czary, pomimo płynących z nich korzyści. Późniejsze pokolenia nie były tak stanowcze. Uzasadniały to tym, że choć noszenie w sobie demona powoduje nieuchronne potępienie, takie poświęcenie może być usprawiedliwione... kilka dusz skazanych na wieczne męki w zamian za wybawienie wielu innych od ognia piekielnego. Przekłęci Penitenci to ci, którzy dobrowolnie zrezygnowali z nagrody w przyszłym życiu, żeby pomóc Kościołowi w tym dziele. – Pokręcił głową. – Nie wiem, czy się śmiać, czy litować nad tymi, których fanatyzm doprowadza do czegoś takiego.

– Magowie nie wierzą, że noszenie demona oznacza nieuchronne potępienie?

– Oczywiście, że nie – łagodnie odparł Najstarszy. – Niektóre dzieci rodzą się opętane, pamiętasz? Czy możesz spojrzeć na śpiące dziecko i z przekonaniem powiedzieć mi, że za to, co mu się przydarzyło, Bóg ześle je do piekła? Nie. Bóg osądza nas po naszych czynach, w jakikolwiek sposób ich dokonujemy. Demon może być użyty w złym celu, tak samo jak miecz. W dobrym również.

Winter, która nigdy nie była przesadnie religijna, nie była do końca przekonana, czy wierzy w niebo i piekło. Jednak mając w duszy Wszystkożercę, dobrze było wiedzieć, że zdania w kwestii ich istnienia są podzielone.

Najstarszy wyprowadził ją z komnaty i z powrotem, ale nie tą samą drogą. Doprowadził ją do zasłoniętego kotarą wejścia do dużej sali na parterze, z wieloma wąskimi okienkami strzelniczymi. Tłum mieszkańców Góry w kolorowych szatach otaczał gromadkę Vordanajów. Ciężar spadł Winter z piersi, gdy zobaczyła Bobby, Rudą i pozostałe kobiety z Pierwszego Dziewczęcego próbujące porozumieć się z kilkoma młodzieńcami z Góry w trzech lub czterech różnych językach jednocześnie.

– Winter! – Bobby zerwała się na równe nogi na widok jej i Najstarszego, przeciskających się przez tłum. Nie trudziła się oddawaniem honorów, tylko uściskała ją tak mocno, że Winter zatrzeszczały zębra. – Jesteś cała i zdrowa?

– Będę, jeśli mnie puścisz – stęknęła Winter.

– Mówiłam im, że chcę się z tobą widzieć, ale chyba nikt z nich tego nie rozumiał – rzekła Bobby, odsuwając się. – Ale nie traktowali nas źle. Dawali jeść i... – zniżyła głos – jeden z nich potrafi leczyć rany. Obniżył gorączkę Ivers i zasklepił ranę od strzały w nodze Varner.

– Wiem. Zajął się też moją dłonią. – Winter pokazała różowiutkie palce.

– Alex powtarza nam, że musimy czekać. Czy wiesz chociaż, gdzie jesteśmy? Dlaczego tu jest tak ciepło?

Winter zerknęła na Najstarszego.

– Tego akurat nie wyjaśnił. Jednak powiedziałam mu, co mamy tu zrobić, i pomogą nam się dostać do Elizjum.

Bobby odetchnęła z ulgą.

– Dobrze to słyszeć, generale. Miałam nadzieję, że nie będziemy musiały wyrąbywać sobie drogi. Jest tu mnóstwo dzieciaków. –

I znów dodała szeptem: – I chyba kilka innych demonów.

– Będzie dobrze – rzekła Winter. – Myślę, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

– Byłem zdziwiony, kiedy powiedziano mi o twoich towarzyszkach – rzekł Najstarszy po hamveltajsku, podchodząc do Winter. – Czy wszyscy żołnierze w Vordanie to kobiety?

– Nie wszyscy – odparła Winter. – Tylko część. Duża.

– U niektórych północnych plemion kobiety walczą razem z mężczyznami – głośno rozmyślał Najstarszy. – I oczywiście do niesławnych Legionów Tyranów przyjmowano każdego chętnego. – Uśmiechnął się do Winter. – Zaletą badań prowadzonych z dala od cywilizacji jest to, że dobrze widać, jak obraca się koło historii.

– Kim on jest? – zapytała Bobby. Jej hamveltajski był równie kiepski jak murnskajski. Przez moment Winter pożałowała, że nie ma tu Cyte z jej językowymi zdolnościami. I jakże chętnie porozmawiałaby z Najstarszym o toczącej się kołem historii. Odepchnęła od siebie tę myśl. Miała nadzieję, że Cyte jest bezpieczna, w obozie Wielkiej Armii. Nikomu nie życzę tego, przez co musiałyśmy przejść, żeby się tu dostać, westchnęła w duchu.

– On tu rządzi – powiedziała po vordanajsku. – Myślę, że jest kimś w rodzaju arcykapłana.

– Och! – Bobby złożyła Najstarszemu niezgrabny ukłon, który odwzajemnił. – Podziękuj mu za pozywienie.

– Nie ma za co – powiedział starzec, kiedy Winter przetłumaczyła te słowa. – Góra jest dla nas szczodra.

Pozostali żołnierze powoli dołączyli do nich i przez następną godzinę Winter musiała pełnić rolę tłumacza, przekładając vordanajski na toporną mieszaninę murnskajskiego

i hamveltajskiego. Te dwa najwyraźniej były głównymi językami na Górze, chociaż ostatni brzmiał nieco dziwnie w porównaniu z dialektem Velt, którego nauczyła się Winter. Mieszkańcy Góry byli ciekawi wieści ze świata, chociaż ze zdziwieniem odkryła, że całkiem nieźle orientują się w bieżących wydarzeniach.

– Najstarszy! – Zasłona przy drzwiach odchyliła się i weszła kilkunastoletnia dziewczyna. Nie miała na sobie powiewnej szaty, lecz długą koszulę i skórzane spodnie, a czarne włosy związane w dwa długie kucyki. – Najstarszy, mam wieści...

Zamilkła i szeroko tworzyła oczy na widok obcych.

– Ja również – rzekł Najstarszy. – Witaj z powrotem, Śnieżna Lisico.

– Kim są ci ludzie?

Dziewczyna zmrużyła oczy, patrząc na Winter. Ta skoncentrowała się, ale Wszystkożerca nie okazał zainteresowania. Ona nie ma w sobie demona. Dlaczego więc wpatruje się we mnie? – zastanawiała się.

– Pozwól, że ci wyjaśnię – powiedział Najstarszy, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Winter, przyślę kogoś po ciebie za godzinę. Zdaję sobie sprawę, że to był długi dzień, ale z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że czas odgrywa w tym najważniejszą rolę.

– Dziękuję, Najstarszy – powiedziała Winter.

Odprowadzane podejrzliwym spojrzeniem dziewczyny obie opuściły salę.

– Co to było? – spytała Bobby.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem – odrzekła Winter.

Chłopiec miał około pięciu lat i włosy niemal tak jasnoblond jak Winter. Chował się za matką, zerkając zza jej spódnicy. Kobieta miała jasną skórę oraz ciemne włosy i oczy jak większość Murnskajczyków, przez co wygląd chłopca jeszcze bardziej przyciągał wzrok; pod strzechą złocistych włosów błyszczały jasne zielone oczy, jak ślepia kota w świetle latarni.

– Odczytał imię demona? – zapytała Winter. Kobieta mówiła tylko po murnskajsku, tak więc rozmowa była powolna i trudna. – Naprawdę?

– Tak. Najstarszy powiedział, że z najmłodszych on jest najlepszym... – Następnego słowa Winter nie zrozumiała. Kandydatem? Ofiarnikiem? – Przewodnik Słońca woli dzieci jako swych gospodarzy.

– Nie bałaś się, że zrobi mu krzywdę? – spytała Winter.

– Oczywiście, że się bałam. – Matka objęła chłopca i przytuliła go. – Ktoś jednak musi nosić to brzemię, jeśli mamy przeżyć. Ponadto Przewodnik Słońca jest jednym z najłagodniejszych demonów. A Rimi zawsze był bystrym dzieciakiem. Nauczenie się jego imienia zajęło mu zaledwie miesiąc.

– Ivn-fa-toth! – powiedział chłopiec.

Matka uśmiechnęła się i zmierzwiła mu włosy.

– Ten dzieciak zapewnia ciepło całej dolinie? – spytała Bobby.

Kiedy Winter przetłumaczyła jej pytanie, kobieta kiwnęła głową.

– Rimi raz w roku sprawdza zaklęcia rzucone na obrzeżu doliny i odnawia ich moc. Dzięki niemu i Śnieżnej Lisicy jesteśmy tu bezpieczni i szczęśliwi.

– Szczęśliwi – potwierdził z powagą chłopiec.

Usłyszeli szmery za kotarą w drzwiach i pojawiła się Alex. Rimi podbiegł do niej z radosnym okrzykiem.

– Cześć, Rimi – przywitała go.

– Alex! Możemy się pohuścić?

Widząc pytające spojrzenie Winter, dziewczyna lekko się zaczerwieniła.

– Dzieciaki lubią, gdy używam mojej mocy, żeby pobujać się z nimi na urwiskach.

Gniewnie spojrzała na Winter, jakby zachęcając ją do skomentowania tego.

– To chyba dobra zabawa – zauważyła nieco niezręcznie Winter.

– Nie teraz, Rimi – powiedziała Alex. – Muszę zabrać Winter i Bobby do Najstarszego. Zostań tu z mamą, a pohuścimy się później, dobrze?

Oderwawszy od siebie chłopca, co wymagało trochę wysiłku, poprowadziła Winter i Bobby przez labirynt korytarzy, które mieszkańcy Góry wykuli w skale. Weszli po tych samych schodach, po których Winter wchodziła poprzednio, do sali, w której przedstawiono ją Najstarszemu, a która zapewne była czymś w rodzaju wewnętrznego sanktuarium.

– Myślę, że teraz lepiej rozumiem, ile mogło cię kosztować przyrowadzenie nas tutaj – rzekła Winter, gdy wchodziły po schodach. – Chciałam ci podziękować.

– Tak – mruknęła Alex. – No cóż, przecież nie mogłam zostawić was tam, żebyście umarły, no nie?

– Mogłaś.

– Cieszę się, że doszłaś do porozumienia z Najstarszym –

stwierdziła Alex.

– Jak długo tu mieszkałaś?

– Około półtora roku. Uratowali nas przed Kapłanami Czerni. – Alex wzdrygnęła się. – Abraham był uszczęśliwiony, mogąc tu zostać, ale ja nie. Kiedy usłyszałam o Janusie, postanowiłam go znaleźć. – Zmarszczyła brwi. – Przepraszam, że nie mogłam powiedzieć ci wcześniej tego wszystkiego.

– Rozumiem. – Winter się uśmiechnęła. – Zważywszy, jak się to skończyło, chyba nie mogę narzekać, nieprawdaż?

Dotarli do wielkiej sali, gdzie czekał na nie Najstarszy. Była z nim dziewczyna, którą Winter widziała wcześniej, i młody kapłan zwany Maxwellem. Cała szóstka usiadła w kręgu na poduszkach. Alex razem z Bobby tłumaczyły rozmowę.

– Śnieżna Lisico – rzekł Najstarszy. – Chcę, żebyś powiedziała Winter i pozostałym, co widziałaś.

Dziewczyna nadal miała podejrzliwą minę, ale skinęła głową.

– Podążałam jedną z moich regularnych tras, za południowym krańcem Elizjum. Kiedy zauważyłam tam ożywiony ruch, zostałam, żeby się temu przyjrzeć. Ludzie opuszczali miasto, wielu ludzi. Z wozami, końmi, mułami, wszystkim.

– W jakim kierunku zmierzali? – zapytał Maxwell.

– Na południowy wschód – odrzekła.

– To droga do Mohkby – wyjaśniła Alex na użytek Winter i Bobby. – Wiedzie na południe do przełęczy, a potem na wschód do stolicy.

– Ilu ludzi dokładnie? – naciskał Maxwell. – Dziesiątki? Setki?

– Znacznie więcej – odparła Śnieżna Lisica. – Tysiące.

– Nie mogły to być tysiące – rzekł Maxwell. – W Elizjum nie ma tylu ludzi. Wszystkich Kapłanów Bieli i Czerwieni nie może być więcej jak dziesięć tysięcy.

– Nie liczyłam ich – odparła dziewczyna. – Jednak wiem, co widziałam.

– Ja jej wierzę – powiedział Najstarszy. – I przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie. Kościół myśli, że armia Vhalnicha dotrze do Elizjum, i kapłani uciekają przed nim.

– Przecież armii tu nie ma – zauważyła Winter. – Wciąż obozuje nad Kovrią.

– W taką pogodę nie mogą obserwować armii – rzekła Śnieżna Lisica. – Ale mogą obserwować ciebie. Mają wyczuwających, którzy wykryją nosiciela demona na odległość wielu mil. Z tego, co wiedzą, możesz prowadzić dywizję.

– Jednak Kapłani Czerni nigdy nie opuściliby swej cytadeli – argumentował Maxwell. – Zbyt wiele by stracili.

Najstarszy skinął głową.

– Oni tam zostaną, żeby chronić Bestię i swoje archiwa.

– Co oznacza, że trucicielka zapewne wciąż tam jest – stwierdziła Winter. – Musimy dostać się do środka.

– Jest bardzo wiele dróg do Elizjum – rzekł Najstarszy. – Niektóre są niebezpieczniejsze od innych. Śnieżna Lisica pokaże wam jedną z nich i doprowadzi aż do murów miasta.

Winter spojrzała na nią.

– Jesteś pewny? Nie chcę narażać jej na niebezpieczeństwo.

– Potrafię zadbać o siebie – warknęła Śnieżna Lisica.

– I będzie wam potrzebna – dodał Najstarszy. – Jej moc to nasz

największy dar.

– Jej moc? – Winter zmarszczyła brwi. – Jest nosicielką demona?

– Niesamowite, no nie? – zadrwiła Alex, a Śnieżna Lisica spojrzała na nią i przewróciła oczami.

– Jej demon chroni ją przed wykryciem przez inne demony – wyjaśnił Najstarszy. – Ta moc, wzmacniająca zaklęcia rozmieszczone wokół doliny, trzyma nas w ukryciu. Jeśli Śnieżna Lisica pójdzie z wami, Kapłani Czerni nie zdołają wykryć waszej obecności, dopóki się od niej nie odłączycie.

– W takim razie będziemy ci bardzo wdzięczni za pomoc, Śnieżna Lisico. – Winter skłoniła głowę.

Dziewczyna zarumieniła się i usiadła prosto.

– Jeżeli Najstarszy uważa, że to dobry pomysł.

– Alex, chcesz pójść z Vordanajami? – zapytał Najstarszy.

– Tak – odparła. – Jeśli mam okazję odplacić się Kapłanom Czerni, to chcę z niej skorzystać.

– Maxwell też będzie wam towarzyszył – zarządził Najstarszy, skinąwszy głową. – Długo studiował nasze plany miasta i dużo wie o Przeklętych Penitentach.

Maxwell skłonił się starcowi i Winter wyczuła, że długo o tym rozmawiali. Odkaszlęła.

– Ile czasu potrzeba, żeby tam dotrzeć? – spytała. – Powinniśmy wyruszyć jak najprędzej.

– Jeśli wyruszymy o świcie, do zmroku dotrzemy do Elizjum – odparła Śnieżna Lisica. – Nie ma sensu próbować iść przez góry po ciemku.

– Zatem jutro rano – zakończył rozmowę Najstarszy. – Będę się modlił za was wszystkich.

Siedemnaście

Marcus

O gnia! – wrzasnęła Viera.

Działa plunęły płonąca śmiercią. Grad kartaczy spadł na bród, spieniając lodowatą wodę i wzbijając tysiąc małych gejzerów. Nierówny szyk kościanych kobiet splątał się jeszcze bardziej, gdy część z nich została zmieciona salwą, a inne z trudem usiłowały utrzymać się na nogach lub padały w wodę. Marcus przez moment spoglądał na to ze zgrozą – te, które zostały ranne i nie mogły wstać, utonęły lub zamarzły w mrozącym do szpiku kości nurcie.

Salwa była dla kościanych kobiet sygnałem, żeby złamać szyk, odrzucić wielkie wiklinowe tarcze i pognać przez rzekę ku vordanajskiej linii obrony. Biegły, krzycząc i wymachując oszczepami, nie zważając na niebezpieczeństwo. Reszta kościanych ludzi biegła za nimi; łucznicy – trzymając nad głowami łuki, żeby ich nie zamoczyć, jeźdźcy – wzbijając fontanny wody. W lesie na północnym brzegu rzeki Marcus widział przemykające cienie białych jeźdźców, zbierających się jak sępy, żeby szarpać konające zwierzę.

On i Fitz stali w środku obozu, na wozie będącym prowizorycznym stanowiskiem dowodzenia. Z góry dobrze widział rzekę i nadciągającą chmarę kościanych ludzi. Od kiedy odjechał

Piekielnik, plemieńcy codziennie atakowali stanowiska Vordanajów, którzy do tej pory zawsze ich odpierali. Do tej pory, powtórzył w myśli Marcus.

– Dajcie im jeszcze raz! – krzyknęła Viera. – Jeszcze jedna salwa i odwrót! Ruszać się, ruszać!

Zmęczeni artylerzyści sztywniejącymi palcami załadowali i ponownie wycelowali działa szybciej, niż Marcus mógłby się spodziewać. Nie dość szybko: niektórzy łucznicy przystanęli w rzeczonym nurcie i zanim padła druga salwa, szyli już strzałami do kanonierów. Trafieni chwiejnie odchodzili lub zawzięcie dalej robili swoje, ze strzałami sterczącymi z rąk lub nóg, przestępując ciała konających towarzyszy.

– Gotowi! – dała sygnał Viera, gdy obsługi dział się cofnęły. Dwie strzały ze świstem przeleciały obok niej, lecz w bitewnym zapale nie zwróciła na nie uwagi. – Ognia!

Tym razem podwojony ładunek kartaczy, wystrzelony z zaledwie stu metrów, zmiotł kościane kobiety jak kosa samej Śmierci. Kilka nieszczęsnych na przedzie, trafionych kilkoma ołowianymi kulami naraz, po prostu znikło, a ich oderwane kończyny, koziółkując, przeleciały nad rzeką, tryskając krwią z rozerwanych tętnic. Obszar zniszczenia objął kilkusetmetrowy odcinek, na którym kartacze jednych skosiły, a innych ominęły. Jakiś łucznik upuścił łuk i złapał się za szyję, z której gorąca krew spływała mu między palcami i plamiła przód skórzanego kubraka. Inna kobieta pomagająca towarzysze nagle osunęła się na nią, tłukąc rękami wodę.

– Odwrót! – rozkazała Viera. – Wracać na wały!

Kanonierzy rzucili się do ucieczki, klnąc i potykając się

w śniegu. Jeden upadł jak długi i nikt nawet nie próbował mu pomóc; już był martwy, choć jeszcze krzyczał. Viera była na czele, wbiegając po pochyłej skarpie ubitego śniegu. Pokryty był jednak warstwą lodu i zaczęła się ześlizgiwać, ale zanim zdążyła upaść, Andy wychyliła się i złapawszy ją za rękę, przeciągnęła za wał. Wzdłuż całej linii żołnierze pierwszej dywizji robili to samo, pomagając kanonierom i odsuwając ich na bok, żeby znów wycelować muszkiety.

Ten wał był pomysłem Marcusa, ale zrealizowanym przez Fitz. W szkole wojskowej młodszy chłopcy zimą budowali śniegowe twierdze, ćwicząc atak i obronę z użyciem arsenałów śnieżnych kul i puchowymi płaszczami zamiast pancerzy. Okopanie się w zamrożonej ziemi na północnym brzegu Kovrii było niemożliwe, tak więc Marcus zaproponował, żeby użyć jedyne go dostępnego materiału budowlanego.

Myślał o niskim wale, który mógłby spowolnić atak piechoty lub utrudnić szarżę konnicy, ale Fitz, jak zawsze, okazał się bardziej pomysłowy. Pierwszego wieczoru, gdy żołnierze usypywali sięgające im do ramion przyzmy śniegu i zastanawiali się, czy ich dowódca oszalał, Fitz rozkazał stopić kilka kotłów śniegu na ognisku. Potem kazał żołnierzom polać przyzmy letnią wodą, która zamarzła w nocnym chłodzie, tworząc warstwę twardego i śliskiego lodu. Cały ten proces powtórzono jeszcze kilkakrotnie, a żołnierze pracowali z ochotą, kiedy zrozumieli, jaki jest tego cel.

Zanim kościani ludzie zaatakowali następnego ranka, nad brodem wznosiła się szeroka i niska twierdza, a żołnierze poświęcali każdą wolną chwilę na umacnianie swoich pozycji. Powstały mury z wiodącymi na nie od wewnątrz schodami, a w lód

powtykano drewniane paliki, mające odstraszyć konie. Rozebrano namioty i ich brezentowe pokrycia rozpięto na drewnianych rusztowaniach nad stanowiskami strzeleckimi, jako osłony przed spadającymi strzałami.

Tylko działa musiały pozostać poza tą osłoną. Żaden wał ze śniegu, nawet wzmocnionego lodem, nie wytrzymałby wstrząsów przy wystrzałach z dwunastofuntówki, ani jej odrzutu. Za każdym razem, gdy kościani ludzie atakowali, kanonierzy trwali przy swoich działach tak długo, jak się dało, a potem uciekali za wał tuż przed hordą rozwścieczonych plemieńców. Za każdym razem wracało ich mniej. Viera wybrała kilku piechurów i pospiesznie ich przeszkoliła, ale salwy były coraz rzadsze i mniej celne.

Jeszcze moment i kościane kobiety dopadły dział, wrzeszcząc i pohukując. Leżący na śniegu artylerzysta z trudem wstał i natychmiast został przeszyty włócznią. Znów osunął się w śnieg i oparł na złamanym drzewcu, które utkwiło mu w brzuchu. Na fortecę zaczęły spadać strzały, z trzaskiem rozrywając brezent. Kilka warstw namiotowego płótna zatrzymało większość tych pocisków, lecz niektóre strzały przebiły je lub przeleciały przez szpary, zabijając obrońców. Stojący obok Marcusa żołnierz zachwiał się i klnąc, zszedł ze swojego stanowiska, gdy strzała paskudnie rozorała mu ramię. Strzały zaczęły nadlatywać także z tyłu, gdy biali jeźdźcy odważyli się podjechać dostatecznie blisko, by nękać nielicznych tam obrońców.

Porucznicy i sierżanci rozkazali otworzyć ogień i wzdłuż całego wału uniosła się skłębiona chmura szarego prochowego dymu. Kule rozrywały ciała kościanych kobiet, które bezwładnie osuwały się na ziemię lub chwiejnie zawracały ku złudnie bezpiecznej rzece.

Niektóre trafione nadal atakowały, gnane szaleństwem, fanatyczną wiarą albo jednym i drugim. Marcus zauważył młodą kobietę, która jedną ręką przytrzymała wnętrzności, a drugą cisnęła włócznią. Krew z rany na czole zalała twarz innej, kobieta jednak biegła dalej, szczerząc zęby, szokująco białe na tym szkarłatnym tle.

Za wałem część żołnierzy ładowała i oddawała nabite muszkiety innym, stojącym na schodkach i strzelającym do nadciągającej tłuszczy. Strzały leciały teraz prosto i trafiały rzadziej, lecz nie napotykały już prowizorycznych osłon. Jakiś żołnierz padł z krzykiem, z drzewcem sterczącym z oka. Najszybciej pędzące kobiety już dotarły do podnóża wału, omijając oblodzone drewniane kołki. Kilka pierwszych ataków utknęło w tym miejscu, gdy napastniczki nie zdołały wspiąć się po oblodzonej powierzchni, ale już wyciągnęły z tego wnioski. Teraz zamieniły włocznie na toporki lub długie noże, które zaczęły wbijać w lód. Była to żmudna praca i obrońcy wychylili się, żeby otworzyć ogień, morderczy z tak bliskiej odległości. Jednak inne kobiety czekały kilka kroków dalej z przygotowanymi oszczepami, ciskając je w każdego, kto wychylił się zza parapetu. Marcus zobaczył, jak paru żołnierzy z krzykiem znika za krawędzią obwałowania, gdzie dobił ich kłębiący się tłum.

Kiedy stopnie z toporków i noży sięgały dostatecznie wysoko, kościane kobiety rzuciły się w górę, z wysokoku próbując złapać krawędź wału. Pierwsza, która podjęła taką próbę, dzikooka najwyżej szesnastoletnia dziewczyna, przerzuciła ręce za krawędź, a stojący po drugiej stronie kolonialny przebił jej szyję bagnetem. Ześliznęła się po skarpie, pozostawiając na lodzie długą czerwoną

smugę, lecz na jej miejscu pojawiły się dwie następne. Żołnierz próbował pchnąć jedną z nich, ale uchyliła się, złapała go za klapy munduru i przeciągnęła na drugą stronę. Jego krzyk zagłuszyły triumfalne wrzaski na dole. Druga kościana kobieta wlaźła na górę i zdążyła odparować rozpaczliwy atak vordanajskiego żołnierza, z morderczą skutecznością odbijając pchnięcie bagnietem i trafiając go w brzuch. Sierżant wycelował pistolet i strzelił jej w pierś: odleciała do tyłu i znikła za obwałowaniem.

– Nie utrzymają się – beznamiętnie powiedział Fitz.

– Na jaja Bestii! – Marcus rozejrzał się. Wszystkie cztery boki prowizorycznego fortu były spowite prochowym dymem, w którym kawaleria kościanych ludzi i biali jeźdźcy ostrzeliwali obrońców, ale od strony brodu plemieńcy wdzierali się na wał.

Marcus i Fitz stali na środku, pod prowizorycznym brezentowym daszkiem. Niżej znajdowały się ich mizerne resztki prowiantu, stale rosące rzędy rannych oraz odwody – osiem kompanii pierwszego i drugiego batalionu, po nieustannych atakach zmniejszone do około pięciuset żołnierzy.

– Poprowadzę kontratak – powiedział Fitz, chwytając za miecz.

– Nie! – Marcus sam był zaskoczony stanowczym tonem swego głosu. – Nie tym razem.

– Ty dowodzisz – przypomniał Fitz.

– I ludzie muszą zobaczyć, że walczę razem z nimi – spokojnie odparł Marcus. – Ponadto wiesz równie dobrze jak ja, że ciebie też nie możemy stracić.

– Jak pan uważa, generale. – Fitz wyprostował się i zasalutował. – Powodzenia.

– Dziękuję. – Marcus wyjął swoją sfatygowaną kawaleryjską

szablę, którą nosił od kampanii w Khandarze. – Odwód! Za mną!
Na wały!

Za jego plecami rozległ się bojowy okrzyk, któremu zawtórowały słabe okrzyki na wałach. Wiodły na nie trzy duże pochylnie usypane ze śniegu i Marcus wbiegł po środkowej, na ten odcinek obrony, gdzie kościane kobiety już prawie się przedarły. Jego ludzie biegli za nim. W tłumie walczących nie można było strzelać, więc zaatakowali na bagnety.

Oszczepy, pomyślał Marcus, są zdecydowanie poręczniejsze. Zarąbał pierwszą kościaną kobietę, gdy usiłowała dobić powalonego kolonialnego, i przeskoczył przez jej martwe ciało, żeby natrzeć na dwie inne. Cofnęły się, trzymając go na dystans, i przez moment mógł tylko parować i odbijać ich pchnięcia. Napastniczka po lewej starła się z żołnierzem, który przybiegł za nim, a Marcus wykorzystał to, żeby uchylić się przed ciosem drugiej i wolną ręką złapać ją za kark. Szarpnął i potknęła się, tracąc równowagę. Poderwał drugą rękę i grubym jelcem szabli zmiażdżył jej nos, aż trysnęła krew. Gdy ugięły się pod nią nogi, niemal odruchowo zadał błyskawiczne pchnięcie i szabla weszła w jej pierś tak gładko jak nóż w masło. Wytrzeszczyła oczy i wyzionęła ducha.

Pięć dni nieustannych ataków w pełni uświadomiło mu, jak niebezpieczne są te kościane kobiety. Jednak co pewien czas, patrząc na toczącą się walkę, spoglądał na nie z innej perspektywy i na chwilę stawały się młodymi kobietami, w których obronie zawsze – jak go uczono – powinien stawać. Zdawał sobie sprawę, że to głupie, ale...

To głupota, przez którą zginiesz, skarcił się w myślach. Odwrócił się od zabitej dziewczyny i przebił na wał, wyrąbując

sobie drogę przez tłum walczących. Natarła na niego jakaś kobieta, odepchnięta przez innego żołnierza, grzechocząc amuletami przywiązanymi do skórzanego odzienia. Marcus kopnął ją kolaniem w brzuch, a gdy się zgięła, rozbił jej czaszkę gałką szabli. Wskoczył na wał w chwili, gdy wdzierała się tam następna przeciwniczka. Strącił ją kopniakiem i zobaczył, jak spada w tłum na dole. Czyjeś dłonie złapały za krawędź wału, a on ciął szablą, odrąbując palce. Strzała otarła się o jego rękę, rozcinając skórę, ale był zbyt wzburzony, żeby poczuć coś więcej niż lekkie pieczenie.

Atak odwodów przechylił szalę, wypierając kobiety z wałów. Muszkiety obrońców znów zaczęły huczeć, kładąc trupem dziesiątki oszczepniczek u podnóża wału i wielu łuczników. Na jakiś niesłyszalny sygnał plemieńcy przerwali atak, ich konnica odjechała, a piechota uciekła w kierunku brodu i na bezpieczny drugi brzeg. Biali jeźdźcy zrejterowali między drzewa, pozostawiając wielu zabitych na skutej lodem równinie.

Obrońcy skwitowali to nieskładnym chóralnym okrzykiem. Trudno wykrzesać z siebie entuzjazm, kiedy się wie, że jutro wrócą, pomyślał Marcus. Jednak, przynajmniej na razie, nadal żyli.

– Chcę, żeby zabrano zabitym wszystko, co może się nam przydać – polecił Marcus. – Konie zarżnąć. Trupy ściągnąć z pola i wrzucić do dołu.

– Tak jest, generale. – Fitz sam owijał bandażem rękę Marcusa, który nie chciał kłopotać przepracowanych chirurgów taką lekką raną. – Co z rannymi?

– To co zawsze – mruknął Marcus, nie patrząc podkomendnemu

w oczy.

Ten rozkaz oznaczał, że wszyscy mogący poruszać się o własnych siłach zostaną wypuszczeni za wały, żeby spróbowali dotrzeć do swojego obozu. Pozostałym poderżnię się gardła. To było sprzeczne z regułami cywilizowanej wojny, ale – o czym Marcus wciąż musiał sobie przypominać – znajdowali się daleko od cywilizacji. Nie mieli czym żywić swoich żołnierzy, nie mówiąc o jeńcach.

– Rozumiem, generale. – Fitz zawiązał bandaż. – Powinien się trzymać. Sprawdzę rano.

– Dziękuję. – Marcus był lekko zawstydzony swoim wcześniejszym wybuchem. – Przepraszam, że tak uciekłem. – Po prostu musiałem... zrobić cokolwiek.

– Rozumiem, generale. I to naprawdę dobrze, że ludzie zobaczyli, jak walczy pan u ich boku. Tylko proszę uważać na siebie.

– Czy ktoś zaniósł Janusowi obiad?

– Jeszcze nie.

– Zatem ja to zrobię.

Namiot Janusa był jedynym spokojnym – prawie spokojnym – miejscem w obozie pełnym jęków rannych i umierających.

– Niech pan też postara się coś zjeść, generale – przypomniał mu Fitz.

Niewiele było żywności, nawet dla wyższych oficerów. Kilka sucharów i pasków gotowanej koniny oraz parę małych pomarszczonych owoców wyglądających jak suszone śliwki. Te ostatnie zdobyto na wrogu, plądrując kieszenie i sakwy zabitych kościanych kobiet. Konie też były zdobyczne; ostatnie swoje zabili

i zjedli kilka dni wcześniej.

Kolonialni wartownicy przed namiotem pierwszego konsula rozstąpili się przed nadchodzącym Marcusem. Janus siedział na łóżku, co ostatnio nie było niczym niezwykłym. Od kiedy zaczęły się walki, był bardziej ożywiony i mówił do każdego, kto był przy nim. Niestety, niewiele z tego, co mówił, miało jakiś sens i nadal był tak rozpalony gorączką, że na jego czole można by usmażyć jajecznicę. Marcus nie był pewny, czy jego stan się poprawił. Na przykład tego ranka przy śniadaniu wygłosił wykład o zwyczajach godowych skorpionów oraz ich przystosowaniu do zmiennych warunków środowiska.

Janus spojrzał na wchodzącego. Był niepokojąco blady, a jego pociągła twarz teraz przypominała trupią. Szare oczy były rozszerzone i błyszczące od gorączki.

– Marcus! – powiedział.

To był dobry znak, gdyż Janus nie zawsze wiedział, z kim rozmawia.

– Dobry wieczór, pierwszy konsulu. Przyniosłem...

– Marcusie, czy uważasz mnie za geniusza? – przerwał mu Janus.

To było mniej obiecujące. Marcus podszedł do jego łóżka, trzymając przed sobą tacę ze skromnym posiłkiem.

– Ja...

– Oczywiście, że tak. – Janus mówił odrobinę za szybko. – To oczywiste, patrząc na twoje zachowanie, wiarę i podziw, dość częste w takich wypadkach. Bo dlaczego miałoby być inaczej? Podsycalem to, wykorzystując wpajane od dziecka wzorce kulturowe, gdyż zdanie ekscentrycznego geniusza rzadko bywa

kwestionowane, a on cieszy się sporym zaufaniem, co jest bardzo przydatne. Nie można nikomu mieć za złe subtelnie zainspirowanej idealizacji. A jednak... A jednak, Marcusie!

– Pierwszy konsulu? – Marcus podał mu suchara. – Powinien pan coś zjeść.

Janus wziął go, triumfalnie odgryzł kęs i z wyraźnym apetytem przeżuł twardą jak karton kromkę.

– Pytanie, czy rozumiesz naturę geniusza – ciągnął, rozsypując okruchy. – Jeśli nie, jak można oczekiwać, że jako reprezentat prostego ludu, hitsujikai Ligamentiego, rozpoznasz go, gdy się z nim zetkniesz? Czy geniusz jest jedynie ponadprzeciętnymi zdolnościami, czy może jest, musi być, czymś więcej, jakąś jakością, a może rozdzielamy syntetyczny włos na czworo, a można to ująć odpowiednim wykresem, na przykład rozkładu Quartiera, tylko na której osi? Na której osi, Marcusie?

– Nie wiem, czy nadażam, pierwszy konsulu. – Marcus podał mu gotowane mięso.

– Widziałem, czym to naprawdę jest.

Janus nagle spochmurniał i opuściły go siły. Wziął mięso i zaczął je mechanicznie przeżuwać, zgarbiony.

– Geniusz? – podsunął Marcus w nadziei podtrzymania rozmowy.

Janus przełknął kęs.

– Uważasz, że jestem nadzwyczajny – powiedział szeptem. – Ona potrafiła zrobić wszystko to co ja i przyćmić mnie tak jak słońce świecę. Patrzenie na nią było jak spoglądanie w twarz przeznaczenia. Wiedziałem, że zmieni ten świat, obali królestwa i imperia, zmieni bieg historii. Wiedziałem. A potem...

Przeciągle westchnął i z powrotem opadł na poduszki.

– Pierwszy konsulu? – rzekł Marcus, chcąc podtrzymać rozmowę. – Czy rozmawiamy o Myi?

– Mya. – Janus powoli zamknął oczy. – Musimy jej pomóc, Marcusie. Przepadła w mroku. Cała ta moc stracona. Jesteśmy tak blisko. Jeszcze tylko trochę. – Zniżył głos do szeptu. – To tam jest, pod Elizjum. Mój demon...

Znieruchomiał i zamilkł.

– Pierwszy konsulu?

Marcus sprawdził puls Janusa, który oddychał płytko, lecz regularnie. Jednak czoło miał niepokojąco gorące. Marcus westchnął i zostawił resztę posiłku na stoliku przy łóżku, na wypadek gdyby Janus się obudził.

Przed namiotem czekała na niego Andy. Na mundurze miała plamy potu i krwi.

– Nic ci nie jest? – zapytał Marcus. – Wyglądasz, jakbyś zarzynała wieprze.

W innych okolicznościach taka uwaga byłaby w złym guście, ale Andy tylko ponuro zachichotała.

– Jedna z nich próbowała mnie złapać i zadźgałam ją. Cała się zakrwawiłam. A co z tobą? Jak twoja ręka?

Podniósł zabandażowaną kończynę. Ręka zaczęła go boleć, ale nie pokazał tego po sobie.

– To tylko draśnięcie. Nic mi nie będzie.

– A co z nim?

– Niedobrze – odrzekł Marcus. – Nie pogarsza mu się, ale nie może wiecznie być w takim stanie. Chudnie. A także... majaczy.

Mya. Janus nieustannie mówił o niej w malignie. Marcus nadal nie wiedział, czy była przyjaciółką, krewną czy kochanką, ani nawet, czy rzeczywiście istniała, lecz jej imię było jednym z niewielu słów, na które Janus reagował, gdy jego stan się pogarszał. On myśli, że ona czeka na niego pod Elizjum. Marcusowi przyszła do głowy dziwna myśl. Może ona jest demonem, którego on szuka?

– Do licha. – Andy pokręciła głową. – Myślisz, że Piekielnik dotarł?

– Nie mam pojęcia. Po prostu musimy wytrzymać jak najdłużej.

To powtórka Weltae. Marcus przez chwilę znów był w Khandarze, otoczony w starożytnej świątyni przez Odkupicieli, mogąc tylko wierzyć, że Janus przyjdzie mu z pomocą. Jednak tym razem Janus jest nieprzytomny i mogę liczyć tylko na Raesinię, pomyślał.

– Taak. – Andy miała niewyraźną minę. – Posłuchaj. Przez kilka ostatnich dni byłam na wałach...

– Wiem. Byłaś niesamowita.

– Dziękuję. – Nabrała tchu. – Nie utrzymamy się, Marcusie. W każdym razie niewiele dłużej. Nie wiem, czy to nastąpi jutro czy pojutrze, ale wedrą się tu, a wtedy będzie źle. Ludzi trzyma tu tylko świadomość tego, że nie mają dokąd uciec.

– Wiem.

Tylko tyle mógł wymagać od tych kilku batalionów zmęczonych, wymizerowanych żołnierzy. Kościane kobiety i ich łucznicy ponosili ciężkie straty za każdym razem, gdy przekraczali rzekę, ale mieli dostatecznie duże siły, by do każdego ataku posyłać nowe oddziały, odpierane przez tych samych wyczerpanych obrońców. Sytuację

pogarszało to, że obrońcy musieli opiekować się swoimi rannymi, uzupełniać lód na wałach i ściągać sterty zakrwawionych ciał z linii ognia.

– Musimy zrobić coś innego – powiedziała Andy. – Rozmawiałam z Vierą. Ona ma pewien pomysł, ale trochę... – Wzruszyła ramionami. – No cóż. Znasz Vierę.

Co oznaczało, że pomysł dotyczy jakiejś widowiskowej eksplozji.

– W tym momencie żadnego z góry nie odrzucam – stwierdził. – Wysłuchajmy go.

– To mi się nie podoba – sprzeciwił się pułkownik Morag. Był oficerem dawnej królewskiej armii, krępy i o kwadratowej szczęce, a w trakcie oblężenia stracił sporo tuszy. – Nie mogę żądać od moich ludzi, żeby walczyli w tak niebezpiecznych warunkach.

– I właśnie dlatego nic im nie powiemy – rzekła Andy. – Jeśli ktoś zapyta, wzmacniamy wał.

– To jeszcze gorsze – orzekł pułkownik. Spojrzał na Fitza. – Generale, nie może pan oczekiwać, że się na to zgodzimy. Zbyt wiele rzeczy może pójść źle.

Inni zebrani w namiocie wyżsi oficerowie przytaknęli mu cichym pomrukiem. Viera, która jasno i zwięźle przedstawiła im swój plan, teraz siedziała i spoglądała na nich z nieskrywaną pogardą. Fitz siedział obok Marcusa i Andy, jak zwykle z nieprzeniknioną miną.

– Generał kolumny uważa, że ten plan się powiedzie – rzekł.

– Z całym szacunkiem – odparł Morag – to generał kolumny nas w to wpakował. Gdybyśmy zostali przy moście, może zdołalibyśmy

go do tej pory odbudować. A tak...

– Ma pan lepszy plan, pułkowniku? – warknęła Andy. – Ponieważ teraz wygląda na to, że niebawem ugotują z nas zupę.

– Powinniśmy atakować – odparł natychmiast Morag. – Przełamać ich linię i oderwać się od wroga. Jeśli dotrzemy do lasu, większość z nas zdoła uciec.

– Uciec, żeby umrzeć z głodu w lesie – zareplikowała.

– Lepsze to, niż zginąć tutaj. Albo wylecieć w powietrze...

– Omówiłem ten plan z Janusem – powiedział spokojnie Marcus. – On uważa, że się powiedzie.

To uciszyło zebranych. Pułkownicy popatrzyli po sobie.

– Nie wspominał pan, że pierwszy konsul się ocknął – oskarżycielskim tonem rzekł Morag.

– Jest bardzo słaby – wyjaśnił Marcus. – Jednak ma... przebłycki świadomości. Przedstawiłem mu ten plan dziś po południu, kiedy dowiedziałem się o nim od Andy.

– Cóż... – Morag przełknął ślinę. – Jeśli pierwszy konsul to aprobeje, to chyba nie powinienem się spierać.

W ogóle nie powinienem się spierać, miał ochotę powiedzieć Marcus, ale się powstrzymał. Morag i pozostali najwyraźniej z trudem zachowywali wojskową dyscyplinę.

– Viera pokaże wam, co trzeba zrobić. Chcemy zachować to w tajemnicy, zrozumiano? – Jeśli wieść o tym się rozejdzie, nie wiadomo, jak to wpłynie na morale. – Jeżeli usłyszę jakieś plotki, wszyscy obecni w tym namiocie gorzko tego pożałują.

– Zrozumiano, generale – rzekł Morag.

Pozostali potwierdzili chórem.

– Viera, pokaż im, co trzeba zrobić.

– Tak jest, generale – powiedziała z przebiegłym uśmiechem Viera.

Wyprowadziła wyższych oficerów, pilnując ich jak owczarek.

– Czy Janus naprawdę... – zaczął cicho Fitz.

– Oczywiście, że nie – powiedział Marcus. – On nawet nie wie, gdzie się znajdujemy. Ale jeśli mieli uwierzyć, że ten plan się powiedzie... – Wzruszył ramionami i zmęczenie opadło na niego jak koc.

– Myślisz, że się powiedzie?

Marcus spojrział na Andy.

– Myślę, że w ten sposób zyskamy przynajmniej jeszcze jeden dzień.

– Zatem chyba nie ma co wybrzydzać. – Fitz wstał. – Jeśli pan wybaczy, generale...

– Idź. Odpocznij trochę.

Fitz skinął głową i opuścił namiot dowodzenia, jeśli ten maleńki namiocik zasługiwał na tę zaszczytną nazwę. Marcus został z Andy. Zmieniła koszulę na nieco mniej zakrwawioną, ale na płaszczu nadal miała brązowe plamy. Wisiał na niej jak na kołku; schudła tak samo jak Morag, chociaż nie miała z czego.

– Rano znów zaatakują – ostrzegła.

– Zapewne.

– Nawet jeśli to się uda, nie powstrzyma ich na długo – zauważyła Andy. – Może dzień dłużej.

– Prawdopodobnie.

– A więc wszyscy umrzemy.

Marcus westchnął.

– Prawdopodobnie.

– W porządku. – Andy nabrała tchu, odetchnęła i rozprostowała ramiona. – Dlaczego już mnie to tak nie przeraża?

– Ponieważ jesteś zmęczona – rzekł Marcus. Sam niejedną raz był w takim stanie. – Kiedy człowiek jest bardzo zmęczony, śmierć wydaje się szansą na odpoczynek.

– Święci i przekłeci męczennicy. – Andy potrząsnęła głową. – Wciąż śpisz w namiocie Janusa?

– Ktoś musi się nim zajmować.

Skinęła głową.

– Mam teraz swój namiot. Jakiś porucznik dostał strzałę i nikt nie protestował, kiedy zajęłam jego kwaterę. – Przechyliła głowę. – Możesz do mnie dołączyć.

Marcus zamrugął.

– Nie brakuje mi tam miejsca, jeśli to masz na myśli...

Andy westchnęła i na klęczkach pokonała dzielącą ich odległość, po czym usiadła tuż przed nim.

– Marcusie – powiedziała. – Proszę, uważnie mnie wysłuchaj.

– Dobrze.

Odkasznęła.

– Czy ty... – wskazała go palcem – chciałbyś pójść ze mną do mojego namiotu i... – Pokazała palcem siebie, a potem zrobiła obsceniczny gest.

– Och. – Przełknął ślinę. – Posłuchaj, Andy, ja nie... to znaczy...

– Wiem, wiem. Jesteś dwa razy starszy ode mnie. Nie patrzysz na mnie w ten sposób. Jesteś moim dowódcą. Ble, ble, ble. –

Wzruszyła ramionami. – To mogłoby wydawać się ważne, gdybyśmy wszyscy nie mieli umrzeć jutro lub pojutrze. A tak mogę przyznać, że trochę zadurzyłam się w tobie w Vordanie. Jeśli to ma być nasza ostatnia szansa, to pomyślałam, że zapytam.

– Nie w tym rzecz. No, chcę powiedzieć, że pewnie tak jest. Ja tylko... – Marcus bezradnie rozłożył ręce. – Nie wiem. Jednak nie mogę.

– W porządku – powiedziała. – Na pewno kogoś znajdę. W końcu Viera i ja jesteśmy jedynymi kobietami w obozie, a nie wszyscy mają takie preferencje jak Fitz. – Przygładziła włosy. – Po prostu pomyślałam, że złożę ci tę propozycję.

– Dziękuję. To... chyba mi pochlebia.

Prawdę mówiąc, Marcus spodziewałby się, że będzie bardziej zgorszony. Chyba i na to jestem zbyt zmęczony, pomyślał.

Andy uśmiechnęła się.

– Tylko nie przychodź do mnie z płaczem, kiedy umrzemy.

Wstała i pochylając się w niskim namiocie, ruszyła do wyjścia.

– Zobaczymy się rano – pożegnał się.

– Dobranoc, Marcusie. – Andy przystanęła i obejrzała się. – Naprawdę nie wiesz, dlaczego nie możesz, czy tylko tak mówisz?

– Andy... – Marcus potrząsnął głową. – To po prostu wydaje się... niewłaściwe. Ja...

– Pytam – przerwała mu – ponieważ tak jak ja to widzę, to najzupełniej oczywiste. Jesteś zakochany w królowej, prawda?

Janus nadal spał, gdy Marcus wrócił do ich namiotu, żeby rozłożyć poślanie w kącie i zdjąć buty.

Jesteś zakochany w królowej, prawda?

Przecież nie mogę...? Zapewne, patrząc z boku, mogło to tak wyglądać. Raesinia była mądra, zabawna i śliczna. I czasem, kiedy na mnie patrzy, niemal myślę...

Tylko że to królowa Vordanu. Tak jakby ktoś powiedział, że jesteś zakochany w księżycu.

Ostrożnie badał swoje uczucia, jakby niepewnie stawiał kroki w ciemności. Czy mogę sobie wyobrazić, że trzymam ją w ramionach? Całuję ją? Pieszczę? Czy naprawdę tego pragnę?

Nie udawało mu się. Nawet w najdziwniejszych fantazjach nie wyobrażał sobie, że królowa Vordanu i Marcus d'Ivoire mogliby być razem. To było zbyt absurdalne.

Jednak...

Kiedy zapominał, choć na moment, że ona jest królową, wszystko się zmieniało. Była kobietą w czerwonym mundurku kuriera, która razem z nim dostała się do budynku Giełdy, żeby wyważyć drzwi, kryć się przed strażnikami i zanosić się śmiechem, kiedy było po wszystkim. Kobieta, która stała na pokładzie Rosnika ze sztyletem Kapłana Czerni na szyi i zażądała, żeby uciekał bez niej. Kobieta, która tak uważnie słuchała, gdy wyjaśniał jej zasady strategii i taktyki, ponieważ chciała nauczyć się wszystkiego, co pomogłoby jej pełnić obowiązki władczyni.

Kobietą, która przysłała do niego w środku nocy ze sztyletem i wyjawiała tajemnicę, której niemal nikt nie znał.

Mógłby ją objąć, pocałować. Raesinię. Nie królową Vordanu, ale człowieka.

Może Andy ma rację.

– ...przysięgam – wymamrotał Janus. – Znajdę cię. Nawet

gdybym musiał walczyć z samą Bestią, sprowadzę cię z powrotem. Będiesz wiodła takie życie, jakie powinnaś wieść. To ja powinienem być w tej ciemności. Powinienem... – Obrócił się na drugi bok, wciąż z zamkniętymi oczami. – ...nie tam – mamrotał. – Nie u Magów, nie w Khandarze. To musi być tam. Jedyne miejsce. Elizjum...

Zachrapał i znów ucichł. Marcus położył się na swoim pośłaniu, słuchając płytkiego oddechu Janusa, i zamknął oczy.

Jeśli znów zobaczę Raesinię, obiecał sobie, powiem jej.

W tych okolicznościach wydawało się to raczej mało prawdopodobne.

– Na jaja pierdolonej Bestii – zaklął Marcus, patrząc na południowy brzeg rzeki. – Skąd się ich tyłu wzięło, do diabła?

– To chyba prawie wszystkie ich siły – orzekł Fitz, obserwując oddziały oszczepników i łuczników formujące szyk na drugim brzegu. – Nie pozostawili żadnych oddziałów w odwodzie.

– Co się zmieniło? – Marcus z niepokojem uświadomił sobie, że ataki przypuszczone przez miniony tydzień były stosunkowo słabe, przeprowadzane zaledwie kilkutyśięcznymi siłami. Teraz było inaczej; szacował, że co najmniej piętnaście tysięcy plemieńców szykuje się do przeprawy przez rzekę, a nie wiadomo ilu siedzi w lesie lub na końskich grzbietach szykuje się do uderzenia z flanki.

– Może po prostu zmęczyło ich czekanie – zauważył Fitz.

– Miałem nadzieję, że prędzej zmęczą się umieraniem. – Marcus pokręcił głową. – To aż tak bardzo im nie pomoże. Bród nie jest dostatecznie szeroki, żeby cała ta horda uderzyła na nas

jednocześnie.

– Podejrzewam, że nie cofną się, kiedy oberwą – rzekł Fitz. – Ktokolwiek tam dowodzi, chce naszej śmierci i nie przejmuję się tym, ilu straci przy tym ludzi.

– Święci i cholerni męczennicy. – Marcus westchnął. – Dobrze. A więc zaczynamy. – Spojrzał za wał, gdzie Viera i jej artylerzyści szykowali działa do salwy. – Kapitanie Galiel!

– Tak? – odkrzyknęła, osłaniając oczy dłonią, żeby go zobaczyć.

– Wszystko gotowe?

Skinęła głową.

– A porucznik Cosk wie, co robić, gdyby coś mi się stało. Zostawiłam go przy odwodzie.

Dobry pomysł. Marcusowi nie przyszło to do głowy, ale istotnie dowodząca za wałem artylerzystami Viera była narażona na ogromne niebezpieczeństwo. Odwrócił się i zobaczył wchodzącą na wał Andy.

– Nadciągają – powiedział. – Piekielnie ich dużo.

– Nie żartujesz. – Andy cicho gwizdnęła.

– Postaraj się trzymać z tyłu – radził jej. – A jeśli zaczniesz to kiepsko wyglądać... Znacząco spojrzał na lód pod swoimi nogami.

– Wierz mi, staram się o tym nie myśleć – powiedziała Andy.

– Jeśli przeżyjemy – rzekł Marcus – przypomnij mi, że mam ci podziękować.

– Za co?

– Za coś, co powiedziałaś wieczorem – odparł. – To... wyjaśniło sytuację.

– Znasz mnie – powiedziała pogodnie. – Zawsze wyjaśniam

sytuację.

– Ruszyli – oznajmił Fitz. – Lepiej chodźmy do odwodów.

Marcus klepnął Andy w ramię i poszli. Środek obozu znajdował się na wzniesieniu wyższym niż wał od strony rzeki, tak więc punktem dowodzenia był po prostu stary wóz bez kół, stojący na kilku skrzyniach z sucharami. Z tej wysokości mogli widzieć zbocze za wałem i znajdujący się w dole bród, gdzie kościani ludzie już brodzili w lodowatej wodzie. Oszczepniczki podzieliły się na liczne gromady po parę tysięcy zbrojnych, rozciągnięte teraz w długą wąską kolumnę idącą całą szerokością brodu. Pomiedzy nimi były spore odstępy, tak więc miały falami uderzać na vordanajską linię obrony. Między oddziałami piechoty szli łucznicy.

– Sprytnie – zauważył Fitz. – Jeśli jeden oddział pójdzie w rozsypkę, ucieknie, nie wpadając na idący za nim, co by się zdarzyło, gdyby szli w zwartym szyku.

– I są nieco trudniejszym celem dla naszych dział. – Marcus zmarszczył brwi. – Będzie źle.

Nie żebym w ogóle miał nadzieję, że może być inaczej, dodał w myśli.

Viera rozpoczęła ostrzał kulami, które orały płytką wodę i wzbijały ogromne fontanny. Nie wyrządzały zbyt wielkich szkód idącym w luźnym szyku oddziałom, lecz jak wspomniała Marcusowi poprzedniego wieczoru, oszczędzanie amunicji nie miało sensu. Kiedy idące na przedzie oddziały oszczepniczek zbliżyły się na odległość pięciuset metrów, artylerzyści nabili działa kartaczami i ostrzał stał się skuteczniejszy. I znów zmasakrowane ciała padały w wodę lub bezwładnie odpływały z prądem.

Artylerzyści Viery strzelali do ostatniej chwili, śląc podwojone

ładunki kartaczy w szeregi wroga, aż nacierające oszczepniczki prawie ich dopadły. Niejeden z nich padł trafiony strzałą lub po prostu zbyt wolno uciekając za wał. Może jednak dzięki ich odwadze pierwszy szereg kościanych kobiet bardzo stopniał, zanim dotarł do wału, pokrytego świeżą warstwą lodu uzupełniającego ubytki po poprzednim ataku. Strzały więzły w brezentowych okapach, które obwisły pod ich ciężarem. Niektóre pociski przeleciały przez szpary i trafiły paru obrońców, ale nierówne salwy z muszkietów oddane zza wału szybko rozproszyły pierwszą falę atakujących. Niebawem zaczęli uciekać z powrotem do brodu, przez idącą w luźnym szyku drugą falę. Marcus miał nadzieję, że to zniechęci nowych napastników, lecz ci tylko odprowadzali szyderczymi okrzykami uciekających.

– Biali jeźdźcy sprawiają kłopoty, jak zwykle. – Fitz wskazał na północ, gdzie pojawili się wojownicy w białych płaszczach na swych kucach, żeby nękać tyły twierdzy. Nie było ich tylu, żeby mogli spróbować bezpośredniego ataku, lecz ich nieustanne wypady nie pozwalały obrońcom ściągnąć stamtąd żołnierzy na wał znajdujący się naprzeciw brodu.

– Dranie tylko czekają, aż odezwą się nasze działa – prychnął Marcus. – Wiedzą, że nie mamy kawalerii, żeby ich ścigać.

Fitz skinął głową.

– I nie widzimy murnskajskich kirasjerów. Zastanawiam się, czy nadal tam są.

– Nie, jeśli mają odrobinę rozumu – mruknął Marcus. – Nic tu po nich.

W duchu odmówił dziękczynną modlitwę za to, że murnskajscy sprzymierzeńcy kościanych ludzi najwidoczniej nie mieli ani

jednego działa. Nawet najmniejsze działo polowe rozbiłoby umocnienia ze śniegu i lodu, jakby były zrobione z zapalek.

Druga fala kościanych kobiet ruszyła do ataku, omijając stojące grupki łuczników, którzy odpowiadali na ostrzał z muszkietów. Jak zwykle nieprzyjaciel ponosił znacznie cięższe straty, nie mając osłony ani broni palnej, lecz nadrabiał to ogromną przewagą liczebną. Marcus zobaczył, jak Andy krzyczy coś i wymachuje mieczem; muszkietnicy zaczęli ostrzeliwać oszczepniczki przechodzące przez bród. Nie było dość czasu, żeby Viera i jej kanonierzy mogli wrócić do dział, tak więc druga fala zbliżająca się do wału nie napotkała śmiertelnościanego gradu kartaczy. Chmura prochowego dymu opadła i spowiła kościane kobiety, gdy dotarły do podnóża i znów zaczęły wbijać w lód toporki, noże lub drewniane kołki, mające ułatwić wspinaczkę.

Walcząc z desperacką furją, obrońcy powstrzymali atak i wyparli oszczepniczki z tych części wału, na które zdołały się wdrzeć. Druga fala wciąż kłębiła się u podnóża wału, gdy nadciągnęła trzecia i ich połączone siły oraz grad strzał zepchnęły Vordanajów w tył. Fitz bez słowa poprowadził odwód do kontrataku. Wbiegli po pochylniach i wpadli na wroga falą błyskających bagnatów. Jeszcze raz oszczepniczki zostały wyparte z wału. Jednak tym razem, pokrzepione świadomością, że za nimi nadciągają nowe oddziały, nie poszły w rozsypkę, tylko spróbowały ponownie, zbitym wrzeszczącym tłumem, powstrzymywanym tylko kilkumetrowym wałem ubitego śniegu i lodu. Atakowały raz po raz, a ciała poległych obrońców były wdeptywane w błoto u podnóża wału lub bezceremonialnie odciągane na bok, żeby zrobić miejsce dla żołnierzy odwodu.

Jeszcze jeden rzut kośćmi, zanim postawimy wszystko na jedną kartę. Ta myśl wywołała przelotny uśmiech Marcusa. Skinął na Fossarda, chirurga pułku, który wraz ze swymi asystentami zaczął krążyć między rannymi, prosząc i namawiając. Marcus wyjął szablę i uniósł ją nad głowę, jako drogowskaz. Po chwili zaczęli się zbierać wokół niego: ludzie z obandażowanymi lub amputowanymi kończynami. Wszyscy, którzy jeszcze mogą chodzić, powiedział Marcus, i chirurdzy wzięli to dosłownie. Kilku osunęło się na śnieg, a inni nie mieli siły, by utrzymać broń w rękach. Pozostali wzięli muszkiety z zatkniętymi na lufy bagnetami lub włócznie ze sterty leżącej obok Marcusa, po czym sformowali namiastkę szyku. Bardziej przypominali gromadę zbójców niż regularne wojsko, ale pomimo to Marcus zasalutował im i usłyszał w odpowiedzi chóralny bojowy okrzyk.

Zapewne był to odpowiedni moment na krzepiącą przemowę, ale on nigdy nie był w tym dobry, a ponadto jego słowa i tak utonęłyby w brzęku stali i grzechocie muszkietów oraz przeraźliwych wrzaskach. Marcus opuścił szablę, wskazując nią na wał, i zeskoczył z wozu. Nie ma sensu zostawać na stanowisku dowodzenia, kiedy nie ma już czym dowodzić.

Pobiegł, zmierzając tam, gdzie linia obrony słabła. Ludzie za nim, kilkuset rannych i chorych, wydali okrzyk, którego nie powstydzilaby się dwukrotnie liczniejsza gromada. Kościane kobiety stawily im czoło w straszliwym szczęku włóczni i bagnetów rozdzierających ciała. Marcus uchylił się, unikając zderzenia z wojowniczkami w pierwszym szeregu, po czym wyprostował się i zaczął siec szablą na prawo i lewo. Trysnęła krew i jego ludzie wpadli w powstałą wyrwę, tłukąc pięściami i łokciami, gdy w tłoku

nie mogli użyć broni.

Czas znikł w czerwonej mgle. Był tylko ocean ludzkich ciał, mężczyzn i kobiet, Vordanajów i kościanych ludzi, czasem stłoczonych tak, że ledwie mogli oddychać, a czasem mających dość swobody, aby robić uniki i zadawać ciosy. Z początku walczyli na pochylniach, ale krok za krokiem spychali nieprzyjaciela na wały. Niektóre kobiety zeskakiwały, ryzykując skok między zaostrome kołki i ciała, żeby uciec. Atak się załamuje, uświadomił sobie Marcus.

Nagle, z ochryplym wrzaskiem nowa fala oszczepniczek runęła na wały. Spojrzawszy za nie, Marcus zobaczył, że czwarta fala przystanąła, czekając na piątą, i obie jednocześnie dopadły wału. obrońcy byli zmęczeni, a te nacierające gromady nie ucierpiały od ostrzału w trakcie podejścia; były wypoczęte i żądne krwi, z łatwością więc przedarły się przez vordanajską linię obrony.

W ogniu walki i rozpaczliwie pragnąc wydostać się z opresji, niektórzy zapomnieli, że nie mają dokąd uciec. Pojedynczo lub parami, a potem całymi grupkami cofali się, walcząc, lub rzucali broń i usiłowali ratować życie ucieczką. Niektórzy oficerowie próbowali ich zatrzymać, wyzywając od tchórzki i grożąc, a inni po prostu dołączyli do pierzchających. Tych, którzy pozostali na stanowiskach, szybko otoczyły i usiekły kościane kobiety, chcące jak najszybciej dostać się za wał.

Marcus, wciąż z mieczem w dłoni, ciął w brzuch jedną z nich i zeskoczył z wału, zanim jej towarzyszka zdążyła ominąć padającą. W pobliżu zobaczył Vierę, a przy niej dwóch kanonierów używających długich stempli jak włóczni. Trzymała zapaloną pochodnię i gdy ich spojrzenia się spotkały, Marcus ruchem głowy

wskazał podnóże wału. Zrób to.

– Andy! – krzyknął niemal bezgłośnie w zgiełku. – Wycofaj się! Wszyscy do tyłu!

Viera pochyliła się i przeciągnęła pochodnię po lonce, po czym odrzuciła ją na bok, kiedy się zapalił. Obróciła się na pięcie i pobiegła, na swych długich nogach szybko doganiając uciekających żołnierzy. Marcus trzymał się z tyłu, szukając Andy. Fitz krzyknął coś do niego z gromady żołnierzy cofających się wolniej i składniej, ale Marcus nie zrozumiał i tylko pomachał mu ręką.

W końcu zobaczył Andy, zeskakującą z wału z kilkoma ostatnimi Vordanajami. Krew z rozciętego policzka zalała jej twarz, lecz jej miecz nadal błyskał, odbijając zadawane z góry pchnięcia. Towarzyszący jej żołnierze rzucili się do ucieczki, ale ona zatrzymała się, patrząc na coś. Marcus zobaczył, jak otwiera usta, rzucając jakieś przekleństwo. Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył, że skrzący się i syczący lont zgasł.

– Andy! – Marcus zahamował z poślizgiem, rozpryskując śnieg.
– Viera, Fitz, lont zgasł! Musimy...

Jednak nie było już czasu, żeby coś zrobić. Kościani ludzie wdarli się na wał i zwycięskie oszczepniczki rozbiegły się po prowizorycznej fortecy, atakując od tyłu pozostałe trzy wały. Nic nie mogło ich powstrzymać. Wszyscy umrzemy.

Andy rzuciła się szczupakiem, przetoczyła po śniegu i wstała, trzymając w dłoni pochodnię Viery. Żagiew zapłonęła żywiej, podsycona ruchem powietrza. Andy pobiegła wzdłuż lontu, szukając miejsca, w którym zgasł. Nie zauważyła kościanej kobiety – dzikookiej, z włosami zlepionymi krwią i pobrzękującymi

amuletami – dopóki nie było już za późno. Stalowy grot wbił się w brzuch Andy i wyszedł przez plecy, zboczony krwią. Wojowniczką wyrwała broń z rany, z której trysnęła krew, po czym zaczęła szukać następnej ofiary, gdy Andy osunęła się na kolana.

– Andy! – przeraźliwie krzyknął Marcus.

Zobaczył, że odwróciła głowę, spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się. Potem obróciła się i popatrzyła na lont, znikający w ciemnym otworze w śniegu. Padając, cisnęła pochodnię, która przekoziółkowała, zataczając szeroki łuk w powietrzu, wpadła do otworu i znikła.

Moment ciszy, a potem świat pobiełał.

Proch strzelniczy był jedyną rzeczą, której Wielka Armia miała aż za dużo, i znaczną część tych zapasów zostawiła wraz z pierwszą dywizją. Viera zabrała tyle, ile mogła, a teraz jej kanonierzy zakopali dębowe beczki z prochem pod południowym wałem, wygarnawszy śnieg. Baryłki te obłożyli wyjętymi z kartaczy ołowianymi kulami, lecz okazały się zbyt cennym dodatkiem. Potworny wybuch rozerwał warstwę lodu na wale, w ułamku sekundy zmieniając ją w milion śmiercionośnych odłamków. Skosiły one zbitą masę kościanych kobiet na przedpolu, wiwatujące oszczepniczki i łuczników na wale oraz rannych Vordanajów, którzy nie zdołali w porę uciec. Eksplozja uniosła śnieg na setki metrów w górę, białą ścianą, która w następnej chwili znikła w skłębionej chmurze czarnego dymu. Porozrzucała działa Viery jak dziecięce zabawki, rozbijając je i strącając do rzeki. Czekające na drugim brzegu tłumy kościanych ludzi pierzchły, ratując życie.

Marcus siedział na wozie, patrząc na krater ziejący w miejscu, gdzie przedtem był południowy wał jego fortecy. Pozostali przy życiu żołnierze pierwszej dywizji byli oszołomieni nieoczekiwanym ocaleniem; siedzieli grupkami, patrząc, albo cicho rozmawiali, z nabożnym podziwem. Biali jeźdźcy też zrejterowali, przestraszeni wybuchem.

Jednak wróca, pomyślał Marcus. To nie wystarczy. W wyniku eksplozji i kontrataku, który Vordanajowie przypuścili na pozostałych przy życiu nieprzyjaciół, zginęła większość kościanych ludzi, którzy wdarli się do fortecy. Powiedzmy, pięć lub sześć tysięcy, szacował. Nadal jednak były ich dziesiątki tysięcy, a Marcusowi już brakowało ludzi, żeby obsadzić wały, nawet gdyby były całe. A nie są. Oszołomieni i wstrząśnięci ocalali w żaden sposób nie zdołają przez noc naprawić szkód, a rano kościani ludzie przypuszczą następny atak.

Andy i Viera miały rację. Zyskaliśmy jeden dzień. Popatrzył na słońce, które już dotykało horyzontu. Jego blask powoli zaczynał się złocić. Cokolwiek dobrego nam to da.

Andy...

– Generale? – powiedział Fitz. – Czy chcesz, żeby moi ludzie zaczęli naprawiać wał?

– Nie mamy na to czasu.

– Nieprzyjaciół może wstrzyma ataki. Jeśli przez jeden dzień dadzą nam spokój...

– Nie dadzą. – Marcus westchnął. – Daj ludziom odpocząć, Fitz. Zasłużyli na to, nie sądzisz?

– Tak jest, generale – rzekł Fitz i po chwili dodał: – Przykro mi, generale. Była dobrym żołnierzem.

– Pewnie nie zgodziłaby się z tym – odparł z nikłym uśmiechem Marcus. – Jednak masz rację. Ostatecznie nie chodzi tylko o sprężyste salutowanie i błyszczące buty.

Fitz, zawsze służbisty i elegancki, zachował dyplomatyczne milczenie.

Jak zwykle, Marcus miał poczucie winy z powodu swego żalu. Tego dnia zginęły tysiące ludzi, których poprowadził do walki, a on nawet nie znał ich nazwisk. Jednak nie przebywał tak blisko nich, nie widział, jak opłakują poległych przyjaciół, nie znał ich. Ta jedna znajoma twarz wydawała mu się ważniejsza od tysiąca anonimowych, chociaż wiedział, że tak nie powinno być.

Słońce powoli zapadło za horyzont i niebo zmieniło barwę z pomarańczowej na czarną. Ludziom zaczęło być zimno, co wyrwało ich z odrętwienia. Nawet jeśli rano mieli zginąć, musieli jakoś przetrwać noc: rozpalić ogniska, ugotować posiłek lub – w przypadku nielicznych szczęściarzy – wypić resztę zachowanego na taką chwilę trunku. Ciekawe, czy wybuch zbudził Janusa i co on sobie pomyślał. Marcus był pewny, że gdyby pierwszy konsul nadal dowodził, znalazłby jakieś lepsze rozwiązanie. On jednak śni o Myi, kimkolwiek ona jest.

– Marcus! – W pierwszej chwili pomyślał, że ten głos jest częścią jego rozmyślań. – Marcusie, czy to ty?

– Pierwszy konsul? – Marcus odwrócił się i ujrzał stojącego na śniegu Janusa, w butach, szlafroku i narzuconym na ramiona płaszczu. – Pierwszy konsulu, nie powinno tu pana być! Jest pan niezdrów!

– Marcusie! – Janus ostrożnie wszedł na wóz. – W innych okolicznościach przyznałbym ci rację, ale chyba wydobrzałem... –

Stracił równowagę i zachwiał się, lecz Marcus pospiesznie złapał go za ramię. – Przynajmniej w pewnym stopniu – dodał potulnie. – A ponieważ nikt do mnie nie przyszedł, pomyślałem, że przejdę się i zobaczę, co to za zamieszanie. – Machnął ręką. – To ładna forteca, ale chyba brak jej jednej ściany.

– Musieliśmy ją wysadzić – wymamrotał Marcus, z malującym się na twarzy poczuciem winy i zdumieniem. – Pierwszy konsulu, naprawdę lepiej się pan czuje?

– Podejrzewam, że całkowity powrót do zdrowia zajmie mi trochę czasu – przyznał Janus. – Jednak tak, w tym momencie.

Widocznie Ihernglassowi się powiodło. Marcus już dawno spisał na straty Winter i jego kompanię. Boże Wszechmogący, przez ten czas mogli dotrzeć do Elizjum i wrócić!

Skoro Janus jest przytomny, to może... jednak nie. Nawet Janus nie jest cudotwórcą. Obojętnie kto będzie dowodził, z tymi siłami, jakie pozostały, w żaden sposób nie zdołają odeprzeć następnego ataku kościanych ludzi. Marcus zgarbił się.

– Ja... jestem rad, pierwszy konsulu – rzekł w końcu. – Chciałbym mieć dla pana lepsze wieści. Mogę jednak tylko zaproponować, żebyśmy zginęli razem, walcząc.

Janus odpowiedział z tym swoim przelotnym uśmiechem:

– Szlachetna propozycja, Marcusie. Ale w tym wypadku nieco przedwczesna. Oto, co przyszedłem ci pokazać. – Wskazał coś w ciemności. – Widzisz?

Marcus ze znużeniem spojrzał we wskazanym kierunku. Nagle, w ciemniejącym paśmie drzew na południu dostrzegł jasny błysk, a potem następne. Dwa długie, jeden krótki, jeden długi...

– To pstrykacz – szepnął.

– Istotnie. – Janus uważnie przyglądał się rozbłyskom. –
Odczytałem tylko fragment wiadomości, ale to...

Jednak to wystarczyło Marcusowi. Ciężar spadł mu z piersi.

– To Raesinia.

CZEŚĆ CZWARTA

Cień

Nie wierzę w to – rzekł diuk Orlanko. – To na pewno pomyłka.

– Żadna pomyłka – odparł Ionkovo. Ty nędzny tchórz, dodał w myślach. – Mamy raporty z kilku źródeł i wszystkie mówią to samo. Vhalnich oraz d'Ivoire żyją i zmierzają na południe.

– Znowu. – Nalana twarz Ostatniego Diuka spurpurowiała z wściekłości, dopasowując się kolorem do jego szaty. Okulary przekrzywiły mu się na nosie. – Czy w żaden sposób nie pozbędziemy się tych heretyków? To ty mi mówiłeś, że się z nimi rozprawicie! – zaatakował Penitenta.

– Tak poinformował mnie pontifex. Jednak Vhalnich już wcześniej okazał się trudnym przeciwnikiem.

Nie zamierzał mówić Orlance, że teraz już nie otrzymuje żadnych wieści z Elizjum. Musiało się tam stać coś bardzo niedobrego.

Przez miniony miesiąc tkwił tutaj, niańcząc byłego arcyszpiega. Jego zdaniem wstrząśnięty rewolucją Ostatni Diuk stracił poczucie rzeczywistości i od tej pory coraz bardziej pogrążył się w złudzeniach. Niestety pontifex Czerni chciał uczynić go marionetkowym władcą Vordanu, tak więc rozkazał Penitentowi stać u jego boku.

– Gdyby Dorsay tak ochoczo nie szedł na ugodę, Vhalnich nie

miałby armii, do której mógłby wrócić – pinił się Orlanko. – Przeklęty zdrajca.

– Mamy go usunąć? – spytał Ionkovo i ostentacyjnie ziewnął.

– Jeszcze nie. Niech pomyślę.

Usiadł za tandetnym drewnianym biurkiem. Armia Dorsaya zajęła Polkhaiz, ale ta nędzna dziura nie miała do zaoferowania żadnej porządnej kwatery. Jedyнным ładnym budynkiem była rezydencja burmistrza, a tę Dorsay zajął na swoją siedzibę. Orlance przypadł lokal, w którym dawniej znajdował się sklep; frontowy pokój nadal śmierdział pikłami i pastą rybną.

– Samo usunięcie Dorsaya nie wystarczy – mruknął Orlanko. Krzesło zaskrzypiało pod jego ciężarem. – Jest tylko narzędziem tych w Borelu, którzy chcą pokoju za wszelką cenę. Jeśli go zabijemy, a Vhalnich wróci do Vordanu, wcale nie zbliżymy się do naszego celu.

– Jeśli Vhalnich zawrze pokój i wróci do Vordanu, jeszcze bardziej się od niego oddalimy – przypomniał Ionkovo. Choć może wtedy pontifex by przyznał, że nie jesteś już potrzebny, pomyślał.

– Istotnie. Musimy pozbyć się ich wszystkich jednocześnie. Dorsaya, Vhalnicha, d'Ivoire'a i królowej. Wszystkich. – Orlanko spojrzał na niego oczami nagle powiększonymi przez szkła okularów. – Kiedy wrócą do swojego obozu?

– Powiedziano mi, że jutro – odrzekł Ionkovo.

– Dobrze. Moi ludzie będą gotowi.

Ionkovo powstrzymał drwiący uśmiech. Orlanko szumnie zapowiadał odbudowę swojego ukochanego Konkordatu, ale dotychczas zdołał tylko zebrać kilkuset łotrów i najemników w portach Podzielonego Wybrzeża. Wyglądali groźnie w czarnych

płaszczach, ale brakowało im umiejętności i zdyscyplinowania pracowników dawnego Ministerstwa Informacji. Zapewne będą dobrym mięsem armatnim.

– Załatwimy wszystkich razem – mruknął pod nosem Orlanko, a potem znów spojrzął na Penitenta. – Wybierz zespoły. Chcę, żeby pojutrze Vhalnich, d'Ivoire i Dorsay byli martwi, a Raesinia w worku u moich stóp.

W końcu. Ionkovo uśmiechnął się leniwie.

– Jak wasza łaskawość sobie życzy. Czy jeszcze coś?

Tego wieczoru Ionkovo przemknął przez niewidzialny świat półmroku i dotarł do lasu koło Polkhaiz. Małe obozowe ognisko rzucało długie, ruchliwe cienie, więc wyłonił się z jednego z nich w kręgu światła.

Siedzący przy ognisku mężczyzna nie zdziwił się na jego widok. Blask ognia zapalał na jego twarzy setki punkcików, odbitych w kawałeczkach czarnego szkła tworzących obsydianową maskę.

– Cień – powiedział. Mówił po murnskajsku z akcentem dobrze wykształconego członka hamveltajskich wyższych sfer.

– Lustro – rzekł Ionkovo. – Coś nowego?

– Lasy są tak samo puste jak wczoraj i przedwczoraj – odpowiedział Lustru tonem głosu zdradzającym, że jest równie zniecierpliwiony jak on.

– Orlanko wreszcie postanowił działać – rzekł Ionkovo. – Jutro w nocy, gdy Vhalnich wróci. Mamy załatwić jego, królową, d'Ivoire'a i Dorsaya.

– To naprawdę powinno nieźle namieszać – zauważył Lustru.

– Posłuży naszym celom. W najgorszym razie doprowadzi do starcia Borelgajów z vordanajską armią. Nawet po usunięciu Vhalnicha musimy nadal toczyć wojnę, żeby odzyskać Tysiąc Imion i oczyścić Vordan z herezji.

Lustro skinął głową.

– A zatem dokąd mam się udać?

– Zauważą zbliżających się ludzi Orlanki – powiedział Ionkovo.

– Gdyby Vhalnich nie miał swoich szpiegów w naszym obozie, nie byłby tak dobrym strategiem, za jakiego jest uważany. Tylko że oni nie wiedzą, że ty tu jesteś. – Wydał usta. – D'Ivoire się nie liczy. Ja zajmę się królową, a ty Dorsayem. Potem razem poradzimy sobie z Vhalnichem. Ihernglass wciąż jest zaginiony i nigdzie nie widzę Khandarczyka. Jeśli Vhalnichowi zostały jeszcze jakieś demony, to z pewnością będą przy nim.

– Rozumiem. A co potem?

– Zabierzesz naszego przekaziciela i wrócisz do Elizjum. Orlanko zajmie się resztą. – Albo wszystko spieprzy, ale to mnie nie obchodzi. Do diabła, ja tylko muszę odkryć, co się tu dzieje.

– Kolejna podróż przez lodowe pustkowia Murnska – rzekł smętnie Lustro. – Nie mogłem się tego doczekać.

Osiemnaście

Raesinia

Marcus!
Raesinia miała ochotę zerwać się z krzesła i uściskać go. Nawet zastanowiła się, czy tego nie zrobić, ale zrezygnowała. Częściowo dlatego, że chociaż drobnej budowy ciała, chyba go przewróciła. Marcus był szczuplejszy niż zwykle, twarz miał ściągniętą i szarą, a zawsze schludnie przystrzyżoną brodę długą i zmierzwioną.

– Wasza Królewska Mość – powiedział i z tak oczywistym utęsknieniem spojrzął na wolne krzesło, że Raesinia pospiesznym skinieniem pozwoliła mu usiąść. Opadł na nie z charakterystycznym wahaniem człowieka, który długo siedział w siodle.

Znajdowali się w jednym z pokoi na piętrze kamiennej gospody na północnym brzegu Syzrii, tuż przy moście wiodącym do Polkhaiz. Główne siły Wielkiej Armii obozowały kawałek dalej na północy, ale po rozpoczęciu negocjacji z Dorsayem Raesinia przeniosła się tutaj. Ta decyzja miała symboliczną wymowę, a ponadto gospoda, chociaż skromna, była znacznie wygodniejszą kwaterą od namiotu. No i tutaj jestem poza zasięgiem generałów, gdyby któryś z nich wpadł na jakiś głupi pomysł, myślała zadowolona. Na piętrze była jedna duża sypialnia i kilka

mniejszych, a wszystkie, połączone z salonem, tworzyły apartament dla bogatych podróżnych i ich służby.

Mundur Marcusa był równie poszarzały jak jego twarz, pokryty pyłem drogi i poplamiony potem. Tu i ówdzie nieco ciemniejsze plamy znaczyły miejsca po spranej krwi, a jedną rękę wciąż miał owiniętą bandażem. Raesinia skinęła na służącą, która bezszelestnie podeszła z karafką wina i kielichem. Marcus popatrzył na te naczynia, jakby zapomniał, do czego służą, lecz gdy nalano mu ciemnoczerwonego trunku, wychylił go niemal konwulsyjnym ruchem.

– Dobrze – pochwalił. Zacerpnął tchu i spojrzał na nią. – Przepraszam za mój stan, Wasza Królewska Mość. To była długa jazda, a przedtem...

– Nieważne. – Raesinia podniosła swój kielich. Wino istotnie było dobre, następny prezent od Dorsaya. – Cieszę się, że jesteś cały.

– Mało brakowało – powiedział Marcus. – Nawet nie zdawałem sobie sprawy jak niewiele. Pułkownik Reinhardt musiał przedrzeć się przez pół regimentu murnskajskich kirasjerów, żeby uderzyć na kościanych ludzi od tyłu. To bardzo dzielny człowiek. – Marcus pokręcił głową. – Jak się miewa Piekielnik? Powiedziano mi, że tu dotarł, ale jest w kiepskim stanie.

– Został lekko ranny, ale był kompletnie wyczerpany. Wydobrzeje. Przez kilka ostatnich dni dotarło tu także jeszcze paru jego ludzi. Postawiłeś przed nimi piekielnie trudne zadanie.

– Wiem. Uważałem, że to nasza jedyna szansa.

– Udało się – powiedziała z uśmiechem Raesinia. – Ocaliłeś pierwszą dywizję.

– Niecałą – rzekł beznamiętnie Marcus. – Straciliśmy... zbyt wielu. – Nalał sobie drugi kieliszek wina. – Andy nie żyje.

– Andy? – Raesinii ścisnęło się serce. Andy towarzyszyła im podczas zamieszek w Vordanie, włącznie z tamtą straszną potyczką na pokładzie Rosnika, gdy Ionkovo wziął Raesinię do niewoli. – Boże, tak mi przykro, Marcusie.

– Chyba uratowała nas wszystkich. – Pociągnął łyk z zamkniętymi oczami. – Viera... kapitan Galiel... też była zdumiewająca. Trzeba będzie ją awansować. A Fitz... – Wzruszył ramionami. – Pewnie wyżej nie można go już awansować.

– Jestem pewna, że wszyscy działaliście tam cuda – powiedziała Raesinia i zniechęciła się, zaledwie te słowa wyszły z jej ust. Były takie przypoehlebne, poprawne politycznie i przypomniały jej, z jakiego powodu Marcus jest tutaj, zamiast cieszyć się dobrze zasłużonym odpoczynkiem. Ponieważ go potrzebuję i chcę mieć pewność, że dotrę do niego, zanim zrobi to ktoś inny. Odkaszlnęła. – Co z Janusem?

– Wciąż żyje. Pewnie kurierzy już ci o tym powiedzieli – odparł Marcus. – Nie podawaliśmy ludziom szczegółów.

– I?

– I... sam nie wiem. Do czasu przybycia tych sił, które po nas przysłałaś, nie było z nim dobrze. Czasem spał, a czasem mówił, ale... raczej bez sensu. Myślałem, że umiera. Gdy Reinhardt przybył z kawalerią, wszystko się zmieniło. Umieścili go na wozie, a teraz nadal przez większość dnia śpi, ale wygląda lepiej i nie ma gorączki.

– Myślisz, że Winter udało się wytropić Penitentkę?

– Nie widzę innego wyjaśnienia. Minęło jednak tyle czasu.

Nawet ranna, zabójczyni mogła już dawno dotrzeć do Elizjum.

– Może po prostu umarła od pchnięcia sztyłem Sothe. Nawet Przeklętym Penitentom jątrzą się rany.

– To możliwe. Tylko trudno mi uwierzyć, że tak dopisało nam szczęście. – Wzruszył ramionami. – Tak czy inaczej myślę, że Janus szybko wyzdrowieje. Niedługo będzie mógł objąć dowodzenie.

Właśnie. W tym rzecz. Raesinia przygotowała sobie tuzin różnych wersji tej rozmowy, w zależności od stanu zdrowia Janusa i innych czynników. Ta będzie jedną z najtrudniejszych, ale przynajmniej wiedziała, na czym stoi.

– Czy rozmawiałeś z kimś po powrocie?

– Nie. Powiedziano mi, że chcesz jak najszybciej się ze mną widzieć. – Przełknął ślinę. – I jest coś, o czym chciałem z tobą porozmawiać...

Raesinia podniosła rękę, przerywając mu. Skinęła na służącą – jedną z nielicznych pozostałych ze świty, z którą wyjechała z Vodranu – a kobieta skłoniła się i opuściła pokój. Barely i Joanna stały na zewnątrz, pilnując, żeby nikt nie podsłuchał rozmowy przez cienkie ściany gospody.

– Mieliliśmy tu pewien problem – powiedziała Raesinia. – Kiedy ty, Janus i Fitz zostaliście odcięci, a Winter nie było, kwestia dowodzenia armią nieco się... skomplikowała.

– Pozostał... – Marcus przejrzał w myślach listę wyższych oficerów. – Mor powinien dowodzić. Generał Kaanos, dowódca trzeciej dywizji. – Skrzywił się. – Nie wyobrażam sobie, żebyście się dobrze dogadywali.

– Został aresztowany.

– Och, święci i męczennicy. Co zrobił tym razem?

– To długa historia.

– Założę się, że tak – rzekł sucho Marcus. – Zatem kto dowodzi?

– Ja – odparła Raesinia. – Uznałam, że wobec nieobecności pierwszego konsula dowodzenie armią wraca do Korony. Pozostałych dowódców... przekonała moja argumentacja.

– Nie mówisz poważnie – zdziwił się Marcus. – Przecież... – Raesinia uniosła brew i zastanowił się. – Wybacz, Wasza Królewska Mość, ale nie masz żadnego wojskowego przygotowania. Wiedza, którą ci przekazywałem, jest tylko teoretyczna. Podstawowa.

– Wiem. Bez obawy, nie uważam, że po tych kilku lekcjach stałam się nowym Farusem Czwartym. – Raesinia uśmiechnęła się. – Twój pułkownik Giforte i kapitan Cyte od Winter zajmowali się większością tego, co trzeba było robić. Moją główną zasługą było powstrzymanie innych od zrobienia czegoś głupiego.

Marcus trochę się uspokoił.

– Giforte wie, co robi. Rad jestem, że był pomocny. – Wzruszył ramionami. – Teraz, gdy Janus wrócił, możemy wszystko uporządkować. Za kilka dni... – Zmarszczył brwi, patrząc na nią. – O co chodzi?

No i doszliśmy do decydującej kwestii.

– Wiesz, że po drugiej stronie rzeki stoi borelgajska armia.

– Tak wywnioskowałem. Dorsay?

Skinęła głową.

– Zdobył nasze składy w Polkhaiz. Prawie nie mamy żywności. Musieliśmy rozpocząć negocjacje.

– Rozpocząć... – Marcus zmrużył oczy. – Poddadaś się Dorsayowi?

– Nie. Dotychczas tylko... rozmawiamy. I zgodził się zaopatrywać nas, dopóki te negocjacje trwają.

– Jednak nie zadowoli się niczym innym jak naszą kapitulacją – stwierdził Marcus. – Złapał nas w pułapkę, nie mamy dostaw, a nasza gotowość do rozmów pokazuje tylko, jacy jesteśmy słabi.

– Generał Kaanos chciał atakować drugi brzeg już pierwszego dnia.

Marcus prychnął.

– Ten plan bardziej pasuje do Piekielnika. Dorsay się okopał i nawet gdybyśmy się przedarli przez jego linię obrony, to przed odwrotem zniszczyłyby składy. Mor powinien mieć więcej rozsądku.

– Nie osądzaj go zbyt surowo – rzekła Raesinia. – Myślał, że nie żyjesz. On bardzo cię szanuje, wiesz.

– Mor? Naprawdę? – Marcus wyglądał na zaskoczonego, a potem potrząsnął głową. – Nieważne. Jeśli nasza sytuacja jest tak zła, to dlaczego Dorsay chce negocjować?

– Ponieważ sytuacja jest bardziej skomplikowana, niżby się zdawało. Dorsay chce pokoju, a król Borelu słucha jego rad. Wie, że jeśli doprowadzi do zniszczenia lub kapitulacji Wielkiej Armii, Vordan nie przestanie walczyć.

– Do diabła. Polityka to twoja specjalność, nie moja. Czy możemy go jakoś zwieść? Wystarczyłoby, gdybyśmy dostali się na południowy brzeg Syzrii i wrócili do Tsivny. Tam będą nowe dostawy i odwody z tych trzech dywizji, które zostawiliśmy...

– Marcusie – powiedziała Raesinia. – Dorsay i ja jesteśmy w tej sprawie zgodni. Ta wojna trwa za długo. Jeśli mamy szansę

zawrzeć pokój, powinniśmy z niej skorzystać.

Zapadła długa cisza.

– Jeśli Borel chce wycofać się z udziału w tej wojnie... – ostrożnie zaczął Marcus.

– Nie tylko o to chodzi. Może minąć trochę czasu, zanim Murnsk zasiądzie przy stole, ale wierz mi, w końcu nie będą mieli wyjścia. Jeśli do tej chwili spróbujemy zdobyć Elizjum, zniweczymy wszelkie szanse na pokój. Nawet gdyby król chciał go zawrzeć, jego lud mu na to nie pozwoli. – Pokręciła głową. – To się musi skończyć. Status quo ante.

– Janus nigdy się na to nie zgodzi – powiedział Marcus. – I wiesz dlaczego. Dorsay nie jest w stanie powstrzymać Kapłanów Czerni. – Bacznie się jej przyjrzał. – Chyba nie zamierzasz poświęcić się dla dobra Vordanu? Janus dochodzi do siebie, a pogoda się poprawia. Jeśli wydostaniemy się stąd i przegrupujemy, nic nie powstrzyma nas od zdobycia Elizjum następnym uderzeniem.

– I co potem? – spytała Raesinia ostrzej, niż zamierzała. – Dorsay mówi, że będziemy mieli nową Wojnę Religii, i nie myli się. Nikt nie jest wart tego, żeby skazywać na nią kraj, nawet królowa. – Zacisnęła pięści. – I nie muszę się poświęcać, wcale nie. Jeśli abdykuję, będę mogła po prostu... wyjechać.

My moglibyśmy wyjechać. Odepchnęła od siebie tę myśl.

– Nie tylko o ciebie chodzi. Winter też ma w sobie demona. I Feor.

– Pojadą ze mną – odparła Raesinia. – Z powrotem do Khandaru, jeśli będzie trzeba. Gdzieś, gdzie nas nie znajdą.

– Mówisz o kapitulacji – stwierdził Marcus. – Nie przed

Dorsayem, lecz przed Kapłanami Czerni.

– Tak! – Zauważyła, że Marcus zacisnął zęby, i wpadła w rozpacz. – Marcusie, pomyśl, o co właściwie walczysz. Ty i ja chcieliśmy uwolnić Vordan od Orlanki i dokonaliśmy tego. Nie zamierzam wciągać milionów ludzi w wojnę dla dobra kilku osób czy po to, żeby jakieś starożytne tablice nie wpadły w ręce bandy zwariowanych kapłanów...

Marcus zaśmiał się i Raesinia zamilkła zaskoczona. Pokręcił głową.

– Właśnie w tym rzecz – powiedział. – Mówię o tym tak, jakbym to ja o tym decydował. Kapłani Czerni chcą zdobyć Tysiąc Imion, a Janus nigdy ich nie odda, nawet jeśli ty abdykujesz. Po co więc...?

Zamilkł, dostrzegłszy coś w jej oczach. Raesinia odwróciła wzrok.

– Jednym z warunków stawianych przez Dorsaya jest usunięcie Janusa z zajmowanego stanowiska – powiedziała cicho. – To ma sens. Ich opinia publiczna potraktowałaby to jako zwycięstwo i schowanie miecza wiszącego nad ich głowami.

– Chcesz go sprzedać – rzekł Marcus.

– Z wszelkimi honorami. Po prostu wróci do swojej posiadłości i znów będzie hrabią Mieranem. To nie jest złe życie.

– Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobił. Co my dla ciebie zrobiliśmy. – Marcus poczerwieniał. – Gdyby nie Janus, Orlanko zostałaby regentem. A ty teraz siedziałabyś w celi pod Elizjum.

– Sądzisz, że o tym nie wiem? – zachnęła się. – Myślisz, że to dla mnie łatwe? Jestem jednak królową, Marcusie. Muszę myśleć o tym, co jest najlepsze dla kraju. A pomimo tego wszystkiego, co

Janus dla mnie zrobił, nie uważam, żeby Vordan był dla niego najważniejszy. – Rozłożyła ręce, usiłując podkreślić obecną sytuację. – A ty jak uważasz?

– Ja... – Nagle Marcus jakby zobojętniał i bezsilnie opadł na krzesło.

– Co się stało?

Przez chwilę wpatrywał się w swoje kolana i milczał. W końcu przemówił.

– Kiedy Janus był nieprzytomny... mówił. Czasem do mnie, a chwilami jakby mnie tam nie było. Nie sędzę, że zdawał sobie sprawę z tego, co mówi.

– Co powiedział?

– Była jakaś kobieta imieniem Mya. Myślę, że umarła. Czy wiesz może, kto to mógł być?

Raesinia bez słowa pokręciła głową. Marcus mówił dalej, już nie z gniewem, ale ze smutkiem.

– Dużo o niej mówił. Myślę, że ją kochał, chociaż nie mam pojęcia, jaki związek ich łączył. Jeśli rzeczywiście istniała. Mogła być ułudą wywołaną gorączką.

– Co ona ma wspólnego z tym wszystkim?

– Nie wiem. Nie powinienem ci tego mówić. – Marcus potrząsnął głową. – Janus jest moim przyjacielem.

– Proszę, Marcusie.

Kolejna chwila milczenia.

– Myślę – odparł w końcu – że Janus czegoś szuka. Wciąż powtarzał, że chce jej pomóc, i wspomniał coś o... linie? Nie pamiętam dokładnie słów. Jednak cokolwiek to było, mówił, że

jesteśmy blisko, tak jak mówił mi o zdobyciu Elizjum.

– Chce jej pomóc? – Raesinię przeszedł dreszcz. Nagle uświadomiła sobie obecność więzi, spokojnie drzemiącej, owiniętej wokół jej duszy i utrzymującej przy życiu jej ciało. – Czy nie mówiłeś, że ona nie żyje?

– Może się pomyliłem. Albo... sam nie wiem. Może to były majaczenia człowieka stojącego jedną nogą w grobie. – Marcus zadrżał. – Nie było łatwo tego słuchać. Janus zawsze jest taki opanowany. Słuchanie tego było jak oglądanie go obdartego ze skóry.

– Jednak sądzisz, że to, czego on chce, znajduje się w Elizjum? – dociekała. – To dlatego tak usilnie starał się tam dotrzeć?

– Nie wiem. – Marcus ścisnął podłokietnik krzesła. – Poza tym jakie znaczenie ma to, co ja myślę? Jeśli zawarłaś umowę z Dorsayem...

– Ta umowa zależy od tego, czy będę mogła dowodzić armią – wyjaśniła Raesinia. – Jeśli Janus wyda inne od moich rozkazy...

– Nie zrobiłby tego. Jesteś królową.

– Nie jestem pewna, czyby nie zrobił. – Nachyliła się do niego. – Potrzebuję cię, Marcusie. Żołnierze cię uwielbiają. Generałowie szanują. Jeśli staniesz przy mnie, unikniemy zamieszania.

Marcus spojrzał na nią z pustką w oczach.

– Zastanawiam się, czy to właśnie powiedział swoim ludziom Adrecht Roston, zanim zwrócili się przeciwko mnie.

– Ja nie...

– To nieistotne. – Marcus wstał. – Jeśli Janus jest tak niebezpieczny, dlaczego trudziłaś się ratowaniem go?

– Ponieważ były z nim tysiące żołnierzy. – Ponieważ ty tam

byłeś. – Nie jestem bez serca. Ja tylko próbuję zrobić to, co będzie najlepsze.

– Prosząc mnie, żebym zwrócił się przeciwko jednemu człowiekowi, któremu zawsze ufałem. Który niezliczoną ilość razy ratował moje życie, nie mówiąc o twoim.

– Tak. – Raesinia usiłowała opanować drżenie głosu. – Ponieważ tak będzie najlepiej.

Zapadła głucha cisza.

– Co z nim zrobiłaś? – spytał Marcus.

– Jest w starym składzie za gospodą. – Oprócz niej ten barak był chyba jedynym budynkiem po tej stronie rzeki. – Sothe kazała go pilnować kilku żołnierzom z Pierwszego Dziewczęcego. Oficjalnie jest wciąż zbyt niezdrów, żeby się poruszać. – Głęboko wciągnęła powietrze. – Musimy tylko dyskretnie i pod strażą odesłać go do domu i przez kilka miesięcy trzymać go na uboczu.

– Masz ogromne zaufanie do Dorsaya.

– Mam – potwierdziła Raesinia. – Myślę, że jest dobrym człowiekiem.

Znowu zamilkli. Marcus ruszył do drzwi.

– Dokąd idziesz? – zapytała.

– A jak myślisz? – warknął.

– Co on zamierza zrobić? – zapytała Sothe, kiedy Marcus odszedł.

– Nie wiem – odrzekła Raesinia. Bezsilnie wyciągnięta na krześle, dopijała resztę wina.

– Mogłabym go powstrzymać – powiedziała z wahaniem Sothe.

Raesinia posłała jej groźne spojrzenie.

- Tylko nie waż się proponować, żebyśmy zabiły Marcusa.
- Nie – odparła zabójczyni. – To dla mnie oczywiste, że on jest...
- Potrząsnęła głową. – Nieważne. Myślę jednak, że mogłabym kazać go aresztować.
- Jesteś pewna? Nawet Pierwszy Dziewczęcy mógłby odmówić wykonania takiego rozkazu.
- Możesz mieć rację. – Sothe zmarszczyła brwi. – Co więc proponujesz?
- Raesinia wzruszyła ramionami, wyczerpana.
- Czekać.

Marcus

Głupiec, głupiec, głupiec.

Prawie jej powiedział. W trakcie całej męczącej jazdy na południe, po niespodziewanej szarzy kawalerii, która przedarła się przez szeregi kościanych ludzi, rozmyślał o tym, co postanowił zrobić. Doszedł do wniosku, że chociaż złożył sobie tę obietnicę wtedy, gdy spodziewał się zginąć, to nie czyni jej mniej wiążącą. Próbował przewidzieć przebieg tej rozmowy, ale nigdy nie zaszedł dalej niż do chwili, gdy zacinając się, wyznaje jej swoje uczucia. Nie potrafił sobie wyobrazić, co zrobi Raesinia – roześmieje się? Wyszyci go? Poczuje się urażona jego zuchwalstwem? A może...

Jednak nawet nie miał szansy jej tego powiedzieć. Jasno dała mu do zrozumienia, czego od niego oczekuje. „Potrzebuję cię, Marcusie”. Jako dowódcę, jako narzędzie, ponieważ cieszył się lojalnością żołnierzy i szacunkiem oficerów. Świetnie. Oto, czego

ode mnie oczekuje. Po prostu muszę się z tym pogodzić.

Teraz, stojąc w śniegu przed drzwiami szopy, musiał zdecydować, co ma z tym zrobić.

Dwie pilnujące drzwi wartowniczkę zasalutowały mu, gdy podchodził. Niejasno pamiętał, że należały do grupy zebranej przez Winter, żeby uwolnić Raesinię z rąk Mauriska. Sztywno się skłonił, ale zaraz złagodniał, gdy niższa z nich powitała go szerokim uśmiechem.

– Dobrze widzieć, że wrócił pan szczęśliwie, generale – powiedziała.

Jej towarzyszka energicznie skinęła głową.

– Dziękuję – odparł Marcus. – Chociaż nie jestem uszczęśliwiony sytuacją.

– Rozumiem – powiedziała i zawahała się. – Generale, czy mogę spytać...

– O co?

– Czy były jakieś wieści o generale Ihernglassie?

– Na razie żadnych – odrzekł Marcus. – Jednak mamy... pewne powody, aby wierzyć, że nadal żyje. A przynajmniej żył kilka dni temu.

Jeśli nie mylimy się co do śmierci Przeklętej Penitentki oraz w kilku innych sprawach, dodał w myśli.

– To już coś, generale – powiedziała wartowniczkę. – Dziękuję.

Marcus wskazał drzwi.

– Nie śpi?

– Tak sędzę, generale. O nic nie prosił, ale słyszałam, jak przechadza się w środku.

– Porozmawiam z nim.

Większa z wartowniczek otworzyła drzwi. Były masywne i ciężkie, piszczące na nienaoliwionych zawiasach. Magazyn był niskim budynkiem bez okien, topornie wymurowanym z tego samego kamienia co gospoda, i ze stromym spadzistym dachem. Wewnątrz tylko połamane deski i puste worki przypominały, jaką pierwotnie pełnił funkcję. Wstawiono tu przyniesione z gospody łóżko, a obok niego postawiono składane biureczko. Stała na nim zapalona lampa, rzucająca długie cienie.

Janus siedział na poduszce przed biurkiem, na którym leżała czysta kartka papieru i pióro. Spojrzał w kierunku drzwi, gdy te się otworzyły, wpuszczając słabe promienie zasłoniętego chmurami słońca. Gdy Marcus wszedł do środka, wartowniczka zamknęła za nim drzwi, zostawiając ich samych w oświetlonym lampą wnętrzu. Szare, głęboko zapadnięte oczy Janusa błyszcząły jak klejnoty osadzone w oczodołach trupiej czaszki.

– Pierwszy konsulu – powiedział Marcus. – Jak się czujesz?

– Znacznie lepiej, od kiedy nie leżę przez cały dzień na wozie – odparł Janus. – Usiłowałem stworzyć całościowy obraz naszej sytuacji, ale wszyscy są tak cholernie przejęci moim stanem zdrowia, że zabrało mi to więcej czasu, niż się spodziewałem. Jednak chyba znam już podstawowe fakty. Muszę powiedzieć, że Raesinia dobrze sobie poradziła w tak trudnych chwilach, chociaż zbyt długo czekała z podjęciem kilku koniecznych kroków. – Odwrócił się do biurka. – W Tsivny mamy pięć dywizji, chociaż trzy z nich zostały mocno poturbowane przez Dorsaya, kiedy zdobywał Polkhaiz. Miały jednak czas się pozbierać i mają doskonałą pozycję do ataku na borelgajską flankę. Jeśli zdołamy

przeciągnąć negocjacje do chwili, gdy wyruszą...

– Pierwszy konsulu...

– Co o czymś mi przypomina. Należy natychmiast zacząć racjonować żywność. Z dostarczanego nam przez Dorsaya prowiantu trzeba jak najwięcej zaoszczędzić, żeby stworzyć zapas. Gdy zostanie zmuszony do opuszczenia swoich pozycji, powinniśmy związać jego armię niewielkimi siłami i wymknąć się na południe. Tam będziemy mogli bezpiecznie dotrzeć do naszej bazy i przegrupować siły, a jeśli dopisze nam szczęście, pogoda nadal będzie się poprawiać.

– Pierwszy konsulu. Mogę zadać panu kilka pytań?

Janus zamrugnął. Jego oczy nie były już szkliste od gorączki, ale nadal miały trochę dziwny wyraz. Jego zapał wydawał się nadmierny i trochę wymuszony.

– Oczywiście, Marcusie.

– Zamierza pan znów objąć dowodzenie?

– Oczywiście. – Klepnął się w pierś. – Jak widzisz, wróciłem do zdrowia... mniej więcej. Potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby zwalczyć skutki tak długiego leżenia w łóżku, ale przynajmniej powinienem usiedzieć na koniu. Tylko nie planuj mi żadnych pojedynków szermierczych w najbliższej przyszłości, dobrze?

Marcus zmusił się do uśmiechu.

– I zamierza pan wznowić marsz na Elizjum?

Janus spowaźniał i skinął głową.

– To pozostaje naszym celem, jak zawsze. Jak widać, ponieśliśmy straty, ale jeszcze nie jesteśmy pokonani. Pontifeksowi Czerni najwyraźniej kończą się sztuczki, skoro do tego stopnia szkodzi swoim wiernym. Kiedy wyrwiemy się z potrzasku i damy

naszym żołnierzom odpocząć, Dorsay nie będzie w stanie nas zatrzymać, a imperator nie zdoła zebrać nowej armii przed końcem roku. Nic nas nie powstrzyma i będziemy mieli jeszcze parę miesięcy dobrej pogody. Przewiduję satysfakcjonujący rezultat.

– Na konferencji pokojowej powiedział pan, że chce okupować Elizjum, co zapobiegnie wrogim działaniom Kościoła. Nie będziemy mogli zostać tam do nadejścia zimy.

Janus wzruszył ramionami.

– Wiesz, że powiedziałem tak tylko na publiczny użytek. Jeśli rozdepczemy to gniazdo żmij, jakim jest zakon Kapłanów Czerni, uznam całą tę kampanię za sukces.

Marcus poczuł, że mimowolnie zaczyna akceptować ten plan. Od kiedy spotkał Vhalnicha po raz pierwszy, na skraju pustyni w Khandarze, Janus zawsze miał dar przekonywania. Kiedy mówił, wszystko wydawało się takie słuszne, takie rozsądne. Trochę przypominało to moc, jaką Danton Aurenne miał nad tłumami w Vordanie, ale w wypadku Janusa nie było w tym niczego nadprzyrodzonego. Siłą umysłu nagiął wszystkich do swojej woli, niczym potężna rzeka żłobiąca kanion, do którego mniejsze strumienie muszą wpadać. Jednak...

Długo byli razem. Właściwie niewiele dłużej niż rok, ale wydawało się, że minęły wieki. Marcus wiedział, że zna Janusa jak mało kto. Powinienem już znać jego sztuczki. Przedstawiając swoje wizje, w mistrzowski sposób pomijał niewygodne szczegóły i skutki. I nie lubił odpowiadać na pytania.

– I co wtedy? – zapytał.

Janus przechylił głowę na bok.

– Co masz na myśli?

– Załóżmy, że wszystko się uda. Zakon Kapłanów Czerni zostanie zniszczony, a my wrócimy do Vordanu. Co będzie potem?

– Ach. – Janus wzruszył ramionami. – Następnym posunięciem będzie uwolnienie Raesinii od demona. Może zdoła tego dokonać Wszystkożerca Ihernglassa, tylko pytanie, czy Raesinia przeżyje to czy nie. Mam nadzieję znaleźć w Elizjum jakieś informacje na ten temat.

Marcus poczuł ściskanie w piersi.

– Dążyłeś do tego, od kiedy król cię poprosił, żebyś pomógł Raesinii, prawda? Co więc zamierzasz robić, kiedy tego dokonasz? Pozostaniesz pierwszym konsulem?

Uśmiech znikł z ust Janusa. Jego oczy wbijały się w Marcusa jak dwa stalowe wiertła.

– Widzę, że z nią rozmawiałeś.

– Pozostaniesz?

– Jeśli będzie trzeba – odparł chłodno Janus. – Dopóki Vordanowi zagrażają wrogowie, będę go bronił.

– I kiedy to się skończy? – zapytał Marcus. – Jeśli zburzymy Elizjum, narody Kościoła Zaprzysiężenia nigdy nie zawrą z nami pokoju.

– Chyba że je do tego zmusimy. – Oczy Janusowi zabłyśły. – Czy to właśnie cię niepokoi? Mam plan, Marcusie, możesz na to liczyć. Odbudujemy vordanajską flotę, przepędzimy Borelgajów z mórza. Wkroczymy do Viadre i siłą narzucimy pokój. Pozycja imperatora nie jest tak stabilna, jak się wydaje... wystarczy go trochę osłabić i lekko pchnąć, a cały ten murńskajski domek z kart się zawali. Musimy tylko obracać jednych wielmożów przeciwko drugim, aby już nigdy więcej nie zagrozili Vordanowi.

– Innymi słowy, toczyć wojnę. Bez końca, przez wieczność.

– Aż do ostatecznego zwycięstwa. – Uśmiech Janusa na moment wrócił. – Nie mów mi, że ta perspektywa ci się nie podoba. Kiedy wróciliśmy z Khandaru, praktycznie rwałeś się w pole. Wojaczka to twój zawód, Marcusie, i masz do niej talent.

Najgorsze było to, że Janus miał rację. Po tak długiej beczynności w odległym Khandarze aż się palił, żeby ruszyć ze swymi oddziałami na wroga.

– Może straciłem na nią ochotę – mruknął Marcus.

– Ach. – Janus wzruszył ramionami. – Dobrze pełniłeś służbę i zostaniesz wynagrodzony, bez obawy. Jeśli nie chcesz już dowodzić w polu, jest wiele innych stanowisk. Na przykład ministra wojny. Jestem pewny, że królowa da się namówić, żeby nadać ci też tytuł i włości.

– Nie w tym rzecz – rzekł Marcus. – Nie chodzi o mnie. – Andy. Hayver. Adrecht. Bóg wie ilu innych. – To za wiele, Janusie. Cena jest zbyt wysoka. To nie jest tego warte. – Potrząsnął głową ze ściśniętym gardłem. – Jeśli ich pokonamy, w następnym pokoleniu wrócą i wszystko zacznie się od nowa. I będzie się powtarzało, wiecznie. Dzieci moich dzieci wciąż będą toczyć wojnę.

– I tak będą ją toczyć – odparł Janus. – W ciągu ostatnich stu lat nie było dekady bez wojny toczącej się tu czy tam. Wojna zawsze będzie nam towarzyszyć. Pytanie tylko, czy chcesz ją wygrać.

– Czy naprawdę o to w tym wszystkim chodzi? Żeby wygrać wojnę?

– Oczywiście. A o co innego?

– Kim jest Mya?

Marcus uważnie go obserwował. Janus panował nad sobą znakomicie, ale nie doskonale i czasem ponosiły go nerwy. Na moment w jego oczach pojawił się groźny błysk, a kącik ust lekko mu zadrżał. Ktoś, kto dobrze go nie znał, nigdy by tego nie zauważył, ale Marcus dostrzegł to i wyczytał z oczu Janusa, że dowódca wie, że on to widział. Zapadła długa chwila ciszy.

– Gdzie słyszałeś to imię? – zapytał Janus.

– Od ciebie – cicho odparł Marcus. – Kiedy gorączkowałeś. Najwyraźniej myślałeś o niej.

– Majaki w malignie. – Janus wypuścił powietrze z płuc. – Rozumiem.

– Ona nie jest rzeczywistą postacią?

– Była rzeczywista. – Janus odwrócił wzrok, przymykając oczy.

– Wszyscy mamy blizny, Marcusie. Ty jak nikt inny powinieneś to rozumieć.

– A Elizjum? Czy to z jej powodu?

Kolejna chwila ciszy, tym razem krótka.

– Nie bądź niemądry. To odległa przeszłość, a my musimy się martwić o teraźniejszość.

Kłamie. To nagłe przeświadczenie legło niewidzialnym ciężarem na sercu Marcusa, budząc rozpacz.

Janus jak zawsze czytał w nim jak w otwartej księdze. Zacisnął wargi.

– Co naprawdę tu robisz? – zapytał po chwili Janus.

– Raesinia negocjuje z Dorsayem – wyjaśnił Marcus.

– Wiem o tym. Chyba jednak nie sądzi, że on dotrzyma przyrzeczeń, jeśli nie będzie musiał. Powinieneś jej pomóc. Jest

naiwna...

– Ona absolutnie nie jest naiwna, dobrze wiesz. Uważa, że Dorsay jest wiarygodny.

– Nie do niej należy decyzja.

– Jest królową.

– A my mamy wojska w polu i to ja jestem pierwszym konsulem – warknął Janus. – Dorsay na pewno o tym wie. Każda zawarta z nią umowa będzie tylko na pokaz.

– Jednym z jego warunków jest twoja dymisja.

Janus zamrugał, a potem patrzył na niego w milczeniu.

– Złożysz dymisję – rzekł Marcus, czując się coraz bardziej nieswojo. – Wrócisz do hrabstwa Mieran jako bohater. Czegokolwiek zażadasz od Korony...

– Popierasz ją w tej sprawie?

– Ja... – Marcus potrząsnął głową. – Myślę, że ona ma rację. Pokonaliśmy każdą armię, jaką posłali przeciwko nam. Teraz czas zawrzeć trwałą pokój. Jeśli pójdziemy dalej i złupimy Elizjum...

– Kapłani Czerni nie zostawią jej w spokoju.

– Ona o tym wie – powiedział Marcus, znów ze ściśniętym sercem.

– A gdybym teraz przeszedł przez te drzwi i rozkazał generałom atakować?

Marcus zamknął oczy.

– Proszę, nie rób tego.

Znów zamilkli.

– Nigdy nie przypuszczałem, że do tego dojdzie. – Janus mówił cicho, ledwie dosłyszalnie. – Współpraca z Raesinią była

tymczasowym sojuszem. Jednak z tobą, Marcusie... Myślałem...

– Przykro mi – powiedział Marcus. – Naprawdę. Gdyby był inny sposób...

– Wiesz, gdzie byś był beze mnie? – Janus znów podniósł głowę, przesywając go gniewnym wzrokiem. – Na rożnie jakiegoś Odkupiciela w Khandarze! Nic byś nie zdziałał bez mojej pomocy. Leciałeś za mną jak ogon za latawcem, a teraz masz czelność mówić mi, co jest słuszne? – Wykrzywił wargi. – Jakbyś mógł ogarnąć jedną dziesiątą moich planów swoim maleńkim mózdzkiem. Mogłeś być wielkim człowiekiem, Marcusie d'Ivoire, gdybyś tylko miał dość rozumu, żeby się zamknąć i robić, co każą!

– Proszę...

– Nie trudź się. Nie zaszedłem tak daleko, żeby teraz przegrać. – Janus machnął ręką. – Jeśli ty i królowa jesteście przeciwko mnie, to trudno. Nie macie pojęcia, z czym zadzieracie.

– Janusie. – Marcus czuł łyzy cisnące mu się do oczu. – Proszę, nie rób tego.

– Jeśli chcesz wbić mi nóż w plecy, to przynajmniej uczciwie mi to powiedz, ty pompatyczny, niewdzięczny...

Ktoś zapukał do drzwi.

– Generale? – usłyszeli stłumiony głos wartowniczkii. – Przepraszam, że przeszkadzam, generale kolumny, ale przyszła wiadomość do pierwszego konsula. Podobno to bardzo pilne.

Marcus spojrział na dowódcę. Z jego twarzy już znikł gniewny wyraz, zastąpiony uprzejmą maską. Tylko lekko zmrużone oczy zdradzały szalejące w nim uczucia.

– Przyniesź ją – powiedział Marcus, ocierając twarz rękawem.

Zaskrzypiały otwierane drzwi i weszła wartowniczka,

trzymając w ręku złożony skrawek papieru. Marcus wziął go od niej, podziękował i zaczekał, aż wyjdzie.

– Równie dobrze możesz to przeczytać – mruknął Janus. – Jeśli masz być moim strażnikiem więziennym, to masz prawo kontrolować moją korespondencję.

– Wiesz, że nie mogę. – Marcus nie był w stanie odczytać listu, złożonego z mnóstwa przypadkowych liter. Oddał ją Janusowi, który rzucił na nią okiem i mruknął coś pod nosem. – Co to za wiadomość?

Janus spoglądał na niego przez moment, znów z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i szarych oczu.

– Jakiś czas temu umieściłem kilku szpiegów w otoczeniu diuka Orlanki – odparł. – Sądziłem, że w końcu wykona swój ruch, i najwidoczniej miałem rację. – Janus pomachał kartką. – Jego banda najemnych zabójców będzie zajęta tej nocy. Mają zabić Dorsaya, Raesinię, ciebie i mnie. Co za plan. – Pokręcił głową. – Ostatni Diuk nie wykazuje ani odrobiny pomysłowości w swoich zdradach.

– Musimy ostrzec...

– Masz wybór – przerwał mu Janus. – To jest właśnie to, czego potrzebujemy. Jeśli Dorsay zginie, w borelgajskiej armii wybuchnie zamieszanie i nasze zadanie będzie znacznie łatwiejsze. Wiesz, że Raesinii nie można zabić. Ty i ja musimy się tylko obronić i zwycięstwo samo wpadnie nam w ręce. – Zamilkł i Marcus ze zdumieniem zobaczył, że trzęsą mu się ręce. – Proszę, Marcusie. Zaufaj mi, jeszcze ten jeden raz. Jesteśmy tak blisko.

Marcus odwrócił się, czując, jakby tracił jakąś część swojego ciała.

– Pójdę ostrzec królową – rzekł. – Dopilnujemy, żebyś był tu dobrze chroniony.

Nie odwracając się, podszedł do drzwi i zastukał. Wartowniczką na zewnątrz zaczęła z wysiłkiem je otwierać.

– Ionkovo – powiedział Janus.

– Co?

– Ionkovo jest z Orlanką. Uważaj.

Marcus zamrugał gwałtownie.

– Dziękuję.

Dziewiętnaście

Winter

Ścieżka, którą prowadzili ich Alex z Maxwellem i Śnieżna Lisica, nie zasługiwała nawet na nazwę szlaku. Była raczej szeregiem znaków – tu gład, tam wąski przesmyk, skalna półka wyglądająca na niemożliwą do pokonania, ale dokładniejsze oględziny ujawniały w niej szczelinę dostatecznie szeroką, żeby się przecisnąć. Przez pewien czas wędrowali po lodowcu; Maxwell powiedział im, że pod warstwą świeżo spadłego śniegu jest rzeka lodu, ciągnąca się aż do poszarpanej grani.

Podróżowali na piechotę, ponieważ żaden wierzchołek, choćby nie wiem jak pewnie kroczący, nie utrzymałby tu równowagi. Oprócz trojga mieszkańców Góry w grupie była Winter, Bobby, rudowłosa sierżant i szeregowy żołnierz, Millie Varner. Winter poprosiła o ochotniczki i zgodnie z jej przewidywaniami wszystkie kobiety z Pierwszego Dziewczęcego były gotowe jej towarzyszyć, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Ruda wybrała Millie ze względu na jej szczególne umiejętności. Dziewczyna, jedna z dawnych Skórzanych Kurtek Jane, wcześniej była uliczną złodziejką; drobna i ciemnowłosa łatwo wtapiała się w cień. Ona i Ruda zostawiły muszkiety, zamiast nich biorąc ze zbrojowni Góry krótkie miecze, wykute według starożytnego wzoru. Winter wolałaby zabrać więcej pistoletów, ale Najstarszy nie miał żadnych do użyczenia.

Wyruszyli o świcie, pod bezchmurnym błękitnym niebem obiecującym brak opadów śniegu i wiatru, tak dokuczliwych w minionym tygodniu. Przeważnie prowadziła ich Śnieżna Lisica, lepiej od dorosłych radząca sobie na skale i śniegu. Z młodzieńczą zręcznością i beztruską pokonywała urwiska i płyty lodu, a znalazłszy się po drugiej stronie, spoglądała na pozostałych, sprawdzając, co ich zatrzymało. Nadal nie powiedziała do Winter więcej niż kilka słów, chociaż Winter zauważyła, że dziewczyna przygląda się jej ukradkiem.

Gdy w południe zatrzymali się, żeby zjeść posiłek złożony z chleba, jajek na twardo i suszonego mięsa, Winter usiadła obok niej na głazie. Dziewczyna znieruchomiała na moment, jakby powstrzymując chęć ucieczki, a potem z udawaną nonszalancją znów zaczęła jeść.

– Chcę cię zapytać, jak się dostaniemy do Elizjum – powiedziała Winter – i czego możemy się spodziewać, kiedy będziemy w środku.

– Starym tunelem – odparła Śnieżna Lisica, nie patrząc na nią.
– Elizjum jest ogrzewane przez gorące źródła bijące w głębi góry. Od miejsca, w którym znajduje się ujęcie wody, odchodzi mnóstwo bardzo starych rur i korytarzy, a niektórych z nich kapłani nie sprawdzali od lat. Na końcu jest żelazna krata, ale przerdzewiała i można tamtędy dostać się do podziemi.

– A potem?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– To zależy, dokąd chcecie iść. Maxwell wie o wnętrzu twierdzy więcej niż ja, ale to istny labirynt. A ponieważ większość kapłanów ucieka, to z pewnością panuje tam chaos.

Winter wydeła usta, ale tego się spodziewała. Jej wstępny plan zakładał schwytanie pierwszej napotkanej osoby i uzyskanie od niej informacji. Kapłani Czerni może prędzej umarliby, niż cokolwiek wyjawili, ale żadna tak duża organizacja nie może się obejść bez sprzątaczy, kucharzy i innego personelu. Miała nadzieję, że ci nie będą tak oddani sprawie. Jedyłą wadą tego planu było to, że prawdopodobnie nie będą wiedzieli, gdzie znaleźć Penitentkę – trucicielkę.

Śnieżna Lisica obróciła się bokiem do niej. Gdy Winter próbowała pochwycić jej spojrzenie, dziewczyna drgnęła.

– O co chodzi? – zapytała Winter. – Przecież Najstarszy powiedział ci, że możesz mi ufać, nieprawdaż?

– Nie w tym rzecz – odparła Śnieżna Lisica. – Coś jest nie tak z moim demonem. Jest... jakby przestraszony. Coraz bardziej, w miarę jak się zbliżamy do Elizjum. I drży za każdym razem, gdy na ciebie spojrzę.

– Potrafisz wyczuć inne demony, chociaż one nie wyczuwają ciebie?

Dziewczyna skinęła głową.

– Najstarszy twierdzi, że robię to lepiej niż większość nosicieli. To jedna z umiejętności mojego demona. Twój jest silniejszy niż jakikolwiek, którego napotkałam, potężniejszy od mojego czy Alex. Może ten Abrahama mógłby się z nim równać. Może dlatego mój tak się boi.

Winter sprawdziła Wszystkożercę. Nauczyła się nie zwracać uwagi na jego nagłe zmiany nastroju, gdyż w pobliżu Alex po prostu reagował na obecność jej demona. Teraz, gdy moc Śnieżnej Lisicy skrywała emanacje Alex, a nawet słabo wyczuwalną aurę

Bobby, Winter spodziewała się, że jej demon będzie uśpiony. Tymczasem był w pełni rozbudzony i jego uwagę przyciągało coś na południu. W Elizjum. Z tak dużej odległości nie mógł wyczuć obecności innego demona, ale zdecydowanie coś tam było, jak blask słońca skrytego tuż za horyzontem.

Może jest tam mnóstwo demonów i wyczuwa ich połączoną moc, przyszło Winter do głowy. Przyjemna perspektywa. Winter potrząsnęła głową i ponownie zwróciła się do Śnieżnej Lisicy, która najwyraźniej opanowała lęk swojego demona i znów czujnie ją obserwowała.

– Gdzie znalazłaś swojego demona? – zapytała. – Kapłani Czerni nie mają niczego takiego.

– W Khandarze – odparła Winter. – W archiwum bardzo podobnym do tego, jakie ma wasz Najstarszy.

– Odczytanie imienia tak potężnego demona musiało być niebezpieczne.

Winter dobrze pamiętała wrażenie, że jest rozrywana na kawałki, gdy Wszystkożerca owijał się wokół jej duszy.

– Zapewne. Wtedy tego nie wiedziałam. Przeklęta Penitentka usiłowała nas zabić. – Winter przechyliła głowę. – A co z tobą? Ile miałaś lat, kiedy odczytałaś imię demona?

– Dziesięć. Najstarszy mówi, że byłam za młoda, ale miałam największe szanse i powiedziałam, że chcę spróbować. Poprzednia Śnieżna Lisica zmarła na gorączkę i Góra nie mogła ryzykować, że wykryją naszą obecność. – Na moment spochmurniała. – Moja siostra miała być nową Śnieżną Lisicą. Próbowала odczytać imię demona, mając czternaście lat, ale... nie udało jej się.

Nieudana próba odczytania imienia demona mogła się skończyć

tylko w jeden sposób. Winter przełknęła ślinę.

– Jesteś bardzo dzielna. – Naprawdę tak uważała. Nie wyobrażała sobie, jak trudno rozpocząć przywoływanie, wiedząc, czym się to może skończyć.

– Ktoś musiał to zrobić. – Śnieżna Lisica włożyła do ust ostatni kawałek suszonego mięsa i wstała. – Powinniśmy ruszać.

Przez kilka ostatnich godzin podróży podążali wąwozem tak wąskim, że przypominał tunel. Wielka skała pękła, tworząc szczelinę mającą około metra szerokości i kilkaset metrów głębokości. Na jej dnie było ciepło, jakby skały pływały się w słońcu Wielkiej Desol, a wszędzie wokół ciekły strużki wody z topniejących zasp. W górze zaklinowany śnieg i lód tworzył nieregularne mosty i arkady, niczym bulwar zaprojektowany przez jakiegoś szalonego architekta.

Wejście, kiedy w końcu je znaleźli, wyglądało tak niepozornie, że Winter nie zauważyłaby go i poszłaby dalej. Przed ciemnym otworem w ścianie rozpadliny leżała niewielka sterta kamieni. Ruda zapaliła lampę, której światło ukazało biegnący w głąb góry tunel – wąski i nisko sklepiony, ale zdecydowanie wykuty w skale.

– Można nim dojść do kilku siarkowych jeziorok – oznajmiła Śnieżna Lisica. – A idąc w przeciwną stronę, dotrzecie do większego korytarza, prowadzącego do Elizjum. Idźcie cały czas prosto, aż znajdziecie się w podziemiach twierdzy. Nie powinniście nikogo spotkać, dopóki nie dojdziecie do kraty.

– Dziękuję – powiedziała Winter.

Dziewczyna zrobiła poważną minę, ale lekko się zarumieniła.

– Zostanę tu jeszcze jeden dzień. Jeśli wrócicie do tego czasu,

osłonię wasz odwrót. Jeżeli nie, to wrócę i będziecie zdani na siebie.
– Po chwili dodała: – Przykro mi, że nie mogę iść z wami.

– Rozumiemy to – powiedział Maxwell, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Jesteś zbyt cenna i twoim obowiązkiem jest chronić Górę. Jesteśmy wdzięczni, że zaprowadziłaś nas tak daleko.

– Znasz drogę przez podziemia? – Winter spytała Abrahama.

– Niezbyt dobrze – odparł. – Tylko z map, ale dokładnie je przestudiowałem. Zrobię, co będę mógł.

– W porządku. – Winter zwróciła się do pozostałych. – Alex i Millie, idźcie przodem. – Te dwie złodziejki niemal na pewno będą się poruszały najciszej z całej grupy. – Ruda, Bobby, dopilnujcie, żeby nikt nas nie zaskoczył. Maxwell, ty zostań przy mnie.

Maxwell nie zgłosił żadnych zastrzeżeń, gdy objęła dowodzenie, za co była mu wdzięczna. Gdy skinął głową, dodała:

– Jeśli zobaczycie kogoś, spróbujcie wziąć go żywcem, ale pamiętajcie, że jeśli podniesie alarm, to prawdopodobnie zginiemy. Dlatego cokolwiek zrobicie, ma to być bez krzyków i wystrzałów.

Millie przełknęła ślinę i kiwnęła głową. Alex miała ponurą minę. Na znak Winter obie weszły do tunelu. Winter policzyła do pięciu, po czym też weszła. Maxwell deptał jej po piętach, a Bobby i Ruda zamykały pochód.

Wąski, niski tunel wywoływał klaustrofobię. Maxwell niósł lampę, która rzucała przed nich ruchliwe cienie. Nawet Winter musiała się lekko pochylić, a Ruda i Maxwell szli zgięci niemal w pół. Do jednej ze ścian tunelu była przytwierdzona rura, mosiężnymi obejmami zaśniedziałymi ze starości, a płynąca nią woda była tak gorąca, że metal parzył. Winter obficie się pociła w grubej odzieży i przy pierwszym skrzyżowaniu tuneli zarządziła

krótki postój, żeby wszyscy mogli zdjąć wierzchnie okrycia.

Nowy tunel był szerszy, ale równie niski jak pierwszy. Wzdłuż ścian całymi wiązkami biegły kolejne rury. Najwyraźniej pochodziły z różnych okresów, gdyż niektóre były nieużywane i przerdzewiały, a inne stosunkowo nowe. Wydawało się, że minęły lata, zanim dotarli do wspomnianej przez Śnieżną Lisicę kraty, zamocowanej na zawiasach, które dawno temu przeżarła rdza. Teraz była lekko uchylona, tak że mogli się kolejno precyzyjnie przecisnąć przez szparę. Alex, mająca na sobie obcisły czarny strój złodziejki, przeszła pierwsza, a Millie za nią. Ruda, największa w ich grupie, zaczepiła się o sterczący pręt, a Bobby go odgięła, co wywołało cichy pisk protestującego metalu i najwyraźniej nikogo nie zdziwiło.

– Chyba już wyszliśmy spod osłony zapewnianej przez Śnieżną Lisicę, prawda? – szepnęła Winter do Maxwella. Gdy skinął głową, znów skupiła uwagę na Wszystkożercy i zmarszczyła brwi. – Alex, czy ty coś wyczuwasz?

– Nie...zupełnie. – Alex zastanowiła się. – Coś tam jest, ale nie mogę tego określić. Jest jakby... rozproszone.

– Może Kapłani Czerni mają w swoim arsenale kogoś takiego jak Śnieżna Lisica – zastanawiał się Maxwell.

– To możliwe – rzekła Winter. Wszystkożerca istotnie był rozbudzony, lecz nie kierował uwagi w żadną konkretną stronę, jakby ta moc, którą wyczuwał, przesyciła powietrze wokół niej. – To nam utrudni zadanie. Alex, Millie, wysuńcie się nieco bardziej naprzód. Miejmy nadzieję, że napotkamy jakiegoś konserwatora lamp, praczkę lub kogoś takiego.

– Czy Kapłani Czerni mają praczki? – zapytała Bobby.

– Ktoś musi im prać te paskudne szaty – zauważyła Millie. – Inaczej staliby się Kapłanami Brudnej Szarości.

Odpowiedziały jej uśmiechy. Winter była jej wdzięczna za ten żart, który pomógł oderwać myśli od rzeczywistości. Nawet jeśli część mieszkańców miasta uciekła, to nadal było Elizjum, serce Kościoła Zaprzysiężenia. Od powrotu z Khandaru uważała je raczej za złowrogą siłę niż konkretne miejsce, a teraz szła przez jego podziemia, mając nadzieję, że zabije jedną z Przeklętych Penitentek pod samym nosem Kapłanów Czerni. Jedyna zaleta tego planu, to że jest tak głupi, że pewnie nie będą się spodziewali czegoś takiego, pomyślała.

Jak na główną kwaterę złowrogiego zakonu te pomieszczenia wyglądały zaskakująco zwyczajnie. Kiedy przeszli z tuneli do właściwych podziemi, jedyną różnicą było wyższe sklepienie i rozmieszczone w regularnych odstępach lichtarze. Niektóre mury był stare i kruszejące, inne wyglądały na niedawno naprawiane; świecznik tak zaśniedziały, że prawie poczerniał ze starości, stał obok takiego, który sprawiał wrażenie wykutego wczoraj. Winter domyśliła się, że tak wygląda całe Elizjum: wznoszone, odbudowywane i rozbudowywane przez wieki, z najnowszymi konstrukcjami stojącymi przy takich, które trwały niezmiennie od tysiąca lat.

Istotnie były tam pralnie z wielkimi miedzianymi zbiornikami, do których dochodziły niektóre rury biegnące wzdłuż ścian. W tym momencie jednak nikt tam nie pracował, więc poszli dalej. Przez kolejne otwory wejściowe zobaczyli magazyny z mydłem i świecami oraz kosze ze stosami blaszanych talerzy czekających na umycie, a nawet toalety. Trochę dziwnie, pomyślała Winter, jest wyobrazić

sobie pontifeksa Czerni siedzącego na sedesie. Uśmiechnęła się pod nosem, gdy mijali ubikacje.

Z przodu doleciały ich odgłosy krótkiej szamotaniny, a potem ciche rżenie. Winter pospieszyła tam i znalazła Alex przytrzymującą młodzieńca w ciemnoszarej szacie. Dziewczyna jedną ręką zakrywała mu usta, a drugą przyciskała sztylet do jego szyi. Drugi młodzieniec, podobnie ubrany, bezwładnie leżał pod ścianą, słabo kopiąc nogami i brocząc krwią z poderżniętego gardła. Millie, z zakrwawionym sztyletem w dłoni, ciężko dyszała.

– Chciał zawołać strażników – powiedziała.

– W porządku – rzekła Winter. – Bobby, pomóż jej zaciągnąć go do jednej z komnat, a potem jego szatą zetrzyjcie krew z posadzki. Jeśli zgasimy świecę na najbliższym stojącym lichterzu, przez jakiś czas nikt niczego nie zauważy. – Obróciła się do jeńca i przeszła na murnskajski. – Rozumiesz, co mówię? Powoli kiwnij głową.

Chłopak – gdyż był jeszcze chłopcem, najwyżej szesnastoletnim – ostrożnie skinął głową, mając nóż na gardle.

– Jeśli krzykniesz, skończysz jak on. Rozumiesz?

Znow skinął głową. Winter spojrzała na Alex, a ta zdjęła dłoń z ust chłopaka, ale nie odjęła ostrza od jego szyi.

– Nie musieliście go zabijać – powiedział. – On by nie krzyczał. Zresztą i tak nie ma tu strażników. Próbował tylko mnie ostrzec.

– Ciszej – syknęła Winter. – Mów szeptem. Jak to nie ma strażników?

– Wszyscy są w katedrze. To rozkaz pontifeksa. Nas wysłano, żebyśmy przynieśli więcej żywności z magazynów.

– Wszyscy to kto? – spytała Winter. – Kapłani Czerni?

– Wszyscy – odparł z przygnębieniem chłopak. – Kapłani,

służba, a nawet więźniowie z lochów. Pontifex kazał nam bez przerwy się modlić, a sam osobiście błogosławi każdego. Jeszcze nie przyszła moja kolej, ale niedługo przyjdzie.

– Po co?

– Nie wiem. Ma to coś wspólnego z Vhalnicem. Brian mówi... – Przełknął ślinę, przyciskając przy tym grdykę do ostrza noża. – Mówił, że Vhalnich przybywa, aby zniszczyć Kościół, i pontifex przygotowuje jakiś potężny czar, żeby się go pozbyć.

– Zaczekaj. – Maxwell precyzyjnie się bliżej. – Powiedziałeś, że pontifex wyprowadził więźniów z lochów?

Chłopak kiwnął głową.

– Wielu z nich jest w bardzo złym stanie. Są bladzi jak śnięte ryby.

Maxwell skinął na Winter.

– Alex – powiedziała po vordanajsku – dowiedz się od niego, jak dotrzeć do katedry, tak żeby nikt nas nie zauważył.

– Rozumiem – powiedziała Alex. – A potem... – Zerknęła na nóż.

Winter poczuła ściskanie w gardle.

– Tylko... zaknebluj go i zwiąż. Schowamy go gdzieś i znikniemy stąd, zanim go znajdą.

Wydało jej się, że na twarzy Alex widzi ulgę.

– Dobrze.

Winter odeszła kilka kroków w głąb korytarza, a Maxwell za nią.

– Co się tu dzieje?

– Coś bardzo złego – odrzekł Maxwell. – Najstarszy wyjaśnił ci

cel istnienia Kapłanów Czerni, prawda?

Winter skinęła głową.

– Mają więzić Bestię.

– I tyle demonów, ile zdołają schwytać. Po to są tu te lochy. Tylko nieliczni ludzie mają tak silną wiarę, że można ich wysyłać, aby działali jako Przekłęci Penitenci, i to oni zostają nosicielami najużyteczniejszych demonów. Pozostali są trzymeni w lochach, dopóki nie umrą, a wtedy szuka się następnych nosicieli, żeby demon nie opętał gdzieś przypadkowej ofiary. Większość z nich nigdy nie opuszcza swych cel, a tym bardziej nie na zbiorowe modły. Jeśli kapłani naprawdę myślą, że Janus w każdej chwili może tu przybyć i zburzyć Elizjum, może po prostu ratują co się da. Jednak ci więźniowie to nie Penitenci. To ci, którzy nie są wierni Kościołowi i nie można im ufać. Zebranie ich razem prędzej wywoła bunt, niż w czymś pomoże.

– Zdesperowani ludzie popełniają głupstwa – rzekła Winter, ale przeczuwała, że Maxwell ma rację. Działo się tu coś dziwnego. – Co więc proponujesz? Jeśli wszyscy są w katedrze, to zapewne nasza Penitentka również.

– Trudno będzie ją znaleźć, jeśli będzie w tłumie.

– Jeśli ulokujemy się gdzieś wysoko, to Alex będzie skuteczna jak karabin – powiedziała Winter, zerkając przez ramię. Alex i Millie związały młodego sługę i wepchnęły mu do ust kawał materiału oddarty z jego szaty. – Jeśli tutejsza katedra jest podobna do tej w Vordanie, będzie miała galerię. To może być to, czego potrzebujemy.

– Trudno będzie się nam potem stąd wydostać – stwierdził kapłan. Winter zauważyła, że wpatruje się przy tym w Alex. –

Mam nadzieję, że masz jakiś plan.

– Dojdziemy do tego – odparła Winter.

– Katedra znajduje się na powierzchni – rzekła Alex. – Nasz nowy przyjaciel powiedział mi, jak tam dojść, ale wyjście z tunelu znajduje się przy głównym placu. Jeśli ktoś pilnuje katedry, zauważy nas, gdy spróbujemy podejść.

– Podejźmy najbliżej jak się da – zaproponowała Winter – i zobaczymy, czy uda nam się znaleźć jakiś sposób. – Przeniosła wzrok z Alex na Bobby i uśmiechnęła się. – Może mamy kilka niekonwencjonalnych możliwości.

Tak jak zapowiadała Alex, opisana przez chłopaka droga prowadziła do długich schodów częściowo zasypanych śniegiem i wychodzących na rozległy plac. Winter zostawiła resztę grupy z tyłu i podczołgała się na samą górę, po czym wystawiła głowę i rozejrzała się.

Plac był wielki, może równie rozległy jak plac Triumfu Farusa w Vordanie. Naprzeciwko zobaczyła długi, niski budynek o fasadzie z białego marmuru ozdobionej posągami i kolumnami. Po drugiej stronie placu znajdowała się budowla będąca jego lustrzanym odbiciem, tylko z różowego marmuru. Na lewo od schodów wystrzelała w niebo katedra, potwornie wielka kamienna budowla górująca nad otoczeniem. Duże owalne okno witrażowe spoglądało niczym oko spod spadzistego dachu, co najmniej trzy piętra nad ziemią. Z dwóch frontowych naroży wznosiły się dwie asymetryczne wieże, jedna masywna i prostokątna, a druga smukła i okrągła. Tak jak w całym Elizjum, stare mury miały łąty z nowych kamieni, co mogło tłumaczyć tę mieszaninę różnych

stylów architektonicznych.

Winter bardziej zainteresowały kolejne witrażowe okna na bocznych ścianach katedry, szczególnie tej od strony budynku o białej fasadzie. Zsunęła się z powrotem i zebrała grupę.

– W porządku – powiedziała. – Jest tam budynek, cały biały.

– To główna siedziba administracji Kapłanów Bieli – wyjaśnił Maxwell. – Całkiem niedawno dobudowana.

– Musimy wejść na jej dach – oznajmiła Winter. – Z niego powinniśmy dostać się do jednego z okien w bocznej ścianie katedry. Będziemy jednak musieli obserwować wieże.

– Jak daleko od katedry jest ten biały budynek? – spytała Bobby.

– Jakies dwadzieścia metrów – odparła Winter. – Nie sądzę, żebyśmy mogli je pokonać niepostrzeżenie. Ale idąc tutaj, minęliśmy boczny korytarz biegnący w tamtym kierunku. Chodźmy.

Poprowadziła ich z powrotem i po chwili skręcili w prawo. Boczny korytarz prowadził do drzwi, za którymi był kolejny magazyn pełen wotywnych świeczek i skrzyń z zaczytanymi egzemplarzami Mądrości. Nie było z niego innego wyjścia.

– To pomieszczenie znajduje się prawie pod białym budynkiem – powiedziała Winter. – Przypuszczam, że on też ma piwnice?

– Powinien – rzekł Maxwell

– Bobby? – powiedziała Winter. – Zobacz, czy możesz wybić nam drzwi.

Bobby uśmiechnęła się.

– Mogę narobić przy tym trochę hałasu.

– Jeśli tamten dzieciak miał rację, nie powinno tam być nikogo, kto by nas usłyszał.

– No to do dzieła.

Bobby nabrała tchu, obróciła się na pięcie i z półobrotu rąbnęła pięścią w kamienną ścianę na końcu magazynu. Rozległ się trzask i rumor spadających kamieni. Wszyscy zaczęli kaszleć w chmurze pyłu.

– Przepraszam – powiedziała Bobby, kiedy powoli zaczął opadać. – Tego się nie spodziewałam.

Winter z ulgą zobaczyła, że uderzenie przyniosło pożądany skutek. Tak jak podejrzewała, ściana oddzielająca magazyn od piwnic białego budynku nie była gruba. Cios Bobby rozbił ją, tworząc pajęczynę pęknięć, jakby ktoś rzucił kamieniem w okno. Przez niewielki otwór w samym środku sączyło się światło i Bobby w kilka minut poszerzyła go, tworząc sporą dziurę.

– Nic ci nie jest? – zapytała Winter, gdy pozostali zaczęli odrzucać gruz.

Bobby skrzywiła się.

– Chyba złamałam sobie jakąś kość w rękę – odparła. – Za chwilę się zagoi. Następnym razem użyję kilofa.

Winter posłała jej uśmiech. Kiedy otwór był dostatecznie szeroki, Alex i Millie precyzyjnie się przezeń, a pozostali na dany znak podążyli za nimi.

– Maxwell – zwróciła się do kapłana Winter – znasz rozkład tego budynku?

Pokręcił głową.

– Jest nowy. Nie mamy planów ostatnio wzniesionych budynków.

– Zatem będziemy musieli po prostu znaleźć schody na górę. Szukajcie ich.

Piwnice gmachu Kapłanów Bieli wyglądały jeszcze zwyczajniej niż podziemia. Dominował w nich papier: każde mijane pomieszczenie było zastawione półkami, do niedawna pełnymi oprawionych ksiąg, rulonów zwojów i stert papierzysk. Niektóre regały pozostały zapełnione, ale większość wyglądała na opróżnione w pośpiechu: upuszczone księgi i podarte papiery leżały na podłodze, pokryte śladami zabłoconych butów.

Na końcu korytarza marmurowe schody prowadziły na parter, który wyglądał podobnie. Duże, otwarte pomieszczenia z wieloma biurkami lub kolejnymi archiwami oraz boczny korytarz prowadzący do dobrze wyposażonej kuchni i kantyny. Wszędzie leżały papiery, niczym dywan pokrywające podłogi, jakby przez budynek przeszła trąba powietrzna. Szeleściły pod nogami idących, lecz poza tym w wielkim gmachu panowała głucha cisza. Pod wpływem nagłego impulsu Winter pochyliła się i podniósłszy jedną kartkę, z trudem odczytała napisany po murnskajsku dokument.

Raport o przydatności ojca Murena Nasidova, przydzielonego do parafii Świętego Vileka w Zachodnim Ristev

Ogólna ocena: dobra. Lekko niepokojące może być zbyt przywiązanie Nasidova do jego wiernych. Zalecane przeniesienie przed upływem roku.

Szczegóły...

– Święci i męczennicy – mruknęła Winter, upuszczając kartkę.
– To gorsze od Pajęczyny Orlanki.

– Myślę, że tam są schody! – zawołała Alex.

Wąskie, rzadko używane schody prowadziły przez znajdujące się nad parterem galerie do zamkniętego klapą wyjścia na dach. Winter obejrzała się na Bobby, ale zanim zdążyli przepuścić ją naprzód, Alex otworzyła zamek dwoma cienkimi metalowymi wytrychami. Millie uniosła brwi, wyraźnie pod wrażeniem.

– Mówiłam wam, że byłam najlepszą złodziejką na świecie – powiedziała Alex, wzruszając ramionami. – Poza tym to dziecinnie łatwe.

– Otwieraj ostrożnie – poradziła Winter. – Ktoś może obserwować dach z wieży.

Alex skinęła głową i uniosła klapę na parę centymetrów. Przez minutę spoglądała przez szparę, a potem obejrzała się na pozostałych.

– Jeśli ktoś tam jest, to ja go nie widzę.

Winter machnięciem ręki kazała jej ruszać. Po kolei pokonali kilka ostatnich stopni i wyszli na dach białego budynku. Był pokryty gontem i spadzisty, żeby śnieg się na nim nie zbierał, więc chodzenie po nim groziło upadkiem. Słońce już prawie zaszło i żółtopomarańczowe niebo stało się purpurowo-czarne. Naprzeciw nich boczna ściana katedry wznosiła się jak skalna ściana, dwukrotnie wyższa od białego budynku, nawet gdyby nie miała wież. Smuklejsza z nich wznosiła się wysoko, lecz Winter nie widziała w niej żadnych okien. Na samej górze rozszerzała się w nakrytą dachem platformę, która jednak wyglądała na pustą, nie licząc ogromnego mosiężnego dzwonu. Z większą wieżą po drugiej stronie katedry była połączona siecią sznurów i lin, podtrzymującą naprzemiennie zawieszane czerwone i białe proporce z podwójnym kręgiem oraz godłami Murnska, Borelu

i innych ludów Kościoła Zaprzysiężenia.

Bardziej interesowały Winter witrażowe okna, każde mające trzy metry wysokości i metr szerokości, rozmieszczone w regularnych odstępach w kamiennej ścianie katedry. Krawędź dachu białego budynku znajdowała się w odległości co najmniej trzech metrów od niej, dalej, niż się zdawało, patrząc z ziemi.

– Bobby, będzie nam potrzebne coś, co mogłoby posłużyć za pomost – powiedziała. – Możesz zejść na dół i przynieść jedną z tych długich ław?

Bobby skinęła głową i znikła w otworze prowadzącym na dół. Winter zwróciła się do Alex.

– Staraj się wybić jak najmniejszy otwór. Nie chcemy, żeby zauważył go ktoś z dołu.

– Rozumiem.

Alex poruszała palcami jak szykujący się do występu pianista, po czym wyciągnęła rękę. Czarna kula uformowała się wokół jej dłoni i wysłała włócznie ciemności w mur obok okna. Czarna smuga utkwiała w nim, drżąc, jak wbita w skałę, a Alex nonszalancko zrobiła krok w pustkę. Przeleciała nad przepaścią na swej linii ciemności i z wyraźną wprawą wylądowała stopami na ścianie.

Następnie przeszła w bok, aż znalazła się tuż przy oknie, i z drugiej dłoni wypuściła pasmo, które wbiło się w mur. Przeniósłszy ciężar ciała na drugą linię, pozwoliła pierwszej rozwiać się jak dym i nachyliła się, oglądając szkło. Wokół jej dłoni znów zebrała się ciemność i cienkie czarne igły wyskoczyły z niej niczym węże, rysując okrąg na szkłe. Po chwili owinęły się wokół kawałka kolorowego witraża i wyrwały go, pozostawiając wystarczająco

duży otwór, żeby można się przezeń precyzyjnie przesuwać. Kilka kawałków szkła odpadło z krawędzi cięcia, ale reszta pozostała na miejscu, przytrzymywana ołowianymi ramkami.

Bobby wróciła, niosąc jedną z długich ław z odłamanymi nogami. Maxwell z trudem pomógł jej przepchnąć ławę przez otwór i po dachu, aż pomost znalazł się naprzeciw okna. Bobby postawiła deskę na sztorc, po czym opuściła tak, że jej koniec oparł się o mur katedry, a Alex nakierowała ławę w otwór, tworząc wąski, lecz solidnie wyglądający most.

– Nieźle – pochwaliła Alex. – Może nie jest to dzieło godne Metzginga, ale całkiem niezłe.

Pozostało im tylko kolejno przejść po tym moście. Alex poszła pierwsza, zeskoczywszy ze ściany na deskę, a potem znikła w dziurze. Millie i Maxwell poszli za nią. Ruda spojrzała na znajdującą się dziesięć metrów niżej wąską uliczkę i przełknęła ślinę.

– Coś nie tak? – spytała Winter.

– Mam lęk wysokości – wyjaśniła sierżant. – Dajcie mi chwilę.

Z zamkniętymi oczami, kawałek po kawałku, na czworakach przeszła po pomoście. Czekająca po drugiej stronie Millie wzięła ją za rękę, gdy tylko mogła jej dosięgnąć, i pomogła pokonać resztę drogi. Kiedy sierżant przeszła, Winter spojrzała na Bobby.

– Ty nie masz lęku wysokości?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odrzekła Bobby. – A ty?

– Może... lekki.

Winter nabrała tchu, opadła na kolana i zaczęła przesuwać się naprzód. Nie odrywała oczu od zachęcającego uśmiechu Millie i starała się ignorować uczucie pustki w brzuchu. Gdy znalazła się

po drugiej stronie, z westchnieniem ulgi przecisnęła się przez dziurę w szkłe i znalazła Millie oraz Rudą skulone w wąskiej, ciemnej niszy. Alex i Maxwell tulili się do siebie, przyciśnięci do ściany, i dopiero po chwili Winter uświadomiła sobie, że całują się z zapalem. Alex zaraz odsunęła się od niego, tylko lekko zarumieniona.

– Przepraszam – wymamrotała. – Od tak dawna nigdzie się nie włamywałam. To mnie podnieca.

Winter uniosła brew, ale nic nie powiedziała. Bobby wyszła z otworu i wstała, otrzepując się.

– Maxwell? – powiedziała Winter. Kapłan nadal trzymał Alex za rękę, splótłszy palce z jej palcami. – Czy mam rację, że ta katedra jest bardzo podobna do innych?

Skinął głową, po czym odparł szeptem:

– To Wdowia Galeria. Główna sala znajduje się na dole. Kazalnica jest tam – wskazał na prawo – a za nią kwatery kapłanów i inne pomieszczenia. Schody są po przeciwnej stronie.

– Dobrze. Musimy znaleźć jakieś miejsce, z którego będziemy mogli niepostrzeżenie obserwować salę. Alex, dopilnuj, żeby galeria była pusta. Pozostali czekają tutaj.

Alex kiwnęła głową i poszła. Reszta stała we wnęce grubej kamiennej ściany, obramowaniu wąskiego otworu mającego wpuszczać światło wpadające przez witraż. Teraz, gdy było niemal całkiem ciemno, nie musieli się martwić tym, że ich sylwetki będą widoczne na tle jasnego szkła, a na galerii nie paliły się żadne światła, jedynie z parteru sączyła się słaba poświata.

– Wygląda na to, że jesteśmy tu sami – szepnęła Alex. – Nie widzę, co jest na dole, ale... lepiej przyjdź tu i zobacz.

Winter zgarbiła się i powlokła naprzód. Galeria była balkonem w kształcie podkowy, odchodzącym na pięć metrów od trzech ścian wielkiej sali. W przeciwieństwie do galerii vordanajskiej katedry, na której o mało nie wpadła w pułapkę czarnych płaszczy Orlanki, ta była w całkiem dobrym stanie, a drewniane deski podłogi solidne i nakryte zakurzonymi wełnianymi dywanami. Biegająca na wysokości pasa balustrada zapewniała nieco iluzoryczną ochronę przed upadkiem z wysokości dziesięciu metrów między ławki na dole. Leżąc na brzuchu, Alex podczołgała się na skraj balkonu i spojrzała, a Winter poszła za jej przykładem.

Wielka sala katedry była pełna ludzi. Ławki, świeczniki i inne elementy umeblowania odsunięto pod ściany, pozostawiając ogromny krąg podłogi dla równych szeregów klęczących. Wielu z nich nosiło czarne szaty kapłanów lub szare togi sług, lecz inni byli odziani w podarte koszule i spodnie, a niektórzy zupełnie nadszy. Klęczeli niepokojąco równymi rzędami, przypominając Winter batalion ustawiony do ataku. Oszacowała, że jest ich co najmniej tysiąc, może więcej; te szeregi ciągnęły się jak okiem sięgnąć i znikwały pod galerią.

– Na jaja Bestii! – zaklęła. – Wiem, że chłopak tak mówił, ale jednak nie przypuszczałam, że wszyscy zbiorą się tutaj.

– Wcale nie wyglądają, jakby się modlili – szepnęła Alex. W ogromnej katedrze panowała cisza, tak głęboka, że słyszały pokasływanie niektórych ze zgromadzonych niżej wiernych. – Oni po prostu... czekają.

– I niektórzy z nich są w kiepskim stanie.

Kilka nagich postaci było tak wychudzonych, że trudno było powiedzieć, czy to mężczyźni, czy kobiety. Inni nie mieli rąk lub

samych dłoni i u wielu widoczne były ropiejące owrzodzenia na przegubach, jakby przez długi czas byli zakuci w kajdany.

– Czy widzisz waszą Penitentkę?

Winter pokręciła głową.

– Zbyt wiele czarnych szat. Może być wśród nich, a my nie zdołamy jej znaleźć. Niech to szlag. Może powinniśmy się nad tym zastanowić.

– Mam pewien pomysł, ale pozwól mi omówić go z Maxwellem – powiedziała Alex. Na czworakach wycofała się ze skraju galerii i usiadła. – O kurwa!

Winter usłyszała głośne cmoknięcie. Zerwała się na równe nogi, łapiąc za miecz. Przed Alex stał młody człowiek w czarnej szacie, z jedną z jej czarnych włóczni wbity w okolicę mostka. W następnej chwili czarne pasmo znikło, a on zachwiał się i zakasłał. Krew popłynęła mu z ust.

– Co się... – zaczęła Bobby, wychodząc z niszy. Cicho zgrzytnął wyciągany miecz, który przytknęła do szyi przybyłego. – Ani mru-mru!

– Pontifex przysyła mnie, żebym was powitał – rzekł młodzian po vordanajsku. Mówił nieco bełkotliwie i znów zakasłał. – Życzy sobie, żebyście dołączyli do niego w zachodniej wieży. Śle swoje.... swoje uprzejme... – Kolana ugięły się pod młodzieńcem i z łoskotem runął na podłogę. Krew trysnęła mu z ust, gdy wykrztusił jeszcze jedno słowo. – ...pozdrowienia.

Winter wpatrywała się w młodzieńca, który zadygotał i umarł. Co to było, do diabła?

– Musimy się stąd wynieść. – Alex zacisnęła pięści. – Wiedzą, że tu jesteśmy.

– Z tym może być problem – zauważyła Bobby. Wskazała na lewo, w kierunku głównych schodów. Wchodziło po nich co najmniej kilkunastu kapłanów w czarnych szatach, niespiesznie zmierzając w ich kierunku.

– Tam też są! – zawołała z przestrochą Millie.

Z drugiego końca galerii zbliżała się druga kilkunastoosobowa grupa kapłanów.

– Z powrotem po pomoście – powiedziała Winter, ale Maxwell już wyglądał przez otwór w witrażu.

– Co najmniej czterej czekają po drugiej stronie – zameldował.

– Święci i pierdoleni męczennicy! – zaklęła Winter. Odwróciła się z powrotem do grupy wchodzącej po schodach.

– Atakujmy – zaproponowała Ruda. – Możemy się przebić i pobiec do głównych drzwi.

– Na dole jest ich tysiąc – przypomniała Alex.

– Nawet nie mają broni – zauważyła Winter. – Co tu się dzieje, do diabła?

– Pontifex przysłał mnie, żebym was powitał – wyrecytował kapłan idący na czele grupy, zatrzymawszy się. – Życzy sobie, żebyście dołączyli do niego w zachodniej wieży. Śle swoje uprzejme pozdrowienia i zapewnia, że będziecie zupełnie bezpieczni.

Winter spojrzała na zwłoki pierwszego posłańca, a potem na stojącego przed nią. Jeśli zauważył swego martwego towarzysza, to jego uprzejmy uśmiech dobrze to ukrywał.

– I co? – spytała Ruda z wyjętym do połowy mieczem. – Winter?

– Myślę, że powinniśmy pójść do zachodniej wieży – odparła Winter.

– Żartujesz? – pisnęła Millie. – To może być pułapka!

– Nie sądzę, żeby była groźniejsza od tej, w jakiej znaleźliśmy się teraz – zauważył spokojnie Maxwell.

– Do diabła, dlaczego pontifex Czerni chce z nami mówić? – jęknęła Millie.

Winter widziała tylko jeden możliwy powód.

– Chce negocjować – powiedziała. Mam nadzieję. – Ponieważ armia Janusa jest tak blisko, może nabrał chęci do rozmów.

– Nie wydajesz się zbyt pewna – zauważyła Alex.

– Bo nie jestem. Ale to jedyny scenariusz, w którym mamy choć niewielką szansę ująć z tego z życiem. – Wyprostowała się, puściła rękojeść miecza i podniosła głos. – W porządku. Prowadźcie nas do pontifeksa.

Jeden z tych dziwnie spokojnych ludzi poprowadził ich wzdłuż galerii do miejsca, gdzie kamienne schody biegły spiralą w górę, na wyższą z dwóch wież katedry. Ku zdziwieniu Winter pozostali kapłani nie poszli z nimi. Nawet nie poprosili intruzów, żeby złożyli broń. Są albo bardzo pewni siebie, albo bardzo głupi, pomyślała. Wkrótce się przekonamy.

Spiralne schody biegły po ścianie wieży i przez łukowate otwory wejściowe widać z nich było przestronne komnaty. Meble w nich poodsuwano pod ściany, robiąc miejsce dla wielu rzędów ludzi, klęczących teraz z pochyłymi głowami. Spokój i milczenie kapłanów oraz ich sług robiły niesamowite wrażenie. Może są odurzeni? Albo odprawiają jakiś tajemniczy rytuał? – zastanawiała się Winter. Kapłani Czerni potrafili namówić ludzi przekonanych, że każdego, kto nosi w sobie demona, czeka wieczność w piekle,

żeby godzili się na to dla dobra Kościoła; najwyraźniej mieli ogromny wpływ na swoich wiernych.

Cztery piętra wyżej jedna z komnat wyglądała inaczej. Było w niej więcej ludzi, lecz ci zamiast czekać w równych rzędach, stłoczyli się pośrodku. Większość była sługami w szarych płaszczach, a kilku półnagich – jak odgadła Winter – było więźniami. Obserwowali przechodzących intruzów z ciekawością i przestraczem, którego nie zauważyła na twarzach mijanych wcześniej ludzi. Co się tu, kurwa, dzieje?

Piąte piętro było najwyższe w tej wieży i nieco szersze od pozostałych. Urządzono w nim okazały gabinet z ogromnym biurkiem z lakierowanego dębu, tak starego, że prawie czarnego. Winter nie mogła sobie wyobrazić, jak wniesiono je tutaj po schodach, tak jak i ciężkie oszklone regały z długimi rzędami wystrzępionych starożytnych ksiąg. Pod nogami mieli gruby, miękki dywan, a przed biurkiem stały bogato rzeźbione fotele obite czerwonym i białym aksamitem. Cały ten wystrój z czymś jej się kojarzył, ale dopiero po chwili przypomniała sobie z czym – niemal identycznie urządziła swój gabinet pani Wilmore, odgradzając się masywnym, przytłaczająco wielkim biurkiem od swoich wychowanek. Czy to tutaj pontifex wzywa swoich kapłanów na dywanik? – zastanawiała się Winter.

Za biurkiem czekały trzy zakapturzone postacie, wszystkie w lśniących obsydianowych maskach Kapłanów Czerni. Jedna z tych osób, wysoka i barczysta, siedziała na wyściełanym fotelu, a dwie pozostałe, zapewne kobiety, sądząc po posturze, stały po jej lewej ręce. Nikt z tej trójki nie miał broni, ale nie była im potrzebna. Każdy z nich mógł być Penitentem.

– Winter Ihernglass – odezwał się po vordanajsku siedzący za biurkiem mężczyzna. Mówił lekko chrapliwie, jakby miał uszkodzoną krtani. – I jej przyboczna Bobby Forester. Obawiam się, że nie znam pozostałych. Ja jestem pontifeksem Czerni.

Zapadła długa cisza. Winter omiotła wzrokiem kąty pomieszczenia, ale nie było tam czekających strażników, a przy niej stał tylko ten młodzian, który ich tu przyprowadził. Albo pontifex sam jest Penitentem, albo chronią go te dwie kobiety, stwierdziła. Wszystkożerca jej nie pomagał; wprawdzie szarpał się, ale na wszystkie strony, jakby demony były wszędzie wokół. Pontifex jest bardzo pewny siebie, skoro nas tu zaprosił. Jednak jeśli nie wie, co robi Wszystkożerca i co potrafią Bobby oraz Alex, to może zaraz utniemy łeb tej hydrze, deliberowała. To, rzecz jasna, prawdopodobnie oznaczałoby, że nikt z nich nie wyjdzie stąd żywy, może z wyjątkiem Bobby.

– Wiem oczywiście, po co tu przyszliście – rzekł pontifex. – Chcecie dostać Żmiję, Przeklętą Penitentkę, która otruła waszego drogiego Vhalnicha. W geście dobrej woli darowuję wam ją.

Obie kobiety wyszły zza biurka i wyższa z nich, stanąwszy za plecami pierwszej, wyciągnęła rękę, po czym zdarła jej maskę. Winter ujrzała nieznaną twarz, pospolitą i pokrytą bliznami. Kobieta obojętnie spojrzała na Winter, a ta wypuściła ku niej Wszystkożercę. Nadal nie wyczuła niczego użytecznego.

– Alex? – cicho zapytała złodziejkę. – Czy to ta, którą tropiliśmy?

– Nie potrafię powiedzieć. – W głosie Alex usłyszała starannie skrywane napięcie. – Nawet nie wyczuwam ciebie.

Wyższa kobieta wyjęła z zanadrua długi zakrzywiony sztylet

i Winter odruchowo cofnęła się, chwytając za miecz. Nim zdążyła coś powiedzieć, zamaskowana kobieta płynnym ruchem przeciągnęła ostrzem po szyi Penitentki, wypuszczając fontannę krwi. Ofiara bezwładnie jak wór ziemniaków upadła na posadzkę, nawet nie zabulgotawszy. Pulsujący czerwony strumień spłynął na grubego dywan. Zamaskowana kobieta rzuciła sztylet obok swojej ofiary i cofnęła się.

– W ten sposób osiągnęliście swój cel – rzekł pontifex.

Winter gorączkowo szukała słów, odrzucając jeden wariant rozmowy po drugim. Zmarszczyła brwi i w końcu zdołała tylko dać upust swojej frustracji.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – warknęła. – Dlaczego miałbyś nam pomagać? I co może nas powstrzymać od położenia cię trupem?

– Na wszystkie te pytania jest jedna odpowiedź – odparł pontifex. – Ponieważ ja już tu nie rządę.

– Co takiego? – zdziwił się Maxwell. – To niemożliwe.

– Jeśli nie ty tu rządysz, to kto? – spytała Winter.

Kobieta ściągnęła maskę. Twarz pod nią była wymizerowana, a wspaniałe rude włosy znów przycięte krótko i nierówno, ale z zielonych oczu nie znikł sarkastyczny błysk. Winter szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Ja – powiedziała Jane, szczerząc zęby w uśmiechu.

Dwadzieścia

Marcus

Nie podoba mi się ten plan – stwierdziła Sothe. – Powinnam zostać z Raesinią.

– Raesinia ma przy sobie Barely i Joannę oraz pół kompanii z Pierwszego Dziewczęcego – odparł spokojnie Marcus. – Nie wspominając o tym, że nie można jej zabić.

– Ionkovo już raz po nią przyszedł. Jest o wiele za sprytny. Kiedy ostatnio zostawiłam ją samą, to ty pozwoliłeś, żeby ją porwał.

– Tym razem będzie przygotowana na takie spotkanie – rzekł Marcus. – Bardziej niepokoi mnie to, że mógł pojawić się tutaj. Być może już się spóźniliśmy.

– Gdyby zaczęli strzelać, zobaczylibyśmy zamieszanie. – Sothe stała przy poręczy biegnącej wzdłuż skraju drewnianego mostu i spoglądała w ciemność. W Polkhaiz widać było zapalone latarnie i ogniska, ale żadnych oznak alarmu. – Mogłabym udać się tam sama.

– Nawet dla ciebie może być tam zbyt wielu wartowników.

Sothe otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale nic nie powiedziała. Jej stosunek do niego wyraźnie się zmienił. Przyzwyczał się, że zabójczyni traktuje go jak niezbyt kompetentnego młodszego oficera, i chociaż czasem jeszcze potrafiła na niego warknąć,

najczęściej była milcząca i zamyślona. Nie był pewny, co go bardziej irytuje.

Ruchem głowy wskazała światełko poruszające się na drugim końcu mostu.

– Nadchodzi.

Po chwili Marcus zobaczył zarysy trzech zbliżających się mężczyzn. Dwaj mieli muszkiety z nałożonymi bagnetami i wysokie czapki, trzeci wydawał się znacznie od nich niższy. Przejście po moście nad zamarznąłą rzeką zajęło im kilka minut i Marcus z trudem powstrzymał chęć popędzenia ich okrzykiem lub ponownego sprawdzenia swojej broni. Miał u pasa dwa pistolety i swoją szablę, a Sothe długi miecz – oprócz zwykłego arsenału mniejszych noży.

– Sothe – powitał ją mężczyzna, kłaniając się.

– Whaler – powiedziała Sothe. – Dzięki za tak szybką odpowiedź.

– Kto jest z tobą?

– Generał kolumny Marcus d'Ivoire – odparła. – Musimy natychmiast widzieć się z diukiem.

– Jego wysokość będzie w łóżku – rzekł Whaler. – Czy to nie może poczekać do rana?

– Obawiam się, że nie – wtrącił Marcus. – Proszę. To ważne.

Whaler uniósł latarnię, żeby przyjrzeć się Marcusowi, po czym pogodnie wzruszył ramionami.

– Niech ci Bóg pomoże, jeśli nie jest, czyś generałem kolumny, czy nie – powiedział. – Widziałem, jak jego wysokość nakrzyczał na króla za to, że zbudził go przed śniadaniem. Chodźcie.

Odwrócił się i poszedł z powrotem przez most. Obaj gwardziści

ruszyli za Marcusem i Sothe, gdy tych dwoje poszło za szpiegiem. Marcus zauważył, że są naprawdę postawni, rośli i barczyści. Ich czaka były obszyte białym futrem, co oznaczało, że są Strażnikami Życia, gwardią przyboczną króla Borelu, który używał ich swoim ulubionym dowódcom i najlepszym przyjaciółom. Podobno byli elitarnym oddziałem, chociaż Marcus widział zbyt wiele „elitarnych” gwardii pałacowych, które nie zdawały egzaminu w prawdziwej bitwie. Ze względu na Dorsaya mam nadzieję, że ich reputacja jest zasłużona, pomyślał.

– Whaler odstawił przedstawienie – szepnęła Sothe. – Dorsay na pewno już wie o powrocie twoim i Janusa. Chce wiedzieć, jak to wpłynie na jego umowę z Raesinią.

– Byleśmy szybko do niego dotarli.

Marcus czuł lekkie swędzenie karku, w każdej chwili spodziewając się ataku. Proponował, żeby po prostu ostrzec Dorsaya listownie, ale Sothe przypomniała, że nie mają pojęcia, komu po borelgajskiej stronie mogą ufać. Każdy może pracować dla Orlanki.

Tuzin wartowników, zwykłych borelgajskich żołnierzy w rdzawoczerwonych mundurach, stanęło na baczność i zaszalutowało schodzącym z mostu. Dalej było Polkhaiz, oświetlone blaskiem latarni i obozowych ognisk. Marcus rozglądał się, mimowolnie i z zawodowym zainteresowaniem oceniając stan borelgajskiej obrony. Doszedł do wniosku, że jest bardzo silna. Znajdujące się najbliżej mostu budynki wzmocniono i powybijano w ścianach otwory strzelnicze, zamieniając je w forty, a na głównej ulicy stały rzędem cztery działa, tworząc szczególnie groźną zaporę. Na lewo i na prawo od mostu ciągnęły się płytkie okopy,

niewątpliwie wykopane z ogromnym trudem, a przed nimi ułożono grube kłody, tworząc przedpiersia. Kolejne działa tkwiły aż po lufy w wykopach, a ponieważ ziemia była zamarznięta na kość, stanowiska te solidnością nie ustępowały fortecznym murom.

Część ziemnych umocnień wyglądała świeżo; niewątpliwie borelgajska armia nie próżnowała, gdy diuk negocjował z Vordanajami. Nic dziwnego, że chętnie nas żywi. To powstrzymuje nas od ataku, a jego pozycja z dnia na dzień się umacnia, rozmyślał Marcus. Był głęboko wdzięczny Raesinii za powstrzymanie Mora przed przeprowadzeniem ataku. Po lodzie, pod ostrzałem tyłu dział, z koszmarem walk ulicznych na końcu? Nie wspominając o borelgajskiej kawalerii, która niewątpliwie czekała na równinach za miastem. Żadna armia na świecie nie zdołałaby zdobyć tych pozycji, skonstatował.

Za pierwszym rzędem domów i obronnych stanowisk większość Polkhaiz najwidoczniej przeznaczono na kwatery oficerów Dorsaya. Wartownicy stali na ulicach i w bramach nawet najskromniejszych domów, a niemal przy każdym budynku było uwiązanych co najmniej kilkanaście koni. Kolejni żołnierze salutowali im, gdy Whaler skręcił w boczną ulicę i poprowadził ich w zaułek między kościołem Zaprzysiężenia a jednym z większych domów. Nieco dalej wysoki płot zasłaniał jakąś okazałą rezydencję ze stromymi dachami i wznoszącymi się ponad nie świerkami. Następna para Strażników Życia pilnowała głównej bramy.

Whaler machnął ręką i dwaj żołnierze otworzyli żelazne wrota. Krótki podjazd prowadził przez pokryty śniegiem trawnik do frontowych drzwi domu. Dwaj wartownicy przechadzali się przed budynkiem, a dwaj kolejni stali przy wysokich kolumnach po obu

stronach wejścia. Byli znacznie niżsi i mniej postawni od tych dwóch towarzyszących Whalerowi i pamięć podsunęła Marcusowi jakieś niewyraźne wspomnienie.

– Poślijcie kogoś, żeby obudził diuka – mówił Whaler. – I przynieście coś ciepłego do picia naszym gościom...

Zerknąwszy przez ramię, Marcus zobaczył, że dwaj żołnierze idący za nimi też są niscy i niezbyt schludni: w przekrzywionych czapkach i niedopasowanych mundurach. Mankiety kurtek mieli podwinięte – jakby były na nich za duże...

– To zasadzka – mruknął do Sothe. Zobaczył, jak szeroko otwiera oczy, nagle zimne i twarde. Kiedy zareagowała, był gotowy.

Rzucił się na ziemię i w bok, schodząc z linii ognia między dwiema parami wartowników. Sothe zrobiła to samo, tylko znacznie zwinniej, po przewrocie w przód przyklękając z nożem w dłoni. Stalowe ostrze błysnęło, przelatując pomiędzy nią a jednym z dwóch wartowników stojących przed budynkiem, i wbiło mu się szyję. Jego kompan poderwał muszkiet do ramienia i wycelował w Sothe, a dwaj żołnierze idący za gwardzistami Whalera z impetem pchnęli ich bagnetami w plecy.

Wartownik wypalił. Huk wystrzału był zaskakująco głośny w martwej ciszy, ale Sothe już nie było w tym miejscu, w którym stała przez chwilę. Nieuchwytna jak cień, zwinnie uskoczyła, wyjmując miecz. Spowita chmurą prochowego dymu dopadła wartownika, który niezdarnie spróbował odparować cios muszkietem – o wiele za późno. Ominęła tę zastawę, pchnęła go mieczem w brzuch i poprawiła, uderzając gałką rękojeści w skroń, gdy padał.

Tymczasem Whaler sięgnął po ukrytą pod płaszczem broń. Jeden z dwóch prawdziwych Strażników Życia padł, ale drugi zdołał niemal zejść z linii ciosu, który wyrwał mu kawał ciała z pleców. Gwardzista urękawiczoną dłonią złapał za lufę muszkietu przeciwnika. Fałszywy gwardzista wyrwał broń i wypalił. Trafił rannego w pierś i tym razem Strażnik Życia padł. Marcus jednak zdążył już wyjąć jeden ze swoich pistoletów; starannie wycelował i ściągnął spust. Przebieraniec runął na wznak w śnieg.

Marcus odwrócił się, słysząc kolejny wystrzał. Drugi z wartowników, którzy wcześniej stali przed bramą, zatoczył się do tyłu i padł, ze sporym kawałkiem potylicy oderwanym kulą. Whaler, z dymiącym pistoletem w dłoni, gniewnie i pogardliwie spojrział na leżącego, a potem skrzywił się i przycisnął dłoń do uda. Na nogawce jego spodni szybko rosła czerwona plama.

Jakby huk tych wystrzałów był umówionym sygnałem, w głębi domu wybuchła strzelanina. Błyski płomieni z luf rozświetliły okna, jakby wewnątrz rozszalała się burza.

– Co...? – Whaler popatrzył na Marcusa, wciąż trzymającego dymiący pistolet, a potem na martwych gwardzistów. – To nie wy, Vordanajowie.

To nie było pytanie.

– Orlanko – wyjaśnił Marcus. – Liczyliśmy, że dotrzemy tu, zanim zacznie. Możesz chodzić?

Whaler wyprostował się, przenosząc ciężar ciała na zranioną nogę. Pobladł przy tym jak prześcieradło, ale kiwnął głową.

– Jakoś dojdę do drogi.

– Sprowadź pomoc – powiedział Marcus. – Każdego, komu

ufasz. My spróbujemy wydostać diuka. Idź!

Whaler skinął głową, nie spierając się, a potem pokuszył się z powrotem do bramy. Marcus odrzucił nienabity pistolet i podszedł do Sothe, która uważnie przyglądała się domowi. Gdy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, złapała go za rękę i szarpnięciem odciągnęła na bok. Wielkie podwójne frontowe drzwi rezydencji gwałtownie rozwarły się na oścież i salwa z sześciu muszkietów wzbiła fontanny śniegu tam, gdzie stali moment wcześniej.

– Tędy!

Sothe puściła jego rękę i pobiegła, jakimś cudem zwinnie przemykając po głębokim na prawie dwa metry śniegu za róg budynku. Marcus ruszył za nią, zapadając się przy każdym kroku. Przystanęła w cieniu dwóch sosen, a on padł w śnieg obok niej, sapiąc.

– Wiesz, dokąd zmierzasz? – zapytał.

– Nie – odparła krótko. – Ale na pewno nie pod lufy. – Przechyliła głowę, nie odrywając oczu od budynku. – Co cię ostrzegło?

– Nie byli dość wysocy – mruknął Marcus. – W szkole wojskowej miałem kolegów, którzy witali borelgajskie delegacje, i mówili, że kandydaci do Straży Życia muszą mieć odpowiedni wzrost. Król chce, żeby jego żołnierze byli rośli i okazali.

– Widocznie ludzie Orlanki zaskoczyli prawdziwych gwardzistów i włożyli ich mundury – stwierdziła Sothe. – Ktoś jednak nadal tam walczy, więc wciąż mamy szansę. Naprawdę chcesz tam iść i uratować Dorsaya?

Marcus westchnął.

– Raesinia uważa, że on jest ważny. A to, że Orlanko chce jego

śmierci, w moich oczach przemawia na korzyść diuka.

– Słusznie. Idź za mną i staraj się nie robić hałasu.

Poruszając się jak najciszej, Marcus i tak nie mógł się równać z Sothe, która przemykała przez śnieg i zarośla jak zefirek. Marcus widział migające światła latarni przy frontowych drzwiach budynku, ale przeciwnicy nie próbowali ich ścigać. Powoli dotarli za narożnik domu, a gdy latarnie znikły im z oczu, Sothe wyprostowała się i podbiegła do bocznej ściany.

– Będą pilnować frontowych i tylnych drzwi – powiedziała. – I głównych schodów, jeśli Orlanko nauczył ich procedur dawnego Konkordatu. Moglibyśmy spróbować wejść schodami dla służby, ale to zbyt ryzykowne. Potrafisz wspiąć się po linie?

Marcus skinął głową.

– A masz...

– Trzymaj.

Z tylnej kieszeni Sothe wyjęła zwój linki – oczywiście czarnej i cienkiej jak wycior. Wręczyła jeden koniec Marcusowi, a drugi owiązała sobie wokół ręki, po czym zaczęła się wspinać. Mur był z połączonych zaprawą kamieni, ze szczelinami tworzącymi dogodne uchwyty i stopnie, ale pomimo to Marcus podziwiał, z jaką zręcznością zabójczyni wspięła się na piętro. Okna z pozamykanymi okiennicami także nie były dla niej żadną przeszkodą. Przytrzymując się jedną ręką, Sothe wsunęła cienką stalową listwę w szparę pod zapadką, podniosła ją, otworzyła obie połowy okiennicy i łokciem zbiła szybę. Wsunęła rękę w otwór, przekręciła klamkę i otworzyła okno. Wszystko to zajęło jej najwyżej minutę.

Karisie Wszechmogący. Marcus, nie po raz pierwszy,

zastanawiał się, gdzie Raesinia znalazła tę przerażającą kobietę. Sothe powiedziała mu kiedyś, że dawniej pracowała dla Orlanki, co tłumaczyło jej znajomość metod Konkordatu, ale nie podała żadnych szczegółów. Lekko pokręcił głową, gdy lina w jego dłoni ożyła i poczuł dwa silne szarpnięcia.

Na szczęście w około półmetrowych odstępach na linie były związane węzły, choć ciężkie buty i tak bardzo utrudniały mu wspinaczkę. Złapał się ramy okna, uważając na odłamki szkła, po czym wgramolił się do środka. Sothe już stała przy drzwiach małego pokoju gościnnego, ładnie i elegancko urządzonego.

– Słyszę, jak biegają po domu, ale nikt nie strzela – powiedziała. – Zaczekaj tu chwilę.

Marcus posłusznie przycisnął się i czekał, gdy uchyliła drzwi i cicho jak duch wymknęła się na korytarz. Drgnął, gdy ciszę przerwał huk wystrzału, ale zaraz uświadomił sobie, że strzał padł w innej części domu. Po chwili w drzwiach pojawiła się dłoń Sothe, przywołując go. Ostrożnie wyszedł na korytarz. Zabójczyni poprowadziła go do załomu korytarza i przywarła do ściany.

– Jest ich więcej, niż sądziłam – oznajmiła. – Przynajmniej nie wiedzą, że tu jesteśmy. Myślę, że Dorsayowi zostało kilku gwardzistów i wszyscy zabarykadowali się w jego apartamencie. – Ruchem głowy wskazała korytarz. – To tam, przy głównych schodach. Co najmniej sześciu z nich zastanawia się, co robić, a na dole też jest kilku.

– Do diabła – zaklął Marcus. – Może powinniśmy poczekać na Whalera.

– Nie wiadomo, czy zdołał uciec ani czy nie dopadli go ludzie Orlanki. Mogło ich być więcej na drodze.

Sięgnęła za podszewkę płaszcza i wyjęła zestaw noży do rzucania – stalowych strzałek z obciążnikiem na końcu. Potem zrzuciła płaszcz z ramion i została w czarnym, obcisłym kostiumie. W pochewkach na biodrach i udach miała więcej oksydowanych ostrzy.

– Ja załatwię tych przed drzwiami apartamentu Dorsaya – powiedziała. – Chcę, żebyś zatrzymał każdego, kto spróbuje wejść tu po schodach. Poradzisz sobie?

– Kurwa. Nie mam wyjścia. – Marcus w prawej ręce trzymał szablę, a w lewej pistolet. – Będę tuż za tobą.

Sothe skinęła głową, w lewej dłoni trzymając wachlarz stalowych ostrzy. Wyjrzała zza narożnika, znieruchomiała, a potem cofnęła się o krok i pomknęła naprzód. Marcus pobiegł za nią, jak zwykle czując się przy niej jak niezdara. Około dziesięciu metrów dzieliło ich od końca korytarza, gdzie podwójne drzwi do apartamentu zostały rozbite i wisiały krzywo na obłuzowanych zawiasach. Sześciu mężczyzn w skórkach i wełnianych oponczach kryło się za sofą i komodą służącymi za prowizoryczną osłonę. Naprzeciw nich znajdowały się następne drzwi, podziurawione kulami z muszkietów. Każdy z sześciu zbrojnych miał krótki miecz, a większość z nich także pistolety, które teraz gorączkowo próbowali ponownie naładować.

Sothe rzuciła pierwszy nóż jeszcze w połowie korytarza, popierając rzut siłą rozpędu. Wbił się aż po obciążony koniec w czaszkę mężczyzny, który nie wydawszy jęku, osunął się na podłogę. Jego towarzysz nie zdążył się odwrócić, gdy drugi nóż trafił go w szyję; konając, wydał bulgoczący krzyk, który ostrzegł pozostałych, że są atakowani. Sothe jednak już była przy nich;

błysnął trzeci nóż, chybiając o włos, gdy rzuciła się na podłogę. Najbliżej stojący zabójca ze świty Orlanki uniósł miecz do ciosu, a Sothe cisnęła w niego pozostałymi trzema nożami. Nie miała czasu dobrze się zamachnąć ani wycelować, ale i tak powstrzymała go na moment, który wykorzystała, żeby wyjąć miecz i ciąć w pierś przeciwnika.

Poradzi sobie z nimi. Dobrze, pomyślał Marcus, dotarłszy do schodów, które znajdowały się po prawej stronie korytarza i prowadziły na parter. Dwaj napastnicy już byli na schodach, a czterej inni stali przy frontowych drzwiach. Krzyk konającego oraz tupot butów Marcusa zaalarmowały ich i dwaj pierwsi biegli już na górę z bronią w rękach. Marcus schował się za załomem korytarza tuż przy schodach i odciągnął kurek pistoletu.

Nie musiał długo czekać. Kierując się odgłosem kroków, ciął szablą zza rogu, prowadząc ją na wysokości piersi. Poczł, jak ostrze przecina ciało i zatrzymuje się na kości. Raniony wrzasnął i zachwiał się, a Marcus wyrwał szablę z rany i wyskoczył zza załomu. Tak jak oczekiwał, drugi napastnik musiał ominąć ранnego kompana i stracił rozpęd. Marcus uniósł pistolet i wypalił mu w pierś, niemal dotykając lufą ciała, tak więc nawet strzelając lewą ręką, nie mógł chybić. Trafiony zatoczył się i bezwładnie zleciał ze schodów. Marcus upuścił pistolet i uskoczył za róg na moment przed tym, zanim wystrzelone z dołu kule odłupały tynk z przeciwległej ściany. Za jego plecami też padł strzał, lecz kiedy się obejrzał, zobaczył Sothe walczącą z ostatnim z ludzi Orlanki. Eleganckimi i zręcznymi ciosami zepchnęła go do obrony i zabiła pchnięciem w serce.

Zaryzykował i spojrzał w dół. Ci czterej stojący przy frontowych

drzwiach oraz ten, którego ranił, naradzali się. Marcus wycofał się w głąb korytarza, gdzie Sothe ciosem miecza dobiła jęczącego zabójcę i pozbierała swoje noże.

– To było... – Marcus popatrzył na leżące wokół ciała. Sothe miała tylko skaleczenie na ręce i na biodrze, ale poza tym była cała i zdrowa. – Imponujące.

– Zbyt powolne. – Wzruszyła ramionami. – Starzeję się. Ilu zostało na dole?

– Czterech lub pięciu. Niespieszno im na górę.

– Sprawdź, czy uda ci się porozmawiać z Dorsayem.

Marcus skulił się za sofą na wypadek, gdyby jego głos sprowokował obrońców do otwarcia ognia, po czym zawołał:

– Diuku Dorsay? Nic się panu nie stało?

Odpowiedział mu młodzieńczy, szorstki głos:

– Kto tam, do diabła? Co się tam dzieje?

– Ludzie Orlanki usiłują zabić diuka – odparł Marcus. – Czy został ranny?

– Nic mi się nie stało – odezwał się ktoś znacznie starszy. – Kto tam?

– Marcus d'Ivoire. – Królowa Raesinia wysłała mnie, kiedy ostrzeżono nas o ataku Orlanki.

– Ten przeklęty gad! – prychnął Dorsay. – Jeffrey, otwórz drzwi.

– Wasza miłość, to może być podstęp... – zaczął młodzieniec, zapewne jeden ze Strażników Życia.

– Może pan uciec przez okno? – wtrąciła się Sothe.

– Czasy wspinaczek po murach mam już dawno za sobą –

odrzekł Dorsay. – Może jednak uda nam się związać kilka prześcieradeł... Dlaczego pytacie?

– Nadchodzą.

Sothe wyjęła nóż do rzucania, otarła go o rękaw i czekała.

Marcus chwilę później usłyszał kroki. Tupot zapowiadał co najmniej sześciu napastników, może więcej. Gdy pierwszy z nich pojawił się na szczycie schodów, Sothe celnie rzuciła nożem, trafiając napastnika w szyję, tuż nad obojczykiem. Padł i dopiero wtedy Marcus zauważył, że mężczyzna miał na sobie obcisły czarny strój, podobny do noszonego przez Sothe, a na twarzy błyszczącą w świetle latarni maskę.

Dwaj następni, w podobnych kostiumach, bez wahania przeskoczyli przez trupa i biegli dalej. Mieli długie, zakrzywione miecze o poczernionych klingach. Sothe znów rzuciła nożem, trafiając jednego z nich w oko. Potoczył się po podłodze i znieruchomiał, a Marcus zastąpił drogę następnemu. Ich klingi starły się z brzękiem stali i gdy przeciwnik natarł, Marcus błyskawicznie kopnął go w kolano. Zamaskowany napastnik potknął się, a Marcus uchylił się przed jego niezdarną ripostą i pchnął go w pierś.

– Penitenci? – zapytał Sothe.

– Coś jest nie tak. – Zmrużyła oczy. – Co się stało z pierwszym?

Marcus spojrzał. Pierwszy napastnik znikł. Zakrwawiony nóż Sothe leżał w miejscu, gdzie było jego ciało. Nagle zobaczył, że ciało drugiego też znika, staje się przezroczyste jak mgła, która zaraz się rozwiała.

Zza rogu wyszedł następny przeciwnik, uzbrojony i ubrany tak samo jak jego poprzednicy. Spojrzał na dwoje Vordanajów

i demonstracyjnie wzruszył ramionami, pobrzękując swoją maską. Powietrze wokół niego dziwnie się zamgliło, nadając mu wygląd kilku niedokładnie zachodzących na siebie sylwetek, jakby był odbiciem w popękany lustrze. Przez moment był czterema identycznymi kopiami, spoglądającymi na Marcusa, a potem...

Ten dziwny efekt znikł i na korytarzu istotnie stały cztery identyczne kopie tego człowieka.

– Penitent – ponuro powiedziała Sothe.

– Wasza miłość – rzucił Marcus w kierunku drzwi, znów unosząc szablę – na twoim miejscu pospieszyłbym się z tymi prześcieradłami.

Raesinia

– Przynajmniej Joanna i ja powinnyśmy zostać przy tobie – upierała się Barley, a Joanna energicznie pokiwała głową.

– Już o tym rozmawiałyśmy. Chcę, żebyście zostały przy Janusie – odrzekła Raesinia.

Jej dwie strażniczki bezradnie popatrzyły na siebie.

– Jednak... – zaczęła Barley.

– Winter kazała wam wykonywać moje rozkazy, nieprawdaż? – przerwała jej Raesinia.

– Kazała nam chronić Waszą Królewską Mość – odparła Barely, a jej towarzyszka znów kiwnęła głową.

Raesinia westchnęła.

– No cóż, jestem królową Vordanu i macie słuchać moich rozkazów. Idźcie strzec Janusa i dopilnujcie, żeby nikt inny nie

został w budynku. Chcę, żeby wszyscy stanęli na linii wart.

Barely miała taką minę, jakby zjadła cytrynę, ale ustąpiła.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość.

Joanna spojrzała na Raesinię, potrząsnęła głową, po czym gniewnie popatrzyła na Barely. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Ona jest królową, Jo. Co mam robić?

– Nic mi nie będzie – zapewniła je Raesinia. Wy dwie już raz mnie uratowałyście. Nie chcę, żebyście zginęły, próbując zrobić to ponownie, dodała w myślach.

Nie chciała, żeby ktokolwiek zginął, jeśli da się tego uniknąć. Pierwszy Dziewczęcy i grenadierzy gwardii rozstawili się wokół gospody, wypatrując najemnych zabójców Orlanki. Raesinia miała nadzieję, że dzięki zaskoczeniu i liczebnej przewadze ewentualna potyczka będzie krótka. Natomiast każdy, kto zostałby tu z nią, skończyłby z poderżniętym gardłem. Muszkiety i czujność nie wystarczą, by pokonać wroga, który potrafi przechodzić przez ściany.

Gdy Barely i Joanna niechętnie zeszły na parter, Raesinia przeszła z pokoju stołowego apartamentu do małej sypialni pokojówki. Siedząca tam Viera ostrożnie wycierała ubrudzone dłonie mokrą szmatą.

– Gotowy? – spytała Raesinia.

Artylerzystka skinęła głową.

– Nie jest tak dobry jak fabryczny – orzekła – ale myślę, że zrobi swoje.

– Dobrze. Powinnaś wynieść się stąd, zanim się zacznie.

– Wiesz, co się tu stanie? – Viera wskazała na pokój. – Jeśli będziesz za blisko...

– Wierz mi – ucieła Raesinia. – Wiem.

– Bądź ostrożna. – Viera wzięła swój moździerz i tłuczek. –
Powodzenia.

– Dzięki.

Kiedy i ona odeszła, Raesinia zamknęła drzwi apartamentu. Zapaliła lampy w jadalni i większej sypialni; tuż za oknem pokoiku służącej zaś wisiała jedna z latarni oświetlających gospodę, rzucając długie cienie mebli. Gdy już wszystko było jak należy, Raesinia wzięła leżący na stole w jadalni nabity pistolet, zabrała go do dużej sypialni, po czym usiadła na łóżku i czekała.

Byłoby zabawnie, gdyby po tym wszystkim nie przyszedł, przeszło jej przez myśl. Było całkiem możliwe, że Ionkovo najpierw spróbuje zabić Janusa. Raesinia postarała się maksymalnie mu to utrudnić, zapełniając pokoje pierwszego konsula żołnierzami, licząc na to, że będzie ich zbyt wielu nawet dla Przeklętego Penitenta. Uważała jednak, że najpierw przyjdzie po nią. Już raz miał mnie w rękach i wypuścił. Była pewna, że to go dręczy, ponieważ Ionkovo sprawiał wrażenie dumnego człowieka. A ponadto zapewne uważa mnie za łatwiejszy cel, pomyślała.

Mimo wszystko serce biło jej szybciej. Potrafiła spokojnie stawić czoło najgorszym niebezpieczeństwom, jeśli się ich spodziewała; jej racjonalny umysł wiedział, że nie musi się obawiać sztyletów, pistoletów czy upadku z zamkowych murów. Jednak czające się w mroku, niewidzialne zagrożenie wciąż wywoływało instynktowny lęk. Zaszło jej w ustach i zastanawiała się, czy zdąży wstać i napić się wody, zanim...

– Cześć, Raesinio.

Kulturalnego głosu mówiącego z murnskajskim akcentem

Ionkova nie można było pomylić z żadnym innym.

Raesinia odwróciła się i wystrzeliła. Przeklęty Penitent wyłonił się z cienia garderoby i nim padł strzał, już wskoczył weń z powrotem, a ciemność zafalowała za nim jak tafla czarnej wody. Na jaja Bestii, ależ jest szybki, westchnęła. Jej strzał był niecelny i wybił dziurę w drewnianej boazerii prawie pół metra od drzwi garderoby. Upuściła pistolet, odwróciła się i szarpnęła w tył, gdy czyjaś dłoń wysunęła się spod łóżka i zacisnęła na jej przegubie.

– To nieuprzejme tak witać starego znajomego – powiedział Ionkovo, szarpnięciem ściągając ją z łóżka.

Raesinia pozwoliła mu na to, usiłując wyrwać rękę z jego uścisku. Obróciła się na łopatki i oparła stopę o jego pierś, lecz wyciągnął zza pleców drugą rękę, w której trzymał sztylet o długiej i cienkiej klindze. Uderzył nim z wprawą eksperta, mierząc nieco na lewo od mostka, tak że ostrze weszło między żebra i rozcięło serce. Raesinia poczuła, jak czubek sztyletu wyszedł przez jej plecy i wbił się w drewnianą podłogę.

– Myślę, że to powinno powstrzymać nawet ciebie – rzekł Ionkovo. – Przyszpilona jak motyl w gablotce. Może nie możesz umrzeć, ale wyobrażam sobie, że trudno coś zrobić z nożem tkwiącym w sercu.

Raesinia zamrugła, tłumiąc słabe sygnały jej ciała, które chciało ją zawiadomić, że odczuwa ból nie do opisania. Już czuła mrowienie więzi, usiłującej naprawić szkody, gdy jej krew gęstniała i przestawała krążyć. Czerwona kałuża rozlała się pod nią, sącząc się między deski podłogi.

– Mam dziwne wrażenie, że już to przerabialiśmy, nie sądzisz?
– Ionkovo był w pełnym rynsztunku Przekłętego Penitenta,

w błyszczącej czarnej masce. – Ostatnio popełniłem błąd, oddając cię temu nieudolnemu Mauriskowi. Powinienem wiedzieć, że to nie ma sensu.

Raesinia zdołała wydobyć tylko ochryply szept.

– Wasi Penitenci wcale nie spisali się lepiej.

– Stary dureń, przygłup i nowicjusz. – Ionkovo się skrzywił. – Moim zdaniem pontifex zawsze przykładał zbyt wielką wagę do zdolności demona, a niedostateczną do umiejętności człowieka. Taka moc jak moja, choć nie tak efektowna jak brutalna siła Skręta, jest znacznie... subtelniejsza. – Przechylił głowę w bok i jego maska zamigotała. – Ponadto gwarantuję, że tym razem nikt nie przybędzie cię ratować. Ihernglass do tej pory zginął, generał d'Ivoire wpadnie w pułapkę i nie wyczuwam obecności twojego przyjaciela od burzy piaskowej.

Marcus! Raesinii ścisnęłyby się serce, gdyby nie było rozcięte. Powoli zamrugła i zdołała unieść nieco głowę.

– Nie potrzebuję... pomocy... żeby rozprawić się... z tobą.

Mówienie przychodziło jej z takim trudem, że na moment pociemniało jej w oczach.

– Zuchwałe słowa. – Ionkovo nachylił się do niej. – Zobaczymy, czy będziesz taka odważna po wycieczce przez krainę cieni.

Dwadzieścia jeden

Winter

Bobby odzyskała mowę prędzej niż Winter.

– Jane. Myślałam, że ty... – Zawahała się, zerknąwszy na Winter. – Odeszłaś.

Jane popatrzyła na nie.

– Wyobrażam sobie, że tak to wyglądało. Martwy strażnik, pusta cela. Co innego mogłyście sobie pomyśleć?

– Co się stało? – zapytała Winter. Jej głos był drżący i ochrypły.
– Co robisz tutaj?

– To proste. Nie uciekłam. Porwał mnie Ionkovo. Sprowadził mnie tutaj, żeby mogli mnie wypytać o ciebie. A potem... – Wzruszyła ramionami. – Znaleźli inny sposób, żeby mnie wykorzystać.

– Winter – powiedział ostrzegawczym tonem Maxwell, ale ona zignorowała go.

– I teraz ty tu rządzisz? – spytała. – Co to oznacza, do diabła? Stałaś się jedną z nich?

– To trochę bardziej skomplikowane – odparła Jane. – Właściwie można powiedzieć, że to oni stali się mną, jeśli to ma jakiś sens. – Spojrzała Winter przez ramię i szeroko otworzyła oczy. – Ruda? To ty? Nie poznałam cię z obciętymi włosami.

– Jane? – Ruda ostrożnie wysunęła się przed Winter. – To naprawdę ty?

– Podejź, niech ci się przyjrzę. – Jane z uśmiechem zrobiła krok naprzód i spojrzała Rudej w oczy. Zobaczyła tam dziwny karmazynowy błysk i sierżant roześmiała się. Usunęła się na bok, z dziwnym uśmiechem na piegowatej twarzy.

– Winter – rzekł z naciskiem Maxwell. – Za kogokolwiek ją bierzesz, to nie ona.

– Skąd wiesz? – spytała Jane. – Mam ci przypomnieć nasze tajemnice, Winter? Pamiętasz, jak ukradłyśmy lunch panny Gormenthal? – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Albo gdzie byliśmy, gdy pierwszy raz wsunęłam ci dłoń za koszulę?

Nacisnęła spust, przypomniała sobie Winter.

– W gabinecie Janusa. – Winter zupełnie zaschło w gardle. – Próbowalaś mnie zastrzelić. Dlaczego?

– Szczerze mówiąc, nawet nie wiem – odparła Jane. – Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Może sądziłam, że jeśli obie tam umrzemy, to będziemy razem. A może byłam tak rozgniewana i przestraszona, że po prostu strzeliłam odruchowo. – Wzruszyła ramionami. – To nie ma znaczenia, no nie? Żyjesz. Ja żyję. I nic już nas nie powstrzymuje.

– Ty nie jesteś Jane, prawda? – powiedziała Winter. Patrzyła w oczy dawnej kochanki. Nadal były zielone, lecz niegdyś bystre i skrzące się sarkastycznym humorem, teraz stały się nieruchome i zimne jak kamyki. Jej zachowanie też było inne: zuchwałe jak dawnej Jane, lecz pozbawione skrywanej wrażliwości. – Maxwell, co oni jej zrobili?

– Jestem urażona – powiedziała Jane, zanim kapłan zdążył

odpowiedzieć. – Jestem więcej niż Jane, i tyle. Wszystko to, czym była, wciąż tu jest. Tylko teraz jest także... coś jeszcze.

– Bestia Sądnego Dnia! – syknął Maxwell.

– Skoro tak mówisz – rzekła Jane. Ruchem głowy wskazała pontifeksa. – Ten głupiec myślał, że użyje mnie przeciwko Vhalnichowi. Muszę przyznać, że trochę go do tego zachęciłam.

– Jestem aroganckim, nadętym idiotą – wyrecytował śpiewnie pontifex. – Zasłużyłem na wszystko, co mnie spotkało.

– Max – szepnęła Alex. – Co teraz?

– Uciekaj – powiedział Maxwell. – Nie pozwól nikomu podejść bliżej. Jeśli nie zdołasz uciec, poderżnij sobie gardło.

– To trochę brutalne – zauważyła Jane. – Zapewne jednak nie powinnam krytykować.

Ruda nagle doskoczyła do Winter i od tyłu złapała ją za łokcie. Jane stanęła przed Winter, tak blisko, że ich twarze dzieliły centymetry.

– Nie dostanę całusa? – mruknęła. – Pewnie nie. Ale zaczekaj chwilę.

– Winter!

Głos Bobby zdawał się dobiegać z daleka. Czas jakby zwolnił biegu. Winter szarpnęła się w potwornie silnym uścisku Rudej, ale oczy Jane już zdawały się wypełniać cały świat. W głębi, w centrum jej źrenic, jarzyła się czerwona skra. Urosła, rozchodząc się jak płomień po papierze, pochłaniając czerń i zielen, a potem przeleciała przez niewielką dzielącą je odległość i wpadła w ciało Winter. Dziewczyna nabrała tchu, żeby krzyknąć, ale o wiele za późno i...

I jedna z jej dłoni dotknęła ręki Jane.

Wszystkożerca przeskoczył lukę między duszami, jak wściekły pies, który w końcu zerwał smycz. Gdy karmazynowy blask już wypełniał jej źrenice, poczuła, jak jej demon wpada w Jane. Poprzez tę więź ujrzała Bestię Sądnego Dnia jako ogromną masę rozgałęzionych cynobrowych nitek, przypominającą kłęb pajęczyn ociekających świeżo wytoczoną krwią. Wszystkożerca rzucił się na ten obcy twór, owijając się wokół niego i przekształcając Bestię w siebie. Jednocześnie czerwone włókna wyciągały się w głąb jaźni Winter, wciągając jej duszę w lepki kokon objęć Bestii, gotowej wchłonąć wszystko, czym była ofiara, i wydalić kawałek siebie, żeby na zawsze go w niej pozostawić.

Przez długą chwilę trwały w tym uścisku, jak para węży zaciskających kły na swoich ogonach, usiłujących pożreć się wzajemnie, zanim zostaną pożarte. Winter uświadomiła sobie, że wyczuwa umysł Bestii, w samym środku tej wijącej się, pulsującej czerwonej masy. Był tam pontifex, Żmija i setki innych Penitentów, jazgoczących w dawno zapomnianych językach. A pod tym wszystkim...

Jane? Ona tam była, Winter czuła to. Wymykała się z jej uścisku, jak jedwabiste pasmo rudych włosów przesuwających się między palcami. Jane, proszę!

Winter? Bestia zmieniła się. Jane była jej częścią, lecz i ona była częścią dziewczyny, bardziej niż kogokolwiek innego; to Jane wypowiedziała zaklęcie, które przywołało ją do tego świata, i prastara jaźń Bestii wykorzystała jej umysł jako platformę swojej reinkarnacji.

Pomogę ci, powiedziała jej Winter, w samym środku potwornego wiru demonicznej mocy. Wyciągnę cię z tego.

Nie, pomyślała Jane. Już nie z drwiną, ściekającą niczym jad z hybrydy Bestii-Jane. Winter nie wiedziała, czy może to być podstęp, skoro ich umysły były połączone ze sobą. Nie rozumiesz. Zrobiłam to dla ciebie. Wszystko, co nas dzieliło – pani Wilmore, Ganhide, Abby, Janus – teraz już nie ma znaczenia. Los chce nas rozdzielić, ale nawet los nie oprze się mocy Bestii. Winter ujrzała znajomy uśmiezek Jane, poczuła objęcie jej widmowych ramion. Wróć do mnie. Proszę.

Nie mogę. Wszystkożerca i Bestia zmagają się ze sobą i Winter miała wrażenie, że próbuje przekrzyczeć sztorm. Nie wrócę!

Głos Jane zmienił się w złowrogi pomruk, zawsze czający się pod pozorną beztroską. Wrócisz.

Nagle wszystko pochłonęła fala potwornego strachu. Nie Jane czy którejkolwiek z niezliczonych osobowości uwięzionych w pajęczynie Bestii, lecz samego demona. Jego moc przepływała do Wszystkożercy, choć wciąż usiłowała wchłonąć umysł Winter. Ta nagle wyobraziła sobie Bestię wciągającą ją w siebie i również wchłanianą – dwa węże pożerające się, aż nic z nich nie zostanie. To oznaczałoby całkowite zniszczenie Bestii, kres jej tysiącletniego żywota. Siły Wszystkożercy i Bestii były wyrównane, tak więc ich starcie powoli zmierzało do wzajemnego unicestwienia.

Tego Bestia nie mogła ryzykować. W rzeczywistym świecie minęła zaledwie sekunda. Ruda nagle puściła Winter i wepchnęła się między nią a Jane, odpychając je od siebie i zrywając połączenie między demonami. Na moment przed tym Winter usłyszała myśl-rokaz, wydany przez demona miriadowi jego jestestw.

Zachować Winter przy życiu. Zabić pozostałych.

– Winter! – krzyknął ktoś.

Zamrugła. Miała wrażenie, że budzi się z głębokiego snu, oszołomiona i ospała. Stał przed nią Maxwell, ale widziała go jak za mgłą.

– Nie podchodź do niej! – zawołał kapłan. – Teraz ma ją Bestia!

– Nie! – Bobby z zamkniętymi oczami podniosła Rudą i cisnęła nią przez komnatę. Ciało sierżant z łoskotem uderzyło w jeden z regałów i upadło na podłogę wśród brzęku tłuczonego szkła. – Musimy jej pomóc!

Pontifex podniósł się z za swojego biurka, zwinnie jak na tak starego człowieka. Gdy podniósł ręce, żeby zdjąć czarną maskę, dwie bliźniacze włócznie ciemności przeleciały w powietrzu i wbiły się w jego pierś, jedna pod drugą. Przez moment przytrzymały go, a potem znikły. Przywódca Kapłanów Czerni zrobił chwiejny krok naprzód, a potem upadł przy swoim biurku, brocząc krwią z dwóch równych dziur w klatce piersiowej. W tej samej chwili padł strzał z pistoletu i Winter zobaczyła, że młody kapłan, który był ich przewodnikiem, pada na wznak i jak popsuta zabawka stacza się po schodach. Millie odrzuciła dymiącą broń, wytrzeszczając oczy.

Jane. Winter zamrugła i usiadła. Jane leżała przy biurku, w pobliżu pontifeksa. Nie odniosła żadnej widocznej rany, ale i nie ruszała się. Stojący obok Winter Maxwell cofnął się, łapiąc za broń.

– Nic mi nie jest – powiedziała Winter, nieco ospale. – Mój... demon... ją odstraszył. Wciąż... jestem sobą.

– Nie można ufać...

Bobby podeszła, złapała Winter za rękę i postawiła na nogi. Przez moment z bliska spoglądały sobie w oczy, a potem Bobby

odwróciła się.

– Nic jej nie jest – orzekła. – Tyle że nam zaraz coś się stanie. Nadchodzą.

– Nadchodzą – wymamrotała Winter. – Oni... – Poczowała, jak całkowicie odzyskuje świadomość, jakby nagle wskoczyła do lodowatej wody. – O kurwa. Musimy się stąd wydostać.

– Zgadzam się z tym – powiedziała Alex, z dłońmi wciąż otoczonymi kulami ciemności.

– Skupcie się na tym jak – mruknęła Bobby. Wsunęła dłonie pod biurko i stęknąwszy, podniosła półtonowy stary mebel. Winter pospiesznie zeszła jej z drogi, gdy chwiejnie przeszła kilka kroków i wepchnęła go w drzwi. Biurko było niemal tak szerokie jak schody i choć nie zatarasowało ich zupełnie, utworzyło skuteczną barykadę. – Tędy się nie przedostaniemy. Posłuchajcie.

Nie musiała ich ostrzegać. Na schodach słyszeli tupot setek nóg, gdy zbity tłum w upiornym, zdeterminowanym milczeniu zmierzał na szczyt wieży.

– A więc przez okna – rzuciła Alex.

Podbiegła do jednego, a Winter tuż za nią. Tu, na najwyższym piętrze wieży, okna były szerokie i wielokwaterowe; wyglądały na równie stare jak sama katedra. Były zamocowane na stałe, lecz wypuszczone przez Alex linie cienia rozbiły je, wyrzucając w noc kawałki ołowiu i szkła. Zimny podmuch wiatru uderzył Winter jak młot i nagle komnatę wypełniło poskrzypywanie sznurów i łopot flag. Wydawało się, że plątanina lin pomiędzy dwiema wieżami zapełnia świat, a spadzisty dach katedry znajduje się daleko w dole.

– Mogłabym się wydostać – stwierdziła Alex. – Ale moje liny nie

są dostatecznie mocne, żeby utrzymać wszystkich. Będziemy musieli użyć tych sznurów.

– One też nie są dość mocne – orzekła Millie, wystawiwszy głowę na zewnątrz. – Są niewiele grubsze niż sznury do wieszania prania.

– Mam pomysł. – Alex wychyliła się i posłała włókno ciemności w górę. – Dajcie mi minutę.

– Możesz nie mieć tyle czasu! – zawołała Bobby, gdy dziewczyna wylatywała przez okno.

Bobby trzymała w dłoni miecz. Pierwszy z napastników dotarł do biurka, wgramolił się na nie i natychmiast na czworakach ruszył dalej, z jarzącymi się czerwono oczami. Cios zadany przez zwykłego człowieka mógłby ześliznąć się po czaszce, ale poparty nadludzką siłą Bobby roztrzaskał głowę napastnika, rozpryskując kości i mózg.

Dwaj kolejni mężczyźni w czarnych szatach sunęli tuż za nim i przeszli po jego jeszcze wstrząsanym konwulsjami ciele, wyciągając ręce ku Bobby. Zamaszystym ciosem odrąbała pierwszemu rękę w łokciu, ale już ją dopadli, łapiąc za jej miecz i zaciskając na nim palce, chociaż przecinał je do kości.

Winter zerknęła na drugi koniec komnaty, upewniając się, że Jane i Ruda nie ruszają się, a potem stanęła u boku Bobby, wyciągając swój miecz. Cięła, odrąbując dłoń, lecz już następne postacie w czarnych szatach wdzierały się do komnaty, przechodząc po jeszcze drgających ciałach poprzedników. Jeden z napastników, krępy mężczyzna, który wyglądałby przyjaźnie, gdyby nie krwawy błysk w oczach, odepchnął okaleczonego i rzucił się na Bobby, zamykając ją w uścisku i przygniatając ciężarem

ciała. Inny próbował dopaść Winter, która cofnęła się i pchnęła go mieczem w oko. Gdy padł w konwulsjach, rzuciła się na pomoc Bobby, ale ta już zdążyła wstać i z taką siłą cisnęła krępym mężczyzną o sufit, że usłyszały chrzęst łamanych kości.

Z trzaskiem pękającego drewna napastnicy natarli na barykadę, pchając przed sobą zabitych. Winter pojęła, że z tyłu napiera zbity tłum, przesuając ciała razem z ciężkim biurkiem. W tej samej chwili następny kapłan prześliznął się przez coraz węższą szparę nad prowizorycznym taranem i rzuciwszy się na Bobby, uderzył ją pięścią w brzuch. Dziewczyna stęknęła i opuściła pięść na jego plecy, z głośnym trzaskiem łamiąc mu kręgosłup, ale mimo to jej nie puścił. Walczyła na oślep, nie wając się otworzyć oczu i spojrzeć w czerwone ślepia Bestii, więc minęła chwila, zanim złapała go za kark i oderwała od siebie.

Nie utrzymamy się tutaj, uznała Winter. W innych okolicznościach uważałaby to za doskonałą pozycję obronną, z jednym łatwym do zabarykadowania wejściem. Jednak zazwyczaj obrona opiera się na założeniu, że wróg niechętnie odda życie, a Bestia miała do dyspozycji tysiąc ciał. Siła Bobby pozwoli im się utrzymać przez jakiś czas, ale nawet ona wkrótce się wyczerpie.

– Alex! – zawołała. – Cokolwiek robisz, pospiesz...

Sterna ciał blokujących przejście runęła, popchnięta z drugiej strony. Bobby, która nie dostrzegła zagrożenia, na oślep tłukła przygniatające ją ciała martwych kapłanów, aż tryskała krew. Kolejni napastnicy zeskoczyli z biurka – dwaj krępi kapłani na czele zbieraniny akolitów, sług oraz więźniów, stłoczonych na krętych schodach wiodących na piętro.

– Bobby! – Winter cięła i rąbała nacierający tłum, ale nie posuwała się naprzód, gdyż miejsce każdego powalonego zajmowali następni i musiała się cofać, żeby nie zaszli jej od tyłu. Bobby znikła pod stertą podrygujących ciał, żywych i martwych.

Stojąca przy oknie Millie wyjęła miecz, ale jej pierwszy cios był zbyt niepewny i jeden z kapłanów złapał za klingę i wyrwał jej broń z ręki. Wyciągnął do niej przecięte, zakrwawione palce, a ona wrzasnęła i zrobiła krok w tył, na parapet okna. Kopnęła napastnika w twarz, obejrzała się przez ramię i skoczyła.

– Millie, zaczekaj... – dobiegł z zewnątrz głos Alex.

Maxwell rąbał i kłuł mieczem, dopóki nie wyrwano mu go z rąk. Ciała Bestii złapały go, przycisnęły do ściany wieży i przytrzymały za ręce i nogi. Zamknął oczy, ale inne dłonie chwyciły jego twarz i rozchyliły mu powieki, a jedna z czarno odzianych postaci przysunęła twarz do jego twarzy.

– Na pomoc! – Głos młodego kapłana zmienił się w przeraźliwy krzyk. – Winter! Alex! Pomóżcie mi, proszę...

Jego krzyk przeszedł w zduszony bulgot, gdy spojrzał w czerwone ślepia Bestii. W następnej chwili Alex pojawiła się w oknie, ciągnąc kłęb lin. Gdy ujrzała nacierający tłum postaci oblanych piekielną czerwoną poświatą ich oczu, na moment oniemiała, a potem wpadła w szal. Uniosła ręce i kule ciemności wokół jej dłoni powiększyły się do rozmiarów dwóch kul armatnich.

Instynkt kazał Winter przypaść do podłogi. Włókna ciemności wytrysnęły z obu rąk Alex, rozchodząc się na wszystkie strony jak kolce kaktusa. Przebijały odzież, ciała i kości, a gdziekolwiek uderzyły dzieliły się na niezliczone kuleczki ciemności, które niczym kartacze rozrywały wszystko na swej drodze. Nagle

komnatę wypełniła sieć przecinających się czarnych włókien, rozkwitających niczym odrażające kwiaty w rozbryzgach krwi i poszarpanych tkanek.

Gdy w następnej chwili te włókna ciemności znikły, na moment zapadła głucha cisza. Alex nabrała tchu i zachwiała się. Winter zerwała się z podłogi, podbiegła do okna, ślizgając się w kałużach krwi, i złapała dziewczynę, zanim ta runęła w przepaść za oknem. Alex zamrugła, ciężko dysząc, po czym spojrzała przytomniej.

– Max – odezwała się. – Gdzie on jest?

– Tutaj. – Maxwell wstał, strząsając z siebie bezwładne ciała tych, którzy go przytrzymywali. W jego oczach palił się czerwony błysk. – Podejdź tu, Alex. Myliłem się. Pozwól mi wyjaśnić.

– Och. Och, Karisie, ja pierdołę, nie – jęknęła Alex. – Proszę...

Wielu innych też podnosiło się z podłogi. Winter zobaczyła Rudą, z odłamkami szkła tkwiącymi w plecach, pomagającą Jane wstać. Wokół były dziesiątki kapłanów i ich sług; niektórzy z nich stracili kończyny lub krwawili z głębokich ran, lecz w ich oczach wciąż palił się złowrogi czerwony błysk.

– To nie jest takie złe – powiedział Maxwell. – Naprawdę. Kocham cię, Alex. Czy mógłbym cię okłamać...

Alex wyrwała się z uścisku Winter i na moment włókno ciemności połączyło ją z mężczyzną, który był jej kochankiem. Przebiło mu czaszkę na wylot, rozbijając kamienny mur za nim. Czerwony blask w jego oczach zgasł i Maxwell padł, nie wydawszy jęku.

Sterna ciał zadrgała i wynurzyła się spod niej Bobby, trzymając się za bok. Cała była pokryta krwią, jakby się w niej kąpała, lecz powieki wciąż miała mocno zaciśnięte. Zakręciła się bezradnie,

a Winter zawołała ją po imieniu.

– Bobby! Tutaj!

Bobby rzuciła się biegiem, ślizgając się i potykając o ciała. Jeden z okaleczonych kapłanów złapał ją, ale strząsnęła go z siebie i dotarła na drugi koniec komnaty. Winter chwyciła ją za rękę i o mało nie straciła swojej, w ostatniej chwili zdążywszy ostrzec Bobby.

– Przepraszam. – Bobby otworzyła jedno oko. – Nic ci nie jest?

Winter kiwnęła głową.

– Zmywamy się stąd. Po prostu skocz, jeśli będziesz musiała.

– Użyj tego. – Alex podała Winter węzlastą linę. – Powinna utrzymać twój ciężar.

– I co potem? – zapytała Jane z drugiego końca komnaty. – To Elizjum. Dokąd chcecie uciec?

– Ruszajcie – powiedziała Winter do Alex i Bobby.

Alex zeskoczyła z okna, zawisając na swojej linie ciemności. Bobby chwyciła powiazaną w węzły linę, zawahała się i zrobiła krok w pustkę. Lina zatrzeszczała pod jej ciężarem, ale wytrzymała. Ściskając ją jedną ręką i opierając się stopami o ścianę wieży, Bobby wyciągnęła drugą rękę do Winter.

– Nie możesz mnie zostawić – powiedziała Jane. – Nie tym razem.

Winter wskoczyła na parapet okna i chwyciła dłoń Bobby. W tej samej chwili ze sterty ciał wyciągnęła się ręka i złapała ją za kostkę. Przez krótki moment łapała równowagę, ciągnięta w dwie przeciwne strony, a w końcu jej śliskie od krwi palce wyśliznęły się z dłoni Bobby. Kolejne ciała Bestii zbliżały się, rozpaczliwie usiłując ją schwytać. Winter nabrała tchu, zamknęła oczy i rzuciła

się w dół.

Przez moment spadała w pustkę.

Potem coś uderzyło ją w bok, tak mocno, że pozostał siniec. To Bobby skoczyła z wieży i wyciągniętą ręką złapała Winter. Drugą chwyciła pajęczynę sznurów łączących obie wieże, a ta natychmiast pękła pod połączonym ciężarem dwóch ciał. Tak samo następna i kolejna, każda wytrzymała tylko ułamek sekundy, nim się zerwała. Potem pajęczyna lin się skończyła i spadały na kryty gontem dach katedry. Bobby zgięła się wpół i zwinęła tak, że jej ciało znalazło się pod Winter, a wtedy...

Zderzenie. Głowa Winter mocno uderzyła o pierś Bobby, a gonty pod nimi trzasnęły. Zaparło jej dech i przez moment nie mogła go złapać. Usiadła, dysząc, i poczuła tak silny ból, że zrobiło jej się ciemno przed oczami. Jej lewa ręka zwisała pod dziwnym kątem, jakby nagle wyrósł jej dodatkowy staw, a kiedy spróbowała nią poruszyć, ból i mdłości nasiliły się tak, że wymiotowała.

Kiedy już miała pusty żołądek, otarła usta sprawną ręką i spojrzała na Bobby. Nie można było powiedzieć, jak bardzo ucierpiała, gdyż cała była pokryta krwią, ale się nie ruszała. Zwykle im cięższe odnosiła rany, tym dłużej dochodziła do siebie. Uratowała mi życie. Skoczyła z wieży i złapała mnie. Winter popatrzyła w górę, na pajęczynę flag i pozrywanych sznurów, i zadrżała.

Alex wylądowała obok na ugiętych nogach, a włókno ciemności nad nią powoli znikło.

– Winter? Święci i męczennicy, ty żyjesz?

– Bobby zamortyzowała impet. – Winter z trudem wstała,

walcząc z kolejnym przeszywającym spazmem bólu. – Jest w kiepskim stanie, a ja chyba mam złamaną rękę. Pomóż mi ją podnieść.

– Ale...

– Nic jej nie będzie! – rzuciła gniewnie Winter. – Musimy tylko znaleźć jakąś kryjówkę, zanim nas dogonią.

Alex skinęła głową; miała szeroko otwarte oczy i pobladłą twarz. Razem z Winter postawiły Bobby na nogach, starając się nie zważać na jej bezwładnie opuszczoną głowę, i podtrzymując ją, ruszyły. Winter pozwoliła Alex prowadzić, skupiając się na utrzymaniu równowagi na śliskich gontach i usiłując nie myśleć o przeszywającym bólu lewej ręki przy każdym kroku.

Przed nimi na dachu leżało inne ciało. Millie.

– Próbowала złapać jeden ze sznurów, ale nie utrzymał jej ciężaru – szepnęła Alex.

Winter nie musiała pytać, czy powinny spróbować jej pomóc. Głowa Millie miała dziwny kształt, jak balon, z którego uszło powietrze.

Winter zachwiała się pod ciężarem ciała Bobby, gdy Alex wysunęła się naprzód, żeby otworzyć zamknięte klapę drzwi. Rozległ się stłumiony trzask, gdy jedną ze swych czarnych włóczni rozbiła zamek. Znajdująca się pod klapą drabinka prowadziła do ciemnego i zakurzonego korytarza. Alex zeszła pierwsza, a Winter nie miała innego wyjścia, jak wpełznąć Bobby w otwór i pozwolić jej spaść. Sama próbowała zejść, przytrzymując się jedną ręką, lecz zawadziła tą złamaną o szczebel drabiny i znów pociemniało jej w oczach. Kiedy czarny opar się rozwiął, leżała na posadzce, a Alex pod nią.

– Przepraszam – wymamrotała. Kręciło się jej w głowie i znów by zwymiotowała, gdyby miała czym. Przełknęła kwaśną ciecz podchodzącą do gardła i z trudem wstała. – Pomóż mi z Bobby.

Znajdowały się w górnej kondygnacji katedry, w labiryncie przejść i pokoiów podobnym do tego w katedrze w Vordanie. Powłokły się przed siebie, niosąc bezwładne ciało Bobby. Winter myślała tylko o tym, żeby się oddalić od wyjścia na dach. Minie trochę czasu, zanim Bestia przyśle kogoś na dach, ale niewątpliwie widziała, gdzie spadły. Minąwszy pół tuzina identycznych korytarzy i kilkakrotnie zmieniawszy kierunek marszu, wybrała pomieszczenie o mocno zakurzonych drzwiach i otworzyła je, starając się nie zostawiać żadnych śladów w pyle. W środku były sterty pleśniejących kotar, zżartych przez mole i zapomnianych. Doskonale.

Wśliznęła się do środka i kopniakiem zamknęła za sobą drzwi. W słabym świetle sączącym się przez szparę pod nimi widać było tylko ciemne kontury przedmiotów. Razem z Alex zaciągnęły Bobby do jednej ze stert materaców i ostrożnie ją tam położyły, a potem Winter opadła na drugą.

Zabłysło światło. Alex oświetliła zapalką twarz Winter.

– Nie rób tego – ostrzegła ją Winter. – Nie zapalaj. Zobaczą światło.

– Muszę coś zrobić z twoją ręką – rzekła Alex. Przygryzła wargę, oglądając złamanie. – Nie wygląda... tak źle. Mogę ją nastawić i usztywnić.

Machnięciem zgasiła zapalkę, zapaliła następną i zaczęła przetrząsać pokój.

– Wiesz, co robisz?

– Tylko trochę. Nauczyłam się tego od Abrahama. – Alex potrząsnęła głową. – Gdzie on, do diabła, jest, kiedy go potrzebujemy?

– Ja... – Winter znów przełknęła ślinę. – Przykro mi. Z powodu Maxwella.

– Mnie też. – W głosie Alex zabrzmiało napięcie. Zapaliła trzecią zapałkę i uklękła przy Winter. – W porządku. To zapewne będzie bolało.

– Jeśli będę miała szczęście, to zemdleję. – Winter zamknęła oczy. – Wetknij mi coś w zęby.

Alex włożyła jej do ust skórzaną pochwę. Miała posmak kurzu i krwi. Winter wciągnęła powietrze w nozdrza, próbując się przygotować...

Jej lewa ręka eksplodowała, wysyłając płonące włócznie bólu, które przeszywały całe ciało. Mocno zacisnęła zęby na pochwie miecza, lecz mimo to z jej ust wydobył się jęk, zanim – na szczęście – zemdląca.

Gdy się ocknęła, nie miała pojęcia, ile minęło czasu, czuła tylko smak krwi w ustach i suchość w gardle. Sięgnęła po manierkę u boku i przestraszyła się, gdy nie zdołała poruszyć lewą ręką. Okazało się, że złamana kończyna jest przywiązana do kawałka kija owiniętego jakimś samodziałem, pasy materiału przytrzymały ją też na piersi Winter. Na ten widok gwałtownie wróciła jej pamięć i przez chwilę dziewczyna walczyła ze wzbierającą w gardle żółcią.

W końcu zdołała usiąść i wziąć manierkę; niezdarnie otworzyła ją jedną ręką i przytknęła do ust. Woda pociekła jej po brodzie. Po

drugiej stronie pomieszczenia ktoś się poruszył, ale było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć.

– Winter? – sennie zapytała Alex.

– Mm. – Winter opróżniła manierkę i odstawiła ją na bok. – Taak.

– Jak się czujesz?

– Trochę lepiej. – Ręka ją bolała, lecz był to tępy, pulsujący ból, a nie ostry i palący. – Dobra robota.

– Dzięki. Chciałam jakoś pomóc Bobby, ale nie wiedziałam, od czego zacząć.

– Demon Bobby zrobi dla niej więcej niż my dwie. – Raptem Winter zniżyła głos. – Słyszałaś coś?

– Ludzi poruszających się w oddali, kilka razy. Zapewne nas szukają, ale są jeszcze daleko.

– Masz pojęcie, gdzie jesteśmy?

– Tak... sądzę – odparła Alex. – A przynajmniej wiem, gdzie są główne schody.

– To i tak więcej niż ja. Nieźle.

Winter zamilkła, zerkając w stronę leżącej nieruchomo Bobby. Jak długo będzie dochodzić do siebie? Kiedy została zraniona przez Desoltajów, zdrowiała przez większość nocy, a teraz miała chyba poważniejsze obrażenia. Mówiła jednak, że jej rany goją się coraz szybciej, przypomniawszy sobie Winter.

– Zostały ci jeszcze jakieś zapalki?

– Taak. – Alex przysunęła się bliżej. – Dlaczego pytasz?

– Chcę obejrzeć Bobby.

Po chwili w mroku zapaliło się światło. Winter osłoniła oczy

dłonią, po czym przesunęła się do leżącej Bobby. Dziewczyna była dosłownie cała we krwi, teraz zaschniętej w popękana brązową skorupę. Winter wytarła jej twarz rękawem swojej kurtki i syknęła. Skóra na policzkach Bobby była poprzecinana białymi jak marmur żyłkami wtopionymi w żywe ciało. Ich pajęczyna pokrywała czoło i tworzyła kręgi wokół oczu. Część jej włosów też się zmieniła i ciemny blond był teraz przetykany białymi pasmami.

– Karisie Wszchemogący – szepnęła Alex. – Co się z nią dzieje?

– To część procesu gojenia – wyjaśniła Winter. – Nic więcej nie wiem.

Bobby poruszyła się i cicho jęknęła. Alex machnięciem zgasła zapalnik.

– Myślę, że to nie potrwa długo – powiedziała Winter. – Kiedy będzie mogła chodzić, spróbujemy się stąd wydostać. – Jeśli do tego czasu nie znajdzie nas Bestia, dodała w myśli.

– Taak. – Sylwetka Alex poruszyła się i skuliła. Dziewczyna powiedziała prawie szeptem: – Kurwa. Dlaczego to się tak skończyło? Dlaczego on...?

– Nie wiedzieliśmy – powiedziała Winter. Nie podejrzewaliśmy, że pontifex uwolnił Bestię. A Jane...

– Powinam była... sama nie wiem. – Alex tłumiała szloch, zmieniając go w coś przypominającego czkawkę. – Kurwa. Po ostatnim razie, po staruszkę, obiecałam sobie, że już nikt mi tego nie zrobi. A potem rozczulam się nad pierwszym przystojniakiem, jaki się napatoczył. Do diabła, co jest ze mną nie tak?

– Alex, proszę, nie mów tak. Zasłużył na coś więcej.

– Wiem. – Alex zamilkła na moment. – Kim była tamta kobieta? Ta, która próbowała... no wiesz.

– Jane Verity – powiedziała Winter. – Moja... kochanka. – I najlepsza przyjaciółka, wybawczyni, osoba, którą zraniłam dotkliwiej niż kogokolwiek, straciłam, odnalazłam i znów utraciłam... – Była moją kochanką. A potem próbowała mnie zabić. Myślałam, że po tym uciekła.

– Jednak oni sprowadzili ją tutaj i zmienili w Bestię?

– Najwyraźniej.

Zapadła długa cisza.

– Przykro mi – odezwała się po chwili Alex. – Po prostu... nie wiem, co powiedzieć.

– Ja również.

Alex znów zniżyła głos do szeptu.

– Chcę wrócić do domu.

– Ja też. – „Dom” to dziwne słowo, pomyślała Winter. Na całym świecie nie było miejsca, które mogłaby nazwać swoim domem. Chciała wrócić do Cyte, do swojego starego namiotu i wygodnej rutyny marszów, ćwiczeń i obozów. Może „dom” to po prostu zbiór przyzwyczajzeń. – Alex, gdybyś była tu sama, mogłabyś się stąd wydostać?

– Co? A jakie to ma znaczenie? Nie zos...

– Proszę. Odpowiedz.

– Zapewne – przyznała niechętnie Alex. – Potrafię wspinać się na mury i biec szybciej niż większość sług Bestii. Chyba że zostali jej jeszcze jacyś Penitenci.

– Nie zostali – zapewniła ją z roztargnieniem Winter. – Bestia niszczy każdego demona, jakiego napotka. W jednej duszy nie ma miejsca dla dwóch.

Trucicielski demon znikł w tej samej chwili, gdy jego Penitentka została schwytana przez Bestię. Co oznacza, że Janus ma szansę wyzdrowieć, przeszło jej przez myśl.

– A dlaczego pytasz? – nalegała Alex. – Powiedz, proszę.

– Jeśli nas otoczą – powoli odparła Winter – tak że ja i Bobby nie będziemy w stanie się stąd wydostać, chcę, żebyś uciekła.

– Nie zrobię tego – stwierdziła ponuro Alex. – Nie zamierzam się ratować, gdy wy...

– Nie chodzi o ciebie – przerwała jej Winter. – Posłuchaj. Chciałaś nam pomóc i teraz daję ci zadanie. Musimy ostrzec ludzi, rozumiesz? Bestia nie zostanie tutaj, w Elizjum. Jeśli nikt jej nie powstrzyma, będzie rozszerzała swe wpływy bez końca, aż nic nie zostanie. Teraz może jesteśmy jedynymi osobami, które wiedzą, że wydostała się na wolność.

– Och – westchnęła Alex. Była oszołomiona. – Nie... nie pomyślałam o tym.

– Zatem to twoje zadanie. Najpierw idź na Górę i ostrzeż Najstarszego. On może wiedzieć coś ważnego, a część moich żołnierzy nadal tam czeka. Zabierz ich ze sobą na południe. Znajdź Janusa. – Przełknęła ślinę. – Jeśli on nie żyje, znajdź Marcusa d'Ivoire'a lub Raesinię czy kogokolwiek, kto tam rządzi. Musisz jednak ich ostrzec. Trzeba ostrzec wszystkich.

– Rozumiem. To nie będzie konieczne, bo wszystkie się stąd wydostaniemy.

Bobby znów jęknęła i poruszyła się.

– Bobby? – spytała Winter.

– Winter? – Dziewczyna usiadła.

– Jak się czujesz?

- Jakbym spadła z wieży pierdolonej katedry – odrzekła Bobby.
 - Nic ci nie jest?
 - Prawie nic. Możesz chodzić? Musimy ruszać jak najszybciej.
 - Myślę, że mogę chodzić, ale nic nie widzę. Gdzie jesteśmy?
 - Wciąż w katedrze – wtrąciła Alex. – Na strychu.
- Bobby jęknęła.
- Niczego tak nie pragnę, jak już nigdy nie zobaczyć żadnej innej katedry. Co się stało z pozostałymi?
 - Zginęli – lakonicznie odparła Winter.
 - Kurwa – cicho zaklęła Bobby. A potem dodała: – No cóż. Co teraz?

Dwadzieścia dwa

Marcus

Trzy identyczne zamaskowane kopie natarły na przejście, w którym Marcus stał obok Sothe. Zabójczyni rzuciła nożem, powalając jednego z napastników na podłogę, a potem razem z Marcusem zmierzyła się z pozostałymi. Te dziwne duplikaty były wprawnymi szermierzami. Marcus niezdarnie odparował pchnięcie i zobaczył, jak napastnik zręcznie uchyla się przed jego ripostą. Jednak gdy zamaskowany natarł ponownie, Sothe, pozbywszy się już swojego przeciwnika, doskoczyła z boku i długim mieczem rozplatała mu brzuch.

Trupy znikły, tak jak poprzednio. Ostatni pozostały duplikat, stojący na końcu korytarza, demonstracyjnie wzruszył ramionami.

– Mogę to robić cały dzień – oznajmił. Powietrze rozmazywało i załamywało kontury jego sylwetki. – A wy?

I znów pojawiły się trzy jego kopie, które ruszyły do ataku. Tym razem nóż Sothe przeleciał nad ramieniem jednej z nich i głęboko wbił się w pierś napastnika, który został z tyłu. Trafiony padł z łoskotem, lecz to nie powstrzymało pozostałych. Dwaj z nich natarli, a trzeci przystanął. Marcus zaskoczył jednego z nich niskim mierzonym cięciem, które strzaskało intruzowi kolano i powaliło go, natomiast Sothe wytrąciła broń z rąk drugiego i zabiła go pchnięciem miecza. Zrobiła krok naprzód, już trzymając w dłoni

następny nóż do rzucania, i cisnęła nim w głąb korytarza w tej samej chwili, gdy powietrze wokół ostatniego zatrzeszczało i zamigotało. Penitent uskoczył, ale nie dość szybko, i ostrze nakreśliło krwawą linię na jego ramieniu. W następnej chwili na korytarzu pojawili się czterej tacy sami, każdy z identyczną raną. Pozostałe kopie, nawet ta, którą Marcus z rozmysłem okaleczył, ale pozostawił przy życiu, znikły.

– Ach – mruknęła Sothe. – Marcusie. Widzisz to?

– Tak sędzę – rzekł Marcus – ale...

Penitent zaatakował i natychmiast stało się jasne, że dotychczas tylko się z nimi bawił. Jego duplikaty nacierały zaciekle, ginęły i niemal natychmiast znów się pojawiały, tak że powietrze nieustannie skrzyło się pajęczyną pęknięć i rozbłysków. Nawet mając przewagę dobrej pozycji obronnej w drzwiach, Marcus szybko zostałby pokonany, gdyby nie Sothe. Jak zwykle walczyła z niezrównaną elegancją i skutecznością. Zabijała jednego wroga po drugim, robiąc zaledwie krótkie przerwy na złapanie oddechu.

Jeden z duplikatów rzucił się na Marcusa, szeroko rozkładając ręce, nawet nie wyciągnąwszy miecza. Zaskoczony Marcus odruchowo pchnął i postać w czarnej masce nadziała się na klingę, chwytając go za nadgarstek. Penitent przytrzymał Marcusa, a inna jego kopia przemknęła obok i wpadła do apartamentu. Sothe obróciła się na pięcie, tnąc w pierś przeciwnika i rzucając nożem w tego, który minął Marcusa, ale było za późno. Powietrze zatrzeszczało i zamigotało, i w pokoju pojawili się trzej Penitenci, którzy ustawili się tak, żeby rozdzielić dwoje obrońców. Jeden wciąż czekał na korytarzu.

– Plecami do siebie – nakazała Sothe, obracając się tak, żeby mieć ich na oku.

Marcus wycofał się z drzwi, lewą ręką wyrywając zza pasa nabity pistolet jednego z martwych najemników. Stał plecami do Sothe i czekał, gdy czterej identyczni Penitenci ustawili się wokół nich w równych odstępach.

Wszyscy czterej przechylili głowy na bok, w upiornie zsynchronizowany sposób. A potem, znów jednocześnie, zaczęli się śmiać.

– Co cię tak śmieszy? – warknął Marcus.

– Właśnie zrozumiałem, z kim walczę – rzekł jeden z Penitentów. – Widzisz, nasz wspólny znajomy Ostatni Diuk wielkodusznie udostępnił nam swoje akta. Ty jesteś Marcus d'Ivoire, nieprawdaż? A ciebie bardzo dobrze znamy, rzecz jasna. Nieuchwytna Szara Róża. Orlanko dużo o tobie mówi, wiesz? Twoja zdrada głęboko go zraniła.

Szara Róża. Marcus zamrugał. Słyszałem już ten pseudonim.

– To Orlanko zdradził mnie – odparła Sothe. – I każdego lojalnego pracownika ministerstwa. Zdradził Vordan i króla.

– Podczas gdy ty tak dobrze im służyłaś? – Penitent znów się roześmiał. – Marcusie, czy masz pojęcie, co zrobiła ta kobieta? Ilu ludzi zabiła, wykonując rozkazy Orlanki?

– Nie wypieram się tego, kim jestem – rzekła Sothe.

Jakiś czas temu, jakby wieki temu, Janus przysłał mu rozszyfrowane akta z archiwum Konkordatu. Z szokującą, kliniczną dokładnością opisano w nich, jak zamordowano rodzinę Marcusa w trakcie jednego z rutynowych działań siejącego postrach Ministerstwa Informacji. Wtedy najważniejsze było dlań,

że jego młodsza siostra Ellie wymknęła się z ich macek. Jednak agentka Konkordatu, która podpisała raport i przeprowadziła tę operację...

– Szara Róża – szepnął Marcus. – To byłaś ty. Ty ich zabiłaś.

– Marcusie... – zaczęła Sothe.

– Przez cały ten czas – mówił – walczyłem u twego boku, a to ty ich zabiłaś.

– Nigdy nie zdołam za to odpokutować, ale...

– Może jednak. – Marcus obrócił się na pięcie, plecami do Penitenta, i wycelował pistolet. – Ty pierdolony potworze. Na jaja Bestii. Śmiałaś się w duchu, gdy mówiłem, że pragnę zemsty?

– Nie – odparła Sothe. Też się odwróciła i stała z opuszczonymi rękami. – Po tym, jak... opuściłam Konkordat i zaczęłam służyć Raesinii, miałam dużo czasu do namysłu. Kiedy wróciłeś do Vordanu, z początku się bałam.

– Bałaś się? Ty?

– Dla mnie ważna jest tylko Raesinia. Zbliżyła się do ciebie i bałam się, że możesz ją zranić. Obawiałam się... – Sothe nabrała tchu. – Myślałam, że mogę o tym zapomnieć. Kiedy sądziliśmy, że zginąłeś pod Isket, przez chwilę czułam ulgę. To okropne, potworne, ale tak było. Jednak wróciłeś. I wtedy coś zrozumiałam. Ty jesteś moją karą, Marcusie. Tak miało być.

Była to chyba najdłuższa wypowiedź, jaką Marcus słyszał z ust Sothe. Ze zdumieniem zauważył, że w jej oczach błyszczą łzy. Mierzył ją wzrokiem, wciąż z groźną miną.

– Miałaś rację – rzekł twardo. – Jestem twoją karą.

Nacisnął spust. A jednocześnie lekko przesunął lufę, kierując ją nad lewym ramieniem Sothe, w stojącego za nią Penitenta. Pistolet

wypalił, a Marcus wypuścił go ze zdrtwiałej dłoni i pchnął szablą stojącego po prawej przeciwnika. Ten, zafascynowany konfrontacją, podszedł za blisko i stalowa klinga wbiła mu się pod żebra, nie napotykając oporu. Marcus kątem oka zobaczył, jak Sothe z półobrotu rzuca nożami trzymanymi w obu rękach.

Na moment czas jakby się zatrzymał. Potem cztery zamaskowane postacie równocześnie runęły na podłogę. Tym razem żadna z nich nie znikła.

Marcus odetchnął.

– Idiota. Gdyby miał choć trochę rozumu, zadźgałby mnie natychmiast, gdy odwróciłem się do niego plecami.

– Istotnie – rzekła Sothe. – Mam wrażenie, że lubił słuchać swojego głosu...

Urwała, gdy Marcus odwrócił się, podniósłszy z podłogi drugi pistolet. Cicho szcęknął odwodzony kurek, gdy wycelował broń w jej pierś.

– Jeśli kłamał – powiedział – to teraz jest bardzo dobra chwila, żeby mi to powiedzieć.

Marcus sam nie wiedział, czego oczekuje. Może błysku stali, gdy Sothe z łatwością uchylił się przed kulą i wbije noże w jego pierś. Dłonie miał śliskie od potu i jego palec na spuście lekko drżał.

– Nie kłamał. Byłam... jestem... Szarą Różą, najlepszą zabójczynią Orlanki.

– Zabiłaś moich rodziców.

– Tak.

– Zabiłabyś i mnie, gdybym wtedy został w Vordanie.

– Nie ja podjęłabym taką decyzję – wyjaśniła. – Jednak zrobiłabym to, gdybym otrzymała taki rozkaz.

– Dlaczego? – Łzy cisnęły się Marcusowi do oczu. Powstrzymał je, mrugając, wciąż jednak trzymał wycelowany w nią pistolet. – Dla jakichś gównianych finansowych korzyści? Kontrolnego pakietu akcji jakiejś firmy?

Sothe wzruszyła ramionami.

– Ponieważ otrzymałam taki rozkaz.

– Od Orlanki?

Skinęła głową.

– Nigdy nie kwestionowałaś jego decyzji? Nigdy nie pomyślałaś, że zabijanie niewinnych ludzi...

– To on decydował o niewinności i winie. Ja wykonywałam zadania.

Lufa pistoletu opadła o centymetr.

– Dlaczego przestałaś?

– Przez Raesinię – odpowiedziała z nikłym uśmiechem Sothe. – Gdy była bliska śmierci i uratowali ją sojusznicy Orlanki, kazał mi ją obserwować. To wtedy zaczął snuć plany mające uczynić go regentem. Miałam... – Znów lekko wzruszyła ramionami. – Zawsze uważałam, że wykonuję polecenia króla, przekazywane mi przez jego wiernego sługę. Teraz wiem, że uważałam króla za kogoś w rodzaju... boga, doskonałej istoty górującej nad światem zwykłych śmiertelników. Ale król umierał i królową miała zostać Raesinia. A ja ją znałam. Była człowiekiem, zwyczajną przestraszoną dziewczyną zmuszoną do robienia czegoś, co ledwie pojmowała. Nie mogłam się dłużej oszukiwać, że Orlanko chce jej dobra.

– I przeszłaś na jej stronę.

– W rzeczywistości było to bardziej skomplikowane. Pozostawiłam fałszywy trop, żeby zmylić Konkordat. Jednak w zasadzie masz rację.

– I zapewne – kwaśno rzekł Marcus – teraz mi powiesz, że wszystko, co robiłaś od tamtego czasu, miało być pokutą za to, co czyniłaś w służbie Orlanki.

– Nie. Nie ma mowy o odkupieniu. – Sothe wyprostowała się. – Jestem sztyletem podrzynającym gardła w ciemności. Przez długi czas używano mnie w niegodziwym celu. Teraz wierzę, że służę dobru, ale tylko to się zmieniło.

– A jeśli cię zastrzele?

– Będzie to oznaczało, że na to zasłużyłam. I może ty także.

Zamknęła oczy.

Nie zamierzał tego zrobić. Marcus właściwie wiedział to od początku. Nie wyobrażał sobie, jak mógłby potem stanąć przed Raesinią i wyjaśnić jej, co się stało. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby zabić sojuszniczkę, która tak zręcznie i wytrwale walczyła u jego boku. A przede wszystkim nie był w stanie zastrzelić z zimną krwią osoby – kobiety – niebędącej żadnym zagrożeniem. Głupiec ze mnie. Opuścił pistolet.

– Nie możesz zostać – powiedział. Od tej pory, ilekroć zobaczyłby jej twarz, widziałby płomień. – Odejdź. Nie obchodzi mnie gdzie. Nie chcę cię więcej widzieć.

Sothe otworzyła oczy i skinęła głową.

– Zaopiekuj się Raesinią – powiedziała. – Ona nie jest tak silna, jaką udaje.

– Zaopiekuję się – rzekł Marcus. – Jest moją królową.

Na moment zamknął oczy. Gdy znów je otworzył, Sothe już nie było.

Raesinia

Raesinia właściwie nie potrzebowała serca.

Czasem bawiła ją myśl, że dzięki więzi i związanej z nią świadomości funkcjonowania własnego ciała więcej wie o ludzkim organizmie niż profesorowie uniwersytetu. Mogła poruszać się przez pewien czas, nawet gdy serce nie tłoczyło krwi w jej żyły. Wprawdzie to uszkadzało mięśnie, ale więź naprawiała je niemal natychmiast. Pytanie tylko, czy potrafię poruszać się dostatecznie szybko, pomyślała.

Zamrugła ciężkimi powiekami i spróbowała skupić wzrok. Ionkovo stał nad nią, twarz przesłaniała mu błyszcząca maska. Drzwi znajdowały się niecałe dwa metry dalej. Za nimi był pokój stołowy z drzwiami do małej sypialni i na klatkę schodową.

Na zewnątrz usłyszała palbę. Muszkiety.

Ionkovo nastawił ucha.

– Ludzie Orlanki – rzekł. – Niewątpliwie zostaną wybici do nogi. – Zniżył głos jak ktoś dzielący się sekretem. – Obawiam się, że Ostatni Diuk nie jest w najlepszej formie. Wykazuje skłonność do rozwiązywania wszystkich problemów przez podrzynanie gardeł, a jakość jego podrzynaczy znacznie się pogorszyła. – Wyprostował się. – A skoro o tym mowa... gdzie twoja prywatna zabójczyni? Jeśli zdołała powstrzymać Skręta, chętnie bym się z nią zmierzył.

– Wyjechała z Marcusem – warknęła Raesinia. – Jakąkolwiek zastawiłeś pułapkę, do tej pory już się z niej wydostali.

– Wątpię. Lustro jest próżny, ale skuteczny.

Raesinia nic nie powiedziała. Leżała zupełnie nieruchomo, nawet nie oddychając. Ionkovo przyglądał się jej przez chwilę, a potem przyklęknął i nachylił się.

– Oto pytanie, na które chcę otrzymać odpowiedź – rzekł. – Wiem, że bronią cię Magowie, słudzy Bestii. Jesteś jedną z nich? Czy tylko ich ofiarą? Muszę przyznać, że podejrzewam raczej to drugie. Niemal mi cię żal. Przez całe życie byłaś tylko pionkiem przesuwany po...

Raesinia poderwała się. Chwyciła rękojeść długiego sztyletu, którym była przyszpilona do podłogi i wyrwała go w rozprysku krwi. Jednocześnie kopnęła Ionkova w podbródek. Upadł na bok, klnąc po murnskajsku, a Raesinia przekręciła się na czworaki, brocząc krwią z rany na piersi. Więc już się wzięła do pracy, łącząc strzępy mięśni, chociaż to zadanie utrudniała nieco konieczność poruszania kończynami.

Dotarła do drzwi i poczuła następne uderzenie, gdy ciśnięty sztylet wbił się w jej brzuch. Ionkovo wstał z cienia rzucanego przez komodę, z drugim nożem w ręku. Niedbale podrzucił go i dwoma palcami złapał za ostrze.

– Naprawdę, co Wasza Królewska Mość spodziewała się przez to osiągnąć? – spytał. – Chyba nie sądzisz, że zdołasz mi uciec, co? Droga cienia jest szybsza niż jakikolwiek koń czy powóz.

W powietrzu pokoziołkował sztylet, który jak zaczarowany pojawił się w ramieniu Raesinii. Ostrze zgrzytnęło, trąc o kość, kiedy się poruszyła.

– Aczkolwiek – ciągnął Ionkovo – to chyba twoja specjalność, podejmować takie bezsensowne próby, zamiast wyzionąć ducha, nieprawdaż?

Raesinia poczuła, że jej serce znów podjęło pracę, i zaczerpnęła tchu. Lewą ręką wyrwała wbity w jej brzuch sztylet i rzuciła nim w Ionkova. Chybiła i nóż uderzył rękojeścią w ścianę. Penitent zaśmiał się.

– Punkty za trud – powiedział. – Ale nic poza tym.

Więź uwijała się w jej ciele, naprawiając mięśnie, na później zaś zostawiając uszkodzoną skórę i wnętrzności. Raesinia wyrwała z rany drugi nóż i też nim cisnęła, po czym rzuciła się naprzód. Ominąwszy stół, udała, że zmierza w kierunku drzwi, po czym zawróciła i pobiegła do małej sypialni. Prawie tam dotarła, gdy z cienia na podłodze wyłoniła się ręka i przecięła jej ścięgno nad piętą. Noga ugięła się pod nią i Raesinia upadła na podłogę, tuż za progiem sypialni.

Z determinacją poczołgała się dalej, aż dotarła do łóżka służącej. Przytrzymując się go, usiadła, w prawej ręce trzymając wyjęty z rany sztylet. Lewą pospiesznie sięgnęła do kieszeni. Wpadające przez okno światło rzucało długie, czarne cienie i Ionkovo wynurzył się z jednego z nich jak pływak z wody.

– I co teraz? – zapytał. – Z powrotem? Muszę powiedzieć, że dobrze się bawię.

– Wiesz, na czym polega twój problem? – zapytała z krzywym uśmiechem Raesinia. Krew płynęła jej z kącików ust.

Ionkovo nachylił się nieco.

– Oświeć mnie.

Raesinia cisnęła w niego sztyletem, który trzymała w dłoni.

I tym razem chybiła, ale rzuciła celniej niż lewą ręką i Ionkovo instynktownie cofnął się w bezpieczną plamę cienia. W tej samej chwili Raesinia zapaliła trzymaną w lewej dłoni zapałkę, potarłszy nią o drewnianą ramę łóżka.

Proch błyskowy, rozsypany na łóżku, zapalił się natychmiast. Viera przez całe popołudnie ucierała kilka garści grubego prochu strzelniczego na drobniutki pył. Spalał się błyskawicznie, tak że ogień z głuchym pomrukiem przeleciał przez pokój, szybciej, niż dałoby się nadążyć wzrokiem. Płomienie liznęły ściany i meble. Proch był tak drobno sproszkowany, że jego pył unosił się w powietrzu, czekając na najmniejszą iskierkę.

Zabrakło im czasu, żeby zrobić większą ilość tego materiału wybuchowego. Gorący podmuch osmalił skórę Raesinii i pozbawił ją brwi, ale podobne skutki miałyby nieostrożne zagłębienie do pieca piekarniczego. Proch spalił się jasnym płomieniem. Przez moment w całym pokoju nie było skrawka cienia.

Usłyszała zduszony charkot i łoskot. Po kilku sekundach, gdy oślepiające światło zgasło i przecięte ściągno zagoiło się, Raesinia wstała.

Proch zapalił się w chwili, gdy Ionkovo próbował skryć się w cieniu. Jego nagły brak przeciął go równo jak nożem, mniej więcej w połowie torsu. Odcięta górna część ciała upadła na bok i Raesinia widziała serce, płuca oraz inne organy wewnętrzne jak na przekroju poprzecznym, przygotowanym przez mistrza rzeźnickiego dla czeladników. Krew strumieniami rozlała się po podłodze.

– Twoim problemem jest przekonanie – powiedziała ze znużeniem – że ta sama sztuczka uda się za każdym razem.

Na zewnątrz wciąż słyhać było strzelaninę. Raesinia zaczęła chwilę, aż więź zasklepi najcięższe rany i oparzenia, a potem narzuciła płaszcz i poszła zobaczyć, co się dzieje.

Winter

Gdy Bobby mogła już chodzić, nie chwiejąc się, Alex ostrożnie uchyliła drzwi ich kryjówki, za którymi zobaczyły ciemny korytarz; wyglądał na nieużywany od lat. Złodziejka ponownie objęła prowadzenie, poruszając się niemal bezszelestnie, a Bobby i Winter podążały za nią w dostatecznie dużej odległości, żeby ich kroki nie zaalarmowały kogoś stojącego na straży.

Stosunkowo krótki odpoczynek dodał Alex sił, a obrażenia Bobby jak zwykle goiły się niesamowicie szybko, tak więc Winter miała wrażenie, że to ona spowalnia marsz. Pomimo starań Alex jej ręka kołysała się na temblaku i każdy ruch powodował ból. Była wyczerpana, jakby ktoś wyjął z niej korek, wypuszczając wszystkie siły.

Alex prowadziła je przez labirynt korytarzy poddasza, bardziej kierując się intuicją i domysłami niż prawdziwą wiedzą. Podążały jednak we właściwym kierunku, na tyły katedry, gdzie kilka klatek schodowych prowadziło na parter i na zewnątrz. Ślady w warstwie kurzu świadczyły o tym, że część korytarzy przeszukano, ale nie natknęły się na nikogo.

Pierwsze napotkane schody były wąskie i rozchwierutane, z co najmniej czterema półpiętami. Winter zaciskała zęby, starając się iść jak najostrożniej, żeby nie poruszać złamaną ręką. Minęły

kondygnację z mnóstwem małych kamiennych cel, w których mogli mieszkać słudzy lub praktykanci, i zeszły do przestronnej kuchni. Wszędzie zalegał mrok, świece w lichtarzach na ścianach zgasły, a wielkie piece były wygaszone. Alex przemknęła w ciemnościach do tylnych drzwi, odsunęła zasuwę i otworzyła je.

Po drugiej stronie stała naga kobieta, chuda jak szkielet i sina z zimna. Jej wynędzniałą twarz wykrzywił upiorny uśmiech.

– Oto... – zaczęła i jedna z czarnych włóczyń Alex przebiła jej czaszkę. Upadła, lecz inny głos obok natychmiast podjął przerwane zdanie.

– ...jesteście – dokończyła. – Przeszukiwanie całej katedry wydało mi się zbędne, więc postanowiłam poczekać przy drzwiach. Odgadłam...

Winter nie widziała mówiącego, ale Alex znów uniosła rękę i głos nagle ucichł. Inny, znajdujący się nieco dalej, podjął wątek.

– ...że nie zechcecie tkwić tam w nieskończoność. – Bestia zamilkła na moment. – Wiecie, że zabijanie tych ciał nie ma sensu, nieprawdaż? Możecie robić to cały dzień, mam ich mnóstwo, tylko po co się trudzić?

– Alex, ruszaj – rzuciła Winter. – Nie możemy z nimi walczyć.

Alex wypadła za drzwi, a Winter i Bobby za nią. Wzdłuż tylnej ściany katedry biegła wąska uliczka, z wysokim murem. Jeden jej koniec przegradzała żelazna krata, ale drugi wychodził na szerszą ulicę. Winter wskazała w tym kierunku. Kilkuosobowa grupa niemal zupełnie nagich i wycieńczonych więźniów stała pod tylną ścianą katedry i obserwowała ich ze spokojnym zainteresowaniem. Gdy Bestia się odezwała, kolejno przemawiali jej głosem do przebiegających obok kobiet.

– Winter zawsze była...
– ...mądra. Jednak nie rozumiem...
– ...co chce przez to osiągnąć. Czy...
– ...macie pojęcie, jak duże jest Elizjum?
– Bobby, złap ją – rozkazała Winter, gdy zbliżały się do wylotu uliczki i mijały następną wychudzoną więźniarkę. – Nie pozwól, żeby na nas spojrzała.

Bobby skinęła głową i złapała kobietę za rękę. Więźniarka nie próbowała stawiać oporu, lecz jej oczy rozbłysły czerwonym blaskiem Bestii, usiłującej pochwycić ich dusze. Bobby otworzyła oczy dopiero wtedy, gdy chwyciła kobietę za ramiona i zmusiła do odwrócenia głowy.

Muszę spróbować. Na myśl o ponownym starciu Wszystkożercy z Bestią Winter zrobiło się niedobrze, ale demon Jane zdawał się obawiać tylko tego. Gdybym zdołała go unicestwić...

Położyła dłoń na karku kobiety i skoncentrowała się. Wszystkożerca skoczył z bezgłośnym warkotem, lecz tym razem nie doszło do potwornego zderzenia dwóch demonów. Tkwiące w kobiecie pasmo Bestii po prostu pękło, gdy Wszystkożerca je złapał, pozostawiając bezwolną ofiarę. Wszystkożerca wycofał się niezadowolony. Gdy Bobby ją puściła, kobieta osunęła się na bruk, dygocząc w konwulsjach.

– Widzicie? – powiedział męski głos z drugiej strony ulicy. – Mądrała. Jednak to na nic.

Nie powstrzymam ich. Kiedy wypuściła Wszystkożercę na Jane, ich dwa demony starły się tak wściekle, że obie o mało nie zginęły. Ale Jane jest teraz głównym siedliskiem Bestii. A ci ludzie są... tylko kończynami, myślała gorączkowo.

– Niech to szlag. – Winter spojrzała na Alex. – Czy możemy wrócić do tuneli?

– Biały budynek powinien być tam. – Dziewczyna wskazała na prawo, w głąb ulicy ze stojącymi po obu stronach drewnianymi domkami o stromych dachach pokrytych gontem. Wyglądały na przytulne i dobrze utrzymane.

Winter domyśliła się, że w tej części miasta twierdzy mieszkają kapłani lub ich najważniejsi słudzy. Drzwi wielu stały otworem i w środku widać było ślady pospiesznej ewakuacji, tak jak w archiwach Kapłanów Bieli. A zatem Biały i Czerwony uciekli przed Janusem, a Czarny uwolnił Bestię, domyśliła się.

Za nimi na ulicy zebrała się grupka osób. We wskazanym przez Alex kierunku Winter zobaczyła jeszcze dwie, ale teraz oddalały się truchtem.

– Wie, że potrzebuje więcej ciał, żeby zmierzyć się z tobą i Bobby – powiedziała.

– Właśnie! – zawołał głos za nimi. – Prosto z waszego podręcznika taktyki. Nigdy nie atakuj na oślepa.

– Musimy wynieść się stąd, zanim zbierze siły – orzekła Winter. – Pora uciekać.

Każdy krok po nierównym, ośnieżonym bruku sprawiał jej ból. Bobby i Alex oddaliły się, a potem zwolniły, czekając, aż Winter je dogoni. Niech to szlag! Bestia z łatwością dotrzymywała im kroku, chociaż jeden z wymizerowanych więźniów po prostu upadł na środku ulicy. Nikt z pozostałych nie próbował mu pomóc.

Przed nimi pojawiło się następne skrzyżowanie. Alex wskazała na lewo, po czym zwolniła, gdy zobaczyła tam ponaddwudziestoosobową gromadę wychodzącą zza rogu.

W przeciwieństwie do dotychczas napotykanych sług Bestii ci mieli prymitywne oręż, kije, pogrzebacze i kamienie. Za nimi Winter zobaczyła kolejnych kapłanów i półnagich więźniów wybiegających z budynków.

– Tędy! – zawołała Bobby, odwracając się w przeciwną stronę.

Alex i Winter podążyły za nią. Już nie biegły w jakimś konkretnym kierunku, lecz po prostu uciekały. Ulice za katedrą tworzyły regularną sieć, tak więc co kilkaset kroków miały skrzyżowanie. Chmary zbrojnych blokowały jedną ulicę po drugiej, ale żadna z nich nie próbowała atakować.

– Zaganiają... nas... w pułapkę – wykrztusiła przez zaciśnięte z bólu zęby Winter.

Alex kiwnęła głową.

– Możemy spróbować się przebić.

– Napotkamy drugą linię obrony – rzekła Winter.

To również było w podręczniku taktyki. Wszystko dzieje się zbyt szybko, do diabła. W starciu, w którym liczą się siła i zaskoczenie, słabszy z przeciwników zawsze ma jakieś szanse, szczególnie w takim rozległym mieście jak Elizjum. Bestia jednak nie musiała wysyłać gońców z raportami i rozkazami. Jej żołnierze poruszali się jak kończyny jednego ciała, niezwłocznie wykonując rozkazy. Boże Wszechmogący. Gdyby ten stwór dowodził prawdziwą armią, byłby niezwyciężony.

Winter błędziła myślami z bólu i zmęczenia. Lodowate powietrze paliło płuca i mroziło skórę. Nogi ugiwały się pod nią, jakby jej kości zmieniły się w makaron. Złamana ręka stała się centrum jej świata, rezerwuarem bólu, który przeszywał ją przy każdym kroku.

Bobby skręciła za róg i prawie wpadła na mężczyznę w czarnej szacie, który wyciągnął rękę, próbując złapać ją za ramię. Jego oczy płonęły czerwono, ale w porę odwróciła wzrok. Złapała wyciągniętą rękę i wykręciła niedbałym ruchem, z głośnym trzaskiem łamiąc kość, po czym odepchnęła przeciwnika na bok. Alex uniosła ręce i włócznieciemnościzabiła dwóch idących za nim, lecz było ich więcej, co najmniej dwudziestu. Winter odwróciła się i spojrzała w przeciwną stronę, sprawdzając tę drogę ucieczki, lecz i ona była odcięta. Podążająca za nimi zgraja rosła z każdą chwilą i liczyła już co najmniej sto osób, w większości uzbrojonych w pałki i kamienie.

– Na spizowe jaja... – Winter zmełła w ustach przekleństwo.

Jeden ze sług Bestii roześmiał się i Alex powaliła go włócznią ciemności, lecz zaraz zaczął się śmiać inny mężczyzna, a potem następny. Wszystkie trzy oparły się o fasadę jednego z domów, otoczone półkolem rechoczących prześladowców.

– Do środka! – rzuciła Alex.

Jednym uderzeniem strzaskała zamek, pchnęła drzwi i wśliznęła się do wewnątrz. Winter i Bobby podążyły za nią. Parter domu był jednym dużym pomieszczeniem ze stołem i krzesłami, kominkiem w jednej ścianie i drugimi drzwiami prowadzącymi do niewielkiej spizarni. Niczego przydatnego i żadnej drogi ucieczki.

Alex zatrzasnęła i zaklinowała drzwi, które niemal natychmiast zadygotały od uderzeń napierających z zewnątrz napastników. Obok było zamknięte okiennicami okno, które też zaczęło się trząść.

– Na górę? – podsunęła Alex lekko drżącym głosem.

– Idź na górę, wyjdź na dach i wynieś się stąd – poleciła jej Winter.

– Ale...

– Pamiętaj, co ci mówiłam?

– Ma rację – poparła ją Bobby. – Jeśli możesz się stąd wydostać, zrób to.

Winter sprawną ręką wyjęła miecz, zauważywszy palce rozchylające okiennice.

– Tylko obiecaj mi, że wrócisz tu z armią i zabijecie tego demona.

Alex wbiegła na schody. W połowie drogi przystanęła, słysząc trzask łamanego drewna: atakujący wyrwali okiennicę i rozrywali muślin zastępujący szybę. Winter machnęła mieczem, odcinając kilka palców.

– Uciekaj! – wrzasnęła.

Alex krzyknęła coś z rozpaczą i pobiegnęła.

I co teraz? Nagle Winter poczuła dziwny spokój. Lepiej umrzeć czy pozwolić się opętać Bestii? Instynktownie machała mieczem, pozostawiając długie rany na dłoniach i przedramionach. Jakiś ogromny mężczyzna złapał obiema rękami parapet i próbował wciągnąć się do środka, a Winter cięła mieczem w jego głowę. Natychmiast pojęła, że to był błąd. Ostrze wbiło się głęboko w twardą kość i utknęło, a gdy zabity bezwładnie zawisł w oknie, dwie chude kobiety w więziennych łachmanach wgramoliły się po jego plecach. Winter cofnęła się, szukając czegoś, co mogłoby jej posłużyć za broń.

Bobby uderzyła barkiem jedną z kobiet, która przeleciała przez całą szerokość pokoju i z nieprzyjemnym plaśnięciem uderzyła

o ścianę. Druga uderzyła pałką w ramię Bobby, której ten cios najwyraźniej nie wyrządził żadnej szkody, gdyż w odpowiedzi potężnym uderzeniem powaliła ją na podłogę. Chwyciwszy upuszczoną przez napastniczkę grubą deskę, Bobby obróciła się do drzwi, przez które właśnie wlewał się potok napastników. Winter wycofała się pod ścianę z kominkiem i chwyciła pogrzebacz, gdy Bobby szybkimi uderzeniami powaliła dwóch chłopaków w szarych szatach.

Następną przechodzącą przez drzwi była ruda sierżant. Połowę jej piegowatej twarzy pokrywał olbrzymi siniak, ale uśmiechnęła się do Bobby i rozłożyła ręce.

– Mnie też zabijesz, Bobby? – zapytała Ruda. – Proszę.

Nie, nie, nie! – Winter otworzyła usta do ostrzegawczego okrzyku, ale było już za późno. Bobby na moment wstrzymała cios, wahając się, czy uderzyć tą przyjaźnie uśmiechniętą i znajomą twarz. To wystarczyło. Ruda doskoczyła do niej i objęła ją w talii, jakby miały tańczyć. Drugą ręką złapała wielki gliniany dzban zawieszony na plecach i z trzaskiem uderzyła nim w głowę Bobby. Rozleciał się, a jego zawartość oblała je obie. Bobby, z włosami oblepiającymi czaszkę, wyglądała na bardziej zaskoczoną niż przejętą.

Inne ciało Bestii, jednoręki mężczyzna pokryty bliznami, przecisnął się przez drzwi z płonącą pochodnią w ręku. Winter próbowała go dopaść, lecz inni napastnicy zagrodzili jej drogę, usiłując ją pochwycić, gdy wściekle tłukła ich pogrzebaczem. Jednoręki rzucił się naprzód, wymachując pochodnią, i zdołał trafić nią w ramię Bobby. Ciecz z dzbana natychmiast się zapaliła i płomień spowiły Bobby i Rudą, splecione w uścisku na środku

pokoju. Płonące krople opryskały podłogę i stół, wznecając małe pożary, ale Winter patrzyła tylko na Bobby. Dziewczyna krzyczała coś bezgłośnie, zagłuszana przez szum płomieni, i wściekle tłukła Rudą obiema rękami. Winter poczuła przeszywający ból w gardle i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że też krzyczy.

Poczuła, jak kilka osób naraz unosi ją w powietrze, nie zważając na jej złamaną rękę. Wywołany tym ból był tak silny, że zaparło jej dech. Bestia wniosła Winter po schodach do małej, zwyczajnej sypialni i cztery ciała rozciągnęły ją na łóżku. Pogrzebacz gdzieś znikł, upuszczony, a oni wszyscy mieli ciężkie pałki. Na dole trzaskały i syczały płomienie.

Jeden z kapłanów, wysoki i chudy mężczyzna w mocno nadpalonej szacie, powiedział:

– Czas wybierać, Winter. Na pewno już wiesz, że nie mogę cię wziąć, jeśli tego nie chcesz. Jeśli jednak powstrzymasz swojego demona, będziesz mogła do mnie dołączyć. Widziałaś to, prawda? Co na ciebie czeka?

Bezkresne karmazynowe morze, wszystko, co się na mnie składa, wyrwane z mojej duszy i zmieszane z milionem innych widm, niezupełnie żywych i niezupełnie martwych, wieczność w umyśle Bestii...

Bobby. O Boże, Bobby. Winter nie wiedziała, czy Bobby to przeżyje. Dotychczas zawsze jej się to udawało. Jednak po spaleniu żywcem? Nie wiedziała, czy śmierć byłaby gorsza. A jeśli jakimś cudem żyje, z ciałem poczerniałym i zwęglonym... o Boże, Boże...

– Albo – ciągnęła Bestia – możesz zaczekać kilka minut, aż ten budynek spłonie, a ty razem z nim. Jestem Jane w takim stopniu, że tego nie chcę, ale nie pozostawiasz mi wyboru.

Nie chcę umierać. Proszę. Niech ktoś mi pomoże. Winter przelatowały przed oczami obrazy. Cyte, Janus, Abby. Rosnące przerażenie płynęło z najgłębszych zakamarków jej pamięci, tak odległe, że ledwie je pamiętała. Marcusie, proszę. Nie chcę spłonąć.

– No dobrze, kłamałam – powiedziała Bestia. Kapłani chwycili Winter za ręce i nogi. – Wylecisz przez okno. To może zboleć...

Rozległ się ohydny chrzęst. Winter otworzyła oczy.

W drzwiach sypialni stała jakaś postać spowita płomieniami. Bobby. Wyciągnęła rękę i położyła na głowie mężczyzny trzymającego Winter za nogi, a potem zacisnęła pięść. Zgniotła kości czaszki jak przegniły owoc. Trysnęła krew. Stojąca obok kapłana kobieta uderzyła pałką, która odbiła się od Bobby jak od litej skały. Bobby niedbałym uderzeniem na odlew rąbnęła ją w pierś, łamiąc jej żebra. Błyskawicznie wyciągnęła drugą rękę i złapała trzecie z ciał Bestii za szyję, wbijając palce w ciało i rozrywając je, aż z rany trysnęła fontanna tętniczej krwi.

– No cóż – rzekł kapłan w nadpalonej szacie. – To... nieoczekiwane.

Bobby, w gasnących już płomieniach, uderzyła go pięścią w twarz, robiąc z niej miazgę.

O Boże Wszechmogący. Winter odsunęła się od ognia, kuląc się przy wezglowiu łóżka. Kilka ostatnich płomieni zamigotało i zgasło. Bobby zrobiła krok naprzód i popiół osypał się z niej, odsłaniając coś lśniącego i białego.

– Bobby? – szepnęła Winter. – Słyszysz mnie?

Postać bardzo wolno skinęła głową. Uniosła rękę i starła popiół z policzka. Pod spodem było oblicze posągu, z gładkiego białego marmuru przetykanego ciemnymi żyłkami.

– Czy jesteś... ? – Winter zamilkła. Co, do diabła, powinnam powiedzieć?

Bobby spojrzała przez ramię na drzwi. Dym unosił się pod sufit, a płomień już lizały górę schodów. Bardzo ostrożnie pochyliła się i wyciągnęła rękę.

– Chcesz, żebym...? – zaczęła Winter.

Bobby ponownie skinęła głową.

Winter przesunęła się na łóżku, a Bobby wsunęła jedną rękę pod jej plecy, a drugą pod kolana i podniosła ją jak dorosły podnoszący dziecko. Osypało się z niej jeszcze więcej popiołu, odsłaniając marmurowy, dokonały w każdym szczególe posąg ludzkiej postaci wykuty w lśniącym alabastrze. Gdy Winter dotknęła jej skóry, była gładka i twarda, ale cieplejsza niż krew.

Tylko jak się stąd wydostaniemy? – zastanawiała się. Nawet gdyby Bobby przetrwała następną wędrówkę przez szalejący na dole pożar, Winter na pewno nie. A na zewnątrz wciąż są całe setki tych stworów. Bobby nie zdołałaby pokonać ich wszystkich. A może...?

Bobby wyprostowała się. Dał się słyszeć przeciągły trzask, a po nim cichy szum, jakby ktoś przeciągnął palcem po brzegu kieliszka. Winter szeroko otworzyła oczy. Coś wyłoniło się z pleców Bobby, jakaś krystaliczna konstrukcja z maleńkich, cieniutkich płatków, rozwijająca się na boki i w górę...

Skrzydła. Ona ma skrzydła.

Zamiast z piór składały się z setek maleńkich kryształków, załamujących światło w tysiąc tęczy widocznych na ścianie. Bobby spojrzała na Winter, a potem w górę. Zrozumiawszy ten gest, Winter oparła głowę o marmurową pierś Bobby i sprawną ręką

zasłoniła twarz.

Bobby wzbiła się w górę jednym uderzeniem skrzydeł i kryształy zabrzęczały cudownie zgodnym chórem. Na moment otoczył je chaos łamanego drewna i pękających gontów, a w następnej chwili były wolne, lecąc w chłodnym i czystym powietrzu nad Elizjum, w słońcu wyzierającym już zza horyzontu. Winter zdążyła jeszcze ujrzeć miasto twierdzą z wieżami katedry i wysokimi murami, a potem Bobby znów uderzyła skrzydłami i wszystko zmieniło się w rozmazaną smugę. Chmury śmigały wokół nich jak białe kłaczki, a góry zostały w tyle.

Na tak dużej wysokości było zimno, tak zimno, że Winter zaczęły drętwieć palce. Przytuliła się do Bobby, chłonąc ciepło jej marmurowej skóry, a Bobby lekko zmieniła chwyt, przysuwając ją bliżej. W tym ciepłe, słuchając miarowych uderzeń skrzydeł Bobby, Winter zasnęła.

Dwadzieścia trzy

Marcus

O mało go nie zastrzelili, gdy wychodził z dymiących ruin kwatery Dorsaya. Pozostali ludzie Orłanki próbowali uciec, ale zabili ich lub schwytali rozwścieczeni Strażnicy Życia i inni borelgajscy żołnierze sprowadzeni przez Whalera, którzy otoczyli budynek. Zawoławszy do nich z przedsiönka, Marcus nie mógł ich przekonać, że nie jest jednym z tych najemnych zabójców, dopóki nie interweniował Whaler. Nawet wtedy rozbrojono go i pilnowano, gdy Strażnicy Życia w obszytych lisim futrem czakach przeszukiwali budynek.

W końcu zjawił się Whaler. Szedł o lasce, nogę miał owiniętą bandażem. Marcus siedział na ziemi przy bramie, a nad nim stało kilku Strażników Życia. Szpieg odprawił ich machnięciem ręki i z trudem usiadł naprzeciw niego.

– Przepraszam za to – powiedział. – Sprawy najwidoczniej nieco się skomplikowały i kapitan Hezro jest nerwowy. Twoja przyjaciółka Sothe nie ukrywa się gdzieś w pobliżu, prawda?

– Nie sądzę – odrzekł Marcus. A gdyby nawet, to i tak jej nie znajdziecie, dodał w myśli. – Czy Dorsayowi nic się nie stało?

– Sądzę, że jego wysokość skręcił nogę w kostce, ale chyba najbardziej ucierpiała jego duma. Jak to ujął: „Kiedy się żeniłem trzydzieści lat temu, przysięgłem Hennie, że czasy ucieczek na

związanych prześcieradłach przez okna sypialń się skończyły”. – Whaler uśmiechnął się. – Jest bezpieczny i śle podziękowania.

– Co z Orlanką?

– Wydaje się, że uciekł. Oczywiście moi ludzie go wytropią.

– A nasz obóz? On też miał być zaatakowany.

– Nasze warty słyszały strzelaninę za rzeką, ale nie trwała długo. Sądzę, że jeśli wasi żołnierze zostali ostrzeżeni, to ludzie Orlanki napotkali silny opór.

– Muszę wracać. – Marcus podniósł się z ziemi. Zmęczenie, które chwilowo ustąpiło pod wpływem adrenaliny, teraz powróciło i chwiał się na nogach. – Muszę się zobaczyć z Raesinią.

– To zrozumiałe. – Whaler wyciągnął rękę i Marcus pomógł mu wstać. – Dziękuję. Chcesz, żebym ściągnął ci jakiś powóz?

– Będę wdzięczny – rzekł Marcus. Nie sądził, żeby mógł przejść więcej niż kilka kroków, a tym bardziej przez most na drugi brzeg.

Whaler skinął na jednego ze Strażników Życia, który pospieszył wykonać rozkaz.

– Proszę, przekaż królowej, kiedy ją zobaczysz, że jego wysokość z chęcią jak najszybciej wznowi negocjacje. Teraz, gdy diuk Orlanko ujawnił swoje prawdziwe oblicze, popierająca go frakcja została chwilowo zdyskredytowana, tak więc mamy rzadką okazję zawrzeć rozejm.

– Na pewno z przyjemnością to usłyszysz. – Jeśli nic jej nie jest. Z pewnością nic jej nie jest. Jak mogłoby jej się coś stać?

– Przyjmij również moje osobiste podziękowania. – Whaler wyciągnął rękę. – Uratowałeś mi życie i życie mojego pana. Jestem twoim dłużnikiem, generale kolumny d’Ivoire.

Marcus z wahaniem uścisnął mu dłoń. Tętent koni oznajmił

przybycie powozu i Whaler odsunął się, podpierając się laską.

– Mam nadzieję, że znów się spotkamy – powiedział.

– Ja również – odruchowo odparł Marcus.

Prawdę mówiąc, pomyślał, wsiadając do powozu, sam nie wiem, na co mam nadzieję. Odwrócił się od Janusa, człowieka będącego jego najlepszym sojusznikiem od czasu, gdy Odkupiciele wywrócili do góry nogami jego spokojne życie w Khandarze. Miał w rękach morderczynię swoich rodziców i mógł wyrzucić na niej zemstę, której tak długo szukał, ale pozwolił jej odejść. Teraz chciał się tylko upewnić, że Raesinia jest bezpieczna, a potem paść na łóżko i spać, najlepiej przez tydzień.

Powrotna podróż do gospody trwała tylko kwadrans, ale i tak zasnął, z głową opartą o zimne okienko. Borelgajski woźnica dotknął jego ramienia, kiedy dotarli na miejsce. Marcus sennie podziękował mu i wysiadł. Wszędzie uwijali się grenadierzy i kobiety z Pierwszego Dziewczęcego, uprzążając obóz po potyczce. Zauważył sporo ciał w nierzucających się w oczy strojach zwykłych robotników, których udawali zabójcy Orlanki. Żołnierze zsalutowali mu, gdy podszedł, a on machnięciem ręki kazał im wrócić do pracy i przywołał do siebie sierżant.

– Co tu się stało? – zapytał.

– Próba zabójstwa, generale – odparła. – Tak jak pan przewidział. Byliśmy przygotowani i nawet nie zdołali podejść. Kiloro naszych odniosło rany, nikt nie zginął.

– Królowej nic nie jest?

Lekko zmarszczyła brwi.

– Tak sędzę, generale. Kazała nam sprowadzić Barely i Joannę. Weszły do środka z kilkoma innymi. Nikogo więcej nie wpuszczono.

Do licha. Jednak coś się stało. Na szczęście Raesinia wciąż żyła. Marcus podziękował sierżant i podszedł do drzwi gospody, które uchyliły się, gdy w nie zapukał. W progu stanęła Joanna, wysoka i niema, i wpuściła go do środka.

– Gdzie ona jest? – spytał.

Joanna wskazała na schody. Marcus wbiegł po nich, pomimo zmęczenia przeskakując po dwa stopnie. Kiedy dotarł do drzwi na górze, zastygł z rozdziawionymi ustami. Apartament wyglądał jak rzeźnia, w której ktoś właśnie skończył zarzynać wołu. Krew poplamiała dywany i zaschła na deskach podłogi, drzwi do bocznego pokoju wyglądały na zwęglone, a na suficie widniały ciemne plamy kopcia. Na podłodze leżało kilka sztyletów pokrytych zakrzepłą krwią.

– Raesinio! – zawołał z łomoczącym sercem Marcus. – Gdzie jesteś?

– Marcusie? – Raesinia wyszła z sypialni, w jedwabnej podomce. Ubranie było czyste, lecz królowa wciąż była usmarowana sadzą i krwią, która pozlepiała jej włosy. Boso podbiegła do niego, nie zważając na brudną podłogę, i zarzuciła mu ręce na szyję. – Marcusie! Och, dzięki Bogu.

Marcus próbował sobie przypomnieć, co nakazuje dworska etykieta, kiedy nagle obejmuje cię królowa Vordanu, ale szybko tego zaniechał i delikatnie ją objął.

– Nic ci nie jest? – zapytał. – Kiedy zobaczyłem tyle krwi...

Raesinia odwróciła głowę i spojrzała na Joannę, która stanęła za Marcusem.

– Tak po prostu przyprowadziłaś go na górę? Mogłaś coś powiedzieć.

Joanna przewróciła oczami, wzruszyła ramionami i wróciła na parter.

Raesinia znów zwróciła się do Marcusa.

– Oczywiście, że nic mi nie jest – powiedziała. – Ile razy mam ci mówić, że nie mogę umrzeć? Tylko że Ionkovo powiedział, że zastawił na ciebie pułapkę, więc... martwiłam się.

– Był tu Ionkovo?

Raesinia skinęła głową.

– Nie żyje.

Dzięki Bogu. Nie trzeba już będzie się strzec każdego cienia.

– To dobrze.

– A co z Dorsayem?

– Dotarliśmy do niego w porę. Czekał tam na nas inny Penitent, ale razem z Sothe rozprawiliśmy się z nim. Sothe... – Zawahał się.

– Kilka minut temu dostałam od niej wiadomość – powiedziała Raesinia. – Nie martw się o nią.

Wiadomość? Pokręcił głową. Później, pomyślał.

– Co z Janusem? – pytał dalej.

– Potyczka była krótka. Jest cały i zdrowy.

– I...

– Nie próbował zrobić niczego... pochopnego – uspokoiła go. – Chce cię zobaczyć.

– Na jaja Bestii! – jęknął Marcus. – Lepiej tam pójde.

– Rano, powiedział. – Raesinia się uśmiechnęła. – Na pewno jesteś wyczerpany.

– Dzięki Bogu.

Marcus czuł, że powieki już mu się zamykają.

– Ja również chcę o czymś z tobą porozmawiać – oznajmiła. – To jednak może poczekać, aż trochę oprzytomniejesz.

Marcus spał na parterze, na stercie pościeli rzuconej na podłogę, a kolejni żołnierze i posłańcy przybywali, składali raporty i wychodzili. Spał najmocniejszym snem w swoim życiu, zapadłszy weń natychmiast jak w głęboką i ciemną toń. Kiedy się zbudził, w pobliżu było tylko paru pełniących wartę grenadierów, a słońce stało wysoko na niebie. Zjadł śniadanie – dzięki szczodrości diuka Brookspring najlepsze od wielu tygodni, złożone z prawdziwego chleba, boczku i jajek – i w końcu poszedł do magazynu, w którym zamknięto pierwszego konsula Vordanu.

Straże wpuściły go, nie zadając żadnych pytań. Janus, jak zwykle ranny ptaszek, najwidoczniej znalazł kogoś, kto wyprał i wyprasował mu mundur, bo wyglądał tak świeżo, jakby właśnie wrócił z defilady. Marcus, wciąż spocony i śmierdzący, poczuł się przy nim jak niechluj, a wpojony w szkole wojskowej instynkt kazał mu oczekiwać nagany i dodatkowych karnych dyżurów. Janus jednak tylko skinieniem głowy odpowiedział na oddane przezeń honory. Siedział na rozklekotanym krześle przed składanym biurkiem. Marcus nie zdziwił się, widząc na blacie pióro i papier. Już wcześniej, siedząc w lochach Vendre i czekając na wyrok, Janus zapełniał czas pisaniem listów.

– Dzień dobry, Marcusie – powitał go, bez śladu poprzedniego rozgoryczenia.

– Dzień dobry, pierwszy konsulu – odparł Marcus. – Czujesz się lepiej?

– Myślę, że zupełnie wyzdrowiałem. Dobre pożywienie szybko

stawia na nogi, chociaż brakuje mi ruchu. – Błysnął zębami w olśniewającym uśmiechu. – Zdaje się, że słyszałem w nocy jakieś zamieszanie?

– Nadesłane informacje były prawdziwe – rzekł Marcus. – Ludzie Orlanki próbowali dokonać zamachu na ciebie i Raesinię, ale uniemożliwiliśmy im to. Ionkovo zginął.

– A diuk Brookspring?

– Żyje. Osobiście go ostrzegłem.

– Bardzo szlachetnie z twojej strony.

Jeśli w tych słowach był sarkastyczny ton, to dobrze ukryty.

– Chciałem podziękować – powiedział Marcus. – Wiadomość od agenta była zaszyfrowana. Nie musiałeś mi mówić, co zawierała.

Janus uniósł brew.

– Gdybym tego nie zrobił, mógłbym teraz nie żyć.

– Jednak nie musiałeś wspominać, że chcą zabić Dorsaya.

– Zapewne nie. – Janus wyciągnął się na krześle. – Czy generał Ihernglass mówił ci kiedyś o tym, co się stało, kiedy dowodziłem Armią Wschód i aresztowali mnie agenci Dyrektoriatu?

– Nie, pierwszy konsulu – ostrożnie odparł Marcus. Niemal oczekiwał nagłego wybuchu, gdyż w tych rzadkich chwilach, gdy Janus tracił panowanie nad sobą, potrafił zaskakująco szybko wpadać we wściekłość.

– Krótko mówiąc, nie stawiałem oporu, ale postarałem się, żeby Ihernglass wiedział, co się dzieje. Przyszedł mi z pomocą wraz z grupą wiernych mi ludzi i od tego wszystko się zaczęło: marsz na Vordan i stanowisko pierwszego konsula.

– Rozumiem – niezachęcająco powiedział Marcus.

– Później Ihernglass zapytał mnie, dlaczego po prostu nie wydałem mu rozkazu, żeby mnie ratował, skoro wiedziałem, co się wydarzy. Powiedziałem mu... – Janus zamilkł na moment. – Powiedziałem, że czasem tak jasno widzę przyszłość, że nie zdaję sobie sprawy, że nie dla wszystkich jest oczywista. Widzisz, on był moim probierzem. Pozwoliłem mu podjąć decyzję i zwrócić armię przeciwko Dyrektoriatowi, ponieważ rozumiał żołnierzy Armii Wschód lepiej niż ja. Opatrzność ma czasem szokujące poczucie humoru. Wczoraj wieczorem zrozumiałem, że postawiła ciebie, wbrew mojej woli, w podobnej sytuacji. Wiem... a raczej wiedziałem, co nastąpi, ale nie miałem pojęcia... – Potrząsnął głową. – Nieważne. Już podjąłeś decyzję.

– Zdradziłem cię – powiedział Marcus. Zaschło mu w gardle. – Pierwszy konsulu...

Janus uniósł palec.

– Wolę myśleć o tym następująco. Jeśli ty, jeden z najbardziej lojalnych ludzi, jakich znam, nie poszedłbyś za mną, jakie miałbym szanse namówić do tego innych żołnierzy? Mieszkańców Vordanu? Byłeś moim probierzem, Marcusie, uosobieniem wszystkich wokół, choć wynik mógł mi się nie spodobać. Zatem koniec końców tak jest lepiej.

Marcus zamrugął.

– Ja... nie spodziewałem się, że to usłyszę.

– Użyłem ostrych słów. Nie zasłużyłeś na nie i przepraszam cię za to. Jak już mówiłem, ty zawsze robisz to, co uważasz za słuszne.

– Nie zawsze. Czasem nie jestem pewny, co jest słuszne. – Marcus podszedł do łóżka i usiadł. – Znalazłem kobietę, która

zabiła moich rodziców. Była agentką Orlanki.

– Och? – Janus obrócił krzesło, żeby siedzieć twarzą do niego. – I?

– Powiedziała, że mam prawo ją zastrzelić, jeśli chcę.

– A ty pozwoliłeś jej odejść. – Widząc jego zdumioną minę, Janus roześmiał się. – Naprawdę, Marcusie, czasem bywasz taki przewidywalny.

– Czy to było słuszne? – spytał Marcus. – Gdybym ją zastrzelił...

– Wtedy byłaby martwa. Poczulbyś się lepiej?

– Nie wiem. Pewnie nie. – Marcus pokręcił głową. – Moja siostra wciąż gdzieś tam jest.

– Jestem pewny, że królowa pomoże ci ją odnaleźć. Oczywiście zaproponowałbym ci i moją pomoc, ale wątpię, czy będę miał możliwość coś zdziałać.

Marcus podniósł głowę.

– Pierwszy konsulu. Powinieneś porozmawiać z królową. Cokolwiek zaszło między wami, możecie znaleźć jakiś kompromis. Armia cię potrzebuje.

– Nie, Marcusie. Borelgajowie i inne nacje nigdy tego nie zaakceptują. Dorsay ma rację: dopóki zasiadam na fotelu pierwszego konsula, nigdy nie będzie pokoju. – Rozłożył ręce. – Jestem pewny, że hrabstwo Mieran odczuwa brak mojej męskiej ręki. Pod moją nieobecność służba niewątpliwie doprowadziła ogród warzywny do ruiny. Będę miał wiele do zrobienia.

– I godzi się pan z tym? – spytał Marcus. – A co z Elizjum?

Zapadła długa cisza. Janus szarymi oczami spoglądał na coś znajdującego się daleko za ścianą szopy. Uśmiechnął się, jak

zawsze przelotnie.

– Czy wierzysz w Boga, Marcusie?

– Przepraszam? – zdziwił się Marcus.

– Boga. Z Mądrości i tak dalej. W niebo i piekło.

– Chyba tak. – Marcus zawahał się. – Jednak On nie wydaje mi się taki, jaki jest w Mądrościach. Nigdy nie wierzyłem, że sama wiara może wydostać mnie z opresji.

– Bardzo rozsądnie – rzekł Janus. – Czy zdziwiłbyś się, gdybym powiedział, że kiedyś wierzyłem w Boga?

– Myślę, że nie zdziwi mnie już nic, co cię dotyczy, pierwszy konsulu.

– Byłem przekonany, że On ma jakiś plan dla tego świata. Widziałem to tak wyraźnie, widziałem moją w nim rolę. Nie masz pojęcia, jak cudownie jest znać swoje miejsce w wielkim projekcie, widzieć całe swoje życie rozpostarte przed sobą jak mapa. – Janus przez moment patrzył Marcusowi w oczy, a potem odwrócił wzrok. – Potem sprawy źle się potoczyły i usunięto mnie z mapy. Wszystko, co robiłem od tamtej pory, miało pomóc mi na nią wrócić.

Marcus podrapał się po brodzie.

– Może nie powinienes. Niezbyt podoba mi się myśl, że ktoś miałby zaplanować za mnie moje życie.

Janus znów się uśmiechnął.

Marcus obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

– Co cię tak bawi?

– Nic – odparł Janus. – Czasem jesteś mądrzejszy, niż sądzisz.

– Dziękuję, pierwszy konsulu. Chyba.

– Idź i znajdź Raesinię. Czeka na ciebie.

– Tak jest, pierwszy konsulu.

Marcus wstał.

– I odwiedź mnie w hrabstwie Mieran – rzekł Janus. – Najlepiej jesienią. Świeże jabłka są nadzwyczajne.

– Zrobię to, pierwszy konsulu. – Marcus przystanął w progu. – Dziękuję.

Janus uśmiechał się przez chwilę, a potem wrócił do pisania listu.

Raesinia

Wielka Armia Vordanu wracała do domu.

Oczywiście prawne przepychanki zajmą długie lata, a może wieki, zależnie od nastawienia Zjazdu Generalnego. Jednak podstawowe wymogi zawarcia pokoju nie były zbyt odległe od tego, co Dorsay zaproponował na konferencji na początku lata. Borel i jego sojusznicy uznają Raesinię za prawną królową Vordanu, a Zjazd Generalny za organ rządzący w granicach takich samych jak przed wojną. Diuk Orlanko zostanie potraktowany jak przestępca i wydany vordanajskim władzom, jeśli zostanie schwytany. Hrabia Janus bet Vhalnich Mieran zaś przejdzie z honorami w stan spoczynku i uda się do rodzinnego hrabstwa Mieran na zasłużoną emeryturę.

Część deputowanych będzie zadowolona z zakończenia wojny. Inni niewątpliwie będą chcieli uzyskać więcej – na przykład zmiany w traktacie, który zakończył Wojnę Książąt i zabraniał

Vordanowi budowania dużych okrętów wojennych. Sytuacja w Murnsku była niepewna i mówiono, że w Mohkbie wybuchnie rewolucja. Trzeba będzie także załatwić sprawę reparacji wojennych od Hamveltu oraz wykupić skrypty dłużne, tak ochoczo wystawiane przez Dyrektoriat. Jedne obietnice zostaną dotrzymane, inne złamane. Oto, pomyślała Raesinia, polityka w pigułce.

W tym momencie jednak było istotne tylko to, że armia maszeruje na południe. Długa niebieska kolumna, ponownie połączonych na południe od Polkhaiz oddziałów, znów dobrze zaopatrywana i żywna. W miarę jak pokonywała kolejne łatwe etapy podróży, pogoda się zmieniała i nienaturalne chłody zastępowało przyjemne ciepło późnego lata. Ziemia jednak dłużej dochodziła do siebie – wszędzie mijali pola pełne zeschniętych i gnijących plonów, stłamszonych przez pierzynę spadłego w środku lata śniegu. Kiedy dotrą do Talbonn, jednym z pierwszych zadań Raesinii będzie zorganizowanie transportów z pomocą dotkniętym klęską terenom, co zapewni przychylność tamtejszych mieszkańców i da vordanajskim dyplomatom dodatkowy argument przy negocjacyjnym stole.

Na razie jednak znów niewiele miała do roboty. Z przyjemnością ulaskawiła Morwena Kaanosa, który złożył jej pisemne, szorstkie, lecz szczerze przeprosiny. Giforte przychodził z wykazami oddziałów do zlustrowania i odznaczeń do nadania. Podpisywała listy do owdowiałych żon i nieutulonych w żalu mężów, pogrążonych w żałobie rodziców i osieroconych dzieci. Będzie tego więcej, o wiele więcej, kiedy dotrą do Vordanu. Nieobecność Sothe królowa odczuwała jak brak amputowanej

kończyny. Wróc szybko. Proszę, zwracała się do niej w myślach.

Marcus oczywiście był wciąż zajęty koordynowaniem marszu i reorganizowaniem najbardziej osłabionych oddziałów. Pomimo to przeważnie jedli razem kolacje w nowym namiocie, który jej służba pozszywała z kilku mniejszych. Wprawdzie ta prowizoryczna konstrukcja nie była tak ładna jak pawilon, który zostawiono na północ od Isket, lecz jej schludna prostota cieszyła Raesinię.

Janus już odjechał. Rozmawiali krótko.

– Kiedy skończysz – powiedział, gdy przedstawiła mu swój plan – przyjedź się ze mną zobaczyć.

Wciąż nie wiedziała, co o tym myśleć. Odjechał powozem, pod konną eskortą kilku kobiet z Pierwszego Dziewczęcego. Nawet teraz, gdy drogi wyschły, podróż do hrabstwa Mieran potrwa wiele dni.

Zajmiemy się tym w odpowiedniej chwili, uznała. Teraz musiała zająć się czymś innym i postanowiła to zrobić, chociaż na samą myśl jej serce zaczynało bić szybciej i czuła ściskanie w dołku.

Marcus wszedł i powiesił płaszcz – nowiutki, z wciąż błyszczącymi guzikami – na wieszaku przy drzwiach. Służba bezszelestnie przysunęła mu krzesło i nalała wino, kiedy usiadł. Raesinia siedziała po drugiej stronie stołu, przeglądając przyniesione przez Giforte'a listy do rodzin poległych.

– Jak ci minął dzień? – zapytała, nie podnosząc oczu.

– Nieźle. – Marcus ziewnął. – Jeszcze parę dni do Tsivny. I kilka tygodni do Talbonn. Wrócimy do Vordanu na długo przed końcem lata.

– To dobrze. – Raesinia złożyła ostatni podpis i odsunęła listy na bok. – Wciąż nie ma wieści o Ihernglassie?

– Nie ma – odrzekł. – Jednak wieści z Murnska wciąż docierają do nas z opóźnieniem. Whaler pisze, że próbuje coś ustalić wszelkimi znanymi mu kanałami. Najwyraźniej nikt nie jest w stanie dotrzeć do Elizjum, ponieważ w tamtych okolicach nadal kręci się mnóstwo plemieńców z północy. Może trochę potrwać, zanim się czegoś dowiemy.

– Może jeszcze żyje.

– Może – zgodził się Marcus. – Musiałem powstrzymać kapitan Cyte, która chciała wziąć kompanię piechoty i wyruszyć na poszukiwania. Powiedziałem jej, że to mogłoby przeszkodzić w zawarciu pokoju.

Raesinia westchnęła.

– Biedna dziewczyna.

– Zamierzam awansować ją na pułkownika – oznajmił. – Może przestanie o tym myśleć w nawale obowiązków.

– Wątpię.

Zapadła niezręczna cisza. Niech to szlag. Nie tak wyobrażała sobie przebieg tej rozmowy.

– Co jest na kolację? – zapytał Marcus, bezpośredni jak zwykle.
– Nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś uważał porządny posiłek za coś zupełnie zwyczajnego.

Zrób to, powiedziała sobie Raesinia. Po prostu to zrób. Inaczej nigdy tego nie zrobisz.

– P-przedtem – zdołała wykrztusić – muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Na jej dyskretny znak służba opuściła namiot. Nie potrzebowała tu audytorium.

– Och? – zdziwił się Marcus. – Czy coś się stało?

– Kiedy wrócimy do Vordanu... – Urwała, przez moment mając wrażenie, że stoi na szczycie wieży i zaraz robi krok w przepaść. Poczowała mrowienie podeszew stóp.

– Kiedy wrócimy do Vordanu – zachęcił ją.

– Kiedy wrócimy do Vordanu – wypaliła Raesinia – myślę, że powinniśmy się pobrać.

Znów zapadła cisza, jeszcze bardziej niezręczna. Prawie pusty kielich wypadł Marcusowi z ręki i potoczył się po stole, zostawiając purpurowy ślad na obrusie. Marcus zrobił wielkie oczy, jakby Raesinia właśnie strzeliła mu w pierś.

– Pobrać? – powtórzył bardzo cicho po długiej chwili.

Energicznie kiwnęła głową.

– Myślałam o tym, co teraz będzie. Trochę o tym rozmawialiśmy, pamiętasz? Nie mogę zbyt długo pozostać królową, gdyż stanie się oczywiste, że się nie starzeję. Zanim do tego dojdzie, chcę dopiąć wszystko na ostatni guzik, pozostawiając jak najmniej niezalawionych spraw. To oznacza, że Vordan potrzebuje króla, którego wszyscy już znają i szanują. I następcy tronu...

– Następcy – powtórzył Marcus, patrząc na nią tępo.

– Nie sądzę, żebym mogła mieć dzieci – ciągnęła Raesinia. – Przynajmniej w moim obecnym stanie. Tak więc będziemy musieli dyskretnie znaleźć jakieś i przedstawić je jako nasze, ale to nie powinno być zbyt trudne. Najważniejsze jest zapewnienie ciągłości władzy. Kraj bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje stabilnej władzy monarszej, która zrównoważy porywczosć Zjazdu Generalnego.

– Chcesz, żebym został królem Vordanu – powiedział Marcus.

– Tak. – Raesinia się uśmiechnęła. Idzie mi lepiej, niż się spodziewałam. Poświęciła wiele czasu na rozmyślanie o jego

ewentualnej reakcji. – Wiem, że niepokoi cię to, że nie jesteś szlachcicem, ale naprawdę to bez znaczenia. Jesteś bohaterem. Nawet gdybym cię nie poślubiła, za to, czego dokonałeś, musiałabym ci nadać tytuł co najmniej hrabiego, a może diuka. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – To jest myśl. Teraz, gdy Ostatni Diuk został oficjalnie uznany za zdrajcę, jego ziemie przypadną Koronie. Jak by ci się podobał tytuł Diuka Orlanko?

– Nie – rzekł Marcus.

– Nie mam ci tego za złe. Jestem pewna, że znajdziemy bardziej...

– Nie zgadzam się – rzekł Marcus. – Nie zrobię tego.

Raesinia zamrugwała. Patrzyła na Marcusa i ze zdziwieniem zobaczyła łzy w jego oczach.

– Dlaczego? – zapytała, czując, jak nagle wraca całe to zdenerwowanie, które tak bardzo usiłowała ukryć.

– Bo to... – Marcus zgrzytnął zębami. – Ja nie...

– Chodzi o mnie? – Raesinia nabrała tchu. – Jeśli myśl o poślubieniu mnie jest ci tak niemiła, to małżeństwo nie musi długo trwać. I wcale nie musimy... no wiesz. – Raesinia też poczuła, że łzy stają jej w oczach, i gniewnie je otarła. – Potrzebuję twojej pomocy, Marcusie.

– Nie! – rzekł Marcus, zrywając się z krzesła. – Nie w tym rzecz. Chcę powiedzieć, że w tym cały problem.

– W czym?

– W tym, że potrzebujesz mojej pomocy. Chcesz, żebym to zrobił, ponieważ twoim zdaniem tak byłoby najlepiej dla Vordanu, prawda?

– Jestem królową. Muszę myśleć o tym, co jest najlepsze dla

Vordanu.

– Czy mogłabyś na jedną cholerną minutę przestać być królową?! – wrzasnął.

Raesinia spojrzała na niego i na moment zabrakło jej słów. Na jego policzkach nagle wykwitły rumieńce i podrapał się po brodzie.

– Przepraszam – powiedział. – Jednak ilekroć wydaje mi się, że stałem ci się trochę bliższy, traktujesz mnie jak... narzędzie. Jak pionka, którego przesuwasz na szachownicy. Czy naprawdę tylko tak możesz o mnie myśleć? – Potrząsnął głową. – Kiedy ukrywaliśmy się przed Dyrektoriatem, ty incognito...

– Byłam szczęśliwa – powiedziała cicho Raesinia.

– Myślałem wtedy... – Odwrócił wzrok. – Nie wiem. Może jestem głupi.

– Nie jesteś głupi. – Raesinia przełknęła ślinę. – Załóżmy, że nie byłabym królową. Co byś powiedział?

– Czy nadal jestem generałem kolumny Wielkiej Armii?

– Tylko jeśli chcesz.

Marcus zamknął oczy.

– Zatem powiedziałbym, że chyba gdzieś po drodze zakochałem się w tobie. W Raesinii Orboan, nie w królowej Vordanu. I bardzo chciałbym wiedzieć... – urwał, rumieniąc się jeszcze bardziej – ...co ty czujesz.

– Ja... – Język nagle wysechł Raesinii na wiór, a serce łomotało jej w piersi. Łatwo powiedzieć komuś, że chce się za niego wyjść z czysto rozsądnych i praktycznych powodów, ale to... to było zupełnie coś innego. – Myślę – powiedziała bardzo ostrożnie – że ja chyba też się w tobie zakochałam.

– Och. – Marcus znów zrobił wielkie oczy. – Naprawdę?

– Naprawdę. – Raesinia zaczerpnęła tchu. – Ale wiesz, że po prostu nie mogę przestać być królową. Nie mogę zupełnie przestać myśleć o polityce.

– Niekoniecznie zupełnie – rzekł z nikłym uśmiechem Marcus. – Tylko od czasu do czasu.

Głośno odetchnęła z ulgą.

– A zatem zrobisz to?

Skinął głową, bardzo wolno, jakby w obawie, że świat by się zawalił, gdyby zrobił to szybciej.

– Jednak nie dlatego, że prosi mnie o to królowa.

– Nie. – Raesinia zamknęła oczy. – Dziękuję.

Gdy znów je otworzyła, stał tam i czekał. Jej serce wciąż biło szybciej, ale teraz to uczucie było inne, bynajmniej nie nieprzyjemne. Wstała i wyprostowała się, tak że czubkiem głowy prawie dotykała jego brody.

– Generale kolumny – powiedziała – czy nieodwracalnie zniweczyłoby to powagę twojego stanowiska, gdybym cię pocałowała?

– Nie – odparł Marcus. – A czy byłoby to zniewagą dla godności królowej?

– Zapewne – odrzekła Raesinia. – Ale do diabła z tym.

Pocałowali się. Raesinia była najzupełniej pewna, że jej serce na moment przestało bić, ale nie sądziła, żeby Marcus to zauważył.

Winter

Winter poczuła pod policzkiem zgniecioną trawę.

Otworzyła oczy. Leżała na boku i coś twardego uciskało jej plecy. Wokół była łąka z uschniętą i zbrązowiałą trawą, ale bez śniegu, a dalej ośnieżony świerkowy las i czyste błękitne niebo.

Bobby, przypomniała sobie. Nie była pewna, co z tego, co pamiętała, zdarzyło się naprawdę. Góry przesuwające się pode mną jak mapa. Obłoki. I... Nie wiedziała, co było potem.

Usiadła i natychmiast poczuła pulsujący ból głowy i ręki. Na moment zamknęła oczy i przycisnęła sprawną rękę do czoła, aż trochę osłabł. Kiedy krew przestała jej szumieć w uszach, znów rozejrzała się i zaparło jej dech.

– Bobby!

Opierała się o nią. Dziewczyna siedziała z kolanami pod brodą i spuszczoną głową, obejmując nogi rękami. Jej wspaniałe kryształowe skrzydła były zwinięte i otaczały ją świetlistą pajęczyną przezroczystych piór. Była naga, a jej skóra miała idealną gładkość alabastru, przetykanego szarymi żyłkami. Liczne białe blizny po zagojonych w ten przedziwny sposób ranach teraz znikły, stając się częścią całości.

Wiatr przeleciał po polu, szeleszcząc trawami. Żaden inny dźwięk nie przerywał ciszy.

– Bobby, słyszysz mnie? – spytała Winter.

Niepewnie wyciągnęła rękę i dotknęła kryształu, twardego jak skała. Przesunąwszy się, spojrzała na pochylone plecy Bobby i ujrzała dobrze widoczne kręgi, jak wykute w kamieniu ręką mistrza. Skóra w dotyku była jak prawdziwy marmur – zimna i twarda.

Nie! Winter położyła dłoń na ramieniu Bobby i potrząsnęła nią, a raczej próbowała. Jakby usiłowała poruszyć górę. Nie, nie, nie!

Nic jej nie będzie. Ona zawsze dochodzi do siebie.

W promieniu kilku metrów wokół Bobby cienka warstwa śniegu zupełnie się stopiła, odsłaniając zeschniętą trawę. Winter stała w tym idealnie równym kręgu. Za lasem widziała niebieskawe zarysy gór, ale wydawały się bardzo odległe. Gdzie my, do diabła, jesteśmy? Jak długo leciałyśmy? – zastanawiała się.

– Bobby, proszę – powiedziała. – Wstań. Musisz wstać.

Posąg nie zareagował. Winter sięgnęła Wszystkożercą, próbując wyczuć demona Bobby, chociaż dotychczas nigdy jej się to nie udawało. Sięgnęła swoim demonem w głąb posągu, szukając czegoś, co mógłby pochwycić, ale znalazła tylko pustkę martwego kamienia.

– Nie, nie, nie! – jęknęła Winter. Sprawną ręką uderzyła w ramię Bobby, dostatecznie mocno, żeby pozostał siniak. – Nie ty. Wstań! Musisz... musisz... – Łzy napłynęły jej do oczu, a dłoń boleśnie pulsowała. – Proszę. Jeszcze tylko ten jeden raz. Obiecuję, już nigdy więcej nie pozwolę, żebyś ucierpiała, ratując mnie. Tylko... – Kolana ugięły się pod nią i osunęła się na zimne, twarde plecy Bobby. – Nie zostawiaj mnie tu. Proszę.

Wszystkożerca w niej poruszył się. Przez moment Winter miała nadzieję, że wyczuł jakiś ślad Bobby, lecz demon skupił uwagę gdzie indziej. Zimny wiatr owiał jej policzek, natychmiast zmieniając się w gorący i suchy podmuch, w którym wyczuła zapach rozpalonego piasku pustyni leżącej ponad trzy tysiące mil dalej. Niesiony nim pył drażnił oczy i musiała zasłonić je ramieniem.

Po chwili wiatr ucichł i Winter opuściła rękę. Wir piasku opadł, odsłaniając mężczyznę w luźnych, czarnych szatach Desoltaja.

Jego twarz zasłaniała metalowa maska, gładka i zwyczajna, z dwoma prostokątnymi otworami na oczy i trzecim na usta.

– To ty – szepnęła Winter. Malik-dan-Belial. Stalowy Duch. Marcus opowiadał jej o swoich spotkaniach z tym Khandarczykiem w Vordanie. – Co tu robisz?

– Odnalezienie ciebie wymagało sporo wysiłku, Winter Ihernglass – rzekł Duch po vordanajsku, z silnym khandarskim akcentem. – Przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu. Nawet pył niesiony wiatrem nie może podróżować szybciej.

– Ty... – Winter potrząsnęła głową i znów spojrzała na Bobby. – Należałeś do wiernych Matki, prawda? Tak jak Feor. Proszę, pomóż jej. Na pewno coś wiesz. Zrobię, co zechcesz...

– Ona odeszła – powiedział Stalowy Duch, zaskakująco łagodnie. – Przykro mi.

– Nie! Jej demon... demon Feor czy czym on jest... zawsze ją uzdrawia!

– Nie tym razem. – Duch przykucnął, patrząc Winter w oczy. – Feor nosiła w sobie obv-scar-iot, lecz Matka nigdy nie wyjawiała jej jego prawdziwego charakteru. W naszym języku nazywa się go Świętą Strażniczką. Tutejszy Kościół nazywa ją kariatydą. W dawnych czasach, w godzinie potrzeby, wybierano młodą kobietę, aby obdarzyć ją mocą naath. W trakcie rytuału wchodziła w święty ogień, który przemieniał jej śmiertelne ciało w boską istotę. Uzyskiwała siłę potrzebną, aby bronić swego ludu. – Spojrzał na posąg. – Niestety tylko przez krótki czas. Duch śmiertelnika nie może długo zamieszkiwać w boskim ciele.

– To niesprawiedliwe – zachnęła się Winter, opierając się plecami o Bobby i osuwając na ziemię. – Nikt jej o tym nie

powiedział.

– Nie. Jednak nie można winić Feor. Ona wiedziała tylko, że jej moc może uratować życie twojej przyjaciółki.

– Gdybym nie pozwoliła jej spłonąć...

– Obv-scar-iot i tak w końcu by ją zabrał – powiedział Duch. – Musiałaś widzieć jego postępy.

Te marmurowe ślady, powoli rozszerzające się. Rosnąca siła Bobby i coraz szybsze gojenie ran. Winter spuściła głowę. Gdybym trzymała ją w bezpiecznym miejscu, mimo wszystko pożyłaby dłużej, pomyślała.

– Taka jest wola bogów – rzekł Duch. – Życie niektórych się kończy.

– Pieprzyć twoich bogów – warknęła Winter. Znów otarła oczy, przeklinając łzy. – Czego, do diabła, chcesz? Zjawileś się tu, żeby ze mnie drwić?

– Byłem na Górze – odparł. – Alex powiedziała mi, że widziała, jak odleciałyście z Elizjum.

– Widziałeś Alex? – spytała Winter. – Zdołała uciec?

Duch skinął głową.

– I rozmawiałem z Najstarszym. Powiedział mi, co nosisz w sobie.

– Wszystkożercę. – Winter wypluła to imię jak przekleństwo. – To jego chcesz, prawda?

– Wszystkożerca – Duch z nabożeństwem wypowiedział to imię – jest wielkim skarbem mojego zakonu. Najstarszy mówił ci o Herezji Magów?

Winter skinęła głową.

– Jego lud zachował większą wiedzę niż nasz, ale są sprawy, o których nigdy nie wiedzieli. Nie tylko obawa o własne życie była powodem ucieczki dawnych Magów do Khandaru. Odkryli istnienie Wszystkożercy i dlatego Kapłani Czerni chcieli ich zniszczyć.

Winter westchnęła.

– Czy naprawdę przybyłeś tutaj, żeby wygłosić mi wykład z historii starożytnej?

– Dawni Magowie szukali Wszystkożercy, ponieważ chcieli raz na zawsze pozbyć się Bestii – wyjaśniał Stalowy Duch. – Dla Kapłanów Czerni było to najgorszą z herezji, która nieuchronnie ściągnie gniew ich Boga na nasz świat. Wierzyli, że więzząc Bestię, wykonują zbożne dzieło, dowodząc w ten sposób, że ludzkość zasługuje na ocalenie. Teraz jednak Bestia wyrwała się z więzienia i w chwili, gdy rozmawiamy, już podbija świat. Przez długie lata w lochu wiele się nauczyła i już nie pozwoli się uwięzić. Ten naath, którego nosisz, ta broń starożytnych Magów, jest jedynym orężem, którym można ją powstrzymać.

Duch skłonił głowę i wyciągnął ręce, kładąc się na trawie. Winter spoglądała na niego stropiona.

– Pytałaś mnie, co tu robię, Winter Ihernglass. Przybyłem tu, żeby cię błagać o pomoc.

Epilog

Orlanko

Co się stało? – zapytał Ostatni Diuk. – Dlaczego mi nie mówisz, co się dzieje?
– B-b-bo nie wiem, wasza miłość!

Nachylił się do przerażonej dziewczyny, chociaż wiedział, że to nic nie da. Zgubiła gdzieś po drodze swoją opaskę i widział puste oczodoły bez dawno temu wyłupionych oczu. Była spocona i ciężko dyszała, chociaż nie miał pojęcia, czy bała się jego czy czegoś innego.

– Nie czuję jej – powiedziała. – Nie wyczuwam mojej siostry.

– Ona nie żyje? O to chodzi?

– Gdyby u-umarła, jak też byłabym martwa – załkało to żalosne stworzenie. – Po prostu jej nie ma. N-nie rozumiem tego.

– Muszę porozmawiać z pontifeksem Czerni – warknął Orlanko.

– Skontaktujesz się z nim albo każę rozebrać cię do naga i wychłostać.

– N-nie mogę. – Skuliła się, płacząc. – Nie rozumiesz. Wcale jej nie wyczuwam...

Zniesmaczony Ostatni Diuk wstał. Skinął na jednego ze swych noszących czarne płaszcze opryszków i ten podszedł.

– Zamknijcie ją w spiżarni – rozkazał Orlanko. – Bez jedzenia

i wody. Rano zobaczymy, czy to ją zmotywuje.

– Tak jest, wasza miłość – powiedział mężczyzna. Złapał szlochającą dziewczynę za ramiona i wyprowadził z komnaty.

Znajdowali się w nadmorskim mieście Vorsk, w mieszkaniu, które niegdyś było kryjówką Konkordatu. W największym rozkwicie Ministerstwo Informacji miało takie w całym Vordanie i sąsiednich krajach: budynki należące do fikcyjnych osób, wykorzystywane w razie potrzeby przez agentów. Oczywiście diuk Orlanko nigdy się nie spodziewał, że sam będzie korzystał z takiej kryjówki. Nie spodziewał się jednak również, że znajdzie się tak daleko od ojczyzny, eskortowany przez zaledwie dwa tuziny niezbyt pewnych ludzi, ścigany zarówno przez Vordanajów, jak i Borelgajów. Została mu tylko ona, jego jedyny kontakt z Kapłanami Czerni i ich Przeklętym Penitentem, a nawet i ten najwyraźniej został zerwany.

Nie, pomyślał gniewnie. Nie został zerwany. Ona tylko udaje głupią. Zapewne na rozkaz pontifeksa. Niewątpliwie sojusznicy Orlanki byli niezadowoleni po ostatnich niepowodzeniach. Kiedy zmuszę ją, żeby pozwoliła mi z nim porozmawiać, wyjaśnię okoliczności, stwierdził. Wciąż mógł negocjować.

Sypialnia w kryjówce była skromnie urządzona, ale wygodna – z dużym łóżkiem, kominkiem i osobną łazienką. Miała także – o czym wiedział, ponieważ sam to sprawdził – dyskretne metalowe kraty na wszystkich oknach, dwa zamki w drzwiach, a na dole psiarnię pełną czujnych psów. Wysłał dwóch ludzi na dach, a dwóch następnych na dach sąsiedniego budynku, żeby obserwowali pierwszą wartę. Kolejne stráže stały przy frontowych i tylnych drzwiach oraz na głównych schodach.

Postanowił się przespać. Nic więcej nie zostało już dziś do zrobienia, stwierdził. Rano znów spróbuje nawiązać kontakt poprzez dziewczynę i osobiście sprawdzi statki w porcie. Potrzebny mi kapitan, któremu mogę zaufać. Jeśli Orlanko nauczył się czegoś w ciągu kilku ostatnich miesięcy, to że musi sam wszystkiego dopilnować. Zbyt wiele spraw powierzono zbyt wielu niekompetentnym wykonawcom. Nowy Konkordat, kiedy odrodzi się z popiołów, nie będzie tolerował takiej nieudolności.

Przebrawszy się w nocną koszulę, zgasił wszystkie lampy prócz jednej. Nigdy nie spał w zupełnej ciemności, już nie. Jeszcze raz sprawdził, czy nabity pistolet znajduje się na swoim miejscu pod poduszką, a potem zdjął okulary i położył się. Sen przyszedł szybko po całodniowej podróży, której czas starał się maksymalnie skrócić, a jednocześnie nie rzucać się w oczy, żeby ktoś nie doniósł o jego obecności Dorsayowi lub Vhalnichowi.

– Wasza miłość.

Gwałtownie się zbudził, ale zaraz udał, że tylko obraca się we śnie na drugi bok, mamrocząc coś pod nosem.

– Nie trudź się – powiedział głos. Kobiety. – Słyszę twój oddech.

Orlanko odrobinę uniósł powieki. W blasku lampy ujrzał ciemną sylwetkę, rzucającą cień na łóżko.

– Jeśli zawołam, tuzin ludzi będzie tu w niecałą minutę – wykrztusił.

– Wołaj – odparła kobieta. – Jeśli myślisz, że twoi żałośni najemnicy mogą się ze mną mierzyć.

– To ty – rzekł prawie bezgłośnie Orlanko. Wyciągnął rękę, szukając okularów.

– To ja – potwierdziła Szara Róża.

– Nigdy nie wierzyłem, że nie żyjesz – powiedział. – Nigdy. Andreas zawsze był tego pewny. Kazałem mu zostawić cię w spokoju.

– Zapewne z dobrego serca?

– Ponieważ zawsze cię szanowałem. – Serce łomotało diukowi w piersi, gdy powoli, centymetr po centymetrze, wsuwał dłoń pod poduszkę. – Byłaś moim największym dziełem.

– Owszem – zgodziła się Szara Róża. – I tylko mnie się bałeś.

– Przyszłaś tu mnie zabić? – zapytał.

– Przyszłam doprowadzić sprawę do końca.

Ze ściśniętym gardłem wepchnął dłoń głęboko pod poduszkę, szukając pistoletu. Nie ma go. Gdzie się ten złom podział? Może się zsunął...

– Tego szukasz? – Szara Róża pokazała mu pistolet.

– Zaczekaj – wykrztusił Orlanko. Drżącym palcem poprawił spadające z nosa okulary. – Poczekaj moment. Możemy się dogadać.

– Wątpię.

– Musi być coś, czego chcesz!

– Już to dostałam – odparła. – Stałam przed moim przeznaczeniem i otrzymałam... odroczenie wyroku. – Cicho szczęknął odwodzony kurek. – Chcę mieć pewność, że gdy kiedyś zapadnie, wysłucham go bez żalu.

Ostatni Diuk wrzasnął, gdy naciskała spust.

Janus

Powóz, turkocząc, jechał pustą, krętą drogą przez las wyłocony zachodzącym słońcem.

Janus siedział w elegancko urządzonej wnętrze, podpierając rękami brodę i łagodnie kołysząc się wraz z ruchami pojazdu. Naprzeciw miał młodą kobietę w czystym niebieskim mundurze, z pistoletem na podółku i muszkietem leżącym na siedzeniu obok. Nie odrywała oczu od okna. Szóstka żołnierzy z Pierwszego Dziewczęcego zmieniała się na stanowiskach: jedna powoziła, dwie jechały obok powozu, dwie siedziały na dachu, a jedna w środku. Janus był pod wrażeniem ich profesjonalizmu.

Ihernglass dobrze je wyszkoliła. Awansowanie jej było jednym z jego najlepszych pomysłów.

Zbyt długie roztrząsanie porażki nie leżało w jego charakterze. Raz wystrzelona, lecąca kula armatnia znajdowała się w mocy nieubłaganych, bezosobowych sił. Jeśli chybiła celu, żadne pobożne życzenia czy samooskarżanie się tego nie zmienią. Był bliski zrealizowania swojego planu, ale machina, którą do tego stworzył, okazała się nieodpowiednia.

A jednak nie była całkowicie bezużyteczna, pomyślał. Tablice Tysiąc Imion były łatwiej dostępne w Vordanie niż w Khandarze i w odpowiedniej chwili powinien je odzyskać. A przynajmniej uzyskać do nich dostęp. W końcu nie musiał mieć tego archiwum na własność.

Jeszcze ważniejsze było odkrycie, że Magowie wciąż istnieją. Stalowy Duch, interweniujący w Vordanie, zapewne działał w ich interesie. Mogę ich wykorzystać, uznał.

Problem polegał na tym, rozmyślał Janus, że Elizjum jest zarówno miejscem, jak i symbolem. Właśnie to, między innymi,

przeoczył. Logiczny umysł Janusa nie potrzebował symboli, ale były one ważne dla mas. Może próba dotarcia tam na czele armii była z góry skazana na porażkę. Zbyt duże obciążenia historyczne. Następnym razem zrobi to dyskretniej. Niewielki oddział z demonami mogącymi stawić czoło Przeklętym Penitentom, być może dysponujący wiedzą Magów. Z wielu względów to bardziej by mu odpowiadało. Wojna i sprawy wagi państwowej zawsze przypominały mu, jaki jest niedoskonały.

Dla niej Wielka Armia zaatakowałaby Elizjum. Zaatakowałaby samo Piekło. Ta odrobina śniegu by ich nie powstrzymała.

Zamknął oczy. Idę po ciebie, powiedział jej. Tylko potrwa to trochę dłużej.

Młoda kobieta otworzyła okno.

– Beth? – zawołała. – Czy widzisz...

Na zewnątrz huknął strzał, oddany z bliskiej odległości z pistoletu, i przeraźliwie zarżał raniony koń. Niemal natychmiast z przodu padły następne strzały.

– Beth! – zawołała siedząca w powozie. – Niech to szlag. Jenny, co się dzieje, do diabła?

– Pojawili się nie wiadomo skąd! – odkrzyknęła Jenny. – Ja nie...

Nagle zamilkła, gdy padły dwa następne strzały. Dziewczyna w powozie wyjęła pistolet i zerknęła na Janusa, podejrzliwie mrużąc oczy.

– Siedź spokojnie – powiedziała.

Janus obdarzył ją niewinnym uśmiechem. Jednocześnie zastanawiał się, kim są napastnicy, odrzucając kolejne możliwości. Usłyszał kolejne strzały i przeraźliwy krzyk, tym razem ludzki.

Coś przeleciało za oknem, spadając na drogę.

Kobieta otworzyła drzwi i zobaczyli dwa konie galopujące obok pojazdu. Wycelowała i zastrzeliła pierwszego jeźdźca, młodzieńca w brązowym stroju rabusia. Wystrzelona przez drugiego kula przebiła sufit powozu i kobieta pospiesznie zatrzasnęła drzwi, po czym zaczęła nabijać pistolet. Zanim skończyła, kolejny wystrzał rozbił zamek drzwi znajdujących się po drugiej stronie. Otworzyły się i starszy od zabitego młodzika mężczyzna w porwanym płaszczu przeskoczył z konia do powozu, z długim sztyletem w dłoni. Strażniczka usiłowała złapać muszkiet z zatkniętym nań bagnetem, ale napastnik był szybszy. Złapał ją za rękę i przycisnął do ściany. Uderzyła go pięścią w szczękę, ale błyskawicznie trzy razy pchnął ją w pierś i rżąc, osunęła się na siedzenie powozu.

Lojaliści z armii przybyli mnie uwolnić? Niepodobna, rozmyślał. Atak został przeprowadzony w sposób sugerujący skoordynowane działanie kilku oddziałów, a Janus nie sądził, by jakikolwiek doświadczony vordanajski oficer był tak głupi, żeby podjąć tę próbę. A zatem zabójcy? Tylko po co? Orlanko mógł chcieć go zabić z czystej mściwości, ale Janus wątpił, by nadal miał taką możliwość. Borel? Dorsay mógłby w ten sposób uzyskać pewność, że pokój zostanie zawarty. Pomimo to Janus uważał takie wyjaśnienie za mało prawdopodobne. Dla ludu Vordanu jestem bohaterem. Gdybym zginął w podejrzanych okolicznościach, zagroziłoby to pokojowi, a nie umocniło go. To samo dotyczyło ewentualnej roli Hamveltu i Murnska. A gdyby Kapłani Czerni byli jeszcze w stanie spróbować czegoś takiego, zrobiliby to znacznie wcześniej.

Spojrzał na mężczyznę z zakrwawionym sztyletem w ręce

i wzruszył ramionami, kładąc dłoń na rękojeści rapiera.

– Muszę przyznać, panie – rzekł Janus – że znalazłem się w niekorzystnym położeniu.

– Zgodnie z przewidywaniami – powiedział mężczyzna. – Janusie bet Vhalnichu.

– Zamierzasz mnie zabić?

Mężczyzna spojrział na swój nóż i odrzucił go w kąt.

– Och, nie. Jesteś zbyt użyteczny.

– Doskonale. – Janus się uśmiechnął. – Zatem z pewnością jakoś się dogadamy.

– Na pewno – rzekł tamten. Nachylił się bliżej. W głębi jego oczu paliły się czerwone ogniki.

Tytuł oryginału: The Guns of Empire

BOOK FOUR OF THE SHADOW CAMPAIGNS: THE GUNS OF EMPIRE by Django Wexler. Copyright © 2016 by Django Wexler.

By arrangement with the author. All rights reserved.

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce: Paul Youll

ISBN 978-83-8062-835-9

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

Działa imperium, wyd. I, Poznań 2017)

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink



Plik dla waramyr

